

AUTOR POLOWANIA NA «CZERWONY PAŹDZIERNIK»

Tom Clancy



Dkug honorowy

Tom pierwszy

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

Tom Clancy

Dług honorowy

Tom drugi

Tłumaczenie: Krzysztof Wawrzyniak

Data wydania: 1999

Data wydania oryginalnego: 1994

Tytuł oryginału: Debt of Honor

Spis treści

Pościg

Bieg w miejscu

Wszystkie konie króla

Przygotowania

Narastanie problemów

Porozumiewanie

Dokumentacja

Dlaczego nie?

Jak i dlaczego

Wydanie specjalne

Punkt zwrotny

Wszyscy na parkiet

Konsekwencje

Branie pod rozwagę

Głębokie zanurzenie

Rubikon

Najpierw oczy

Lisy i ogary

Grupa Uderzeniowa 77

Uderzenie błyskawicy

Pod dyktando

Linia frontu

Oddział wydzielony

Zamiatanie

Pościg

Ten dzień w życiu Robby'ego Jacksona nie zaczął się najlepiej. Zdarzały mu się już pechowe dni, na przykład, kiedy jako młody komandor porucznik przechodził szkolenie w Ośrodku Lotów Marynarki w Patuxent River, w stanie Maryland. Tamtego dnia jego odrzutowiec szkolny postanowił bez najmniejszych przyczyn katapultować swojego pilota, co skończyło się złamaniem nogi i wykreśleniem na kilka miesięcy nieszczęśnika z listy pilotów zdolnych do służby. Potem zdarzały się dni, podczas których widział swoich przyjaciół rozbijających się o ziemię, a czasami widział tylko ślad nafty lotniczej na powierzchni Zatoki Tonkińskiej. Jako dowódca dywizjonu musiał też pisać listy do rodzin, w których zawiadamiał z żalem o śmierci męża lub syna. W najnowszych czasach przychodziło mu też coraz częściej zawiadamiać o śmierci córek, które poległy w służbie ojczyzny. Życie pilota Marynarki niestety obfitowało w takie dni.

Ale takiego dnia jeszcze nie miał. Jedynym pocieszeniem był fakt, że pełnił funkcję w dziale J-3, odpowiedzialnym za planowanie i przebieg operacji militarnych. Gdyby przydzielono go do sekcji J-2, wywiadu, poczucie klęski byłoby całkowite.

— Niestety, panie admirale. Nie mamy łączności z bazami w Yakota, Misawa i Kadena.

Nikt nie podnosi słuchawki.

— Ilu mamy tam ludzi? — zapytał Jackson.

— Łącznie około dwóch tysięcy, głównie mechaników, personel obsługujący stacje radarowe, kwatermistrzostwo. Jakies dwa lub trzy samoloty na lądowaniach technicznych.

Jeszcze sprawdzamy w jednostkach — odparł major.

— A jak z Marynarką?

— Mamy ludzi w bazie Andersen na Guam. Razem z personelem portowym daje to około tysiąca ludzi. Kilka lat temu mieliśmy tam kilka tysięcy.

Jackson podniósł słuchawkę bezpiecznej linii i wybrał numer dowództwa Floty Pacyfiku.

— Admirał Seaton? Jeszcze raz Jackson. Coś nowego?

— Nie możemy połączyć się z nikim na zachód od Midway, Rob. To zaczyna wyglądać poważnie.

— Jak działa ta komórka? — zapytał Oreza.

— Wstyd przyznać, ale nie mam pojęcia. Nie chciało mi się przeczytać instrukcji —

odparł Borroughs. Telefon komórkowy spoczywał przed nimi na stole, z anteną sterzącą z dna przewierconej misy, która z kolei opierała się na dwóch stertach książek. — Nie mam pojęcia, czy komórka przez cały czas podaje satelicie swoją pozycję, czy tylko podczas rozmowy. — Z

tego też powodu obaj doszli do wniosku, że lepiej będzie trzymać antenę przez cały czas w misie, do czego potrzebna była ta raczej prymitywna konstrukcja.

— A może by tak wyjąć baterie? — zapytała pani Oreza.

— Ale ze mnie dureń — przyznał Borroughs. Podniósł misę i po chwili na stole przed nim leżały dwie paluszkowe baterie typu AA. — Jeżeli będzie chciała się pani dostać na studia magisterskie w Stanford, napiszę pani list ze znakomitymi rekomendacjami.

— Panie i panowie. — Wszystkie głowy odwróciły się w stronę telewizora. Na ekranie pojawiła się sylwetka Japończyka w mundurze polowym. Mężczyzna przedstawił się z uśmiechem, mówiąc nienagannie po angielsku: — Jestem generał Tokikiczi Arima z lądowych Sił Samoobrony Japonii. Pozwólcie państwo, że w kilku słowach wytłumaczę co dzisiaj zaszło na Saipanie — rozpoczął swoją przemowę generał do dwudziestu dziewięciu tysięcy mieszkańców wyspy. — Po pierwsze, chciałbym zapewnić, że nie ma najmniejszych powodów do niepokoju.

Na wyspie nie doszło do żadnych incydentów, z wyjątkiem pożałowania godnej krótkiej wymiany ognia z siłami policyjnym w pobliżu parlamentu. Dwaj funkcjonariusze, którzy zostali ranni, znajdują się pod dobrą opieką w szpitalu.

Nie wątpię, że chcieliby państwo wiedzieć, co zaszło na Marianach. Dziś rano dowodzone przeze mnie oddziały wojskowe zaczęły lądować na Saipanie i Guam. Jak zapewne wszyscy państwo wiecie, a starsi mieszkańcy pamiętają, do 1944 roku Mariany były własnością Japonii.

Znajdą się też wśród państwa ludzie, którzy będą zdziwieni, że od kilku lat moi rodacy mają możliwość nabywania nieruchomości na Saipanie i Guam. Od kilku miesięcy w rękach japońskich znajduje się ponad połowa powierzchni wysp. Nie muszą też chyba nikogo zapewniać o emocjonalnym stosunku narodu japońskiego do tych wysp i ich mieszkańców.

Zainwestowaliśmy już tu kilka miliardów dolarów i doprowadziliśmy do rozkwitu tutejszą gospodarkę, tak zaniedbywaną podczas rządów Stanów Zjednoczonych. W świetle powyższego, trudno nas chyba nazwać przybyszami z zewnątrz, prawda?

Prawdopodobnie wiecie państwo o kontrowersjach pomiędzy Ameryką a Japonią. Ta różnica poglądów zmusiła nasz kraj do ponownego rozważenia naszych priorytetów obronnych.

Postanowiliśmy między innymi zająć ponownie archipelag Marianów, w ramach czysto obronnego posunięcia przeciwko spodziewanej akcji militarnej Stanów Zjednoczonych.

Pojawia się pytanie: w jakim stopniu nasze posunięcia wpłyną na wasze życie? — zapytał

z uśmiechem generał Arima. — Odpowiedź jest prosta: w żadnym. Gospodarka pozostanie nienaruszona. Japończycy też są zwolennikami wolnego rynku. Wasi ustawowi przedstawiciele pozostaną na swoich stanowiskach, a wyspa zyska dodatkowe znaczenie w świecie biznesu, jako czterdziesta ósma prefektura Japonii. Otrzymacie państwo również pełną reprezentację w japońskim parlamencie, Diet — to przywilej, którego odmówiły wam Stany Zjednoczone, kiedy Saipan był jedynie „stowarzyszony” z Ameryką, to słowo jest raczej przejrzystym eufemizmem oznaczającym w istocie kolonię, prawda? — Kolejny promienny uśmiech. — Ktoś mógłby powiedzieć, że słowa nie kosztują wiele. Racja. Jednak jutro zobaczą państwo naszych ludzi na ulicach i drogach Saipanu, którzy przeprowadzą rozmowy z mieszkańcami, dokonywać będą pomiarów i analiz. Naszym pierwszym zadaniem będzie bowiem poprawienie stanu dróg na Saipanie, czegoś całkowicie zaniedbanego przez Amerykanów. Wszelkie uwagi dotyczące naszej działalności będą mile widziane, a wszelka pomoc przyjęta z wdzięcznością.

Jeszcze jedno. — Generał nieco pochylił się w stronę kamery. — Zdaję sobie sprawę z faktu, że na wyspie znajdują się ludzie niezadowoleni z zaistniałych zmian — bardzo mi z tego powodu przykro. Nie chcemy nikogo skrzywdzić, ale proszę zrozumieć, że wszelkie przejawy agresji fizycznej wobec moich żołnierzy lub obywateli Japonii będą traktowane jak naruszenie prawa. Zostałem również upoważniony do ochrony za wszelką cenę moich wojsk i zaprowadzenia na wyspach prawa obowiązującego wszystkich obywateli Japonii.

W ciągu najbliższych dni należy zdać wszelką broń znajdującą się w prywatnych rękach.

Jeśli przedstawicie państwo rachunki lub udowodnicie kolekcjonerską wartość poszczególnych egzemplarzy, wypłacimy, oczywiście, stosowne odszkodowanie. To samo tyczy się radiostacji i krótkofalówek. Proszę też o nieużywanie ich do czasu zdania. Kiedy sytuacja na wyspie unormuje się już zupełnie, wspomniane dobra zostaną zwrócone, a otrzymane ekwiwalenty pieniężne będą mogli państwo traktować jako prezent od mieszkańców Japonii.

Jestem pewien, że tak naprawdę nie odczujecie w ogóle naszej obecności. Moi żołnierze otrzymali precyzyjne rozkazy nakazujące traktowanie mieszkańców wysp jak rodaków. Jeżeli zauważą państwo przypadek niewłaściwego zachowania ze strony wojska, bardzo proszę o przybycie do kwatery głównej i złożenie skargi, która zostanie natychmiast rozpatrzona. Prawo w Japonii obowiązuje wszystkich. Moja kwatera główna znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie parlamentu. Życzę wszystkim dobrej nocy.

— Przemówienie generała Arimy będzie powtarzane co piętnaście minut na kanale szóstym — odezwał się głos spikera.

— A to skurwysyn — zaklął Oreza.

— Ciekawe z usług jakiej agencji reklamowej korzysta — zastanowił się Borroughs, przewijając taśmę wideo.

— Mówił prawdę? — zapytała Isabel.

— Kto wie? Macie w domu jakąś broń? — zapytał Borroughs.

— Nie. Nawet nie wiem, czy na wyspie można ją posiadać bez zezwolenia. A poza tym trzeba być idiotą, żeby rzucać się z pistoletem na żołnierzy uzbrojonych w M-16.

Borroughs zaczął wybierać kierunkowy do Stanów. — Podaj numer do admirała.

— Jackson.

— Bosman Oreza, panie admirale. Nagrywa pan?

— Tu wszystko się nagrywa. Ma pan coś dla mnie?

— Mieszkańcy Saipanu otrzymali już oficjalną wiadomość — zaczął Oreza. —

Nagraliśmy przemówienie dowódcy sił japońskich. Za chwilę włączę odtwarzanie. Będę trzymał słuchawkę przy głośniku.

Po paru sekundach Jackson zapisał na kartce: generał Tokikiczi Amari. Podał kartkę stojącemu obok sierżantowi. — Niech ludzie z wywiadu zobaczą, co o nim wiemy.

— Tak jest. — Sierżant wybiegł z pokoju.

— Majorze!

— Jestem, panie admirale.

— Jakość dźwięku jest dobra. Niech nasi psycholodzy zrobią analizę emocjonalną głosu.

Za dziesięć minut chcę mieć też na wydruku tekst oświadczenia tego żółtka. Potem wyślecie to faksem w jakieś pół miliona miejsc.

— Tak jest.

Przez resztę nagrania Jackson już się nie odzywał: wysepka spokoju na morzu chaosu.

Przynajmniej tak to wyglądało dla postronnego obserwatora.

— To już wszystko — powiedział po kilku minutach Oreza.

— Dobra robota, bosmanie. Co się tam teraz dzieje?

— Bez przerwy lądują samoloty. Od naszej ostatniej rozmowy naliczyłem czternaście.

— Rozumiem. Czy coś zagraża pańskiemu bezpieczeństwu?

— Na razie nie zauważyłem facetów biegających po moim ogródku z karabinami w rękach, panie admirale. Na marginesie, zauważył pan, że nie wspomnieli słowem o Amerykanach mieszkających na wyspie?

— Nie, nie zauważyłem. To trafne spostrzeżenie. — Zaczniij myśleć, skarcił się w duchu Jackson.

— Chyba powinienem już się rozłączyć, panie admirale.

— Jasne. Niech pan się nie martwi, bosmanie. Pański kraj nie da sobie w kaszę dmuchać

— zapewnił go admirał. Obaj wiedzieli, że to tylko puste słowa.

— Bez odbioru.

Robby odłożył słuchawkę na widełki. — Wnioski?

— Czy chce pan usłyszeć coś poza: „To jakaś paranoja”? — zapytał szef sztabu.

— Nam to może wydawać się paranoidalne, ale dla kogoś to musi być bardzo logiczny przebieg wypadków. — Nie miało sensu poganianie oficerów. Musi upłynąć trochę czasu, zanim oswoją się z sytuacją. — Czy ktoś uważa, że te informacje są niewiarygodne? — Rozejrzał się dookoła. W sali było siedmiu oficerów, a niski poziom inteligencji nie był bynajmniej rekomendacją do służby w Ośrodku Dowodzenia Sił Zbrojnych USA.

— To naprawdę wygląda na paranoję, panie admirale, ale wszystko układa się w jakąś całość. Nie ma łączności z żadną bazą, stacją radarową czy kontrolą ruchu powietrznego na zachód od Midway. Wszędzie, gdzie dzwoniłiśmy, powinny być dyżury, ale nikt nie odpowiadał.

Z sieci łączności wypadły cztery bazy Sił Powietrznych i jedna placówka Armii. To się dzieje naprawdę.

— Mamy coś z Departamentu Stanu? Albo z CIA?

— Nic — odparł pułkownik z wydziału J-2. — Za jakąś godzinę będziemy mieli zdjęcia satelitarne znad Marianów. Przekazałem już Narodowej Agencji Zwiadu i I-TAC, co nas interesuje.

— *KH-11*?

— Ich orbity zostały też skorygowane. Nad archipelagiem niebo jest czyste.

— Czy był tam wczoraj jakiś sztorm?

— Nie — odparł inny oficer. — Nie znaleźliśmy żadnego powodu do przerwania łączności telefonicznej. Z Marianami łączymy się przez kabel Trans-Pac i satelity. Porozumiałem się z firmami, które obsługują łącza satelitarne. Nie otrzymali żadnego ostrzeżenia o sztormie.

Wysłali pilne przekazy do swoich ludzi z obsługi, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi.

Jackson skinął głową. Chciał mieć całkowitą pewność, zanim poczyni kolejny, przewidziany procedurą, krok.

— Okay. Wysyłamy ostrzeżenie do wszystkich dowódców samodzielnych jednostek.

Przeżycie to sekretarzowi obrony i członkom Kolegium Szefów Sztabów. Ja dzwonię do prezydenta.

— Doktorze Ryan, Ośrodek Dowodzenia na *STU*, rozmowa o statusie KRYZYS. Przy aparacie admirał Jackson. — Na dźwięk słowa KRYZYS w stronę Jacka odwróciły się wszystkie głowy.

— Robby, tu Jack. Co się dzieje? — Wszyscy w kabinie łączności samolotu prezydenta zauważyli, że doradca do spraw bezpieczeństwa gwałtownie pobałdł. — Robby, mówisz poważnie? — Jack podniósł wzrok na dyżurnego oficera łączności. — Gdzie teraz jesteśmy?

— Dolatujemy do Goose Bay na Labradorze, proszę pana. Do lądowania jakieś trzy godziny.

— Poproście tu specjalną agentkę d'Agustino, dobrze? — Ryan zdjął dłoń ze słuchawki.

— Robby, prześlij mi to faksem. Prezydent jeszcze śpi. Potrzebuję trzydziestu minut, żeby tu wszystko zorganizować. Dzwon, jakby coś się działo.

Jack wstał i wszedł do toalety, tuż obok kabiny pilotów. Kiedy mył ręce, starał się nie patrzeć w lustro. Na zewnątrz czekała już agentka Tajnej Służby.

— Nie spał pan zbyt długo, co?

— Szef już wstał?

— Pozwolił się budzić dopiero na godzinę przed lądowaniem. Kapitan powiedział mi, że...

— Postaw go na nogi, Daga. I to już. A potem sekretarzy Hansona i Fiedlera. Arniego też.

— Co się dzieje, doktorze Ryan?

— Za chwilę dowiesz się wszystkiego. — Ryan wyciągnął z faksu wstęgę papieru i zaczął czytać. Po chwili podniósł wzrok. — Nie żartuję, Daga. Ruszaj się.

— Czy prezydentowi coś grozi?

— Można tak założyć — odparł Jack. Zastanowił się przez sekundę. — Poruczniku, gdzie jest najbliższa baza lotnicza z myśliwcami?

Wyraz nietajonego zdziwienia pojawił się na twarzy zapytanej. — W bazie Otis na Cape Cod

stacjonują *F-15*, a w Burlington, w Vermoncie, *F-16*, To bazy Gwardii Narodowej.

— Zadzwońcie tam i przekażcie, że prezydent chciałby mieć jakieś towarzystwo, najszybciej jak się da. — Kontakty z porucznikami miały tę przyjemną stronę, że nie mieli oni, lub one, zwyczaju zadawać pytań. Niestety, nie odnosiło się to do agentów, lub agentek, Tajnej Służby.

— Doktorze Ryan, muszę wiedzieć, o co chodzi.

— Chyba masz rację, Daga. — Ryan oddał kawałek papieru taksowego i podał go agentce.

— Cholera jasna — wyrwało się d'Agustino. Oddała kartkę Jackowi. — Idę obudzić prezydenta. Pan niech powie kapitanowi, co się dzieje. W takich sytuacjach procedura jest nieco inna.

— Jasne. Daga, piętnaście minut, okay?

— Dobrze. — Zeszła na dół po spiralnych schodkach, podczas gdy Jack skierował się w stronę kabiny pilotów.

— Do lądowania zostało sto sześćdziesiąt minut, doktorze. Długi lot, prawda? — zapytał z uśmiechem pułkownik Sił Powietrznych. Po kilku sekundach uśmiech zniknął z jego twarzy.

Właściwie to nie musieli przejeżdżać obok ambasady amerykańskiej. Może po prostu chciał popatrzeć na gwiazdzisty sztandar, pomyślał Clark. To był zawsze przyjemny widok w obcym kraju, nawet jeżeli flaga powiewała nad budynkiem zaprojektowanym przez biurokratę o guście...

— Ktoś się tu bardzo martwi o bezpieczeństwo — odezwał się Chavez. — Myślisz Wania, że Japończycy obawiają się kolejnych rozruchów? Poza tym jednym incydentem, nie było żadnych aktów chuligaństwa... — Jego głos zawisł w powietrzu: wokół budynku ambasady ustawił się pluton uzbrojonej w broń długą piechoty. Bardzo dziwne. Powinno wystarczyć kilku policjantów, pomyślał Ding. — *Job twaju mat*!

Clark poczuł przyływ dumy: tak właśnie powiedziałby prawdziwy Rosjanin. To uczucie jednak błyskawicznie zastąpił niepokój — żołnierze wokół ambasady najwyraźniej kierowali broń w stronę budynku, a nie ulicy. Nigdzie nie było widać *marines*.

— Iwanie Siergiejewiczu, to bardzo dziwne.

— Też mi tak się zdaje, Jewgienij Pawłowiczu — odparł Clark. Starał się utrzymać stałą prędkość i miał tylko nadzieję, że żołnierze na chodniku nie zauważą w środku samochodu dwóch *gaidzin* i nie zapiszą numerów rejestracyjnych. Chyba pora na zmianę samochodu, pomyślał.

— Nazywa się Arima. Na imię ma Tokikiczi. Generał. Pięćdziesiąt trzy lata — referował sierżant z działu dokumentacji wywiadu wojskowego. — Ukończył Akademię Sił Samoobrony.

Przeszedł wszystkie szczeble kariery w piechocie, na każdym etapie celujące oceny. Zaliczył

kurs spadochronowy. Osiem lat temu przeszedł szkolenie w naszej bazie w Carlisle z oceną bardzo dobrą. Ma zaufanych ludzi w sztabie Sił Samoobrony. Zajmuje stanowisko dowódcy japońskiej Armii Wschodniej. Jednostka ta z grubsza odpowiada naszemu korpusowi armijnemu, ale bez dywizyjnego ciężkiego sprzętu, zwłaszcza artylerii. Składa się z 1. i 12. Dywizji Piechoty, 1. Brygady Powietrznodesantowej, 1. Brygady Wojsk Inżynieryjnych, pułku przeciwlotniczego i batalionu kwatermistrzostwa.

Sierżant podał Jacksonowi dokumenty wraz ze zdjęciem generała. Wróg otrzymał wreszcie twarz, pomyślał Jackson. Przynajmniej jedną. Admirał przez kilka sekund przyglądał się fotografii i oddał dokumenty sierżantowi. Za dokładnie cztery minuty w Pentagonie zostanie ogłoszony stan gotowości ATAK. Na parking właśnie wjeżdżał pierwszy z członków Kolegium Szefów Sztabów i to właśnie on będzie miał wątpliwe szczęście usłyszeć dobre nowiny przed innymi. Jackson poukładał swoje papiery i ruszył w stronę pomieszczenia znanego w Pentagonie jako Czołg, mieszczącego się w pierścieniu E.

Chet Nomuri w ciągu dnia spotkał się trzykrotnie ze swoimi kontaktami, ale nie dowiedział się niczego nowego. Wszyscy zgodni byli co do tego, że coś wisiało w powietrzu, ale nikt nie wiedział co. Wreszcie postanowił wybrać się do łaźni w nadziei, że pojawi się Kazuo Taoka. Kiedy wreszcie się pojawił, Nomuri czuł się jak makaron, który gotował się przez miesiąc.

— Masz chyba za sobą taki dzień jak ja — zaczął rozmowę z lubieżnym uśmiechem.

— A jaki miałeś? — zapytał Kazuo. Widać było, że jest zmęczony, ale i zadowolony.

— Zdobyłem wreszcie pewną dziewczynę, nad którą pracowałem od trzech miesięcy.

Spędziliśmy bardzo pracowite popołudnie.

— Szkoda, że już nie ma tej amerykańskiej pani — powiedział Taoka, zanurzając się z przeciągłym westchnieniem w gorącej wodzie. — Dzisiaj przydałby mi się ktoś taki jak ona.

— Wyjechała? — zapytał z udaną obojętnością Nomuri.

— Nie żyje — odparł Kazuo, najwyraźniej niezbyt przejęty stratą.

— Co się stało?

— Mieli zamiar odesłać ją do domu. Yamata wysłał swojego szefa ochrony, Kanedę, żeby zgrabnie to załatwił. Okazało się jednak, że dziewczyna brała narkotyki i akurat przedawkowała. Wielka szkoda — zauważył Taoka. W jego głosie było tyle przejęcia, co na wieść o uśpieniu chorej kotki z sąsiedztwa. — Ale tam skąd przyjechała, jest ich więcej.

Nomuri tylko skinął głową. Od tej strony nie znał Kazuo. Jego znajomy z łaźni był

typowym okazem japońskiego urzędnika średniego szczebla. Wstąpił do firmy zaraz po ogólniaku i po kilku latach został skierowany do szkoły biznesu, która stanowiła intelektualny odpowiednik koszar dla rekrutów piechoty morskiej na Parris Island, ze sporą domieszką obozu koncentracyjnego. Później nie było wcale lepiej. W japońskim systemie pracy szef miał zawsze rację, a najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi było przychodzenie do pracy o godzinę wcześniej niż reszta. Nic dziwnego, że jedną z głównych, o ile nie jedyną, formą odreagowania bezustannego stresu były pijaństwa i orgie. Historie o wyprawach do Tajlandii lub na Tajwan, czy ostatnio na Mariany, które opowiadano w tej właśnie łaźni, wywołałyby rumieńce wstydu na twarzach jego kolegów z UCLA. Nomuri zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że za fasadą japońskiej uprzejmości kryły się niezmiernie pokłady gniewu i frustracji. Uświadomił sobie, że już niedługo zacznie nienawidzić tego kraju. Cały czas powtarzał w duchu nauki wpajane mu przez instruktorów Firmy: agent CIA, podobnie jak każdy inny, powinien utożsamiać się do pewnego stopnia z systemem kulturowym, w którym przyszło mu pracować. Ironicznego posmaku tej sytuacji dodawał fakt, że był z pochodzenia Japończykiem.

— Aż tak podobają ci się Amerykanki? — zapytał.

— O, tak. Już wkrótce pieprzenie Amerykanek będzie naszym sportem narodowym —

zachichotał Taoka. — Podczas ostatnich dwóch dni mieliśmy z Amerykanami niezłą zabawę.

Byłem przy tym — dodał Kazuo, wracając myślami do pokoju sztabowego. Naprawdę tam był, przysłuchiwał się wszystkiemu, widział, jak zmienia się historia. A w dodatku zauważył go sam Yamata-san.

— Więc cóż takiego wielkiego dokonałeś? — zapytał Nomuri z uśmiechem na twarzy.

— Rozpoczęliśmy wojnę z Ameryką i wygraliśmy ją! — wyrzucił z siebie Taoka.

— Wojnę? *Nan ja?* Wykupiliśmy pakiet kontrolny w General Motors?

— Prawdziwą wojnę, przyjacielu. Unieszkodliwiliśmy ich Flotę Pacyfiku i od wczoraj Mariany znów należą do Japonii.

— Mój przyjacielu, naprawdę nie powinieneś pić przed wejściem do łaźni —

dobrodusznie poradził Nomuri.

— Od czterech dni nie wypilem nawet drinka! — zaprotestował Taoka. — Mówię prawdę!

— Kazuo — powiedział Nomuri cierpliwym tonem, jakim mówi się do dziecka. —

Zawsze wiedziałem, że masz fantazję, a twoje opowiadania nigdy mnie nie nudziły. Ale tym razem

przesadziłeś.

— Nie zmyślam — zapewnił go Taoka i rozpoczął opowieść.

Nomuri nigdy nie przeszedł przeszkolenia wojskowego. Całą wiedzę na ten temat zaczerpnął z literatury i filmu. Instrukcje, jakie odebrał przed przyjazdem do Japonii kierowały jego zainteresowania raczej w stronę handlu i biznesu, niż Sił Samoobrony. Ale Kazuo naprawdę potrafił opowiadać i już po trzech minutach Nomuri wiedział mniej więcej, co się stało. Zamknął

oczy i z ustami wykrzywionymi w uśmiechu słuchał podekscytowanego głosu Kazuo. Zaczął gorączkowo zastanawiać się, w jaki, u licha, sposób może przekazać te informacje do Firmy.

— Okay, Skoczek już wstał i za chwilę będzie gotowy — powiedziała d'Agustino. —

Jaśmin — kryptonim Anne Durling — będzie w innej kabinie. Sekretarze stanu i skarbu piją właśnie kawę. Chyba w najlepszej formie na pokładzie jest Arnie van Damm. Możesz zaczynać.

Co z myśliwcami?

— Dwa *F-15* z bazy Otis dołączą do nas za dwadzieścia minut. Mają większy zasięg niż *F-16* i odprowadzą nas aż do Andrews. Nie uważasz, że trochę przesadziłem z tymi myśliwcami?

Daga spojrzała na niego z zimnym, profesjonalnym uśmiechem. — Wie pan, doktorze Ryan, co mi się w panu zawsze najbardziej podobało?

— Co takiego?

— Że nie trzeba panu tłumaczyć na czym polega ochrona. Myśli pan tak samo jak ja. —

Takiej pochwały z ust agenta Tajnej Służby nie słyszało się często, o ile w ogóle. — Prezydent czeka na pana.

Durling siedział na szeszlunku w spodniach i koszuli, trzymając w dłoniach srebrną filiżankę z kawą.

— Słyszałem, że nie spał pan przez całą noc, Jack — powiedział.

— Tak naprawdę to od Islandii, panie prezydencie. — Był nie ogolony, nie umył się, a jego włosy musiały przypominać fryzurę Cathy pod czepkiem chirurgicznym po pięciogodzinnej operacji.

— Dobrze pan nie wygląda. O co chodzi?

— Panie prezydencie, opierając się na informacjach, które uzyskałem w ciągu ostatnich kilku godzin, uważam, że znajdujemy się w stanie wojny z Japonią.

— Potrzeba wam tylko dobrego bosmana, żeby tym wszystkim kręcił — zauważył Jones.

— Ron, jeszcze jeden taki tekst, a wpakuję cię do aresztu, okay? — odparł zmęczonym głosem Mancuso.

— Czyżbym dopiekl wam aż tak bardzo?

— Zgadza się, Jones — wyręczył admirała Chambers. — Nie przeczę, że Seaton wymagał sprowadzenia na ziemię, ale ostro przesadziłeś. Nie potrzeba nam teraz mądrali, ale konstruktywnych wniosków.

Jones skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego. — Dobra, czym dysponujemy?

— Według naszych informacji Japończycy mają osiemnaście okrętów podwodnych —

rozpoczął Chambers. — Dwa są w dokach i pozostaną tam jeszcze przez jakiś miesiąc. Flota Pacyfiku, po wyłączeniu „Charlotte” i „Asheville”, dysponuje łącznie siedemnastoma jednostkami. Cztery z nich są w dokach, na długoterminowych naprawach. Osiem kolejnych cumuje przy nabrzeżu w San Diego — przechodzą okresowe konserwacje. Zostaje pięć. Trzy z nich eskortują lotniskowce, a jeden okręt stoi u nas w porcie. Piąta jednostka odbywa ćwiczenia w Zatoce Alaskańskiej. Właśnie dostała nowego dowódcę, jakieś trzy tygodnie temu.

— Zgadza się — odparł Mancuso. — To jego pierwszy rejs.

— Jezu! Nie miałem pojęcia, że magazynek jest tak wyczyszczony. — Jones zaczął teraz żałować swoich uwag na temat bosmana, który powinien zaprowadzić porządek. Potężna Flota Pacyfiku, która zaledwie pięć lat temu była największą siłą morską świata, praktycznie została pozbawiona okrętów podwodnych.

— Oni mają osiemnaście okrętów, my tylko pięć. A w dodatku oni od paru miesięcy przechodzą intensywne ćwiczenia. — Chambers spojrział na wiszącą na ścianie mapę Pacyfiku i zmarszczył brwi. — To cholernie wielki ocean, Jonesy. — Ton rezygnacji w jego głosie bardzo zaniepokoił Jonesa.

— A te w Diego?

— Cztery przygotowują się do wyjścia w morze. Jeżeli będziemy mieli szczęście, za kilka tygodni w służbie znajdzie się łącznie dziewięć okrętów.

— Panie komandorze?

Chambers odwrócił się od mapy. — O co chodzi, bosmanmacie Jones?

— Pamięta pan, jak wypływaliśmy na północ, śledzić czterech albo i pięciu Rusków na raz?

Komandor skinął głową z niemal nostalgicznym wyrazem twarzy. — To było dawno temu, Jonesy.

Teraz jest zupełnie inaczej. Japończycy są na swoich wodach, a te ich Yushio to cholernie ciche łódki...

— Wymieniłeś jaja za ten czwarty pasek na rękawie?

Chambers poczerwieniał z wściekłości. — Jak śmiesz..?!

Ale Jones nie dawał za wygraną. — Do diabła, byłeś kiedyś oficerem! Kiedy służyłem na

„Dallas” jako sonarzysta, nie miałem wątpliwości, że będziesz wiedział co zrobić z informacjami, które ci przekazywałem! — Wskazał palcem na Mancuso. — Kiedy pływałem z wami, chłopaki, byliście najlepsi na świecie. A gdybyś ty, Bart, robił co do ciebie należy, te chłopaki na morzu też byliby najlepsi na świecie! Do diabła! Kiedy rzuciłem swój worek marynarski przy mojej koi na

„Dallas”, wiedziałem, że znacie swój fach. Czyżbym się mylił, panowie? — Pytanie zawisło w powietrzu na kilka sekund. Chambers był zbyt wściekły, by odpowiedzieć.

— Naprawdę wyglądamy tak załóżnie? — spokojnie zapytał Mancuso.

— Z całym szacunkiem, admirale, ale tak. Okay, dostaliśmy w dupę od żółtków. Pora chyba pomyśleć o odwecie, co? Kto ma to zrobić, jak nie my?

— Jones, zawsze byłeś wyszczekany — powiedział Chambers. Jeszcze raz spojrzął na mapę. — Może jednak trzeba zabrać się do roboty.

Do gabinetu wsunął głowę oficer dyżurny. — Panie admirale, „Pasadena” jest gotowa do wyjścia w morze. Dowódca czeka na rozkazy.

— Co zabiera ze sobą? — zapytał Mancuso, uświadamiając sobie równocześnie, że gdyby dobrze wypełniał swoje obowiązki, nie musiałby zadawać tego pytania.

— Dwadzieścia dwie torpedy *Mk 48*, sześć rakiet *Harpoon* i dwanaście pocisków samosterujących *Tomahawk* w wersji *T-1AM*, do zwalczania celów naziemnych. Wszystkie mają głowice bojowe.

Dowódca okrętów podwodnych Floty Pacyfiku skinął głową. — Niech czekają na rozkazy.

— *Aye aye*, panie admirale.

— Kto jest dowódcą? — zapytał Jones.

— Tim Parry, mój pierwszy oficer na „Key West” — odpowiedział Chambers. — Dobry chłopak.

— W takim razie, trzeba mu tylko wskazać cel. — Mancuso bez słowa podniósł

słuchawkę bezpiecznego telefonu. — Dajcie mi CINCPAC.

— Mamy depeszę z Departamentu Stanu — powiedział dyżurny oficer łączności samolotu prezydenckiego, wchodząc do saloniku prezydenta. — Japoński ambasador prosi o pilne spotkanie z prezydentem.

— Brett?

— Zobaczmy, co ma do powiedzenia — odparł sekretarz stanu. Ryan tylko skinął głową.

— Czy jest jakaś szansa, że mamy do czynienia z gigantyczną pomyłką? — zapytał

Durling.

— Lada moment powinniśmy dostać zdjęcia z satelity, który przeszedł nad Marianami.

Tam jest noc, ale to nie ma znaczenia. Podczerwień powinna wystarczyć.

— Jeżeli to wszystko prawda, co robimy?

— Trochę czasu zajmie nam potwierdzenie danych — przyznał Ryan. — Zobaczmy też, co powie ambasador.

— Czego oni naprawdę chcą? — zapytał sekretarz skarbu Fiedler.

— Nie mam pojęcia. Chcą nas najwyraźniej wkurzyć. My mamy atomówki, oni nie. Są naszym największym partnerem handlowym. To wszystko nie ma sensu... — po namyśle odpowiedział Ryan. Nagle przypomniał sobie, że największym partnerem handlowym Trzeciej Rzeszy w 1939 roku była... Francja.

— To musi być jakaś pomyłka — wtrącił się Hanson. — Nagromadzenie wypadków.

Może to tylko kolizja dwóch okrętów podwodnych, a przy okazji ktoś narwany zobaczył kilku Japończyków na Saipanie i od razu ogłosił inwazję.

— Przyznaję, że jako całość to nie ma sensu, ale pojedyncze kawałki... Do diabła, świetnie znam Robby'ego Jacksona i Barta Mancuso.

— Co to za ludzie?

— Mancuso jest dowódcą okrętów podwodnych Floty Pacyfiku. Braliśmy kiedyś udział

w tajnej operacji morskiej. Jackson jest zastępcą szefa J-3, i znamy się od czasów, kiedy wykładałem w Annapolis.

— Powiedział nam pan wszystko, co wie? — zapytał Durling.

— Tak jest, panie prezydencie. Nie mam jeszcze analizy.

— A więc, czekamy. Ile jeszcze do Andrews?

.. Fiedler wyjrzał przez okno. — Lecimy nad zatoką Chesapeake. Jeszcze kilkanaście minut.

— Na lotnisku będą ludzie z prasy?

— Tylko ci, których wieziemy — odpowiedział Arnie van Damm.

— Co robią te myśliwce? — zapytał Fiedler.

Ryan zastanowił się, czy dziennikarze też je zauważą. — To mój pomysł.

— Nieco teatralne, nie uważasz? — zapytał sekretarz skarbu.

— Nie spodziewaliśmy się również, że ktoś zaatakuje naszą flotę.

— Panie i panowie, mówi pułkownik Evans. Podchodzimy już do lądowania w bazie Sił

Powietrznych w Andrews. Mam nadzieję, że lot był przyjemny. Teraz proszę podnieść oparcia foteli i sprawdzić, czy pasy są ciasno zapięte.

Ryan wyczuł, jak podwozie główne osiada miękko na pasie zero-jeden. Dla dziennikarzy na pokładzie dzień pracy właśnie się zakończył. Dla niego był to dopiero początek. Pierwszą rzeczą odbiegającą od normy była zwiększona liczba agentów Tajnej Służby. Do pewnego stopnia sprawiło to ulgę Ryanowi; przynajmniej nie tylko on traktował to wszystko poważnie.

Bieg w miejscu

Jeżeli Clark był kiedyś w bardziej podłym nastroju, to nie mógł sobie przypomnieć kiedy to było. Ich misja w Japonii miała być prosta: ewakuacja obywatelki USA i próba reaktywowania nieco zakurzonej siatki szpiegowskiej.

Przynajmniej tak to miało wyglądać, pomyślał agent CIA, zmierzając w stronę pokoju hotelowego. Chavez właśnie parkował samochód. Postanowili wynająć inny wóz i mieli jeszcze raz okazję obejrzeć wyraz zdziwienia na twarzy urzędnika w wypożyczalni na widok karty kredytowej z napisami zarówno w alfabecie łacińskim, jak i w cyrylicy.

Clark z ulgą wyczuł pod palcami kawałek taśmy przyklejony do dolnej części klamki.

Może przynajmniej Nomuri wie coś nowego. Clark wszedł do środka i po kilku minutach wrócił do hotelowego holu. Z aprobatą spojrział na Chaveza, który obnosił się z rosyjską gazetą.

Nieznacznym gestem dłoni nakazał mu pozostanie w hotelu. Dwie minuty później stał ponownie przed witryną sklepu fotograficznego, podziwiając najnowszy model automatycznego Nikona.

Nagle poczuł, że ktoś go potrącił.

— Uważaj, jak chodzisz — warknął ktoś ochryplym głosem po angielsku. Po kilku sekundach Clark skręcił za róg i znalazł się w zaułku. Po minucie znalazł zacienione miejsce i poczekał na Nomuriego. Nie czekał zbyt długo.

— To nie było zbyt bezpieczne, chłopcze.

— Nie miałem innego wyjścia — powiedział nieco drżącym głosem Nomuri. Kontakt pod względem profesjonalizmu przypominał raczej szpiegowskie seriale w telewizji. Przekazanie wiadomości zajęło Nomuriemu niecałą minutę.

— Posłuchaj, chłopcze. Od tej chwili żadnych kontaktów poza procedurą. Nawet jeżeli spotkasz kogoś ze swojej siatki na ulicy, nie znasz go. Przyjmij, że wszyscy są spaleni. — Clark nie bardzo wiedział, co robić, ale w takich sytuacjach bezpieczeństwo agenta wchodziło na plan pierwszy.

Chet Nomuri skinął głową. — A co z panem?

— Mną się nie przejmuj. Masz tylko siedzieć cicho. Jesteś lojalnym obywatelem Japonii.

— Ale...

— Żadnego ale! My nie wydajemy agentom kapsulek z cyjankiem i nie spodziewamy się od nich numerów Jamesa Bonda. Martwy agent to głupi agent. — jasna cholera, gdyby to zadanie zostało od początku przeprowadzane zgodnie z procedurą, wszystko byłoby w porządku —

ustalono by sekwencje kodów, sposoby kontaktów i ostrzeżeń. Teraz jednak nie było na to czasu i każda sekunda spędzana na rozmowie, zwiększała szansę, że ktoś zastanowi się, dlaczego japończyk rozmawia z *gaidzin*.

— Okay, będzie, jak pan chce.

— Trzymaj się swojego codziennego rozkładu. Zachowuj się tak jak wszyscy inni. A teraz posłuchaj. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. — Clark przez minutę przekazywał Nomuriemu instrukcje. — Zrozumiałeś?

— Tak.

— No to spadaj. — Clark, nie oglądając się za siebie, ruszył boczną uliczką i wszedł do hotelu tylnym wejściem. Na szczęście nikt o tej porze go nie pilnował. Bogu niech będą dzięki, że w Tokio jest tak mała przestępczość. W Ameryce każde wejście miałyby zainstalowany alarm lub pilnowałby go uzbrojony strażnik. Nawet podczas wojny Tokio było bezpieczniejszym miejscem niż Waszyngton.

— Dlaczego nie kupicie po prostu butelki, zamiast wydawać pieniądze w barze? —

zapytał go Chavez.

— Może powinienem. — Ta odpowiedź zmusiła Dinga do podniesienia wzroku. Clark wskazał na telewizor, włączył go i znalazł kanał CNN.

Teraz najważniejsze: w jaki sposób przekazać wiadomość? Wysłanie faksu do Ameryki nie wchodziło w grę. Nawet skorzystanie z waszyngtońskiej filii Interfaxu było zbyt ryzykowne, nie wspominając już o ambasadzie USA. Jediną dobrą wiadomością dzisiejszego dnia było to, że przynajmniej znał nazwisko faceta, który prawdopodobnie zamordował Kimberly Norton. Po paru minutach okazało się, że nawet CNN nie miało pojęcia, co się dzieje. A jeżeli CNN nie miało pojęcia, to nikt nie miał.

A może tak...? Nie. Pokręcił głową. To było zbyt szalone.

— Cała naprzód — rozkazał dowódca „Eisenhowera”.

— Cała naprzód, *aye* — potwierdził główny mechanik i przesunął dźwignię telegrafu maszynowego naprzód. Po kilku sekundach strzałka przesunęła się w tę samą pozycję. —

Maszynownia potwierdza całą naprzód.

— Bardzo dobrze. — Kapitan spojrzał na admirała Dubro. — Jak pan ocenia nasze szansę?

Najcenniejsza informacja została uzyskana, co mogło zdawać się nieco dziwne, dzięki hydrolokatorom. Dwie jednostki grupy bojowej wypuściły holowane hydrolokatory, zwane potocznie „ogonami” i dane, które uzyskały, w połączeniu z informacjami otrzymanymi od dwóch okrętów podwodnych zajmujących miejsce po lewej stronie szyku, pozwoliły na stwierdzenie, że ugrupowanie okrętów indyjskich znajduje się daleko na południu. To był jeden z tych przypadków, kiedy hydrolokatory okazały się lepsze od radarów, których emisja ograniczona jest krzywizną kuli ziemskiej, podczas gdy fale akustyczne mogą wędrować pod wodą czasami tysiące mil. Indyjska flota, która znajdowała się około stu pięćdziesięciu mil od Amerykanów — w bezpośrednim zasięgu samolotów — kierowała się więc nie na północ, lecz na południe. Wyglądało na to, że admirał Czandraskatta nie gustował w nocnych operacjach powietrznych, zwłaszcza jeżeli wzięto się pod uwagę ograniczoną liczbę indyjskich *Harrierów*.

No cóż, pomyśleli obaj mężczyźni na pomoście nawigacyjnym, nocne lądowania na lotniskowcu nie należą rzeczywiście do ulubionych zajęć rozsądnych pilotów.

— Jakież sześćdziesiąt procent — odparł po namyśle Dubro.

— Chyba ma pan rację.

Na wszystkich jednostkach lotniskowcowej grupy uderzeniowej ogłoszono zaciemnienie.

Wyłączono też wszystkie radary, a informacje pomiędzy poszczególnymi okrętami przekazywano za pośrednictwem systemu łączności, który kompresował komunikaty do jednej setnej sekundy, przy wykorzystaniu radiolinii, których emisja nie uciekała poza horyzont.

— Tak wyglądała druga wojna — zauważył dowódca „Eisenhowera”. Olbrzymi okręt poruszał się w ciemnościach, opierając się jedynie na informacjach uzyskanych przez marynarzy na oku, korzystających z tradycyjnych lornetek i noktowizorów. Niczym podczas konwojów do Murmańska, marynarze obdarzeni najlepszym wzrokiem wypatrywali spienionego śladu na powierzchni, który mógł pozostawić za sobą peryskop okrętu podwodnego.

— Panie admirale?

Dubro odwrócił głowę. Na mostek wszedł oficer łącznościowy. — Mamy pilną depeszę od CINCPAC.

— Potwierdziliście przyjęcie?

— Nie, panie admirale. Zgodnie z rozkazami, panuje pełna cisza radiowa.

— Bardzo dobrze. — Dubro zaczął czytać. Po kilku sekundach wyrzucił z siebie: —

Niech to jasny szlag!

Przed Białym Domem zgromadził się jak zawsze tłumek fotografów prasowych, ale dziennikarze,

którzy zazwyczaj wykrzykiwali pytania, pozostali w bazie Andrews, czekając na bagaże. Wokół głównego wejścia dało się zauważyć wzmocniony kontyngent agentów Tajnej Służby. Po dwóch minutach Ryan był już w swoim gabinecie. Starając się nie patrzeć na stos korespondencji leżący na biurku, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer CIA.

— Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych. Cześć, Jack — powiedziała Mary Pat Foley. — Ryan nawet nie zapytał, skąd wiedziała, że to on. W końcu mało kto znał jej bezpośredni numer.

— Jak bardzo dostaliśmy w tyłek?

— Personel w ambasadzie jest bezpieczny. Japończycy nie wtargnęli do budynku i teraz właśnie niszczymy archiwum. — Placówka w Tokio, podobnie jak pozostałe na całym świecie, w ciągu ostatnich dziesięciu lat przestawiła się wyłącznie na archiwizowanie komputerowe.

Niszczenie danych nie zajmowało więcej niż kilka minut i nie powstawał przy tym, charakterystyczny dla takich sytuacji, dym unoszący się nad ambasadą. — Powinni już z tym kończyć. — Procedura niszczenia danych była prosta: dyski i dyskietki zostawały wymazywane, ponownie formatowane, znów kasowane i na końcu poddawane wpływowi stałego pola magnetycznego potężnego magnesu. Niektóre ze skasowanych danych były nie do odtworzenia, jednak życie agentów było, oczywiście, ważniejsze. W Tokio wciąż pozostawało trzech nielegalnych agentów terenowych.

— Personel może się poruszać po mieście?

— Pozwalają jeździć do domów, pod eskortą policji. Wszystko odbywa się całkiem spokojnie — powiedziała z niejakim zdziwieniem Foley. — W każdym razie jest lepiej niż w Teheranie w 1979 roku. Udostępnili nam łącza satelitarne, lecz kontrolują treść przekazów.

Ambasada posiada jeden działający *STU-6*, ale resztę wyłączyliśmy. Wciąż mamy możliwość korzystania z systemu STEPOWANIE. — System ten, wprowadzony przez Narodową Agencję Bezpieczeństwa, wykorzystywał losowo wybierany zestaw szyfrów do kodowania informacji.

— Inne zasoby? — zapytał Ryan. Miał nadzieję, że jego linia wciąż jest bezpieczna, ale na wszelki wypadek używał żargonu Firmy.

— Nie mają możliwości kontaktu z legalnymi. Praktycznie są odcięci. — W jej głosie pojawiła się nutka niepokoju i ślad poczucia winy. — Jak do tej pory nie przekazali żadnego sygnału.

— Inne placówki?

— Jack, nie będę ukrywać, że złapali nas z opuszczonymi portkami. Nasi ludzie w Seulu i Pekinie usiłują się czegoś dowiedzieć, ale nie spodziewam się niczego w ciągu najbliższych kilku godzin.

Ryan zerknął na rząd samoprzylepnych karteczek z wiadomościami od sekretarki. —

Godzinę temu dzwonił do mnie Gołowko...

— Jack, dzwoni do niego od razu — nie pozwoliła mu skończyć Mary Pat. — Zobaczmy, co powie ten sukinsyn.

— Dobrze. Weź ze sobą Eda i przyjeżdżajcie tu. Muszę o czymś z wami pogadać, ale to nie na telefon.

— Trzydzieści minut.

Jack nacisnął widełki telefonu i wybrał numer szefa wywiadu rosyjskiego. Przygotował sobie też bloczek papieru i zanotował godzinę. Komputer w Biurze Łączności Białego Domu i tak zarejestruje rozmowę, jednak Jack wolał własne zapiski.

— Witaj, Jack.

— To pańska prywatna linia, Siergiej Nikołajicz?

— Tylko dla starych przyjaciół. — Po tej wymianie uprzejmości, Gołowko przeszedł do konkretów: — Chyba już pan wie?

— Zaskoczyli nas — przyznał Jack.

— Nas też. Całkowicie. Domyśla się pan, czego ci szaleńcy chcą? — W głosie szefa wywiadu Rosji wyraźnie słychać było mieszaną gniewu i z troskaniem.

— Na razie nic nie przychodzi mi do głowy. Za niecałą godzinę do Białego Domu przyjedzie ambasador Japonii.

— Doskonałe zgranie w czasie — zauważył Rosjanin. — O ile dobrze pamiętam, kiedyś już wam wycięli podobny numer.

— Wam też — odparł Ryan, nawiązując do wybuchu wojny 1905 roku.

— Co racja, to racja. Jakie macie środki na ich terenie?

— Jeszcze nie wiemy dokładnie — skłamał Ryan. — Jeżeli wasza *rezidientura* pracuje tak jak zawsze, powinien pan wiedzieć, że dopiero co wylądowałem. Potrzebuję trochę czasu.

Zaraz będzie u mnie Mary Pat.

— Popełniliście duży błąd, nie uruchamiając wcześniej siatki OSET, mój przyjacielu.

— To nie jest bezpieczna linia, Siergiej Nikołajicz. — Tylko częściowo była to prawda.

Połączenie szło z siedziby wywiadu Rosji do ambasady amerykańskiej bezpiecznymi łączkami, ale

dalej już korzystano, aż do samego Waszyngtonu, ze zwykłych łączy telefonicznych.

— Niech się pan tym zbytnio nie przejmuj, Iwanie Emmetowiczu. Przypomina pan sobie naszą rozmowę w moim gabinecie?

Może rzeczywiście Rosjanie kontrolowali szefa japońskiego kontrwywiadu? W takim razie doskonale wiedzieli, które linie podsłuchują Japończycy. Wynikało też z tego, że Rosjanie mieli w Japonii jeszcze jedną siatkę.

— Siergiej, to ważne: czy naprawdę nie otrzymaliście żadnego ostrzeżenia?

— Jack, przysięgam na mój honor szpiega. — Ryan niemal widział ten uśmiech, który towarzyszył zapewnieniu.

— Siergiej Nikołajicz, szczerze mówiąc jestem nieco zajęty. Do czego pan zmierza?

— Proponuję współpracę naszych służb. Mam na to oficjalną zgodę prezydenta Gruszawoja.

A więc Rosjanie się boją. Tylko czego?

— Przekazę pańską propozycję prezydentowi, po konsultacji z Mary Pat.

— Bardzo bym się zdziwił, gdyby Folejewa nie wyraziła zgody. Będę w moim biurze jeszcze kilka godzin.

— Ja też. Do widzenia.

— Do widzenia, doktorze Ryan.

— Cóż za miła pogawędka — odezwał się Robby Jackson, który właśnie pojawił się w drzwiach gabinetu Ryana. — Wyglądasz na zmęczonego.

— Przespałem się trochę w samolocie. Kawy?

Admirał pokręcił głową. — Jeszcze jedna filiżanka, a rozlecę się na kawałki. — Ciężko usiadł w fotelu.

— Aż tak marnie?

— I robi się coraz gorzej. Wciąż staramy się ustalić, ilu wojskowych mamy na terenie Japonii. Godzinę temu na lotnisku Yakota wylądował C-141 i zaraz utraciliśmy z nim łączność.

Sam się tam wpakował. Może miał problemy z łącznością, a może mieli za mało paliwa, by dolecieć do innego zapasowego lotniska — cholera wie. Na pokładzie była tylko załoga. Pięciu ludzi. Departament Stanu wciąż stara się ustalić liczbę biznesmenów, którzy przebywają w Japonii. No i są

jeszcze turyści. W przybliżeniu jakieś dziesięć tysięcy ludzi.

— Zakładników — poprawił go Ryan. — Co z tymi dwoma okrętami podwodnymi?

— Nikt się nie uratował. „Stennis” idzie do Pearl z prędkością dwunastu węzłów.

„Enterprise” z pomocą holownika robi jakieś sześć. Wysłaliśmy na Midway dywizjon P-3 do działań ZOP.

— Guam?

— Całe Mariany są odcięte. Poza jednym wyjątkiem. — Jackson pokrótce opowiedział

Ryanowi o Orezie. — Moi ludzie pracują nad ewentualnymi działaniami odwetowymi. Musimy jednak wiedzieć, czy prezydent chce operacji wojskowych. Chce?

— Ambasador Japonii zaraz tu będzie.

— To miło z jego strony. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie, doktorze Ryan.

— Nie znam jeszcze odpowiedzi.

— To pocrzepiająca wiadomość.

— Witaj, Chris. Dzięki, że przyszedłeś.

Ambasador pojawi się w Białym Domu za kilka minut. Działanie praktycznie bez uprzedzenia niezbyt podobało się Nagumo, ale ktoś, kto podejmował w Tokio decyzje, niezbyt przejmował się wygodą swoich pracowników. Pojawiła się jeszcze jedna, niezbyt przyjemna okoliczność: po raz pierwszy Nagumo był w Waszyngtonie *gaidzin*.

— Seidzi, co, u diabła, tam się stało? — zapytał Cook.

Obaj należeli do ekskluzywnego „University Club”, położonego tuż obok ambasady rosyjskiej, słynnego w mieście z doskonałego zaplecza rekreacyjnego i równie dobrej kuchni.

— A co ci powiedzieli?

— Że jeden z waszych okrętów przez pomyłkę wystrzelił torpedy. Jezu, Seidzi! Jakby te cholerne zbiorniki paliwa nie wystarczyły!

— Chris, to nie był wypadek.

— Nie rozumiem.

— Doszło w pewnym sensie do bitwy. Mój kraj poczuł się zagrożony i musiał podjąć defensywne

środki zapobiegawcze. Chris, nasze kraje znajdują się w stanie wojny. Przyparliście nas do muru. Ja, osobiście, nie jestem z tego powodu szczęśliwy.

— Chwileczkę. — Chris Cook powoli pokręcił głową. — Masz na myśli wojnę?

Prawdziwą wojnę?

Nagumo skinął spokojnie głową. — Zajęliśmy Archipelag Mariański. Na szczęście nie było ofiar w ludziach. Nie sądzę, by na morzu konflikt przebiegł podobnie bezkrwawo, ale teraz obie strony oddalają się od siebie. I bardzo dobrze.

— Zabiliście Amerykanów?

— Obawiam się, że tak. Bardzo mi przykro. — Nagumo przerwał i opuścił spojrzenie na stół. — Chris, nie wiń mnie za to, proszę. Nie miałem z tym nic wspólnego. Nikt nie pytał mnie o zdanie.

— Chryste, Seidzi. Co możemy zrobić, by z tym skończyć? Taka reakcja Cooka była dla Nagumo do przewidzenia.

— Musimy opanować sytuację. Nie chcę, żeby mój kraj jeszcze raz został zniszczony.

Musimy szybko z tym skończyć. Są jeszcze w Japonii rozsądni ludzie. Goto to głupiec. —

Nagumo rozłożył ręce. — Widzisz, powiedziałem to: Goto jest głupcem. Nie wolno dopuścić do tego, by naszymi krajami kierowali głupcy. To się tyczy też waszego Kongresu i tego wariata Trenta, z tą jego Ustawą o Regulacji Handlu. Popatrz do czego to nas doprowadziło. — W

oczach Nagumo pojawiły się łzy. — Chris, jeżeli ludzie tacy jak my nie opanują sytuacji, może dojść do tragedii. Na marne pójdzie dorobek pokoleń. I dlaczego? Dlatego, że głupcy w twoim i moim kraju nie mogą dojść do porozumienia w kwestii handlu? Christopher, musisz mi pomóc z tym skończyć! Musisz!

— Ale co mogę zrobić?

— Chris, na pewno domyślasz się, że mam o wiele większe wpływy, niż wskazywałoby na to moje stanowisko — zaczął Nagumo. — W jaki inny sposób mógłbym wyświadczać ci tyle przysług, które scementowały naszą przyjaźń?

Cook skinął głową. Nie miał co do tego wątpliwości.

— Mam przyjaciół i wpływy w Tokio. Potrzeba mi czasu, koniecznego do spokojnych negocjacji. Muszę odizolować Goto. Ten szaleniec może zniszczyć mój kraj.

— Co ja mogę, u diabła, zrobić, Seidzi? Jestem tylko pionkiem.

— Jesteś jednym z nielicznych ludzi w Departamencie Stanu, którzy nas naprawdę rozumieją. Będą potrzebować twojej rady. — Małe pochlebstwo. Cook skinął głową.

— Prawdopodobnie. Jeśli mają trochę oleju w głowie — przyznał. — Znam Scotta Adlera. Rozmawiamy czasem.

— Gdybyś mógł mi powiedzieć, jakie są oczekiwania twojego Departamentu Stanu, mógłbym przekazać je do Tokio. Przy odrobinie szczęścia, moglibyśmy wystąpić z analogicznymi propozycjami. W takiej sytuacji wasze życzenia stałyby się naszymi. — Był to intelektualny odpowiednik judo, „sztuki uległości”, która opierała się przede wszystkim na wykorzystywaniu siły przeciwnika do własnych celów. Cook czuł się mile polectany: w pojedynkę będzie mógł kształtować politykę zagraniczną dwóch mocarstw.

Na twarz Cooka wrócił jednak wyraz niedowierzania. — Jeśli jesteśmy w stanie wojny, to jak...?

— Goto to kompletny szaleniec. Pozostawimy otwarte kanały łączności dyplomatycznej przez ambasady. Zaoferujemy wam oddanie Marianów. Wątpię, żeby ta oferta była do końca szczerą, ale zostanie przedstawiona jako wyraz dobrej woli. — Seidzi westchnął. — Teraz właśnie zdradziłem mój kraj. — Oczywiście, zgodnie z planem.

— Co dla twojego rządu będzie granicą ustępstw?

— Myślę, że całkowita niepodległość Północnych Marianów; koniec statusu wspólnoty.

Ze względów geograficznych i ekonomicznych, i tak wpadłyby w naszą orbitę wpływów gospodarczych. Tak czy inaczej, posiadamy tam większość terenów.

— A co z Guam?

— Pozostanie terytorium USA, o ile wyspa będzie zdemilitaryzowana. Myślę, że to przejdzie.

— A jeśli się nie zgodzimy?

— Umrze wielu ludzi. Jesteśmy dyplomatami, Chris. Naszym posłaniem jest zapobieżenie wojnie. Po prostu daj mi znać, czego od nas oczekujecie, a ja postaram się, by identycznej treści oferta wyszła z naszej strony. We dwójkę możemy zakończyć tę głupią wojnę.

Pomożesz mi?

— Nie wezmę za to pieniędzy, Seidzi — zapewnił go autentycznie przejęty Cook.

Zadziwiająco, pomyślał Nagumo. Ten człowiek ma jednak jakieś zasady. Całe szczęście, że brakuje mu rozumu.

Zgodnie z instrukcją, ambasador Japonii wjechał na teren Białego Domu przez wschodnią bramę. Do

spotkania doszło w Sali Roosevelta, którą zdobiła nagroda Nobla przyznana Teodorowi za doprowadzenie do zakończenia wojny rosyjsko-japońskiej. Na widok gościa Durling wstał zza biurka i podał dłoń ambasadorowi.

— Zna pan wszystkich obecnych. Proszę usiąść.

— Dziękuję, panie prezydencie. Chciałbym na wstępie wyrazić wdzięczność za udzielenie mi audiencji w tak krótkim czasie. — Rozejrzał się po sali. Brett Hanson, sekretarz stanu; Arnold van Damm, szef personelu Białego Domu; John Ryan, doradca do spraw bezpieczeństwa. Sekretarz obrony był w budynku, ale nie przyszedł na spotkanie. Ciekawe.

Ambasador już od wielu lat przebywał w Waszyngtonie i wiele wiedział o swoich gospodarzach.

Na twarzach zebranych łatwo było zauważyć gniew. Prezydent potrafił go kontrolować, podobnie jak agenci Tajnej Służby. Twarz Hansona wykrzywiał grymas nieskrywanej wściekłości.

Sekretarz stanu nie mógł uwierzyć, że ktoś ośmielił się zagrozić jego krajowi — przypominał rozpieszczonego dzieciaka, który otrzymał dwóję od sprawiedliwego nauczyciela. Van Damm był politykiem i uważał go za *gaidzin*. Najspokojniejszy wydawał się Ryan. Ambasador nigdy wcześniej nie miał z nim do czynienia, jednak z doniesień jego personelu wynikało, że doradca do spraw bezpieczeństwa jest specjalistą od Europy i, jako taki, ignorantem w dziedzinie Dalekiego Wschodu. Bardzo dobrze, pomyślał ambasador. Gdyby było inaczej, mógłby stać się bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

— Panie ambasadorze, prosił pan o spotkanie — zaczął Hanson.

Przemowa ambasadora była łatwa do przewidzenia. Ryan z trudem tłumił ziewanie.

Pozwolił odpocząć swoim uszom, a skoncentrował się na wizji. Zazwyczaj w takich sytuacjach, ambasador reprezentujący stronę agresywną miał w zwyczaju prezentować nieco skruszoną minę.

Nie tym razem. Ambasador Japonii siedział dumnie wyprostowany w fotelu i nie wykazywał najmniejszych oznak zmieszania czy żalu.

Jak na razie prezydent siedział z kamienną twarzą, pozwalając, by Arnie okazywał gniew, a Hanson oburzenie. Bardzo dobrze.

— Czy zdaje sobie pan sprawę z faktu, że nasz kraj może w każdej chwili zniszczyć pański?

Krótkie skinienie głowy. — Oczywiście. Doskonale pamiętamy, kto zrzucił bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki.

Po tej odpowiedzi oczy Jacka nieco się rozszerzyły. Zapisał na bloczku jedno słowo:

„atom?”

— To chyba nie wszystko — wtrącił się Durling.

— Panie prezydencie — mój kraj również jest w posiadaniu broni nuklearnej.

— A w jaki sposób będziecie ją przenosić? — zapytał drwiąco Arnie.

— W arsenale mojego kraju znajdują się międzykontynentalne rakiety balistyczne. Wasi eksperci oglądali je w halach fabrycznych. Proszę to sprawdzić w NASA.

— Grozicie nam? — zapytał spokojnie Durling.

Ambasador spojrział prezydentowi w oczy i odpowiedział: — Nie, panie prezydencie. Po prostu stwierdzam fakt. Wiemy, że możecie zniszczyć nasz kraj, ale i my możemy wyrządzić wam wielkie szkody. I o co walczyć? O kilka wysp, które i tak od wieków do nas należały?

— A co z ludźmi, których zabiliście? — zapytał van Damm.

— Bardzo mi z tego powodu przykro. Oczywiście prześlemy rodzinom szczodre rekompensaty. Nie będziemy przeszkadzać waszym placówkom dyplomatycznym w normalnym funkcjonowaniu, by zachować pełną łączność pomiędzy naszymi rządami. Czy tak trudno przychodzi Ameryce traktować inne państwo jako równe sobie? Dla mojego kraju nadszedł czas, by zająć należne mu miejsce w świecie, jeżeli chodzi o mój rząd, uważamy, że konflikt zbrojny został zakończony. Nie podejmiemy żadnych dalszych działań przeciwko Ameryce. Cały ten incydent możecie przedstawić waszej opinii publicznej, jako nieszczęśliwy wypadek. Jeżeli chodzi o Mariany, jesteśmy gotowi negocjować w każdej chwili. Takie jest stanowisko mojego rządu. — Ambasador wstał i, zgodnie ze zwyczajami dyplomatycznymi, wręczył notę sekretarzowi stanu. Ukłonił się sztywno i wyszedł z sali. Po zamknięciu się drzwi, Ryan odczekał

kilka sekund.

— Przyszedł tu, żeby powiedzieć nam tylko jedno.

— Co takiego? — zapytał Hanson.

— Że mają głowice nuklearne i środki ich przenoszenia. Cała reszta to po prostu nic nie znaczące ozdobniki.

Wszystkie konie króla

Na razie wiadomość nie trafiła do środków masowego przekazu, ale właśnie miało się to zmienić.

FBI już szukało Chucka Saerlsa. Nie mieli wątpliwości, że zadanie okaże się trudne, a poza tym, w świetle posiadanych dowodów, i tak mogli go jedynie przesłuchać. Szóstka programistów, która pracowała nad programem Electra-Clerk 2.4.0, została już przesłuchana i żadne z nich nie miało pojęcia o wirusie Wielkanocne Jajko. Jedynymi emocjami był gniew na myśl o skutkach wprowadzenia go do sieci i podziw na myśl o geniuszu programisty. Wirus został odkryty dopiero po dwudziestu siedmiu godzinach wspólnej pracy całego zespołu. Wtedy też przyszła zła wiadomość: cała szóstka, poza Searlsem, miała taki sam dostęp do programu podstawowego. Wielkanocne Jajko mogło czaić się w pamięci głównego komputera już od miesiący. Mógł to zrobić każdy z nich. Na programach komputerowych nie da się wykryć odcisków palców. Najważniejsze było jednak co innego: nic na świecie nie było w stanie odkręcić tego, co narobiło Wielkanocne Jajko.

Ostatnia zarejestrowana transakcja odbyła się dokładnie o 12.00, a o 12.01 było już po wszystkim. Miliardy — tak naprawdę setki miliardów dolarów — wyparowało.

Na razie wiedzieli o tym nieliczni. O utrzymaniu sprawy w tajemnicy zdecydowali: szef DTC, Komisja Papierów Wartościowych i ludzie z giełdy nowojorskiej. Trochę trwało, zanim agenci FBI zrozumieli na czym polega całe nieszczęście: każde biuro maklerskie miało wprowadzić własne rejestry transakcji i teoretycznie można by odtworzyć globalny obraz obrotów, wymazanych przez Wielkanocne Jajko, jednak nie można było wykluczyć, że jakiś nieuczciwy makler może dokonać zmian we własnych rejestrach. Taki zabieg był absolutnie nie do udowodnienia. W całą sprawę zamieszane były po prostu zbyt wielkie pieniądze.

Dwie setki agentów FBI odwiedziło biura i domy dyrektorów firm maklerskich, tylko po to, by zorientować się, że dysponują około osiemdziesięcioma procentami danych o operacjach przeprowadzonych po godzinie dwunastej w piątek. Zebranie tego materiału okazało się w miarę łatwe. Gorzej, jeżeli chodzi o analizę danych: do tej operacji potrzeba co najmniej superkomputera miary Cray Y-MP (jeden taki był w CIA, a trzy w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa) oraz specjalnie napisanego programu. W grę wchodziło odtworzenie działalności tysięcy podmiotów gospodarczych, co wiązało się z permutacjami rzędu dziesięciu do szesnastej, a raczej osiemnastej potęgi. Programista z giełdy nowojorskiej wytłumaczył

obrazowo agentom, że ta ostatnia wartość odpowiada liczbie miliona przemnożonego przez milion i jeszcze raz przez milion. A wszystko to miało sens, jeżeli w pamięci superkomputera znajdzie się absolutnie WSZYSTKO. Jeżeli chodzi o czas potrzebny na odtworzenie przebiegu transakcji, programista nie chciał nawet spekulować. Taka odpowiedź niezbyt spodobała się agentowi FBI. Otrzymał bowiem polecenie przekazanie jej szefowi, który odmawiał nawet napisania listu za pomocą komputera.

Najgorsze miało jednak nadejść. Jeden z pracowników DTC szepnął słówko sąsiadowi, prawnikowi, który przekazał wiadomość znajomemu dziennikarzowi, a ten, nie namyślając się wiele, sprzedał temat „The New York Times”. Naczelnik gazety zadzwonił do sekretarza skarbu, który właśnie wrócił z Moskwy i nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Sekretarz odmówił komentarza, ale zapomniał poprosić o wstrzymanie się z drukiem.

Potem było już za późno.

Sekretarz skarbu Bosley Fiedler praktycznie biegł tunelem łączącym gmach Departamentu Skarbu z Białym Domem. Nie był przyzwyczajony do fizycznego wysiłku, tak że kiedy dotarł wreszcie do Sali Roosevelta, z trudem łapał powietrze. Od wyjścia ambasadora Japonii minęło zaledwie kilka minut.

— Co się stało, Buzz? — zapytał Durling.

Wciąż ciężko sapiąc, Fiedler w pięciominutowej oracji przekazał to, czego właśnie dowiedział się z Nowego Jorku. — Nie możemy dopuścić do otworzenia giełdy — podsumował.

— To znaczy, zarząd giełdy nie jest w stanie jej otworzyć. Nikt nie może przeprowadzać transakcji. Nikt nie wie, ile ma pieniędzy i co posiada. A banki... — Machnął ręką. — Panie prezydencie, mamy tu poważny problem. Nic takiego jeszcze w historii się nie wydarzyło.

— Buzz, to tylko pieniądze, prawda? — zapytał Arnie van Damm, zastanawiając się w duchu, dlaczego to wszystko zwała się na nich jednego dnia.

— Tu nie chodzi tylko o pieniądze — odpowiedział za sekretarza skarbu Ryan. — Chodzi o zaufanie. Buzz napisał nawet na ten temat książkę. — Może ta przyjazna uwaga uspokoi zdyszanego i podekscytowanego finansistę.

— Dzięki, Jack. — Fiedler usiadł w fotelu i wypił kilka łyków wody ze szklanki. —

Weźmy na przykład krach z 1929 roku. Co tak naprawdę utracono? Pod względem księgowym

— nic. Wielu inwestorów jednak straciło swoje pieniądze, a udzielane przez banki gwarancje dodatkowo pogorszyły sprawę. Ludzie do dziś praktycznie nie zdają sobie sprawy, że pieniądze, które stracili, wcześniej zostały przekazane komu innemu.

— Nie rozumiem — powiedział Arnie.

— Nikt tak naprawdę nie rozumie. To jedna z tych spraw, które są zbyt proste. Każdy inwestor, który stracił pieniądze, najpierw dał je komuś, od kogo otrzymał w zamian akcje.

Zamienił pieniądze na pewną umową wartość rynkową, a kiedy ona się rozwiązała, doszło do krachu. Ale ten ktoś, kto wziął pieniądze za akcje, nie stracił niczego, ponieważ ilość pieniędzy na rynku w 1929 roku wcale się nie zmieniła.

— Pieniądze nie znikają, Arnie — pośpieszył z pomocą Ryan. — Przemieszczają się tylko z miejsca na miejsce. Tego właśnie pilnuje Bank Rezerw Federalnych. — Widać było jednak, że Arnie niczego dalej nie rozumie.

— W takim razie dlaczego, u diabła, doszło do Wielkiej Depresji?

— Zaufanie — odparł Fiedler. — Masa ludzi straciła wszystko przez gwarancje, które zostały udzielone przez banki na przeprowadzenie transakcji. Nagle, kiedy ruszyła lawina, banki nie były w stanie pokryć zleceń wypłat. Doszło do sytuacji, w której drobni ciułacze stracili wszystko, ponieważ nie byli w stanie spłacać długów, a ich banki nie miały gotówki na wypłaty.

W takiej sytuacji ludzie przestają działać. Boją się ryzykować tym, co im jeszcze zostało.

Inwestorzy, którym udało się sprzedać na czas akcje i wciąż mieli gotówkę, zauważyli, że gospodarka źle funkcjonuje i też nie chcieli ryzykować kolejnych inwestycji.

— Widzisz, Arnie — po raz drugi włączył się Jack. — Gospodarki nie napędza kapitał, ale obrót. Składają się na niego wszystkie transakcje, które zawierane są każdego dnia, począwszy od chłopaka z sąsiedztwa, który strzyże ci trawnik za dolara, a na strategicznych inwestycjach korporacji kończąc. Jeżeli nie ma obrotu, wszystko zamiera. Mamy tu naprawdę poważny problem. W poniedziałek rano bankierzy dowiedzą się, że nie wiedzą, ile pieniędzy mają.

— Czy to bardzo groźne? — zapytał prezydent.

— Nie wiem — odparł Fiedler. — Jeszcze nigdy coś takiego się nie zdarzyło.

— Twoje „nie wiem” niewiele posuwa nas do przodu, Buzz — zauważył Durling.

— Wolałby pan kłamstwo? — zapytał sekretarz skarbu. — Musimy tu ściągnąć prezesa Banku Rezerw Federalnych. Trzeba rozwiązać mnóstwo problemów.

— Mamy też prawdziwą wojnę — przypomniał Ryan.

— Co jest groźniejsze? — zapytał Durling.

Ryan zastanowił się przez kilka sekund. — Zatonęły dwa okręty podwodne, zginęło około dwustu pięćdziesięciu oficerów i marynarzy. Uszkodzone zostały dwa lotniskowce. Mariany znalazły się pod okupacją. To wszystko jest poważnym ciosem dla Ameryki, ale nie zagroziło istnieniu Stanów Zjednoczonych. Ameryka to właściwie pewien stan społecznej świadomości.

Jesteśmy ludźmi, którzy myślą w określony sposób, którzy wierzą, że osiągnięcie każdego celu jest tylko kwestią mobilizacji społeczeństwa. Z tego wynika nasz optymizm, zaufanie do instytucji federalnych. Jeżeli zaufanie zniknie, Stany Zjednoczone niczym nie będą różnić się od reszty świata. Moim zdaniem ekonomiczne problemy są daleko bardziej niebezpieczne, niż militarne.

— Zdziwiasz mnie, Jack — powiedział Durling.

— Panie prezydencie, wolałby pan kłamstwo?

— W czym problem, do cholery? — zapytał Ron Jones. Słońce już wstało, a USS

„Pasadena” wciąż tkwił przy nabrzeżu. Wczoraj zginął syn człowieka, który nauczył go hydrolokacji, a okręt Floty Pacyfiku wciąż tam tkwił, przycumowany do pachołków. — Czy nikt nawet nie kiwnie palcem?

— Dowódca „Pasadeny” nie otrzymał jeszcze rozkazów — odparł Mancuso — ponieważ ja ich nie otrzymałem, ponieważ nie otrzymał ich też CINCPAC, ponieważ Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych ich nie wydało.

— Pospali się, czy co?

— Sekretarz obrony jest w tej chwili w Białym Domu i składa raport prezydentowi.

— I to wszystko?

— Prezydent jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Robimy to, co każe.

— Jasne. Pamiętam, jak Johnson wysłał mojego ojca do Wietnamu. — Jones odwrócił się do wiszącej na ścianie mapy Pacyfiku. Pod koniec dnia japońskie okręty nawodne znajdą się poza zasięgiem samolotów startujących z lotniskowców. Na razie i tak nie mogły startować. USS

„Gary” zakończył przeszukiwanie akwenu, w którym zatoniły okręty podwodne — głównie w obawie przed atakiem japońskich okrętów podwodnych. Jednak z boku wyglądało na to, że fregata Marynarki USA ucieka przed kutrem japońskiej Straży Przybrzeżnej. — Najważniejsze własne zdrowie, co?

Mancuso postanowił tym razem nie dać się sprowokować. Był w końcu wyższym oficerem i musiał myśleć, jak na takiego przystało. — Po kolei. W tej chwili musimy myśleć przede wszystkim o lotniskowcach. Musimy doprowadzić je do doków i naprawić. Musimy też zebrać dane wywiadowcze i dopiero wtedy podjąć decyzję, co robić.

— O ile prezydent nam na to pozwoli? Mancuso skinął głową. — Tak działa ten system.

— To wspaniale.

Yamata siedział w fotelu na górnym pokładzie *Boeinga 747*, nie zwracając uwagi na szmer przyciszonych rozmów jego podwładnych. Nie spał prawie od trzech dni, a wciąż czuł

stały dopływ adrenaliny. Być może ten stan mobilizacji psychicznej dawało poczucie władzy i przekonanie o wadze misji. To był już ostatni planowany rejs na Mariany. Pasażerami byli głównie pracownicy administracji, którzy zajmą się wkrótce instalowaniem nowych władz. Na wyspach mieszkało dwadzieścia dziewięć tysięcy ludzi, ale nikt w oficjalnych spisach nie brał

pod uwagę Japończyków, którzy nabyli tu nieruchomości lub prowadzili firmy. Jako Japończycy, oczywiście, mieli prawo głosu w zapowiadanych wyborach na temat przynależności wysp. To samo dotyczyło się mieszkańców hoteli, które w większości należały do Japończyków. Żołnierze też byli,

oczywiście, obywatelami japońskimi, i z tego tytułu przysługiwało im prawo głosu, zważywszy, że ich pobyt na Marianach został wyznaczony na nieokreślony czas. Łącznie na wyspach przebywało trzydzieści jeden tysięcy Japończyków, a kiedy dojdzie do wyborów, nikt nie może zabronić obywatelom demokratycznego państwa korzystania ze swoich praw, prawda?

— Łądujemy za pięć minut — powiedział pułkownik.

— *Dozo*. — Słowu towarzyszył krótki ukłon, a właściwie skinienie głową, dokładnie odpowiadające relacjom między Yamata a pułkownikiem. W przyszłości, kiedy pułkownik zostanie już generałem, ukłon pogłębi się nieco, jeszcze później, gdy wojskowy — o ile będzie miał szczęście — zajmie odpowiedzialne stanowisko, Yamata-san może zwrócić się do niego po imieniu, opowiedzieć dowcip lub zaprosić na drinka. Przez cały czas jednak żadna ze stron nie będzie miała najmniejszych wątpliwości, kto jest panem, a kto służącym. Yamata zapiął pasy i przygładził włosy.

Kapitan Sato był wyczerpany. Spędził w powietrzu kilkakrotnie więcej czasu, niż pozwalały na to normy towarzystw lotniczych. Spojrzał w lewo i dostrzegł mrugające światła pozycyjne dwóch myśliwców *F-15* eskorty. Drażek sterowy jednego z nich prawdopodobnie trzymał w dłoni jego syn. Tylko delikatnie, powiedział sobie w duchu. Wiózł Japończyków, a im należało się wszystko co najlepsze. Trzymając jedną dłoń na drążku, a drugą na dźwigni ciągu, sprowadzał Boeinga po niewidzialnej linii łączącej maszynę z pasem startowym. Wydał

polecenie wychylenia klap. Podniósł nieco nos samolotu i spłynął jak mgła na pas. Dopiero pisk gumowych kół uświadomił drugiemu pilotowi, że wylądowali.

— Jesteś poetą latania — powiedział drugi pilot, po raz kolejny pełen podziwu dla umiejętności kapitana.

Sato pozwolił sobie na przelotny uśmiech i włączył odwrotny ciąg. — Podkołuj go na stojankę.

Po chwili nacisnął klawisz interkomu. — Witamy w Japonii — oznajmił pasażerom.

Yamata poczuł, że serce przystaje mu bić. Nie czekał, aż samolot stanie i pośpiesznie odpiął pasy. Otworzył drzwi do kabiny pilotów.

— Kapitanie?

— Tak, Yamata-san?

— Rozumie pan, prawda?

Sato ukłonił się z dumą profesjonalisty. — *Hai*. — Yamata oddał ukłon w pozie najwyższego szacunku.

Yamata wysiadł z Land Cruisera i spojrzał na urwisko. Miejscowi nazywali je Urwiskiem Banzai lub Samobójców. Yamata musi pomyśleć o nadaniu skałom innej, bardziej stosownej nazwy. To tu,

dziewiątego lipca 1944 roku skończyła się zorganizowana obrona Saipanu.

Tak naprawdę urwisko tworzyły dwie ściany skalne, przypominające gigantyczny amfiteatr. To musiało być gdzieś tutaj... Tu jego rodzina podeszła do krawędzi. Przypomniła

sobie mocne dłonie swojego ojca. Czy jego rodzeństwo bało się? Prawdopodobnie po dwudziestu dniach nieustannego huków dział i wybuchów pocisków, siostra i brat byli bardziej oszołomieni, niż przerażeni. Na pewno matka w tym ostatnim momencie spoglądała na ojca. Na pewno trzymali się za dłonie, wykonując ten ostatni krok — nie mogli pogodzić się z niewolą u barbarzyńców.

Aż do dziś Yamata nie pozwalał sobie na nic więcej, niż gniew. Jednak teraz mógł już wyzwolić emocje — właśnie spłacił swój dług honorowy wobec tych, którzy dali mu życie.

Spłacił go w pełni.

Kierowca samochodu przyglądał się swojemu pracodawcy i sam poczuł wzruszenie na widok starszego człowieka, który złożył właśnie dłonie, by tym gestem przywołać dusze przodków. Z odległości stu metrów dostrzegł drgające od płaczu ramiona Yamaty, który położył

się w swoim garniturze na ziemi i po chwili zapadł w sen. Pewnie będzie śnić o swojej rodzinie.

Więc jednak ten stary sukinsyn ma duszę, pomyślał pełen zdziwienia. Może do tej pory źle oceniał swojego szefa.

— Trzeba przyznać, że znają się na logistyce — mruknął Oreza, spoglądając przez okno w sypialni na port. „Orchid Ace” dawno już odpłynął, a jego miejsce zajął „Century Highway No. 5”. Z rampy na plac przy nabrzeżu zjeżdżały ciężarówki i nieznane Orezie pojazdy terenowe.

— Nie spałeś przez całą noc? — zapytała Isabel. Po tej stronie Linii Zmiany Daty był poniedziałek i pani Oręza przygotowywała się na wszelki wypadek do wyjścia do pracy.

Spojrzała na kartki, zapisane przez męża cyframi i nazwami wyposażenia wojskowego. —

Przyda się to na coś?

— Nie wiem, Izz.

— Zjesz śniadanie?

— Przydałoby się — odezwał się Borroughs, wkraczając do kuchni. — Chyba musiałem zasnąć, gdzieś tak koło trzeciej.

Pani Oręza otworzyła lodówkę. W tym domu śniadanie składało się głównie z zalewanej mlekiem kompozycji płatków kukurydzianych, zmieszanych z orzechami laskowymi i grubo mielonym zbożem.

W całym domu już rozchodził się aromat kawy. Borroughs znalazł dzbanek i nalał sobie filiżankę.

— Ktoś tu naprawdę wie, jak parzy się kawę.

— To specjalność Manniego — powiedziała Isabel.

Oreza uśmiechnął się pierwszy raz od wielu godzin. — Nauczyłem się tego od mojego pierwszego dowódcy kutra. Właściwa mieszanka, właściwe proporcje i szczypta soli.

Najlepsza pewnie wychodzi podczas pełni księżyca i po zarżnięciu kozła ofiarnego, pomyślał Borroughs. Nawet jeżeli, to przynajmniej zwierzę umarło za słuszną sprawę. Spojrzał na zapiski Orezy.

— Aż tyle tego?

— To ostrożne szacunki. Stąd do Japonii jest dwie godziny lotu. Założmy, że każdy samolot potrzebuje na ziemi około dziewięćdziesięciu minut na załadunek i tankowanie.

Wychodzi z tego, że pełny obrót zajmuje mu siedem godzin, co daje trzy i pół rejsu na dzień. Za każdym razem zabiera około trzystu osób, czyli jeden samolot w ciągu dnia przewozi tysiąc żołnierzy. Do przetrzucenia jednej dywizji na dzień wystarczy piętnaście 747. Japonia ma ich na pewno kilka razy więcej.

— Ile trzeba okrętów, żeby przewieźć sprzęt?

— To zależy od sposobu załadunku. Znow, przy ostrożnych szacunkach, trzeba przyjąć, że do przewozu uzbrojenia i środków transportu wystarczy dwadzieścia dużych jednostek. To przypomina przewiezienie całego miasteczka razem z domami. Muszą mieć paliwo. Na wyspie nie ma wystarczająco dużo żywności dla tylu ludzi. To samo tyczy się wody pitnej. — Oreza zerknął na notatki. — Tak czy inaczej mają zamiar zostać tu na dłużej.

— Zrobiłeś to, Ed? — zapytał szorstkim głosem Durling, wpatrując się w twarz wiceprezydenta. Był wściekły, że w tak skomplikowanej sytuacji musi zajmować się jeszcze jednym problemem. Jednak artykuł w „Washington Post” wymagał reakcji.

— Dlaczego wystawiłeś mnie na ataki prasy? Dlaczego przynajmniej mnie nie ostrzegłeś?

Prezydent rozejrzał się po Gabinetcie Ovalnym. — W tym pomieszczeniu można załatwić wiele spraw, ale kilku nie można. Jedną z nich jest utrudnianie dochodzenia policyjnego.

— Nie opowiadaj! Wielu prezydentów...

— Wiem! I zapłacili za to. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Posłuchaj, Roger! — warknął Ed Kealty. Prezydent przerwał mu, podnosząc obie dłonie do góry.

— Ed, mam poważne sprawy ekonomiczne na głowie. Na Pacyfiku zginęli amerykańscy marynarze. Nie mam czasu na takie sprawy jak twoja. Odpowiedź na pytanie.

Wiceprezydent zaczerwienił się. — W porządku. Lubię kobiety. Nigdy tego nie ukrywałem. Mam z żoną w tej sprawie układ. Ale nigdy, nigdy nikogo nie zgwałciłem. Nigdy.

Nie musiałem.

— Lisa Beringer? — zapytał prezydent, zaglądając do notatek.

— Miłe stworzonko. Bardzo bystra, poważna i... miała na mnie straszną ochotę.

Tłumaczyłem, że nie mogę się z nią związać. Miałem wtedy na głowie reelekcję, a poza tym była za młoda. Zaslugiwała na kogoś w jej wieku, kto dałby jej dzieci i dom. Bardzo się przejęła moją odmową, z tego, co słyszałem, zaczęła pić, może nawet zażywała — tego nie jestem pewny.

Byłem na jej pogrzebie. Wciąż utrzymuję kontakt z jej rodzicami.

— Zostawiła list.

— Nawet trzy listy. — Kealty sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął dwie koperty.

Dziwne, że nikt nie zwrócił uwagi na datę tego listu, który ma FBI. Dziesięć dni przed jej śmiercią. Ten list został napisany siedem dni później, a ten napisała w dniu śmierci. Ludzie z mojego biura je znaleźli. Barbara Linders musiała znaleźć ten trzeci. Żaden z nich nie został nigdy wysłany.

— Ta Linders twierdzi, że...

— Podałem jej narkotyki? — Kealty pokręcił głową. — Wiesz, że mam kłopoty z alkoholem. Tak, jestem alkoholikiem, ale wiedziałeś o tym, zanim zaczęliśmy kampanię. Poza tym ostatni kieliszek wychyliłem dwa lata temu.

— Więc twierdzisz, że nie jesteś winny?

— Roger, może jestem nadpobudliwy. Może jestem alkoholikiem. Ale na pewno nie jestem gwałcicielem.

A więc Kealty może bronić się, używając dwóch argumentów: materiał dowodowy jest bardzo mizerny i trudno wykazać bezpośredni związek Kealty'ego z samobójstwem.

— Co masz zamiar w tej sprawie zrobić? — zapytał wiceprezydenta.

— Coś mi się wydaje, że nie masz zamiaru drukować więcej nalepek wyborczych DURLING-KEALTY?

— Raczej nie — potwierdził prezydent oschle. To nie był czas na żarty.

— Dobra. Zrezygnuję z urzędu. Nie trzeba będzie wszczynać śledztwa.

— To nie wystarczy.

— Okay. Przyznam się do swoich słabostek. Publicznie przeproszę cię za szkody wyrządzone twojej administracji. Wycofam się z życia publicznego.

— A jeśli i to nie wystarczy?

— Wystarczy — zapewnił go Kealty. — Nie mogę zostać postawiony przed sądem, zanim nie wyczerpie się procedura w Kongresie. Miesiące spotkań przed komisjami, Roger.

Najmarniej do lata, a prawdopodobnie do konwencji partii. Nie możesz sobie na to pozwolić. A poza tym, musisz pamiętać o wszystkich przysługach, które oddałem w Kongresie i Senacie. —

Kealty pokręcił głową. — Nie warto, Roger. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Wiceprezydent wyszedł z Gabinetu Owalnego, nie oglądając się za siebie.

Durling przez kilka minut wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Wreszcie podjął decyzję.

Ani on, ani kraj nie może sobie teraz pozwolić na rozwlekłą procedurę prawniczą i potworny hałas w mediach. Nacisnął klawisz interkomu.

— Tak, panie prezydencie? — odezwała się sekretarka.

— Proszę mnie połączyć z prokuratorem generalnym.

Niech to szlag, zaklął w myślach Durling. Jasne, prezydent mógł mieszać się w dochodzenie policyjne. W tym przypadku nawet musiał. To było takie łatwe. Niech to szlag.

Przygotowania

— Naprawdę tak powiedział? — Ed Foley pochylił się w fotelu.

— Złożył przysięgę na honor szpiega — potwierdził Jack, cytując słowa Rosjanina.

— Zawsze podobało mi się jego poczucie humoru — powiedziała ze śmiechem zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Roześmiała się po raz pierwszy tego dnia i wszystko wskazywało na to, że po raz ostatni. — Tak długo zajmował się Stanami Zjednoczonymi, że stał się bardziej Amerykaninem niż Rosjaninem.

Trafne spostrzeżenie, pomyślał Ryan. To tłumaczyło też nieufną postawę Eda. Tak długo był sowietologiem, że myślał bardziej po rosyjsku niż po amerykańsku. Mimowolnie uśmiechnął się.

— Złe strony? — zapytał doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa.

— Dekonspirujemy jedynych agentów, których tam mamy — odparł Ed Foley.

— Racja — zgodziła się Mary Pat. — Ale trzeba pamiętać, że nie możemy się z nimi skontaktować, czyli równie dobrze mogłoby ich tam nie być. Jack, jak poważna jest sytuacja?

— Praktycznie znajdujemy się w stanie wojny, MP.

— I co zrobimy?

— Nie wiem — przyznał Ryan. — Zabili żołnierzy amerykańskich. Nad częścią terytorium USA powiewa obca flaga. Jednak nasze możliwości działań militarnych są poważnie ograniczone. Poza tym mamy problemy w domu. Jutro nasz system bankowy i giełdę czeka nieprzyjemna niespodzianka.

— Ciekawy zbieg okoliczności — zauważył Ed Foley. Od tak dawna pracował w wywiadzie, że przestał wierzyć w zbiegi okoliczności. — Jack, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ktoś zrobił przeciek na temat skłonności erotycznych wiceprezydenta, giełda zgubiła gdzieś notesik z rachunkami, Flota Pacyfiku dostała kilka torped, a ty nam mówisz, że sytuacja ekonomiczna jest najważniejsza. Na twoim miejscu...

— Wiem, co masz na myśli, Ed — przerwał mu Ryan. Pośpiesznie poczynił kilka zapisków, zastanawiając się, jak, u diabła, będzie mógł udowodnić cokolwiek.

— Mieliliśmy rozmawiać o naszych agentach. Mamy teraz w Japonii trzech doskonałych ludzi — wtrąciła się Pat. — Nomuriemu udało się wślizgnąć do ich klasy menedżerów i nawiązał

wiele bezcennych kontaktów. Clark i Chavez są naszymi najlepszymi agentami terenowymi.

Działają pod dobrymi przykrywkami i powinni na razie być bezpieczni.

— Zapominasz o jednym — powiedział Jack.

— O czym? — zapytał Ed.

— Rosjanie wiedzą o nich.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że kontrolują szefa kontrwywiadu japońskiego? zapytał Ed.

— Dlaczego nie? — odpowiedziała za Jacka Mary Pat. — W kilku innych państwach im się to udało.
— Przerwała na chwilę. — Nie mamy chyba wyboru.

— Czego chcą w zamian? — zapytał Ed.

— Wszystkich informacji z OSTU.

— Pamiętaj, że od tej pory praktycznie będą prowadzili naszych ludzi. — Edowi bardzo się to nie podobało, ale też wiedział, że nie mają innego wyjścia.

Oceaniczny holownik, należący do prywatnej firmy, został zauważony przez śmigłowiec w odległości pięćdziesięciu mil od „Enterprise”. Po kilku godzinach krążownik wyposażony w system przeciwlotniczy *Aegis* dołączył do eskorty, a dzięki potężnym silnikom holownika, prędkość marszowa lotniskowca wzrosła do dziewięciu węzłów. Kapitan holownika zastanawiał

się niespiesznie nad wielkością wynagrodzenia, wynikającego z podpisanego właśnie przez dowódcę „Enterprise” kontraktu spisanego zgodnie regułami towarzystwa ubezpieczeniowego Lloyd’s. Zwyczajowo kapitanowi jednostki, która uratowała na pełnym morzu inny statek przysługiwało od dziesięciu do piętnastu procent wartości uratowanego mienia. Kapitan holownika pomyślał o lotniskowcu, grupie powietrznej i sześciu tysiącach ludzi. Ile to jest dziesięć procent od trzech miliardów dolarów? Może okaże się wspaniałomyślny i zgodzi się na pięć?

Ryan wiedział, że najgorsze przychodzi wtedy, kiedy decyzja została już podjęta. Czy słusznie postąpił? Analizowanie przeszłości nigdy nie było obiektywne, pamiętało się z reguły jedynie decyzje nietrafne; trafne szły w niepamięć.

Przypomniał sobie, że nie tak dawno wysłał Clarka i Chaveza w niebezpiecznej misji na pustynię w Afryce Wschodniej i jakoś wtedy nie martwił się o nich. Tego typu skrupuły pozostawi na czas, w którym należy zacząć pisać pamiętniki. Zamknął dokumenty w szufladzie i poszedł do Gabinetu Ovalnego.

— Idę do Szefa — oznajmił agentowi Tajnej Służby stojącemu w korytarzu.

— Miecznik idzie do Skoczka — przekazał agent informację radiotelefonem, na użytek tych, którzy ochraniali wszystkich mieszkańców i pracowników Białego Domu.

Po drodze Ryan minął kolejnych czterech agentów Tajnej Służby. W ich oczach po raz pierwszy dostrzegł wyraz zaufania i szacunku — byli pewni, że Ryan wie co i obić, że jest kimś lepszym niż oni, że jego wiedza wywyższa go spośród otoczenia. Tylko Ryan wiedział, że tak nie jest.

— Nic zabawnego, co? — zapytał go Durling.

— Nic — przyznał Ryan, zajmując miejsce w fotelu.

— Teraz pewnie powinienem powiedzieć ci, żebyś się nie przejmował, a ty powinieneś udzielić mi takiej samej rady, racja?

— Trudno jest podjąć decyzję pod wpływem stresu — przyznał Ryan.

— Prawda, jednak decyzja podjęta na luzie nie jest decyzją. Poważna decyzja musi boleć.

— W ten sposób prezydent chciał podkreślić, że Jack tylko doradza prezydentowi, a decyzje podejmuje prezydent. — Okay, o co chodzi?

— Potrzebuję pańskiej zgody na współpracę w określonej dziedzinie z Rosjanami.

— CIA i ty nie wystarczycie?

— Takie decyzje podejmuje tylko prezydent.

— Jesteście za współpracą?

— Tak.

— Możemy ufać Rosjanom?

— Tego nie powiedziałem, panie prezydencie.

— No to działajcie — powiedział Durling, nie zastanawiając się zbytnio. Być może w ten sposób chciał pokazać Ryanowi, w jakim stopniu mu ufa. — O co chodzi Japończykom? —

zapytał po kilku sekundach milczenia.

— Ich działania nie mają żadnego sensu. Ciągle zastanawiam się, dlaczego zatopili nasze okręty podwodne? Dlaczego zabili ludzi? Nie musieli tego robić, jeżeli mają broń atomową.

— Dlaczego występują przeciwko swojemu głównemu partnerowi handlowemu? Nie mieliśmy czasu tego przemyśleć, prawda?

Ryan pokręcił głową. — Wszystko zważyło się na nas zbyt nagle. Nawet jeszcze nie wiemy, czego nie wiemy.

— Słucham?

Jack uśmiechnął się. — To powiedzonko z branży mojej żony. W medycynie najpierw trzeba dowiedzieć się, czego się nie wie. Najpierw trzeba sformułować pytania, zanim zaczną się szukać odpowiedzi.

— W jaki sposób można to osiągnąć?

— Ludzie Mary Pat kontaktują się ze swoimi informatorami. Analizujemy wszystkie dostępne informacje w archiwach. Podstawowym pytaniem pozostaje: dlaczego zatopili nasze okręty podwodne? Zrobili to tak, żeby pozostawić nam otwartą furtkę. Żebyśmy mogli powiedzieć, że to był wypadek.

— Naprawdę sądzą, że pogodzimy się ze śmiercią naszych ludzi?

— Mówię tylko, że pozostawili nam otwartą furtkę. — Po prawie trzydziestu sekundach zastanowienia Ryan dodał: — Nie. Nie mogli nas zrozumieć, aż tak opacznie.

— Mów dalej.

— Za bardzo zredukowaliśmy nasze siły morskie...

— Nie mam ochoty tego słuchać w tym momencie — odburknął Durling.

Ryan skinął głową i podniósł dłoń do góry. — Wiem, że za późno, by dociekać, dlaczego tak się stało. Najgorsze, że Japończycy wiedzą o tym. Wiedzą na co nas stać, a na co nie. A z tej wiedzy wynika, że wiedzą na co mogą sobie pozwolić.

— Racja.

— Kiedy zniknęło zagrożenie strategiczne ze strony Rosji, przynajmniej na jakiś czas, siły podwodne stały się bezużyteczne, ponieważ okręty podwodne nadają się zasadniczo do dwóch celów: do zwalczania innych okrętów podwodnych i, w ograniczonym zakresie, do stwarzania strategicznego zagrożenia dla ośrodków lądowych. Nie mogą kontrolować oceanów, tak jak jednostki nawodne. Nie mogą przewozić dywizji wraz ze sprzętem, a na tym właśnie polega panowanie na morzu. — Jack przerwał na chwilę. — Jedyne co mogą zrobić, to sparaliżować działania innych flot na morzu. Japonia jest państwem wyspiarskim. Tylko tego się obawiają.

— Możemy więc poddusić ich za pomocą okrętów podwodnych?

— Prawdopodobnie, już raz nam się to udało. Mamy jednak mało tego typu jednostek, co ułatwia Japończykom sprawę. Najważniejszym novum w naszych stosunkach militarnych, jest ich broń

jądrowa. Czegoś tu nie zauważamy. — Ryan pokręcił głową i spojrział na trawnik przed Białym Domem przez grubą kuloodporną szybę. — Nie wiemy o czymś bardzo ważnym.

— Dlaczego to zrobili?

— To też. Chyba jednak ważniejsze jest, czego chcą. Co jest ich ostatecznym celem? —

Jack odwrócił głowę w stronę prezydenta. — Decyzja o rozpoczęciu wojny niemal nigdy nie jest racjonalna. Wprawdzie pierwsza wojna światowa teoretycznie rozpoczęła się od zabójstwa jakiegoś dupka przez idiotę, to tak naprawdę doprowadził do niej swoimi machinacjami minister spraw zagranicznych Austro-Węgier, Leopold Jakiś Tam, którego zwali Poldi. Był bardzo przebiegłym dyplomata, ale nie wziął pod uwagę faktu, że jego kraj nie ma wystarczających środków, by osiągnąć założony cel. Niemcy i Austro-Węgry rozpoczęły wojnę. I przegrały ją. To samo powtórzyło się podczas drugiej wojny, z tym że miejsce Austrii, zajęła Japonia. Wojna secesyjna została rozpoczęta przez Południe. Południe przegrało. Francja rozpoczęła w 1870 roku wojnę przeciwko Prusom i przegrała. Można przyjąć, że praktycznie wszystkie wojny od czasów Rewolucji Przemysłowej zostały rozpętane przez stronę, która w efekcie przegrała.

— Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem — przyznał prezydent.

Ryan wzruszył ramionami. — Pewne sprawy są zbyt proste. Tak samo jak w przypadku giełdy.

— Ale jeśli „dlaczego” nie jest takie ważne, dlaczego „co” jest?

— Ponieważ odpowiedź na to drugie pytanie pozwala określić cel agresora. A jeśli wiemy, czego chce, możemy mu w tym przeszkodzić. Od tego trzeba rozpocząć walkę.

— A czego chciała Japonia w 1941 roku?

— Tak naprawdę Japończycy chcieli dokładnie tego, co uczyniła Brytania: stworzyć imperium. Tylko zabrali się do tego jakieś sto lat za późno. Nigdy nie chcieli pokonać Ameryki, zająć jej terytorium, chcieli tylko... — Ryan przerwał. Poczł, że jest już blisko. — Chcieli tylko osiągnąć założone cele i zmusić nas do zaakceptowania status quo. Jasne! Ta sama strategia!

Tylko czy ten sam cel? — zastanowił się na głos.

George Winston doszedł do wniosku, że jest jak stary koń cyrkowy: reaguje na trzask bicia. Siedział teraz w kabinie swojego Gulfstreama, spoglądając na światła jakiegoś miasta w dole. Prawdopodobnie Cincinnati.

Motywacje, którymi się kierował, były częściowo natury osobistej. W ostatni piątek stracił mnóstwo pieniędzy, prawdopodobnie dwieście milionów dolarów. Jednak nie o to chodziło, pieniędzy mu nie brakowało. Najbardziej zabolął go cios zadany całemu systemowi finansowemu, a przede wszystkim holdingowi Columbus, jego ukochanemu dziecku.

Po godzinie wylądował w Newark. Pod schodki podjechała limuzyna, z której wysiadł

jeden z członków zarządu Columbus. Był bez krawata, co raczej rzadko zdarzało się absolwentom Whartona.

Mark Gant nie spał od pięćdziesięciu godzin i musiał oprzeć się o błotnik limuzyny, bo wydawało mu się, że zaraz upadnie. Jego ból głowy był mierzalny chyba tylko w skali Richtera.

— Bardzo źle? — zapytał go Winston.

— Jeszcze nie wiemy jak bardzo.

— Nie wiecie? — Zamiast odpowiedzi Gant podał mu egzemplarz „The New York Times”. — To wszystko prawda? — zapytał po dwóch minutach Winston.

Kolejną niemiłą wiadomością było odkrycie, że pozostawiony przez Raizo Yamatę dyrektor nagle zniknął. — Poleciał do Japonii w piątek wieczorem. Powiedział, że musi ściągnąć Yamatę, by ten opanował chaos. A może chciał popełnić *seppuku* w jego gabinecie? Cholera wie.

— Kto więc teraz rządzi?

— Nikt.

— Do diabła, Mark! Ktoś musi wydawać polecenia!

— Od piątku nikt już nie wydaje poleceń. Zadzwoiłem do tego żółtka. Nie ma go w biurze. Nie ma go w domu. Yamaty też nigdzie nie ma.

— Okay, potrzebuję biura i wszystkich danych.

— Jakich danych, George? Wszystko wyparowało, pamiętasz?

— Macie chyba rejestry waszych transakcji?

— No, tak. A raczej kopie. Oryginały zabrało FBI.

Jechali przez kilka minut w milczeniu. Wreszcie Winston zapytał: — Kiedy w piątek zaczął się ten młyn, jakie instrukcje otrzymaliście?

— Instrukcje? — Mark potarł dwudniowy zarost i pokręcił głową. — Nikt nie myślał o instrukcjach. Kupiliśmy cholernie wielki pakiet General Motors, a potem nieźle zainwestowaliśmy w złoto...

— Nie o to mi chodzi — przerwał mu Winston.

— Japoniec powiedział tylko, żebyśmy ratowali co się da. Człowieku, aż nie chcę myśleć, co stanie

się jutro po otwarciu giełdy.

— Mark, wciąż jestem dyrektorem firmy.

— Jasne, no i co z tego?

— Ty też jesteś w zarządzie.

— Wiem, ale..

— We dwójkę możemy zwołać zebranie rady. Zaczniij dzwonić, kiedy tylko wyjedziemy z tunelu Lincolna.

— Na kiedy zwołać?

— Na już! Po tych, co mieszkają poza Nowym Jorkiem, wyślę swój samolot.

— Większość ludzi jest cały czas w biurze.

— Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

— Chyba się udało — powiedział admirał Dubro. Prędkość grupy lotniskowcowej obniżono do dwudziestu węzłów. Znajdowali się teraz dwieście mil na wschód od przylądka Dondra. „Abraham Lincoln” i „Dwight D. Eisenhower” rozdzielały się właśnie. Przy dotychczasowej prędkości, za godzinę obie formacje oddalą się od siebie poza kontakt wzrokowy. Jedynym problemem było zwiększone zużycie paliwa. Paradoksalnie, lotniskowce o napędzie atomowym musiały zabierać konwencjonalne paliwo dla swojej eskorty o klasycznym napędzie. Wprawdzie z Diego Garcia wypłynęły tankowce „Yukon” i „Rappahannock” z osiemdziesięcioma tysiącami bunkra, ale to nie rozwiązywało problemu. Mogło przecież dojść do bitwy, co wiązało się zawsze z gwałtownymi manewrami i potrzebą utrzymywania dużej prędkości podczas ataku. Albo podczas ucieczki.

— Przyszło już coś z Waszyngtonu? — zapytał.

Komandor podporucznik pokręcił głową.

— Nic, panie admirale.

— Dobrze — powiedział ze złowieszczym spokojem Dubro i ruszył do centrum łączności. Rozwiązał już poważny problem operacyjny — teraz przyszła pora, by na kogoś nawrzeszczyć.

Narastanie problemów

Wszystko pędziło właściwie na oślep, zawsze spóźnione i często pogmatwane — błędne koło! Wysocy urzędnicy miasta, tak zaprawionego w zapobieganiu przeciekom jak Waszyngton, byli bez

reszty pochłonięci czterema równoległymi kryzysami i wobec tego nie potrafili skutecznie reagować na żaden z nich. Nie mieli nawet czasu uświadomić sobie sprawy, że nie ma w tej sytuacji nic niezwykłego. Ten fakt zmartwiłby bardzo uczestników całego procesu, gdyby, oczywiście, zdawali sobie z tego sprawę.

Tyle w tym dobrego, że jeszcze nie było przecieku na najważniejszy temat, pomyślał

Ryan.

— Kogo masz najlepszego, jeśli idzie o Japonię, Scott? — zapytał.

Adler nadal palił. W każdym razie przyniósł ze sobą świeżą paczkę papierosów, które kupił w drodze z Departamentu Stanu. Resztkami siły woli Ryan powstrzymał się od poproszenia o papierosa, ale już nie był w stanie wybąkać prośby, by gość nie palił. To, że Adler był kiedyś przełożonym Ryana, nieco komplikowało sytuację, nawet podczas tego tak szybko zmieniającego się w koszmar weekendu.

— Mam paru dobrych ludzi. Mogę powołać doraźną grupę roboczą. Kto nimi pokieruje?

— Ty — odparł Jack Ryan.

— Co na to powie Brett?

— Brett powie: „tak jest, sir”, kiedy mu to nakaze prezydent — odparł sucho Ryan zbyt zmęczony, aby dbać o formy.

— Złapali nas za jaja, Jack!

— Ilu potencjalnych zakładników? — zapytał Ryan. Tym razem nie chodziło o personel wojskowy. Iluż tam było turystów, biznesmenów, dziennikarzy, studentów... tysiące...!

— Nie da się sprawdzić, Jack. Nie mamy sposobu. — Adler był zrezygnowany. — Tyle wiemy, że nie ma sygnałów, by ich źle traktowano. Tak, to nie rok 1941. Tak mi się w każdym razie wydaje...

— Jeśliby jednak mieli stosować te same metody — większość Amerykanów już zapomniała, jak wówczas traktowano jeńców i zakładników, Ryan jednak pamiętał — to muszą się liczyć z tym, że wpadniemy w szal. Chyba o tym wiedzą.

— Tak, dzisiaj znają nas znacznie lepiej, niż znali wówczas. Przez te wszystkie lata nasze interesy się zazębiały. Poza tym pamiętaj o jednym, jest ich u nas cała masa.

— A ty z kolei nie zapominaj, że reprezentujemy fundamentalnie różne kultury. Ich wierzenia są inne. Oni inaczej dostrzegają rolę człowieka w świecie. Inne mają kryteria oceny wartości ludzkiego życia.

— Przemówił rasizm, Jack!

— Nie, nie. To są fakty. Przecież nie powiedziałem, że oni są od nas gorsi. Chodzi mi po prostu o to, aby nie popełnić błędu i nie wpaść w pułapkę myśląc, że kierują nimi te same motywacje.

— Tu przyznaję ci rację — zgodził się podsekretarz stanu.

— I dlatego potrzebni mi są teraz ludzie, którzy znają i rozumieją ich kulturę. Potrzebuję ich rady. Potrzebuję ludzi, którzy myślą tak jak oni. — Ryan zdawał sobie sprawę z panującej już teraz ciasnoty. Piętro niżej są jednak pokoje biurowe, z których będzie można gdzieś przenieść urzędników. Oni, oczywiście, zaczną protestować, obwieszczając wszem i wobec, jak ważny jest Protokół i Badania Opinii Publicznej.

— Kilku ci znajdę — obiecał Adler.

— Jakie wieści z ambasad?

— Prawie żadne. O, jest jedna ciekawa wiadomość z Korei...

— A mianowicie?

— Nasz attaché wojskowy w Seulu odwiedził kilku przyjaciół, prosząc ich o postawienie paru baz w stan pogotowia. Odmówili. Rząd koreański po raz pierwszy nam czegoś odmówił. Są zdezorientowani, chcą lepiej poznać sytuację.

— Moim zdaniem i tak jest zbyt wcześnie na jakieś działania.

— A czy w ogóle będziemy działać?

— Pojęcia nie mam. — Ryan pokręcił głową. Zadzwoił telefon na biurku.

— Ryan, słucham? — Przez chwilę pilnie słuchał. — Dobrze, admirale. Zadzwonię do pana później.

— Odłożył słuchawkę.

— Coś nowego? — spytał Adler.

— Hindusi — odparł Ryan.

— Otwieram posiedzenie — powiedział Mark Gant, stukając piórem o stół. Zaledwie połowa miejsc zajęta, plus dwa, ale quorum było. — Masz głos, George!

Georgeowi Winstonowi nie podobał się wyraz twarzy obecnych. Z jednej strony ludzie wytyczający politykę holdingu Columbus byli zdecydowanie zmęczeni, z drugiej — przerażeni. I jeszcze jedno było w ich spojrzeniu, co sprawiało nawet pewien ból Winstonowi: patrzyli na niego jak na Zbawiciela, który pojawił się, by wyrzucić przekupniów ze świątyni. Tak wcale nie miało być. Żaden człowiek nie może dzierżyć takiej władzy. Gospodarka amerykańska jest zbyt wielka i rozległa. Zależy od niej zbyt wielu ludzi. Poza tym jest to imperium zbyt złożone, aby ową

złożoność mogło pojąć choćby nawet dwudziestu mędrców. Tak bywa zawsze z każdym skomplikowanym narzędziem, od którego funkcjonowania zależy byt całej społeczności.

Wkrótce trzeba ograniczyć się do drobnych konserwacji i robienia pomiarów. To wszystko —

instrument po prostu istnieje, funkcjonuje, działa. Każdy go potrzebuje, ale nikt nie wie już, na jakiej zasadzie działa złożona całość. Podstawowym błędem popełnionym niegdyś przez marksistów było przekonanie, że oni właśnie posiadli ową tajemnicę. Władza radziecka zmarnowała byt trzech pokoleń, usiłując nakazowo rozwiązywać problemy ekonomiczne, miast puścić wszystko na żywioł. W efekcie mieszkańcy najbogatszej w zasoby naturalne części świata stali się żebrakami. Ale i tu, w Ameryce, powstał ostatnio poważny problem. Zamiast rozważnie kontrolować gospodarkę, bezlitośnie ją tylko żyłowano. W obu wypadkach, radzieckim i amerykańskim, dominowało złudzenie, że pojęto wszystkie tajemnice działania mechanizmu. A znano jedynie jego kształt.

Kształt i ogólne zasady, z których najważniejsze to potrzeby i czas. Ludzie mają potrzeby.

Dwie najistotniejsze to jedzenie i dach nad głową. Dlatego inni ludzie produkują żywność i budują domy. I jedno i drugie wymaga czasu, a ponieważ czas jest najcenniejszym dobrem świata, trzeba ludziom płacić za ich czas. Posłużmy się przykładem samochodu — ludziom potrzebne są także środki przenoszenia się z miejsca na miejsce. Kiedy kupuje się samochód, płaci się ludziom za czas składania go z poszczególnych części, za czas produkowania każdej z tych części. Pośrednio płaci się również górnikom za wydobywanie spod ziemi rudy żelaza i boksytu. Do tego momentu wszystko jest jeszcze jasne. Staje się mniej przejrzyste, gdy zaczniemy się zastanawiać nad kwestią wyboru. Istnieje nie jeden, a wiele modeli samochodów.

Każdy dostawca komponentów i usług potrzebnych do wyprodukowania samochodu ma możliwość otrzymania tego, co mu jest potrzebne z różnych źródeł, a ponieważ czas jest elementem najcenniejszym, wybiera tych ludzi, którzy ów czas najlepiej wykorzystują, i ich najlepiej wynagradza. To się nazywa konkurencją, a konkurencja to nieustanny wyścig wszystkich ze wszystkimi. W zasadzie każde przedsiębiorstwo i każda jednostka funkcjonujące w amerykańskim systemie, w amerykańskiej gospodarce, biorą udział w tym współzawodnictwie wszystkich ze wszystkimi. Wszyscy są producentami i wszyscy konsumentami. Każdy każdemu coś dostarcza. Coś potrzebnego. Każdy wybiera sobie produkt lub usługę z gigantycznej oferty przedstawianej przez gospodarkę. Oto podstawy działania systemu.

Dalsze komplikacje rodzą się w wyniku wzajemnego przenikania. Już nie wiadomo, kto co i od kogo kupił. Ani kto jest bardziej wydajny i lepiej wykorzystuje przydzielony mu odcinek czasu — jednocześnie z korzyścią dla konsumenta i dla samego siebie. Skoro wszyscy biorą udział w gigantycznym wyczynie współzawodnictwa, powstaje sytuacja podobna do wielkiego zbiegowiska, kiedy to każdy rozmawia z każdym. Trudno jest wyłapać poszczególne rozmowy.

Banki i instytucje finansowe na Wall Street w Nowym Jorku uległy złudzeniu, że potrafią, że ich

komputery najnowszej generacji potrafią, oczywiście ogólnie, przewidzieć rozwój wypadków z dnia na dzień. Okazało się to niemożliwe. Można przeprowadzić analizę poszczególnych przedsiębiorstw, dostrzec, co robią dobrze, a co źle. Z jednej lub paru takich analiz można w przybliżeniu określić ogólne tendencje i wykorzystać je we własnym interesie.

Jednakże posunięto się zbyt daleko, stosując dalszą ekstrapolację na podstawie dostarczonych przez komputer informacji i opierając się na grach symulacyjnych. W pewnym sensie oderwano się od solidnej bazy, jaką jest rzeczywistość. Udawało się jednak przez kilka lat. Jako tako. Ale to jedynie potęgowało i utrwalało złudzenie. Złudzenie rozprysło się przed trzema dniami jak mydlana bańka, gdy nastąpił krach. Teraz nie było się już na czym oprzeć. No i mają tylko mnie, pomyślał George Winston, odczytując wyraz ich twarzy.

Były prezes holdingu Columbus znał kres swoich możliwości. Wiedział też dobrze, gdzie kończy się jego wiedza na temat istoty systemu. Wiedział, że nikt, absolutnie nikt nie potrafi uruchomić całego mechanizmu. I ta myśl towarzyszyła mu przez całą drogę owej ciemnej nowojorskiej nocy.

— Wyglądacie jak wojsko bez dowódcy. Co będzie jutro? — spytał, a siedzący wokół

stołu „gwiazdorzy finansów” spuścili wzrok na polerowany blat lub połączyli się spojrzeniem z siedzącymi naprzeciwko.

— Macie przecież prezesa. Nie mówi wam, co trzeba robić? Nie informuje? — spytał z kolei Winston. Pokręcili przecząco głowami.

Pierwszy odezwał się Mark Gant. Winston spodziewał się tego.

— Panie i panowie, czyż to nie rada nadzorcza wybiera prezesa i mianuje dyrektora naczelnego? Potrzebny jest nam prawdziwy głównodowodzący.

— Wracasz do nas, George? — spytał ktoś Winstona.

— A w jakim innym celu miałbym wchodzić do tej budy? Żeby przypalić papierosa? —

Nie był to wyszukany dowcip, niemniej wydobyl uśmiechy na twarzy; udało się wzbudzić zainteresowanie i chęć jakiegoś działania. Ale jakiego?

— W takim wypadku zgłaszam wniosek o uznanie, że stanowiska prezesa i dyrektora naczelnego są od tej chwili wolne!

— Popieram — odezwał się kolejny głos.

— Poddaję wniosek pod głosowanie — powiedział nieco zbyt głośno Mark Gant. — Kto jest „za”?

— Za! — odpowiedział mu chór głosów.

— Kto jest przeciwny? Milczenie.

— Wnoszę o powołanie George'a Winstona na stanowisko prezesa i dyrektora naczelnego! — odezwał się inny głos.

Padło sakramentalne „popieram”.

— Kto jest „za”? — spytał Gant.

Rezultat głosowania był identyczny z poprzednim, tylko głosy brzmiały bardziej entuzjastycznie.

— Witaj na pokładzie, George! — Po tych słowach Ganta rozległy się pojedyncze oklaski.

— Przyjmuję! — Winston wstał. To jest znowu moje dziecko, pomyślał. Mój kłopot. I jego następne słowa dotyczyły już przyszłości: — Ktoś musi powiedzieć Yamacie.

Zaczął przechadzać się za plecami siedzących. — Rzecz pierwsza: pełna analiza sytuacji.

Chcę dostać wszystkie materiały, całą dokumentację związaną z piątkowymi transakcjami.

Zanim zaczniemy się zastanawiać, co zrobić, żeby się podnieść, musimy wiedzieć, gdzie i jak się to zaczęło. Przed nami ciężkie dni, mili państwo, ale pamiętajcie, że tam — wskazał palcem za okno — czekają ludzie, którzy nam zaufali. Nie będzie łatwo ustalić biegu wydarzeń. I nie wiadomo, co uda się uratować, zacząć trzeba jednak od dogrzebania się do przyczyn. Co, gdzie i dlaczego pękło? Przez chwilę Winstonowi wydawało się, że jest bliski prawdy. Ilekroć znajdował

się na etapie wyjaśniania jakiejś zagadki, miewał zawsze podobne uczucie — bliskości rozwiązania. W pewnym sensie był to instynkt. Winston nie miał wielkiego zaufania do instynktu, a jednocześnie często na nim polegał. Teraz jednak, obok instynktu, było jeszcze coś innego — jakby strzęp nieświadomianej jeszcze wiedzy lub informacji, której znaczenia dotąd nie pojął. Ale pojąć musi.

Nawet dobre wiadomości mogą brzmieć złowieszczo. Generał Arima spędzał wiele czasu przed kamerami telewizyjnymi i dobrze sobie z nimi radził. Ostatnią przekazaną przez niego informacją była decyzja, iż każdy obywatel, który pragnie opuścić Saipan otrzyma bilet na bezpłatny przelot do Tokio w celu późniejszej repatriacji do Stanów. Ale z całokształtu wypowiedzi generała wynikało, że ogólna sytuacja nie uległa zmianie.

— Akurat mu wierzę! Repatriacja i transfer do Tokio...! Kłamią! — prychnął Pete Burroughs w stronę uśmiechniętej twarzy na ekranie.

— Cały czas mam wrażenie, że jeszcze śnię, że to wszystko nieprawda — powiedział

Oreza, który dopiero co się pojawił po pięciogodzinnym odpoczynku.

— Niestety, to prawda. Sprawdź no ten pagórek na południowy wschód stąd. Dniówka podrapał się w gęstą brodę i spojrzął. W odległości trzech czwartych kilometra, na szczycie pagórka ostatnio wykarczowanego i zniwelowanego przed rozpoczęciem budowy kolejnego hotelu turystycznego (na

wyspie zabrakło już miejsca nad morzem) kilka dziesiątków ludzi ustawiało baterię rakiet *Patriot*. Widać było anteny radarowe podobne do wielkich tablic ogłoszeniowych i ludzi pchających pierwsze z czterech gigantycznych pudeł wyrzutni.

— I co my teraz zrobimy? — jęknął inżynier.

— Nie mam pojęcia, ja umiem sterować statkami.

— Ale kiedyś nosiłeś mundur, prawda?

— Straży Przybrzeżnej. Nigdy nikogo nie zabiłem — wyjaśnił Oreza. — A jeżeli chodzi o to tam na górze — wskazał głową baterię rakiet — to lepiej wiesz ode mnie, co i jak.

— Chyba je robią w Raytheon w Massachusetts. Tyle wiem. I to, że moja firma dostarcza im jakąś elektronikę. Ale chyba tylko podzespoły. Myślisz, że oni tu chcą zostać na dobre?

— Tak wygląda. — Oreza podniósł do oczu lornetkę i wyrzał przez okno. W polu widzenia miał sześć skrzyżowań. Każde było strzeżone przez... chyba dziesięciu ludzi. Tak, pewno drużyna. I mieli zarówno dżipy, jak i nieco większe Toyoty Land Cruiser. Pistolety w kaburach, broń długa pewno gdzieś pochowana, jakby nie chcieli się upodobniać do południowoamerykańskiej junty z dawnych lat. Każdy z przejeżdżających pojazdów — żadnego nie kontrolowali! — otrzymywał przyjazne machnięcie ręką. Zależy im na dobrym wizerunku, pomyślał Oreza. Fachowa propagandowa robota.

— Patrzcie, jakie kochaniatka, cholerni milusińscy — zauważył. — Muszą być strasznie pewni siebie. I ta obsługa rakiet *Patriot* także. Żadnego pośpiechu. Pracują regulaminowo, profesjonalnie, zdyscyplinowanie. Niby wszystko, jak być powinno. Tylko że ludzie troszkę szybciej ruszają tyłkami, kiedy mają zamiar wypuścić ptaszka w powietrze. Żołnierz inaczej się porusza w okresie pokoju, a inaczej w strefie działań wojennych podczas prawdziwej wojny, mimo zapewnień, że odpowiednie szkolenie zaciera tę różnicę. — Oreza skupił uwagę na najbliższym skrzyżowaniu. Tak, żadnych objawów jakiegokolwiek napięcia. Poruszali się jak żołnierze, po żołniersku wykonywali swoje czynności, ale nie rozglądali się niepewnie dookoła, jak to czyni się zawsze na wrogim terenie.

I było to pocieszające: chyba nie ma masowych aresztowań i internowania ludzi —

zwyczajowych konsekwencji inwazji. Zaznaczenie obecności bez nadmiernego okazywania siły.

Nie było wątpliwości, że tu są, a z drugiej strony chwilami sprawiali wrażenie, jakby ich nie było, pomyślał Dniówka. Mieli jednak zamiar pozostać! nie spodziewali się, że ktokolwiek wyrazi sprzeciw. A on, Oreza, nie dysponował najmniejszym argumentem, by wpłynąć na zmianę tej opinii.

— Doskonale, są pierwsze zdjęcia satelitarne — powiedział Jackson. — Nie mieliśmy wiele czasu na ich analizę, ale...

— Ja mam na to czas i dokończymy jej — przerwał Ryan. — Na tyle się na tym znam.

Potrafię dać sobie radę z surowym materiałem.

— Czy mam prawo być dopuszczony do tego kręgu wtajemniczenia? — spytał Adler.

— Właśnie od tej chwili — odparł Ryan, zapalając światło na biurku. Robby wystukał kod zamka na swojej teczce.

— Kiedy ponowny przelot satelity nad Japonią? — zapytał Ryan.

— Chyba właśnie teraz, ale prawie wszystkie wyspy są pod pokrywą chmur.

— Szukamy wyrzutni rakiet balistycznych z głowicami jądrowymi?! — spytał Adler.

— Oczywiście, sir! — pośpieszył z odpowiedzią admirał Jackson, wykładając pierwsze ze zdjęć Saipanu. Przy nabrzeżu cumowały dwa transportowce pojazdów pancernych.

Nadbrzeżny parking zapępniały ustawione w rzędy wojskowe ciężarówki.

— Co o tym sądzi wojsko? — spytał Ryan.

— Wzmocniona dywizja — odparł Jackson i końcem pióra okrążył grupę osobno stojących wehikułów. — To jest bateria wyrzutni rakietowych *Patriot*. — Przesunął koniec pióra na inną grupę pojazdów. — Artyleria. Nie samobieżna, ale holowana. A to wygląda na rozmontowane części radaru obrony przeciwlotniczej. Mamy na saipańskiej skale pokaźny pagórek. Jakies czterysta metrów. Stamtąd radar będzie miał odległy horyzont dozoru. A wzrokowa widoczność do horyzontu wynosi stamtąd prawie osiemdziesiąt kilometrów. —

Pokazał następne zdjęcie. — A oto lotniska. Tutaj mamy pięć myśliwców *F-15*, a jeśli dobrze się panowie przyjrzyjecie tutaj, to widać dwa ich *F-3* podchodzące do lądowania.

— *F-3*? — zdziwił się Adler.

— Tak, wersja produkcyjna *FS-X* — wyjaśnił Jackson. — Dość dobry samolot, ale w istocie to jedynie ulepszony *F-16*. *F-15* są samolotami szturmowymi, te ptaszki potrafią nieźle dziobać.

— Potrzebne nam zdjęcia z następnych przelotów nad Saipanem. I nad Japonią. Ryan wyraźnie spoważniał. Nagle wszystko wydało się dziać naprawdę, było rzeczywiste. Ryan lubił

określenie „metafizyczna rzeczywistość”. Często go używał. To, co teraz oglądał, to znacznie więcej niż słowna informacja czy pisemna analiza dokumentów. Miał przed oczami dowody.

Teraz już wiedział, że jego kraj znajduje się w stanie wojny.

— Jackson skinął głową. — Przede wszystkim musimy posadzić nad tymi zdjęciami analityków, ale

masz rację. Jeśli pogoda pozwoli na robienie zdjęć, to powinniśmy mieć nową serię co sześć godzin. I nie tylko zdjęć Saipanu. Musimy zbadać każdy centymetr kwadratowy Tinianu, Roty, Guam. I wszystkich mniejszych wysepek na oceanie.

— Jezu drogi! Robby, czy damy radę? — spytał Jack. Pozornie proste pytanie kryło w sobie nieprzewidywalne komplikacje. Admirał Jackson powoli podniósł wzrok znad fotografii i głos jego stracił poprzednią oschłość, górę wziął natomiast profesjonalizm oficera Marynarki, do którego zwrócono się o fachową opinię.

— Jeszcze nie wiem — odparł i dodał własne pytanie: — A czy naprawdę chcemy?

— Tego ja z kolei jeszcze nie wiem — odparł doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. — Robby...?

— Słucham, Jack?

— Nim zdecydujemy to zrobić, musimy wiedzieć, czy damy radę...

— Tak jest! — odparł admirał i skinął służbiście głową.

Przez większość nocy Ding nie spał, wsłuchując się w chrapanie partnera. Co w tym facecie siedzi, dziwił się w półsennym widzie. Jakże on może, do cholery, spać? Słońce już wzeszło, przez okna i ściany wdzierały się poranne odgłosy rozbudzonego Tokio, a John nadal chrapie! Ding pomyślał, że to może z powodu podeszłego wieku, który wymaga dłuższego odpoczynku, I w tym momencie nastąpiło najbardziej zaskakujące wydarzenie, tak, najbardziej zaskakujące z całego ich pobytu w tym kraju. Zadzwoił telefon. John natychmiast otworzył

oczy, ale Ding pierwszy dopadł słuchawki.

— Tawariszcz, tawariszcz!- usłyszał głos. — Tak długo już tu jesteście, a do mnie nie zadzwoniliście?

— Kto mówi? — spytał Chavez. Chociaż długo i pilnie uczył się rosyjskiego, niespodziewane usłyszenie tego języka w słuchawce zelektryzowało go. Zupełnie jakby ktoś odezwał się po marsjańsku. Aż podskoczył, w pełni już rozbudzony.

Odpowiedź przeplatał serdeczny śmiech:

— A kto miałby mówić, Jewgienij Pawłowicz. Zeskrob szybko nocny zarost i dołącz do mnie na śniadanie. Jestem na dole.

Na chwilę serce Chaveza przestało bić. Nie, żeby opuściło jedno uderzenie. Chavez gotów był przysiąc, że zatrzymało się definitywnie i dopiero siłą swej woli zmusił je do ponownej pracy. A gdy to mu się udało, serce zaczęło pompować krew z potrójną szybkością.

— Za kilka minut zejdziemy obaj — odparł.

— A co, Iwan Siergiejewicz wypił wczoraj za dużo? — spytał telefoniczny rozmówca i okrasił pytanie kolejną salwą śmiechu. — Powiedz mu, że jest już za stary na te szaleństwa. No cóż, każe podać sobie herbatę i będę czekał.

Z początku Clark miał oczy wlepione w twarz swego partnera, potem, gdy zobaczył, jak Chavez zbladł, zaczął podświadomie rozglądać się po pokoju, jakby w poszukiwaniu mogącego czaić się gdzieś niebezpieczeństwa. John wiedział, że Domingo łatwo nie wpada w panikę, jednakże to, co usłyszał przez telefon, musiało go niezłe przerazić.

John wstał i włączył telewizor. Jeśli niebezpieczeństwo czaiło się za drzwiami, było już za późno. Okno nie dawało możliwości ucieczki. Korytarz mógł być pełen uzbrojonych policjantów. Pobiegł do łazienki. Spuścił wodę i przejrzał się w lustrze. Chavez dołączył do niego, nim woda przestała chlustać do miski.

— Ten, kto dzwonił, przedstawił się jako Jewgienij. Powiedział, że czeka na nas na dole.

— Po jakiemu mówił?

— Po rosyjsku. Dobry akcent, poprawna składnia. — Woda skończyła spływać ze spłuczki i musieli czasowo przerwać rozmowę.

Psiakrew! Clark spojrział w lustro, szukając odpowiedzi, ale ujrzał tylko dwie zaaferowane twarze. Agent wywiadu zaczął się myć, myśląc jednocześnie o tym, co za tym telefonem się kryło. A więc? Gdyby to była japońska policja, to czy udawałaby...? Nie! Mało prawdopodobne. Szpiegów ogólnie uważano za ludzi niebezpiecznych, a jednocześnie obrzydliwych. Dość ciekawy spadek po filmach z Jamesem Bondem. Agenci w zasadzie nie wzniesali publicznych awantur. Byli od tego równie dalecy jak od uczestniczenia w konkursach piękności. Ich największym fizycznym wyczynem, czy też umiejętnością, było uciekanie i krycie się. Nie wszyscy, co prawda, dobrze to rozumieli. Gdyby na ich trop wpadła lokalna policja, to obudziliby się z pistoletem przyłożonym do czoła, doszedł do wniosku Clark. A tak się nie stało.

Zadzwonił tylko telefon. Dobra nasza, nie ma jeszcze bezpośredniego zagrożenia. Chyba nie ma.

— No cóż, drogi Jewgieniju Pawłowiczu, skoro mamy za chwilę powitać oczekującego nas przyjaciela, musimy wyglądać *kulturno*...

Chavez przyglądał się zdumiony, jak jego towarzysz starannie myje twarz i ręce, metodycznie się goli i długo czyści zęby. A kiedy skończył i opuszczał łazienkę, nawet się uśmiechnął. Najwidoczniej ten uśmiech był częścią wyglądu *kulturno*.

Po pięciu minutach opuścili pokój.

Agentom wywiadu zdolności aktorskie potrzebne są w takim samym stopniu jak człowiekowi aspirującemu do tytułu artysty sceny. W życiu szpiega, podobnie jak na scenie, nie ma w zasadzie okazji do powtarzania tego samego aktu. Przed czterema godzinami majora Borysa Iljicza Szczerienkę, pierwszego zastępcę tokijskiego rezydenta rosyjskiego wywiadu, obudził pozornie niewinny telefon z ambasady. Działając oficjalnie jako attaché kulturalny Szczerienko od dłuższego już czasu przygotowywał szczegóły tournée po Japonii petersburskiego baletu. Po piętnastu latach pracy w Pierwszym (Zagranicznym) Zarządzie KGB

przeszedł do bardzo podobnej pracy w nowej, nieco mniejszej agencji wywiadu — RWS.

Szczerienko był jednak zdania, że wykonuje znacznie ważniejsze zadanie niż poprzednio.

Ponieważ państwo, które mu to zadanie zleciło, znacznie gorzej było przygotowane do tego, by stawić czoło zewnętrznym groźbom, wzrastało zapotrzebowanie na dobre informacje wywiadu i to, być może, tłumaczyło ów zupełnie zwariowany rozkaz. A może ci tam w Moskwie naprawdę stracili rozum? Kto to wie.

W ambasadzie czekała na Borysa Iljicza szyfrowana depesza z Centrali — pozostała stara nazwa i stara instytucja! — zawierająca nazwiska i rysopisy. Rozpoznanie nie będzie więc trudne. Łatwiejsze niż zrozumienie otrzymanych poleceń.

— Wania! — Szczerienko prawie że podbiegł do Clarka i pochwycawszy jego dłoń zaczął

nią energicznie potrząsać. Zaniechał jednak owego całowania, z którego Rosjanie są tak znani.

Po części chodziło o to, aby nie gorszyć Japończyków, a po części... Tak, istniała obawa, że Clark może dać mu w zęby. Chłodni ludzie często się do tego uciekają. Szaleństwo Moskwy, być może, niemniej Szczerienko naprawdę przeżywał wspaniałą chwilę. Miał oto przed sobą dwóch poważnych agentów CIA i publicznie mógł sobie z nich pokpić. Mimo powagi sytuacji miało to humorystyczny aspekt. — Jakże dawno cię nie widziałem!

Szczerienko widział, że młodszy z dwu Amerykanów z trudem się hamuje — dość nawet nieporadnie odgrywa swoją rolę. Ani dawne KGB, ani nowa agencja wywiadu nic o nim nie wiedziały. Podano jedynie nazwisko Clarka i bardzo ogólny rysopis, który w zasadzie pasowałby do każdego białego obywatela dziesiątków europejskich państw. I że jest wzrostu sto osiemdziesiąt pięć do stu dziewięćdziesięciu centymetrów, waży dziewięćdziesiąt kilogramów, włosy ciemne, wysportowany. Do tego Szczerienko dodał teraz własne obserwacje: niebieskie oczy, męski uścisk dłoni, nerwy ze stali, tak — nerwy wspaniale trzymane na wodzy.

— W istocie, bardzo dawno A jak twoja rodzina, przyjacielu? — spytał Clark. Ponadto doskonale włada rosyjskim, pomyślał Szczerienko. Akcent petersburski.

Gdy tak kompletował cechy charakterystyczne Amerykanina, widział wlepione w siebie dwie pary oczu — niebieskich i czarnych.

— Natalia ciągle o ciebie pyta. Jazda, idziemy na śniadanie, jestem głodny. —

Poprowadził obu do stolika w rogu.

CLARK, JOHN — tak po prostu była zatytułowana cieniutka teczka w Centrali Nazwisko tak powszechne i tak mało charakterystyczne, że być może ów Clark nigdy nie używał nazwisk operacyjnych. W każdym razie są nieznane. Specjalista od pracy w terenie, typ wojskowy, wykonywał tajne zadania. Parokrotnie wyróżniany za odwagę i skuteczność działania. Przez krótki czas pełnił na placówkach funkcję oficera ochrony. W owym czasie nikt nie potrudził się o zrobienie jego zdjęcia, pomyślał z ironią Szczerienko. Bardzo typowy błąd naszych służb.

Spoglądając teraz na Clarka siedzącego po drugiej stronie stołu widział człowieka zupełnie odprężonego, doskonale się czującego w towarzystwie starego przyjaciela, którego właśnie poznał przed chyba już dwiema minutami. O tak, wiadomo, że CIA zatrudnia dobrych fachowców.

— Tu możemy rozmawiać swobodnie — Szczerienko nadal mówił po rosyjsku.

— Czyżby..?

— Szczerienko, Borys Iljicz, major, zastępca rezydenta — dokonał szybko własnej prezentacji. Kolejno wskazał głową każdego z Amerykanów. — Pan jest Johnem Clarkiem, a pan nazywa się Domingo Chavez.

— A wszyscy razem jesteśmy ze „Strefy Zmroku” — mruknął Ding.

— Rozkwitły kwiaty śliwy, a kurtyzany kupują nowe chusty w domach publicznych. To nie Puszkina, prawda? I nie Pasternak. Co za aroganccy barbarzyńcy, Japońcy! — Szczerienko spędził w Japonii już trzy lata. Przyjeżdżając sądził, że trafia do miłego, interesującego kraju —

interesującego z punktu widzenia pracy. W miarę upływu czasu coraz bardziej zniechęcały go pewne aspekty japońskiej kultury, zwłaszcza kompleks wyższości i pogardliwy stosunek do wszystkiego poza granicami tego kraju. Było to bardzo upokarzające dla Rosjanina, który miał

identyczny stosunek do wszystkiego, co nie jest rosyjskie.

— Może byłby pan łaskaw powiedzieć nam, drogi towarzyszu majorze, o co chodzi? —

spytał spokojnie Clark.

Szczerienko równie spokojnie odpowiedział. Minęła chwila rozbawienia sytuacją.

Chociaż rozbawiony był tylko on. Amerykanie wydawali się nie dostrzegać humorystycznego aspektu spotkania.

— A więc zaczynamy od początku. Wasza Maria Patrycja Foley, po naszymu Folejewa, zadzwoniła

do naszego Siergieja Mikołajewicza Gołowki prosząc go o pomoc. Wiem, że tutaj w Tokio macie jeszcze jednego agenta, ale ja go nie znam. Ani jego nazwiska. Otrzymałem ponadto polecenie, towarzyszu Klierk, żeby wam powiedzieć, iż wasza żona i córki mają się dobrze.

Wasza młodsza córka ponownie znalazła się na honorowej liście rektorskiej najlepszych studentów i tym samym wzrosły jej szanse przyjęcia do Szkoły Medycznej. Jeśli to, co przekazałem, nie jest dla pana dostateczną rekomendacją, to bardzo mi przykro, nie mam więcej osobistych informacji. — Major zauważył nagle wyraz zadowolenia na twarzy młodszego Amerykanina, ale nie miał pojęcia, czym je wywołał.

To wyjaśnia sprawę, pomyślał John. Prawie wyjaśnia.

— No, no, drogi Borysie Iljiczu, potrafisz ty przykuć uwagę słuchacza. A teraz mów, co jest grane?

— Myśmy też z początku nie wiedzieli — odparł Szczerienko, rozpoczynając opowieść.

Omówił główne punkty. Okazało się, że znał więcej szczegółów, niż zawierała informacja przekazana Clarkowi przez Cheta Numuri, chociaż Szczerienko też miał luki. Każdy agent wie, że zawsze tak bywa. Nigdy nie ma pełnego obrazu, a często to, czego brak, jest najważniejsze.

— Skąd wiesz, że możemy nadal działać bezpiecznie?

— Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę..

— Borysie Iljiczu, moje życie jest w twoich rękach. Wiesz już, że mam żonę i dwie córki.

Moje życie jest dla mnie cenne i dla nich bardzo istotne — wyjaśniał logicznie John, jeszcze bardziej uświadamiając Rosjaninowi, że ma do czynienia z prawdziwym zawodowcem. Przez Johna nie przemawiał strach. John zdawał sobie po prostu sprawę, że jest dobrym szpiegiem, dbałym o każdy szczegół. Szczerienko również sprawiał wrażenie profesjonalisty. Pojęcie

„zaufanie” jest dla szpiega bardzo istotną sprawą, a jednocześnie niesłychanie niebezpieczną w działaniach wywiadowczych. Z jednej strony ludziom trzeba ufać, z drugiej nigdy całkowicie, gdyż w tej dziedzinie ludzkiej aktywności działanie na obie strony nie jest rzadkością.

— Macie lepszą przykrywkę, niż wam się wydaje — zapewnił Borys — Japończycy są pewni, że jesteście Rosjanami i nie będą się was czepiać. Zresztą my tego dopilnujemy.

— Jak długo nie będą się czepiać?

Chytre pytanie, pomyślał Szczerienko.

— Racja, ten problem zawsze istnieje — przyznał.

— Jak się będziemy porozumiewać? — spytał John.

— Z tego, co rozumiem, potrzebne jest wam bezpieczne łącze telefoniczne wysokiej jakości — Szczerienko pod stołem podał Johnowi plastikową kartę — Całe Tokio funkcjonuje teraz na światłowodach. W Moskwie mamy wiele światłowodowych łączy. Wasz sprzęt telekomunikacyjny jest już w drodze. Słyszałem, że jest doskonały. Chciałbym go sam zobaczyć.

— To bardzo proste rozwiązanie. Po prostu moduł ROM — wyjaśnił Chavez. — Sam nie wiem, który z wielu istniejących.

Chytre, pomyślał Szczerienko.

— Jakie oni mają intencje? — spytał Chavez Borysa. — Poważnie się zaangażowali?

— Wysłali trzy dywizje na Mariany. Ich marynarka miała starcie z waszą. Według naszych ocen będziecie mieli poważne trudności z odbiciem wysp.

— Jak poważne? — spytał Clark.

Rosjanin wzruszył ramionami, nie bez pewnego współczucia.

— Moskwa uważa, że to może być nawet niemożliwe. Wasza zdolność działań wojskowych zmalała, tak samo jak nasza.

I właśnie dlatego to wszystko się teraz wydarzyło, pomyślał Clark. I dlatego na obcej nieprzyjaznej ziemi znalazł nagle nowego sojusznika. Kiedyś, podczas ich pierwszego spotkania, Clark zacytował Chavezowi słowa Henry'ego Kissingera: „Nawet paranoicy mają wrogów”.

Teraz się zastanawiał, dlaczego nie drukują na swoich banknotach tego właśnie sloganu. Tak jak Amerykanie afiszują się z *E pluribus unum*. Wiele wydarzeń w historii Rosji usprawiedliwiłoby podobne motto. Zresztą w amerykańskiej także.

— Mów dalej, Borys!

— Penetrujemy dość głęboko ich agencje wywiadu, zarówno cywilnego, jak i wojskowego, ale ponieważ OSET jest siecią wywiadu ekonomicznego to myślę, że w wielu wypadkach macie lepsze informacje od nas. Tylko, że nie wiem, co z tego wynika... — Nie była to absolutna prawda, ale Szczerienko wyraźnie oddzielał to, co wiedział, od tego, co sobie myślał. Jak każdy dobry agent, wypowiadał się jedynie na temat tego, co wiedział.

— No to obaj będziemy mieli pełne ręce roboty...

Szczerienko skinął głową.

— W każdej chwili możecie przyjść do nas, do ambasady...

— Daj mi znać, kiedy przyjdzie nasz sprzęt. — Clark miałby jeszcze wiele do powiedzenia, ale

chwilowo wolał milczeć. Nabierze absolutnej pewności dopiero wówczas, gdy otrzyma potwierdzenie elektroniczne. Dziwił się sam sobie, że ma jeszcze wątpliwości i czeka na potwierdzenie, ale jeśli Szczerienko ma rację twierdząc, że służby rosyjskie przeniknęły głęboko w japońskie służby specjalne, to istniała możliwość, że i on sam został odwrócony i pracuje na dwie strony. Clark westchnął. Tak, w tym zawodzie trudno pozbyć się pewnych obyczajów. Na przykład podejrzliwości. Pociuszające było to, że jego rozmówca, w pełni zdając sobie sprawę, że Clark mu jeszcze całkowicie nie ufa, nie miał tego za złe.

Wystarczyło niewielu ludzi, by Gabinet Ovalny wydawał się zatłoczony. Pomieszczenie symbolizujące siłę najpotężniejszego państwa świata — Ryan miał nadzieję, że jest to jeszcze najpotężniejsze państwo! — było znacznie mniejsze niż gabinet Ryana, gdy był konsultantem inwestycyjnym, a nawet mniejsze od jego dawnego biura w Zachodnim Skrzydle Białego Domu.

Że też nigdy nie zwrócił na to uwagi, pomyślał.

Wszyscy byli zmęczeni. Najgorzej wyglądał Brett Hanson. Tylko Arnie van Damm sprawiał wrażenie normalności. Trzymał się jednak zbyt sztywno. Ale Arnie zawsze sprawiał

wrażenie człowieka, który usiłuje zachować godną postawę po całonocnej pijatyce. Buzz Fiedler był obrazem człowieka pogrążonego w beznadziejnej rozpacz. Najgorzej jednak prezentował się sekretarz obrony. On był przecież tym, który pilnie nadzorował okrawanie amerykańskiego potencjału wojskowego i który niemalże co tydzień powtarzał Kongresowi do znudzenia, że Amerykański potencjał bojowy wystarczy na wszystkie potrzeby i okoliczności. I że jeszcze wiele zostanie do dyspozycji. Ryan przypominał sobie jego oświadczenia telewizyjne, przez wiele lat krążące między ministerstwami i instytucjami państwowymi memoriały, rozpaczliwe apele członków Kolegium Szefów Sztabów, których niestety, krępowani wojskową dyscypliną, nie udostępniali telewizji. Nietrudno było odgadnąć, co sekretarz obrony obecnie sobie myśli.

Ów błyskotliwy biurokrata, tak zadufany w swoich wizjach i opiniach, uderzył nagle głową w twardy mur rzeczywistości. Ten mur nie daje się skruszyć. Każdego porani.

— Problem ekonomiczny! — rzucił hasło prezydent Durling i sekretarz obrony odetchnął z ulgą.

— Najtrudniejszy problem mamy z bankami. Będą śmiertelnie przestraszone, póki nie ustabilizujemy sytuacji, nie przywrócimy operatywności całego systemu komputerowego. Tyle banków uczestniczy obecnie w kredytowaniu handlu, że właściwie już nikt nie wie, jakie kto ma rezerwy. Można się spodziewać, że ludzie zaczną sprzedawać udziały w administrowanych przez banki funduszach inwestycyjnych. Ba, rzucą się do sprzedaży. Prezes Banku Rezerw już ich nawet do tego zaczął zachęcać.

— Co to znaczy, zachęcać? — spytał Ryan.

— Powiada, że mają nieograniczony kredyt, że istnieją dostateczne rezerwy i nie będzie problemu, że mogą mieć tyle pieniędzy, ile będą chcieli.

— Polityka inflacyjna — zauważył van Damm. — Bardzo niebezpieczne!

— Wcale nie — zaproponował Ryan. — Krótkoterminowa inflacja to po prostu silne przeziębienie. A na silne przeziębienie zażywa się aspirynę i pije dużo rosołu z kury. Natomiast to, co wydarzyło się w piątek, jest raczej podobne do ataku serca. I tym się trzeba przede wszystkim zająć. A jeśli banki nie otworzą rano okienek kasowych... Najważniejszym problemem jest zaufanie. Buzz ma rację. Nie wolno ryzykować paniki.

Roger Durling nie po raz pierwszy błogosławił fakt, że Ryan opuszczając niegdyś służbę państwową powrócił do sektora finansowego i jest kimś w rodzaju eksperta.

— Jak wygląda rynek, to znaczy giełdy? — spytał sekretarza skarbu.

— Giełdy są zamknięte. Rozmawiałem z prezesami wszystkich. Nie ma mowy o regularnych transakcjach, póki cała dokumentacja, cała pamięć komputerowa, nie zostanie odtworzona.

— Co to oznacza w praktyce? — zapytał Hanson.

Milczenie sekretarza obrony nie umknęło uwadze Ryana. Taki zawsze pewny siebie i swoich słów człowiek, szybki w myśleniu, a jeszcze szybszy w wyrażaniu opinii... W innej sytuacji Ryan powitałby z radością świeżo nabytą cnotę powściągliwości człowieka najbardziej odpowiedzialnego za powstały galimatias, ale teraz...

— Transakcji kupna czy sprzedaży akcji można dokonywać i poza giełdą — wyjaśnił

Fiedler. — Można to równie dobrze robić w ubikacji klubu golfowego.

— I będą się tam odbywały transakcje. Niewiele, ale będą — wtrącił Ryan.

— Czy to ma jakieś znaczenie? A inne giełdy? Przecież cały świat handluje naszymi akcjami.

— Tante giełdy papierów wartościowych nie mają takiej płynności i skali oddziaływania.

Giełdy nowojorskie wyznaczają normy i limity, w których inni się poruszają. Bez nowojorskich wskaźników nikt nie potrafi ustalić rzeczywistej wartości.

— Mają przecież dokumentację z poprzednich transakcji. Są taśmy z sesji — zauważył van Damm.

— Mają, ale dokumentacja jest bezużyteczna. Nikt nie zaryzykuje milionów, opierając się na niepewnej informacji. W pewnym sensie to nawet i dobrze, że wyciekła informacja z komisji obrotu

handlowego. To może posłużyć za dobrą wymówkę przez parę dni. I na parę dni niech ludzie pomyślą, że za spadek notowań winić należy tylko jakiś błąd systemowy, że winę ponoszą komputery. To na pewien czas zapobiegnie panice. Ile czasu potrzeba na odtworzenie dokumentacji?

— Oni jeszcze nie wiedzą — przyznał Fiedler — Nadal usiłują zgromadzić wszystkie materiały.

— W każdym razie mamy chyba czas do środy. Względny spokój. — Ryan przetarł

powieki. Miałby ochotę wstać i pospacerować, przywrócić krążenie w nogach, jednakże w tym gabinecie takie rzeczy miał prawo robić tylko prezydent.

— Odbyłem telekonferencję z prezesami wszystkich giełd — odezwał się sekretarz skarbu — Ściągną załogi do pracy, cały personel, jak normalnego dnia. Mają się z ożywieniem kręcić po parkiecie i udawać bardzo zajętych. Niech kamery telewizyjne czymś się pożywią.

— Świetny pomysł, Buzz! — pochwalił prezydent, a Ryan podniósł oba kciuki do góry.

— Szybko jednak musimy znaleźć jakieś rozwiązanie — kontynuował Fiedler — Jack ma z pewnością rację, mówiąc o środzie. W środę po południu można już spodziewać się paniki. I wówczas jedynie pan Bóg wie, co może się wydarzyć — zakończył ponurym akcentem. Jednakże tego wieczoru nie wszystkie wiadomości były tak ponure. Poza tym stwierdzono, że istnieje rezerwa czasu, w którym można to i owo zdziałać.

— Następną sprawą to Ed Kealty — Van Damm zwracał się do prezydenta — Odejdzie spokojnie, bez hałasu. Wypracowuje porozumienie z Departamentem Sprawiedliwości. Mamy z głowy polityczną ropuchę, która nas szpeciła. Powstaje teraz problem szybkiego obsadzenia tego stanowiska — Szef personelu czekał na reakcję prezydenta.

— No to mamy jeszcze czas — odparł Durling — Brett... Indie!

— Do ambasadora Williamsa doszły dość groźne pomruki. Marynarka wyciągnęła chyba właściwe wnioski. Wygląda na to, że Indie w istocie zamierzają zająć Sri Lankę.

— Wybrali świetny czas — mruknął Ryan, podnosząc głowę.

— Marynarka czeka na decyzje operacyjne. Mamy tam w pobliżu grupę uderzeniową.

Dwa lotniskowce. Marynarka chce wiedzieć, czy będzie miała wolną rękę, jeśliby nadszedł czas.

Jeśliby się, powiedzmy, potknęli o siebie — Ryan musiał to powiedzieć, gdyż dał obietnicę Jacksonowi. Ale jednocześnie znał odpowiedź. W kotle jeszcze niedostatecznie zabulgotało.

— Mamy za dużo rzeczy naraz. Ta sprawa musi poczekać — zdecydował prezydent —

Brett, dasz polecenie Williamsowi, żeby się spotkał z ich premierem i bez ogródek mu powiedział że

Stany Zjednoczone nie spoglądają przychylnym okiem na żadne agresje.

Gdziekolwiek. Żadnych pogroźek żadnej buńczuczności. Jedyne jasne postawienie sprawy. I niech czeka na odpowiedź.

— Już od bardzo dawna tak z nimi nie rozmawialiśmy — ostrzegł Hanson.

— No i nadszedł czas, żeby to zrobić — odparował spokojnie Durling.

— Tak jest panie prezydencie!

No, a teraz to, na co czekaliśmy, pomyślał Ryan. Wszystkie oczy zwróciły się na sekretarza obrony. Zaczął mówić drewnianym głosem, nie podnosząc wzroku znad notatek.

— Oba lotniskowce zawiną do Pearl Harbor w piątek. Suche doki są gotowe do ich przyjęcia i rozpoczęcia napraw, potrzeba nam będzie kilku miesięcy, by okrętom przywrócić pełną gotowość bojową. Oba okręty podwodne skreślono z rejestru, jak wszystkim wiadomo.

Okręty japońskie wycofują się na Mariany. Żadnego innego wrogiego kontaktu między naszymi okrętami nie odnotowano. Następnie siły japońskie oceniamy na trzy dywizje, przerzucone drogą powietrzną na Mariany. Jedna dywizja na Saipan, dwie prawie w całości na Guam. Japończycy wykorzystują infrastrukturę portową zbudowaną przez nas, przez nas utrzymywaną — Mówił

dalej monotonnym głosem, przekazując szczegóły znane już Ryanowi i zmierzając do konkluzji, której prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa bał się instynktownie.

Wszystko było zbyt skromne, zbyt małe. Marynarka była o połowę mniejsza w porównaniu ze stanem sprzed dziesięciu laty. Zdolność przerzucania drogą morską oddziałów desantowych została ograniczona do jednej dywizji. Tylko do jednej, a i to nawet wymagało przerzucenia całej Floty Atlantyku przez Kanał Panamski i ściągnięcia licznych okrętów z innych mórz świata. Desant z tych jednostek na zajęty przez nieprzyjaciela brzeg wymagał wsparcia, jednakże typowa amerykańska fregata była wyposażona jedynie w trzycalowe działa.

Niszczyciele i krążowniki miały po dwa działa pięciocalowe — a więc uzbrojenie znacznie gorsze od tego, jakim dysponowały pancerniki i krążowniki, które pomagały piechocie morskiej odebrać Japończykom Mariany w 1944 roku. Nie ma lotniskowców. Jedyne dwa, najbliższe Marianom, pilnują spokoju na Oceanie Indyjskim, a nawet te dwa to zbyt mało, aby przeciwstawić się przewadze w powietrzu, jaką Japończycy posiadają obecnie na archipelagu.

Rozmyślając nad tym wszystkim. Ryan poczuł w sobie wzbierający gniew, częściowo na samego siebie — iż tak długo nie był gotów w tę prawdę uwierzyć.

— Nie sędzę, abyśmy mogli to zrobić! — Tymi słowami sekretarz obrony zakończył

swoje wystąpienie i nikt z obecnych nie zamierzał temu zaprzeczyć. Ponadto wszyscy byli zbyt

znużeni, by stawiać komukolwiek jakieś zarzuty i wypominać przeszłość. Prezydent Durling podziękował za rady i poszedł do swoich apartamentów na wyższe piętro, mając nadzieję trochę się przespać przed stawieniem czoła prasie następnego ranka.

Idąc schodami, przy których na dole i na górze stali agenci Tajnej Służby, rozmyślał nad tym, jaką kompromitacją zapisze się w historii jego prezydentura. Co za wstyd! Chociaż nigdy nie pragnął tego stanowiska, to jednak zawsze starał się dać z siebie to co najlepsze. A przed paru zaledwie dniami owo najlepsze wcale nie było takie złe.

Porozumiewanie

Boeing 747-400 linii United wylądował na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie o trzy minuty przed czasem. Wiejący w ogon wiatr nad Atlantykiem znacznie skrócił lot. Pierwszy wysiadł kurier dyplomatyczny. Pomagał mu steward. Kurier mignął dyplomatycznym paszportem i stojący na końcu rękawa celnik wskazał mu przedstawiciela amerykańskiej ambasady, który podał przybyszowi rękę i przeprowadził przez salę przylotów.

— Mamy nawet eskortę do miasta — obwieścił człowiek z ambasady, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, jakby wniebowzięty niecodziennością podobnego wydarzenia.

— Ja pana nie znam — powiedział nagle kurier podejrzliwie, zwalniając kroku. W

normalnej sytuacji jego osoba i waliza dyplomatyczna były nietykalne, ale wszystko związane z tą podróżą było dalekie od normalności, co wzbudzało coraz większe zaniepokojenie kuriera.

— W walizce ma pan laptopa owiniętego żółtą taśmą. I nic więcej — odparł szef placówki CIA w Moskwie, co wyjaśniało, dlaczego kurier go nie znał. — Pańska wyprawa przez Atlantyk ma kryptonim WALEC.

— Wystarczy mi — powiedział kurier i aż do wyjścia z dworca kręcił głową. Przed wejściem czekała limuzyna z ambasady — potwornie wydłużony Lincoln. Chyba pojazd samego ambasadora. Tuż przed Lincolnem stał inny wóz. Gdy wsiedli, ruszył pierwszy, zapalając koguta na dachu i rozwinął od razu dużą prędkość. Zdaniem kuriera popełniono błąd. Lepiej było użyć samochodu rosyjskiego. Wszystko to rodziło kilka istotnych pytań: po jasną cholerę zabrano go z ciepłego domu bez uprzedzenia, aby natychmiast wiozł do Moskwy jakiś zakichany przenośny komputer? A jeśli to ma być taki wielki sekret, to co w tym wszystkim robią Rosjanie, najwidoczniej uprzedzeni o przybyciu kuriera? A z drugiej strony, jeśli to jest takie ważne, to dlaczego czekać na samolot rejsowy? Jednakże jako długoletni pracownik Departamentu Stanu kurier doskonale wiedział, jak trudno dopatrzeć się logiki w przedsięwzięciach i decyzjach rządowych. Tyle że kurier był jeszcze, do pewnego stopnia, idealistą.

Reszta drogi, aż do samej ambasady, upłynęła zupełnie normalnie. Ambasada mieściła się na zachodnim skraju samego centrum miasta, nad rzeką. Po wejściu do gmachu obaj panowie poszli prosto do centrum łączności, gdzie kurier zgodnie z poleceniem otworzył walizkę i przekazał jej zawartość. Następnie udał się do kurierskiego pokoju, wziął prysznic i poszedł spać.

Był pewien, że nikt nigdy nie odpowie mu na jego pytania.

Resztę roboty wykonali Rosjanie w rekordowym tempie. Linia telefoniczna prowadziła do Interfaxu, następnie do rosyjskiej centrali tajnych służb, skąd wojskowym światłowodem do Władywostoku, gdzie przejął ją inny światłowód, doprowadzony w swoim czasie przez Nippon Tit — japoński

koncern telefoniczno-telegraficzny. Światłowód ten prowadził na japońską wyspę Honsiu. Laptop przywieziony przez kuriera miał wbudowany modem, który został teraz podłączony do nowo zainstalowanej i sprawdzonej linii, a następnie włączony. No i teraz trzeba było cierpliwie czekać, chociaż wszystko inne wykonano w panicznym pośpiechu.

Ryan wrócił do domu na Peregrine Cliff o pierwszej trzydzięci. Przedtem zwolnił jednak szofera z bazy transportowej Białego Domu. Samochód prowadził więc agent Tajnej Służby, Robberton, któremu Ryan odstąpił pokój gościnny, po czym natychmiast poszedł do własnej sypialni. Nie zdziwił się, że Cathy nie spała.

— Co się dzieje, Jack?

— Nie masz jutro nic do roboty, że tak długo siedzisz? — odparował pytanie. Powrót do domu był w pewnym sensie błędem, chociaż koniecznym. Potrzebna mu była świeża bielizna i inne ubranie. Zwłaszcza w tak kryzysowej sytuacji. Wyższy funkcjonariusz państwowy nie może chodzić w wymiętoszonym garniturze i w brudnej koszuli. Prasa by to natychmiast podchwyciła.

A co gorsze, zarejestrowałyby to kamery telewizyjne i przeciętny widz naprawdę zacząłby się niepokoić, widząc zaniedbanego dostojnika. Ryan przypomniał sobie nauki otrzymane podczas szkolenia oficerskiego w Quantico: przestraszony oficer to przestraszeni żołnierze. Dlatego też trzeba było poświęcić dwie godziny na jazdę samochodem, zamiast wykorzystać je na sen na tapczanie w biurze.

Widział w sypialnianym mroku, jak Cathy przeciera oczy.

— Jutro rano nic nie mam. Dopiero wykład po południu dla grupy zagranicznych gości.

Na temat nowego lasera.

— Skąd są ci goście?

— Z Japonii i Tajwanu. Sprzedaliśmy im licencję na zupełnie nowy system kalibracji i...

O co chodzi? — spytała widząc, jak Ryan gwałtownie odwraca głowę.

Czysta paranoja, pomyślał. Ale to chyba jedynie zbieg okoliczności, nic więcej. Wyszedł

z sypialni bez słowa. Robberton właśnie się rozbierał, gdy Ryan wpadł do gościnnego pokoju. Na łóżku wisiał pistolet w kaburze. Wyjaśnienie sprawy zajęło zaledwie parę sekund. Robberton chwycił słuchawkę telefonu i wystukał numer centrum operacyjnego Tajnej Służby w budynku odległym o dwie ulice od Białego Domu. Ryan nie miał pojęcia, że jego żona też posiada kryptonim.

— Chirurg — no tak, jakież inne mogła mieć imię kodowe — potrzebuje jutro przyjaciela... W szpitalu Johna Hopkinsa... Tak, doskonale... Cześć! — Robberton odłożył

słuchawkę. — Andrea Price, dobra agentka. Panna. Szczupła, wiotka brunetka. Niedawno do nas dołączyła. Przez osiem lat była w policji. Służba patrolowa. Kiedyś pracowałem z jej ojcem.

Dobrze, że pan mnie o tym poinformował.

— To do zobaczenia około szóstej trzydzieści — powiedział Ryan.

— Dobra — odparł Robberton i wyciągnął się na łóżku, sprawiając wrażenie człowieka, który potrafi zasnąć na rozkaz. Warto mieć taki talent, pomyślał sobie Ryan.

Gdy wrócił do sypialni, Cathy natychmiast spytała:

— Powiesz mi wreszcie, co się tu dzieje?

Nim zaczął wyjaśniać, usiadł na krawędzi łóżka.

— Słuchaj, Cathy: jutro w szpitalu będzie ci ktoś towarzyszył... Ona nazywa się Andrea Price. Agentka Tajnej Służby. I będzie za tobą chodziła.

— Po co? Dlaczego?

— Cathy... mamy w tej chwili liczne problemy. Japończycy. Zaatakowali nasze okręty.

Zajęli kilka wysp. Nie, ty nie możesz...

— Co zrobili?

— Nie możesz, nie wolno nikomu tego powtórzyć. Rozumiesz? Ani słowa. Skoro jednak jutro będziesz w towarzystwie Japończyków i ponieważ jestem, kim jestem, Tajna Służba chce kogoś w pobliżu ciebie umieścić. Chodzi o to, żeby być absolutnie pewnym, że wszystko jest w porządku. — W istocie rzeczy chodziło o coś więcej, i z pewnością panna Price otrzyma wsparcie policyjne. Tajna Służba dysponuje skromnym potencjałem ludzkim i często chętnie zwraca się o pomoc do lokalnych policji. Policja w Baltimore jest częstym gościem w szpitalu Johna Hopkinsa, jest tam właściwie stale. Kompleks szpitalny znajduje się w niezbyt bezpiecznej dzielnicy.

— Powiedz, Jack, czy coś nam grozi? — spytała Cathy, przypominając sobie odległe czasy i dawne lęki, kiedy nosiła w sobie małego Jacka. Było to w którymś tam miesiącu ciąży, kiedy grupa irlandzkich terrorystów z ULA złożyła im wizytę w domu. Jeszcze teraz pamiętała swoją radość, i odczuwany z tego powodu wstyd, kiedy na terrorystach wykonano wyroki śmierci za morderstwa. Był to chyba najgorszy i najbardziej przerażający epizod jej życia.

Jack zdał sobie nagle sprawę z czegoś, o czym przedtem nie myślał: jeśli Ameryka jest w stanie wojny, a on jest prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa, to tym samym staje się dość istotnym celem. Wartościowym celem. I jego żona także. I dzieci, cała trójka. Że to jest irracjonalne? Czyż sama wojna nie jest rzeczą irracjonalną?

— Nie sędzę — odparł po chwili zastanowienia — ale będzie chyba lepiej, jeśli przez pewien czas posiedzą u nas... goście. Zresztą jeszcze nie wiem. Muszę zapytać.

— Powiedziałeś, że napadli na naszą Marynarkę?

— Właściwie tak. Ale nie wolno ci, kochanie...

— To oznacza wojnę, prawda?

— Sam nie wiem, kochanie. — Był tak wyczerpany, że zasnął w pół minuty po przyłożeniu gotowy do poduszki. Ostatnią jego myślą było przyznanie się samemu sobie, że wie o wiele za mało, żeby móc odpowiedzieć na pytania żony. A co dopiero na swoje.

Na południowym Manhattanie mało kto spał. Ściślej mówiąc nie spał nikt, kogo można by uważać za ważną osobę. I niejednej z nich przyszło po raz pierwszy do głowy, że ciężko pracuje na swoje pieniądze, chociaż tak naprawdę to działać mogli niewiele i niewiele działali.

Dumni z siebie odpowiedzialni operatorzy giełdowi rozglądali się po salach pełnych komputerowych terminali, a wartość zgromadzonego we wszystkich pomieszczeniach sprzętu z pewnością przekraczała ich wyobrażenia i znała ją jedynie centralna księgowość. Natomiast użyteczność tego sprzętu wynosiła w chwili obecnej zero. Po prostu zero. Zbliżała się godzina rozpoczęcia sesji giełd w Europie. I wszyscy się zastanawiali, co się tam stanie. Gdy rozpoczynały pracę europejskie kantory, banki i giełdy, tutaj dyżurowała nocna zmiana, do której obowiązków należał obrót europejskimi walorami, zwracaniem uwagi na kurs dolara na różnych rynkach, odnotowywanie ruchu cen na rynkach metali i surowców oraz ogólna obserwacja aktywności gospodarczej, zarówno na zachodnim jak i wschodnim skraju Atlantyku. Te wczesne godziny były przeważnie jakby wstępem do książki, prologiem przed prawdziwą akcją — były wydarzeniem interesującym, choć nie tak znów istotnym, bowiem ważne decyzje zapadały tu, w Nowym Jorku. Tamto to jedynie przedsmak.

Wszystko powyższe nie odnosiło się jednak do tej nocy. Nikt nie miał wątpliwości, co do wydarzeń w dniu, kiedy Europa stanie się jednym wspólnym salonem giełdowych gier i kiedy przestaną obowiązywać dżentelmeńskie reguły, a wszystkie chwytaki staną się dozwolone. Ci, którzy normalnie podczas tych nocnych godzin pełnili dyżur przy komputerach, byli traktowani jako operatorzy drugiej klasy przez tych, którzy zjawiają się tu do pracy o ósmej rano, by zająć miejsca swych poprzedników. Oczywiście taka kategoryzacja była nieuzasadniona i niesprawiedliwa, ale w każdym zespole ludzkim istnieje zażarte współzawodnictwo o palmę pierwszeństwa. Tym razem ci z godziny ósmej pojawili się podczas późnej nocy, o nieludzkiej godzinie, i regularna nocna ekipa przy komputerach ujrzała nagle nad sobą twarze ludzi z wielkich gabinetów. Dyżurujący odczuwali jednocześnie skrępowanie i podniecenie. Mieli wreszcie okazję pokazać „tym z góry”, co umieją. A jednocześnie mieli też okazję popełniać gafy na żywo i w kolorze.

Zaczęło się to dokładnie o czwartej rano według czasu wschodnioamerykańskiego.

— Obligacje! — słowo to rozległo się jednocześnie w dwudziestu domach brokerskich, gdy banki

europęjskie poczuły się nagle niepewnie z dużymi portfelami obligacji amerykańskiego skarbu. Dotychczas skrzętnie trzymały te obligacje w celu podtrzymania własnych oscylujących walut i chwiejnych gospodarek narodowych. Niektórzy maklerzy dziwili się, że piątkowe wieści tak wolno docierają do europejskich kuzynów, a raczej że ich reakcja jest taka powolna. Ale zawsze tak bywało i pierwsze ruchy zawsze były ostrożne. Wkrótce stało się jasne, dlaczego i w tym wypadku reakcja okazała się podobna. Było po prostu więcej sprzedających niż kupujących. Wielu usiłowało sprzedać amerykańskie obligacje, ale chętnych do kupna było znacznie mniej. W rezultacie ceny zaczęły spadać równie szybko, jak i zaufanie Europejczyków do dolara.

— Załatwiają nas. Dolar leci na łeb. Już o trzy trzydzieści. Co robić? — Pytanie to zostało zadane niemalże jednocześnie w wielu miejscach i w każdym wypadku padła ta sama odpowiedź.

— Absolutnie nic. — Towarzyszyło temu z reguły zrezygnowane skrzywienie ust. Po czym zaczęły padać inne słowa, przeważnie jakiś wariant określenia „pieprzeni Europejczycy”, w zależności od temperamentu i upodobań lingwistycznych prezesów, wiceprezesów i dyrektorów banków oraz instytucji finansowych. Historia się powtórzyła: ucieczka od dolara. Najwspanialsza broń, jaką Ameryka posiadała, była bezużyteczna z powodu jednego programu komputerowego, któremu wszyscy tak ufali. Przestano zwracać uwagę na tablice NIE WOLNO PALIĆ

porozwieszane w każdej z sal operacyjnych. Nie potrzebowano się martwić, iż popiół osiadzie na cennym sprzęcie komputerowym, ponieważ akurat tego dnia komputery, te cholerne komputery, do niczego nie służyły. Jeden z dyrektorów warknął, że wreszcie nastał dzień, w którym będzie można przeprowadzić konserwację sprzętu. Na szczęście nie wszyscy podzielali tę opinię.

— Widać, gdzie to się zaczęło — mruknął George Winston. Mark Gant palcem przejeżdżał kolejne pozycje na monitorze.

— Bank of China, Bank of Hongkong, Imperiał Cathay Bank. Trzy chińskie banki.

Wszystkie trzy kupiły spore pakiety mniej więcej przed czterema miesiącami jako zabezpieczenie wobec japońskiego jena. I zarobili na tym. A w piątek wszystko sprzedali za gotówkę i kupili wagon obligacji japońskich. Jeśli uwzględnimy zmianę notowań, spowodowaną wydarzeniami ostatnich godzin, to te trzy banki zarobiły na transakcji około dwudziestu dwu procent. Zarobiły tyle, ponieważ były pierwsze, ustanawiając trend pozbywania się amerykańskich papierów. —

Było to nie lada osiągnięcie. W Hongkongu, od zawsze kąpiącym się w luksusach, celebrowano to zdarzenie z pewnością czymś więcej niż paroma wspaniałymi kolacjami.

— Uważasz to za przypadek? — spytał Winston, ziewając ukradkiem.

Gant wzruszył ramionami. Był bardzo zmęczony, ale mając z powrotem takiego szefa, potrafił wiele z siebie wykrzesać.

— Nie przypadek. Nigdy. Błyskotliwe posunięcie wsparte czymś, o czym musieli wiedzieć. Nie

wierzę w szczęśliwy przypadek.

Szczęśliwy przypadek, szczęście, tak... Zdaniem Winstona element szczęścia występował

zawsze. Po paru drinkach każdy finansista przyznawał, że szczęście istnieje, jest rzeczywistością, jest absolutnie konieczne, by można było zrealizować błyskotliwe pomysły. Nieraz robiło się coś, mając tylko wewnętrzne przeświadczenie, że powinno się to zrobić. Cała tajemnica w tym, że jeśli człowiek miał szczęście, to wychodziło, jeśli nie — to nie.

— Mów dalej — polecił Gantowi.

— Po tych trzech, następne banki zaczęły robić to samo. — Holding Columbus dysponował najbardziej wyrafinowanym systemem komputerowym. Nie dorównywał mu żaden inny w promieniu kilometra od Wall Street. Można było śledzić każdą operację od jej poczęcia i każdą obligację od jej wydrukowania, Gant zaś był mistrzem komputerowej klawiatury. Obaj panowie z oczami wlepionymi w ekran śledzili proces pozbywania się amerykańskich obligacji przez inne azjatyckie banki. Ciekawe, że banki japońskie były najbardziej opieszale. Ciekawe i dziwne. Co prawda, to żadna hańba znaleźć się za Hongkongiem. Chińczycy celowali w bankowość, zwłaszcza ci, którzy mieli za sobą brytyjską szkołę. Ostatecznie to właśnie Brytyjczycy wymyślili centralny system bankowy i byli w tym absolutnie doskonali. Można jednak było spodziewać się, że Japończycy biją na głowę Tajów, pomyślał Winston, a w każdym razie powinni.

Zadziałał instynkt, jaki mają zawsze finansisci i brokerzy:

— Sprawdź obligacje japońskie, Mark! — polecił.

Gant wystukał polecenie i po chwili już było wiadomo, że wartość jena szybko wzrastała

— tak szybko, że nawet nie warto było sprawdzać przez komputer. — O to prosileś? — spytał

Mark.

Winston pochylił się nad ekranem monitora.

— Pokaż mi, co zrobił Bank of China po sprzedaniu naszych obligacji — polecił.

— Sprzedał je na rynku eurodolarowym i kupił jeny. Jest to normalna...

— Sprawdź od kogo kupił jeny — zaproponował Winston. — I ile zapłacił...

Gant spełnił polecenie i potem zaciekawiony obrócił głowę w stronę prezesa holdingu.

— Powiem ci, Mark, dlaczego zawsze zachowywałem się tu uczciwie. Nigdy nie załatwiałem nic na własne konto i dla osobistego zysku. Nigdy, nawet gdy dysponowałem bankowymi informacjami, które zapewniały sukces. — Powodów było wiele, ale George nie chciał zaciemniać obrazu.

Pochylił się nad monitorem i palcem stuknął w ekran. — Oto dlaczego!

— To przecież nic nie znaczy. — Gant jeszcze nie rozumiał. — Japończycy wiedzieli, że uda się podwindować i...

Winston przerwał mu wiedząc, że musi dokładniej wyjaśnić:

— Szukaj trendu, Mark! Znajdź trend. — Wstał i poszedł do toalety powtarzając sobie po drodze w kółko: kochany trend, drogi trend, mój przyjaciel. Nagle pojawiła się inna myśl: A niech cholera weźmie cały ten rynek finansowy!

Nie poczuł specjalnej ulgi. Uświadomił sobie, że oddał swoje sprawy w ręce drapieżnego łupieżcy i oto zbiera teraz gorzkie owoce. Straty są nieodwracalne. Inwestorzy mu zaufali, a on ich zawiódł. Myjąc ręce spojrzął w lustro i wpatrzył się w oczy człowieka, który opuścił

kapitański mostek i porzucił załogę.

Na szczęście jednak wróciłeś! I będziesz miał huk roboty, by uratować, co się da.

USS „Pasadena” wreszcie wypłynął. Chyba jedynie ze wstydu, pomyślał Jones. Słyszał

rozmowę telefoniczną Barta Mancuso z dowódcą Floty Pacyfiku. Mancuso wyjaśniał, że okręt podwodny został załadowany, jak się tylko dało, bronią oraz nieprawdopodobną liczbą kartonów z puszkami. Sterty kartonów stały we wszystkich przejściach. Racje żywnościowe na co najmniej sześćdziesiąt dni na morzu. Jones pamiętał podobne sytuacje w dawnych niezbyt dobrych dniach, kiedy również wypływano w nieskończenie długie i ciężkie rejsy. Tak więc USS „Pasadena”, okręt Marynarki Stanów Zjednoczonych, znalazł się wreszcie na pełnym morzu, płynąc na zachód z prędkością około dwudziestu węzłów, chyba tylko na pędniku, a nie na głównej śrubie.

Dlatego też trudno było wziąć na niego namiar. Okręt podwodny właśnie mijał w odległości około piętnastu mil denny hydrofon systemu *SOSUS* — jeden z tych najnowszej generacji, co to potrafi usłyszeć bicie serca płodu wieloryba. „Pasadena” nie otrzymał jeszcze rozkazów operacyjnych, ale z pewnością znajdzie się we właściwym miejscu i o właściwym czasie na wypadek, gdyby tamci mieli się pojawić. Załoga odbywała nieustanne szkolenia, ćwicząc wszystkie możliwe sytuacje, aby odzyskać pełną sprawność na pełnym morzu, co z pewnością każdemu pomoże, gdy nadejdzie chwila próby. To było bardzo ważne.

Sercem pragnął być z nimi, ale wiedział, że ta faza jego życia należy już do przeszłości.

— Nic nie ma!

Jones zamrugał i powrócił spojrzeniem na złożony w wachlarz wydruk.

— No to szukaj innych dźwięków — odparł Jones. Jedynie żołnierz piechoty morskiej z wyciągniętym pistoletem mógłby go teraz zmusić do opuszczenia stacji hydroakustycznej. Bez ogródka powiedział to admirałowi Mancuso, który z pewnością powtórzył to innym. Rozmawiali też krótko o nadaniu Jonesowi czasowego stopnia oficerskiego, na przykład komandora, ale Ron odrzucił

tę propozycję. Opuścił niegdyś Marynarkę jako bosmanmat specjalista pierwszego stopnia, i to mu zupełnie wystarczało. Jak by to wyglądało w oczach obsługujących stację podoficerów, którzy już go zaakceptowali jako swojego.

Otrzymał jednak pomocnika w osobie specjalisty-oceanografa drugiej klasy, Mike'a Boomera. Wydawał się chętny i pojętny. Jonesowi wcale nie przeszkadzało, że Boomer cierpiał

podobno chronicznie na tak zwaną chorobę powietrzną i z tego powodu musiano go przenieść ze służby na *P-3*.

— Wszyscy oni korzystają z systemów *Preria-Maska*, kiedy idą na chrapach. Słyszą wtedy jakby padanie deszczu na powierzchnię wody. A deszcz na wodzie daje tysiąc herców.

Szukamy więc deszczu... — Jones położył na stole fotografię sytuacji atmosferycznej — ...tam, gdzie deszczu nie ma. I szukamy sześćdziesięciohercowych sygnałów, krótkich, słabych impulsów, którymi w normalnych okolicznościach w ogóle byś się nie interesował. Generatory i silniki, których używają, pracują na prądzie zmiennym sześćdziesiąt herców, prawda? Następnie szukamy szybkich, przejściowych, krótkotrwałych sygnalików, małych kropeczek, podobnych do szumu tła... również tam, gdzie pada. O takich... — Zaznaczył kółkiem na wydruku. Zostawił

Boomera i podniósł wzrok na szefa stacji, który niby groźne bóstwo stał pochylony po drugiej stronie stołu.

— Wiele o panu słyszałem, kiedy pracowałem w stacji radarowej Dam Neck. Ale to chyba takie morskie opowieści — odezwał się sierżant.

— Ma pan może papierosa? — spytał Jones-cywil. Jedyny cywil w stacji. Zniknęły szyldziki z zakazem palenia, pojawiły się popielniczki, stacja hydrofonowa wstąpiła na ścieżkę wojenną i z pewnością wkrótce dołączy do niej cała Flota Pacyfiku. Boże drogi, czuję się tu naprawdę jak za dawnych lat, pomyślał Jones. — Wie pan, jaka jest różnica między morską opowieścią a bajką?

— Jaka? — okazał ciekawość Boomer.

— Bajka zaczyna się od słów: za siedmioma górami, za siedmioma lasami... — odparł

Jones z uśmiechem i zaznaczył na wydruku kolejne sześćdziesięciohercowe puknięcie.

— A morska opowieść po prostu od stwierdzenia: żebym skonał, jeśli łzę... — dokończył

wyjaśnienia szef. — Tylko że ten, co mi to mówił, wcale nie był łgarzem. Chyba już wystarczy, żeby zrobić namiar, doktorze Jones?

— Mamy go, szefie.

— Szkoda, że nie możemy mu dołożyć.

Ron pokiwał głową. — W każdym razie wiemy, gdzie go możemy dopaść. P-3 nie będą miały większych trudności, żeby go zlokalizować. To dobre maszyny. Dadzą sobie radę.

— Tak, nie należy chcieć za wiele. — Zadaniem stacji było wyznaczanie namiarów. Jeśli przynajmniej dwa hydrolokatory trafiły na to samo źródło dźwięku, to już można było przez triangulację określić położenie źródła. Ale to było jedynie kółko na mapie, a nie punkt. I to kółko mogło odpowiadać morskiemu obszarowi o średnicy nawet dwudziestu mil. Aparatura to tylko aparatura. Rządziły tu prawa fizyki.

Najdalej docierały dźwięki na najniższych częstotliwościach. Najlepszy wykres dawały wędrujące dźwięki o wysokich częstotliwościach.

— W każdym razie wiemy, gdzie go szukać, kiedy ponownie wynurzy chrapy. Tak czy inaczej może pan zawiadomić sztab operacyjny Floty Pacyfiku, że nikt się nie kręci w pobliżu lotniskowców. Tu, tu i tu są jednostki na powierzchni. — Zaznaczył ołówkiem na papierze. —

Grupy bojowe. Płyną na zachód, dość szybko i wcale się nie kryją. Kąty namiarów coraz szersze, cele się oddalają. Mamy do czynienia z całkowitym oderwaniem się. Po prostu oni nie szukają ponownego zwarcia.

— To może dobrze?

Jones wygasił papierosa w popielniczce. — Może i dobrze, szefie, pod warunkiem że nasi admirałowie podniosą dupska z foteli i razem coś wykombinują.

Najdziwniejsze było to, że wszystko jakby się uspokoiło. Poranny serwis telewizyjny dotyczący krachu na Wall Street był klinicznie czysty i dokładny, analiza sytuacji aż palce lizać.

Clark był pewien, że Amerykanie u siebie otrzymali znacznie gorszy produkt, zwłaszcza kiedy przed kamerami zasiedli uczeni profesorowie ekonomii i zaczęli się wymądrzać, a zaraz potem dla lepszego kolorytu komentowali sytuację siwi bankierzy. Jedna z gazet tokijskich napisała w felietonie redakcyjnym, że być może Ameryka przemysłu obecnie swój stosunek do Japonii. Czyż nie jest jasne, że oba kraje wzajemnie siebie potrzebują, zwłaszcza teraz, i że silna Japonia leży zarówno w interesie całej Ameryki, jak i poszczególnych segmentów społeczeństwa. Cytowano również pojednawcze słowa premiera Goto, który nie wystąpił jednak z tą wypowiedzią przed kamerami. Jak na Goto było to w istocie dość niezwykle oświadczenie i być może dlatego właśnie dość szeroko rozpowszechnione.

— Pieprzona niepewność — powiedział w którymś spokojniejszym momencie Chavez, łamiąc zakaz mówienia po angielsku. Po prostu musiał to powiedzieć. No i co z tego, pomyślał, przecież i tak Rosjanie mają teraz nad nimi operacyjną kontrolę. Jakież to dawne normy jeszcze obowiązują?

— Mów po rosyjsku! — warknął Clark.

— Tak jest, towarzyszu — odpowiedział w tym samym języku Chavez. — Może wreszcie wiesz, co się dzieje? Jest wojna czy nie ma?

— Normy i zasady to prześmieszna rzecz — powiedział Clark po angielsku, nim zdołał się powstrzymać. Cholera, i mnie to bierze, pomyślał.

Ulicą szli jeszcze inni biali, i to przeważnie Amerykanie. Japończycy znowu spoglądali na nich ze zwykłą ciekawością i podejrzliwością. Do niedawna panująca wrogość prawie wyparowała.

— No i co teraz? — spytał Chavez.

— Teraz wypróbujemy otrzymany od naszego przyjaciela numer Interfaxu. — Clark miał

już przygotowany raport. Pięknie wystukany na maszynie. To była jedyna rzecz, którą umiał, oprócz utrzymywania kontaktów i polowania na informacje. Wracając do hotelu doszedł do wniosku, że Waszyngton właściwie wie, co on ma im do powiedzenia. Gdy weszli do hotelu i przechodzili koło recepcji, urzędnik za ladą tym razem uklonił się nieco grzeczniej. Skierowali się do windy. Po dwu minutach byli już w pokoju. Clark wyjął laptopa z pokrowca, a z tyłu podłączył kabel telefoniczny i uruchomił komputer. Po minucie wbudowany modem wyrzucił z siebie impulsy specjalnego numeru, który Clark otrzymał podczas śniadania. Sygnał

błyskawicznie dotarł do Moskwy przez Morze Japońskie i Syberię. W słuchawce słychać było elektroniczny brzęczyk. Clark czekał spokojnie.

Szef ośrodka łączności ambasady doznał szoku z powodu wizyty oficera rosyjskiego wywiadu. Szybko jednak opanował się, chociaż daleki był jeszcze od radosnej akceptacji nowych obyczajów. Nadal był spięty i wzdrygnął się na głośny sygnał z komputera.

— Chytre urządzenie. Ale technika! — stwierdził rosyjski gość.

— Staramy się, jak możemy — odparł skromnie gospodarz.

Każdy, kto kiedykolwiek korzystał z modemu, rozpoznałby ten sygnał — ni to chrobot lejącej się wody, ni szuranie szczotką po parkiecie: szum, syczenie dwu elektronicznych zespołów, które usiłują się zsynchronizować, aby móc wymienić informacje. Czasami trwa to dwie sekundy, czasami pięć lub nawet dziesięć. W tych zespołach dźwięk trwał zaledwie jedną sekundę, a szum, który po nim pozostał, to już było przekazywanie wiadomości losowo wybieranym kodem. Przez światłowód docierało do komputera dziewiętnaście tysięcy dwieście znaków na sekundę, najpierw w jednym kierunku, a potem w drugim. Po zakończeniu tej prawdziwej transmisji, gdy już zamarł szum, łącze było formalnie gotowe do odbioru i nadawca na drugim końcu świata mógł nadawać swój materiał spokojnie i powoli, kilka szpalt, łącznie chyba z pięćdziesiąt centymetrów tekstu, a Rosjanie dopilnowywali, aby ukazywał się on już nazajutrz w dwu gazetach, w obu na trzeciej stronie. No bo nie było sensu pchać się z tym na pierwszą.

Nadeszła teraz najgorsza chwila dla szefa placówki CIA. Zgodnie z otrzymanym poleceniem musiał zrobić aż dwie odbitki prawdziwego raportu i jeden przekazać Rosjaninowi.

Czyżby Mary Pat przechodziła klimakterium lub straciła głowę?

— On pisze bardzo literackim rosyjskim. Niemalże językiem klasyków. Gdzie się tego nauczył? — spytał Rosjanin.

— Pojęcia nie mam — z wielką szczerością odpowiedział, oczywiście, kłamiąc, szef placówki. Jak się okazało, umiał kłamać. Najgorsze, że Rosjanin miał rację. Szef placówki zmarszczył czoło.

— Pomóc panu w tłumaczeniu? — spytał Rosjanin. O cholera! Uśmiechnął się. — Będę wdzięczny.

Pięć godzin snu. Mało. Podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu.

— Ryan, słucham?

— Tu Mary Pat. Coś mamy. Znajdzie pan na swoim biurku po przyjeździe.

— Coś dobrego?

— Dobry początek. — Była bardzo oszczędna w słowach. Nikt nie miał pełnego zaufania do radiotelefonów, bezpiecznych czy nie.

— Doktor Ryan? jestem Andrea Price. — Agentka Tajnej Służby była już w białym laboratoryjnym kitlu, do którego doczepiła plakietkę identyfikacyjną z fotografią. — Mam wujka lekarza. Internista. W Wisconsin. Bardzo chciał, żebym poszła na medycynę. — Uśmiechnęła się.

— Czy powinnam się czymś martwić? — spytała Cathy.

— Nie sędzę, naprawdę nie sędzę — odpowiedziała agentka Price i ponownie się uśmiechnęła, bo przecież podopieczni nie powinni nigdy widzieć zmartwionych twarzy swych opiekunów.

— No, a dzieci?

— Dwóch agentów pilnuje szkoły, a trzeci jest w domu naprzeciwko przedszkola. Proszę o nic się nie martwić. Płacą nam za przesadną ostrożność, i przeważnie okazuje się, że przedsięwzięte środki były zbędne, ale chyba tak samo jest w zawodzie lekarskim. Zawsze lepiej być nadmiernie ostrożnym, prawda?

— A jeśli chodzi o moich dzisiejszych gości?

— Czy mogę coś zaproponować?

— Oczywiście.

— Proszę im wszystkim dać kitle z monogramem szpitalnym. Na pamiątkę. Będę miała okazję dobrze

im się przyjrzeć w czasie, kiedy będą je wkładać.

Sprytna dziewczyna, pomyślała Cathy.

— Czy pani nosi broń? — spytała.

— Zawsze — potwierdziła Andrea Price. — Ale jej jeszcze nigdy nie użyłam. Nawet nie wyjmowałam z kabury, żeby kogoś aresztować. A poza tym... niech mnie pani nie zauważa.

Jestem muchą na ścianie.

Raczej jastrzębiem, pomyślała pani doktor. Ale przynajmniej obłąskawionym.

— A jak my to mamy zrobić? — spytał Chavez po angielsku. Z prysznicza lała się z hałasem woda. Ding siedział na łazienkowej podłodze, a Clark na misce klozetowej.

— Przecież już je widzieliśmy, prawda?

— W pieprzonej fabryce.

— I teraz musimy dowiedzieć się, dokąd je wysłano. — Pozornie było to bardzo rozsądne życzenie. Mieli zadanie określić, ile, i gdzie, a przy okazji, czy rzeczywiście rakiety przenosiły głowice nuklearne. Nic wielkiego, prawda? Chwilowo wiedzieli tylko, że są to rakiety klasy SS-19, nowa ulepszona wersja, i że opuściły fabrykę kolejną. Dokąd? Kraj miał ponad dwadzieścia osiem tysięcy kilometrów linii kolejowych. To będzie trwało. Agenci wywiadu często muszą pracować niemal tyle samo albo i więcej godzin co bankierzy. Clark postanowił umyć się pod prysznicem przed pójściem spać. Jeszcze sam nie wiedział, jak podejść do problemu, ale zamartwianie się na śmierć nic mu nie pomoże. Dawno już doszedł do wniosku, że pracuje mu się i myśli znacznie lepiej po ośmiu godzinach snu. Zdarzało się jednak, że i pod prysznicem przychodziła mu do głowy odkrywcza myśl. Ding musi się tego wszystkiego nauczyć wcześniej czy później, doszedł do wniosku, widząc wyraz twarzy chłopaka.

— Cześć, Betsy! — powitał Jack kobietę czekającą z jakimś mężczyzną w poczekalni przy gabinecie.

— A pan?

— Chris Scott. Pracuję razem z Betsy.

Ruchem ręki zaprosił ich do gabinetu, gdzie przede wszystkim sprawdził, czy na faksie jest przekazana przez Mary Pat informacja od Clarka i Chaveza. Dostrzegłszy ją, postanowił

odłożyć chwilowo lekturę. Betsy Fleming znał jeszcze z okresu swej pracy w CIA. Była ekspertem-samoukiem od broni strategicznych. Przypuszczał, że Chris Scott jest jednym z owych dzieciaków rekrutowanych zaraz po otrzymaniu uniwersyteckiego dyplomu. W każdym razie młodzieniec był na tyle grzeczny, że powiedział, iż pracuje z Betsy. Ryan też przed laty pracował

z Betsy, kiedy zajmował się negocjacjami w sprawie ograniczenia zbrojeń.

— No dobrze, z czym przychodzicie?

— Oto jest coś, co oni nazywają rakieta nośną *H-11* do wynoszenia na orbitę satelitów. —

Scott otworzył teczkę i wyjął z niej kilka fotografii. Zdjęcia były dobre, wyraźne, zrobione z autentycznych negatywów, z bliska, a nie elektroniczne pstryknięcie przez materiał kieszeni.

Jakość zdjęć była tak dobra, że Ryan z miejsca bez trudu poznał znajomą sylwetkę, o której sądził, że przestała istnieć, godnie pogrzebana przed niespełna tygodniem.

— Nie ma wątpliwości! To jest *SS-19*. I jaka ładna! — Na drugim zdjęciu cały rząd takich samych rakiet ułożonych na posadzce hali fabrycznej. Jack policzył rakiety i skrzywił się.

— Co jeszcze powinienem wiedzieć? — spytał.

— Proszę się przyjrzeć głowicy — powiedziała Betsy.

— Wygląda zupełnie zwyczajnie — stwierdził Ryan.

— Otóż to. Głowica jest normalna. Normalna jak na pocisk, na ładunek bojowy —

zwrócił uwagę Scott — ale nie jak na satelitę telekomunikacyjnego, którego ma wynieść na orbitę. Pisaliśmy już w tej sprawie raporty, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. A jeśli idzie o rakieta nośną, to naszą ptaszynę całkowicie przekonstruowano. Mamy pełną ocenę jej nowych możliwości.

— Pokróćce. W najgorszej wersji?

— Uniesie sześć, a nawet siedem niezależnie naprowadzanych głowic nuklearnych *MRV*

na ponad dziesięć tysięcy kilometrów. To jest realistyczne maksimum tego, co może.

— Sporo. Czy już przetestowali głowice? Poddali próbom rakieta nośną?

— Brak danych. Mamy wyrywkowe informacje z próbnych lotów rakiety. Dostarczył je satelita, który dozoruje Pacyfik. To, co mamy, trudno zinterpretować. Obserwacje są wieloznaczne, niepełne.

— Ile tych ptaszynek wyprodukowali?

— Wiemy o dwudziestu pięciu. Trzy z nich wykorzystano do lotów próbnych, dwie są na wyrzutni, gdzie montują na nich orbitalne pojemniki. Zostało dwadzieścia.

— Jakie pojemniki? Co w nich jest?

— Faceci z NASA sądzą, że satelity szpiegowskie. Fotosatelity przekazujące na bieżąco dane na

ziemię. Chyba mają rację — zauważyła ponuro Betsy.

— Tak, najprawdopodobniej postanowili włączyć się w biznes wywiadu satelitarnego.

Wszystko staje się jasne. W najgorszym wypadku grozi nam dwadzieścia raket przenoszących po siedem głowic *MRV*, razem sto czterdzieści głowic nuklearnych.

— O to właśnie chodzi, doktorze Ryan — chórem odpowiedzieli Scott i Betsy. Oboje byli profesjonalistami i dlatego uważali za zbędne wyjaśnienie Ryanowi, jak poważna jest to groźba.

On sam to wiedział najlepiej. Japonia miała teraz realne możliwości unicestwienia stu czterdziestu amerykańskich miast. Ameryka wprawdzie była zdolna w krótkim czasie odzyskać zdolność przekształcenia japońskich wysp w stos popiołów, ale czyż to było wielkim pocieszeniem? Chyba nie. Ponad czterdzieści lat życia w „równowadze strachu” — okres, który przed niespełna siedmioma dniami uznano za bezpowrotnie skończony — obecnie powracał.

Niech to wszyscy diabli!

— Wiecie coś o źródle, które wykonało te zdjęcia?

— Wiesz dobrze, że nigdy nie ujawniamy źródeł — odparła Betsy głosem karcącej nauczycielki. — I wiesz dobrze, że ja sama nigdy o to nie pytam. Jednakże ktokolwiek miałby to być, działał jawnie. To nie są zdjęcia robione Minoxem. Założę się, że to był ktoś, kto pozował

na dziennikarza. Nie martw się, nic nie powiem. — I obdarzyła go swoim uśmiechem urwisa.

Pracowała w tej branży dość długo, by móc poznać wszystkie metody owijania sobie ludzi wokół palca.

— Są to wysokogatunkowe zdjęcia — przejął pałeczkę Chris Scott, zachodząc w głowę, jakie to chody miewa Betsy, jeżeli może zwracać się do prezydenckiego doradcy po imieniu. —

Drobnoziarnisty film, bardzo często takimi negatywami posługują się fotografowie prasowi. Aha, chcieli, abyśmy wiedzieli, że ich wpuszczono do fabryki. Faceci z NASA! Tak, byli tam.

— Wyobrażasz sobie?! — Pani Fleming zaczęła energicznie kręcić głową.

I Rosjan też wpuścili, przypomniał sobie Ryan. Dlaczego ich właśnie? — Macie coś jeszcze? — spytał.

— Owszem, proszę! — Scott położył przed Ryanem dwa inne zdjęcia. Przedstawiały stojące na torach potężne platformy. Na jednej był już zamontowany żuraw, na drugiej sterczały jedynie specjalne zaczepy. — Najwidoczniej wolą przewozić je koleją, niż na ciągnikach drogowych. Facet, który robił zdjęcie, zmierzył rozstaw osi. Standardowy.

— Co znaczy, standardowy? — spytał Ryan.

— Chodzi o tory. O ich szerokość. My stosujemy standardową szerokość. I większość krajów świata. W Japonii większość torów ma mniejszy rozstaw. Ciekawe, że Japończycy nie skorzystali ze wzoru rosyjskiego i nie skopiowali ich transportera do przewożenia rakiet. Może mają za wąskie szosy. — Scott wzruszył ramionami. — A może po prostu wolą kolej. W każdym razie mają linię kolejową o standardowym rozstawie torów. Stąd — wskazał na mapie — do Yoszinobi. Jestem trochę zdziwiony osprzętem platform. Zamontowane na nich łoża odpowiadają mniej więcej rozmiarami kokonowi, jaki Rosjanie wymyślili dla rakiety. Mówię o kokonie do transportu. I właśnie dziwi mnie, że skopiowali platformę-transporter z wyjątkiem kokonu. I to jest wszystko, co mamy, proszę pana — zakończył.

— Dokąd teraz jedziecie?

— Za Potomak, zobaczyć się z facetami z zwiadu satelitarnego — odparł Chris Scott.

— Świetnie! — Ryan w oboje wymierzył palcem i dodał: — Powiedźcie im, że to cholernie pilne. Muszą mi te rakiety odnaleźć. I to odnaleźć, i umiejscowić na wczoraj.

— Wiesz, że chłopaki się starają, jak mogą, Jack I kto wie, czy Japończycy nie zrobili nam przysługi, wysyłając je kolejną — zakończyła Betsy Fleming, wstając z krzesła.

Przed pożegnaniem gości Jack ułożył zdjęcia i poprosił o jeszcze jeden komplet.

Następnie sprawdził godzinę i zadzwonił do Moskwy. Miał nadzieję, że Siergiej też nie trzyma się godzin biurowych.

— Dlaczego, do cholery, sprzedaliście im plany *SS-19*? — zaczął. Odpowiedź była brutalna. Być może Gołowko był także niewyspany — Dla pieniędzy, oczywiście. Z tego samego powodu, z jakiego wy sprzedaliście im system przeciwlotniczy *Aegis*, *F-15* i wszystkie...

— Dziękuję, kolego, zasłużyłem na to — odparł Ryan, krzywiąc twarz w kwaśnym uśmiechu. Gołowko miał rację. — Według naszej oceny mają ich teraz dwadzieścia.

— To by odpowiadało temu, co już wiemy. Nasi ludzie nie odwiedzili jeszcze fabryki, więc dokładnych danych nie mamy.

— Nasi odwiedzili — burknął Ryan. — Chcecie parę zdjęć?

— Chętnie przyjmujemy, Iwanie Emmetowiczu.

— Będzie pan je miał jutro na biurku — obiecał Jack — Mamy już ekspertyzę.

Chciałbym wiedzieć, co o niej sądzą wasi ludzie. — Na chwilę zamilkł, a potem ciągnął dalej —

Najgorszy scenariusz to siedem niezależnie naprawdzanych głowic na rakiety. Łącznie sto czterdzieści głowic.

— Wystarczy dla was i dla nas — odparł Gołowko — Pamięta pan, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, w trakcie negocjacji na temat pozbycia się tych paskudztw? — Gołowko usłyszał prychnięcie Ryana. Ale nie słyszał myśli Ryana.

Tak, pamiętam. A po raz pierwszy stałem blisko tego paskudztwa, jak go nazywasz, przyjacielu, kiedy znalazłem się na pokładzie waszego okrętu podwodnego uzbrojonego w rakiety balistyczne, „Czerwony Październik”. O, pamiętam, poczułem mrówki na ciele, jakbym stanął w pobliżu samego Lucyfera. Ryan nigdy nie entuzjasmował się bronią raketową. Nigdy nie był jej rzecznikiem. Zgadzał się z tym, że być może dzięki nim panował przez czterdzieści lat pokój, być może nieustanna myśl o broni nuklearnej zniechęcała jej posiadaczy do pochopnych myśli, które od początku historii ludzkości zbyt często świtały w głowach władców. I być może tym razem ludzkość, dzięki wzajemnemu zastraszeniu, miała przez jakiś czas z głowy globalne konflikty.

— Sytuacja robi się poważna, Jack — zauważył Gołowko. — A skoro już rozmawiamy nasz oficer spotkał się z waszymi agentami. Zdał mi raport. Ocenia ich pozytywnie. I przy okazji dziękuję za kopię raportu. Były tam informacje, których poprzednio nie posiadaliśmy. Nic nadzwyczajnie ważnego, ale mimo to dość interesujące. Powiedz mi, czy oni potrafią wyłuskać te rakiety?

— Wydaliśmy im polecenie — zapewnił Ryan.

— Moi ludzie też je otrzymali. Nie obawiaj się, Iwanie Emmetowiczu, znajdziemy je.

Gołowko najwidoczniej uważał, że powinien był dać to zapewnienie. I z pewnością myślał to samo, co Ryan że jedynym powodem nie wystrzelenia tych rakiet był fakt, że obie strony je posiadały. Byłoby to podobne do grożenia lustru. Lustro wszystko odbija. Ale teraz sytuacja się zmieniła, prawda? I stąd następne pytanie Ryana.

— A kiedy je umiejscowimy, to co wówczas?

— Zdaje się, że Amerykanie znają takie powiedzenie „wszystko w swoim czasie”?

I do czego to doszło, pomyślał Ryan. Kto to mnie pociesza? Cholerny Rosjanin.

— Dziękuję, Siergieju Mikołajewiczu, chyba i na tę odpowiedź zasłużyłem.

— Więc dlaczego sprzedaliśmy Citibank?

— Kazał pozbyć się instytucji nieodpornych na fluktuacje kursów walut — odparł Gant

— I miał rację Pozbyliśmy się tego banku w samą porę. Sam zobacz — Mark wystukał

odpowiednią instrukcję na klawiaturze i po chwili pojawił się na ekranie grafik przedstawiający notowania akcji banku w poprzedni piątek. W istocie straciły bardzo dużo na wartości i obrót mmi został wstrzymany. Stało się to głównie dlatego, że Columbus, który przez poprzednie pięć tygodni kupował spore pakiety akcji nowej emisji, po potrzymaniu ich trochę, nagle rzucił na rynek. Podcięło to zaufanie do akcji — W każdym razie u nas rozległy się dzwonki alarmowe i dlatego.. — zakończył Gant.

— Mark, Mark! Akcje Citibanku to niemal symbol trwałej wartości. Tak zawsze było, prawda? — Winston mówił spokojnie. Nie było sensu zrażać sobie Ganta.

Gant szeroko otworzył oczy. — No tak, właściwie tak. Zawsze tak było.

I w tym momencie jaskrawe światelko zabłyśło w głowie Winstona. Nie było powszechnie wiadomo, jakich metod używają tak zwane mistrzowskie programy, aby mieć pełny wgląd na rynek finansowy. Zresztą różne metody i sposoby zazębiały się. Monitorowaniu całego rynku towarzyszyło ściśle przyglądanie się tak zwanym akcjom wzorcowym, właśnie takim jak akcje Citibanku, z tych bowiem obserwacji wnioskować było można o trendach. Były akcje, które na przestrzeni długiego okresu zachowywały się tak, jak większość pozostałych, ze skłonnością do ogólnej stabilizacji. Ich wahania w dół i w górę były wolniejsze, niż emisji spekulacyjnych, które pięły się w górę szybciej. Był po temu jeden powód przy nieustannych wahaniami giełdowych, nawet w najkorzystniejszych sytuacjach, zamysłem każdego kupującego akcje jest nie tylko okazjonalne trafienie na fuksa, ale zabezpieczenie posiadanych pieniędzy przez kupno tak zwanych pewnych akcji, pewniaków — a że nie ma pewniaków w okresie, kiedy sytuacja ogólna staje się niepewna, to udowodnił miniony piątek. Z tych powodów owe wzorcowe emisje miały największe powodzenie, gdyż wielokrotnie okazały się najlepszą lokatą.

Ten oczywisty błąd był bardzo rozpowszechniony. Kostka do gry i koło ruletki nie mają pamięci.

Owe wzorcowe akcje były wzorcowymi dlatego, że emitujące je przedsiębiorstwa tradycyjnie miały sprawne kierownictwo. W miarę upływu czasu kierownictwa zmieniają się, przychodzą nowe. I nie na stabilność akcji należy bacznie spoglądać, ale na stabilność kierownictwa. Ono zapewnia sukces. Rzadko zdarzały się wyjątki, stabilność i zaufanie do konkretnych akcji były wyznacznikiem trendów. A trend był trendem jedynie dlatego, że ludzie sądzili, iż nim jest i, tak myśląc, prowokowali jego powstanie. Skomplikowane, a zarazem niesłuchanie proste. Winston traktował te wzorcowe akcje jedynie jako wskazówkę na temat tego, co ludzie będą kupowali.

Trendy dla Winstona były psychologicznymi bodźcami i jednocześnie wskazówką, co gracze giełdowi robią, jak daleko dadzą się zwieść sztuczному modelowi. Ludzi mniej interesowała wydajność produkcyjna owego modelu, niż jego aura. Gant dostrzegał to inaczej, podobnie jak większość techników operacji giełdowych.

Sprzedając akcje Citibanku, Columbus sprowokował zapalenie się czerwonego światelka w głowach własnych brokerów za konsolami giełdowych komputerów. Nawet człowiek tak błyskotliwy jak Mark zapomniał, że Citibank jest częścią cholernego modelu.

— Pokaż mi portfele akcji innych banków — polecił Winston.

— Następny poszedł Chemical Bank, ciągnąc za sobą innych — powiedział Gant. —

Potem był Manny Hanny i inni. Na szczęście przewidzieliśmy to i przenieśliśmy się na metale i złoto. Kiedy opadną dymy, będzie widać, że postąpiliśmy rozsądnie. Żadnej nadzwyczajnej korzyści, ale dobrze. — Gant przywołał na ekran ogólne zestawienie wszystkich transakcji, chcąc pochwalić się prezesowi czymś, co jego zdaniem zrobił świetnie. — Wziąłem pieniądze z krótkiej wyprawy na Silicon Alchemy i przenieśliśmy je na General Motors oraz...

Winston poklepał go po ramieniu. — Później, Mark. Już zresztą widzę, żeś dobrze pograł.

— Tak czy inaczej wyprzedziliśmy jedynie trendy. Oczywiście, trochę oberwaliśmy, gdy przyszło do rozliczenia, i musieliśmy poświęcić trochę pewniaków, ale to przydarzyło się wszystkim.

— I niczego nie zauważyłeś, Mark?

— Co miałem zauważyć?

— Myśmy nie wyprzedzali trendu. Myśmy go ustanawiali...

Mark gwałtownie zamrugał oczami i Winston wiedział już, że niczego nie zrozumiał.

Dokumentacja

Wykład zakończył się aplauzem i po jego zakończeniu Cathy Ryan odebrała pięknie opakowane pudełko z rąk profesora chirurgii oka na uniwersytecie w Cziba, przewodniczącego delegacji japońskiej. Otworzywszy pudełko Cathy ujrzała jedwabny szal w wodnistoniebieskim kolorze, haftowany bogato złotą nitką. Robota sprzed co najmniej stu lat.

— Ten kolor pasuje do pani oczu, pani profesor Ryan — z uśmiechem szczerego zachwytu powiedział jej japoński kolega. — Obawiam się jedynie, iż nie jest to zadowalające zadośćuczynienie za to, czego się tu dziś nauczyłem. Do mojego szpitala przychodzą setki pacjentów diabetyków. Mam teraz nadzieję przywrócić wielu z nich wzrok stosując pani technikę. Wspaniałe odkrycie, pani profesor! — skłonił się głęboko z prawdziwym szacunkiem.

— Lasery pochodzą z pańskiego kraju — odparła Cathy. Właściwie nie była pewna, jak powinna się zachować, co okazywać. Otrzymała wspaniały prezent. Jej rozmówca wydawał się być autentycznie szczerzy, a jednocześnie jego kraj mógł być już w tej chwili w stanie wojny ze Stanami. Dlaczego nie ma nic na ten temat w wiadomościach? A jeśli istniał stan wojny, to on powinien już być internowany jako obywatel przeciwnej strony. Czy powinna być wobec niego pełna uprzejmości? Był jej uczonym kolegą. Czy też okazywać zimny stosunek jak wobec wroga? Co się właściwie dzieje? Zerknęła w kierunku Andrei Price, która stała oparta o ścianę.

Agentka założyła ręce i uśmiechnęła się.

— Tak, ale pani nas nauczyła, jak je z lepszym skutkiem używać. Wspaniały rezultat klinicznych badań! — Japończyk obrócił się do swoich kolegów i podniósł obie dłonie wysoko nad głowę. Gromadka lekarzy zaczęła klaskać, a zaczerwieniona Cathy Ryan pomyślała, że jednak być może otrzyma któregoś dnia statuetkę Laskera, by nią ozdobić etażerkę. Każdy osobno pożegnał się z nią podając rękę, a potem cała grupa wsiadła do czekającego przed wejściem autobusu, który miał zawieźć gości do restauracji Stouffera na Pratt Street.

Kiedy już sobie wszyscy poszli, Andrea Price spytała, czy może obejrzeć szal. Cathy podała go jej.

— Śliczny. Będzie pani musiała kupić sobie do niego nową suknię — powiedziała agentka.

— A więc nie było po co robić tyle hałasu — zauważyła doktor Ryan. Ciekawe, że w piętnaście sekund po rozpoczęciu wykładu o wszystkim zapomniała.

— I nie było po co się martwić. Powiedziałam pani, że nie spodziewam się kłopotów.

Andrea Price z pewnym ociąganiem zwróciła szal. Ten drobniutki Japończyk miał rację, pomyślała. Szal pasuje do jej oczu. Często przedtem słyszała o „żonie Jacka Ryana”, zresztą o operacyjnej sprawności pani doktor Ryan także. — Od jak dawna pani to robi?

— Operacje siatkówki? — Cathy zamknęła notes. — Zaczęłam od powierzchni oka jeszcze przed urodzeniem małego Jacka i pracowałam prawie do jego urodzenia. Potem zaczęłam się zastanawiać i badać charakter naturalnego przywierania siatkówki do oka i jak można by sztucznie podczepiać siatkówki odklejone. Potem zaczęliśmy się zastanawiać nad sposobem usprawniania naczyń krwionośnych. Bernie pozwolił mi pójść własną drogą, dał mi wolną rękę.

Otrzymałam stypendium Instytutu Zdrowia, no i tak jedno pociągało za sobą drugie...

— I teraz jest pani światowej sławy specjalistą. Na pierwszym miejscu.

— Aż pojawi się ktoś z lepszymi dłońmi ode mnie i nauczy się, jak to robić. — Cathy uśmiechnęła się. — Może i jestem najlepsza. W każdym razie przez najbliższe kilka miesięcy.

— Jak tam nasza czempionka? — wykrzyknął Bernie Katz, wpadając do sali. Zaskoczony spojrzał na obcą osobę. Zdziwiła go plakietka na kitlu Andrei Price. — Czy ja panią znam? —

spytał.

— Andrea Price! — Nim podała mu rękę, obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Od stóp do głów.

— Tajna Służba.

— Gdzie były takie policjantki, kiedy ja studiowałam? — odparł z galanterią chirurg.

— Bernie był tutaj jednym z moich pierwszych mentorów — wyjaśniła Cathy. — Teraz jest dziekanem i kimś tam jeszcze.

— Człowiekiem, którego nasza obecna tu koleżanka w najbliższym czasie prześcignie w prestiżu. Niosę dobre wieści. Mam swojego szpiega w komitecie laskerowskim. Jesteś w ścisłym finale, Cathy.

— Co to jest Lasker? — spytała Andrea Price.

— Lasker to krok do Nagrody Laskerowskiej. Po tę ostatnią trzeba jechać do Sztokholmu

— wyjaśnił Bernie.

— Tego na pewno nigdy nie otrzymam, Bernie. Sam Lasker już byłby wyczynem.

— No to szukaj, węższ, badaj dalej, dziewczyno! — Katz uścisnął Cathy i pognął.

Chciałabym, chciałabym, bardzo bym ją chciała mieć, powtarzała sobie Cathy w milczeniu, i nie musiała mówić głośno. Agentka Andrea Price z wyrazu twarzy swojej podopiecznej doskonale wiedziała, o czym ona myśli. Znacznie lepsza zabawa, niż pilnowanie polityków. Ciekawsza.

— Czy mogłabym zobaczyć jakąś pani operację?

— Jeśli pani chce. W każdym razie idziemy stąd. — Cathy wróciła do swego gabinetu, nie zwracając uwagi na towarzyszącą jej osobę. Po drodze wpadła na oddział szpitalny, a następnie do jednego z laboratoriów. Potem, nagle, jak wryta zatrzymała się pośrodku korytarza, sięgnęła do kieszeni i wyjęła mały notes.

— Co się stało? — spytała agentka. Właściwie to wiedziała, że zbyt dużo mówi, ale z drugiej strony trzeba poznać wszystkie cechy i zachowania podopiecznych. Doszła też do wniosku, że Cathy Ryan nie lubi nadopiekuńczości i dlatego należało znaleźć inny klucz — może właśnie familiarność.

— Musi się pani do mnie przyzwyczać — odparła Cathy z uśmiechem, bazgrząc coś w notesie. — Ilekroć przychodzi mi do głowy jakiś pomysł, to natychmiast go zapisuję.

— Nie ufa pani własnej pamięci?

— Nigdy. Nie wolno ufać pamięci w sprawach, które dotyczą życia pacjentów. To jest jedna z pierwszych zasad, których uczą w szkołach medycznych. — Cathy skończyła notowanie i potrząsnęła głową. — W tym zawodzie nie wolno polegać na pamięci. Można zbyt wiele napsuć.

Jeśli się czegoś nie zapisało, to znaczy, że tego w ogóle nie było.

Idąc korytarzem za Cathy Andrea Price pomyślała, że tę lekcję warto zapamiętać. I jakże do tej kobiety pasuje kryptonim Chirurg, jakim ją obdarzono. Zawiera wszystko — precyzję, bystrość, sumienność. Może byłaby nawet dobrą policjantką, gdyby nie to wyraźne skrepowanie na widok rewolweru.

Przez dobre trzydzieści lat lotnictwo japońskich Sił Samoobrony zawsze reagowało na ożywioną aktywność rosyjskich myśliwców startujących z wysuniętej bazy o nazwie Dolińsk Sokół. Początkowo Japończycy latali razem z Amerykanami. Jeden z często obieranych przez Rosjan szlaków otrzymał nawet miano „Tokijskiego Ekspresu”, a autor tego kryptonimu najprawdopodobniej nie kojarzył go nawet z określeniem stosowanym 1942 roku przez amerykańskich *marines* na Guadalcanal.

Ze względów bezpieczeństwa, *E-767* stacjonowały w bazie 6. Pułku lotniczego w Komatsu, w pobliżu Tokio, oba natomiast *F-15J* operujące pod nadzorem *E-767* — obecnie lecące nad miastem Nemuro na północno-wschodnim cyplu wyspy Hokkaido — pochodziły z bazy w Czitose. Znajdowały się aktualnie o sto mil morskich od brzegu, uzbrojone w osiem rakiet każdy — z czego cztery naprowadzane radarem, a cztery na podczerwień. Wszystkie rakiety były uzbrojone w głowice bojowe. Potrzebowały jedynie celu.

Było po północy lokalnego czasu. Wypoczęci i czujni piloci siedzieli przypięci pasami do foteli, które w razie potrzeby mogli wraz ze sobą wystrzelić z samolotu. Oczy mieli wlepione w ciemność nocy, wyczulonymi palcami korygowali kurs za pomocą drążka. Ich radary pokładowe były wyłączone, a chociaż samoloty błyskały antykolidyjnymi światłami, piloci mogli je natychmiast w razie konieczności wyłączyć, czyniąc swoje maszyny niewidzialnymi.

— Orzeł Jeden Pięć — usłyszał w słuchawkach dowódca patrolu. — Rejsowy samolot pięćdziesiąt

kilometrów zero-trzy-pięć, kurs dwa-jeden-pięć.

— Odebrałem, Kami — potwierdził pilot, strojąc odbiornik radiowy. Kami było sygnałem wywoławczym krążącego gdzieś hen wysoko samolotu nadzoru całej operacji. W

potocznym języku japońskim *kami* ma wiele znaczeń, przeważnie ze strefy nadprzyrodzonej.

Może określać zjawę, duszę i duchy. Dlatego też słowo *kami* stało się homonimem duchów opiekuńczych, troszczących się o dobro kraju. Instrumentem działania duchów, ich stalowym ramieniem były właśnie samoloty *F-15J*. Duchy opiekuńcze dostarczały woli działania, samoloty czystą siłę. Zgodnie z otrzymanym poleceniem, oba samoloty zaczęły się wspinać przez pięć minut łagodnym niebiańskim stokiem, łaskawym dla paliwa. Osiągnęły wreszcie pułap dwunastu tysięcy metrów, lecąc z prędkością około ośmiuset kilometrów na godzinę, oddalając się od brzegów Japonii. Radary miały nadal wyłączone, ale oto w pewnym momencie piloci otrzymali na ciekłokrystalicznym ekraniku radioodbiorników cyfrową dyspozycję — było to techniczne udoskonalenie, którego Amerykanie jeszcze nie posiadali. Dyspozycja pochodziła z powietrznego ośrodka dowodzenia, mieszczącego się właśnie na krążącym w górze Kami.

Dowódca pary *F-15J* żałował jednak, że nie zrobiono czegoś, co by mu pozwoliło spokojniej odczytywać dyspozycje. Obecnie musiał nieustannie przenosić wzrok z ciekłokrystalicznego ekraniku radioodbiornika na instrumenty położone wyżej. Z pewnością następna seria sprzętu zostanie zmodyfikowana.

— Tam! — powiedział krótko przez radio krótkiego zasięgu.

— Mam go! — odparł pilot drugiego samolotu.

Oba myśliwce skrzyły w lewo, schodząc na pułap, na którym leciał samolot rejsowy, najprawdopodobniej *767-ER* linii Air Canada. Tak, nie było wątpliwości, że jest to Air Canada, na podświetlonym ogonie widać było liść klonowy, emblemat linii. Z pewnością samolot leciał

przez biegun z Toronto do Narity. Prawie o zapowiedzianym czasie. Myśliwce zbliżały się od ogona — zwiększając nieznacznie odstęp między sobą. Chodziło o to, aby nagłe przyspieszenie spowodowane ruchem powietrza nie wpakowało ich prosto na ogon samolotu rejsowego. Lekkie wstrząsy poinformowały pilotów, że tkwią w rozedrganym gorącym śladzie „ciężkiego”, szerokokadłubowego samolotu cywilnego. Prowadzący zbliżył się tak, że leciał równolegle z *Boeingiem* i widział rząd okienek oświetlonej kabiny, dostrzegając silniki pod skrzydłami i bulwiasty nos kalifornijskiego produktu Boeinga. Kluczem wystukał raport przez radio.

— Tu Kami, Orzeł Jeden Pięć.

— Tu Orzeł.

— Rozpoznanie zakończone Air Canada siedem-sześć-siedem. Echo Romeo, kurs i prędkość zgodne z rozkładem — Regulamin nadgranicznych bojowych patroli powietrznych przewidywał używanie języka angielskiego, owego międzynarodowego języka braci lotniczej całego świata. Wszyscy piloci znali angielski i ułatwiało to porozumiewanie się w istotnych sprawach.

— Zrozumiałem — Otrzymałszy kolejną instrukcję, oba myśliwce oderwały się od Boeinga i powróciły na swój regularny obszar patrolowy. Kanadyjscy piloci samolotu rejsowego nie mieli pojęcia i nigdy się nie dowiedzą, że dwa uzbrojone myśliwce zbliżyły się do nich na odległość trzystu metrów. Skąd zresztą piloci mogli w ogóle przypuszczać, że podobna rzecz jest możliwa. Panował pokój, w każdym razie w tym rejonie.

Jeśli idzie o pilotów obu myśliwców, to ci wykonywali swoje nowe zadania z filozoficznym spokojem, podobnie jak narzucone tymi zadaniami zmiany w trybie życia. Aż do odwołania, co najmniej dwa myśliwce miały odtąd patrolować ten rejon, korzystając ze wsparcia dwóch dalszych myśliwców przy piątym stopniu pogotowia i następnych czterech w wypadku hasła „plus trzydzieści” Wszystkie te myśliwce stacjonowały w bazie Czitose. Dowódca tamtejszego pułku lotniczego nalegał na swoich przełożonych, aby mu pozwolono podnieść stan gotowości bojowej, gdyż mimo słów płynących z Tokio, kraj był w stanie wojny. Dowódca wyraźnie obwieścił to swoim ludziom. I w pierwszej pogadance instruktażowej dla pilotów i starszych oficerów służb naziemnych powiedział, że Amerykanie są groźnymi przeciwnikami.

Sprytnymi, przebiegłymi i agresywnymi w najwyższym stopniu. A co gorsza, jeśli bardzo czegoś chcą, są nieprzewidywalni, jeśli idzie o metody, odwrotnie niż Japończycy, którzy, skoro już raz ruszą w jakimś kierunku, to nigdy nie zmieniają planowania i łatwo ich rozszyfrować. Słyszając to piloci myśleli sobie, że może właśnie dlatego otrzymali nowego dowódcę. Jeśli sprawy pójdą za daleko, to właśnie tu nastąpi pierwsze starcie z wrogiem. Dowódca chciał być na to przygotowany, bez względu na koszty, jakie to za sobą pociągało — w pieniądzach, paliwie, zmęczeniu załóg. Ale piloci w pełni aprobowali postępowanie dowódcy. Wojna to rzecz poważna, a chociaż wojna była dla nich zupełną nowością, nie uchylali się od ciężaru odpowiedzialności, jaką ze sobą niosła.

Najbardziej frustrujący stanie się wkrótce element czasu, pomyślał Ryan. Tokio wyprzedzało Waszyngton o czternaście godzin. Była tam teraz noc jutrzejszego dnia. Bez względu na to, jak błyskotliwy okazałby się pomysł, który mógłby mu teraz przyjść do głowy, trzeba będzie czekać wiele godzin na jego wdrożenie. To samo dotyczyło sztabu operacyjnego, ale ten miał przynajmniej bezpośrednią łączność z siłami admirała Dubro. Dostarczenie poleceń Clarkowi i Chavezowi wymagało pośrednictwa Moskwy, a następnie włączenia do akcji rezydenta placówki rosyjskiego wywiadu w Tokio — czego nie należało czynić zbyt często —

lub wysłania depeszy via modem bezpośrednio do komputera Clarka, co było możliwe jedynie wtedy, gdy Clark miał komputer włączony, by wysłać wiadomość do Agencji Prasowej Interfax w Moskwie. W każdym wypadku poszczególne elementy takiej operacji odbywać się będą o innym faktycznym czasie, a od takich drobiazgów często zależy czyjeś życie.

Informacja, informacja! Do tego się wszystko streszczało. Zawsze chodzi i będzie chodzić o informację. W odpowiednim czasie, odpowiednio szybko Najważniejsze jest wiedzieć zawsze i o każdej porze, co się dzieje. Co robi druga strona? Co myśli?

Co oni chcą właściwie osiągnąć?

Wojna zawsze wybucha z przyczyn ekonomicznych. To jedna z niewielu słusznych obserwacji Marksa. Ryan powiedział prezydentowi, że to jest po prostu zachłanność, zbrojna napaść z chęci zysku. Na wysokim szczeblu rozważań na temat racji stanu nazywa się to Oczywistym Przeznaczeniem — jak w przypadku Ameryki. — Lebensraum, w przypadku Niemców. Eufemizm usprawiedliwiający zbrojną napaść. Może to być zresztą każdy slogan, który rozpala wyobraźnię mas, ale w istocie ów slogan można zawsze przetłumaczyć na nagą prawdę. Oni to posiadają. My tego chcemy. Jazda, zabierzmy im.

Czy jednak Mariany były tego warte? Z pewnością nie. Nie były warte tej ceny. Zarówno politycznej jak i ekonomicznej. Cała ta afera będzie *ipso facto* kosztowała Japończyków utratę bardzo korzystnego partnera handlowego. Przez całe lata nie będzie mowy o powrocie do normalnych stosunków. Zachowanie kół finansowych — owo zachowanie tak starannie kształtowane i stabilne od lat sześćdziesiątych — ulegnie radykalnej zmianie. Misterna konstrukcja została unicestwiona. W uprzejmym żargonie będzie się mówić, że unicestwienie jest rezultatem publicznej niechęci i żalu do dawnego partnera. Chociaż istotna przyczyna jest psychologicznie głębsza. Z jakich to wydumanych powodów państwo będące właściwie światowym symbolem biznesu porwało się na akcję tak w efekcie niekorzystną dla przyszłych interesów? Dlaczego Japończycy nie wzięli tego pod uwagę?

Ale wojna nie jest nigdy prowadzona na bazie racjonalnych przesłanek Sam to powiedziałeś prezydentowi, czyż nie, Jack?

— No więc powiedzcie mi teraz, co oni sobie, do cholery, myślą? — zapytał, natychmiast żalując tego „do cholery”.

Znajdowali się w podziemnej sali konferencyjnej. Pierwsze posiedzenie grupy roboczej.

Scotta Adlera nie było, wyjechał z sekretarzem stanu Hansonem. Było dwóch przedstawicieli NIO — Biura Analiz Informacji Wywiadowczych i cztery osoby z Departamentu Stanu, a wszyscy wyglądali na tak samo zdumionych i zagubionych, jak Ryan. Wspaniale, dobrze się zapowiada, pomyślał Ryan. Przez wiele sekund panowało milczenie, w czym nie było nic dziwnego. Jack zawsze wykazywał kliniczne zainteresowanie zachowaniem biurokratów, kiedy zwracał się do nich publicznie o wyrażenie opinii. Kto będzie pierwszy i co powie?

Pierwszym był Chris Cook, jeden z ekonomistów w Departamencie Stanu. Spędził dwa lata w ambasadzie tokijskiej, dość dobrze mówił po japońsku i uczestniczył w wielu negocjacjach handlowych. Dotychczas zawsze w drugim rzędzie, za starszymi rangą kolegami i koleżankami, ale zawsze to on właśnie wykonywał właściwą pracę. Tak już bywa w życiu. Jack był już parokrotnie zdegustowany, kiedy inni zbierali laury za błyskotliwość Cooka.

— Są wściekli, oszaleli i obleciał ich strach — powiedział Cook.

Jack aprobował skinieniem głowy, pozostali przy długim stole czynili to samo, niezwykle

wdzięczni, że ktoś ich ocalił od wychylenia się i pójścia na pierwszy ogień.

— Wiem, że chyba oszaleli, ale dlaczego mają się bać? — spytał Jack.

— No cóż, nadal mają pod boki Rosjan. No i Chińczyków, I nadal są to potęgi, natomiast myśmy się wycofali z Zachodniego Pacyfiku. W ich przekonaniu zostali na lodzie. Co więcej, doszli teraz do wniosku, że odwracamy się od nich plecami. Co czyni z nas potencjalnych wrogów, prawda? Wydało się im, że nagle znaleźli się w pustce, bez przyjaciół. No, bo jakich mają przyjaciół?

— Po co były im potrzebne Mariany? Dlaczego na nie napadli? — zapytał Jack powtarzając sobie, że na przestrzeni ostatnich kilkuset lat Japonia nigdy nie została napadnięta przez żadne państwo w swoim rejonie. Natomiast sama napadała kolejno na wszystkie. Być może Cook nieświadomie trafił w istotę rzeczy. Jak, zgodnie z tym czego uczy nas historia, reaguje Japonia na zewnętrzną groźbę? Atakuje pierwsza!

— Zapewniają im głębokość obrony oraz bazy poza Wyspami Japońskimi.

Tak, to ma jakiś sens, pomyślał Jack. Na ścianie wisiały zdjęcia satelitarne sprzed godziny. Na pasach startowych na Saipanie i Guam stały teraz myśliwce, a obok nich *E-2C*

Hawkeye — samoloty wczesnego ostrzegania tego samego typu, co na lotniskowcach amerykańskich. Tworzyły obronną zaporę na odległość tysiąca dwustu mil morskich na południe od Tokio. Ryan widział w tym potężny mur forteczny zabezpieczający przed amerykańskim atakiem. W istocie było to zastosowanie na nieco mniejszą skalę japońskiej strategii podczas drugiej wojny światowej. Kolejna obserwacja Cooka była bardzo słuszna.

— Ale czy my w istocie stanowimy dla nich zagrożenie? — spytał Ryan.

— Teraz z pewnością tak — odparł Cook.

— Ponieważ nas do tego zmusili — warknął starszy rangą przedstawiciel NIO.

Cook pochylił się ku memu przez stół.

— Dlaczego ludzie zaczynają się bić? Ponieważ się czegoś boją. Pamiętajcie panowie, na miłość boską, że na przestrzeni minionych pięciu lat w Japonii rządy zmieniały się szybciej niż tradycyjnie we Włoszech. Politycznie państwo jest niestabilne. Japonia przeżywa kryzys, ma poważne problemy ekonomiczne. Do niedawna ich waluta była w tarapatach. Ich rynek papierów wartościowych załamał się z winy prawodawstwa handlowego i podejmowanych decyzji w dziedzinie wymiany handlowej. Nasze posunięcia zapowiadały ich ruinę gospodarczą. I panowie się przy tym wszystkim dziwią, że Japończycy zaczęli postępować nieco paranoicznie? Gdyby coś podobnego wydarzyło się nam, to jestem ciekawy, jaka byłaby nasza reakcja... — zapytał

zastępca doradcy sekretarza stanu czyli Cook. Ryan zauważył przy okazji, że przedstawiciel NIO wygląda na osobę poważnie przestraszoną.

Świetnie, pomyślał, żywa dyskusja zawsze pomaga, podobnie jak wysoka temperatura ognia pozwala produkować lepszą stal.

— Moja sympatia dla drugiej strony nieco topnieje. Japonia napadła na część suwerennego terytorium Ameryki i pogwałciła prawa człowieka. Prawa amerykańskich obywateli. — Samemu Ryanowi wydało się, że ta odpowiedź na tyradę Cooka jest zbyt koturnowa. Była to jakby reakcja psa myśliwskiego idącego tropem poważnie rannego lisa. Pies zaczyna bawić się bezbronną ofiarą, a chytry lis potrafi zwieść myśliwego. Z drugiej strony jest to właściwie luksusowe uczucie.

— A myśmy nieco przedtem pozbawili pracy blisko dwieście tysięcy ich robotników.

Gdzie są ich prawa?

— Pieprzyć ich prawa. Po czyjej jest pan stronie, Cook?

Zastępca doradcy rozparł się wygodnie w fotelu i uroczo się uśmiechnął, wypuszczając zatrutą strzałę.

— Sądziłem, że mam tu wszystkim obecnym powiedzieć, co Japończycy myślą, jakie są ich motywacje. Czy nie po to się zebraliśmy? Więc wam mówię, co oni myślą, że dość już długo ich popychamy, szarpiemy, pomniejszamy ich sukcesy, obrażamy i dajemy im ogólnie do zrozumienia, że tolerujemy ich jedynie z konieczności, że nie mamy dla nich żadnego szacunku od czasów jeszcze przed moim urodzeniem. Nigdy nie traktowaliśmy ich jak równych, a ich zdaniem należy im się takie traktowanie. Więc wszystko to razem bardzo im się nie podoba.

I wiecie co, panowie? Ja ich wcale za to nie winię — ciągnął Cook. — No i co?

Postanowili ugryźć. Jak pies, któremu odbiera się kość. Zrobili źle, bardzo nad tym ubolewam, ale musimy przy okazji dostrzec i uznać fakt, że uczynili to w sposób ostrożny, bacząc by było jak najmniej ofiar, co na szczęście okazało się możliwe przy postawionym sobie strategicznym celu. I to również powinno być przedmiotem naszej debaty.

— Ich ambasador twierdzi, że jego kraj jest gotów na tym poprzestać — powiedział

Ryan, zauważywszy błysk w oku Cooka. Widać było, że ten dyplomata dobrze przemyślał sytuację. — Powstaje pytanie czy mówił to poważnie?

Ryan ponownie zadał trudne pytanie Obecni przy stole nie byli tym uszczęśliwieni.

Trudne pytania wymagają zdecydowanych jasnych odpowiedzi, które często mogą okazać się złymi

opiniami lub radami. Najtrudniejsze zadanie mieli dżentelmeni z Biura Analiz, w którym prym wodzili wyżsi, doświadczeni funkcjonariusze służb wchodzących w skład wspólnoty wywiadowczej CIA, Wywiadu Departamentu Obrony, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Przedstawiciel NIO tkwił zawsze w pobliżu prezydenta, aby służyć opiniami w szybko następujących po sobie fazach sytuacji kryzysowych. W założeniu funkcjonariusze tej instytucji wywiadowczej mieli być ekspertami w swoich dziedzinach, i chyba nimi byli, podobnie jak Ryan, który również należał do NIO. Ale z funkcjonariuszami NIO był jeden problem. Każdy z nich to poważny, rozsądny człowiek, nie obawiający się nawet śmierci. Wszyscy natomiast odczuwali nieprzepartry lęk przed wypowiedzeniem opinii, która mogła okazać się potem fałszywa. Z tego też powodu nawet przyłożenie rewolweru do skroni pytanego o zdanie agenta NIO nie gwarantowało jasnej, jednoznacznej odpowiedzi na zadane mu trudne pytanie. Ryan przenosił wzrok z twarzy na twarz widząc, że Cook czyni to samo z wyrazem pogardy na ustach.

Wszyscy milczeli. Odpowiedział Cook.

— Tak jest, sir. Bardzo prawdopodobne, że mówił poważnie. Jest także bardzo prawdopodobne, że coś nam zwrócą. Oni też zdają sobie sprawę, że musimy ocalić twarz na własnym podwórku. Na to możemy liczyć. Będzie dla nas z korzyścią, jeśli zdecydujemy się na negocjacje.

— I taka jest pańska rekomendacja?

Uśmiech i skiniecie głowy.

— Rozmowa nigdy nikomu nie zaszkodziła, bez względu na sytuację. Chyba się pan z tym zgadza? Poza tym jestem facetem z Departamentu Stanu. Muszę zalecać negocjacje, próbę porozumienia słownego. Jestem dyplomata. Nie znam naszej sytuacji wojskowej. Nie wiem, czy potrafilibyśmy się w obecnej chwili przeciwstawić i odpowiedzieć siłą. Choć sądzę, że potrafilibyśmy. Oni też wiedzą o tym. I wiedzą, że wiele ryzykują. Może nawet boją się bardziej od nas. Możemy to wykorzystać na naszą korzyść.

— Czego możemy się domagać? — spytał Ryan, gryząc nerwowo koniuszek pióra.

— Przywrócenia *status quo ante* — odpowiedział bez wahania Cook — Całkowitego wycofania się z Marianów, przywrócenia wysp i ich mieszkańców administracji amerykańskiej, odszkodowania rodzinom zabitych, ukarania winnych ofiar śmiertelnych — Nawet panowie z NIO zaczęli potakująco kiwać głowami. Ryan zaczynał lubić Cooka. Nie bał się, mówił to, co myśli, a to, co mówił, było logiczne.

— A co dostaniemy?

Odpowiedz ponownie był prosta i przyszła szybko.

— Znacznie mniej. Coś będą musieli oddać, ale nie oddadzą wszystkiego. Gdzie, do diabła, Scott Adler ukrywał dotychczas tego człowieka? On przemawia moim językiem, pomyślał Ryan.

— A jeśli będziemy ich dociskać? — spytał.

— Gdybyśmy się upierali przy zwrocie wszystkiego, to będziemy musieli się o to bić —

odparł Cook — I jeśli chce pan mojej opinii to uważam, że byłoby to bardzo niebezpieczne.

Ryan wybaczył Cookowi ten truizm. No cóż, Cook był, jak sam powiedział, facetem z Departamentu Stanu, który hoduje ludzi w otocze specyficznej kultury.

— Czy japoński ambasador reprezentuje szczebel, na którym można by negocjować?

Może nie tyle ma rangę co ciężar gatunkowy, warunki.

— Chyba tak — odparł Cook po chwili zastanowienia — Ma dobry personel, jest dyplomata wysokiej klasy, zajmuje odpowiednią rangę w służbie. To zawodowiec. Zna Waszyngton, umie się poruszać wśród wielkich Dlatego go tu przysłano.

Ryan przypomniał sobie słowa Winstona Churchilla, że obracanie językiem jest zawsze lepsze, niż obracanie ku sobie dział. A może to było troszkę inaczej ale sens ten sam. Tak, słowa są lepsze, zwłaszcza jeśli nie wykluczają ewentualnego obracania dział.

— No to dobrze. Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Wy tu zostańcie panowie, przygotujcie mi podsumowanie. Na piśmie. I wyjściową pozycję negocjacyjną. Chcę tam zobaczyć wszystkie opcje. Chcę też znać wszystkie możliwe pozycje wyjściowe i początkowe ruchy każdej ze stron. Innymi słowy chcę mieć scenariusz. Wraz z końcową dogrywką. Chcę mieć ich możliwe reakcje na wszystkie teoretyczne ruchy natury wojskowej po naszej stronie. A przede wszystkim — I tu zwrócił się do przedstawicieli NIO — poznać ich gotowość nuklearną i zdolność rażenia. Także zestaw okoliczności, przy których pojawieniu się, byliby gotowi uciec się do broni nuklearnej.

— Z jakim wyprzedzeniem otrzymalibyśmy wówczas informację o użyciu przez nich brom nuklearnej? — Zaskakujące było, że pytanie to zadał Cook. Jak również zaskakujące było, że odpowiedział przedstawiciel NIO, który doszedł wreszcie do wniosku, iż nadszedł najwyższy czas, by i on otworzył usta.

— Radar Obrony Cywilnej na wyspie Shemya na Alasce jest nadal w pełni operacyjny.

Podobnie jak satelity systemu wczesnego ostrzegania. Jeśli stanie się najgorsze, to otrzymamy natychmiast informację o wystrzeleniu, czasie przelotu i przewidywanych skutkach. Czy może nam pan powiedzieć, doktorze Ryan, czy z naszej strony coś zrobiliśmy żeby...

— Siły Powietrzne otrzymały polecenie przygotowania rakiet. Będą pobrane z arsenałów.

Mogą je przenosić bombowce *B1*. Mamy też opcję uzbrojenia rakiet manewrujących *Tomahawk* w głowice *W 80* z wyposażenia w nie okrętów podwodnych i innych jednostek Marynarki.

Rosjanie wiedzą, że możemy skorzystać z tej opcji, nie będą też protestowali, jeśli zrobimy to po cichu.

— To byłaby już eskalacja — ostrzegł Cook — Musimy z tym uważać.

— A co z ich *SS-19* — spytał słodkim głosem drugi przedstawiciel NIO.

— Uważają, że są im bardzo potrzebne. Byłoby trudno im to wyperswadować — Cook rozejrzał się po obecnych — Nie zapominajcie, panowie, że to my właśnie daliśmy im atomową lekcję. To jest niesłychanie delikatny problem i mamy do czynienia z nieco paranoicznym społeczeństwem. Zalecam wielką ostrożność w tej sprawie.

— Odnotowuję to — odparł Ryan wstając — Już wiecie dokładnie, czego od was chcę.

Zabierajcie się do roboty, panowie. — Możliwość wydawania temu gronu podobnie kategorycznych poleceń sprawiała mu przyjemność. Natomiast z przykrością myślał o tym, że nadszedł czas, iż trzeba zadawać trudne pytania. No i bał się odpowiedzi, jakich mu udzielą. Ale gdzieś trzeba zacząć.

— Kolejny ciężki dzień? — spytał Nomuri.

— Myślałem, że po wyjeździe Yamaty pójdzie łatwiej — odparł Kazuo, opierając się plecami o mahoniowy skraj wanny — Myliłem się.

Pozostali krótkimi skinieniami wyrazili solidarność z obserwacją uczynioną przez przyjaciela. Wszystkim brakowało erotycznych opowieści Taoki. Potrzebowali jakiejś rozrywki, ale tylko Nomuri wiedział, dlaczego to się skończyło.

— Co się właściwie dzieje? Teraz Goto mówi, że Ameryka jest nam potrzebna. W

zeszłym tygodniu Amerykanie byli naszymi wrogami, a teraz mamy się z nimi przyjaźnić?

Wszystko to bardzo trudno jest zrozumieć tak prostemu człowiekowi jak ja — powiedział Chet, trąc powieki i zastanawiając się, czy rybka złapie się na haczyk. Nawiązanie bliższych kontaktów z tymi ludźmi było bardzo trudne, ponieważ nie był do nich podobny. Byli zupełnie inni. Więc on zazdrościł im, a oni jemu. Rzecz do przewidzenia. Oni sądzili, że on jest przedsiębiorcą, który posiada własny biznes, pracuje u siebie. Oni natomiast reprezentowali warstwę urzędniczą.

Owszem, byli wyższymi funkcjonariuszami, członkami kierownictwa wielkich korporacji. Mieli stałą płacę, byli zabezpieczeni na przyszłość. Ale on miał niezależność. Po nich się spodziewano, że będą zawsze przepracowani. On pracował, kiedy chciał i ile chciał. Oni więcej zarabiali. On przeżywał mniejsze stresy. A teraz oni dużo wiedzieli, on natomiast nie.

— Wyzwaliśmy Amerykę — powiedział jeden z ich grona.

— Tyle zrozumiałem. Ale czy to nie jest wysoce niebezpieczne?

— Doraźnie, na krótką metę, tak — odparł Taoka rozkoszując się gorącą wodą, która koła jego zmęczone mięśnie. — Chociaż sędzę, że już się wszystko skończyło i że wygraliśmy.

— Ale co wygraliśmy, drogi przyjacielu? Czuję się jak widz, który od środka ogląda sensacyjny film i wie tylko, że w pociągu do Osaki siedzi piękna, tajemnicza kobieta. —

Nawiązywał do znanego serialu telewizyjnego. W każdym odcinku rozwiązywana była jakaś zagadka, ale ogólne posłanie dotyczyło niewiarygodnej wprost punktualności japońskich kolei.

— Z tego, co mi powiedział nasz prezes... — zdecydował się na odpowiedź jeden z obecnych — wygraliśmy pełną niepodległość.

— A czy dotychczas nie byliśmy niepodlegli? — wyraził wielkie zdumienie Nomuri. —

Już nie pętają się nam po kraju żadni amerykańscy żołnierze.

— Ani ci, którzy są teraz pod strażą, internowani — zauważył Taoka. — Ale ty nie rozumiesz, przyjacielu, że niepodległość, to jest coś więcej niż goła polityka. To ma być także niepodległość gospodarcza. To oznacza, że nie trzeba zebrać u innych o coś, co jest potrzebne do przeżycia.

— A to oznacza Północny Obszar Surowcowy, Kazuo! — odezwał się inny z obecnych i natychmiast zdał sobie sprawę, że powiedział zbyt wiele, gdy zobaczył wpatrzony w siebie ostrzegawczo dwie pary oczu.

— Mam nadzieję, że w wyniku tego wszystkiego dni pracy będą krótsze i będziemy mogli na odmianę wracać na wieczór do domu, a nie spędzać kilka dni w tygodniu w podobnym do trumny kojcu hotelowym — odezwał się któryś z bystrzejszych kompanów, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Właśnie, właśnie — ochoczo przytaknął Taoka. — W takim kojcu nie mieści się nawet chuda dziewczyna. — Wypowiedź tę powitało zaledwie kilka wymuszonych chrząknięć.

— Oj, wy dostojnicy na pensjach! I te wasze sekrety! — warknął agent CIA. — Mam nadzieję, że lepiej sobie radzicie z kobietami. — Chwilę milczał. — Ciekaw jestem, jaki to będzie miało wpływ na moje interesy? — To dobry pomysł, zadać takie pytanie.

— Chyba korzystny. Jestem tego nawet pewien — odpowiedział mu Kazuo. Pozostali ochoczo przytaknęli.

— Musimy okazać cierpliwość. Będzie nam jeszcze ciężko, nim naprawdę przyjdą dobre czasy.

— Ale przyjdą na pewno — obwieścił ktoś inny. — Najgorsze już za nami.

Z pewnością nie, jeśli będę miał coś do powiedzenia, pomyślał Nomuri. Ale nie podzielił

się z nimi tą myślą. Co to, do diabła, jest ten Północny Obszar Surowcowy? Reakcja pozostałych na ujawnienie tej nazwy wskazywała, że Nomuri dowiedział się czegoś bardzo istotnego. Tylko nie wiedział, czego. I natychmiast wdał się w dłuższy dyskurs na temat uroków nowo poznanej hostessy, aby tamci po rozejściu się zapamiętali właśnie to, a nie jego poprzednie pytania.

Szkoda, że przybyli podczas nocy, ale to był tylko przypadek. Połowa floty została skierowana na Guam, które posiadało znacznie lepszą naturalną przystań. W rzeczywistości chodziło o to, aby wszyscy mieszkańcy wysp zobaczyli japońską marynarkę. Admirał Sato bardzo nie lubił nazwy Siły Samoobrony. Koniec z samoobronami. Teraz miał prawdziwą marynarkę wojenną — okręty i doświadczone w boju załogi. Tak, można śmiało powiedzieć, że marynarze przeszli już bojowy chrzest, a jeśli kiedyś w przyszłości historycy to zakwestionują pisząc, że tej batalii nie wolno nazywać prawdziwą i że była nieuczciwa, to będzie można im przypomnieć, że wszystkie podręczniki sztuki wojennej podkreślają olbrzymie znaczenie zaskoczenia w działaniach ofensywnych. Z pewnością wszystkie, uspokajał własne sumienie admirał, obserwując jednocześnie przez lornetkę górę Takpochao, gdzie — jak mu to przed godziną zameldowali technicy — zainstalowano już i uruchomiono radar. Dołączył więc jeszcze jeden element, jeszcze jedno ogniwo systemu obrony obszaru, który powrócił do macierzy.

Admirał stał po prawej stronie pomostu nawigacyjnego, spowitego w ponurą czerń przedświt. Ponurą? Chyba nie. Błogi spokój, a nie ponurość, zwłaszcza kiedy miało się ten spokój wyłącznie dla siebie, a troski i problemy zaczęły się rozplątać. Spokój, a wysoko nad głową jedynie brzęczenie elektronicznych urządzeń podobne do pomruku roju pszczół. Admirał

przestał wkrótce słyszeć i to. Z oddali echo niosło sumę szumów płynącego okrętu. Składały się na nie głównie praca silników i urządzeń klimatyzacyjnych. Admirał puszczał mimo uszu wszystkie te dźwięki. Najważniejsze, że nie przeszkadzały mu w rozmyślaniach ludzkie głosy.

Kapitan okrętu utrzymywał żelazną dyscyplinę i dbał o spokój na mostku „Mutsu”. Marynarze nie odzywali się bez ważnego powodu. Wykonywali swoje obowiązki tak, jak powinni w pełnej koncentracji. Admirał Sato jedno po drugim wyrzucił ze swojej świadomości wszystkie okrętowe odgłosy i teraz pozostał tylko szum morza i przecudowny dla marynarskich uszu, świszczący jęk fal rozcinanych przez dziób i odrzucanych na boki burtami. Admirał wychylił się, żeby to zobaczyć, nacieszyć oczy widokiem strug połyskliwej piany — zarazem świetlistej i słabo widocznej, a jednocześnie nieustannie zasilającej gigantyczny wodny wachlarz. Wzdłuż burty pędziło ku rufie rozszerzające się pasmo zbełtanej wody o miłym odcieniu zieleni fosforyzującego fotoplanktonu — mikroorganizmów wypływających nocą na powierzchnię z powodów, których Sato nigdy nie próbował zgłębić. Może chcą się radować księżycem i gwiazdami, pomyślał z uśmiechem. Przed nim znajdowała się wyspa Saipan — dokładnie tam, gdzie horyzont był czarniejszy niż noc. Tak się w każdym razie wy dawało. Każdy marynarz wie, że jeśli podczas przejrzystej nocy nie widać na horyzoncie gwiazd, to znaczy, iż jest tam ląd.

Przyjemności samodzielnego odkrycia czarnej plamy na zachodnim skraju nieba nie psuł

admirałowi fakt, że przed nim musieli już to dostrzec obserwujący horyzont marynarze w bocianim

gnieździe, uczeponym szczytu przedniej nadbudówki okrętu. Dla admirała Sato, podobnie jak dla marynarzy wszystkich pokoleń przed nim, było coś specjalnego w odkrywaniu ziemi. Zawsze, wszędzie każda morska podróż kończy się jakimś odkryciem. Tak samo miała się skończyć i ta.

Nowe dźwięki. Najpierw grzechot elektrycznych silników obracających radary, potem coś jeszcze. Admirał wiedział, że się spóźnia z rozpoznaniem źródła grzmotu potęgującego się na sterburcie. Odgłos coraz bardziej wyrazisty, podobny do rozdierania żelaznej blachy, potężniejszy ryk zbliżającego się samolotu. Sato opuścił lornetkę i wlepił wzrok w prawo. Nie dostrzegał nic do ostatniej chwili. Dwa czarne cienie przemknęły nad okrętem. „Matsu” jakby zadygotał. Sato najpierw poczuł nagły chłód, a potem gniew. Otworzył drzwi do sterowni.

— Co to było, do diaska?

— Dwa *F-3* przeprowadzające symulowany atak. To tylko ćwiczenia — wyjaśnił oficer wachtowy
— Obserwujemy je od kilku minut. Mieliśmy je też na podczerwieni naprowadzania rakiet.

— Czy ktoś byłby łaskaw powiedzieć naszym „orłom”, że przelatywanie nocą tuż nad okrętem stanowi wielkie ryzyko? Dla nas szkody strukturalne, a dla nich śmierć.

— Ale przecież.. — usiłował coś powiedzieć oficer wachtowy.

— Tak, właśnie, ale. Ale my stanowimy wartościową jednostkę bojową i nie mam zamiaru oddawać okrętu na miesiąc do stoczni, żeby zmywali krew jakiegoś cholernego pilota, który nas nie zauważył i potracił.

— *Hai!* Natychmiast wyślę sygnał, panie admirale.

W ten oto głupi sposób zepsuli mi poranek, pomyślał Sato. Wściekły podszedł do swego obitego skórą fotela, usiadł i zapadł w drzemkę.

Czyżby był pierwszym, który to odkrył, zastanawiał się Winston. A jeśli, to dlaczego tak mnie to dziwi? FBI i wszyscy pozostali najwidoczniej usiłowali rozwikłać sytuację, wyjaśnić. Ich wysiłki szły w kierunku zabezpieczenia się przed oszustwem. Najprawdopodobniej. Najgorsze, że grzebali w całej dokumentacji. Nie tylko holdingu Columbus. Mieli do przejrzania morze danych i wymagali pomocy. A nie był to odpowiedni czas na naukę. Po prostu go brakowało.

Telewizja ujawniła całą historię. Prezes Banku Rezerw Federalnych spędził poranek przed kamerami różnych stacji. Tego dnia jego waszyngtoński kierowca nie miał jednej wolnej chwili. Bezpośrednio po występach telewizyjnych zawiózł szefa do Białego Domu na spotkanie z prasą w celu złożenia ostro sformułowanego oświadczenia. Potem był jeszcze długi wywiad dla sieci CNN. W sumie przyniosło to pewien rezultat, co pokazały i podkreśliły telewizje. Przed południem w bankach pojawiło się wielu klientów, którzy stwierdzili, że za kasjerami stoją wózki pełne pieniędzy. Najprawdopodobniej ściągnięto je w nocy w ramach operacji nazywanej w żargonie wojskowym

„demonstracją siły”. Najwidoczniej prezes Banku Rezerw musiał zagadać na śmierć wszystkich co poważniejszych bankierów kraju, ale w efekcie kasjerzy nie musieli świecić oczami przed klientami. Oo, chce pan wszystko w gotówce? Mamy tyle, ile pan chce wybrać. Każdą sumę. W wielu wypadkach ci sami klienci po powrocie do domów poczuli innego rodzaju lęk, wręcz paranoiczny. Co? Mam trzymać całą tę gotówkę tutaj, w biurku? I po południu wracali do banku, aby pieniądze z powrotem umieścić na koncie.

Scenariusz opracował z pewnością Buzz Fiedler. Zdaniem Winstona był on sprawnym funkcjonariuszem, mimo iż to naukowiec, a nie praktyk. Jednakże sekretarz skarbu jedynie kupował czas. Kupował za pieniądze. Niemniej taktyka była dobra, aby zamieszać ludziom w głowie i sprawić wrażenie, że sytuacja jest lepsza, niż na to wygląda.

Poważni inwestorzy znali jednak prawdę. Sytuacja była zdecydowanie zła, a bankowy spektakl pod kasami mógł wystarczyć na bardzo krótko. Bank Rezerw Federalnych pompował w system puste pieniądze. Dobry pomysł na dwa dni, ale końcowym efektem po tygodniu byłoby jeszcze większe osłabienie dolara. Już teraz obligacje skarbowe spotykały się w kręgach finansowych z sympatią równą tej z jaką powitano by plagę szczerów. Najgorsze w tym wszystkim było to, że panika groziła nadal. Fiedler zapobiegł jej jedynie chwilowo, ponieważ trwale można to zrobić tylko wówczas, jeśli usunie się jej potencjalne źródła, przywróci zaufanie.

Im dłużej stosuje się metody chwilowego uspokajania rynku i zamazywania rzeczywistości, tym większa będzie panika, gdy wszystkie zastosowane półśrodki zawiodą. Wtedy paniki nikt i nic już nie powstrzyma. Tego właśnie obawiał się Winston.

Obawiał się także, że jeszcze przez długi czas nikt nie potrafi rozwiązać gordyjskiego węzła zaciśniętego na gardle systemu inwestycyjnego. A przeciąć...?

Winston sądził, że udało mu się rozszyfrować prawdopodobną przyczynę wydarzeń, ale jednocześnie zaczął rozumieć, że właściwie nie ma rozwiązania. Sabotaż w DTC, systemie komputerowej rejestracji transakcji giełdowych, okazał się genialnym posunięciem. Rezultat był

taki, że właściwie nikt nie wiedział, co posiada, ile za to zapłacił, kiedy to otrzymał i ile mu zostało pieniędzy. Bezpośrednim efektem była metastaza. Indywidualni inwestorzy nic nie wiedzieli, nie wiedziały instytucje, nie wiedziały także domy brokerskie. Nikt nic nie wiedział, co ma, a czego już nie ma.

A jak może wybuchnąć prawdziwa panika? Przyjdzie chwila wypisywania czeków emerytalnych z ich funduszy. Pytanie czy banki będą honorowały te czeki? Bank Rezerw będzie je do tego zachęcał, ale gdzieś znajdzie się bank, który powie nie, ponieważ już i tak ma kłopoty.

I wystarczy jeden bank. Takie rzeczy zawsze zaczynają się w jednym przypadkowym miejscu. A potem przychodzi lawina. Bank Rezerw będzie musiał ponownie wkroczyć i zaspokoić zapotrzebowanie na płynną gotówkę. I to już jest wejście w cykl hiperinflacyjny. Oto wizja ostatecznego koszmaru. Winston jeszcze pamiętał, jakie cięgi otrzymał rynek walutowy i cały kraj w

późnych latach siedemdziesiątych.

Była to bardzo groźna „czkawka”, a może raczej „grypa”, której towarzyszyła utrata zaufania do instytucji finansowych i która spowodowała pojawienie się sfory frustratów na górzystym odludziu Północnego Zachodu, gdzie budowali sobie pustelnicze domki z bali. No i cała seria okropnych filmów o życiu po Apokalipsie. Przecież inflacja osiągnęła wówczas jedynie trzynastoprocentowe apogeum i zaczęła spadać. A maksymalne oprocentowanie kredytu wynosiło dwadzieścia procent. Ale cały kraj poczuł się zagrożony i stracił zaufanie jedynie dlatego, że prezydent był chwiejny, a przed stacjami benzynowymi tworzyły się kolejki. Przy obecnej sytuacji do tamtych wspomnień można podchodzić z nostalgią.

Teraz będzie znacznie gorzej. Wydarzy się coś bardzo obcego Ameryce. Coś żywcem wyjętego z czasów Republiki Weimarskiej, coś z Argentyny w dawnych złych czasach, coś z Brazylii pod rządami wojskowych. I nie skończy się tylko na Ameryce. Tak jak po kamyku rzuconym w wodę kręgi, które rozchodzą się i zdążają do odległego brzegu. Podobnie jak kryzys 1929 roku wywołał fatalne skutki daleko poza amerykańskimi granicami. Zostaną sparaliżowane gospodarki całego świata. Nawet Winston nie potrafił przewidzieć wszystkich skutków. On sam, osobiście, nie straci wiele. Nawet utrata dziewięćdziesięciu procent posiadanego majątku pozostawi mu do dyspozycji spory kapitał. Winston zawsze inwestował w rzeczy realne, takie jak nafta czy złoto. Miał sporo akcji kopalni złota i sporo złotych sztab w bankowych skarbcach —

tak jak to miewali skąpcy dawnych czasów. A ponieważ głębokie kryzysy są w istocie zjawiskami deflacyjnymi, po pewnym czasie relatywna wartość wielu jego pakietów nawet wzrośnie. Wiedział, że on sam i jego rodzina przeżyją ten kryzys i będą się nawet mieli bardzo dobrze, ale ceną, jaką zapłacą mniej uprzywilejowani, będzie chaos ekonomiczny i socjalny. Na nieszczęście on, George Winston, nie tkwił w świecie wielkiej finansiery jedynie dla własnej korzyści. Przyjdzie czas, że podczas bezsennych nocy zacznie myśleć o tych drobnych ciułaczach, którzy zobaczyli kiedyś jego telewizyjne zachęcające ogłoszenia i powierzyli mu swoje oszczędności. Zaufanie! Co za magiczne słowo. Oznacza ono, że człowiek przyjmuje na swoje barki odpowiedzialność za byt ludzi, którzy obdarzyli go zaufaniem. Oznacza to, że ci ludzie uwierzyli temu, co w ogłoszeniach mówił o sobie. I że trzeba udowodnić, że mówiło się prawdę — nie tę spreparowaną na ich użytek, ale tę absolutną. Jeśli się bowiem tego wszystkiego nie zrobiło i nie udowodniło, to w praktyce domy nie będą budowane, dzieci nie będą chodzić do szkoły, ludzkie marzenia będą zniszczone — marzenia ludzi takich samych jak on... Żle to wszystko wygląda dla Ameryki, pomyślał Winston, ale może objąć i cały świat.

I teraz trzeba się dowiedzieć, co właściwie zrobił ten Japończyk. Nie był to bowiem przypadek. To był dobrze przemyślany plan zrealizowany w wielkim stylu. Yamata! Ten przebiegły sukinsyn! Pierwszy japoński inwestor, któremu Winston zaufał i którego szanował.

Pierwszy, który zrozumiał na czym to polega — rozumiał taktykę i strategię. Teraz dopiero Winston go przejrzał. To był on. Wyraz jego twarzy, spojrzenie zza kieliszka z szampanem.

Dlaczego go od razu nie zdemaskował, zadawał sobie pytanie Winston. A więc to byłeś ty, draniu!

To jednak chyba niemożliwe? Albo to jeszcze nie wszystko, a jedynie część gry, taktyka podpierająca zupełnie inne posunięcia. Ale jakie? Co mogło być tak ważnego, że Raizo Yamata był gotów poświęcić własny majątek? A przy okazji podważyć, właściwie zniszczyć, rozbić światowe giełdy papierów wartościowych — instytucje, od których sprawnego funkcjonowania zależał los jego własnych korporacji i gospodarki jego własnego kraju? Z

pewnością nie było to coś, co mogłoby przyjść do głowy poważnemu biznesmenowi, co rozpaliloby wyobraźnię jakiegokolwiek potentata z Wall Street.

Przedziwne — móc wszystko rozwikłać, cały spisek, a jednocześnie nadal nie rozumieć idei za tym się kryjącej. Winston spojrział przez okno na zachód słońca nad portowym nabrzeżem Nowego Jorku. Musi się tym wszystkim z kimś podzielić i ten ktoś może zrozumie, o co tutaj chodziło. Może z Fiedlerem? A może lepiej z kimś, kto lepiej rozumie Wall Street i zna jej sekrety? Ale kto mógłby to być?

— Czy to nasze? — Leżeli na piasku w zatoce Laolao, po zawietrznej. — jeden z nich dobił do małego tankowca, z pewnością będzie pobierał paliwo.

Oreza przecząco pokręcił głową — Nie ten kolor. Marynarka maluje okręty ciemniejszą farbą, bardziej niebieską.

— Wyposażone do poważnej roboty — zauważył Burroughs, oddając lornetkę — Trzeba się z nimi liczyć.

— Wielkie anteny radarowe, pionowe wyrzutnie rakiet, helikoptery do zwalczania okrętów podwodnych. To system *Aegis*, identyczny jak ten na naszych niszczycielach klasy *Burke*. Masz rację, są do poważnej roboty. I są groźne. Samoloty ich się boją. — Na oczach Dniówki z pokładu jednego z nich poderwał się śmigłowiec i poszybował w stronę plaży.

— Meldujemy?

— Dobra myśl.

Wrócili do domu. Burroughs z powrotem założył baterie do satelitarnego telefonu.

Wyjmowanie baterii było może zbędne, ale dawało poczucie zwiększonego bezpieczeństwa. Tak na wszelki wypadek. Żaden z nich nie był zainteresowany dowiedzeniem się, jak Japończycy traktują szpiegów. No bo przecież nimi byli.

Nie bez trudu przepchnęli antenę przez otwór w misie, którą następnie trzeba było trzymać tuz przy głowie. Miało to swój humorystyczny aspekt, a im potrzebny był chwilowy uśmiech dla lepszego samopoczucia.

— Jackson.

— Pan stale na służbie, admirale?

— No cóż, drogi bosmanie. I pan i ja. Co mi macie do zakomunikowania?

— Cztery niszczyciele standardu *Aegis* blisko brzegu, u wschodniego skraju wyspy. Jeden pobiera paliwo z tankowca. Pojawiły się tuż po świcie. Przy nabrzeżu dwa transportowce pojazdów bojowych, jeden na horyzoncie, odpływa. Niedawno policzyliśmy dwadzieścia myśliwców. Około połowy to *F-15*, o podwójnym usterzeniu. Reszty nie znam. Poza tym nie mamy nic nowego do zameldowania.

Admirał Jackson oglądał właśnie zdjęcie satelitarne sprzed godziny, przedstawiające cztery okręty płynące w formacji bojowej i myśliwce rozproszone na obu lotniskach. Odnotował to w pamięci i oddał zdjęcie.

— I jak tam jest? — spytał Robby. — Czy komplikują ludziom życie, aresztują? —

Wysłuchał się w odpowiedź.

— Nic z tych rzeczy, panie admirale. Wszyscy milutcy że aż dziw. I przez cały czas występują w telewizji na publicznym kanale kablowym. Opowiadają ile to pieniędzy poświęcą na inwestycje i ile dobrego chcą dla nas zrobić — Jackson wyłowił niesmak w głosie swego rozmówcy.

— W porządku. Następnym razem możecie mnie tu nie zastać. Potrzeba mi trochę snu, ale ten kanał jest zarezerwowany do waszego wyłącznego użytku, jasne?

— Tak jest, panie admirale.

— Trzymajcie się mocno i bądźcie ostrożni chłopcy. Żadnej bohaterstczyzny, zrozumiano?

— Nie jesteśmy dziećmi. Wiemy co i jak — zapewnił go Oreza.

— To chwilowo wszystko bosmanie. Dobra robota. — Jackson usłyszał głuchy szum jeszcze przed odłożeniem słuchawki. Podniósł głowę i spojrzał na sąsiedni stół.

— Nagraliśmy rozmowę. — poinformował go oficer wywiadu lotniczego — Potwierdza dane z satelity. I myślę, że oni chwilowo są bezpieczni.

— I niech tak dalej będzie. Niech nikt nie próbuje łączyć się z nimi bez mojej zgody —
rozkazał Jackson.

— Ciężki dzień? — spytał Paul Robberton.

— Miałem gorsze — odpowiedział Ryan — Cały ten kryzys był zbyt świeży, by można było przeprowadzić wiarygodną analizę — Czy twoja żona nie protestuje?

— Jest już przyzwyczajona do moich częstych nieobecności. A za parę dni jakoś to się ułoży — Agent Tajnej Służby chwilę milczał a potem zapytał wprost — Jak sobie radzi Szef?

— Jak zwykle otrzymuje najtwardsze orzechy do zgryzienia. Wszyscy mu je znoszą —

przyznał Ryan, wyglądając przez okno samochodu, gdy opuszczali szosę numer pięćdziesiąt —

To dobry człowiek, na swoim miejscu — dodał.

— I pan też, doktorze. Byliśmy bardzo zadowoleni, kiedy pan wrócił — Po chwili zapytał

— Jaka jest sytuacja? Trudna, prawda? — Agenci Tajnej Służby z urzędu musieli prawie wszystko wiedzieć. Trzeba było się z tym pogodzić, zwłaszcza że i tak prawie wszystko mogli podsłuchać.

— Jeszcze ci nie powiedzieli, Paul? Japończycy zgromadzili sobie stosik głowic nuklearnych i mają do nich rakiety nośne.

Agent zacisnął mocniej dłonie na kierownicy — Ale heca! Chyba jednak nie zwariowali, żeby?

— Wieczorem siódmego grudnia 1941 roku USS Enterprise wpłynął do portu Pearl Harbor w celu pobrania paliwa i amunicji. Na mostku stał admirał Halsey, on zawsze w takich sytuacjach stał na mostku i kiedy zobaczył wygląd portu po porannym nalocie, powiedział kiedy skończy się wojna, to język japoński będzie używany jedynie w piekle — Ryan zastanawiał się, dlaczego właściwie to zdanie teraz przytoczył.

— Tak napisał to pan w swojej książce. To powiedzenie admirała na pewno poderwało ludzi.

— Przypuszczam że tak. Więc jeśli Japończycy użyliby teraz swoich rakiet i bomb, to stałoby się to, co przewidział admirał. I oni to chyba wiedzą. — Ryan poczuł się nagle okropnie zmęczony. Agent to zauważył.

— Potrzeba panu co najmniej ośmiu godzin snu, a może i dziewięciu — odezwał się Robberton z bardzo poważną miną — Tak jak i my w naszej służbie. Zmęczenie przynosi fatalne skutki. Człowiek przestaje racjonalnie myśleć. A Szef potrzebuje bystrego doradcy, no nie?

— Nie mam nic przeciwko ośmiu godzinom. Może nawet łyknę wieczorem drinka —

rozmyślał głośno Ryan.

Na podjeździe stał nieznany samochód.

— To Andrea — poinformował Robberton, zatrzymując oficjalną limuzynę przed wejściem do domu

— Już z nią rozmawiałem. Wykład pana żony wypadł świetnie. Wszystko poszło jak z płatka.

— Jak to dobrze, że mamy dwa gościnne pokoje! — zawołał Jack wchodząc do saloniku w którym panował doskonały nastrój — Andrea, z wzajemnością, przypadła do gustu Cathy.

Podczas kiedy Ryan spożywał lekki posiłek, obaj agenci Tajnej Służby cicho konferowali.

— Mów, co się dzieje, kochanie — poprosiła Cathy męża.

— Mamy poważny kryzys. Dwa kryzysy. Z Japończykami i na Wall Street.

— Ale co się właściwie wydarzyło?

— Dotychczas wszystko wydarzyło się na morzu. Nie dotarło to jeszcze do wiadomości publicznej, ale lada chwila dojdzie.

— Będzie wojna?

Jack podniósł głowę z nad talerza i mruknął — Możliwe.

— Ale ci Japończycy, których dziś spotkałam, byli tacy mili. Czy to możliwe, że oni nic nie wiedzą?

— Nie wiedzą.

— To wszystko zupełnie nie ma sensu!

— Masz absolutną rację, kochanie. Nie ma — Zadzwoił telefon. Ten podłączony do normalnej sieci. Jack znajdował się najbliżej aparatu i podniósł słuchawkę — Słucham?

— Czy mówię z doktorem Johnem Ryanem? — zapytał obcy głos.

— Aha. Kto mówi?

— George Winston. Nie wiem, czy pan sobie przypomina, ale w ubiegłym roku spotkaliśmy się w Klubie Harwardzkim. Wygłosiłem pogadankę na temat analizy trendów.

Siedział pan przy sąsiednim stoliku. A przy okazji, gratuluję tej roboty z Silicon Alchemy.

— Dziękuję — odparł Ryan — Wie pan, jesteśmy teraz okropnie zajęci i...

— Muszę się z panem spotkać. To bardzo ważne.

— A o co chodzi?

— Potrzeba mi piętnastu do dwudziestu minut, żeby to wyjaśnić. Mam w Newark helikopter i samolot. Mogę zjawić się o każdej porze — Na chwilę zapanowało milczenie po obu stronach.

Potem Winston dokończył — Może mi pan wierzyć doktorze Ryan, że nie należałbym gdyby to nie było ważne.

Jack zastanawiał się tylko przez sekundę. George Winston był poważnym graczem na rynku finansowym. Jego reputacja na Wall Street była nieskazitelna: twardy, mądry, uczciwy. I teraz dopiero Ryan przypomniał sobie, że Winston sprzedał swój holding komuś z Japonii!

Jakiemuś Yamacie. Z tym nazwiskiem Ryan się już spotkał poprzednio.

— No więc dobrze, jakoś pana wcisnę. Proszę zadzwonić do mnie jutro rano około ósmej, to dokładniej określe czas.

— Wobec tego do jutra. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. — Linia zamarła.

Kiedy Ryan odwrócił głowę, zastał żonę z powrotem przy pracy. Notatki z kajetu przenosiła do laptopa — Apple Powerbook 800.

— Myślałem, że masz do tego sekretarkę — zauważył z tolerancyjnym uśmiechem.

— Kiedy ona przepisuje, to nie potrafi myśleć nad przetworzeniem moich uwag. A ja potrafię — odparła Cathy. — Bo to są moje myśli. — Wahala się z powtórzeniem Jackowi tego, co jej obwieścił Bernie na temat Laskera. Przejęła wiele poglądów męża. Jednym z nich była wiara w szczęście i przeświadczenie, że można wszystko zepsuć przedwczesnym opowiadaniem.

— Dziś po tym wykładzie przyszła mi do głowy interesująca myśl.

— I od razu ją zapisałaś...

Cathy podniosła głowę, na twarzy pojawił się jej przebiegły uśmieszek: — Jack, jeśli od razu...

— Wiem, wiem, to znaczy, że to się nie wydarzyło.

Dlaczego nie?

W tej części świata poranek pojawił się jak burza i tak dalej, i tak dalej, czytamy w poemacie. Słońce parzyło. Cholerne gorąco, stwierdził admirał Dubro. Wściekłe gorąco! Może nawet tak wściekłe jak on sam w tej chwili. Zachowywał zewnętrzny spokój i był nawet uprzejmy, ale wewnątrz cierpiał zarówno na upał, jak i z powodu tych tam politycznych biurokratów i durniów. Z pewnością ci polityczni durnie, strategiczni durnie i operacyjni durnie myślą sobie jedno i to samo: że on i jego grupa lotniskowcowa mogą sobie tutaj w nieskończoność ganiać po falach przez nikogo nie zauważeni, wykonując swój popisowy numer Tańca Duchów i straszyć Hindusów na odległość. Zabawa świetna, ale do czasu. Zamysł był

dobry: doprowadzić blisko grupę bojową bez dania drugiej stronie szansy jej rozpoznania i

wykrycia, a potem uderzyć zniemacka. Świetnie się do tego nadawał lotniskowiec nuklearny.

Można to było zrobić raz, dwa, a nawet trzy, jeśli dowódca miał jaja, ale nie można przeciągać tego w nieskończoność, ponieważ ta druga strona też ma trochę oleju w głowie. Wcześniej czy później każdy amulet przestaje działać i szczęście się odwraca.

I tak się stało. W tym wypadku nie zawinili gracze, nie Dubro i jego ludzie, ale w sprawę wplątał się ptaszek. Według późniejszej rekonstrukcji toku wydarzeń przez sztab operacyjny sprawcą nieszczęścia był jeden głupi *Sea Harrier* Indyjskich Sił Powietrznych, który znajdował

się właśnie na samiutkim końcu swego półkolistego szlaku patrolowego. Miał włączony pionowy radar i przyłapał jeden z zaopatrzeniowych tankowców admirała Dubro. Tankowce właśnie płynęły na północny wschód, żeby zaopatrzyć w paliwo okręty eskorty, których zbiorniki były w dwu trzecich puste po eskapadzie na południe od Sri Lanki. W godzinę później inny *Harrier*, prawdopodobnie rozbrojony i wypełniony jedynie dodatkowymi zbiornikami na paliwo, zbliżył

się na tyle, że mógł dokonać obserwacji wizualnej. Dowódca flotyli tendrów natychmiast zmienił kurs, ale złe już się stało. Położenie tendrów i obu fregat eskortujących wyraźnie wskazywało, że Dubro wraz ze swoją grupą znajdował się na południowy wschód od przylądka Dondra Head. Zdjęcia satelitarne wykazały, że natychmiast pojawiła się indyjska flota, podzieliła się na dwie grupy i też popłynęła na północny wschód. Dubro nie miał teraz wyboru. Musiał

pozwolić tankowcom na kontynuowanie kursu, gdyż tajność operacji przestawała być istotna, gdy okręty eskortowe o konwencjonalnym napędzie miały prawie puste zbiorniki. Nie mógł

ryzykować, że bezradne staną na pełnym morzu. Dubro wypił duszkiem przyniesioną mu poranną kawę. Po drugiej stronie biurka, naprzeciwko admirała, siedział komandor Harrison.

Okazywał wielki rozsądek nie odzywając się ani słowem, póki admirał nie przemówi pierwszy.

— Co dobrego, Ed? — spytał wreszcie admirał.

— W dalszym ciągu mamy przewagę ogniową — odparł oficer operacyjny grupy.

Przewagę ogniową! Dubro miał wątpliwości. Być może, być może, ale tylko dwie trzecie samolotów było w gotowości bojowej. Są już zbyt długo poza bazą. Zaczynało brakować części zapasowych. W hangarach stały maszyny, jedna koło drugiej, z otwartymi klapami otworów kontrolnych czekając na części, których magazynierzy już nie mieli. Czekano na okręt dostawczy z częściami płynący z Diego Garcia, dokąd przysłano zaopatrzenie ze Stanów. W trzy dni po dostarczeniu części wszystkie samoloty będą w zasadzie w pełni operacyjne, tyle że personel jest już zmęczony. Poprzedniego dnia na pokładzie startowym dwóch ludzi uległo wypadkowi. Nie dlatego, że zachowali się głupio, nie dlatego, że nie znali swoich obowiązków, ale dlatego, że wykonują tę pracę bez przerwy od zbyt dawna. Zmęczenie jest groźniejsze dla sprawności myślenia niż dla sprawności fizycznej. Dotyczy to

absolutnie każdego członka wszystkich załóg grupy operacyjnej, a najbardziej ludzi pracujących w atmosferze bezustannej aktywności pokładu startowego. Zmęczenie osłabia funkcjonowanie zarówno prostego palacza jak i dumnego admirała. Stres wywołany potrzebą nieustannego podejmowania decyzji zaczynał go otępiać. I jedyną radą było picie dekafeinizowanej kawy.

— A jak piloci?

— Wykonają to, co pan im rozkaże, admirale.

— Dobrze. A więc dziś tylko płytkie patrolowanie. Przez cały czas mają być w powietrzu dwa *Tomcaty*. Cztery w pogotowiu bojowym, uzbrojenie powietrze-powie trze, gotowe do startu na alarm plus pięć. Grupa, kurs jeden osiem zero, dwadzieścia pięć węzłów. Konieczne spotkanie z tankowcami. Wszyscy mają nabrać ropy do pełna. Nie chcę, by mi eskorta gdzieś utknęła.

Teraz ludzie mają odpoczywać, ile się da. Jutro nasi przyjaciele zaczną na nas polować. Zabawa może być interesująca.

— Płyniemy prosto na nich? — zapytał oficer operacyjny.

— Jak najbardziej — Admirał skinął głową. Spojrzał na zegarek. Późny wieczór w Waszyngtonie. Decydenci kładą się spać. Wkrótce trzeba ponownie zażądać instrukcji. Ale trzeba dotrzeć do tych, co potrafią myśleć i rozumieją pilność sytuacji. Czas na lekkie traktowanie minął. Dubro czuł, że zbliża się godzina rozgrywki. I nadejdzie ona niespodziewanie.

A co potem? Japonia?

Sytuacja jak ze złej sztuki, z telewizyjnego baracha. Jedyne pocieszeniem było to że Szczerienko może miał rację, może powiedział im prawdę. Może rzeczywiście nic im nie groziło ze strony policji i kontrwywiadu. Clark czuł, że czepia się cienkiej słomki. Całe doświadczenie mówiło mu, że nie można wierzyć, by Rosjanie dawali miłe prezenty Amerykanom.

— Gdzieś tu może być pogrzebany diabełek i głośno się śmieje — mruknął do siebie po angielsku. Cholera! Zapomniał się. W każdym razie operacja okazała się śmiesznie prosta.

Nomuri zaparkował swój samochód w tym samym płatnym garażu, w jakim hotel dzierżawił

miejsca dla swoich gości. Nomuri miał klucz do wypożyczonego samochodu Clarka i za lewy parawan przeciwsłoneczny wsunął dyskietkę. Clark wyjął dyskietkę i podał ją Chavezowi. Ten włożył ją do laptopa. Elektroniczny sygnał powiadomił o rozpoczęciu pracy komputera. Clark wyjechał z garażu w ruch uliczny. Ding przekopiował zapis na twardy dysk i wymazał dyskietkę którą przy najbliższej okazji miał zniszczyć. Informacja była ustna. Najpierw Chavez wysłuchał

jej przez słuchawki, w milczeniu, a następnie włączył samochodowe radio i szeptem przekazał

Clarkowi główne punkty.

— Północny Obszar Surowcowy? — spytał John.

— *Da*. Dziwna nazwa — Ding się zamyślił. Przyszło mu nagle do głowy, że ma lepszą dykcję po rosyjsku niż po angielsku. Może dlatego, że angielski dała mu ulica, rosyjskiego natomiast uczył się w prawdziwej szkole od nauczycieli zakochanych w tym języku. Młody agent ze złością odrzucił te wspomnienia.

Północny Obszar Surowcowy. Co to może być? Zabrzmiało mu w tym coś znajomego.

Mieli teraz jednak co innego do roboty, czuli się bardzo spięci. Ding doszedł do wniosku, że chociaż odpowiada mu paramilitarny charakter pracy agenta w terenie, to jednak zabawa w szpiegowanie raczej go odstręcza. Paranoiczne zajęcia, rodzące nieustanny lęk.

Isamu Kimura czekał w umówionym miejscu. Na szczęście jego praca pozwalała mu swobodnie krążyć tu i tam, wychodzić i wracać, kiedy chciał, i przebywać z cudzoziemcami. Był

też dobry w wybieraniu bezpiecznych miejsc na spotkania. Tym razem w dokach, gdzie na szczęście nie panował teraz nadmierny ruch i gdzie spotkanie nie zwracało niczyjej uwagi.

Byłoby tam również trudno założyć podsłuch, a portowe odgłosy świetnie zagłuszały normalną rozmowę.

Clark czuł się nieswojo — o ile taki stan był u mego możliwy. Przy skrytej rekrutacji, pierwszy okres publicznych spotkań wydawał się bezpieczny, jednakże bezpieczeństwo malało wprost proporcjonalnie do upływu czasu. I nikt nigdy nie wiedział, czy zmalało tylko trochę, czy bardzo. Istniały też inne powody niepokoju. Na przykład z jakich pobudek działał Kimura? Jakie są jego motywacje? Clark nie miał pojęcia, w jaki sposób Olegowi Lialinowi udało się skłonić Kimurę do współpracy. Nie chodziło przecież o pieniądze. Rosjanin nigdy mu nic nie zapłacił. I nie motywacje ideologiczne. Kimura nie był komunistą. Rozczarowanie? Zranione ego? Może uważał się za predestynowanego do objęcia stanowiska, które otrzymał ktoś inny? A może, i to mogło okazać się najniebezpieczniejsze, uważał się za patriotę i sądził, że wie lepiej, niż wszyscy inni, co jest dobre dla jego kraju? A może po prostu, tak jak mógłby to wyrazić Ding, był

wkurzony. Niezbyt to eleganckie określenie, ale Clark z doświadczenia wiedział, że takie rzeczy się zdarzają. Mówiąc prostymi słowami — Clark nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Kimura robi to, co robi. Poza tym, Clark z dużą dozą sceptycyzmu podchodził do ludzi, którzy zdradzili swój kraj na korzyść drugiego, choćby znajdowali po temu przejrzyste i zrozumiałe powody. Być może policjanci też nie lubią kontaktów ze swoimi informatorami. Małe pocieszenie.

— Co jest takiego ważnego? — spytał Kimura, gdy spacerowali po pustym nabrzeżu, skąd widzieli znieruchomiałe statki w tokijskiej zatoce. Pewno dlatego wybrał na spotkanie to miejsce, pomyślał.

— Twój kraj ma bron nuklearną — palnął prosto Clark.

— Co takiego? — Kimura spytał zdumiony. Obrócił głowę, zatrzymał się. Twarz mu stężała i jakby zbielelała.

— Powiedział to w sobotę amerykańskiemu prezydentowi wasz ambasador w Waszyngtonie. Amerykanie wpadli w panikę. W każdym razie tak nas poinformowała Centrala

— Clark uśmiechnął się w bardzo rosyjski sposób — Zdobyliście moje uznanie, że tak jawnie i jasno postawiliście sprawę, no i do tego kupiliście nasz „sprzęt dostawczy”. *SS-19*. Mówię to z punktu widzenia profesjonalisty, muszę natomiast również powiedzieć, że nasz rząd jest bardzo niezadowolony z tego rozwoju wypadków.

— Zwłaszcza, że rakiety mogą być też wycelowane w nas — dodał sucho Chavez.

— Taka rzecz czyni ludzi bardzo nerwowymi.

— Nie miałem o tym pojęcia. Jesteście tego pewni? — Kimura zaczął znowu iść, żeby przywrócić krążenie.

— Mamy dobre źródło informacji w wysokich kręgach amerykańskiej administracji. Nie może być mowy o pomyłce — odparł Clark. Powiedział to takim tonem, jakby to miało być coś absolutnie normalnego, pomyślał Ding. Jakby ktoś spytał: „Masz kogoś, kto może wyklepać zgnieciony błotnik?”, a on na to: „Znam mechanika tuż za rogiem”.

— No to dlatego byli pewni, tacy bardzo pewni, że im się uda... — Kimura nie potrzebował wyjaśniać nic więcej. Było teraz jasne, że zrozumiał coś, co dotychczas było dla niego zagadką. Wziął kilka głębokich oddechów. — Zupełne szaleństwo!

Były to dwa najwspanialsze słowa, jakie John usłyszał od czasu, kiedy to zadzwonił do domu z Berlina i dowiedział się, że jego żona szczęśliwie urodziła mu drugie dziecko. Zaczął

więc mówić bez uśmiechu, z twarzą poważną, jak przystało doświadczonemu agentowi wywiadu rosyjskiego, zwłaszcza takiemu, którego uformował najlepszy wywiad świata — KGB.

— Tak jest, drogi przyjacielu. Straszanie potężnego państwa jest zawsze szaleństwem.

Mam nadzieję, że ci, co poszli na taką grę, zdają sobie sprawę z jej niebezpieczeństwa. I niech pan wierzy moim słowom, że mój kraj jest bardzo zaniepokojony. Rozumie pan, *gaspadin* Kimura. Bardzo zaniepokojony! — Wyskandował ostatnie słowo. — Zrobiliście z nas głupców w oczach Ameryki i całego świata. Macie broń, która zagraża nie tylko Ameryce, ale i nam. Nie widzimy uzasadnienia, dlaczego rozpoczęliście zaczepne działania przeciwko Ameryce. W

naszych oczach straciliście wiarygodność. Uważamy, że nie wiadomo, czego się po was można spodziewać. Kraj z bombami nuklearnymi nie posiadający politycznej stabilności to, mówiąc delikatnie, niemiłe zjawisko. Jeśli rozsądni ludzie nie wezmą sprawy w swoje ręce, kryzys zacznie się pogłębiać. Nas nie obchodzą wasze kłótnie z Ameryką na tematy gospodarcze, ale obchodzi nas sytuacja grożąca prawdziwą wojną.

Kimura był nadal bardzo blady.

— Jaką pan reprezentuje rangę, Klierk-san? — spytał.

— Jestem pułkownikiem, Siódmy Departament Pierwszego Zarządu Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

— Ja myślałem...?

— O nowej nazwie, nowych strukturach. Co za bzdura! — Clark prychnął ze złością.

— Drogi Kimura-san, jestem oficerem wywiadu. Moim zadaniem jest dbanie o bezpieczeństwo mojego kraju. Sądziłem, że mój pobyt na nowej placówce będzie spokojny i miły, ale oto znalazłem się w sytuacji... Czy wspominałem wam, *gaspadin* Kimura, o Planie Ryana?

— Raz coś pan powiedział, ale...

— Po wyborze amerykańskiego prezydenta Reagana... Byłem wtedy kapitanem, tak jak teraz idący z nami kapitan Czekow... nasi polityczni przywódcy przyjrzeni się uważnie ideologicznemu profilowi tego człowieka i doszli do przykrego wniosku, że jest on zdolny akceptować ewentualną groźbę nuklearnego ataku. Natychmiast zaczęliśmy gorączkowo szukać informacji, które by pozwoliły nam ocenić powagę takiej groźby. Wreszcie udało się nam ustalić ponad wszelką wątpliwość, że się omyliliśmy, że Reagan jako szef państwa, chociaż nienawidzi Związku Radzieckiego, nie jest głupcem...

— Ale teraz, cóż oto widzimy — kontynuował Clark po nabraniu oddechu. — Widzimy państwo, które cichcem wyprodukowało sobie broń nuklearną. Państwo, które bez uzasadnionych powodów napadło na inne państwo będące raczej partnerem handlowym, niż wrogiem. Państwo, które w przeszłości wielokrotnie napadało na Rosję. W rezultacie tej sytuacji otrzymałem rozkazy, które brzmią bardzo podobnie do Planu Ryana. Czy teraz pan już rozumie?

— Czego pan ode mnie żąda? — zapytał Kimura, znając doskonale odpowiedź.

— Chcę znać dyslokację broni nuklearnej. Wiem, że rakiety opuściły fabrykę na platformach kolejowych. Chcę wiedzieć, gdzie są teraz.

— Skąd ja mogę..? — zaczął Kimura, ale Clark przerwał mu ostrym spojrzeniem.

— To pańska sprawa, przyjacielu. Ja panu powiedziałem, co muszę otrzymać. — Dla większego efektu przez chwilę milczał. — Niech pan dobrze rozważy, co następuje, Isamu: pewne wydarzenia nabierają własnego życia, zaczynają panować nad ludźmi, którzy je zainicjowali. Niech pan dobrze rozważy konsekwencje broni nuklearnej w naszym równaniu.

Konsekwencje takiej wiadomej w równaniu mogą być nieobliczalne. Pańska wiedza na temat atomu ograniczona jest do przeszłości, ale nie do tego, co może się stać. Ja wiem, co może się stać, widziałem analizy. Tego, co Amerykanie mogą zrobić nam, a co my im. Część Planu Ryana, prawda? Straszanie wielkiego mocarstwa jest nieodpowiedzialne i głupie.

— No, a jak pan się dowie, gdzie one są, to co?

— Nie moja to już sprawa. Wiem jedno, że mój kraj poczuje się znacznie bezpieczniejszy znając ich dyslokację. Takie otrzymałem polecenie: dowiedzieć się, gdzie są. Oczywiście nie mogę pana zmusić, *gaspadin* Kimura, żeby dostarczył pan nam tej informacji. Nie mam na to sposobu. Ale jeśli pan nam nie pomoże, to przyczyni się pan do pogorszenia sytuacji własnego kraju. — Niech pan to dobrze rozważy — powiedział zimno, jak sędzia śledczy wyduszający zeznania z podejrzanego. Następnie przyjaźnie uściśnął rękę Kimury i odszedł.

Wstrzymując oddech Ding liczył własne kroki. Serce mu waliło i czuł się, jak człowiek, który opuszcza zagrożone miejsce. — Jezu drogi, John! Z ciebie jest prawdziwy Rosjanin!

— A żebyś wiedział.

Kimura pozostał na nabrzeżu jeszcze przez kilka minut, wpatrując się w drzemiące na lustrze zatoki okręty. Było między nimi kilka statków do transportu samochodów, ale przeważały kontenerowce — szczupłe o wydłużonych dziobach dla łatwiejszego przecinania morskich fal.

Ten pozornie zwykły widok ucywilizowanego skrawka ziemi miał dla Kimury znaczenie świętej ikony. Handel zbliżał narody w potrzebie towarów, a gdy potrzeba przekształcała się w obyczaj, rosły powody do utrzymywania pokoju, i to bez względu na to, jak przykre i pełne wzajemnych pretensji mogły być międzypaństwowe stosunki pozahandlowe. Jednakże Kimura znał na tyle historię, by wiedzieć, że nie zawsze tak się dzieje.

Łamiesz prawo, pomyślał. Sprowadzasz hańbę na swoją głowę i głowy całej rodziny.

Zachowujesz się niecznie wobec przyjaciół i współpracowników. Zdradzasz swój kraj!

Nie, do diabła! Czyj w istocie kraj? Ludzie wybierają członków parlamentu, członkowie parlamentu premiera. Zarówno w tej sprawie jak i dalszych zwykli ludzie już nie mieli nic więcej do powiedzenia. Później wszyscy byli jedynie widzami spektaklu. Kłamano im. Na przykład teraz: kraj znalazł się w stanie wojny i ludzie nic o tym nie wiedzieli. Wyposażono kraj w broń nuklearną i ludzie nic nie wiedzieli. Kto kazał budować te rakiety i bomby? Rząd? Jaki rząd?

Przecież rządy nieustannie się zmieniały, a czas potrzebny na stworzenie potencjału nuklearnego jest długi. Co to więc oznacza?

Kimura nie znał na to odpowiedzi. Wiedział tylko, że Rosjanin miał rację. W pewnym stopniu. Trudno było przewidzieć wszystkie groźne konsekwencje powstałej sytuacji. Kimura wiedział, że w ciągu jego całego życia kraj jeszcze nigdy nie znalazł się w tak wielkim niebezpieczeństwie. Kraj, a może naród, popadał w szaleństwo. Nie było lekarza, który mógłby postawić diagnozę. Kimura rozumiał tylko jedno: że wszystko działo się w kręgach postawionych tak wysoko ponad jego głową, iż absolutnie nie wiedział od czego i gdzie zacząć.

Ale ktoś musi coś zrobić. I w tym momencie Kimura zadał sobie pytanie, czy jest możliwe, by zdrajca był patriotą, a patriota zdrajcą.

Kładąc się spać Cook pomyślał, że właściwie to powinien czuć niesmak. Jednakże go nie odczuwał. Był to doskonały dzień — biorąc wszystko pod uwagę. Tamci tylko na niego czyhali.

Żeby go gdzieś dopaść i przyłapać. Zwłaszcza ci z NIO. Im się wydaje, że są niesłuchanie przebiegli. Cook uśmiechnął się do sufitu. Ale w rzeczywistości dają się łatwo wystrychnąć na dudka. Ciekawe, czy wiedzą, że nic nie wiedzą? Chyba nie zdają sobie z tego sprawy. Chodzą zawsze z zadartymi do góry nosami, ale jak przychodzi co do czego i przygwoździć ich pytaniami, to odpowiedź zawsze zaczyna się od słów „z jednej strony, sir”, a po chwili „z drugiej strony, sir”. Jakże można prowadzić jakąkolwiek politykę otrzymując podobne opinie? Cook, „z drugiej strony”, znał jednoznaczną odpowiedź i Ryan był tego świadomy, to też natychmiast wyniósł go do roli lidera grupy roboczej, co spotkało się z jednej strony (ha!) z niechęcią tych panów, a z drugiej z uczuciem ulgi. Można było się domyślać, jak teraz rozumują: doskonale, niech odpowiedzialność spada na jego głowę. To on ryzykuje, nie my. W sumie dość dobrze mu się udało. Pozostali będą go zarazem popierali i utrzymywali dystans, by móc zdezwuować jego opinie i ocalić swoje tyłki, jeśliby rzeczy przyjęły zły obrót.

A więc wstępne kroki są poczynione. Pozycje wyjściowe ustalone. Negocjatorom amerykańskim przewodzić będzie Adler. Cook zostanie jego zastępcą. Na czele delegacji drugiej strony stanie ambasador japoński, jego zastępcą zostanie Seidzi Nagumo. Negocjacje odbywać się będą według wielce skomplikowanych i równie gustownie wystylizowanych reguł jak w teatrze Kabuki. Przy stole obrad obie strony będą zachowywać się dostojnie i sztywno — udając tylko negocjacje. Właściwej akcji należy oczekiwać w czasie przerw na kawę lub herbatę, kiedy to członkowie obu delegacji będą mogli spokojnie ze sobą porozmawiać. Umożliwi to Chrisowi i Seidzi dyskretną wymianę informacji, co pozwoli zapanować nad przebiegiem negocjacji i nie dopuścić, aby ta kretyńska sytuacja uległa pogorszeniu.

Słyszał nieustannie wewnętrzny głos wypominający mu, że za udzielone informacje czekają go pieniądze. No tak, ale Seidzi także będzie mu udzielał informacji, a w istocie chodziło przecież o to, aby dojść do porozumienia i oszczędzić życie ludzi, którzy zginęliby w wypadku zbrojnego konfliktu. Czy to nie wystarczająca odpowiedź wewnętrznemu głosowi? Przecież podstawowym celem dyplomacji jest utrzymanie pokoju, a to zawsze oznacza ocalenie żyć ludzkich, rozpatrując problem w skali globalnej. Lekarze ocalają życia ludzkie jeszcze skuteczniej i otrzymują za to pieniądze. I nikt im nie wypomina zarabianych pieniędzy, w odróżnieniu od różnych bałwanów w Departamencie Stanu. Cóż miałoby czynić lekarzy wyjątkiem?

Chodzi przecież o przywrócenie pokoju, psiakrew! Pieniądze nie mają tu znaczenia. To jest sprawa drugorzędna. A ponieważ jest drugorzędna, to może te pieniądze wziąć. Zasłużył na nie. Oczywiście, że zasłużył, doszedł do ostatecznego wniosku i z tą myślą zasnął.

Siedząc na swym krześle w pobliżu stanowisk remontowych Sanchez widział, że mechanicy sprawnie

pracują. Założyli i dopasowali dwa łożyska na końcówkę wału napędowego i wstrzymali oddechy, otwierając szerzej przepustnice silnika numer jeden. Daje jedenaście węzłów, prawie dwanaście. Dość, by wystartować, polecieć do Pearl Harbor, zabrać potrzebne części i wrócić z grupą specjalistów, którzy zjedzą do maszynowni i pomogą głównemu mechanikowi ocenić sytuację. Jako dowódca Sanchez dowie się, co sądzą, kiedy będą razem spożywali lunch. Sanchez mógł polecieć na ląd z pierwszą grupą myśliwców, ale jego miejsce było tu. „Enterprise” został daleko z tyłu pod osłoną samolotów P-3, które operowały z Midway.

Poza tym wywiad Marynarki coraz bardziej był pewny, że w okolicy nie ma wrogich sił. Sanchez zaczynał temu wierzyć. I jeszcze jedno: samolot ZOP zrzucił tyle pław hydrolokacyjnych, że cały ten akwen stał się zbyt ryzykowny dla przeciwnika.

Cała załoga była już na nogach. Ludzie wydawali się zaskoczeni i bardzo źli. Wstali wcześniej, ponieważ mieli wcześniej przybyć do Pearl Harbor. Odetchnęli z ulgą, gdy przekonali się, że niebezpieczeństwo zmałało. Byli zagubieni, ponieważ nie wiedzieli, co się dzieje. Byli źli, bo ich okręt został uszkodzony. Usłyszeli, że stracono dwa okręty podwodne, ale chociaż góra usiłowała ukryć, co się właściwie stało z tymi jednostkami, żadna tajemnica długo nie przetrwa w środowisku marynarzy. Radiowcy wysyłali i odbierali depeche oraz meldunki, gońcy je roznosili, stewardzi słyszeli rozmowy oficerów. „Johnnie Reb” miał na pokładzie prawie sześć tysięcy ludzi. To prawda, że fakty często tonęły w powodzi plotek, ale wcześniej czy później prawda wychodziła na jaw. I gdy wyjdzie, wszystkich ogarnia szewska pasja. Takie są prawa życia na okręcie. Bez względu na to, jak bardzo załogi lotniskowców pogardzają pustogłowcami na lądzie, bez względu na rywalizacje, wszyscy byli ostatecznie braćmi (i obecnie siostrami) w jednej wielkiej rodzinie, wobec której obowiązuje lojalność.

I kogoś należy ukarać. No tak, ale jakie otrzymają teraz rozkazy? Na liczne pytania skierowane do dowódcy Floty Pacyfiku nie otrzymano żadnej odpowiedzi. Trzecia Grupa Bojowa Lotniskowców admirała Dubro nie otrzymała polecenia powrotu, i to całym pędem, jak należało — na Zachodni Pacyfik. To już zupełnie nie miało sensu. Jest ostatecznie wojna czy nie? — zapytał Sanchez zachodzącego słońca.

— Powiedz, skąd się tego dowiedziałeś? — spytał Mogataru Koga. Były premier miał na sobie kimono. Rzecz wyjątkowa. No, bo teraz po raz pierwszy od trzydziestu lat był człowiekiem wolnego czasu. Odpoczywał. Gdy otrzymał telefon, natychmiast zaprosił rozmówcę do siebie i teraz słuchał w wielkim skupieniu.

Kimura patrzył w ziemię.

— Mam rozliczne kontakty, Koga-san. Na moim stanowisku muszę utrzymywać stosunki z licznymi osobami.

— Podobnie jak i ja. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziano?

— Nawet w łonie rządu istniała konspiracja.

— Nie mówisz mi wszystkiego. — Kimurę zaskoczyło, że Koga to wie, i nie przyszło mu do głowy,

że po odpowiedzi wystarczy spojrzeć w lustro. Spędził całe popołudnie za biurkiem udając, że pracuje. Przerzucał jedynie papierki. Teraz nie przypominał sobie nawet jednego dokumentu. Tylko to pytanie: co robić? I dalsze: komu się zwierzyć, kogo poprosić o radę?

— Mam informacje ze źródła, którego nie mogę zdradzić, Koga-san. — Chwilowo łaskawym skinieniem głowy gospodarz akceptował tę odpowiedź.

— Powiadasz więc, że Japonia zbrojnie napadła na Stany Zjednoczone i że posiada broń nuklearną?

Skinienie głowy i *Hai!*

— Wiedziałem, że Goto to głupiec, ale nie sądziłem, że i szaleniec. — Koga zastanawiał się przez chwilę nad własnymi słowami. — Nie, jemu jest brak wyobraźni szaleńca. To był zawsze pies Yamaty, prawda?

— Raizo Yamata był zawsze jego... jego...

— Mentorem? — podsunął Koga uszczypliwie. — To byłoby za łagodne określenie. —

Prychnął i odwrócił głowę, znajdując nowe ujście dla gniewu. Właśnie temu chciałeś zapobiec, człowieku, pomyślał. Ale ci nie wyszło.

— Goto często zasięga jego rady, to prawda...

— Więc co teraz? — zapytał stary człowiek, który nagle wydał się zupełnie zagubiony.

Mógł jednak przewidzieć odpowiedź Kimury:

— Nie mam pojęcia. Sprawa mnie przerasta. Jestem jedynie urzędnikiem. Nie ustanawiam polityki ani jej reguł. Ale boję się o nas wszystkich. I nie wiem, co robić.

Koga zdobył się na ironiczny uśmiezek i nalał herbaty gościowi.

— To samo mógłbym powiedzieć i ja, Kimura-san. Ale nie odpowiedziałeś na moje poprzednie pytanie, a raczej obserwację. Ja również posiadam liczne kontakty. Ja też dowiedziałem się o akcji podjętej przeciwko amerykańskiej Marynarce w ubiegłym tygodniu.

Dowiedziałem się po fakcie. Ale nigdzie nic nie słyszałem o broni nuklearnej. — Jakby chłód wdarł się nagle do pokoju po wypowiedzeniu tych ostatnich dwu słów. Kimura się nawet dziwił, że sędziwy polityk może dalej mówić tak pewnym głosem.

— Nasz ambasador w Waszyngtonie powiedział o tym Amerykanom, a jeden z moich przyjaciół w Ministerstwie Spraw Zagranicznych...

— Ja mam również przyjaciół w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — powiedział

Koga, popijając herbatę.

— Nic więcej nie mogę powiedzieć — odparł Kimura.

Padło pytanie wypowiedziane niespodziewanie łagodnym głosem:

— Rozmawiałeś z Amerykanami?

— Nie. — Kimura zaprzeczył ruchem głowy.

Normalnie rozpoczynał dzień o szóstej. Ale to niewiele załatwiało. Paul Robberton przyniósł gazety i zajął się parzeniem kawy. Pojawiła się też Andrea Price i pomagała teraz Cathy przy dzieciach. Ryan rozmyślał o tym wszystkim leniwie, póki nie zobaczył przez okno jeszcze jednego samochodu na podjeździe. A więc Tajna Służba doszła do wniosku, że to wojna.

Zadzwoił do biura i po minucie jego końcówka *STU-6*, zaczęła wystukiwać teksty faksów z nocy. Pierwsza wiadomość była jawna, niemniej ważna. Europejczycy usiłowali pozbyć się amerykańskich obligacji skarbowych, ale nie mieli nabywców. Pierwszą taką wiadomość można było zlekceważyć stwierdzeniem, że to jest chwilowa aberracja. Ale już nie teraz, nie drugiego dnia. Buzz Fiedler i prezes Banku Rezerw znowu będą musieli zakasać rękawy, a ekonomista Ryan bardzo się tego bał. Sytuacja z dowcipu o holenderskim chłopcu, który palcem usiłuje zatkać dziurę w wale ochronnym, A co będzie, jak pojawi się więcej dziur, niż jest palców w obu rękach?

Na Pacyfiku sytuacja była bez zmian, ale nadchodziły raporty uzupełniające. „John Stennis” dopłynię do Pearl Harbor już wkrótce, natomiast w przypadku „Enterprise” potrwa to dłużej, niż sądzono. Nie ma oznak pościgu japońskiego. To dobrze. Szperanie za bombami nuklearnymi trwało, chwilowo bez większych rezultatów. Można się było tego spodziewać. Ryan nigdy nie był w Japonii, czego teraz żałował. Jedyne jego wiedza pochodziła teraz z satelitarnych fotografii. Z okresu zimy, kiedy niebo nad Wyspami Japońskimi było niezwykle czyste. Biuro Zwiadu Powietrznego wykorzystywało tę sytuację (nad innymi obszarami również) do kalibrowania orbitalnych kamer. Ryan miał okazję poznania piękna ogrodów i parków japońskich. Reszta jego wiedzy pochodziła z książek i historycznych dokumentów. Ale co ona była teraz warta? Na ile przeszłość pasowała do terażniejszości? Historia i ekonomia tworzą bardzo dziwną parę.

Zwyczajowe wilgotne pacnięcia spełniające funkcję porannych pocałunków poprzedziły odejście Cathy i dzieci do ich własnych spraw. Wkrótce potem Ryan jechał rządową limuzyną do Waszyngtonu. Tyle z tego wszystkiego, że jazda jest krótsza niż poprzednio do Langley.

— Chyba pan trochę wreszcie wypoczął — zauważył Robberton. Nigdy by się nie ośmielił podobnie odezwać do dostojnika z klucza politycznego, jednakże w towarzystwie tego człowieka czuł się swobodnie. Ryan nie należał do klasy nadętych ważniaków.

— Może i tak, ale problemy zostały — odparł Ryan.

— Na pierwszym miejscu Wall Street, co?

Po zamknięciu tajnych dokumentów w teczce, Ryan patrzył na okolicę. — Właśnie.

Dopiero teraz zaczynam sobie uświadamiać, że to wszystko, co nas otacza, cały nasz świat, może tego oberwać. Wszystko może się gdzieś zapaść. Europejczycy chcą się pozbyć dolarowych obligacji. Nikt ich nie chce kupować. Brak nam płynności kapitałowej, a płynność jest właśnie zamrożona w naszych obligacjach.

— Płynność, to znaczy żywa gotówka? — spytał Robberton, który zmienił pasmo ruchu i przyśpieszył. Rządowe tablice rejestracyjne informowały policjantów, że wóz należy zostawić w spokoju.

— Racja. Piękna to rzecz, żywa gotówka. Dobrze ją posiadać, kiedy zaczynają się trudności i ludzie są niespokojni. A ludzie są zawsze niespokojni, kiedy odcina się ich od żywej gotówki.

— Pan tak mówi, jakby o roku 1929. Czy jest aż tak źle? Ryan obrzucił agenta Tajnej Służby baczny spojrzeniem.

— Wszystko możliwe. Chyba że rozwiążą supeł w Nowym Jorku. Odtworzą dokumentację obrotów i operacji rynkowych. Chwilowo to jest po prostu tak, jakby bokserowi związano ręce przed walką albo kazano ludziom grać w pokera przy stole bez kart. Nie masz kart, nie grasz, tylko się gapisz. Psiakrew! — zaklął Ryan. — Podobna rzecz nigdy się przedtem nie zdarzyła. Finansistom bardzo to się nie podoba.

— Jakże tacy mądrzy ludzie mogą tak łatwo wpadać w panikę?

— Nie rozumiem?

— No, bo nikt nic nikomu nie zabrał, prawda? Nikt nie obrabował skarbcza lub nie wysadził w powietrze mennicy. Wtedy to mieliby powód, żeby gryźć paznokcie.

— Zrobić ci wykład z ekonomii, Paul? — spytał z uśmiechem Ryan.

Paul zlekceważył propozycję gestem ręki, którą na chwilę oderwał od kierownicy. —

Mam dyplom uniwersytecki z psychologii, a nie z ekonomii. Na ekonomii się nie znam.

— Wspaniale. Łatwiej ci żyć — odparł Ryan.

Podobnie jak Ryan martwiła się cała Europa. Tuż przed południem odbyła się telekonferencja prezesów banków centralnych Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Oprócz pogłębienia wielojęzycznego zamieszania nie ustalono nic. Zamieszanie dotyczyło zagadnienia co należy w tej sytuacji zrobić. Minione lata odbudowywania i podpierania gospodarek Europy Wschodniej okazały

się gigantycznym ciężarem dla Europy Zachodniej, która w zasadzie spłacała rachunek za ekonomiczny chaos dwóch generacji. Aby zabezpieczyć się przed nadmiernym osłabieniem własnych walut, państwa zachodnie kupowały dolary i dolarowe obligacje. Zdumiewające wydarzenia w Ameryce przyniosły następnego ranka efekt w postaci nieco osłabionej aktywności giełdowej. Oczywiście wszystkie notowania już zaczynały spadać, ale jeszcze nie drastycznie. Sytuacja zmieniła się jednak radykalnie, gdy ostatni kupujący kupił

ostatni pakiet amerykańskich obligacji, za pieniądze uzyskane ze sprzedaży mało procentujących akcji. Był ostatnim, ponieważ dla wielu innych była to podejrzana dobra okazja. Ów kupujący po pewnym czasie doszedł do wniosku, że popełnił błąd i zaczął samego siebie przeklinać za to, że był w ogonie trendu, a nie na jego czele. O dziesiątej trzydzięci rano miejscowego czasu prawie wszystko na paryskiej giełdzie zaczęło lecieć na łeb, na szyję, a komentatorzy giełdowi mówili o tak zwanym efekcie domina; to samo zaczęło się dziać na wszystkich innych giełdach we wszystkich wielkich aglomeracjach finansowych. Banki centralne wielu państw europejskich usiłowały uczynić to samo, co Amerykanie, czyli to, co Bank Rezerw Federalnych próbował

zrobić poprzedniego dnia. Nie był to zły pomysł sam w sobie, ale dobre pomysły tego typu dają się zastosować tylko raz, a europejscy inwestorzy kupować nie chcieli. Woleli sprzedawać ratując, co się da. Z ulgą też odetchnęli, gdy ludzie zaczęli kupować akcje po absurdalnie niskich cenach, i byli nawet wdzięczni, kiedy im płacono w jenach, których wartość się umocniła. I to był jedyny jasny promyk na ponurej arenie międzynarodowych finansów.

— Skoro tak, skoro jesteś psychologiem, to mój wykład jest ci niepotrzebny — uzupełnił

Ryan.

— Chce pan powiedzieć, doktorze, że właśnie to zrujnowało rynek? — zapytał

Robberton, otwierając drzwi do Zachodniego Skrzydła Białego Domu.

— Uważasz się za człowieka inteligentnego i bystrego, Paul? — zapytał Ryan. Pytanie zaskoczyło agenta Tajnej Służby. Ale odparł odważnie:

— Uważam. I co z tego wynika?

— No to dlaczego zakładasz, że inni mogą być inteligentniejsi i bystrzejsi? Wcale nie są.

Wykonują inną pracę, ale to nie oznacza, że ich umysły lepiej funkcjonują od twojego. Tu chodzi po prostu o wykształcenie, jego kierunek, i doświadczenie. Tamci nie mają zielonego pojęcia o prowadzeniu dochodzenia policyjnego. Ja też nie mam. Każda praca wymaga dobrej głowy i myślenia. Każda trudna praca. Wszystkiego nie można wiedzieć. W każdym razie nie tego wszystkiego, co trzeba, by móc podejmować w danej materii decyzje. Nie, Paul, finansiści nie są mądrzejsi od ciebie, a być może nawet ci ustępują. Natomiast znają się na rynku, na operacjach giełdowych, a twoja praca dotyczy zupełnie innego obszaru.

— Jezu drogi! — mruknął Robberton i pozostawił Ryana w jego sekretariacie. Sekretarka wręczyła Johnowi plik kartek z nazwiskami ludzi, którzy zdążyli już z rana zadzwonić. Jedna miała sygnaturę „bardzo pilne”. Ryan kazał się połączyć.

— Ryan?

— Tak jest, panie Winston. Chce się pan spotkać? Kiedy? — Jednocześnie Jack otwierał teczkę i wyciągał poufne materiały.

— O każdej porze, zaczynając za dziewięćdziesięciu minut od tej chwili. Limuzyna czeka już na dole, silniki Gulfstreama są rozgrzane, druga limuzyna czeka na lotnisku National w Waszyngtonie. — Jego barwa głosu dopowiedziała resztę: sprawa była pilna, gardłowa. No i do tego reputacja Winstona.

— Zakładam, że chodzi o miniony piątek.

— Zgadza się.

— Dlaczego ja, a nie sekretarz Fiedler?

— Pan w tym biznesie pracował. On nie. Jeśli pan sobie życzy, żeby był obecny, nie mam nic przeciwko temu. To do niego też dotrze. Ale do pana dotrze szybciej. Zna pan dzisiejszą sytuację rynkową?

— Wygląda, że Europa rzuca nas na pożarcie.

— I zrobi się jeszcze gorzej.

Jack wiedział, że Winston ma rację. — Wie pan, jak to naprawić? — spytał. Niemalże czuł przez telefon rosnący w Winstonie gniew i frustrację.

— Chciałbym wiedzieć, ale nie wiem. Mogę panu natomiast powiedzieć, jak to naprawdę się stało. Domyślam się impulsu.

— Kupuję. Niech pan przybywa choćby natychmiast. I niech pan powie kierowcy, żeby jechał przez zachodnią bramę. Wartownicy będą uprzedzeni.

— Dziękuję za wysłuchanie mnie, doktorze Ryan — pożegnał się formalnie Winston.

Jack zastanawiał się, czy Winston tak kończy wszystkie rozmowy telefoniczne. I po chwili zabrał się do roboty.

Przynajmniej to było dobre, że wagony kolejowe, na których transportowano rakiety *H-11*

z fabryki do miejsc ostatecznego przeznaczenia miały osie o standardowym rozstawie. Tylko jakieś osiem procent torów japońskiej sieci kolejowej miało standardową szerokość. Dzięki temu zresztą można je było dostrzec na fotografiach satelitarnych. Centralna Agencja Wywiadowcza zajmowała się zbieraniem informacji z których większość nigdy nikomu się nie przydaje i których większość — wbrew teoriom propagowanym przez książki i filmy — pochodzi z jawnych źródeł. Wystarczyło tylko zajrzeć do map Japonii aby się dowiedzieć, skąd i dokąd prowadziły tory o standardowej szerokości. Jednakże takich torów było ponad trzy tysiące kilometrów, a Japonię o tej porze roku często przesłaniały chmury, kiedy natomiast nie przesłaniały, satelity mogły akurat znajdować się gdzie indziej lub pod kątem, który nie pozwalał

na wgląd w doliny i wąskie przesmyki w kraju upstrzonym skupiskami wulkanicznych gór.

Było to jednak zadanie, które CIA potrafiła dobrze wykonywać. Rosjanie, obarczeni manią ukrywania wszystkiego, nauczyli analityków amerykańskich, gdzie i jak szukać w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Od takich miejsc należało zaczynać. Na przykład otwarta przestrzeń była bardzo wygodna. Zapewniała łatwość dostępu a więc łatwość zabudowy, ułatwiała też obsługę i ochronę. Tak to robili Amerykanie w latach sześćdziesiątych, niesłusznie licząc na to, że rakiety nigdy nie będą mogły być wycelowywane tak dokładnie w mały cel, jakim są raketowe silosy. Japończycy skorzystali z lekcji i dlatego teraz analitycy musieli zaczynać od miejsc o pozornie trudnym dostępie. W lasach, dolinach, na zboczach gór, a sam proces określenia takich miejsc wymagał czasu. Na orbicie znajdowały się dwa satelity *KH-11* i jeden *KH-12* prowadzący obserwację za pomocą radaru. Te pierwsze wychwytywały przedmioty nawet wielkości paczki papierosów, ostatni natomiast przekazywał monochromatyczny obraz o mniejszej wprawdzie rozdzielczości, ale przenikał za to przez chmury, a w sprzyjających okolicznościach nawet pod ziemię, na głębokość do dziesięciu metrów. Został niegdyś skonstruowany po to, by móc umiejscowić niewidoczne radzieckie silosy i inne zakamuflowane instalacje.

Świetnie, że takie radarowe „zdjęcia” można było robić, ale każde ujęcie wymagało nieprawdopodobnie drobiazgowej analizy przez ekspertów. Pochłaniało to wiele czasu.

Wszystkie wątpliwości, podejrzenia, stwierdzone nierówności terenu trzeba było wyjaśnić, wszystko skatalogować. A czasu brakowało. Nie dysponowano też środkami i ludźmi, dzięki którym można by proces przyspieszyć. Sama liczba zdjęć z *KH-12* przyprawiała o ból głowy. Do tej pracy zmobilizowano wszystkich speców z CIA, Biura Zwiadu Powietrznego i z I-TAC —

Centrum Materiałów Wywiadowczych i Strategicznych. Wszyscy szukali owych fatalnych dwudziestu dziur w ziemi, wiedząc tylko, że każda z nich musi mieć co najmniej pięć metrów średnicy. Dziury mogły znajdować się w jednym miejscu, skupione, albo też rozsypane na wielkim obszarze. Wszyscy zgadzali się z tym, że najpierw trzeba uzyskać zdjęcia wszystkich tras o torach standardowej szerokości. Pogoda i nieodpowiednie kąty wielu ujęć uniemożliwiały szybkie wykonanie zadania. Po trzech dniach polowania brakowało jeszcze dwudziestu procent odcinków tras kolejowych. Zidentyfikowano trzydzieści potencjalnych miejsc, gdzie mogły znajdować się rakiety, i przekazano

dyspozycje kamerom — inny poziom oświetlenia, kąty —

aby móc uzyskać „zdjęcia” stereoskopowe w większym zbliżeniu. Analitycy zaczęli sobie przypominać sławne polowanie na rakiety SCUD w 1991 roku, podczas wojny w Zatoce Perskiej. Nie były to miłe wspomnienia. Chociaż nauczyli się wówczas wiele, najważniejsza lekcja brzmiała następująco: wcale nie jest trudno ukryć dziesięć, dwadzieścia, a nawet sto niewielkich obiektów, choćby nawet kraj, w którym się ich poszukuje, był zupełnie płaski i otwarty. Japonia nie była ani płaska, ani otwarta. W tych warunkach znalezienie owych dwudziestu dziur wydawało się prawie niemożliwe. Niemniej należało próbować.

Godzina jedenasta wieczorem. Jego obowiązki wobec przodków były chwilowo spełnione. Te obowiązki zawsze obligowały, nigdy się ich nie da wypełnić całkowicie, niemniej przed laty złożone duchom obietnice przekształciły się w rzeczywistość. Ziemia, która w chwili jego urodzenia była japońska, należała ponownie do Japonii. Naród, który upokorzył Japonię i wymordował jego rodzinę, teraz sam został upokorzony i pozostanie upokorzony przez wiele lat.

Bardzo wiele lat. Tak długo, aby jego kraj mógł odzyskać należną mu pozycję wśród wielkich narodów świata.

Jego kraj zdobędzie być może jeszcze większą pozycję, niż planował. Wystarczyło tylko przejrzeć doniesienia finansowe wypluwane w jego hotelowym apartamencie przez faks. Panika finansowa którą zaplanował i do której doprowadził, ogarniała drugą stronę Atlantyku.

Zdumiewające, że tego nie przewidział. Skomplikowane transakcje wzbogaciły nagle japońskie banki i instytucje finansowe w olbrzymie zapasy gotówki, jego europejscy koledzy, *zaibatsu* oczywiście, korzystali z okazji, aby kupować za bezcen dla siebie i swoich firm akcje europejskich przedsiębiorstw. Przyczynią się w ten sposób do zwiększenia narodowego bogactwa, umocnią swoją pozycję w różnych europejskich gospodarkach, stwarzając jednocześnie wizerunek biznesmenów idących z pomocą innym. Yamata był pewien, że Japonia uczyni poważny wysiłek, aby ułatwić Europie wydobyć się z kłopotów. Przecież Japonia potrzebuje rynków zbytu i przy nagłym zwiększeniu udziału kapitału japońskiego w europejskiej gospodarce, politycy Europy będą bardziej skłonni ustąpić sugestiom Japonii. To nie jest jeszcze pewne, ale znajduje się w strefie możliwości. Z pewnością jednak wysłuchają głosu siły. Japonia powaliła Amerykę na kolana. Ameryka przegrała, nie potrafiła stawić czoła jego krajowi. Nie będzie do tego zdolna przeżywając gospodarczy chaos, mając prezydenta politycznie sparaliżowanego i armię, której wyrwano żądło. I poza tym jest to rok wyborów w Ameryce.

Yamata wiedział, że najlepszą strategią jest sianie niezgody w domu wroga. I to właśnie zrobił, wybierając jedyną drogę, o jakiej nigdy nie pomyśleli zarozumiali wojskowi w 1941 roku, prowadząc Japonię do zagłady, doprowadzając kraj do ruiny.

— A więc czym mogę panu służyć? — spytał gościa.

— Jak pan wie, Yamata-san, niedługo odbędą się wybory gubernatora Saipanu — Gość dolał sobie

pokażną porcję doskonałej szkockiej whisky — Pan jest tam wielkim właścicielem ziemskim już od wielu miesięcy. Wiążą pana z wyspą liczne interesy. Wydaje mi się, że byłby pan świetnym kandydatem na to stanowisko.

Po raz pierwszy od wielu lat Raizo Yamata poczuł się zaskoczony.

W innym pokoju tego samego hotelu admirał, major i kapitan z Japońskich Linii Lotniczych JAL odbywali rodzinne spotkanie.

— Co będzie dalej, Yuso? — spytał Toradžiro.

— Moim zdaniem wkrótce będziesz latał z Japonii do Ameryki i z powrotem, zgodnie z rozkładem lotów — odparł admirał, dopijając trzeciego drinka. — Jeśli są tak inteligentni, jak sędzę, to szybko zdadzą sobie sprawę, że wojna się skończyła.

— Od jak dawna nad tym pracowałeś, wuju? — z wielkim respektem spytał Sziro.

Dowiedziawszy się o wyczynie swego wuja, był po prostu oszołomiony jego niezwykłą odwagą.

— Od kiedy jako *nisa* nadzorowałem w stocznjach Yamamata-san budowę pierwszego okrętu, którym miałem dowodzić. Ile to już upłynęło czasu? Dziesięć lat. Yamata-san odwiedził

mnie, zjedliśmy kolację i wtedy zadał mi kilka pytań. Jak na cywila Yamata jest bardzo bystry i pojętny — wydał opinię admirał. — Ja ci mówię, że kryje się w tym coś więcej, niż można dostrzec gołym okiem.

— Jakże to? Nie rozumiem — powiedział Toradžiro.

Yusuo nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę whisky. Jego flota była bezpieczna, miał

prawo trochę się odprężyć, zwłaszcza w towarzystwie brata i siostrzeńca. Czas stresów był już za nim.

— No i w ciągu następnych lat coraz częściej się spotykaliśmy i rozmawialiśmy —

ciągnął admirał. — Było to jeszcze na długo przedtem, zanim kupił ten amerykański holding. No i teraz moja obecna drobna wyprawa bojowa wypada akurat w chwili, kiedy Amerykanie mają ten krach na giełdzie... Interesujący zbieg okoliczności, prawda? — Rozbłysły mu oczy, coś w nich zamigotało. — Przed laty dałem mu taką oto pierwszą lekcję: w 1941 roku atakowaliśmy tylko amerykańską strefę peryferyczną. Uderzyliśmy w ich ramię zbrojne, ale nie w głowę i nie w serce. Naród zawsze może odbudować arsenał, ale nie serce, nie głowę. To znaczy może, ale to trwa znacznie dłużej. I chyba Yamata pilnie mnie wówczas słuchał.

— Dość często przez tę głowę latałem — odezwał się kapitan Toradžiro Sato. Jedna z jego dwu rejsowych tras prowadziła do międzynarodowego portu lotniczego w Dallas.

— Paskudne miasto to ich Dallas.

— I ponownie będziesz tam latał, jeśli Yamata zrobił to, co ja podejrzewam, że zrobił. I to już niedługo będziesz latał — oświadczył admirał Sato z wielką pewnością siebie.

— Przepuście go! — polecił Ryan przez telefon.

— Ale...

— Jeśli chcecie się upewnić, to otwórzcie i obejrzyjcie, ale jeśli on wam mówi, żeby nie prześwietlać, to nie prześwietlajcie.

— Ale nam powiedziano, że będzie jeden, a jest ich dwóch.

— Wszystko jest w porządku, przepuście ich. — Zawsze był ten sam problem, gdy podnoszono stopień zabezpieczenia Białego Domu. Strata czasu! Zamiast pracować, musiał się teraz handryczyć ze strażnikiem przy zachodniej bramie. — Niech tu obaj idą prosto do mnie.

Minęły jeszcze cztery minuty, nim dotarli, Jack sprawdził to na swoim zegarku.

Prawdopodobnie grzebali w laptopie Winstona, aby sprawdzić, czy nie ma w nim wciśniętej gdzieś bomby. Jack wstał od biurka i poszedł przywitać ich w przedpokoju.

— Przepraszam za te korowody przy wejściu. Była taka piosenka na Broadwayu: „Gdy słyszę ochroniarza głos, na mej głowie staje włos”. — Ryan wskazał gościom drogę do gabinetu.

Zakładał, że to George Winston jest starszym z pary. Mgliście przypominał sobie jego wystąpienie w Klubie Harvardzkim, ale nie twarz.

— Przedstawiam Marka Ganta, mego najlepszego specjalistę od komputerowej analizy i prezentacji danych. Uparł się, że musi wziąć laptopa — powiedział Winston.

— Dla ułatwienia rozmowy — odezwał się Gant.

— Rozumiem. Ja też często korzystam z pomocy komputerów. Siadajcie, panowie. —

Wskazał fotele. Sekretarka wniosła tacę z kawą i naląła do filiżanek. Wyszła, a Ryan ciągnął

dalej: — Mój pracownik prześledził rano sytuację na rynkach europejskich. Jest źle.

— Zbyt łagodne określenie, doktorze Ryan. Chyba obserwujemy dopiero początek globalnej paniki. I nie wiem, gdzie jest dno — zauważył Winston.

— Chwilowo Buzz daje sobie radę — zauważył ostrożnie Ryan, a Winston gwałtownie uniósł głowę znad filiżanki.

— Ryan, jeśli jest pan jednym z tych nadętych balonów, to niepotrzebnie tracę czas.

Sądziłem, że pan ma we krwi Wall Street. Wymiana akcji Silicon Alchemy była błyskotliwym zagranem. Czy zrobił to pan sam, czy ktoś inny za pana, a pan jedynie zebrał korzyści?

— Tylko dwie osoby na świecie mają prawo tak do mnie mówić — odparł spokojnie Ryan. — Z jedną się ożeniłem, a druga siedzi o trzydzieści metrów stąd w Gabinetce Owalnym.

— Wykrzywił twarz w uprzejmościowym uśmiechu. — Znam dobrze pańską reputację, panie Winston. Silicon Alchemy to moje własne dziecko. I mam w portfelu dziesięć procent jego akcji.

Takie miałem zaufanie do jego stabilności. Jeśli o moją reputację chodzi, to niech pan popyta, a dowie się pan, że nie jestem nadętym balonem.

— Skoro tak, to wie pan, że dziś... — Winston nadal próbował Ryana, macał. Ryan przygryzł wargi, chwilę milczał i wreszcie odezwał się:

— Wiem. To samo powiedziałem Buzzowi w niedzielę. Pojęcia nie mam, jak daleko posunęli się specjaliści w odtwarzaniu dokumentacji. Pracowałem nad czymś innym.

— Rozumiem. — Winston zastanawiał się, nad czym to innym mógł pracować Ryan po giełdowym krachu, ale odrzucił rozmyślenia na ten temat, jako mniej pilne w obliczu obecnej sytuacji. — Nie potrafię panu powiedzieć, jak naprawić szkody, ale mogę wyjaśnić, jak i dlaczego to się stało.

Ryan na chwilę obrócił głowę w kierunku ekranu telewizyjnego. CNN rozpoczynała właśnie kolejny półgodzinny cykl informacyjny. Pierwsze ujęcia, na żywo, pochodziły z sali operacyjnej Nowojorskiej Giełdy. Dźwięk w telewizorze był wyłączony, ale Ryan zauważył, że komentator mówi bardzo szybko i daleki jest od uśmiechu. Gdy Ryan odwrócił się od telewizora, Gant już siedział przy włączonym komputerze i wywoływał potrzebne mu pliki.

— Ile mamy czasu na prezentację faktów? — spytał Winston.

— Ile tylko chcemy — odparł Ryan.

Jak i dlaczego

Od chwili powrotu z Moskwy sekretarz skarbu, Bosley Redler nie spał jednorazowo dłużej niż trzy godziny. Idąc tunelem łączącym gmach ministerstwa z Białym Domem tak się zataczał, że jego ochroniarz obawiał się, że lada chwila będzie musiał prosić o przysłanie inwalidzkiego wózka. Prezes Banku Rezerw Federalnych nie był w dużo lepszej formie. Obaj właśnie konferowali, kiedy przyszło wezwanie: proszę rzucić wszystko i przyjść do mnie. —

Było to zbyt apodyktyczne nawet jak na Ryana, który sobie i tak na wiele pozwalał, występując w roli prezydenckiego pełnomocnika. Fiedler zaczął mówić, nim jeszcze zamknęły się za nim drzwi gabinetu Ryana.

— Jack, za dwadzieścia minut mam telekonferencję z prezesami pięciu centralnych banków euro. Co to ma być? — spytał.

— Jestem George Winston, panie sekretarzu. Prezes i dyrektor generalny.

— Był pan. Teraz już nie. Sprzedał pan.. — zauważył sucho Fiedler.

— Zostałem przywrócony podczas ostatniego posiedzenia rady nadzorczej. A to jest Mark Gant, jeden z moich dyrektorów.

— Wydaje mi się, że powinniśmy ich wysłuchać — powiedział Ryan nowym przybyszom

— Panie Gant, niech pan nam to pokaże jeszcze raz.

— Jack, do diaska, mam tylko dwadzieścia minut. Już właściwie mniej. — Sekretarz skarbu spojrział nerwowo na zegarek.

Winstonomalże nie prychnął, ale natychmiast się opanował i zwrócił do sekretarza skarbu, jakby mówił do kolegi-finansisty.

— W dużym skrócie, Fiedler. Krach giełdowy został wywołany świadomie, celowo, w wyniku zastosowania błyskotliwego planu. Mogę to panu udowodnić. Jest pan zainteresowany?

Sekretarz skarbu aż zamrugał — Tak, oczywiście.

— Ale w jaki sposób? — odezwał się po raz pierwszy prezes Banku Rezerw.

— Siadajcie, panowie, a zaraz zobaczycie — zapowiedział Gant. Ryan posadził

sekretarza i prezesa po obu stronach Ganta. — Wszystko zaczęło się w Hongkongu.

Ryan powrócił do biurka, wykręcił numer sekretariatu Fiedlera i polecił sekretarce przełączyć telekonferencję do swego biura w Zachodnim Skrzydle. Jako wytrawna pracownica, ministerialna sekretarka lepiej sobie poradziła z całą sprawą, niż uczyniłby to jej przełożony.

Ryan stwierdził, że Gant jest doskonałym fachowcem: jego druga prezentacja była jeszcze lepsza od pierwszej. Sekretarz skarbu i prezes Banku Rezerw byli też doskonałymi słuchaczami, obeznanymi z finansowym żargonem. Nie musieli też zadawać pytań.

— Sądzę, że to ma ręce i nogi. I było zupełnie możliwe — stwierdził prezes banku po ośmiu minutach wyjaśnień Ganta. Winston pośpieszył z dodatkową uwagą.

— Wszystkie blokady i zabezpieczenia wmontowane w system mają na celu zapobieżenie wypadkom i wychwycenie oszustów. I nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że i taka rzecz jest możliwa. Kto świadomie poświęciłby tyle własnych pieniędzy? Kto byłby gotów tyle sam stracić?

— Ktoś, kto chciał upiec wielką, bardzo wielką pieczeń. Chciał osiągnąć coś ważniejszego — podsunął możliwość Ryan.

— Co może być większego i ważniejszego..?

Jack mu przerwał — Wiele rzeczy. Przejdziemy do tego później — Zwrócił się do Fiedlera — Buzz?

— Chciałbym to skonfrontować z moimi danymi, ale już teraz mogę potwierdzić, że to ma ręce i nogi

— Sekretarz skarbu zerknął na prezesa.

— Nawet nie jestem pewien, czy to ma znamiona przestępstwa kryminalnego —

zauważył bankowiec.

— Nieważne — uciął Winston — Najważniejszy problem ciągle istnieje. Walec nadal przetacza się przez rynki. Jeśli giełdy europejskie w dalszym ciągu będą reagowały spadkiem cen akcji, to zacznie się ogólnoświatowa panika. Dolar leci, giełdy amerykańskie nie mogą reagować, płynność finansowa na całym świecie sparaliżowana, wszystko zamarza, więc jak tylko media wyniuchają, co się dzieje, drobni ciułacze zaraz rzucą się lawinami. Że jeszcze to się nie stało, można zawdzięczać tylko temu, że tak zwani prasowi eksperci rynkowi nie mają pojęcia o tym, o czym pisują.

— Gdyby byli ekspertami, to by pracowali dla nas — włączył się do rozmowy Gant — I na szczęście ich zwyczajowe źródła informacji siedzą cicho. Pozamykali buzie na kłódki.

Jednakże też jestem trochę zdziwiony, że jeszcze cała historia nie trafiła do dzienników i na łamy prasy. — A może media już wiedzą, ale nie chcą wywoływać paniki, pomyślał.

Na biurku Ryana zadzwonił telefon. Jack przekazał słuchawkę Redlerowi — Twoja telekonferencja, Buzz.

Sekretarz skarbu był w okropnym stanie gdy wstał, zachwiał się i musiał wesprzeć obie ręce na oparciu stojącego obok fotela, aby nie upaść. Prezes banku był tylko w odrobinę lepszej formie, a ponadto obydwaj znajdowali się niemalże w szoku po wykładzie Ganta. Już reperacja czegoś, co się przypadkowo złamało, bywa trudnym zadaniem. Naprawa po rozmyślnym i złośliwym zniszczeniu jest zawsze trudniejsza. A naprawić trzeba było, i to szybko, w przeciwnym razie wszystkie państwa europejskie i Ameryka Północna wpadną do mrocznego kanionu bez dna. Wygrzebanie się zajmie lata trudów i znoju, i to w najkorzystniejszych konfiguracjach politycznych, na co nie należało liczyć, gdyż przy podobnej katastrofie trudno jest przewidzieć wszystkie konsekwencje natury społecznej. Ryan aż bał się o tym myśleć. Horror!

Winston patrzył na Ryana i z łatwością odgadywał jego myśli. Podniecenie towarzyszące odkryciu uknutej intrygi minęło z chwilą przekazania informacji. Powinien im jeszcze powiedzieć, jak przystąpić do ratowania sytuacji, ale chwilowo całą energię zużył na zbudowanie aktu oskarżenia. Nie miał jeszcze szans na dokonywanie dalszej analizy.

Ryan też to wiedział. Z uśmiechem pełnym szacunku powiedział do Winstona — Dobra robota!

— To wszystko moja wina — odparł Winston. — Powinienem był nie odchodzić. —

Mówił to cicho, aby nie przeszkadzać odbywającej się o parę kroków od niego tele-konferencji.

— Ja też raz oszczędłem, pamięta pan? — powiedział Ryan. — No cóż, każdy z nas potrzebuje od czasu do czasu jakiejś zmiany. — Usiadł. — Nie mógł pan tego przewidzieć. A takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza tutaj.

Winston uczynił gest zniecierpliwienia. — Może i ma pan rację. No tak, możemy już zidentyfikować gwałciciela, ale nich mi pan powie: jak można kogoś odgwałcić? No dobrze, fakt zaistniał. Ale on przede wszystkim zgwałcił moich inwestorów. Ci ludzie przyszli do mnie, aby znaleźć bezpieczne miejsce dla swoich oszczędności. Finansiści muszą myśleć tymi kategoriami, bo inaczej...

Ryan zaczynał odczuwać coraz większy szacunek dla tego człowieka.

— Innymi słowy, nasze pytanie brzmi: co teraz? Gant i Winston wymienili spojrzenia.

— Jeszcze tego nie wiemy — odparł Winston.

— Chwilowo zrobiliście więcej i macie lepsze wyniki niż całe FBI i Komisja Giełdowa.

Wiecie, panowie? Nawet nie miałem czasu sprawdzić, co zostało z mojego portfela akcji.

— Na dłuższą metę może pan na pewno liczyć na swoje dziesięć procent akcji Silicon Alchemy — odpowiedział Ryanowi Winston. — Zawsze można liczyć na nowe generacje sprzętu elektronicznego, a Silicon ma parę bardzo obiecujących drobiazgów.

— No więc jedno ustalone — powiedział Fiedler, dołączając do grupki przed komputerem. —

Wszystkie europejskie giełdy pozostaną zamknięte, tak jak i nasze, do czasu uporządkowania...

Winston podniósł głowę i przerwał mówiąc: — Innymi słowy mamy powódź, poziom wody wzbiera i wzbiera, a pan postanawia dobudowywać wyższą zaporę?

— Jesteśmy otwarci na wszystkie propozycje, panie Winston — odparł z opanowaniem Fiedler. Odpowiedź Winstona była tym razem spokojna:

— Do tej chwili zrobili panowie wszystko, co było można, sir. Po prostu nie widzę wyjścia.

— My też nie widzimy — zauważył prezes Banku Rezerw.

Ryan wstał: — Panowie, myślę, że nadeszła pora poinformować prezydenta.

— Bardzo interesująca propozycja — stwierdził Yamata. Czuł, że za dużo wypił.

Wiedział też, że zanadto pławi się w samozadowoleniu z przeprowadzenia najambitniejszej operacji finansowej w historii. Rozsadzała go duma. Takiej dumy nie odczuwał nawet wtedy, kiedy został prezesem swej korporacji. Teraz udało mu się rzucić na kolana całe państwo i zmienić losy własnego kraju. A jednak nigdy nie przyszło mu do głowy zajmować się polityką.

Dlaczego, zadał sobie pytanie. Znał na nie odpowiedź: dlatego, że polityka jest dla bardzo przeciętnych ludzi.

— Chwilowo Saipan będzie miał własnego gubernatora, Yamata-san. Wybory odbędą się pod międzynarodową kontrolą. Potrzebny jest nam odpowiedni kandydat — kontynuował

przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. — Musi to być kandydat o wielkim ciężarze gatunkowym. Byłoby dobrze, gdyby to był człowiek znany i bliski premierowi Goto-san, człowiek zaangażowany w lokalne sprawy, prowadzący tam interesy. Chwilowo proszę jedynie o rozpatrzenie propozycji.

— Zrobię to na pewno. — Yamata wstał i ruszył ku drzwiom.

No i co? Co by na to powiedział jego ojciec? Przyjęcie propozycji oznaczałoby ustąpienie z funkcji prezesa korporacji, ale... Ale co? Czy jest jeszcze coś do podbicia w domenie finansów? Czy nie nadszedł czas pójść dalej, gdzie indziej? Honorowe wycofanie się z interesów i wstąpienie do oficjalnej służby narodowi? A kiedy wyjaśni się sprawa statusu Saipanu... Wtedy co? Wejście do parlamentu z bagażem wielkiego prestiżu, ponieważ wtajemniczeni będą na pewno wiedzieli? Oczywiście, że będą wiedzieli. *Hai!* Będą wiedzieli, kto naprawdę z wielkim samozaparciem służył narodowi, przysłużył się narodowi może nawet bardziej, niż cesarz Meidzi, który z mroku wyprowadził Japonię w blask i umieścił ją w pierwszym rządzie wśród narodów. Czy Japonia miała kiedykolwiek męża stanu godnego jej miejsca w świecie i godnego jej narodu? Dlaczego on, Yamata, nie ma przyjąć zaszczytów, na które zasłużył? Osiągnięcie tego będzie wymagało kilku lat, ale on przecież dysponuje tymi latami. Poza tym on jeden ma wizję i odwagę, aby marzenia przekształcić w

rzeczywistość. Jedynie równi jemu ludzie wielkiego biznesu wiedzieli obecnie o ogromie jego sukcesu, ale to można zmienić i wtedy jego rodzinne nazwisko będzie zapamiętane nie tylko jako budowniczego okrętów, fabrykanta telewizorów i wielu innych rzeczy. To już nie będzie marka fabryczna, ale pozostawione historii nazwisko wielkiego człowieka. Jakże dumny byłby jego ojciec!

— Yamata? — spytał prezydent Durling. — Ten multimilioner, prezes wielkiej korporacji? Chyba parę razy natknąłem się na niego podczas jakichś przyjęć. Jeszcze kiedy byłem wiceprezydentem.

— Właśnie ten — powiedział Winston.

— Więc pan mówi, że co on zrobił?

Mark Gant ustawił laptopa na biurku prezydenta. Tym razem nad Gantem stał agent Tajnej Służby i pilnie baczył na każdy jego ruch. I tym razem Mark mówił i wyjaśniał znacznie wolniej, ponieważ w odróżnieniu od Ryana, Fiedlera i prezesa banku centralnego Roger Durling nie był tak biegły w sprawach finansowych. Niemniej słuchał pilnie, przerywając wyjaśnienia, by zadawać pytania, notować, a nawet prosić o powtórzenie fragmentu, co czynił trzykrotnie.

Wreszcie podniósł głowę i spytał sekretarza skarbu:

— Buzz?

— Chcę, żeby nasi ludzie sprawdzili to jeszcze raz...

— To nie będzie trudne — wtrącił Winston. — Każdy z wielkich domów maklerskich posiada prawie identyczną dokumentację. Moi ludzie mogą panu pomóc w zorganizowaniu całej sprawy.

— A jeśli to prawda, Buzz?

— Wówczas, panie prezydencie, sprawa znajdzie się raczej w domenie możliwości doktora Ryana niż moich. To jego poletko... — odparł sekretarz skarbu, odczuwając pewną ulgę z powodu takiego obrotu rzeczy. Uldze towarzyszył jednak rosnący — w miarę akceptowania nowej rzeczywistości — gniew z powodu tak gigantycznej machinacji. Dwaj obcy w Gabinetcie Owalnym jeszcze w pełni tego nie rozumieli. Ani Winston, ani Gant.

Przez głowę Ryana myśli przewijały się w zawrotnym tempie. Niezbyt uważnie słuchał

powtórnych wyjaśnień Ganta, jak to wszystko się stało. Chociaż prezentacja dla prezydenta była precyzyjniejsza i dokładniejsza niż poprzednio dwukrotnie w gabinecie Ryana — Mark Gant byłby świetnym wykładowcą w każdej szkole biznesu! — Ryan znał główne i istotne punkty.

Teraz już wiedział, jak to się stało i kto był za to odpowiedzialny, i to mu dawało wiele do myślenia. Plan był po mistrzowsku opracowany i zrealizowany. Zbieg w czasie krachu na giełdzie i napaść na lotniskowiec oraz okręty podwodne nie był sprawą przypadku. A więc miał

do czynienia z planem zintegrowanym, i tego właśnie zintegrowanego planu nie odkryła rosyjska siatka szpiegowska. Istotny fakt.

Rosjanie mają ludzi w łonie japońskiego rządu. Ich siatka pracuje na rzecz samej Centrali.

I ta siatka nie ostrzegła Moskwy co do wojskowego aspektu planu. A Siergiej Nikołajewicz do tej chwili nie skojarzył wydarzeń na Wall Street z działaniami na Pacyfiku.

Rozebrać na części model. Rozłożyć na części paradygmat, powtarzał sobie Jack. Wtedy wszystko stanie się bardziej przejrzyste.

— I dlatego oni o tym nie wiedzieli — powiedział prawie tylko sobie. Szukanie odpowiedzi było podobne do przedzierania się przez kurtyny mgły. Raz człowiek widzi na parę kroków, potem nie widzi nic. — To nie był rząd japoński! To Yamata i kilku innych. Dlatego Rosjanie chcą ponownie uaktywnić siatkę OSET. — Nikt z obecnych nie miał pojęcia, o czym Ryan mówi.

— Co, co? O co chodzi? — spytał prezydent. Jack spojrzał znacząco na Winstona i Ganta i dał prezydentowi dyskretny znak głową. — Więc wszystko to stanowiło jeden plan? —

Prezydent położył zaplecione mocno dłonie na biurku.

— Tak jest, panie prezydencie, ale jeszcze nie mamy całego obrazu.

— Jak to? — zdumiał się Winston. — Wywołują panikę na światową skalę, a pan powiada, że to jeszcze nie jest cały obraz?

— Jak często bywasz w Japonii, George? — spytał familiarnie Ryan głównie po to, aby pozostali mogli uzyskać tę informację.

— W ciągu ostatnich pięciu lat? Przeciętnie chyba raz na miesiąc. Jeszcze moje wnuki będą mogły korzystać z premiowych kuponów za liczbę przelecianych kilometrów.

— Jak często spotykałeś się z funkcjonariuszami rządowymi?

Winston wzruszył ramionami. — Jest ich wszędzie pełno, ale wiele się nie liczą.

— Dlaczego? — spytał prezydent.

— Bo tam jest tak, sir: około trzydziestu ludzi dzierży realną władzę. Oni mają wpływ na wszystko. Wśród nich najgrubszą rybą jest Yamata. Ich Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu jest jedynie ogniwnem pośredniczącym między rządem a korporacjami należącymi do tej trzydziestki, która ponadto smaruje łapki wielu kandydatom na stanowiska wybieralne, a jest to bardzo powszechne zjawisko. Kiedy prowadziliśmy negocjacje związane z przejściem przez Yamatę mojej korporacji, on bardzo lubił się tym popisywać. Na jednym z przyjęć przy tej okazji było paru ich ministrów i cała gromada parlamentarzystów. Widać było po prostu, że chodzą na jego smyczy. — Winston dostrzegł

to dopiero teraz. Poprzedni brał to za skromność i dobre maniery funkcjonariuszy pochodzących z wyboru.

— Czy mogę swobodnie mówić? — spytał Ryan prezydenta. — Przydałaby mi się ich opinia.

Durling wziął załatwienie tego na siebie: — Panie Winston, czy umie pan dochować tajemnicy?

Winston chrząknął z rozbawieniem: — Tak długo, jak nie jest to giełdowa informacja spod lady. Nie chciałbym mieć kłopotów z Komisją Giełdową. Nigdy ich nie miałem.

— Obecnie wszedłby pan raczej w kolizję z przepisami ustawy o szpiegostwie. Jesteśmy w stanie wojny z Japonią. Zatopili dwa nasze okręty podwodne i uszkodzili dwa lotniskowce —

poinformował Ryan i atmosfera w Gabinetcie Ovalnym uległa natychmiastowej zmianie.

— Mówi pan poważnie?

— Śmierć załogi USS „Asheville” i USS „Charlotte”, ponad dwustu marynarzy to bardzo poważna rzecz. Okupują także Mariany. jeszcze nie jesteśmy pewni, czy uda się te wyspy odbić.

W Japonii znajduje się ponad dziesięć tysięcy obywateli amerykańskich, którzy są potencjalnymi zakładnikami. Do tego dochodzą mieszkańcy wysp i wojskowy personel amerykański internowany przez Japończyków.

— Ale media...?

— Zdumiewające, ale jeszcze nie zdołali nic wyszperać. Może przez to, że cała rzecz wydaje się absolutnym szaleństwem, nikt nie zwraca uwagi na plotki.

Winston chwilę milczał. — Niszczą naszą gospodarkę i w takiej sytuacji brak jest politycznej woli, żeby... Czy ktoś już kiedyś czegoś podobnego próbował?

— Ja o tym nigdy nie słyszałem. — Ryan pokręcił głową.

— Ale największym zagrożeniem dla nas jest problem rynku. Cóż to za sukinsyn ten Yamata — powiedział George Winston.

— Jak z tego wyjść, panie Winston? — spytał prezydent.

— Pojęcia nie mam. Sparaliżowanie DTC było błyskotliwym posunięciem. Wywołanie trendu spadkowego na giełdzie było chytrze zainicjowane, niemniej sekretarz Fiedler dałby sobie radę przy naszej pomocy. Ale bez dokumentacji wszystko jest sparaliżowane... Mam brata lekarza, który mi raz powiedział...

Przy ostatnich słowach Winstona coś zaskoczyło w głowie Ryana. Przestał słuchać dalszej

wypowiedzi finansisty, a zaczął intensywnie myśleć, z czym kojarzy tamte słowa. Z

czymś bardzo ważnym, ale z czym?

— Wczoraj wieczorem określili wreszcie potrzebny im czas — mówił teraz prezes Banku Rezerw.

— Muszą mieć jeszcze tydzień. Ale my nie dysponujemy tygodniem. Dziś po południu mamy spotkanie z szefami wielkich domów maklerskich. Będziemy próbowali znaleźć jakiś półśrodek.

Cały problem streszcza się do braku dokumentacji, Jack, powtarzał sobie Ryan. Wszystko uległo zamrożeniu, bo przestały istnieć ślady tego, co kto posiada, ile jest pieniędzy...

— Europa też jest w tej chwili sparaliżowana... — z kolei zabrał głos Fiedler. Ryan wydawał się patrzeć tępo w dywan. Nagle podniósł głowę, przypominając sobie słowa żony.

— Jeśli nie zostało zapisane, to znaczy, że się nigdy nie wydarzyło — powiedział na cały głos. Rozmowy w gabinecie umilkły i Jack zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego, jakby nagle obwieścił, że ołówek jest czerwony.

— Że co? — spytał prezes.

— Zawsze mi to mówi moja żona. Jeśli się czegoś nie zapisze, to tak, jakby to się nie wydarzyło — Rozejrzał się po twarzach obecnych. Nadal nie rozumieli. Co nie było dziwne, gdyż on sam dopiero formułował właściwą myśl. — Ona też jest lekarzem, w Szpitalu imienia Johna Hopkinsa. I zawsze nosi ze sobą ten cholerny notes, i kiedy przyjdzie jej jakaś myśl do głowy, to staje, gdzie by nie była, i zapisuje, gdyż boi się zapomnieć.

— Mój brat postępuje podobnie. Tylko że korzysta z notesu elektronicznego — zaczął

Winston i nagle zrobił okrągłe oczy — Niech pan mówi dalej, Ryan!

— Nie ma dokumentacji, oficjalnej dokumentacji żadnych transakcji, tak?

— Nie ma. Archiwum elektroniczne DTC załatwione na dobre. I jak powiedziałem, potrzeba im tygodni...

— Zapomnijmy o tym. Tyle czasu nie mamy, prawda?

— Nie. I nic nie zapobieże panice — Sekretarz wydawał się całkowicie przybity.

- Oczywiście, że możemy! — Ryan spojrzał na Winstona — Prawda, że możemy?

Prezydent Durling przysłuchiwał się skrawkom rozmowy jak kibic podczas meczu tenisowego. Napięcie wywołane krytyczną sytuacją przejawiało się w jego wypadku bardzo złym humorem — O czymże, do diabła, rozmawiacie? Ryan był już bliski rozwiązania. Zwrócił się do prezydenta.

— Sprawa jest prosta, sir! Powiemy, że to się nie wydarzyło. Po prostu powiemy, że od piątku południa operacje zostały wstrzymane. Giełdy przestały funkcjonować. Czy to przejdzie?

— Nie dał nikomu szansy na odpowiedź — Dlaczego nie ma przejść? Musi się udać! Nie ma dowodów, że tak się nie stało. Od południa w piątek absolutnie nikt nie może udowodnić, że dokonał choćby jednej transakcji.

— Biorąc pod uwagę ilość pieniędzy, jakie ludzie potracili dla wielu byłoby to bardzo korzystne wyjście — zauważył Winston — I pan proponuje, że wznowimy kiedy? W piątek w południe, jeśli nam się uda, całkowicie wymazując ostatni tydzień?

— Nikt takiej bzdury nie kupi — zaproponował ponuro prezes Rezerwy Federalnej.

— Otóż nie ma pan racji — sprzeciwił się Winston — Cos jest w tym pomysłe Ryana. Po pierwsze, chcą czy nie chcą, będą to musieli, jak to pan mówi, kupić. Transakcji nie można dokonać, nie można jej zrealizować bez potwierdzenia, bez sporządzenia dokumentu. Nikt więc nie udowodni, że dokonał transakcji, chyba że będzie czekał na odtworzenie dokumentacji przez rejestr DTC. Po drugie większość inwestorów została zrujnowana. Instytucje, banki, wszyscy. I każdy chętnie skorzysta z ułaskawienia i dania mu drugiej szansy. Tak, tak, kolego, wszyscy to kupią, Mark!.

— Już wiem, mam włączyć wehikul czasu i przerobię cały piątek — Z początku śmiech Ganta zabrzmiał gorzko, po chwili zmienił ton — Jak daleko się posuwamy?

— Wszystkich transakcji nie możemy anulować — zaprotestował prezes Rezerwy Federalnej.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Winston — Transakcje obligacjami skarbowymi, mówię o naszych mają charakter międzynarodowy, poza naszą całkowitą kontrolą.

Ale co możemy zrobić, sir, to porozumieć się z europejskimi bankami, pokazać im, co się stało i wtedy razem...

Wtrącił się Fiedler — Oczywiście. Wtedy oni pozbędą się jenów i pójdą na dolary. My odzyskamy pozycję, Japończycy ją stracą. Banki azjatyckie zaczną się skrobać po głowie i myśleć, czyby nie zmienić zachowania. Myślę, że centralne banki europejskie pójdą na to.

— Trzeba będzie podnieść stopę dyskontową — zauważył Winston — Trochę zaboli, ale to lepsze niż alternatywa. Podnieść oprocentowanie, żeby zniechęcić ludzi do pozbywania się dolarowych obligacji skarbowych. Naszym celem jest wywołanie trendu ucieczki od jena. Innymi słowy trzeba zrobić to, co oni nam zrobili. Europie będzie się to raczej podobało gdyż utrudni Japończykom wykupywanie akcji europejskich, co już rozpoczęli wczoraj — Winston poderwał

się z fotela i zaczął spacerować po ograniczonej przestrzeni gabinetu. Zawsze to robił, gdy był

czymś podniecony lub intensywnie myślał. Czyniąc to obecnie, nawet nie zdawał sobie sprawy, że gwałci święty protokół Białego Domu, ale nawet prezydent nie chciał przerywać toku myśli finansisty, chociaż obaj agenci Tajnej Służby podejrzliwie obserwowali każdy ruch gościa. Było jasne, że Winston szuka słabych punktów wyłaniającego się planu oraz dopełnia brakujące szczegóły. Trwało to już parę minut. Wszyscy czekali na jego osąd. Wreszcie podniósł głowę.

— Doktorze Ryan, jeśli kiedykolwiek zechce pan powrócić na obszar prywatnej działalności gospodarczej, to zapraszam na poważną rozmowę. Moim zdaniem pański plan się powiedzie. Jest tak nieprawdopodobnie skandaliczny i niegodziwy, że być może zadziała na naszą korzyść.

— Więc co ma się stać w piątek? — zapytał Jack.

— Na giełdach wszystko poleci na łeb, na szyję — poinformował Gant.

— I co w tym takiego wspaniałego? — odezwał się prezydent.

— Ponieważ wtedy, sir, odbije się w górę po straceniu jakichś dwustu punktów. A sesja zakończy się na jakichś stu, może nawet mniej. Natomiast w poniedziałek wszyscy odzyskają oddech, będą przyglądać się ciekawie. Wielu zacznie szukać dobrych lokat, okazji. Większość inwestorów będzie nadal niespokojna. Notowania ponownie spadną, sesja zakończy się objawami stagnacji obrotów, w sumie spadek o dalsze pięćdziesiąt punktów. Najwyżej. Reszta tygodnia to pewna normalizacja. W następny piątek sesja zakończy się spadkiem najwyżej stu, stu pięćdziesięciu punktów. Ale już przy pewnej ogólnej stabilizacji. I mówię o spadku w zestawieniu z południem piątku poprzedniego tygodnia. Ten spadek jest nieunikniony w związku z majstrowaniem przy stopie dyskontowej, ale Wall Street jest do tego przyzwyczajona —

Jedynie Winston potrafił dostrzec ironię w fakcie, że Gant miał prawie całkowicie rację. On sam, Winston, nie potrafiłby ocenić lepiej mającej nastąpić sytuacji — W istocie te ujemne objawy to jedynie czkawka, nic więcej — dokończył Gant.

— A Europa? — spytał Ryan.

— Tam będzie gorzej, ponieważ oni nie są tak dobrze zorganizowani jak my. Z drugiej strony ich banki mają w pewnym sensie więcej do powiedzenia. Rząd również może ingerować głębiej w giełdę — pospieszył z wyjaśnieniem Gant — To wszystko razem i pomaga, i przeszkadza. Ale końcowy rezultat będzie taki sam.

Musi być, chyba że wszyscy podpiszą zobowiązanie popełnienia zbiorowego samobójstwa. W naszym środowisku to się nie zdarza.

Przyszła kolej Fiedlera — Jak to opakujemy i sprzedamy?

— Zbiorę jak najszybciej prezesów wszystkich większych instytucji finansowych —

zapropozował Winston. — Deklaruję pełną gotowość pomocy, jeśli panowie sobie tego życzą.

Oni będą mnie słuchali.

— Jack? — Prezydent zwrócił się do Ryana.

— Tak jest, panie prezydencie. Natychmiast zabieramy się do roboty. Prezydent Durling zastanawiał się jeszcze przez kilka sekund, a potem polecił agentowi Tajnej Służby stojącemu przy drzwiach — Zawiadom *marines*, żeby mi tu zaraz podesłali śmigłowiec, i Siły Powietrzne, żeby podgrzewali silniki samolotu, na spacer do Nowego Jorku.

— Panie prezydencie, mam tutaj swój samolot — wtrącił Winston.

— Daj spokój, George, Air Force One jest lepszy, wierz mi — powiedział Ryan. Roger Durling wstał i uściskiem dłoni pożegnał się ze wszystkimi, po czym agenci Tajnej Służby sprowadzili ich na trawnik od strony południowej, gdzie miał wylądować śmigłowiec, aby wszystkich zawieźć do bazy Sił Powietrznych Andrews. W gabinecie z prezydentem pozostał

Ryan.

— Czy naprawdę coś z tego wyjdzie? Czy rzeczywiście tak łatwo uda się nam wyslizgnąć z obecnej sytuacji? — Polityk w Durlingu był nieufny wobec wszystkich magicznych sztuczek w zastosowaniu do kryzysowych sytuacji. Ryan widział w oczach prezydenta narastające wątpliwości i do nich dostosował odpowiedź.

— Powinno się udać. Koła finansowe muszą na czymś się oprzeć, one pierwsze będą chciały, żeby się udało. Pomogą nam. Rzeczą bardzo istotną jest poinformowanie ich, że wszystko to stanowiło część świadomie obmyślanej machinacji. Wtedy akceptują fakt, że transakcje należy uznać za fikcyjne, niebyłe. I jeśli w to uwierzą, to już łatwo połkną nieformalne lekarstwo.

— No cóż, zobaczymy — odparł Durling — Co to wszystko świadczy o Japonii?

— Dowodzi to między innymi, że tamtejszy rząd nie był siłą napędową całej sprawy. To zarówno dobrze, jak i źle. Dobrze z naszego punktu widzenia, bo oznacza, że mogły i mogą dalej występować niedostatki organizacyjne i że naród japoński nie ma z tym wiele wspólnego. Oraz że w łonie rządu są zapewne jednostki negatywnie oceniające całe przedsięwzięcie.

— A to źle? — spytał prezydent.

— W dalszym ciągu nie wiemy, jaki jest strategiczny cel operacji. Najwyraźniej widać, że rząd robi to, co mu tamci dyktują. Japończycy zajęli solidne strategiczne pozycje na Zachodnim Pacyfiku i nadal nie mamy pojęcia, co z tym fantem zrobić. A najgorsza sprawa to..

— Ich broń nuklearna — dokończył Durling. — To jest karta przetargowa. Jeszcze nigdy nie byliśmy na stopie wojennej z państwem wyposażonym w broń nuklearną.

— Nie, panie prezydencie. To zupełna nowość — przyznał Ryan.

Po dwunastej w nocy czasu tokijskiego Clark i Chavez nadali kolejny raport.

Towarzyszający artykuł prasowy służący do zamydlenia oczu japońskim służbom specjalnym napisał tym razem Ding. Johnowi zabrakło chwilowo pomysłów na miłe, a warte opowiedzenia rzeczy o Japonii. Chavez, będąc dużo młodszy od Clarka, przygotował lżejszy materiał o młodym pokoleniu i jego aspiracjach. Mimo iż był to artykuł fikcyjny, trzeba go było dobrze napisać. Na szczęście na Uniwersytecie George'a Masona nauczono Dinga myśleć i pisać logicznie.

Północny Obszar Surowcowy — John wystukał to na klawiaturze komputera, opatrując na końcu znakiem zapytania. I stukał dalej w klawisze: powinienem był wcześniej się tego domyślić — Czytałem o tym w jednej z książek, które miałem w Seulu. Wtedy Indonezja była jeszcze kolonią holenderską. Kiedy Japończycy popełniali szaleństwo numer dwa, to nazwali Indonezję Południowym Obszarem Surowcowym, kapujesz? Masz ochotę odgadnąć, który to ma być teraz ten Północny Obszar?

Clark przyjrzał się migotliwemu tekstowi wyimaginowanej rozmowy na ekranie monitora i odepchnął komputer w stronę Dinga.

— Jewgieniju Pawłowiczu, wysyłajcie w świat!

Ding skasował komputerowe gaworzenie Clarka, połączył modem z telefonem, by po paru sekundach mieć już z głowy raport. Teraz Japończycy mogli delektować się artykułem Dinga. Obaj agenci wymienili spojrzenia. Mieli za sobą bardzo produktywny dzień.

Przynajmniej raz wszystko pasowało godzina 00.08 w Tokio odpowiadała 18.08 w Moskwie 11.08 zarówno w Langley, jak i w Białym Domu. Jack właśnie wchodził do swego gabinetu po dłuższym pobycie na drugim skraju prezydenckiego kompleksu, kiedy jego *STU-6*

zaczął dzwonić.

— Słucham?

— Tu Ed. Właśnie otrzymaliśmy coś ważnego od naszych ludzi w Krainie Wiśni.

Wysyłam faks. Kopia leci do Siergieja.

— Doskonale. Czekam.. — Ryan przełączył na faks i zaczął czytać.

Winstonowi niełatwo było zaimponować. Stwierdził, że VC-20, wersja odrzutowców Gulfstream III należących do holdingu, była równie wygodnie wyposażona, jak samolot prezydenta — może tylko fotele i tapicerka nie były tak luksusowe. Natomiast zestaw sprzętu elektronicznego do łączności ze światem budził prawdziwy zachwyt, zachłysnął się nawet Mark, który był komputerowym maniakiem. Podczas gdy obaj starsi mężczyźni skorzystali z okazji odbycia jakże im potrzebnej drzemki, Winston przyglądał się załodze sprawdzającej przed lotem wszystko, co nakazywał regulamin. Właściwie nie różniło się to bardzo od tego, co robili jego piloci, ale Ryan miał rację: czuło się jakby większą

pewność, widząc wojskowe insygnia na rękawach mundurów. Po trzech minutach lecieli już w kierunku północnym na lotnisko La Guardia w Nowym Jorku, mając z góry zapewnione priorytetowe lądowanie, co oszczędzało co najmniej piętnaście minut. Słyszał, jak radiooperator, sierżant Sił Powietrznych, zamawiał w FBI limuzynę, która miała czekać przy głównym terminalu. Z rozmowy wynikało, że FBI kontaktuje się ze wszystkimi grubymi rybami świata finansów i zapewni ich obecność o określonej porze.

Winston był zdziwiony sprawnością funkcjonowania aparatu władzy. Szkoda tylko, że nie zawsze tak bywa.

Mark Gant nie zwracał uwagi na nic, co działo się dokoła. Pracował na swoim laptopie przygotowując, jak to powiedział, prokuratorskie wystąpienie. Potrzeba będzie potem jeszcze co najmniej dwudziestu minut, żeby przenieść wykresy na przezrocza pasujące do ściennego projektora. Winston miał nadzieję, że FBI ma odpowiedni sprzęt do przedruku i do projekcji. I kiedy wszystko będzie gotowe.. Kto ma właściwie przedstawić nowojorskiemu gronu finansistów cały obraz sytuacji? Winston podejrzewał, że padnie na niego. Natomiast plan uratowania sytuacji powinni zaprezentować Fiedler i prezes Banku Rezerw. Tak należy, bowiem pomysł, co zrobić, jest autorstwa wyższego funkcjonariusza administracji państwowej, Ryana.

Plan jest w istocie błyskotliwy, raz jeszcze przyznawał w myślach George Winston.

Żałował, że to nie on go podsunął. Co jest jeszcze do zrobienia?

— Zapisz, Mark jak najprędzej ściągnąć z Europy prezesów tamtejszych banków centralnych. W tej sytuacji żadna telekonferencja nie zapewni właściwych rezultatów.

Gant spojrział na zegarek. — Będziemy musieli do nich dzwonić zaraz po wylądowaniu.

Jeśli się pośpieszą, to zdążą złapać jeszcze nocne samoloty do Nowego Jorku i jutro rano tu będą.

I wtedy przed piątkową sesją giełdową uda się wszystko z nimi skoordynować.

Winston obejrzał się za siebie, gdzie drzemali Fiedler i prezes Rezerwy Federalnej. —

Niech sobie odpoczywają. Powiemy im to po wylądowaniu.

— Jestem pewien, że wszystko się uda, George. Ten Ryan ma głowę na karku, prawda?

Teraz trzeba zwolnić obroty, dopracować szczegóły bez pośpiechu, powtarzał sobie Ryan.

Dziwił się, iż nie ma jeszcze telefonu od Gołowki. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że Gołowko z pewnością czyta teraz kopię raportu od obu agentów w Japonii, spogląda na tę samą mapę, na którą patrzy Ryan, i także powtarza sobie, że w miarę możliwości trzeba wszystko dokładnie i powoli przemyśleć.

Zaczynał rozumieć sens japońskiej operacji. Północny Obszar Surowcowy bez wątpienia oznacza wschodnie połacie Syberii. Południowy Obszar Surowcowy, o którym także wspominał

Chavez w swojej depeszy, był terminem używanym w 1941 roku przez rząd japoński w odniesieniu do Holenderskich Indii Wschodnich. Wówczas głównym surowcem strategicznym była dla Japończyków ropa naftowa na potrzeby marynarki i armii. Obecnie głównym bogactwem naturalnym poszukiwanym przez każdy wysoko uprzemysłowiony kraj są rynki zbytu. Niezupenie tak, ropa też. Ropa, aby móc produkować, aby móc karmić rozbudowaną gospodarkę. Mimo wysiłków na rzecz zwiększenia potencjału elektrowni nuklearnych, Japonia stała się największym na świecie importerem ropy. I nie tylko ropy. W nadmiarze miała jedynie węgiel. Supertankowce to w zasadzie wynalazek japoński, by móc łatwiej, więcej i sprawniej przewozić ropę z Zatoki Perskiej do japońskich portów. Oprócz ropy sprowadzano prawie wszystkie inne surowce, a ponieważ Japonia to państwo wyspiarskie, wszystko musiało płynąć morzem. A marynarka japońska była zbyt mała, by móc skutecznie zabezpieczać szlaki morskie.

Z drugiej strony Syberia była ostatnim na świecie obszarem niezmiernych zapasów surowcowych. Niezmiernych, ale i niezbadanych. Japonia obecnie przeprowadzała tam wiele badań geologicznych. Łatwo też mogła zabezpieczyć krótkie szlaki z euroazjatyckiego kontynentu na Wyspy Japońskie. Po co im szlaki morskie, mogą po prostu zbudować tunel i tym samym ułatwić przewozy, pomyślał Ryan.

W tym wszystkim, w całej tej pięknej koncepcji tkwił jednak poważny problem, aby osiągnąć to, co już jej się udało osiągnąć, Japonia musiała rozdysonować poza bezpieczną granicę wszystkie środki, jakimi dysponowała. Musiała zaangażować wszystkie siły, mimo zmniejszenia się amerykańskiego potencjału wojskowego i pięciu tysięcy mil wód Pacyfiku dzielących kontynent amerykański od Wysp Japońskich. Rosyjski potencjał wojskowy też uległ

zmniejszeniu i to jeszcze drastyczniejszemu niż amerykański, ale inwazja byłaby czymś więcej niż aktem politycznym, byłaby agresją przeciwko narodowi. Rosjanie nie stracili dumy, podjęliby walkę, a obszar Rosji jest iks-krotnie większy od obszaru Japonii. Japończycy mieli teraz bomby nuklearne i rakiety balistyczne. Rosjanie zaś, podobnie jak Amerykanie, nie mieli rakiet balistycznych, bo je zniszczyli, jednakże nadal mieli bombowce i myśliwce bombardujące oraz rakiety manewrujące, wszystkie z głowicami nuklearnymi. Mieli też bazy w pobliżu Japonii i polityczną wolę wykorzystania w razie konfliktu swoich arsenałów. Jackowi brakowało jeszcze jednego elementu. Rozparty w fotelu, wpatrywał się intensywnie w mapę. Po pewnym czasie podniósł słuchawkę i naciskając jeden guzik, otrzymał błyskawiczne połączenie z zakodowanym w pamięci aparatu numerem.

— Jackson.

— Witam, admirale. Słuchaj, Robby, mam pytanie.

— Tak, Jack? Wal.

— Wspomniałeś coś, że jeden z twoich attaché w Seulu miał pewną rozmowę z...

— Tak. Powiedziano mu, żeby siedział cicho i czekał.

— Co dokładnie Koreańczycy powiedzieli?

— Powiedzieli... Poczekaj chwilę. Mam to gdzieś na biurku czy w szufladzie. To tylko pół stroniczki. Poczekaj.. — Jack słyszał otwieranie z klucza szuflady — Jest! A więc w skrócie taka decyzja musiałaby być decyzją polityczną, a nie wojskową, trzeba by rozpatrzyć wiele aspektów, wziąć pod uwagę okoliczności. Istnieje obawa, że Japończycy mogliby zamknąć swoje porty dla handlu. Obawa przed inwazją. Będąc od nas odcięci, wahają się. Nie wracaliśmy ponownie do tego tematu — zakończył admirał.

— Jaki jest ich PB? — zapytał Ryan. Chodziło mu o „plan bojowy”, czyli innymi słowy inwentarz ludzi i sprzętu bojowego sił zbrojnych na wypadek konfliktu.

— Mam go gdzieś tutaj...

— Daj mi skróconą wersję.

— Potencjał zasadniczo większy od japońskiego. Po zjednoczeniu obu Korei zmniejszyli stany, ale to, co mają, posiada dużą wartość bojową. Doktryna i uzbrojenie głównie amerykańskie. Mają dobre lotnictwo. Przeprowadzaliśmy wspólne ćwiczenia i...

— Gdybyś był koreańskim generałem, jak bardzo bałbyś się Japonii?

— Byłbym czujny. Nie bałbym się, ale byłbym bardzo czujny — odparł admirał. —

Pamiętaj, że oni niezbyt kochają Japonię.

— Wiem. Przyślij mi meldunek attaché i koreański PB.

— Zrozumiałem. — Lima zamarła. Ryan zadzwonił następnie do CIA. Mary Pat nadal nie było, słuchawkę podniósł jej mąż. Ryan nie bawił się we wstępy.

— Masz cos nowego z Seulu, Ed?

— W rządzie wszyscy bardzo spięci i niespokojni. Niezbyt chętni do współpracy. Mamy wielu przyjaciół w ich wywiadzie ale też wszyscy zamknęli buzie. Nie ma jeszcze żadnych wytycznych politycznych.

— Jakież nowe zjawiska?

— Owszem. Zwiększona aktywność lotnictwa. Jak wiesz, na północy kraju mają olbrzymi poligon. Rozpoczęli tam nie planowane wspólne manewry różnych rodzajów broni.

Patrzymy na to z góry. Są zdjęcia.

— Następny punkt Pekin — powiedział Ryan.

— Cały worek braku wiadomości. Chiny trzymają się od całej sprawy jak najdalej.

Twierdzą że nie mają z tym nic wspólnego, że ich to nie interesuje i nie dotyczy.

— Chwilkę się nad tym zastanów, Ed.

— Tak, wiem, to ich dotyczy. O, cholera!

Ryan wiedział że to może jest trochę nie fair. Miał pełniejsze informacje, niż wszyscy inni i większe szansę zrobienia pełnej analizy.

— Wymyśliliśmy tutaj parę rzeczy. Prześlę ci po przepisaniu. Chcę, żebyś się tu zjawił o drugiej trzydziści na wspólne drapanie się w głowę.

— Zjawimy się bez wątpienia — odparł zastępca dyrektora do spraw operacyjnych. No i teraz miał wszystko, co mu było potrzebne. Teraz wyzierało to z mapy dzięki paru informacjom i odrobinie czasu.

Korea nie była państwem dającym się łatwo zastraszyć przez Japonię, która władała tym krajem przez pierwsze pięćdziesiąt lat stulecia minionego i obecnego. Koreańczycy nie mieli miłych wspomnień z tego okresu. Traktowani byli prawie jak niewolnicy, a w każdym razie lenni poddani. Po dziś dzień jednym z łatwiejszych sposobów rezygnacji z życia jest nazwanie Koreańczyka Japończykiem. Antypatia była zakorzeniona głęboko, a obecnie — w obliczu wielkiego rozwoju gospodarczego Korei i konkurencji czynionej wyrobom japońskim — to uczucie było w pełni odwzajemniane. Chociaż Japonia i Korea reprezentowały narody o tym samym genetycznym rodowodzie Japończycy mieli do Koreańczyków ten sam stosunek, jaki Hitler miał niegdyś do Polaków. Ponadto Koreańczycy mieli dobre tradycje militarne. W swoim czasie wysłali dwie pełne dywizje do Wietnamu zbudowali też potężną armię, aby móc się bronić przed wymarłymi już teraz szaleńcami z Korei Północnej. Biedna niegdyś kolonia japońska przekształciła się obecnie w państwo silne i wyjątkowo dumne. Co więc mogło ich tak przestraszyć, że zaprzestają honorować postanowienia traktatowe zawartego z Ameryką porozumienia?

To nie chodzi o Japonię. Korea mogła nie obawiać się bezpośredniego zagrożenia militarnego z tamtej strony. Japonia nie mogła przecież szantażować Korei bronią nuklearną Zbyt blisko! Wiatry zwiałyby radioaktywne chmury prosto na kraj, który wypuścił rakiety.

Tuż jednak za północną granicą Korea miała sąsiada o najliczniejszej na świecie ludności oraz armii. I to wystarczyło, aby Korea podwinęła ogon, co uczyniłby zresztą każdy inny na jej miejscu.

Japonia potrzebowała i bez wątpienia chciała mieć bezpośredni dostęo do surowców.

Miała wspaniale rozwiniętą gospodarkę i przemysł, zasoby wysoce kwalifikowanej kadry, dysponowała wszystkimi możliwymi technologiami. Jednocześnie w odniesieniu do tego potencjału jej ludność była stosunkowo niewielka.

Chiny z drugiej strony pławily się w nadmiarze siły roboczej ale jeszcze nie wyszkolonej na dostatecznym poziomie. Chiny były krajem szybko rozwijającym się gospodarczo, ale mającym duże braki technologiczne i, podobnie jak Japonia, Chiny odczuwały potrzebę lepszego dostępu do surowców.

I właśnie na północy, zarówno od Japonii jak i od Chin znajdował się ostatni już chyba na świecie dom pełen nie splądrowanych jeszcze skarbów.

Zajęcie Marianów miało uniemożliwić, a w każdym razie przeszkodzić zakotwiczeniu się na pozycjach obronnych głównej amerykańskiej siły strategicznej: Marynarki. Tak, chodziło o to, aby amerykańskie zbrojne ramię nie sięgało strefy stanowiącej centrum japońskiego zainteresowania. Jedynym innym sposobem ochrony Syberii było podejście od zachodu, przez pół kontynentu, przez całą Rosję. Wiadomo, jakie to trudne. W praktyce Syberia była pozostawiona sama sobie, odcięta od wszelkiej pomocy z zewnątrz. Chiny miały swoją własną broń nuklearną, aby zastraszyć Rosję, oraz potężniejsze siły lądowe, aby móc zabezpieczyć podbite tereny. Wszystko to było związane z wielkim ryzykiem, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości, ale w sytuacji, w jakiej znalazły się Ameryka i Europa — z gospodarkami w stanie absolutnej dezorganizacji — Rosja nie mogła liczyć na ich pomoc. Tak, to wszystko miało ręce i nogi. Wojna światowa na raty!

Nie była to nowa doktryna wojenna. Najpierw osłabić sparaliżować silnego przeciwnika, a potem połączyć słabego. To samo Japończycy usiłowali zrobić w latach 1941-1942. Przecież nie mieli wówczas najmniejszego zamiaru podbijać Ameryki. Nie istniała podobna koncepcja strategiczna. Chodziło o głębokie zranienie silnego, takie ograniczenie jego zdolności riposty aby nie mając politycznej alternatywy, akceptował japońskie podboje na południowej półkuli. W

istocie prosty plan. Trzeba jednak było znaleźć i rozgryźć szyfr, pomyślał w konkluzji Ryan.

Na czwartej linii zadzwonił telefon.

— Halo, Siergiej! — powitał rozmówcę Ryan.

— Skąd wiedziałeś, że to ja? — zapytał Gołowko.

Ryan mógł odpowiedzieć, że ta linia była specjalnie zarezerwowana na rozmowy z Moskwą, ale nie uczynił tego.

— Ponieważ właśnie przeczytałeś ten sam tekst, co ja.

— Powiedz mi, co o tym sądzisz?

— Myślę to samo, co ty. Ze to wy jesteście ich celem strategicznym. Prawdopodobnie w przyszłym roku — Ryan mówił lekko, z pewną dezynwolutrą, upojony jeszcze odkryciem, czemu zwykle towarzyszy bardzo miłe uczucie, bez względu na smak świeżo zdobytej wiedzy.

— Sądzę, że raczej wczesną wiosną — odparł Gołowko — Dla nich to lepsza pora klimatycznie — Przez dłuższą chwilę milczał — Możecie nam jakoś pomóc, Iwanie Emmetowiczu? Nie, wycofuję pytanie. Właściwie brzmi ono czy nam pomożecie?

— Sojusze, podobnie jak przyjaźnie, są zawsze dwustronne — odparł Ryan — Chwilowo do widzenia. Muszę zdać raport memu prezydentowi. A ty swojemu. Do usłyszenia.

Wydanie specjalne

Komandor Sanchez, który niegdyś tylko marzył o dowodzeniu takim właśnie okrętem, był zadowolony, że pozostał na pokładzie, a nie poleciał własnym myśliwcem do bazy lotniczej Marynarki w Barbers Point. Sześć stalowej barwy holowników wepchnęło lotniskowiec USS „John Stennis” do suchego doku.

Na pokładzie znajdowało się już stu techników, prawdziwych profesjonalistów, w tym pięćdziesięciu mechaników przysłanych ze stoczni w Newport News. Wszyscy zeszli na dół i kręcili się po maszynowni. Na lądzie, tuż przy suchym doku, stały długim rzędem ciężarówki, czekały setki marynarzy i pracowników cywilnych. Bud pomyślał sobie, że sprawiają wrażenie stada patologów przygotowujących się do jakiejś gigantycznej sekcji zwłok. Jednakże w tym wypadku chodziło nie o samą sekcję, ale wyjęcie bezużytecznych już organów i zastąpienie ich nowymi.

Komandor Sanchez przyglądał się, jak pierwszy żuraw unosi wielką kładkę, a drugi przygotowuje się do dźwignięcia potężnej przyczepy, która wyglądała na warsztat na kołkach.

Prawdopodobnie chcieli go mieć na podorędziu na pokładzie. A jeszcze nawet nie przystąpiono do zamykania śluzy doku i wypompowywania wody. Wynikało z tego, że komuś na górze bardzo się spieszyło.

— Komandor Sanchez?

Sanchez odwrócił się i zobaczył kaprała Piechoty Morskiej, który po regulaminowym zaszalutowaniu przekazał mu ustną wiadomość.

— Jest pan proszony o natychmiastowe udanie się do sztabu operacyjnego CINCPAC.

— To jest absolutne szaleństwo! — stwierdził prezes NYSE, Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Udało mu się pierwszemu wcisnąć te kilka słów i był z tego niesłychanie zadowolony.

Wielka sala konferencyjna w nowojorskiej siedzibie FBI przypominała nieco salę sądową.

Miała ponad sto miejsc siedzących, w chwili obecnej w połowie zajętych głównie przez wyższych funkcjonariuszy FBI i Federalnej Komisji Papierów Wartościowych, od poprzedniego piątku wieczorem badających kulisy całego wydarzenia. W pierwszym rzędzie siedzieli czołowi maklerzy i prezesi instytucji finansowych.

George właśnie kończył omawianie przebiegu wydarzeń tygodnia, wzbogacając je wyświetlaniem na

ekranie wykresów trendów i transakcji. Mówił wolno, ponieważ wiedział, że zmęczenie towarzyszące gorączkowej aktywności w minionych dniach musiało dotknąć wszystkich, otępiając i utrudniając przyswojenie sobie poszczególnych sformułowań. Do sali wszedł prezes Rezerwy Federalnej. Najwidoczniej zakończył rozmowy z prezesami banków europejskich. Podniesionym do góry kciukiem zasygnalizował Fiedlerowi i Winstonowi, że wszystko jest załatwione pomyślnie i zajął miejsce z tyłu sali.

— Może i szaleństwo, ale wydarzenia miały taki właśnie przebieg — zakończył Winston.

Prezes NYSE zmarszczył czoło — Wszystko to bardzo pięknie pan wyjaśnił —

powiedział tonem, który wyraźnie wszystkim obwieścił, że niczego pięknego w tym nie widzi —

ale my w dalszym ciągu tkwimy w moczarach i otaczają nas zewsząd krokodyle. Nie wydaje mi się, abyśmy mogli długo jeszcze bronić się przed nimi — Na sali rozległ się szmerek aprobaty.

Wszyscy w pierwszym rzędzie ze zdziwieniem zauważyli uśmiezek na twarzy ich dawnego kolegi.

Winston zwrócił się do sekretarza skarbu — Przekazuj dobre nowiny, Buzz!

— Panie i panowie, znaleźliśmy wyjście — obwieścił z pewnością siebie sekretarz Fiedler. Następne sześćdziesiąt sekund wypowiedzi Fiedlera wywołało taki efekt, że wszyscy zamarli z szeroko otwartymi — dosłownie — ustami. Nie mieli nawet zdolności wymieniania spojrzeń między sobą. Ale chociaż nikt nie aprobował jeszcze tej rewelacji skinieniem głowy, nikt także nie próbował oponować — nawet po kilkudziesięciu sekundach łamania sobie głowy nad słabymi punktami proponowanego planu.

Pierwszym, który zabrał głos, był generalny dyrektor domu maklerskiego Cummings, Carter i Cantor. CCC zmarło z wycieńczenia o trzeciej piętnaście w poprzedni piątek, gdyż postawiło na złego konia. Wszystkie rezerwy się wyczerpały.

— Czy to jest posunięcie zgodne z prawem? — spytał.

— Ani Departament Sprawiedliwości, ani Federalna Komisja Papierów Wartościowych nie potraktują waszego udziału w tym rozwiązaniu sytuacji za pogwałcenie prawa. Dodam jednak

— obwieścił Fiedler donośnym głosem — że jakakolwiek próba wykorzystania sytuacji będzie potraktowana z całą surowością. Zapewniam was jednak że jeśli przystąpicie z nami do realizacji planu, to w interesie bezpieczeństwa narodowego zawieszono zostaną przepisy antymonopolowe i inne stojące na drodze waszych interesów. To, co proponuję, znajduje się w kolizji z pewnymi przepisami, wiem o tym, ale co powiedziane to powiedziane i znajduje się to w domenie wiedzy publicznej, choć ograniczonej do tutaj obecnych. Panie i Panowie, taki, jak wyłożyłem, jest zamiar i decyzja rządu Stanów Zjednoczonych.

Cholera jasna! Nie ma wątpliwości, że te właśnie słowa przemknęły przez głowy prawie wszystkich,

a zwłaszcza funkcjonariuszy będących strażnikami prawa.

— Wiedzą państwo wszyscy, co wydarzyło się w CCC — odezwał się dyrektor generalny tej instytucji. Jego twarz, która przeważnie wyrażała sceptycyzm, teraz zaczynała rozkwitać uczuciem ulgi — Ja osobiście nie mam wyboru. Optuję za przedstawionym planem działania.

— Chciałbym coś do tego dodać — Prezes Banku Rezerw Federalnych wstał i wyszedł na przód sali — Przed chwilą skończyłem rozmowy z prezesami banków centralnych Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Szwajcarii, Belgii i Holandii. Wszyscy przylecą do Nowego Jorku jeszcze dziś wieczorem. Spotkamy się tu z nimi jutro rano, aby omówić sposoby i metody kooperacji w tej konkretnej sprawie. Chcemy przede wszystkim uzdrowić rynek federalnych obligacji skarbowych. Wiem, że banki amerykańskie nas nie zawiodą. Chcę zaproponować Komisji Giełdowej, aby wszyscy, którzy pozostaną przy swoich obligacjach i trzy — oraz sześciomiesięczne bony zachowają na następny cykl trzy-lub sześciomiesięczny, otrzymali po pięćdziesiąt podstawowych punktów jako dodatkową premię od rządu Stanów Zjednoczonych.

Tę samą premię oferujemy wszystkim, którzy zakupią obligacje skarbowe w ciągu dziesięciu dni od dnia ponownego otwarcia giełdy.

Bardzo roztropany krok, pomyślał Winston. Bardzo, bardzo! To przyciągnie inne waluty do Stanów, odciągnie je od Japonii, wzmocni dolara, osłabi jena. Banki azjatyckie, które pozbyły się rezerw dolarowych dostaną nie tylko po nosie, ale i po karku. Tak, obie strony potrafią grać w tę samą grę!

— Aby to zrobić, potrzebny jest akt prawny — zaproponował ekspert skarbowy.

— Będzie akt prawny, czarno na białym jeszcze przed piątkiem. Chwilowo jest to zdecydowane stanowisko Banku Rezerw Federalnych, aprobowane i podtrzymywane przez prezydenta Stanów Zjednoczonych — dodał prezes.

— Otrzymujemy zastrzyk świeżej krwi, panowie i panie! — powiedział Winston, przechadzając się wzdłuż drewnianej barierki oddzielającej salę od podium — Napadli na nas ludzie, którzy chcieli nas rzucić na kolana. Chcieli nas pożreć. Pokiereszowali, to prawda, ale okazuje się, że mamy niezłych lekarzy. Pochorujemy sobie trochę, ale pod koniec przyszłego tygodnia będziemy się czuli znacznie lepiej.

— W piątek od południa? — zapytał prezes NYSE.

— Tak jest — odparł Fiedler i wbił wzrok w pytającego, czekając na decyzję. Prezes giełdy milczał jeszcze przez parę sekund, a potem wstał i obwieścił.

— Deklaruję pełną współpracę Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Prestiż NYSE był tak wielki, że zniknęły wątpliwości obecnych na konferencji finansistów. Deklaracja współpracy wszystkich była przesądzona, tego się każdy spodziewał, ale równie istotną rzeczą była szybkość działania, zależna od consensusu. Nie upłynęło dziesięć sekund, a wszyscy już stali, uśmiechali się

do siebie, w głębi duszy szczęśliwi, że jest szansa zagospodarowania domów po powodzi, a właściwie pożarze.

— Aż do odwołania nie będzie obrotu programowanego — dodał Fiedler — Wszystkie

„patentowane systemy” nas zawiodły, prawie udławiliśmy się nimi. Piątek będzie bardzo emocjonujący pod każdym względem. Niech ludzie używają szarych komórek, a nie gier Nintendo.

— Zgoda — powiedział przedstawiciel NASDAQ, innej z nowojorskich giełd.

— Musimy to wszystko jeszcze raz dobrze przemyśleć — odezwał się przedstawiciel domu maklerskiego Merrill Lynch.

— Przemysłcie! My będziemy wszystko koordynowali — oświadczył prezes Banku Rezerw Federalnych — Jeśli ktoś z państwa ma pomysł na jakieś usprawnienie operacyjne, to proszę z nim przyjść do mnie. Spotykamy się ponownie o szóstej. Panie i Panowie, płyniemy jedną łodzią. Przynajmniej przez tydzień nie ma konkurentów, są kooperanci. Jesteśmy w jednej drużynie.

— Co najmniej milion inwestorów i ciułaczy zaufało mojej instytucji — odezwał się Winston — Wielu z was ma jeszcze więcej klientów i o tym nie wolno nam zapomnieć. — W

tym wystąpieniu nie było cienia odwoływania się do honoru. Mówił wyłącznie o cnocie, którą każda z instytucji finansowych chciała posiadać i którą szanowała nawet w przypadku, gdy jej sama nie mogła zyskać zaufania. Oczywiście można mówić i o honorze, jeśli honor rozumie się jako zaciągnięty dług, jako kodeks postępowania i obietnicę, którą należało spełnić. Bankierski honor jest czymś, co się musi posiadać, a co inni zawsze dostrzegają w człowieku. Ale taki honor kosztuje. Każdy z obecnych na tej sali chciałby, aby pozostali patrzyli na niego z szacunkiem, dostrzegając człowieka godnego zaufania i honorowego. Bardzo przydatna koncepcja, pomyślał

Winston. Zwłaszcza w chwilach takiego zagrożenia, jak obecne.

No i pozostał jeszcze jeden problem, pomyślał Ryan. Na tym szczeblu zawsze tak bywało, tak bywa i będzie: najpierw człowiek zajmuje się łatwiejszymi do rozwiązania sprawami, pozostawiając na koniec najtwardszy orzech do zgryzienia.

Teraz zadanie streszczało się raczej do uniknięcia wojny, niż do jej prowadzenia.

Wpadnięcie Wschodniej Syberii w ręce Japonii i Chin miałoby jako skutek powstanie..

Czego powstanie? Nowej Osi, jak niegdyś Oś Berlin-Rzym-Tokio? Chyba nie to. Z pewnością natomiast oznaczało powstanie nowego światowego Kantoru. Tak, kantoru, potężnego obszaru ekonomicznego będącego konkurentem Ameryki we wszystkich dziedzinach. Przekładając to na praktyczny język stawiało to Japonię i Chiny w pozycji bardzo uprzywilejowanej.

Samo w sobie nie było ambicją godną potępienia. Ale propagowane metody osiągnięcia statusu pierwszego mocarstwa ekonomicznego świata — były. W swoim czasie świat istniał w oparciu o prawa dżungli. Kto pierwszy, ten lepszy, do niego należała zdobycz, pod warunkiem, że miał dość siły, aby ją utrzymać przy sobie. Nie było to bardzo eleganckie, zwłaszcza według współczesnych kryteriów, i niezbyt sprawiedliwe, niemniej zasady te ogólnie akceptowano, ponieważ państwa silniejsze w zasadzie gwarantowały swoim obywatelom polityczną stabilność w zamian za lojalność, i to było w zasadzie pierwszym etapem w tworzeniu się spoistego narodu.

Po pewnym jednak czasie ludzkie pragnienie pokoju i bezpieczeństwa przekształciło się w coś zupełnie innego, a mianowicie w pragnienie zdobycia prawa do udziału w rządzeniu krajem. Od roku 1789 — kiedy to Ameryka ratyfikowała własną konstytucję, aż do roku 1989, kiedy to nastąpił rozkład polityczny Europy Wschodniej, czyli zaledwie na przestrzeni dwustu lat —

pojawiło się zupełnie coś nowego w kolektywnej świadomości ludów świata. I to coś miało różne nazwy, różne imiona. Demokracja, ludzkie prawa, samostanowienie. Jednakże w swej istocie było to uznanie faktu, że wola ludzka reprezentuje wielką siłę, gotową w zasadzie służyć dobru.

Plan japoński zaprzeczał istnieniu owej przemożnej siły na rzecz ogólnego dobra człowieka. Jednocześnie jednak bezpowrotnie minął czas panującej dawniej zasady siły pięści.

Na pewno minął, skonkludował Jack. A obecni na tej sali dopilnują, aby nie powróciły.

— I to jest ogólny obraz sytuacji na Pacyfiku. — zakończył swoje wystąpienie.

Odbywało się właśnie posiedzenie rządu. Obecni byli szefowie wszystkich resortów i ważniejszych agencji federalnych, jedynie sekretarza skarbu zastępował najstarszy rangą wiceminister. Obradowano przy kwadratowym stole, ustawionym po przekątnej w stosunku do ścian. Pod ścianami siedzieli czołowi przedstawiciele Kongresu oraz Kolegium Szefów Sztabów.

Następnym mówcą miał być sekretarz obrony. Zamiast pójść na mównicę, którą opuścił

właśnie Ryan, otworzył leżącą przed nim na stole teczkę z luźnymi kartkami i zaczął mówić, właściwie nie patrząc na żaden tekst.

— Nie jestem pewien, czy uda się nam to zrobić — zaczął, a obecni poruszyli się niespokojnie w fotelach — Problem jest techniczny, no i w ogóle. Nie jestem pewien, czy potrafimy zbudować, zastosować odpowiednią siłę, aby...

— Jedna chwilka, bardzo przepraszam — przerwał mu Ryan — Muszę w tym miejscu wyjaśnić wszystkim kilka spraw, zgoda? — Nie było sprzeciwów. Nawet sam sekretarz obrony wydawał się zadowolony, że nie musi dalej mówić.

— Guam jest obszarem amerykańskim. Od blisko stulecia. Jego mieszkańcy są obywatelami amerykańskimi. Japonia odebrała nam tę wyspę w 1941, a my z kolei zabraliśmy ją Japonii z powrotem w 1944 roku. Ludzie umierali po to, aby tak się stało.

— Sądzę, że uda nam się odzyskać Guam drogą negocjacji — powiedział sekretarz stanu.

— Bardzo się z tego cieszę — odparł Ryan. — A reszta Marianów?

— Moi pracownicy nie sądzą, aby to się udało osiągnąć drogami dyplomatycznymi.

Oczywiście będziemy próbowali, ale...

— Ale co? — zapytał Jack. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. — Dobrze, wyjaśnijmy sobie następną sprawę. Mariany nie były w prawnym posiadaniu Japonii, wbrew temu, co twierdzi japoński ambasador. Były jedynie obszarem powierniczym na podstawie mandatu Ligi Narodów. Dlatego też nie można ich nazywać łupem wojennym, kiedy zajęliśmy je w 1944 roku, w tym samym czasie, kiedy powracał pod naszą administrację Guam. W roku 1947 ONZ ogłosiła Północne Mariany obszarem powierniczym, przekazując mandat Stanom Zjednoczonym. W 1952

roku Japonia oficjalnie zrezygnowała z jakichkolwiek roszczeń do tych wysp. W roku 1978

mieszkańcy Północnych Marianów optowali na rzecz stworzenia Wspólnoty związanej politycznie ze Stanami Zjednoczonymi. Wówczas też wybrali swego pierwszego gubernatora.

Długo się opieraliśmy, nim uzyskali nasze pozwolenie, ale wreszcie dopięli swego. W roku 1986

Organizacja Narodów Zjednoczonych uznała, że dobrze wywiązaliśmy się z naszych obowiązków wobec mieszkańców wysp. W tymże samym roku mieszkańcy ci otrzymali obywatelstwo amerykańskie. W roku 1990 Rada Bezpieczeństwa ONZ zniosła powiernictwo, jako zbędne na nowym etapie rozwoju politycznego tego obszaru. Czy wszyscy państwo dobrze zrozumieliście? Mieszkańcy tych wysp są obywatelami amerykańskimi, posiadają amerykańskie paszporty nie dlatego, że ich do tego zmusiliśmy, ale ponieważ tego chcieli, taką drogą rozwojową dobrowolnie wybrali. To właśnie nazywa się samostanowieniem. To my zaszczepiliśmy owo pojęcie na tych wyspach, których mieszkańcy nam uwierzyli sądząc, że mówimy poważnie.

— Nie można zrobić czegoś, co jest niemożliwe. Możemy negocjować — zaczął dłuższy wywód Hansen, ale Ryan mu przerwał.

— Guzik negocjować! — warknął — I skąd ta pewność, że nie możemy im odebrać Marianów?

Sekretarz obrony zerknął do notatek. — Jack, potrzeba nam wielu lat, żeby odbudować ten sprzęt, który przekazaliśmy do rezerwy lub złomowaliśmy. Dobrze, chcesz kogoś obarczyć za to winą, obarcz mnie.

— Jeśli w tej chwili nie możemy tego zrobić, to ile miałyby kosztować powiększenie potencjału? — odezwał się sekretarz Departamentu Zdrowia i Opieki Socjalnej — Tyle rzeczy mamy jeszcze do zrobienia tutaj.

— A więc mamy pozwolić na to, aby obcy kraj odbierał prawa obywatelskie obywatelom Stanów Zjednoczonych jedynie dlatego, że komuś się wydaje zbyt trudne obronienie owych praw? — spytał Ryan bardzo spokojnym i cichym głosem — I co dalej? I co będzie, kiedy to się wydarzy po raz drugi? Może ktoś mi powie, od kiedy to przestaliśmy być Stanami Zjednoczonymi Ameryki? Moim zdaniem jest to wyłącznie sprawa politycznej woli i nic więcej

— ciągnął prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa. — Oczywiście powstaje pytanie, czy taką wolę jeszcze mamy.

— Żyjemy w rzeczywistym świecie, doktorze Ryan. Mówi pan o mieszkańcach Marianów. Czy wolno nam ryzykować ich życiem? — spytał sekretarz Departamentu Administracji Wewnętrznej.

— Zwykliśmy mówić, że wolność jest cenniejsza od życia. Zwykliśmy to samo mówić o naszych pryncypiach politycznych. I w rezultacie mamy świat zbudowany na tychże pryncypiach

— odparł Ryan. — To, co nazywamy naszymi prawami. Nikt nam tego nie dał, o nie, proszę pana! Wywalczyliśmy to. Ludzie ginęli w imię tych pryncypiów. Powtarzam, mieszkańcy tych wysp są amerykańskimi obywatelami. Czy rzeczywiście nic nie jesteśmy im winni?

Widać było, że taki tok rozumowania bardzo nie odpowiada sekretarzowi stanu. Wielu innym też nie odpowiadał. Wyzierało to z ich spojrzeń, ale byli zadowoleni, że to Hanson, a nie oni zabiera w tej sprawie głos.

— Możemy negocjować z pozycji siły, ale musimy to robić bardzo ostrożnie.

— Jak ostrożnie? — zapytał fałszywie aksamitnym głosem Ryan.

— Czego ty, do diabła, chcesz, Ryan? Nie możemy ryzykować nuklearnego ataku dla kilku tysięcy...

— Jaka jest według pana magiczna liczba, od której warto ryzykować, panie sekretarzu?

Milion ludzi? Nasze miejsce w świecie oparte jest na kilku prostych ideałach. Dla tych ideałów wielu już poświęciło życie.

— To już jest filozofia, a nie polityka — odciął się Hanson. — Niech pan mnie słucha.

Mam już przygotowaną dobrą drużynę do negocjacji. Otrzymamy Guam z powrotem, zapewniam pana.

— Nie, proszę pana! Mamy odzyskać wszystkie wyspy. I zaraz panu powiem, dlaczego

— Ryan pochylił się nisko nad stołem, jakby chciał być bliżej adresatów swoich słów — Jeśli tego nie zrobimy, to wówczas nie uda się nam zapobiec wojnie między Rosją, z jednej strony, a Japonią i Chinami z drugiej. Walka będzie się toczyć o Syberię. Muszą się o to bić. Bogactwa naturalne Syberii są tak wielkie, że gwarantują cudowne przeniesienie się Japonii i Chin do sytego

dwudziestego pierwszego wieku. A jeśli idzie o Rosjan, to ja ich znam. Będą walczyć.

Wojna konwencjonalna może przekształcić się w nuklearną. Japonia i Chiny pewno sądzą, że sprawy tak daleko nie zajdą, ale ja wiem, że mogą. Wiecie dlaczego? — Nabrał oddechu — Jeśli nie my, to kto rozwiąże skutecznie problem? Rosjanie dojdą do wniosku, że zostali sami. Nasz wpływ na nich spadnie do zera. Przyparciu do muru, zareagują w jedyny skuteczny z ich punktu widzenia sposób. I zaczną się rzeź, jakiej jeszcze świat nie widział. Jeśli o mnie idzie, nie jestem gotów na powitanie nawrotu średniowiecza. Tak więc wynika z tego jasno, że nie mamy wyboru.

Możecie mi tu wymieniać, jakie chcecie argumenty, że można czy nie można, ale wszystko streszcza się do jednego wniosku: zaciągnęliśmy dług honorowy, akceptując wolę mieszkańców wysp, gdy oświadczyli, że chcą być Amerykanami. Jeśli nie będziemy bronić obowiązujących nas zasad, to znaczy, że tracimy nie tylko honor, ale zdolność oddziaływania na cokolwiek, na jakąkolwiek przyszłą sytuację. Wszyscy stracą do nas zaufanie, stracimy szacunek świata, stracimy szacunek do siebie samych. Jeśli odwrócimy się teraz plecami do problemu, to znaczy, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy, i wyjdzie na to, że wszystko, co dotychczas mówiliśmy, było kłamstwem.

Przez cały ten czas prezydent Durling siedział w milczeniu, przyglądając się twarzom obecnych, a zwłaszcza sekretarzowi obrony i siedzącemu za nim pod ścianą, przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów, którego sekretarz obrony osobiście sobie wybrał, by mu pomagał

przy likwidowaniu potęgi militarnej Ameryki. Obaj ci panowie patrzyli w ziemię i wydawało się jasne, że nie są warci tej wzniosłej chwili.

— Jak możemy więc osiągnąć cel, Jack? — zapytał Roger Durling.

— Jeszcze nie wiem, panie prezydencie. Nim zaczniemy próbować, musimy podjąć decyzję, czy chcemy, czy też rezygnujemy. I jeśli o to idzie, to piłeczka jest na pańskim polu, panie prezydencie.

Durling rozważał słowa Ryana i jednocześnie zastanawiał się nad celowością proszenia członków gabinetu o ich opinie. Zdecydował, że tego nie robi, ponieważ z ich twarzy nie wyczytywał nic dobrego. Nie podobało mu się to. Przypomniawszy sobie czas spędzony w Wietnamie, kiedy zapewniał żołnierzy, że to wszystko ma wielkie znaczenie, chociaż dobrze wiedział, że kłamie. Nigdy nie zapomni wyrazu ich twarzy. I chociaż mało kto o tym wiedział, Durling prawie co miesiąc chodził wieczorami do pokrytego nazwiskami poległych pomnika mauzoleum. Znał dokładnie miejsce każdej inskrypcji i nazwisko każdego żołnierza, który służył

i zginął pod jego dowództwem. Wszystkie te miejsca odwiedzał, aby każdemu z osobna szepnąć w duchu, że tak, owszem, mimo wszystko to miało wielkie znaczenie, a w Wielkim Planie Przeznaczenia ich śmierć przyczyniła się do tego, iż świat zmienił się na lepsze. Może zbyt późno dla tych, którzy oddali życie, ale nie za późno dla żywych. Prezydent Durling był dumny z jeszcze jednej rzeczy nikt nigdy nie odebrał Ameryce nawet skrawka ziemi. I być może do tego wszystko się sprowadzało.

— Brett, przystępujesz natychmiast do negocjacji. Oświadczysz jasno, że obecna sytuacja na Zachodnim Pacyfiku jest nie do przyjęcia dla Stanów Zjednoczonych. Nie akceptujemy niczego innego niż całkowite przywrócenie sytuacji *ante helium* na Marianach. Niczego innego!

— powtórzył z naciskiem Durling.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Przedstawicie mi plany operacji mających na celu usunięcie siłą Japończyków z wysp w wypadku, gdyby negocjacje nie przyniosły oczekiwanego rezultatu — polecił sekretarzowi obrony, który skinął głową, choć jego twarz wyrażała absolutną niewiarę, by udało się takie operacje przeprowadzić.

Admirał Czandraskatta uważał, że to już trwa za długo, ale czekał cierpliwie wiedząc, że może sobie na to pozwolić. Co teraz się stanie? Był tego bardzo ciekaw.

Wszystko mogło potoczyć się szybciej. Być może Czandraskatta nieco zbyt powoli realizował swoje plany, chcąc w trakcie rozwijania się sytuacji odczytywać styl myślenia swego przeciwnika, wiceadmirała Michaela Dubro. Chytry z niego lis, umie doskonale manewrować, a ponieważ jest taki błyskotliwy, z pewnością myśli, że jego przeciwnik musi być głupszy. Od tygodnia było jasne, że formacja amerykańska znajduje się na południowo-zachodnim akwenie.

Sam Czandraskatta płynąc na południe skłonił admirała Dubro do skierowania się na północ, a następnie na wschód. Gdyby przewidywania zawiodły, to i tak Amerykanie musieli wrócić na poprzednie miejsce, na wschód od Dondra Head, zmuszając tankowce do płynięcia na skróty i wcześniej czy później wpadłyby one w oko indyjskim patrolom powietrznym. No i wpadły.

Teraz trzeba było śledzić ich kurs, którego Dubro nie mógł zmienić, chyba że kazałby im płynąć jeszcze bardziej na wschód. Co z kolei oznaczało przemieszczenie całej grupy na wschód, a więc oddalenie się od Sri Lanki. Otworzyłoby to korytarz dla indyjskich okrętów desantowych wiozących pojazdy pancerne i jednostki uderzeniowe. Alternatywą dla Amerykanów pozostawałyby konfrontacja i bitwa morska.

Ale nie poważą się na konfrontację. Chyba nie. Jediną rozsądną decyzją Waszyngtonu będzie rozkazanie admirałowi Dubro, aby powrócił ze swoimi dwoma lotniskowcami do Pearl Harbor w oczekiwaniu na decyzję polityczną co do ewentualnego uderzenia na Japonię.

Amerykanie podzielili Flotę Pacyfiku wbrew doktrynie Alfreda Thayera Mahana. Czandraskatta uczył się jej w Akademii Marynarki w Newport w Wirginii. Wraz z nim studiował tam wówczas Yusuo Sato. Nie było to nawet tak dawno temu. Czandraskatta przypominał sobie jeszcze ożywione dyskusje prowadzone z Sato, kiedy spacerowali nabrzeżem, przyglądali się jachtom w porcie i zastanawiali się, czy i w jaki sposób małe floty potrafią pokonać wielkie.

Po powrocie do Pearl Harbor Dubro odbędzie z pewnością konferencje ze swoimi sztabami informacji wojskowej i operacyjnym, aby wyciągnąć ostateczne wnioski, i wszyscy zgodnie dojdą do

przekonania, że nic nie mogą zrobić. Ależ będą wściekli, pomyślał z satysfakcją indyjski admirał.

Ale przedtem trzeba jeszcze dać im lekcję. Dobrą nauzkę. Czandraskatta rozpoczął już polowanie. Amerykanie mogą sobie być szybcy, a ich admirał spryciarzem, ale flota związana jest z ograniczonym akwenem i wcześniej czy później zabraknie jej miejsca do manewru.

Czandraskatta będzie mógł ich wreszcie odpędzić, niech wracają do siebie, pozwalając Indiom na podjęcie pierwszego imperialnego kroku. Właściwie malutkiego kroczy, niemalże niezauważalnego w wielkiej grze, jaka się toczy, ale wartego wysiłku, ponieważ bez Amerykanów Indie mogą się wreszcie ruszyć, tak jak ruszyła się Japonia. Nim Ameryka odbuduje swoją potęgę, będzie zbyt późno, aby cokolwiek zmienić. Wszystko streszcza się do przestrzeni i czasu. Przestrzeń i czas działają na niekorzyść państwa osłabionego wewnętrznymi trudnościami i przez to samo gubiącego jasny cel. Jakże mądrzy są Japończycy, skoro to dostrzegli.

— Udało się lepiej, niż można było oczekiwać — powiedział Durling, który po raz pierwszy od chwili objęcia prezydentury przyszedł na pogawędkę do gabinetu Ryana.

— Tak pan sądzi, panie prezydencie? — Ryan był nieco zdziwiony tą oceną.

— Pamiętaj, że sekretarzy z małymi wyjątkami odziedziczyłem po Bobie. — Durling usiadł. — Mają wąskie spojrzenie. Głównie troszczą się o problemy wewnętrzne kraju. Przez cały czas mam z nimi ten właśnie kłopot.

— Potrzebny jest nowy sekretarz obrony i nowy przewodniczący Kolegium — dość zimno powiedział Ryan.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie czas na to. Zresztą ich obecność zapewnia mi szerszy wachlarz opinii — dodał Durling z uśmiechem. — Chciałbym ci przede wszystkim zadać jedno pytanie...

— Nie wiem, czy nam się to uda — mruknął Ryan, malując na kartce jakieś wzorki.

— Przede wszystkim musimy zdjąć z szachownicy ich rakiety balistyczne.

— Wiem o tym, panie prezydencie. Znajdziemy je. W każdym razie spodziewam się, że wkrótce — tak czy inaczej — dowiemy się, gdzie one są. Innym dzokerem w talii są zakładnicy.

Jeszcze innym nasza zdolność do wylądowania na wyspach. Ta wojna, jeśli można tak nazwać obecny stan, rządzi się nowymi prawami. I właściwie jeszcze nie wiem, jakimi. — Ryan nadal myślał ciągle o publicznym wizerunku sytuacji. — Jak zareaguje amerykańska opinia publiczna?

No i japońska...?

— Chcesz usłyszeć kilka złotych myśli z ust swego naczelnego dowódcy? — spytał

Durling.

— Jak najbardziej! — odparł Ryan. Obaj się uśmiechnęli.

— Uczestniczyłem w wojnie, w której druga strona dyktowała prawa i zasady gry. I nie wyszło nam to na zdrowie.

— Co zachęca mnie z kolei do zadania pytania.

— Zadawaj!

— Jak daleko możemy się posunąć?

Prezydent zadumał się, a potem stwierdził: — Pytanie zbyt ogólnikowe. I podstępne.

— Mózg operacyjny sił wroga jest w zasadzie dozwolonym celem. Jednakże dotychczas zawsze mieliśmy do czynienia z ludźmi w mundurach.

— Myślisz o polowaniu na *zaibatsu*?

— Tak jest, sir. Z informacji, które posiadam, a są one pewne, oni właśnie wydają rozkazy operacyjne. Ale są cywilami. Uderzenie w nich mogłoby wydawać się morderstwem.

— Pomyślmy o tym, kiedy nadejdzie czas, Jack. — Prezydent wstał szykując się do odejścia.

— Rozumiem. Słusznie. — „Zapewnia szerszy wachlarz opinii”. Ryan z pewnym rozbawieniem rozmyślał nad słowami prezydenta. Ale to mogło oznaczać wiele rzeczy. Albo, że będzie pilnie słuchał, albo że pójdzie własną drogą osamotniony, świadomy, że nie ma wsparcia.

Doświadczył już tego w przeszłości, działań bez wsparcia.

— Co myśmy najlepszego zrobili? — spytał Koga. — Co myśmy im pozwolili zrobić?

— Nie mieli specjalnych trudności — odparł jego wieloletni doradca polityczny. —

Ponieważ nie potrafimy umocnić swojej władzy, jesteśmy podzieleni, oni bez specjalnego trudu popychają nas w kierunku, jaki im odpowiada... i z upływem czasu...

— Doradca wzruszył ramionami.

— I z upływem czasu cała władza dostała się w ręce tej dwudziestki czy trzydziestki ludzi, którzy zaczęli decydować o polityce naszego kraju. Naród ich nie wybierał. Wybrały ich rady nadzorcze korporacji. Ale żeby to zaszło aż tak daleko? — spytał Koga. — Aż tak tragicznie daleko?

— Zabrnęliśmy tam, gdzie zabrnęliśmy — odparł filozoficznie doradca. — Czy możemy temu zaprzeczyć?

— I kto teraz ochroni nasz naród? — zapytał patetycznie były premier. Pomyślał z goryczą, że on sam już nic nie znaczy.

— Goto — odparł lakonicznie doradca.

— Nie możemy na to pozwolić. Wiesz, czyje polecenia wykonuje? — Doradca skinął głową i nawet był gotów się uśmiechnąć, gdyby nie powstrzymała go myśl o powadze sytuacji.

— Powiedz mi, mój drogi, czymże jest honor i co obecnie nakazuje? — spytał Mogataru Koga.

— Naszym obowiązkiem, panie premierze, jest służyć narodowi — odparł doradca, którego przyjaźń z Kogą datowała się od studiów na uniwersytecie tokijskim. Nagle przypomniał

sobie słowa zachodniego męża, Cyncerona. Chyba Cyncerona: „Dobro ludu jest najwyższym prawem”.

I do tego wszystko się streszcza, pomyślał Koga. Zastanawiał się, czy zawsze zdrada ma taki początek. I postanowił to głęboko przemyśleć. I będzie o tym myślał przez całą noc, gdyż nie zmruży oka. Nie, nie całą noc, ale przedświt, uświadomił sobie spojrzawszy na zegarek.

— Czy to aby na pewno mają być tory standardowej szerokości?

— Możesz przeanalizować raz jeszcze zdjęcia — odparła Betsy Fleming. Wrócili już do Biura Zwiadu Powietrznego w Pentagonie. — Transporter, jaki sfotografowali nasi ludzie, miał standardowy rozstaw osi.

— Skąd jesteśmy pewni, że to nie była świadoma dezinformacja? — spytał analityk.

— Średnica rakiety *SS-19* wynosi dwa przecinek osiem metrów — odezwał się Chris Scott, podając faks z Rosji. — Do tego trzeba jeszcze dodać dwieście siedemdziesiąt centymetrów na kontener. Ich wąskotorowe linie nie poradziłyby sobie z platformą o podobnej szerokości. To raczej mało prawdopodobne, choć teoretycznie możliwe.

— Poza tym trzeba założyć, że przy transporcie rakiet nie będą zbyt wiele ryzykować —

dodała Betsy. — Rosjanie także rozpatrywali moduł do transportu kolejowego swojej wersji *Mod-4*, rozpracowali zewnętrzny pancierz pod kątem takiego przewozu, a rozstaw osi rosyjskich torów...

— Tak, zupełnie zapomniałem — przerwał analityk i dokończył: — Jest większy od naszego. To mi ułatwia pracę. — Powrócił do konsoly komputera i nakazał wykonanie programu zlecającego, jaki opracował przed paroma godzinami. Podczas każdego przelotu nad Japonią umieszczone na satelicie wąskoogniskowe kamery o wysokiej rozdzielczości będą przeszukiwały teren wzdłuż wyznaczonych współrzędnych. Okazało się, że rodzimy AMTRAK

niał doskonałą dokumentację japońskich kolei. Właśnie teraz jeden z dyrektorów firmy był

instruowany na temat przepisów o przestrzeganiu tajemnicy państwowej w odniesieniu do zdjęć satelitarnych. Instruktaż był zresztą krótki i kończył się ostrzeżeniem, że opowiadanie tego, co się widziało, zostaje nagrodzone długimi wakacjami w więzieniu Manon, w Illionois.

Komputerowe polecenie powędrowało najpierw do Sunnyvale w Kalifornii, a stamtąd do wojskowego satelity telekomunikacyjnego. Ten dopiero przekazał je obu wędrującym po orbicie satelitom *KH-11*, z których jeden miał ponownie znaleźć się nad Japonią za pięćdziesiąt minut, a drugi o dziesięć minut później. Cała trójka czekająca w Pentagonie, w Biurze Zwiadu Powietrznego, zastanawiała się, czy japończycy są bardzo biegli w sztuce kamuflażu. Niestety, mogli się tego nigdy nie dowiedzieć. Pozostawało jedynie czekać. Będą mogli obserwować na monitorze poszczególne ujęcia w chwili ich robienia, ale jeśli nie dostrzegą wyraźnych śladów tego, czego szukają, trzeba będzie każde zdjęcie poddać drobiazgowej analizie, co potrwa długie godziny, a nawet dni. Jeśli oczywiście będą mieli szczęście w ogóle na coś trafić.

„Kuruszio” był na powierzchni, co nigdy nie cieszy dowódcy okrętu podwodnego. Ale nie miało to trwać długo. Przez dwa węże o sporej średnicy pompowano paliwo, a dźwig podawał zaopatrzenie marynarzom czekającym na pokładzie. Komandor Ugaki żałował, że marynarka nie ma specjalnych tankowców do zaopatrywania okrętów podwodnych i musi korzystać z wielkich barek desantowych przeznaczonych w zasadzie do przewożenia ciężkiej broni pancerniej. Tym razem i barki były zajęte, więc „Kuruszio” korzystał z usług zwykłego frachtowca, którego załoga miała dobre chęci, ale mało doświadczenia w podobnych operacjach.

„Kuruszio” był ostatnim okrętem, który przybył do basenu portowego Agana, ponieważ znajdował się najdalej od Marianów, gdy nastąpiła ich okupacja. Komandor Ugaki wystrzelił

tylko jedną torpedę, co już mu wystarczyło, by sprawdzić, jak świetnie wz. 89 spełnia swoje zadanie. Pod tym względem wszystko było w porządku. Gorzej z frachtowcem. Nie miał

odpowiedniego sprzętu, aby dostarczyć brakującą torpedę. Komandor pocieszał się jednak, że ma ich jeszcze piętnaście oraz cztery rakiety typu *Harpoon*. A jeśli mu Amerykanie dostarczą aż tyle celów, to tym lepiej.

Członkowie załogi, nie mający chwilowo zajęcia, stłoczyli się na przednim pokładzie, by skorzystać ze słońca. Marynarze okrętów podwodnych lubią to robić. Robił to zresztą w tym samym czasie ich dowódca obnażony po pas, siedział pod kioskiem, popijając herbatę i uśmiechając się szeroko. Czekala go teraz misja patrolowania akwenu w pobliżu wysp Bonin na Morzu Filipińskim z zadaniem przechwytywania amerykańskich okrętów, które by próbowały przeszkodzić żegludze z Wysp Japońskich. Najprawdopodobniej byłyby to amerykańskie okręty podwodne. Zadanie powierzone komandorowi Ugaki nie wydawało się trudne. Rutynowe.

Chociaż nudne, wymagało dużej koncentracji uwagi. Ugaki uznał, że będzie musiał porozmawiać z załogą na temat wagi zadania.

— Więc jaka jest granica patrolowanego akwenu? — spytał Jones.

— Chwilowo na wschód od sto sześćdziesiątego piątego południka — odparł admirał

Mancuso, wskazując obszar na mapie — Jest nas mało, Jones. Nim zdecyduję się na walkę, muszę przyzwyczać załogi do tej myśli. Chcę, żeby dowódcy jednostek zwiększyli intensywność ćwiczeń. Nigdy nie jest ich za mało.

— Ta prawda odnosi się i do życia w cywilu — odparł sonarzysta z doktoratem. Jones przyszedł do admirała z wydrukami hydrofonicznego nasłuchu chcąc pokazać, że gdzieś zniknęły wszystkie znane sygnały z okrętów podwodnych. Niestety, dwa układy zbiorcze hydrofonów sterowane z wyspy Guam były odcięte. Chociaż łączył je podwodny kabel ze stacją monitorującą na wyspie Guam, to nikomu w Pearl Harbor nie udało się ich uaktywnić. A próbowano różnych sztuczek. Dobrą wieścią było jednak to, że zapasowy układ zbiorczy w pobliżu filipińskiej wyspy Samar nadal funkcjonował. Niestety nie był w stanie wychwycić japońskich okrętów podwodnych, które — jak to wskazywały zdjęcia satelitarne — uzupełniały paliwo i zapasy żywności w pobliżu Agany. Wiele jednostek nawet zidentyfikowano. Mancuso nie był tego pewien na sto procent. Być może Japończycy nauczyli się najpierw od Rosjan, a potem od Amerykanów nie umieszczać numerów taktycznych lub umieszczać fałszywe, aby zmylić przeciwnika.

— Hmm, byłoby miło parę ptaszków złapać do sieci — powiedział Jones po dłuższej obserwacji mapy — No, raczej rybek.

— Dlaczego nie? Gdybym jeszcze mógł dostać jakieś instrukcje z Waszyngtonu.. —

admirał zamilkł, pogrążony w myślach. Czarne sylwetki na mapie oznaczały położenie każdego z jego okrętów podwodnych, nawet tych w okresowym przeglądzie. Chociaż te ostatnie były białe z wypisanymi datami powrotu do służby, jednak w chwili obecnej nie miało to większego znaczenia. Pięć sylwetek w Bremerton, tak?

Zapowiedz „Wydania specjalnego” pojawiła się na ekranach wszystkich większych sieci telewizyjnych. W każdym wypadku spikerzy lub komentatorzy obwieścili godnie przytłumionymi głosami, że program zostaje przerwany, aby obywatele mogli wysłuchać orędzia prezydenta na temat kryzysu ekonomicznego, jakim rząd zajmuje się od minionego weekendu.

Następnie pojawiła się prezydencka pieczęć i potem sam prezydent, zdumiewając oglądających program ożywionym uśmiechem.

— Dobry wieczór! Współobywatele, w ubiegłym tygodniu nastąpiło groźne wydarzenie w łonie amerykańskiego systemu finansowego.

— Pragnę jednak zacząć od zapewnienia was, że gospodarka amerykańska jest silna.

Dziwnie może brzmieć takie stwierdzenie — Durling uśmiechnął się — w obliczu tego wszystkiego, co w ostatnich godzinach słyszeliście w telewizji lub z innych źródeł. Pozwólcie mi jednak wyjaśnić,

dlatego miałem prawo powiedzieć to, co powiedziałem. Zaczę od pytania.

— Czy coś się zmieniło? Amerykańscy robotnicy nadal produkują samochody w Detroit i w innych miastach. Amerykańscy hutnicy nadal wytapiają stal. Kanzascy farmerzy zwieźli już z pól zboże i przygotowują się do następnego sezonu zasiewów. W Dolinie Krzemowej trwa produkcja komputerów. W Akron stale produkowane są opony. *Boeing* ciągle produkuje samoloty. Bez przerwy wydobywana jest ropa w Teksasie i na Alasce, a węgiel w Zachodniej Wirginii. Każdy z was wykonuje te same czynności, jakie wykonywał przed tygodniem. A więc co się zmieniło?

— Powiem wam, co się zmieniło! Chmara elektronów popłynęła miedzianymi drutami, takimi samymi, jak te które łączą słuchawkę z aparatem — Prezydent podniósł i po chwili odrzucił sznur stojącego przed nim telefonu — i to jest wszystko. Nic więcej — Durling mówił

łagodnym spokojnym głosem dobrego sąsiada, który przyszedł do pobliskiego domu z dobrymi radami — Ani jeden człowiek nie stracił życia. Żadne przedsiębiorstwo nie utraciło swojej siedziby. Nie zmalowało bogactwo naszego państwa. Niczego nie straciliśmy.

— A mimo to, drodzy przyjaciele, wpadliśmy w panikę. Dlaczego? W ciągu paru minionych dni udało nam się stwierdzić, że dokonano świadomego zamachu na nasz system monetarny i rynek papierów wartościowych. Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, przy udziale patriotycznie myślących osobistości na wspomnianym rynku papierów, rozpoczęło przygotowywanie aktu oskarżenia, wspartego dowodami, przeciwko winnym tego, co się wydarzyło. Więcej nie mogę dziś powiedzieć, żadnych nazwisk nie mogę podać, bowiem nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie może gwałcić prawa, które mówi, że każdy podejrzany ma prawo do uczciwego i bezstronnego procesu. Niemniej zapewniam was, że wiemy, co się wydarzyło, i wiemy, że to, co się wydarzyło, było zjawiskiem sztucznie wywołanym w celach przestępczych.

— Jak wobec tego mamy postępować od tej chwili? — zapytał dramatycznie słuchaczy Durling.

— Powiem wam. Obrót papierami wartościowymi był wstrzymany przez cały tydzień, giełdy zamknięte. Giełdy rozpoczną swoją działalność w piątek w południe i wówczas...

Punkt zwrotny

— To im nie wyjdzie — powiedział Kozo Matsuda, słuchając tłumaczenia. — Plan Raizo był bezbłędny. Bardziej niż bezbłędny — kontynuował, mówiąc tak zarówno do siebie, jak i do słuchawki. Przed krachem wykorzystał bliskie stosunki ze skłonny do współpracy bankierem i przeprowadził kilka korzystnych transakcji amerykańskimi obligacjami skarbowymi, co mu pozwoliło na rekapitalizację znajdującego się w kłopotach własnego koncernu, ale i niestety wzbogaciło jedynie konto bankowe w jenach, co było kłopotliwe w obliczu poważnych płatności zagranicznych. Jednakże nie należało się tym zbytnio martwić, gdyż jen się umacniał, a dolar słabł. Może byłby teraz czas zakupić poprzez pośredników trochę amerykańskich udziałów, pomyślał. Ponownie otworzą giełdę i akcje dalej będą spadały na łeb?

— Kiedy więc wznawiają operacje giełdowe? — Podniecony wiadomościami po prostu zapomniał.

— Londyn wyprzedza nas o dziewięć godzin, a Niemcy i Holandia o osiem. Więc o czwartej po południu — odpowiedział odległy rozmówca. — Nasi ludzie otrzymali odpowiednie instrukcje. A były jasne: wykorzystać wysoki kurs jedna i wykupywać każdą ilość europejskich akcji, a kiedy za parę lat skończy się panika na rynku finansowym, Japonia będzie tak głęboko tkwić w europejskiej multinarodowej strukturze, że w istocie stanie się jej integralną częścią, tak istotną dla europejskiej gospodarki, że jakakolwiek próba oddzielenia się niesłaby ze sobą groźbę finansowego krachu. Tego Europa nigdy nie zaryzykuje, nie po przeżyciu najgorszego od trzech pokoleń kryzysu, a na pewno nie po tym, jak Japonia odegra ważną i bezinteresowną rolę zbawiciela, który przywrócił dobrobyt i zapewnił dobrą koniunkturę trzystu milionom Europejczyków. Niepokojące było jedynie to, że Amerykanie podejrzewali, iż ktoś maczał palce w tym, co się stało. Jednakże Yamata-san zapewnił ich wszystkich, że nie ma żadnych śladów, żadnych dowodów. Na tym przecież polegało między innymi mistrzostwo całej operacji —

zniszczenie wszystkich zapisów i zastąpienie ich chaosem. Żadna instytucja finansowa czy inna nie może istnieć bez dokładnej dokumentacji przeprowadzanych transakcji. Zabrać dokumentację, to znaczy odebrać zdolność działania, a nawet istnienia. Rekonstrukcja zapisów będzie wymagała wielu tygodni, a nawet miesięcy. Tego Matsuda był pewien i w tym czasie, w okresie paraliżu instytucji finansowych, Japonia, a konkretnie grono *zaibatsu* będzie mogło wiele wykupić, niezależnie od tych korzyści, jakie im przyniosą błyskotliwe zagrania Yamaty za pośrednictwem agend rządowych. Ten w pełni spójny wewnętrznie plan, zapięty na ostatni guzik, był

decydującym argumentem dla szacownych *zaibatsu*.

— To zresztą nie jest ważne, Kozo. Powaliliśmy Europę i tylko my posiadamy płynność kapitałową.

— Świetne wystąpienie, Szefie! — powiedział Ryan oparty o framugę.

— Przed nami jeszcze długa droga — odparł Durling. Wstał z fotela i wyszedł z Gabinetu Ovalnego, nie odzywając się więcej do nikogo. Za nim poszedł Ryan. Prezydent i jego doradca udali się do starego budynku, mijając po drodze techników telewizyjnych, którzy oprócz Ryana byli jedynymi świadkami wystąpienia. Czas na spotkanie z prasą jeszcze nie nadszedł.

— Zdumiewające są filozoficzne aspekty całej sprawy — zauważył Ryan, gdy wsiadali do windy, która miała ich zawieźć do prywatnych apartamentów prezydenta o piętro wyżej.

— Bawisz się metafizyką, co? Chodziłeś do jezuitów, prawda?

— Nawet do ich dwu szkół. Zadaję sobie pytanie, czym jest właściwie rzeczywistość? —

zadał retoryczne pytanie Jack. — Dla nich rzeczywistością są elektrony i komputerowe monitory.

Na Wall Street nauczyłem się jednego: oni wszyscy nie mają pojęcia o istocie inwestowania.

Jeden Yamata opanował warsztat.

— I to nieźle — zauważył prezydent.

— Jednak przedobrzył. Powinien był zostawić dokumentację. Wywołać krach, panikę i to by wystarczyło. Nie wydobylibyśmy się wtedy z otchłani. Spadek trwałby do samego dna. —

Ryan wzruszył ramionami. — Po prostu nie przyszło mu do głowy, że nie akceptujemy jego zasad gry. Odrzucenie tych reguł stało się kluczem do rozwiązania. — Dalej już tylko myślał: wystąpienie

prezydenta

było

wspaniałym

koktajlem

rzeczy

powiedzianych

i

niedopowiedzianych. Spełniało świetnie swój cel. W istocie pierwsza udana operacja w wojnie psychologicznej!

— Prasy nie można długo ignorować. Oni coś wygrzebią — przerwał ciszę prezydent.

— Wiem o tym — odparł Ryan. I dokładnie wiedział, gdzie nastąpi pierwszy przeciek. Że go jeszcze

nie było, należy zawdzięczać FBI. — Ale musimy jeszcze przez pewien czas milczeć.

Niech wiedzą jak najmniej.

Zaczął się ostrożnie i nie stanowiło właściwie części planu operacyjnego. Było tylko jego prekursorem. Cztery bombowce *B-1B Lancer* wystartowały z bazy Sił Powietrznych w Elmendorf na Alasce. Za nimi poleciały dwa tankowce *KC-10*. Szerokość geograficzna i pora roku gwarantowały ciemność. W komorach bombowych zainstalowano dodatkowe zbiorniki paliwa. Każdy bombowiec miał czteroosobową załogę — pilota, drugiego pilota i dwóch techników do obsługi systemów elektronicznych.

Lancer był bardzo zgrabnym i zwinnym samolotem. Miał drążek samolotu myśliwskiego zamiast wolantu. Piloci, którzy latali zarówno na myśliwcach jak i na *B-1B* twierdzili, że różnice były niewielkie. *Lancer* wydawał się nieco bardziej ociężały w pilotowaniu od *F-4 Phantom*, bo był nieco cięższy i bardziej opasły, co dawało mu z drugiej strony większą stabilność, oraz — tak jak w tej chwili i w tych warunkach — zasięg lotu. Lecieli gęsiego międzynarodowym korytarzem R-220, zachowując się tak jak przystało rejsowym samolotom cywilnym.

Po dwu godzinach i półtora tysiącu kilometrów od minięcia wyspy Shemya i po opuszczeniu granicy zasięgu radarów kontroli naziemnej, cała szóstka na krótko skręciła w kierunku północnym. Samoloty tankujące tkwiły na swoim pułapie, natomiast bombowce jeden po drugim podsuwały się pod ich brzuchy, aby uzupełnić paliwo. Procedura ta trwała około dwunastu minut dla każdego bombowca. Po zakończeniu operacji *B-1B* powróciły na kierunek południowo-zachodni, podczas gdy tankowce zawróciły, by wylądować na Shemya i same uzupełnić paliwo.

Cztery bombowce zeszły na pułap ośmiu tysięcy metrów, a więc poniżej korytarza lotnictwa cywilnego, co im pozwalało na większą swobodę manewru. W dalszym ciągu utrzymywały zasadniczo kierunek R-220, najbardziej zachodniego korytarza dla lotów rejsowych, i przemknęły w pobliżu Kamczatki.

Włączono teraz systemy operacyjne. Chociaż *B-1B* były przewidziane do tak zwanej głębokiej penetracji, mogły spełniać wiele innych zadań, między innymi zbierać elektronicznie informacje. Zewnętrzna powłoka każdego samolotu wojskowego pokryta była różnego rodzaju kształtkami i końcówkami, które w oczach laika wyglądają jak rybnie płetwy. Są to zawsze takie czy inne anteny, a ich przedziwny kształt zawdzięczać należy mającym zmniejszyć opór powietrza. *Lancer* miał wiele takich wyprysków na swojej powłoce, przeznaczonych do przechwytywania sygnałów radarowych i innych emisji elektronicznych, oraz do przekazywania ich do konsol, gdzie były przetwarzane na informacje. Część pracy przypadała załodze w czasie lotu, gdyż zadaniem bombowca było między innymi monitorowanie nieprzyjacielskich radarów w celu ułatwienia załodze manewrów pozwalających na uniknięcie wykrycia przez wroga, no i zrzuć bomb na właściwe cele.

W punkcie kontrolnym MŁOTEK, około czterystu pięćdziesięciu kilometrów od japońskiej strefy

zwiadu powietrznego, bombowce zmieniły szyk na patrolowy. Leciały teraz w odległości mniej więcej siedemdziesięciu kilometrów od siebie, obniżając jednocześnie pułap do trzech tysięcy metrów. Członkowie załogi zatarli ręce, zacisnęli nieco mocniej pasy i skoncentrowali się na czekającym ich zadaniu. Rozmowy w kabinie ograniczono do absolutnie niezbędnych. Satelity dozoru informowały, że Japończycy mają w powietrzu samoloty wczesnego ostrzegania *E-767*. Patrolowały one niemalże nieustannie i załogi amerykańskich bombowców ich właśnie najbardziej się obawiały. Latając na bardzo wysokim pułapie samoloty *E-767* kontrolowały olbrzymi obszar. A co najgorsze, przeważnie współdziałały z myśliwcami eskorty wyposażonymi w doskonałe „oczy”. Za tymi oczami kryło się uzbrojenie wyposażone w elektroniczny mózg, a nie ma gorszej rzeczy niż „myśląca” rakietka.

— Jest już pierwszy japoński radar! — powiedział jeden z techników przy konsolce. W

rzeczywistości nie był to pierwszy. Dla celów ćwiczebnych załoga wykalibrowała sprzęt na wykrywanie rosyjskich radarów obrony przeciwlotniczej. Ale po raz pierwszy szesnastu członków załogi czterech bombowców miało się obawiać nie Rosjan i rosyjskich myśliwców, ale Japończyków. — Niska częstotliwość, naziemny, położenie ustalone!

Docierało do nich to, co technicy nazywali często „kłakami”. Rozpoznany radar znajdował się za horyzontem i zbyt daleko, aby wychwycić na pół „niewidzialny” samolot. Z

radarami było w tym wypadku tak, jak z kimś, kto trzyma latarkę, ale jest dostrzeżony znacznie wcześniej, niż sam może cokolwiek dostrzec w jej świetle. Specjalista od walki elektronicznej odnotował miejsce, częstotliwość, cykl pulsacji i zasięg. Potężny nadajnik radarowy spełniał w pewnym sensie tę samą rolę, jaką spełnia boja na morzu — ostrzegał niepożądanych intruzów.

Czynił to w imieniu swego właściciela. Na monitorze technika pojawił się, nałożony na elektroniczną mapę, kontur granic zasięgu radaru. Pilot widział to samo na swoim komputerze, i wiedział, gdzie nie powinien zabłądzić.

— Następny! — zawiadomił operator konsoli. — Ale silny sygnał! Ten jest w powietrzu.

Pewno jeden z ich nowych radarów. Leci z południa na północ, teraz bierze kurs dwa-zero-dwa.

— Zrozumiałem — odparł spokojnie pilot, wbijając wzrok w ciemne niebo. Chociaż samolot leciał na autopilocie, żywy pilot trzymał rękę w pobliżu drążka, gotów do skrętu, nurkowania lub wyrwania się do przodu na dopalaczach. Gdzieś po prawej znajdowały się myśliwce, najprawdopodobniej *F-15*, ale z pewnością trzymały się blisko samolotów wczesnego ostrzegania *E-767*.

— I następny! Jeden dziewięć pięć. Dopiero co się pokazał... Zupełnie inna częstotliwość oraz... chwileczkę... już dobrze, duża zmiana częstotliwości. Prawdopodobnie przeszedł na system pozahoryzontalny.

— Mógł nas podłapać? — spytał pilot, zerkając na monitor, który go informował o strefie

radarowego zagrożenia. Poza czerwoną strefą, której należało za wszelką cenę unikać, był obszar żółty. Piloci nazywali go obszarem „może tak, może nie”. Stąd dzieliło ich zaledwie kilka minut lotu do strefy czerwonej. Owo „może tak” było w tej chwili bardzo niepokojące. Znajdowali się przecież prawie cztery i pół tysiąca kilometrów od swojej bazy na Alasce.

— Nie wiem. Wszystko możliwe. Zalecam skręt w lewo — poradził przezornie technik.

Pilot poszedł za tą radą. Pięć stopni w lewo. Podczas tej misji lepiej unikać ryzyka. Polecono im tylko zbierać informacje. Przypominali hazardzistów, którzy, przed zajęciem miejsca przy stole i wyłożeniem żetonów, pilnie obserwują toczącą się grę.

— Chyba mam tam kogoś — powiedział jeden z operatorów na pokładzie *E-767*. —

Zero-jeden-pięć, kurs południowy. Trudno mi go utrzymać na ekranie.

Obracający się „talerz” na grzbiecie *E-767* był podobny do wszystkich innych na świecie, gdyż wszystkie były produkcji japońskiej. Teraz trzy z nich zabezpieczały podejście do Japonii od wschodu. Emitując do trzech milionów watów energii elektromagnetycznej były czterokrotnie potężniejsze niż to, co posiadali w powietrzu Amerykanie. Sekret ich skuteczności leżał nie tyle w mocy, co w systemie emisji. W zasadzie była to jedynie mniejsza wersja radaru *SPY*, w jakie wyposażone były niszczyciele klasy *Kongo*. Układ zawierał tysiące mikrodiód, które pracowały na zmiennych częstotliwościach. A raczej zmienianych w zależności od potrzeby. Na wielkie odległości najlepsze były stosunkowo niskie częstotliwości. Fale „owijały” się wówczas wokół

Ziemi, sięgając poza horyzont i obraz był nieco mętny. Technicy rozpoznawali sygnał dopiero po paru podejściach. System nie pozwalał na odróżnienie „śmieci” od obiektów będących rezultatem świadomych działań człowieka. W każdym razie nie we wszystkich wypadkach.;

— Jesteś pewien? — spytał kontroler przez interkom. Kontroler także miał włączony obraz i nic nie zauważył.

— Jest! — powiedział obserwator i ustawił kursor w miejscu, gdzie pojawił się, sygnał.

— Jest, jest! — powtórzył, zaznaczając drugi sygnał, który natychmiast jednak zniknął, by pojawić się po piętnastu sekundach. — Patrz! Leci na południe! Prędkość osiemset kilometrów na godzinę.

— Doskonale! — Kontroler włączył mikrofon i przekazał meldunek naziemnej stacji obrony przeciwlotniczej, że po raz pierwszy penetrowany jest japoński system obronny, zadziwiające było jedynie to, że dopiero teraz. Pomyślał sobie, że zacznie się interesująca zabawa. Ciekawe, jak rozwinie się sytuacja? W każdym razie zaczęło się.

— Nie ma więcej *E-767*? — spytał pilot.

— Nie ma. Tylko te dwa. Przez chwilę nawet myślałem, że mam jakieś klaki — odparł

technik. — Ale już zniknęły. — Nie musiał wyjaśniać, że przy tak wielkiej czułości instrumentów, odbierał również sygnały elektronicznych otwieraczy drzwi garażowych. W

chwilę potem wychwycił jeszcze jeden naziemny radar. Wszystkie samoloty patrolu skrzyżowały jeden po drugim, utrzymując ten sam szyk. Tym razem na zachód, ocierając się niemal o skraj obszaru dozorowanego przez oba *E-767*, które nadal utrzymywały południowo-zachodni kurs, mniej więcej na wysokości środka największej japońskiej wyspy, Honsiu. Były od niej oddalone o jakieś pięćset kilometrów. Drudzy piloci czterech amerykańskich samolotów obserwowali teraz wyłącznie kierunek zachodni, dowódcy natomiast patrzyli przed siebie, aby upewnić się, że nie leci tym szlakiem żaden rejsowy samolot. Wszyscy byli spięci, choć patrol przebiegał rutynowo.

Czuli się jednak tak, jak kierowca samochodu, który zabłąkał się w niezbyt przyjemną dzielnicę, gdzie z pewnością nie chciałby mieszkać. Wszystko jest dobrze, póki na skrzyżowaniach palą się zielone światła. Nieprzyjemne są tylko spojrzenia, jakimi przechodnie obrzucają wóz.

Załoga trzeciego japońskiego *E-767* była wściekła. Piloci towarzyszących myśliwców jeszcze bardziej. Nieprzyjaciel obmacywał ich linię brzegu, a chociaż robił to z odległości sześciuset kilometrów, nie miał do tego prawa, nie będąc sąsiadem. Pomyśleli sobie, że mają do czynienia z samolotem zwiadu elektronicznego *EC-135*, który zbiera dla swojego kraju dane potrzebne do opracowania planu operacyjnego. A jeśli misją amerykańskiego samolotu było zbieranie informacji, to należy mu to utrudnić. I oficerowie odpowiedzialni za dozór radarowy doszli do wniosku, że nic łatwiejszego, jak wyłączyć własną aparaturę.

Podejrzamy bliżej następnym razem, powiedział sobie dowódca. Przedtem eksperci od radiolokacji przeanalizują zapisy i ustalą, co jest, a co nie jest bezpieczne, a tym samym zadecydują o przyszłości swych kolegów należących do tego samego korpusu oficerskiego Sił

Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Miła myśl, że ktoś przyjmie odpowiedzialność. Załoga odprężyła się, ten i ów ziewnął, ktoś zaczął coś mówić, wymieniano uwagi głównie na temat odbywanej misji i tego, czego się dowiedziano. Jeszcze cztery i pół godziny lotu do bazy w Elmendorf, potem prysznic i obowiązkowy odpoczynek.

Japońscy kontrolerzy nadal nie byli całkowicie pewni, czy mieli rzeczywiście kontakt z nieprzyjacielem. To jednak wyjaśni analiza nagrań. Sygnały z eteru były teraz rutynowe, wszyscy powrócili do monitorowania korytarzy powietrznych, wymieniono kilka obserwacji i wyrażono zdziwienie, że loty rejsowe nadal się odbywają. Odpowiedzi na to pytanie nikt nie miał, podnoszono więc brwi i wzruszano ramionami. Piloci i technicy byli jeszcze bardziej zagubieni niż wówczas, gdy elektronicznie śledzili ewentualnego intruza. Coś dziwnego dzieje się przy obserwowaniu radarowego ekranu przez dłuższy czas. Wcześniej czy później zaczyna działać wyobraźnia i im więcej się myśli o tym, co się przedtem widziało, tym jest gorzej — wyobraźnia szaleje. Pocieszali się, że ci z tamtej strony chorują na to samo.

Prezesi europejskich banków centralnych są przyzwyczajeni do specjalnego traktowania.

Zawsze podróżują jako VIP-y. Tym razem przybyli na międzynarodowe lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku w obrębie jednej godziny. Każdego z nich powitał wysokiej rangi przedstawiciel misji dyplomatycznej danego kraju przy ONZ. Prezesów błyskawicznie przeprowadzono przez kontrolę paszportową i celną, i w limuzynach z numerami dyplomatycznymi, wyprawiono na Manhattan. Goście byli nieco zdziwieni miejscem, do którego ich zawieziono, ale prezes Banku Rezerw Federalnych zgrabnie wyjaśnił, że nowojorska siedziba FBI jest lepszym lokalem dla celów szybkiej koordynacji, dysponując wszystkimi możliwymi środkami łączności, niż siedziba nowojorskiego oddziału Banku Rezerw Federalnych. Chodziło ponadto o to, że w budynku FBI jest tak dużo miejsca, że bez trudu rozgościć się będą mogli także szefowie głównych domów maklerskich i instytucji inwestycyjnych. Ich pomoc jest również potrzebna w obecnym przedsięwzięciu i w tym też celu, w interesie narodowego bezpieczeństwa, zawieszono zostały przepisy antytrustowe. To ostatnie stwierdzenie bardzo rozbawiło gości europejskich. Pomyśleli sobie, że wreszcie Ameryka uznała, że finanse są również elementem problemu bezpieczeństwa narodowego, choć dojście do tego wniosku zabrało jej sporo czasu.

Po przedstawieniu ich zebraniem przez prowadzącego obrady sekretarza skarbu, George Winston i Mark Gant przystąpili do przedstawiania przebiegu wydarzeń tygodnia. Tym razem prezentacja była zapięta na ostatni guzik i uzupełniona wszystkimi szczegółami.

— Cholernie sprytnie! — podzielił się obserwacją prezes Banku Anglii z prezesem banku niemieckiego, który odpowiedział szeptem:

— *Jawohl!*

— Jak możemy się przed tym zabezpieczyć na przyszłość? — spytał ktoś głośno.

— Przede wszystkim trzeba usprawnić system rejestracji obrotów i przechowywania dokumentacji — odparł Fiedler, wyraźnie już wypoczęty po znacznie spokojniejszej nocy. — A poza tym...? Jeszcze musimy całą sprawę przeanalizować. Myślę, że w tej chwili bardziej nas interesują sposoby wyjścia z sytuacji. Trzeba je rozpatrzyć.

— Jen musi ponieść karę za to wszystko — wtrącił szybko francuski bankier. A my musimy wam pomóc podeprzeć dolara. W naszym własnym interesie, ochronić nasze waluty.

— Racja! — Prezes Banku Rezerw zaczął energicznie potakiwać głową. — Dziękuję ci, Jean-Jacques, że dostrzegasz problem w tym samym świetle, co my.

— A co zrobicie, żeby ocalić wasz rynek papierów wartościowych? — spytał prezes Handelsbanku.

— Mamy pomysł, który pozornie wydaje się szalony, ale jesteśmy niemal pewni jego sukcesu. — Sekretarz skarbu Fiedler zaczął wyjaśniać proponowane rozwiązanie, którego prezydent Durling nie ujawnił w swoim telewizyjnym wystąpieniu i którego powodzenie w dużym stopniu zależało od

współpracy banków europejskich. Goście zachowali się bardzo podobnie. Najpierw na ich twarzach pojawiło się absolutne zaskoczenie, a potem aprobata.

Na twarzy Fiedlera rozlał się uśmiech. — Czy mogę wobec tego zaproponować, abyśmy przystąpili do koordynowania naszych poczynań w najbliższy piątek?

Dziewiąta rano była uważana za nieprzyzwoicie wczesną godzinę na rozpoczynanie dyplomatycznych negocjacji. W tym konkretnym wypadku było to bardzo pomocne.

Przedstawiciele amerykańscy przybyli na Massachusetts Avenue, do ambasady japońskiej, w prywatnych samochodach, by nie zwracać na siebie uwagi.

W najdrobniejszych szczegółach przestrzegano sztywnej etykiety. W wielkiej sali konferencyjnej stał odpowiednio wielki stół. Amerykanie usiedli po jednej stronie, Japończycy po drugiej. Podano sobie ręce, ponieważ wszyscy obecni byli dyplomatami, a ci stosują ten nieodmienny rytuał bez względu na okoliczności. Były kawa i herbata, ale większość zadowolili się wodą mineralną w kryształowych szklankach. Ku wielkiemu niezadowoleniu Amerykanów, niektórzy japończycy palili. Scott Adler zastanawiał się, czy to nie jest przypadkiem chęć wytrącenia go z równowagi i dlatego w celu poprawienia atmosfery poprosił głównego doradcę japońskiego ambasadora o poczęstowanie go papierosem. Doradca natychmiast to uczynił.

— Dziękujemy za przyjęcie nas w waszej ambasadzie — zaczął Adler bardzo opanowanym głosem.

— Ponownie witamy w naszej ambasadzie — odparł ambasador japoński z przyjaznym, choć wyrażającym pewną podejrzliwość spojrzeniem.

— Zaczynamy? — spytał bez ogródek Adler.

— Prosimy. — Ambasador rozparł się w fotelu, przyjmując postawę wyrażającą pełne zrelaksowanie, a jednocześnie obwieszczające, iż ma zamiar grzecznie wysłuchać mającej nastąpić deklaracji.

— Stany Zjednoczone są głęboko zaniepokojone rozwojem sytuacji na Zachodnim Pacyfiku — zaczął Adler. Słowa „głęboko zaniepokojone” miały doskonale brzmienie. Ilekroć jakieś państwo jest „głęboko zaniepokojone” oznacza to, że rozpatruje możliwość podjęcia akcji zbrojnej. — Jak panowie dobrze wiecie, mieszkańcy Wysp Mariańskich są obywatelami amerykańskimi i obywatelstwo to otrzymali na własne życzenie, dobrowolnie wyrażone podczas wyborów przed blisko dwudziestu laty. Z tego też powodu Stany Zjednoczone w żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach nie pozwolą na japońską okupację tych wysp. Dlatego też doma... Stanowczo żądamy — poprawił się Adler — natychmiastowego opuszczenia tych wysp i oddania ich w jurysdykcję Stanów Zjednoczonych. Żądamy także natychmiastowego bezwarunkowego opuszczenia wymienionych obszarów przez japońskie siły zbrojne.

Równocześnie domagamy się uwolnienia wszystkich obywateli amerykańskich, jacy mogą znajdować

się w rękach władz lub być wbrew swej woli przetrzymywani przez japoński rząd.

Niespełnienie tych żądań może spowodować niesłychanie poważne konsekwencje.

Wszyscy obecni uznali, że wystąpienie Adlera, określające wyjściowe stanowisko amerykańskie, jest jednoznaczne. Może tylko nieco zbyt forsujące poszczególne akcenty, pomyśleli nawet ci japońscy dyplomaci, którzy uważali działanie swojego rządu za szaleństwo.

— Wyrażam osobiste ubolewanie z powodu tonu pańskiego wystąpienia-oświadczył ambasador. Jego słowa można było uznać za dyplomatyczny policzek wymierzony Adlerowi. —

Jesteśmy w pełni gotowi wysłuchać waszego stanowiska w istotnych sprawach i rozważyć jego słuszność, czy jej brak, w konfrontacji z naszymi założeniami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego. — W języku dyplomatycznym oznaczało to, że Adler powinien powtórzyć to, co już przed chwilą powiedział, uzupełniając jedynie brakujące miejsca. Było to w istocie rzeczy żądanie złożenia kolejnego oświadczenia, które by zawierało jakieś ustępstwo, za co ewentualnie otrzyma ustępstwo ze strony rządu japońskiego. Wszystko to było bardzo zawoalowane.

— Być może nie wyraziłem się dość jasno — odparł Adler po upiciu łyka wody. — Wasz kraj dopuścił się aktu agresji przeciwko Stanom Zjednoczonym Ameryki. Konsekwencje takiego czynu są bardzo poważne. Dajemy szansę waszemu krajowi na wycofanie się z niefortunnej sytuacji bez dalszego rozlewu krwi.

Członkowie delegacji amerykańskiej wymieniali spojrzenia i każdy myślał: Twardziel Adler! Członkowie delegacji jeszcze nie mieli właściwie dość czasu, aby wszystko przemyśleć i znaleźć jakieś zaczepienie, z którym mogliby wystąpić, Adler zaś posunął się dalej, niż tego oczekiwali.

— Po raz wtóry wyrażam ubolewanie z powodu przyjętego przez pana tonu — zabrał

głos ambasador Japonii. — Jak pan dobrze wie, mój kraj jest głęboko zainteresowany swym bezpieczeństwem narodowym. A tymczasem stał się ofiarą niefortunnego aktu legislacyjnego, którego jedyną konsekwencją będzie poważne zaszkodzenie naszej gospodarce. Akt ten zagraża ekonomicznemu i fizycznemu bezpieczeństwu Japonii. Artykuł pięćdziesiąty pierwszy Karty Narodów Zjednoczonych wyraźnie uznaje prawo każdego niepodległego państwa do podejmowania działań obronnych. I tylko to uczyniliśmy — Było to zręczne odbicie piłeczki, zauważyli Amerykanie, natomiast powtórna aluzja do tonu wystąpienia Adlera sugerowała wyraźnie możliwość jakiegoś manewru.

Te wstępne rozmowy trwały przez półtorej godziny. Żadna ze stron nie ustąpiła nawet na jotę, powtarzając prawie te same słowa, może tylko w nieco zmienionym szyku. Nadszedł czas na przerwę. Ludzie z ochrony otworzyli podwójne oszklone drzwi do eleganckiego ogrodu ambasady, wszyscy więc wyszli, pozornie, by zaczerpnąć świeżego powietrza, ale w rzeczywistości do dalszej

poważnej pracy. Ogród wydawał się zbyt wielki, by na całym jego obszarze można było założyć podłuch, poza tym dyskrecji sprzyjał powiew wiatru poruszający głośno liśćmi drzew.

— No i rozpoczęliśmy rozmowy, Chris — powiedział Seidzi Nagumo popijając kawę.

Wybrał kawę, aby zademonstrować, gdzie leżą jego sympatie — po stronie amerykańskiej. Z tego samego powodu Christopher Cook wybrał herbatę.

— Co on miał właściwie innego powiedzieć? — spytał zastępca dyrektora departamentu.

— Jego pozycja wyjściowa nie jest wcale zaskakująca — zgodził się Nagumo.

Cook odwrócił głowę patrząc na mur okalający ogród.. Cicho zapytał:

— Co oddacie?

— Guam. Na pewno. Ale pod warunkiem jego demilitaryzacji — odparł Nagumo równie cichym głosem. — A wy?

— Dotychczas nic.

— Musisz mi coś teraz dać, Chris. Coś w co mógłbym wbić zęby.

— Nie mam nic do zaoferowania, może z wyjątkiem zaprzestania wrogich działań, nim się jeszcze zaczną.

— A kiedy miałyby się zacząć?

— Dzięki Bogu, jeszcze nie od razu. Musimy mieć czas na przygotowania.

Wykorzystajmy dobrze ten czas, Seidzi!

— Przekażę to. Dziękuję — Nagumo odszedł powolnym krokiem w stronę członków japońskiej delegacji. Cook uczynił to samo, idąc ku Amerykanom. Po trzech minutach zakończył

wędrówkę u boku Adlera.

— Guam. Zdemilitaryzowany. To na pewno. A może i coś więcej. Ale jeszcze nic konkretnego.

— Bardzo interesujące — odparł Adler. — A więc miałeś rację, Chris, mówiąc, że pozwolą nam ocalić twarz. Dobra analiza.

— A co my im ofiarujemy? — spytał Cook.

Adler spojrzał zimno — Wielką figę — odparł. Myślał teraz o ojcu z wypalonym numerem na

przedramieniu, wiszącym głową w dół, dzięki czemu mógł się dowiedzieć, że dziewiątka to jest tylko odwrócona szóstka. A wolność odebrało mu państwo sprzymierzone niegdyś z właścicielem tej ambasady i pięknego, choć nieprzytulnego ogrodu. Profesjonalizm zakazuje poddawania się uczuciom, Adler o tym wiedział. Poza tym w tamtych latach Japonia udzieliła bezpiecznego schronienia garstce żydowskich szczęśliwców z Europy. Właśnie jeden z nich został członkiem gabinetu podczas prezydentury Jimmy'ego Cartera. Może gdyby jego ojciec był jednym z owych szczęśliwców, miałby teraz inny stosunek do rozmówców po drugiej stronie stołu. Ale nie był. I dlatego stosunek Adlera też nie był zabarwiony chęcią ugody. — Na początek przyprzemy ich mocno do muru i zobaczymy, co z tego wyjdzie — zakończył rozmowę z Cookiem, który odparł:

— To podejście wydaje mi się błędne.

— Być może. Ale pierwszy błąd popełnili oni.

Wojskowym absolutnie nic nie odpowiadało. Bardzo to rozzłościło cywilów. A przecież zrobili wszystko pięć razy szybciej, raz uczyniliby to ci pustogłowi w mundurach, nie mówiąc już o tym, że wykonali to w tajemnicy i znacznie taniej.

— Czy nie przyszło wam do głowy lepiej to zamaskować? — krzyczał japoński generał.

— A któżby mógł to tutaj znaleźć? — odparł starszy inżynier.

— Mają na orbicie kamery, które potrafią wyłapać paczkę papierosów leżącą na ziemi.

— Ale mają do oblecienia cały kraj, nie mówiąc już o kuli ziemskiej — Inżynier wzruszył

ramionami. — Znajdujemy się na dnie doliny, której zbocza są tak strome, że żaden pocisk balistyczny nigdy by tu nie trafił, nie ocierając się o szczyty. — Wskazał ręką na góry. — A poza tym nie mają żadnych pocisków balistycznych, które nadawałyby się do tego. Sami z nich zrezygnowali.

Generał otrzymał polecenie okazywania dużej cierpliwości w kontaktach z cywilnymi technikami. Poza tym już sobie ulżył wstępnym wybuchem gniewu. Obejmował teraz dowództwo. Silos i rakieta były jego. — Pierwszą zasadą jest pozbawienie nieprzyjaciela możliwości dotarcia do informacji.

— Mamy to więc zamaskować? — zapytał grzecznie inżynier.

— Tak!

— Siatka maskująca na połączonych łańcuchami wieżycach? — Już to stosowali w czasie wylewania betonu.

— Jeśli pan je ma, to będą dobre na początek — odparł generał. — Później zastanowimy się nad trwalszymi środkami.

— Pociągiem... — mruknął przedstawiciel towarzystwa kolejowego AMTRAK, gdy już

wprowadzono go w temat. — Kiedy zaczynałem pracować na kolei, a byłem wtedy zatrudniony przez Kompanię Północną, kilkakrotnie zwracały się do nas Siły Powietrzne, żebyśmy im koleją przewozili rakiety. A potem woziliśmy im cement na silosy.

— Więc problem nie jest panu obcy? — spytała Betsy Fleming.

— O nie! Czy mogę teraz obejrzeć zdjęcia? — To cholerne instruowanie trwało parę godzin i było pełne zbędnych gróźb, co się stanie, jeśli coś komuś powie. Potem go odesłano do hotelu, żeby sobie podumał nad druczkami do wypełnienia i podpisania, a FBI miało czas na sprawdzenie jego rzetelności. Był pewien, że zrobili to starannie.

Chris Scott włączył projektor. Już zrobił jedną analizę wraz z Betsy, ale warto było poprosić kogoś z zewnątrz, kogoś obeznanego z problemami kolei, aby dołączył swoją opinię.

Może wniesie coś nowego? Pierwsza klatka pokazywała sam pocisk balistyczny. Chodziło o to, aby przedstawiciel AMTRAK-u zorientował się w wielkości przedmiotu. Następnie pokazano mu platformę.

— Jasne. To jest platforma do przewozu ciężkich ładunków. Może jest trochę dłuższa od standardowych. Raczej została zbudowana na specjalne zamówienie. Konstrukcja stalowa.

Japończycy są w tym dobrzy. Inżynieryjna robota cacy. I dźwig. Ile taki pocisk waży?

— Sam pocisk balistyczny około stu ton. Do tego kontener około dwudziestu ton —

wyjaśniła Betsy.

— To dużo jak na jeden przedmiot, ale z tym można sobie poradzić pod warunkiem, że jest to w granicach udźwigu platformy i że wytrzymają tory, ich podłoże.

— Cywilny ekspert przez chwilę się zastanawiał. — Nie widzę tu żadnych elektronicznych łącz. Zwykle linki hamulcowe, wąż na pneumatyk. Czy państwo sądzą, że oni będą chcieli korzystać z tej platformy jako wyrzutni?

— Chyba nie. A czy to byłoby możliwe? — spytał Chris.

— Powiem panu to samo, co powiedziałem tym z Sił Powietrznych przed dwudziestu laty, kiedy chodziło o te ich rakiety MX. Przewozić to je można tam i z powrotem, ale łatwo je będzie wyłuskać, chyba że wyprodukuje się całą masę takich platform, identycznych, które by myliły. Ale nawet wówczas łatwo je dopaść. Weźmy na przykład nasze główne linie, jakie miała Kompania Północna. Ich tory już wówczas stanowiły doskonały cel. Długa cienka linia. A wie pan co? Nasza główna linia z Minneapolis do Seattle była dłuższa niż wszystkie standardowej szerokości tory w Japonii.

— Naprawdę? — zdziwiła się Betsy.

— A więc moim zdaniem z platformy jako podstawy wyrzutni oni nie będą korzystać.

Jest to po prostu platforma do transportu pocisku. Chyba nie potrzebowaliście mnie, żebym wam to powiedział. Sami dobrze wiecie.

Tak, wiemy, ale jakże przyjemnie jest otrzymać potwierdzenie z innych ust, pomyślała Betsy.

— Coś jeszcze może nam pan powiedzieć?

— Ci z Sił Powietrznych zawsze mi powtarzali, że te cholerne pociski są takie delikatne i że bardzo nie lubią, jak się nimi potrząsa. Przy normalnej prędkości pociągów towarowych trzeba założyć maksymalne przeciążenie trzy g w poziomie i półtora wertykalnie. To nie wychodzi na dobre takiemu potworkowi. Teraz wymiary. Ta platforma ma jakieś trzydzieści metrów długości.

Platforma standardowa nie przekracza dwudziestu. Mówię o ich kolejach. Oni mają przeważnie wąskotorowe koleje. Wiecie państwo, dlaczego?

— Sądziłem, że po prostu takie wybrali...

— Chodzi o teren, teren! Wąskie tory pozwalają wepchnąć się w wąskie przesmyki, brać ostrzejsze zakręty i w ogóle dokonywać różnych cudów, ale na małą skalę. Zdecydowali się na kolej szerokotorową standardową specjalnie dla linii Szin-Kansen. Większe szybkości wymagają szerszych torów. To również zapewnia większą stabilność. Natomiast długość tej platformy oznacza jedno: że jeśli zakręt jest zbyt ostry, to platforma wysunie się na sąsiedni tor i powstanie ryzyko poważnej katastrofy, chyba że zamknie się ruch na drugim torze za każdym razem, kiedy się takie лихо wiezie. I dlatego też sądzę, że nie powieźli żadnej rakiety linią, po której jeździ pociąg Szin-Kansen. Jestem tego prawie pewien. No i teraz mamy problem samego ładunku. Tu już komplikacje się spiętrzają.

— Pilnie słuchamy — powiedziała Betsy.

— Ponieważ pociski balistyczne są takie delikatne, to trzeba bardzo ograniczyć szybkość jazdy pociągu. A to zawsze wprowadza na kolei chaos. Do kosza idą wszystkie rozkłady, opóźniane są dostawy. Myśmy z wielką niechęcią przyjmowali propozycje panów z Sił

Powietrznych. Owszem, pieniądze były dobre, ale na dłuższą metę przyniosłoby to nam straty.

Wydaje mi się, że te same problemy mogą mieć i oni. A może nawet gorsze. Szin-Kansen to linia dla pasażerskich pociągów o dużej szybkości. A oni mają prawie bzika na temat punktualności.

To coś nieprawdopodobnego, jak dbają o utrzymanie rozkładu jazdy. Nie bardzo by im odpowiadało wpuścić powolny pociąg z taką platformą. — Zamilkł, a potem powiedział: —

Moim zdaniem użyli tej platformy, żeby rakiety przewieźć inną trasą. I założę się, że robili to w nocy. Na waszym miejscu szukałbym tych platform, stojących sobie już bez ładunku na jakiejś bocznicy. I

zaczęlbym szukać standardowych torów, które prowadzą do nikąd.

Scott przesunął klatkę. — Zna pan dobrze ich koleje?

— Owszem, dość często u nich bywałem. Dlatego mnie przecież tu do was przysłano.

— No to, co pan o tym sądzi? — Scott wskazał na ekran.

— To jest jakiś cholerny radar — powiedział technik.

Wyposażoną w odpowiedni sprzęt przyczepę przysłano samolotem do Elmendorf, aby wspomóc misję bombowców *B-1*. Załogi całej czwórki spały, a dwaj eksperci radarowi — oficer i podoficer — przegrywali taśmy przywiezione z patrolu.

— Latający radar, układ fazowy, prawda? — spytał major.

— Tak to wygląda. W każdym razie to nie jest model *SPY-1*, który im sprzedaliśmy przed dziesięć laty. Ten to ma ponad dwa miliony watów. No i te zmiany natężenia. Wie pan, co oni tutaj mają? Talerz obrotowy z układem wirującym. Pojedynczym. Fajnie się obraca. Ale mogą również prowadzić elektronicznie — dodał sierżant.

— Prześledzić cały obszar i potem wyszukiwać, wyłuskiwać i prowadzić jak na smyczy?

— mruknął major pytającym tonem.

— Aha! Przy takich możliwościach zmiany częstotliwości... Cholera, że my takiego nie mamy. — Sierżant wziął do ręki fotografię samolotu. — Będziemy mieli z tym problem, panie majorze. Dysponując taką mocą... Podejrzewam, że mogli naszego musnąć. Tak, wydaje mi się, że szli za naszymi.

— Z takiej odległości? — *B-1* nie był ściśle rzecz biorąc samolotem pochłaniającym wiązki radarowe, ale od nosa ku ogonowi dawał bardzo skąpe odbicia radarowe. Na trawersie było już znacznie gorzej, chociaż nie tak źle, jak przy konwencjonalnych samolotach o tym samym gabarycie.

— Muszę się jeszcze trochę pobawić tymi taśmami, sir.

— Czego chcesz szukać? A raczej, co chcesz znaleźć?

— Najprawdopodobniej dysk obraca się z prędkością jakichś sześciu razy na minutę. Ten sam odstęp w czasie powinny mieć zarejestrowane impulsy. Jeśli będzie inaczej, to znaczy, że celowali w nas.

— Dobre myślenie, sierżancie. Przegrywaj to sobie, ile razy chcesz.

Wszyscy na parkiet

Yamata był właściwie zły z powrotu do Tokio. Podczas trzydziestu lat prowadzenia interesów stosował zasadę zastrzegania dla siebie tylko ogólnego kierownictwa i nadzoru, pozwalając zespołom podwładnych wypracowywać wszystkie szczegóły, podczas gdy on sam w tym czasie zajmował się problemami strategicznymi przedsięwzięcia. A w tym konkretnym przypadku spodziewał się raczej mniejszej liczby komplikacji niż zwykle, po raz pierwszy bowiem jego sztab operacyjny składał się z dwudziestu poważnych *zaibatsu*. Oczywiście oni wcale nie uważali się za członków jego sztabu i podwładnych. Yamata uśmiechnął się pod nosem, gdyż w istocie myśl była zabawna: skłonienie całego rządu do tańczenia w takt jego muzyki okazało się dziecinną grą. Oczywiście ściągnięcie ich wszystkich na parkiet wymagało lat schlebiania i przymilania się. Ale teraz robili wreszcie to, co on chciał. I jedynie od czasu do czasu potrzebny był dyrygent z pałeczką, aby im przypomnieć, jak mają tańczyć. Dlatego właśnie tu przyleciał prawie pustym samolotem. Niektórzy zaczęli okazywać nadmierną nerwowość.

— To wykluczone — oświadczył.

— Ale on powiedział...

— Drogi Koto, prezydent Durling może sobie mówić, co mu się żywnie podoba. Ja panu natomiast mówię, że odtworzenie dokumentacji przed upływem wielu tygodni jest absolutnie niemożliwe. Jeśli będą próbowali wznowić dziś operacje giełdowe, to doprowadzą do jeszcze większego chaosu. A chaos — uprzytomnił im — pracuje w tym przypadku na naszą korzyść.

— A Europejczycy? — spytał Tanzan Itagake.

— Kiedy się obudzą pod koniec przyszłego tygodnia, to stwierdzą, że wykupiliśmy ich kontynent. Za pięć lat Ameryka będzie naszym sklepem spożywczym, a Europa magazynem luksusowej odzieży. A jen będzie najsilniejszą walutą świata. Do tego czasu całkowicie zintegrujemy naszą gospodarkę z gospodarką europejską i Europa stanie się naszym kontynentalnym sojusznikiem. Z Europą będziemy całkowicie samowystarczalni. Zniknie też problem przeludnienia i nasze kobiety nie będą musiały poddawać się aborcji. Otworzą się nowe tereny do zasiedlenia. A poza tym: będziemy mieli kierownictwo polityczne godne nowego statusu państwa. Ale to już następny krok, drodzy przyjaciele.

Czyżby? Biniczi Murakami siedział z kamienną twarzą, głęboko zamyślony. Znalazł się w tym towarzystwie właściwie dlatego, że któregoś dnia zelżył go jakiś pijak na waszyngtońskiej ulicy. Jakże to możliwe, by człowiek tak inteligentny dał się do tego stopnia ponieść chwilowemu gniewowi? Tak się jednak stało i teraz nie było odwrotu. Musiał tu tkwić wraz z innymi. Murakami małutkimi łyżkami popijał sake i siedział cicho, jednym uchem wysłuchując poetyckich zachwyty Yamaty-sana na temat świetlanej przyszłości Japonii. W istocie rzeczy Yamata mówił o własnej

przyszłości. Murakami zastanawiał się, czy ci ludzie, siedzący wokół

stołu, zdają sobie z tego sprawę? Głupcy! Nie powinien się z nich śmiać. Przecież był jednym z nich.

Major Borys Szczerienko miał co najmniej jedenastu wysoko umiejscowionych agentów w łonie japońskich władz, a właściwie w samym łonie rządu. Jednym z nich był zastępca szefa tajnej policji, którego Szczerienko udało się przed kilku laty skompromitować, gdy dostojnik ów udał się na Tajwan w celu zakosztowania uciech seksualnych i podniety przy stołach gry w kasynach. W nim też Szczerienko pokładał największą nadzieję, gdyż było prawdopodobne, iż osobnik ten któregoś dnia stanie się pełną gębą szefem całej instytucji i wówczas będzie można dzięki niemu nie tylko monitorować, ale i wpływać na wszystkie poczynania kontrwywiadowcze w kraju. Jednakże oficera wywiadu bardzo niepokoił fakt, że do chwili obecnej żaden z jego agentów nie przyniósł mu ważniejszych informacji dotyczących wydarzeń ostatnich dni.

Powstał też problem współpracy z Amerykanami. Szczerienko czuł się troszkę tak, jak musiałby się czuć przewodniczący delegacji wysłanej na powitanie dyplomatów przybywających z Marsa. Co prawda depeze z Moskwy wyjaśniały nieco sytuację i pomagały przełknąć amerykańską pigułkę. Podobno Japończycy wspólnie z Chińczykami zamierzali obrabować Rosję z jej najcenniejszych bogactw naturalnych, aby na tej bazie przekształcić Japonię w największe mocarstwo świata. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Szczerienko wcale nie uważał, że jest to zamierzenie szaleńcze. Poznał już ten kraj. Po tych wyjaśnieniach Moskwy przyszły konkretne zadania dla rezydentury.

Dwadzieścia rakiet do przenoszenia samosterujących głowic! Tym się dotychczas w ogóle nie zajmował. Przecież to właśnie Moskwa sprzedała Japonii plany rakiety nośnej *SS-19*!

Chyba nie zapomnieli tam w Centrali, że każda z rakiet może zabrać w drogę głowice nuklearne?

Wiedzieli chyba, że Japończycy do tego właśnie mogą użyć rakiet? Na pewno wiedzieli. Nie, wcale o tym nie pomyśleli! Szczerienko doszedł do wniosku, że musi sobie spokojnie usiąść z tym facetem Clarkiem, człowiekiem doświadczonego, i po paru wódkach zapytać bardzo dyskretnie, czy amerykańskie dyrektywy, jakie Clark otrzymuje, są równie trudno zrozumiałe, jak dyrektywy moskiewskie. Do tego przedziwne. Może Amerykanin powie coś pożytecznego.

Ostatecznie zmiana rządów co cztery lub co osiem lat, jak to się dzieje w Ameryce, mogła Clarka przyzwycząić do poważnych wahnięć.

Dwadzieścia rakiet, pomyślał, po sześć, a może i siedem, głowic każda. Niegdyś było rzeczą jak najbardziej naturalną myśleć o rakietach jako o obiektach latających lub mogących latać tysiącami w razie nagłej potrzeby i obie strony były na tyle szalone, że akceptowały to jako strategiczny fakt. Ale teraz groźba użycia zaledwie dwudziestu rakiet wywoływała panikę. W

kogo miałyby być one wycelowane? I czy Amerykanie w istocie wesprą swoich nowych...

Przyjaciół? Sojuszników? Wspólników? Czy też oba państwa nadal pozostawały jedynie byłymi wrogami, których nowy status i wzajemne stosunki nie zostały jeszcze określone przez Waszyngton? Czy Waszyngton zdecyduje się pomóc jego krajowi w obliczu nowego-starego niebezpieczeństwa? Stale też powracała mu do głowy natrętna myśl: dwadzieścia rakiet po sześć głowic nuklearnych każda! Cele będą sprawiedliwie i rzetelnie wybrane. Wystarczy, aby zniszczyć Rosję. Unicestwić! A jeśli to wszystko prawda, to owa prawda może powstrzymać Amerykę od udzielenia pomocy.

No cóż, Moskwa ma rację, doszedł do ostatecznego wniosku Szczerienko. Pełna współpraca z Amerykanami jest jedynym wyjściem, jeśli chce się uniknąć najgorszego.

Amerykanie chcą znać miejsca, gdzie mogą znajdować się wyrzutnie. Prawdopodobnie mają zamiar je zniszczyć. A jeśli nie oni to zrobią, to my.

Major osobiście prowadził trzech agentów. Jego podwładni byli kontrolerami pozostałych. Pod nadzorem Szczerienki przygotowano teraz kwestionariusze z pytaniami, a następnie miano je roznieść po całym mieście do martwych skrzynek. „Co pan wie o...?” Ilu odpowie? Największe niebezpieczeństwo leżało w tym, iż któremuś i. nich może nagle przyjść do głowy donieść władzom o treści pytań. To, że nic nie będą wiedzieli, można ostatecznie przeboleć. Zadając jednak tak kapitalne pytania Szczerienko ryzykował, że któryś z jego agentów dojdzie do wniosku, iż ciężar gatunkowy sprawy jest tak wielki, że nadeszła oto okazja odkupienia własnych win. Jednakże w tej pracy trzeba zawsze ryzykować, pomyślał. Po północy wybrał się na przejażdżkę samochodem. Jechał ulicami o dużym natężeniu ruchu, aby dotrzeć do miejsc, w których miał zostawić dyspozycje dla agentów. Nie zapomniał o zostawianiu znaków mających zwrócić uwagę agentów, że czeka na nich wiadomość. Miał nadzieję, iż co najmniej połowa kontrolowanych przez niego agentów tajnej policji jest tej nocy na służbie. Miał nadzieję i omalże pewność, ale nigdy nie wiadomo...

Kimura wiedział, że ryzykuje, ale już dawno przestał się tym martwić. Rozbudzał tylko w sobie nadzieję, że postępuje patriotycznie i że ludzie to rozumieją, i oddadzą mu należną część po wykonaniu na nim wyroku kary śmierci za zdradę. Dodatkowym pocieszeniem było przekonanie, że nie przyjdzie mu umierać samemu.

— Mogę zorganizować spotkanie z byłym premierem Kogą — powiedział.

O cholera! Jestem zwykłym szpiegiem, a nie przedstawicielem cholernego Departamentu Stanu! Clark gorączkowo myślał, gdyż ta propozycja wprawiła go w zakłopotanie. Gdyby mógł

wyjawić Kimurze prawdę! Pocieszające było to, że Chavez nie mrugnął nawet okiem. Ale serce mu na pewno na chwilę stanęło. Tak samo zresztą jak i mnie, uświadomił sobie Clark.

— W jakim celu? — spytał Kimury.

— Sytuacja jest bardzo poważna, prawda? Koga-san nie uczestniczy w tym. Ale jest nadal politykiem o dużych wpływach. Jego poglądy powinny zainteresować pański rząd.

Mój rząd z pewnością! Z drugiej strony Koga był politykiem poza kręgiem władzy. Kto wie, czy nie zechciałby poświęcić paru cudzoziemców w celu otworzenia sobie drzwi do środowisk rządowych lub do samego rządu. Z drugiej strony mógł być człowiekiem, który wyżej stawia dobro kraju od osobistych korzyści, co też nie rozwiązywało sprawy, póki nie było jasne, co dla Kogi jest dobrem kraju.

— Zanim powiem tak, muszę otrzymać instrukcję od mojego rządu — odparł więc John.

Bardzo rzadko zwlekał w podobnych sytuacjach, ale tak naprawdę to w podobnej sytuacji jeszcze nigdy się nie znalazł.

— Proponuję więc, aby pan o nią poprosił, i to szybko. — Powiedziawszy to Kimura pożegnał się i odszedł.

— Zawsze zadawałem sobie pytanie, czy mój dyplom z dziedziny stosunków międzynarodowych kiedykolwiek mi się przyda — odezwał się Chavez, patrząc tępo w miseczkę sake. — Muszę oczywiście jeszcze trochę pożyć, żeby się tego dowiedzieć. — Jakby to było dobrze móc się ożenić, osiąść gdzieś na stałe, mieć dzieci, może nawet któregoś dnia zacząć prowadzić normalne życie. Ale tymi myślami nie podzielił się z Klierkiem.

— Miło mi słyszeć, że jeszcze macie poczucie humoru, Jewgieniju Pawłowiczu.

— Wiecie, że oni nam odpowiedzą, żeby się z nim spotkać?

— *Da, da!*- John zaczął myśleć tak, jak mu się wydawało, że w podobnej sytuacji będzie myślał Rosjanin. Ciekawe, czy instrukcje KGB przewidywały coś podobnego? Bo instrukcje CIA z pewnością nie.

Jak zwykle okazało się, że taśmy z nagraniami zawierały więcej, niż pierwsza analiza pozwalała dostrzec. Trzy albo cztery — raczej cztery, orzekli specjaliści wywiadu lotniczego, znający amerykańskie obyczaje operacyjne — samoloty usiłowały spenetrować japoński system obrony przeciwlotniczej. W każdym razie nie były to *EC-135*. *EC* oparte są na konstrukcji sprzed blisko pięćdziesięciu lat i tak naszpikowane antenami, że mogą wyłapywać wszystkie częstotliwości telewizyjne na całej półkuli. Odbicie radarowe byłoby znacznie wyraźniejsze.

Poza tym Amerykanie już chyba nie mieli aż czterech takich maszyn. Wynikało z tej analizy, że wysłali inne samoloty. Być może swoje *B-1B*, wnioskowali specjaliści. Tak, *B-1B* był

bombowcem, którego przeznaczenie jest bardziej złowrogie, niż nagrywanie wiązek elektronicznych sygnałów w eterze. Wynikało więc z tego, że Amerykanie uważają Japonię za nieprzyjaciela, którego system obronny trzeba spenetrować, aby w następnej rundzie przywieźć śmiertcionośny ładunek. Nowy dla obu stron akcent tej wojny! Jeśli mamy do czynienia z rzeczywistą wojną, a nie tylko wojną nerwów, uspakajali niektórzy, mniej rozgorączkowani.

Jednakże większość analityków wywiadu była zdania, że to były bombowce, i że cel ich jest taki, a

nie inny. Zgodnie z tymi wnioskami wydano specjalne instrukcje nocnym patrolom lotniczym.

Na wysoki pułap wysłano trzy *E-767*, wszystkie operacyjne. Dwa miały radary włączone, trzeci się zaczął. I czekał. Tym razem pracowano na pełnej mocy i tak ustawiono parametry urządzeń rejestrujących, by łatwiej było wychwycić nadlatujących z oddali intruzów. Opierano się na prawach fizyki. Wielkość anteny plus siła sygnału oraz odpowiednia częstotliwość umożliwiały wychwycenie z eteru prawie wszystkiego. To jednocześnie dobrze i źle, wiedzieli operatorzy i technicy. Odbierano bowiem dosłownie wszystkie sygnały, zarówno emitowane przez naturę jak i człowieka oraz narzędzia jego działań. Kiedy operatorom wydawało się, że łapią jakiś słabutki sygnał przesuwany się gdzieś bardzo daleko na skraju obszaru elektronicznego nasłuchu, dowództwo patrolu kierowało tam natychmiast myśliwce. Ale nigdy nie zbliżały się one do domniemanego nieprzyjacielskiego obiektu bliżej, niż na sto pięćdziesiąt kilometrów. Odbierane sygnały zawsze zamierały, kiedy na *E-767* zmieniano częstotliwość z fal długich na krótkofalowe wiązki, a to nie pozwalało na wykorzystanie pasma Q potrzebnego do naprowadzania na cel. Dowodziło to również, że Amerykanie jedynie macają i że zdają sobie sprawę z tego, że zostali dostrzeżeni. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: co za wspaniałe szkolenie dla załóg myśliwców, myśleli wszyscy. Jednakże jeśli to jest naprawdę wojna, to zaczyna ona nabierać coraz wyraźniejszych kształtów. I tu też panowała jednomyślność.

— To niemożliwe — powiedział pułkownik.

— Kiedy naprawdę wygląda na to, że pana namierzali. Omiatali pana znacznie częściej, niż tłumaczyłaby to szybkość rotacji dysku. Ich radar to czysta elektronika. Oni potrafią sterować wiązkami i właśnie nimi sterowali. — Sierżant tłumaczył spokojnie i z szacunkiem dla oficera, chociaż oficer, który dokonał pierwszego namiaru, był zbyt zadufany w sobie i mało chętny do wysłuchiwania opinii innych. Nie dotarło do niego wiele z tego, co usłyszał, i teraz tylko wzruszył ramionami.

— Dobrze, już dobrze. Może i parę razy trafili. Może dlatego, że ustaliliśmy się akurat bokiem. Następnym razem podejdziemy frontalnie w bardziej rozwiniętym szyku. To poważnie zmniejszy poszczególne pola namiarowe. Musimy skubnąć, żeby poznać ich reakcję.

Wolę być tutaj, niż tam z panem, pomyślał sierżant i wyjrzał przez okno. Alaskańska baza Sił Powietrznych w Elmendorf znajdowała się w objęciach paskudnej zimy, a zima to największy wróg zbudowanego przez człowieka sprzętu. W efekcie wszystkie *B-1* poukrywane były w hangarach. Tak na wszelki wypadek, gdyby Japończykom przyszła ochota podglądać je z kamer satelitarnych. Może to robią, a może nie. Tego nikt nie wiedział.

— Panie pułkowniku, jestem tylko sierżantem, który traci wzrok siedząc nad monitorami.

Ale na pańskim miejscu zachowałbym wielką ostrożność. Nie znam tak dobrze ich radaru, abym mógł panu na pewno powiedzieć, czy on jest rzeczywiście taki dobry. Ale instynkt mi mówi, że jest. Po

prostu doskonały.

— Będziemy ostrożni — obiecał pułkownik. — A jutro wieczorem będę miał dla was lepsze nagrania.

— Tak jest, panie pułkowniku. — Wolę być tu niż tam, raz jeszcze pomyślał sierżant.

USS „Pasadena” dołączył do północnego końca linii patrolowej na zachód od Midway.

Okręty podwodne miały możliwość składania meldunków za pośrednictwem łączności satelitarnej, nie ujawniając swego położenia nikomu oprócz sztabu operacyjnego okrętów podwodnych Flory Pacyfiku.

— Niezbyt okazała linia patrolowa — skomentował Jones, patrząc na mapę. Wpadł tutaj, aby porozmawiać na temat informacji zebranych przez stację hydrofonową o ruchu japońskich okrętów. Chwilowo było tego niewiele. Najlepszą informacją był fakt, że aparatura hydrofonowa, choć wyposażona w najnowszy program Jonesa do wychwytywania podwodnych sygnałów, nie zarejestrowała ani jednego impulsu z okrętów linii patrolowej — z „Heleny”, „Honolulu”, „Chicago” oraz z samej „Pasadeny”. — Mieliśmy niegdyś więcej jednostek do zamknięcia GIUK1.

— To jest wszystko, co udało się zebrać, Ron — odparł Chambers — Masz rację, to niezbyt wiele. Ale jeśli oni mają zamiar wysłać swoje okręty patrolowe, to niech lepiej uważają.

— Przynajmniej co do tego rozkazy Waszyngtonu były jasne. Żadna próba Japończyków wyrznięcia na wschód nie miała ująć bezkarnie, a zatopienie jakiegoś okrętu podwodnego będzie nawet powitane z zadowoleniem. Tyle że okręt, który by nawiązał kontakt, miał zaraz o tym zawiadomić i uzyskać polityczną aprobatę na rozpoczęcie akcji. Tego Mancuso i Chambers nie powiedzieli Jonesowi. Nie było sensu go rozdrażniać.

— Mamy przecież zapakowane całe stado okrętów — zauważył Jones.

— Owszem. Siedemnaście. Na Zachodnim Wybrzeżu — przyznał Chambers —

Minimum sześć miesięcy żeby je przywrócić do służby. A później potrzebny czas i czas, żeby zgrać załogi.

Mancuso podniósł głowę — Zaraz, zaraz, a moje *Ohio*?

— Słyszałem, że też poszły do przechowalni — odezwał się Jones.

— Ci z ochrony środowiska maniacy, nie zgodzili się na to. Wszystkie na wodzie, ze szkieletowymi załogami — wyjaśnił admirał.

— Wszystkie pięć — potwierdził Chambers — Nevada, Tennessee, West Virginia, Pennsylvania i

Maryland. Warto by w tej sprawie podzwonić do Waszyngtonu sir.

— Oczywiście — przytaknął Jones. Okręty balistyczne klasy 767 znane raczej pod nazwą *Ohio* (tak nazywał się pierwszy okręt serii — teraz można było kupować go w postaci żyletek) były wolniejsze o dziesięć węzłów i mniej zwrotne od okrętów klasy *Los Angeles 688*

przeznaczonych do szybkich ofensywnych akcji. Cnotą *Ohio* było ich wyciszenie. Były nawet cichsze, niż zakłada marynarskie pojęcie cichy.

— Myślisz, że wygrzebiemy dla nich jakieś załogi, Wally?

— Nie widzę trudności, admirale. Moglibyśmy je reaktywować w ciągu tygodnia.

Powiedzmy, dziesięciu dni, jeśli... Jeśli uda nam się złapać kogo trzeba, i uzyskać aprobatę.

— Już ja się tym zajmę — odparł Mancuso, podnosząc słuchawkę, by zażądać połączenia z Waszyngtonem.

W Europie Środkowej prawdziwy dzień roboczy zaczął się o dziesiątej rano, co odpowiadało dziewiątej w Londynie, a trzeciej nad ranem w Nowym Jorku. Z wyliczenia wynikało, że jest to szósta wieczorem w Tokio. Miniony tydzień był z początku bardzo ekscytujący, a potem właściwie nudny, co pozwalało pewnym ludziom zachwycać się nieustannie własną, wprost genialną błyskotliwością, która im pomogła zrobić równie kapitalny interes.

Operatorzy rynku walutowego w stolicy Japonii byli zdziwieni, kiedy wszystko zaczęło dziać się bardzo normalnie. Giełdy zachowywały się tak, jak zachowałyby się każdy dom towarowy otwierając podwoje dla tłumu ludzi, zwabionych zapowiedzią wyprzedaży.

Uprzedzano oczywiście, że od piątku tak będzie, tylko że w Tokio nikt w to nie wierzył.

Maklerzy zaczęli więc wydzwaniać do swoich szefów, prosząc o instrukcje i zdumiewając się napływającymi z kolei wiadomościami z Berlina i z innych stolic europejskich.

W nowojorskiej siedzibie FBI monitory komputerów połączonych z międzynarodową siecią domów maklerskich i giełd obrotu papierami wartościowymi i walutami pokazywały dokładnie to samo, co mogli widzieć prezesi banków centralnych na całym świecie. Przed takim samym monitorem siedzieli sekretarz skarbu i prezes Runku Rezerw Federalnych. Obaj mieli na uszach słuchawki włączone do kodowanej sieci telekonferencyjnej łączącej ich z europejskimi odpowiednikami — prezesami banków centralnych i ministrami.

Pierwszy ruch należał do Bundesbanku, który sprzedał pięćset miliardów jenów za dolarowy ekwiwalent. Jeny zakupił zaraz potem centralny Bank Hongkongu. Była to bardzo ostrożna transakcja, ot, żeby sprawdzić temperaturę wody i nie zaziębić się. W Hongkongu nie mrugnięto nawet okiem,

potraktowano transakcję rutynowo sądząc nawet, że można będzie dobrze zarobić na niemieckim błędzie. Po prostu uważano, że Bundesbank bardzo niemądrze sędzi oczekując, że otwarcie nowojorskiej giełdy papierów wartościowych podeprze dolara.

Fiedler widział na ekranie, że transakcja jest definitywnie zawarta, bez prawa odwrotu. Obrócił głowę do prezesa banku i wesoło mrugnął. Następny ruch uczynili Szwajcarzy, zakupując za bilion jenów resztę obligacji dolarowych posiadanych przez Bank Hongkongu. I ta transakcja została potwierdzona i zamknięta w ciągu niespełna minuty. Następna operacja była już ostrzejsza. Berneński Bank Komercyjny zabrał z japońskiego banku swoje franki oddając w zamian posiadane jeny. Był to kolejny budzący wątpliwości ruch zainicjowany telefonicznym poleceniem szwajcarskiego rządu.

Po rozpoczęciu sesji giełdowych nastąpiły dalsze ruchy. Banki i inne instytucje, które poprzednio dokonywały strategicznych posunięć, kupując japońskie obligacje dla zrównoważenia japońskich zakupów na europejskich rynkach, obecnie zaczęły je sprzedawać, zamieniając wszystkie jeny na inne waluty. I wówczas po raz pierwszy w Tokio zapaliło się czerwone światło. Posunięcia europejskie można by rozpatrywać, oczywiście, jako chęć szybkiego zarobku pewnych instytucji finansowych, które tkwiły w błędnym przeświadczeniu, że na mającej się rozpocząć sesji giełdowej w Nowym Jorku dolar zyska na wartości. Jednakże wszystkie dane z paru godzin operacji uświadomiły specjalistom, że jen zacznie spadać, i to bardzo! Chwilowo nic nie można było na to poradzić piątek wieczór, tokijska giełda zamknięta do poniedziałku, w domach maklerskich czynne jedynie stanowiska obrotu walutami oraz te, które monitorowały rynki europejskie.

— Na pewno zaczynają się już niepokoić — mruknął Fiedler.

— Ja bym gryzł paznokcie — odezwał się z Paryża Jean-Jacques.

Nikt nie chciał jednak zauważyć, że oto rozpoczęła się Pierwsza Światowa Wojna Ekonomiczna. Wśród zasłuchanych i zapatrzonych w monitory finansistów rosło podniecenie, chociaż było ono na przekór instynktowi i doświadczeniu.

— Muszę przyznać panowie, że nie mam żadnego modelu, który by przewidywał, co będzie dalej — odezwał się Gant, siedzący o dziesięć metrów od Fiedlera i prezesa Rezerwy Federalnej. Europejskie ruchy giełdowe, bardzo pomocne w obecnej sytuacji, nie pasowały do wbudowanych w komputer prekoncepcji i modeli.

— Widzisz więc, drogi pielgrzymie, że nadal potrzebni są ludzie z głową i odwagą — odparł George Winston z bardzo poważną miną.

— Ale jak zareaguje na to nasz rynek?

Winston uśmiechnął się. — Dowiemy się tego za... siedem i pół godziny. I nie musisz nawet wydawać na bilet. Nie lubisz wyprawy w nieznanne? Wielkiej Przygody?

— Cieszę się, że przynajmniej ktoś się nie martwi — odburknął Gant.

Istnieją ogólnoświatowe zasady handlu walutami. Normalnie wszystkie transakcje ustają, gdy jakaś waluta spada poniżej pewnej poprzeczki. Tym razem tak się nie stało.

Zharmonizowane działania wszystkich rządów europejskich podcięły całkowicie walutę japońską. Transakcji nie wstrzymano i jen spadał w otchłań.

— Oni nie mogą nam tego robić — jęknął ktoś w Tokio, siedząc ze wzrokiem wlepionym w monitor. I ten ktoś sięgnął po słuchawkę telefonu, wiedząc dobrze, jakie wyda polecenia.

Trwało natarcie na jena i jena należało bronić. I jedynym sposobem było natychmiastowe sprzedanie rezerw w obcych walutach w celu ściągnięcia jena do japońskich banków, zabrania go z rozszalałych spekulacyjnych rynków europejskich. Aby po prostu nie mógł być przedmiotem spekulacji. Najgorsze jednak było to, że właściwie nie istniała żadna racjonalna przesłanka, aby takiej operacji dokonać. Jen był w zasadzie silny, zwłaszcza wobec dolara. Jen wkrótce zastąpi dolara jako waluta rozliczeniowa, zwłaszcza jeśli Amerykanie okażą się rzeczywiście na tyle nierozsądni, by rozpocząć w dniu dzisiejszym operacje giełdowe, jak to zapowiedzieli.

Europejczycy stawiają na ochwaconą kobyłę, która nie ma najmniejszych szans. Jest to głupota absolutnie bezgraniczna, wręcz niewiarygodna. Nie pozostawało więc nic innego, jak pozwolić japońskim finansistom wykazać, że mają doświadczenie i potrafią z niego korzystać w każdej sytuacji. A ironia tej sytuacji była w istocie czymś rozkosznym, gdyby tylko Europejczycy potrafili ją docenić! Ich posunięcia były niemalże mechaniczne. Banki europejskie powinny poświęcać (czego nie robiły) ogromne ilości franków francuskich i szwajcarskich, brytyjskich funtów, marek niemieckich, guldenów holenderskich i duńskich koron — morze walut — aby zakupić jeny, których relatywna wartość musiała, czego wszyscy w Tokio byli pewni, wzrosnąć, zwłaszcza jeśli Europejczycy powiążą swoje waluty z dolarem.

Polecenie zostało wydane. Wszyscy posłuchali, chociaż byli nieco niespokojni. Działano na polecenie przełożonych, którzy — trzymając jeszcze przy uchu telefony komórkowe —

wychodzili już z domów, wsiadali do limuzyn i jechali do swych instytucji, do wielkich gmachów, w których dokonywano transakcji finansowych na światową skalę. Sprzedaż rozpoczęto również w Europie, wymieniając wszystko na jeny. Spodziewano się oczywiście, że kiedy z chwilą otwarcia giełdy nowojorskiej nastąpi nieuchronny kolejny spadek dolara, to będą musiały wraz z nim obniżyć się kursy walut europejskich, co pozwoli bankom japońskim odkupić wszystko z nadwyżką. W Tokio powszechnie uważano, że wyskok banków europejskich wynika z błędnego rozeznania sytuacji i złe pojętej lojalności wobec Amerykanów. W rezultacie całe zamieszanie wyjdzie na korzyść japońskim interesom. Należy się tylko cieszyć. W południe w Londynie ruszyła fala. Indywidualni inwestorzy i mniejsze instytucje widząc, że robią to wszyscy inni, poszli nieroztropnie — zdaniem Japończyków — w ich ślady. Zaczęli kupować dolary, wyzbywać się jenów. Południe w Londynie odpowiadało

godzinie siódmej rano na Wschodnim Wybrzeżu.

Dokładnie o godzinie siódmej pięć na wszystkich kanałach telewizji amerykańskich zabrał głos prezydent Durling:

— Współobywatele! W środę wieczorem oświadczyłem wam, że dziś wznowią pracę amerykańskie rynki finansowe...

— Uwaga, zaczyna mówić! — wykrzyknął Koto Matsuda, który dopiero co wrócił do swego gabinetu i oglądał teraz kanał CNN. — Zaraz powie, że niestety giełdy pozostaną nieczynne. No i w Europie zacznie się panika, zobaczcie! Wspaniale. — Jego dyrektorzy skłonili głowy.

Jednakże amerykański prezydent wydawał się bardzo pewny siebie. I nawet się uśmiechał. No cóż, dobry polityk musi grać tak, jak aktor, aby przekonująco kłamać.

— ...problem, jaki w ubiegłym tygodniu zaistniał na giełdzie, był rezultatem świadomej próby, o charakterze przestępczym, zniszczenia zdrowych podstaw naszej gospodarki finansowej.

Nigdy nic podobnego jeszcze się nie zdarzyło i chcę was teraz poinformować, co się wydarzyło, jak i dlaczego. Spędziłem cały tydzień na zbieraniu informacji i nawet jeszcze w tej chwili sekretarz skarbu i prezes Banku Rezerw Federalnych przebywają w Nowym Jorku konferując z prezesami najważniejszych amerykańskich instytucji finansowych, aby przywrócić ład.

Prezydent ciągnął dalej:

— Pragnę was również poinformować, że mieliśmy czas odbyć pełne konsultacje z naszymi przyjaciółmi w Europie i że wszyscy nasi historyczni sojusznicy postanowili wiernie nam towarzyszyć w obecnych trudnych chwilach, tak jak to czynili zawsze przedtem. A więc co konkretnie wydarzyło się w ubiegły piątek? — zadał retoryczne pytanie prezydent Durling. —

Zaraz wam powiem...

Matsuda odstawił szklankę whiskey, kiedy na ekranie pojawił się pierwszy wykres.

Stojący za kulisami Jack uważnie się przysłuchiwał temu, co i jak mówi Durling. Sztuka zawsze polega na tym, aby bardzo złożone sprawy przedstawiać możliwie prostym językiem.

Owo zadanie przygotowania wystąpienia prezydenta przypadło dwóm profesorom ekonomii, połowie ministerialnego gabinetu Fiedlera i gubernatorowi Komisji do Spraw Papierów Wartościowych. Wszyscy wyżej wymienieni współpracowali z najlepszą z autorek prezydenckich wystąpień. Niemniej prezentacja wymagała dwudziestu pięciu minut, sześciu wykresów oraz wypowiedzi kilku rzeczników prasowych, którzy nawet w tej chwili udzielali jeszcze wstępnych wyjaśnień dziennikarzom zaproszonym na wstępną konferencję prasową na godzinę szóstą trzydzieści.

— Powiedziałem wam w środę, że nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby mieć istotne

konsekwencje. Niczyja własność nie została dotknięta — kontynuował prezydent. —

Żadne gospodarstwo rolne nic nie utraciło. Każdy z was robi to samo, co robił przed tygodniem, zachował tę samą możliwość wykonywania swojej pracy, ma ten sam dom, to samo stanowisko pracy, rodzinę i przyjaciół. W ubiegły piątek po prostu napadnięto na nas, nie fizycznie na nasz kraj, ale na naszą świadomość. Podcięto w nas wiarę w nas samych... — kontynuował prezydent.

— Ta wiara jednak okazała się silniejsza i trwalsza, niż ludzie z tego sobie zdają sprawę, i to właśnie chcę wam dziś udowodnić — oświadczył Durling.

Większość pracowników instytucji obrotu papierami wartościowymi i walutami znajdowała się o tej porze w drodze do pracy i nie słyszała wystąpienia prezydenta, ale ci, którzy mieli wówczas dyżury w domach maklerskich i innych instytucjach finansowych, nagrali tekst i porozkładali wszędzie wydrukowane kopie dla przełożonych i kolegów. Poza tym giełda miała wznowić sesję dopiero w południe, a przedtem czekały jeszcze konferencje i strategiczne narady, chociaż nikt właściwie nie miał jasnej koncepcji, co robić. Najbardziej słuszna reakcja na sytuację była w istocie tak oczywista, że nikt nie był pewien, czy ją zastosować.

— Oni nam to dalej robią — odezwał się Matsuda, obserwując kilka ekranów jednocześnie. — Co moglibyśmy zrobić, żeby powstrzymać ten proces?

— Zależy od tego, jak zareaguje ich giełda — odparł jeden z bardziej doświadczonych doradców, nie wiedząc co innego mógłby powiedzieć, i nie mając zielonego pojęcia, jak rozwinie się sytuacja.

— No i co myślisz, Jack, uda się? — spytał Durling. Na biurku w oddzielnych teczkach miał teksty dwu wystąpień. Nie wiedział który wykorzysta wieczorem.

Doradca do spraw bezpieczeństwa wzruszył ramionami. — Też nie wiem. Zostawiliśmy im furtkę. Pytanie, czy z niej skorzystają.

— Mamy więc teraz siedzieć z założonymi rękami i czekać?

— Coś w tym rodzaju, panie prezydencie.

Druga sesja negocjacji odbywała się w siedzibie Departamentu Stanu. Najpierw Hanson naradził się ze Scottem Adlerem, a potem ten ostatni pokonferował z członkami swojej ekipy.

Byli gotowi. Japończycy pojawili się punktualnie o dziewiątej czterdzieści pięć.

— Witam panów! — powiedział niezwykle uprzejmie Adler.

— Miło mi ponownie pana spotkać — odparł kurtuazyjnie japoński ambasador podając rękę. Było wyraźnie widać, że jest mniej pewny siebie, niż poprzedniego dnia. Nic dziwnego, gdyż ambasador

nie zdążył otrzymać żadnych instrukcji z Tokio. Adler właściwie oczekiwał

prośby o odłożenie spotkania, ale po chwili doszedł do wniosku, że Japończycy tego nie zrobią.

Byłby to zbyt oczywisty objaw słabości. Niemniej ambasador, dyplomata zręczny i doświadczony, znalazł się w bardzo delikatnej i niebezpiecznej sytuacji. Musiał podczas negocjacji reprezentować rząd, o którego najnowszych intencjach nic nie wiedział. Trzeba było polegać wyłącznie na własnym sprycie i doświadczeniu. Adler odprowadził ambasadora do fotela, a potem przeszedł na swoją stronę stołu. Poprzednio zrobił zakład z sekretarzem stanu na temat treści wstępnego oświadczenia ambasadora:

— Mój rząd w najostrzejszych słowach protestuje przeciwko wyreżyserowanej przez Stany Zjednoczone agresji na naszą walutę...

Szanowny pan sekretarz stanu jest mi winien dziesięć dolarów, pomyślał Adler, nawet drgnięciem powieki nie zdradzając swojej satysfakcji.

— Panie ambasadorze, absolutnie to samo moglibyśmy już poprzednio zarzucić wam. A skoro już pan sprawę poruszył, oto fakty, które ustaliliśmy w ciągu ubiegłego tygodnia. — Na stole pojawiły się przed Japończykami zestawy dokumentów. — Pragnę dodać, że prowadzone jest obecnie dochodzenie, w wyniku którego najprawdopodobniej postawimy w stan oskarżenia niejakiego Raizo Yamatę, który dokonał komputerowego oszustwa na rynku papierów wartościowych.

Z wielu powodów był to bardzo śmiały ruch. Adler ujawnił wszystko, co było wiadome Amerykanom na temat zamachu na giełdę i instytucje finansowe Wall Street i tym samym wskazał na kierunek, w którym poszukiwano dalszej prawdy. W efekcie jednak jedynym niepożądanym skutkiem mogło być zaprzepaszczenie sprawy karnej przeciwko Yamacie i jego współnikom, jeśli się okazało, że to rzeczywiście oni właśnie są winni przestępstwa. Ale to już rzecz drugorzędna. Głównym zadaniem Adlera było zaprzestanie wojny, i to szybko. Niech o sprawę Yamaty martwią się chłopcy i dziewczęta z Departamentu Sprawiedliwości.

— Byłoby oczywiście znacznie lepiej, gdyby to wasz kraj podjął kroki w celu ukarania Yamaty. — Było to świadome stworzenie furtki, pozostawienie ambasadorowi i jego rządowi pola do manewru. — Końcowym efektem działań tego pana będą, jak to widać już dziś, trudności gospodarcze większe u was, niż u nas. A teraz, jeśli pan pozwoli, panie ambasadorze, chciałbym powrócić do problemu Marianów...

Oba ciosy, jeden po drugim, oszołomiły delegację japońską, i było to do przewidzenia.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, właściwa treść znajdowała się między wierszami: wiemy, co zamajstrowaliście, wiemy, kto to zamajstrował i kto za tym stoi. Jesteśmy gotowi raz na zawsze skończyć ze wszystkimi aspektami problemu. Tak brutalne słowne natarcie ze strony amerykańskiej miało na celu ukrycie nieco wstydlivej prawdy, że Amerykanie nie byli zdolni do natychmiastowej militarnej riposty. Jednocześnie wyczelowane sformułowania Adlera pozwalały uwolnić japoński

rząd od odpowiedzialności za czyny pewnych cesarskich poddanych.

Poprzedniego wieczoru Ryan i Adler zdecydowali, że takie właśnie podejście pozwoli osiągnąć szybkie i pełne rozwiązanie sytuacji. I dlatego potrzebna była również marchewka:

— Stany Zjednoczone życzą sobie jedynie powrotu do normalnych stosunków między naszymi państwami — oświadczył następnie Adler. — Natychmiastowe opuszczenie Wysp Mariańskich zezwoli nam na korzystniejszą dla was interpretację Ustawy o Regulacji Handlu.

Zgadzamy się tę sprawę przedyskutować przy stole konferencyjnym. — Adler w głębi duszy uważał, że dzisiejsze uderzenie było zbyt brutalne. Niemniej alternatywą jest dalszy rozlew krwi.

Pod koniec tej drugiej sesji negocjacyjnej wydarzyło się coś niespotykanego: żadna ze stron nie musiała powtarzać tekstu wstępnego oświadczenia. Przez cały zresztą czas trwała, jakby ją można określić w języku dyplomatycznym, otwarta wymiana poglądów, często zresztą mało przemyślanych.

Po wstaniu z fotela Adler wyszeptał Cookowi do ucha:

— Pogadaj z nimi, Chris. Dowiedz się, co oni naprawdę myślą.

— Jasne — odparł Cook. Nalał sobie filiżankę kawy i wyszedł na taras, na którego skraju stał Nagumo, spoglądając smętnie na mauzoleum Lincolna.

— Myślę, że to jest honorowe wyjście, Seidzi — zaczął Cook.

— Stawiacie nas pod murem — odparł Nagumo, nie odwracając głowy.

— Teraz jest szansa i to najlepsza, jeśli chcecie wyjść z tego bez dalszego zabijania.

— Może dla was najlepsza. A co z naszymi interesami?

— Dogadamy się na temat interpretacji ustawy. — Cook właściwie dobrze nie rozumiał

zawilości problemu. Obca mu była problematyka finansowa, a ponadto niezbyt dobrze wiedział, co się właściwie dzieje na dolarowym froncie. Co się naprawdę dzieje. W jego pojęciu odbicie się dolara od dna i kroki podjęte w celu ochrony amerykańskiej gospodarki były izolowanymi faktami. Nagumo znał prawdę. Natarcie, jakiego dokonał jego kraj, może być wyrównane, uznane za zlikwidowane, jedynie wówczas, gdy nastąpi ostre przeciwnatarcie. I w efekcie nie będzie mowy o powrocie do *status quo ante*. Jego kraj dozna poważnej porażki gospodarczej, poniesie szkody, które nałożą się na te, które już spowodowała nowa Ustawa o Regulacji Handlu.

Nagumo wiedział coś, czego nie wiedział Cook: jeśli Ameryka nie ustąpi wobec choćby nawet bardzo skromnych japońskich roszczeń terytorialnych, to widmo wojny stanie się realne.

— Potrzebujemy czasu, Chris!

— Nie rozumiesz, Seidzi. Czasu już nie ma. Prasa jeszcze tego nie wywęszyła. Ale w każdej chwili może. Jeśli o agresji dowie się opinia publiczna, wszystko stracie. Właśnie rynek.

— Ponieważ Cook miał absolutną rację, Nagumo znalazł zaczepienie:

— Być może jest tak, jak mówisz. Ale mój kraj potrzebuje czegoś więcej, niż w tej chwili ofiarowujecie. Słuchaj: mnie osłania status dyplomaty. Ciebie nie... — Nie musiał mówić nic więcej. Cook mu przerwał:

— Przestań, Seidzi, chwileczkę...

— Wasza oferta jest zbyt skromna — powtórzył zimno Nomura.

— Dajemy wam honorowe wyjście...

— Potrzeba nam więcej! — I teraz nie było już odwrotu, prawda? Nomura zastanawiał

się, czy ambasador już o tym wie. Chyba nie, sądząc ze spojrzeń, jakie rzuca w jego kierunku.

Nagle wszystko stało się jasne. Yamata i jego wspólnicy uwikłali Japonię w przedsięwzięcie, od którego nie było odwrotu. Trudno było powiedzieć, czy sami zdawali sobie z tego sprawę, kiedy zaczęli. Teraz to już przestało być ważne. — Musimy coś mieć, aby usprawiedliwić nasze działania — dokończył.

Jednocześnie Cook zdał sobie sprawę, że wykazał okropną tępotę, przez tak długi czas nie mogąc zrozumieć sensu powtarzania przez Nagumo tego jednego żądania. Teraz dopiero go odczytał w spojrzeniu Nagumy. Nie tyle okrucieństwo, co absolutną determinację. Zastępca wyższego urzędnika sekretariatu stanu pomyślał o pieniądzach, które czekają na szwajcarskim koncie i o pytaniach, które mu zadadzą, i o wyjaśnieniach, jakich będzie musiał udzielić...

Kiedy cyfry zegara skoczyły z godziny 11.59.59 na 12.00.00 rozległ się dzwon podobny do szkolnego.

— Dzięki ci, panie Wells, za twój wehikuł czasu — powiedział jeden z maklerów wstępując na drewniany parkiet NYSE. Wehikuł czasu ruszył. Po raz pierwszy w historii giełdy parkiet był o tej porze czysty. Ani skrawka papieru! Siedzący w swoich budkach maklerzy, rozglądając się dookoła, zaobserwowali pierwsze objawy powrotu do normalności. Zawieszony wysoko wyświetlacz notowań wskazywał te same kursy, co przed tygodniem, jak gdyby synchronizując przeszłość z nowym dniem. Jednocześnie był namacalnym dowodem powrotu do rzeczywistości, która rzeczywistością w istocie nie była.

Przed pięcioma godzinami prezydent wygłosił naprawdę wspaniałe orędzie. Wszyscy tu obecni wysłuchali go co najmniej raz, właśnie w gmachu giełdy. Po nim zabrał głos prezes NYSE składając oświadczenie, za które otrzymałby specjalną premię wirtuoz piszący teksty reklamowe: dziś maklerzy spełniają misję, misję spełniają też gracze giełdowi i nabywcy akcji.

Misja ta była ważniejsza, niż własny doraźny interes, a jeśli uda się ją wykonać, to zabezpieczą przyszłość własną i całego kraju. Wszyscy spędzili cały poranek, rekonstruując własne poczynania z poprzedniego piątku. W efekcie każdy znał na pamięć, jakie akcje posiadał, co sprzedał, co kupił, w jakim był punkcie, gdy nadeszła dwunasta. Niektórzy pamiętali nawet, co zamierzali wówczas zrobić, a przeważnie chodziło o ruchy akcji w górę, a nie w dół. Ich kolektywna pamięć zabezpieczała przed powtórzeniem błędu.

Z drugiej strony wszyscy przypominali sobie panikę po godzinie dwunastej w ubiegły piątek, a wiedząc teraz, że była ona wywołana sztucznie w przestępczym celu, nie mieli zamiaru uczestniczyć w jej ponownym rozpętaniu. Poza tym Europa w bardzo zdecydowany sposób zasygnalizowała swoje zaufanie do dolara. Tak więc rynek papierów wartościowych wydawał się solidnie osadzony, jak na granitowej skale. Teraz należało kupować obligacje skarbowe i skorzystać z zaskakującej oferty prezesa Banku Rezerw. Kupowanie obligacji jest najlepszym ze wszystkich sposobem budowania zaufania.

Jeden z maklerów obliczył, patrząc na zegar, że przez pierwsze dziewięćdziesiąt sekund nie działo się absolutnie nic. Żadnej transakcji. Wyświetlacz pokazywał dokładnie to samo, co przedtem. Był to absolutny fenomen, wywołujący zdumienie obecnych na parkiecie. Wirowały im gorączkowo myśli. Usiłowali zrozumieć sytuację. Maklerzy odebrali kilka telefonów od drobnych inwestorów, którzy nie wiedzieli, co mają robić. Brokerzy poradzili im, żeby siedzieli cicho i czekali. Nieliczni, którzy chcieli coś sprzedać, byli po cichu załatwiani przez maklerów z posiadanych przez nich rezerw, jakie pozostały po ubiegłym tygodniu. Ale wielcy inwestorzy nie czynili żadnego ruchu. Każdy z nich czekał na tego pierwszego, który coś uczyni.

Dziewięćdziesięciosekundowa cisza wydawała się wiecznością dla giełdowych operatorów przyzwyczajonych do parkietowej gorączki. I kiedy nastąpił pierwszy poważny ruch, wszyscy przyjęli to z ulgą.

Zgodnie z przewidywaniem pierwsza dyspozycja przyszła z holdingu Columbus. Był to zakup pokaźnego portfela emisji Citibanku. W kilka sekund później dom maklerski Merrill Lynch złożył podobną ofertę na akcje Chemical Bank.

— To ma ręce i nogi — mówili inwestorzy i maklerzy. Citibank bardzo reagował na spadek kursu dolara, ale teraz, skoro banki europejskie zadbały, by dolara wzmocnić, akcje Citibanku wydawały się dobrą inwestycją. W rezultacie tych dwóch transakcji indeks Dow Jones Average Industrial, podniósł się, dezawuuując wszystkie przepowiednie komputerów.

— Owszem, chyba znajdziemy — powiedział do słuchawki któryś z maklerów i głośno obwieścił zapotrzebowanie na sto Manny Hanny po sześć. Kolejny bank miał więc skorzystać na umocnieniu kursu dolara. Inwestor zamierzał sprzedać zakupione akcje po sześć i ćwierć. Emisje, które w ubiegłym tygodniu zapoczątkowały spadek kursów, teraz prowadziły z tych samych powodów. I zaczęto zdawać sobie sprawę, że chociaż na pozór jest to absurd, istnieją jednak solidne podstawy do podobnego rozumowania, i z chwilą kiedy wszyscy zdadzą sobie z tego sprawę, ruszy fala i każdy będzie mógł zarobić.

Wyświetlacz na ścianie pędził teraz z nowymi informacjami, przedstawiając jednocześnie oferty składane z daleka i stenograficzne skrótowe doniesienia agencji: General Motors ponownie przyjmuje do pracy dwadzieścia tysięcy ludzi do montowni w pobliżu Detroit, w przewidywaniu zwiększenia sprzedaży samochodów. Depesza nie precyzowała, że owo ponowne przyjmowanie rozciągnięte jest na dziewięć miesięcy i że następuje to w wyniku telefonów sekretarzy handlu i pracy. Jednakże nawet ta stenograficzna notatka wystarczyła, by wzbudzić zainteresowanie akcjami przemysłu samochodowego, co z kolei zachęcało do kupowania akcji przemysłu maszynowego. O 12.05.30 indeks skoczył o pięć punktów. Co prawda to nawet jeszcze nie czkawka po spadku o pięćset punktów przed tygodniem, niemniej wierzchołek góry był widoczny, bez chmur. Tak to w każdym razie wyglądało z parkietu giełdy.

— Własnym oczom nie wierzę — powiedział Mark Gant, znajdujący się o kilka ulic dalej w gmachu federalnym imienia Javitsa.

— A gdzie jest napisane, że komputery zawsze muszą mieć rację? — zapytał George Winston z nieco wymuszonym uśmiechem. Martwił się. Kupienie akcji Citibanku kryło pewne niebezpieczeństwo, niemniej jego posunięcie odniosło swój skutek na giełdzie. Kiedy akcje Citibanku wzrosły o trzy punkty, zaczął powoli sprzedawać, podczas gdy inni finansjści szli za trendem i kupowali. Do przewidzenia, prawda? Stado potrzebuje przywódcy. Wywołaj trend, a zobaczysz, że za nim pójdą, a jeśli trend się skończy, to lepiej dla tego, który wcześniej sprzedał.

— Odnoszę wrażenie, że się udało — poinformował europejskich kolegów prezes Banku Rezerw. — To jest, oczywiście, pierwsze wrażenie. — Teoretyczne wyliczenia wskazywały, że powinno się udać, ale w takich jak ta sytuacjach teorie, nawet najlepsze, często zawodzą. Prezes banku i Fiedler obserwowali Winstona, który rozparł się wygodnie w fotelu, rozmawiając przez telefon i jednocześnie gryząc koniec wiecznego pióra. Słyszeli, co mówił. Głosem spokojnym, chociaż twarz pokazywała człowieka zaangażowanego w śmiertelną walkę, wszystkie jej mięśnie były napięte. Jednakże po pięciu minutach zobaczyli już twarz uśmiechniętą. Mówił coś do Ganta, który jak zafascynowany nieustannie kręcił głową, wpatrzony w komputer pokazujący na ekranie rzeczy, w jakie trudno było wprost uwierzyć.

— Więc o co panu chodzi, panie prezydencie?

— Czy tekst jest dobry? — spytał Durling.

— Odpowiem panu następująco, panie prezydencie: na pana miejscu bez zwłoki ofiarowałbym redaktorce tych tekstów dwanaście róż na długich łądygach i prosiłbym ją, aby uwzględniła w swoich życiowych planach przedłużenie kontraktu na jakieś następne cztery lata.

— Zbyt wcześnie o tym mówić, Jack. — Prezydent wydawał się zły.

— Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Przepraszam. Chciałem w istocie powiedzieć tylko, że wyszło wspaniale. I w ogóle się udało. Rynek na pewno będzie ulegał wahaniom przez resztę dnia, ale nie

nastąpi olbrzymi spadek, jakiego oczekiwaliśmy w pierwszej fazie. Powodem tego jest wzrost zaufania. Pan im przywrócił zaufanie i jest to bezsporny fakt, panie prezydencie.

— A reszta problemu?

— Mają otwartą furtkę. Mogą się wycofać. Z honorem. Dowiemy się przed nocą.

— A jeśli nie ustąpią?

Doradca do spraw bezpieczeństwa głęboko się zamyślił. — Wtedy będziemy musieli wymyślić jakiś sposób przeciwstawienia się im, ale tak, aby nie dostali zanadto w skórę. Musimy odszukać ich główce atomowe i musimy załatwić sprawę, nim wymknie się spod kontroli.

— Czy to się uda?

Ryan wskazał na monitor komputera. — W to pan też z początku nie wierzył, panie prezydencie. Ja także miałem wątpliwości.

Konsekwencje

Wydarzyło się to w stanie Idaho, w osiedlu tuż przy bazie Sił Powietrznych. Baza nazywała się Mountain Home. Starszy sierżant, mający tu stały przydział, otrzymał rozkaz czasowego przeniesienia do bazy lotniczej Andersen na wyspie Guam, gdzie miał obsługiwać radary naprowadzające. W tydzień po odlocie sierżanta jego żona powiła kolejną córkę. Gdy chciała zadzwonić na Guam, usłyszała, że z powodu sztormu zerwane są połączenia. Kobieta ta, zaledwie dwudziestoletnia i niezbyt wykształcona, choć z rozczarowaniem, ale przyjęła wyjaśnienie. Oficer w bazie Mountain Home, do którego zadzwoniła, powiedział jej, że wszystkie łącza wojskowe są przeciążone. I zrobił to tak przekonująco, że uwierzyła. Wróciła do domu ze łzami w oczach. Następnego dnia rozmawiała z matką, która bardzo się zdziwiła, że ojciec dziecka jeszcze o niczym nie wie. Jak to, pomyślała matka, nawet w czasie wojny takie wiadomości zawsze docierały na front, czy burza może być gorsza od wojny?

I matka zadzwoniła do lokalnej stacji telewizyjnej, prosząc o połączenie z meteorologiem, bardzo mądrym panem w wieku około pięćdziesięciu lat, który zawsze doskonale wyjaśniał

telewizjom meandry pogodowe i świetnie przewidywał wszystkie tornada, nawiedzające każdej wiosny ten stan. Jak niosła wieść, co roku ocalał życie wielu ludziom dzięki doskonałym analizom i podawaniu przypuszczalnej drogi trąb powietrznych.

Telewizyjny meteorolog należał do gatunku ludzi, którzy lubią być zaczepiani w supermarkecie przez widzów. Chętnie odpowiadał zawsze na ich pytania i z zadowoleniem przyjmował komplementy. Telefon kobiety przyjął jako jeszcze jeden dowód poważania, jakim się cieszy, a poza tym problem go zainteresował, gdyż nigdy dotychczas nie miał okazji zerknięcia na to, co się dzieje na Pacyfiku. Nie miał też najmniejszych trudności ze zdobyciem informacji. Połączył się po prostu z komputerem systemu satelitarnej obserwacji warunków atmosferycznych i wywołał mapy pogodowe minionych dni, aby sprawdzić, jaki to sztorm nawiedził Mariany. Nie była to pora tajfunów, o tym meteorolog dobrze wiedział, ale sztormy od czasu do czasu nagle występowały.

Jednakże nie w tym roku i nie w tym okresie. Zdjęcia satelitarne pokazywały kosmyki chmur, ale poza tym pogoda była zupełnie dobra. Przez kilka minut meteorolog dumał, czy jest możliwe, aby na Pacyfiku, podobnie jak to bywa w Arkansas, występowały huragany przy bezchmurnym niebie. Ale nie, to chyba niemożliwe. Huragany adiabatyczne powstawały z powodu różnic temperatury w terenie o zmiennej elewacji. Ocean z definicji był płaski i spokojny. Przekonsultował sprawę z kolegą, który był niegdyś meteorologiem Marynarki i który potwierdził wyciągnięte wnioski. A więc wielka tajemnica! Myśląc że być może kobieta otrzymała złą informację usiłując połączyć się z Guam, sam wykręcił numer 011-671-555-1212.

Połączenie było bezpłatne, ponieważ dzwonił do biura informacji operatora sieci telefonicznej Marianów. Otrzymał nagraną wiadomość, że z powodu sztormu połączenie jest niemożliwe.

Problem polegał na tym, że sztormu nie było. Czy on pierwszy wyciągnął ów genialny wniosek?

Skierował kroki do sąsiedniego pokoju, gdzie redagowano dzienniki i gdzie znajdowały się komputery łączące redakcję z agencjami prasowymi. Po paru minutach pytanie poszło w świat.

— Ryan.

— Tu Bob Holtzman. Mam do ciebie pytanie, Jack.

— Mam nadzieję, że nie chodzi o Wall Street — odparł Ryan jak mógł najbardziej beztroskim głosem.

— Nie. Chodzi mi o Guam. Dlaczego nie ma połączenia telefonicznego?

— Nie spytałeś operatora sieci, Bob? Takie pytania trzeba kierować do nich, a nie do doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— Właśnie. Pytałem i odpowiedzieli mi, że był sztorm, który zwałił łącza. Tylko zastanawia mnie parę rzeczy. Po pierwsze, nie było żadnego sztormu. Po drugie, istnieje kabel podwodny i taka rzecz, która nazywa się łącznością satelitarną. A po trzecie, tydzień to bardzo długo. Co się tam dzieje, Jack? — spytał dziennikarz.

— Ile osób o to pyta?

— Chwilowo tylko ja i mała stacja telewizyjna w Little Rock, która zadała pytanie agencji AP. Za trzydzieści minut to samo pytanie zadawać będzie więcej osób. Mów, co się tam dzieje?

— Czy byłbyś łaskaw do mnie wpaść? Od razu, Bob. — No cóż, wiadomo było, że na długo nie uda się tego ukryć, pomyślał Ryan. Połączył się z Adlerem. Czekaając na podniesienie słuchawki klął w duchu, że sprawa nie mogła odwlec się do jutra.

„Yukon” zaopatrywał w paliwo już drugą grupę okrętów. Pośpiech był tak wielki, że tankowiec pompował ropę jednocześnie do paru jednostek eskorty. Stały po obu burtach wielkiego tankowca i ssały, a helikopter dostarczał im w tym czasie żywność, części zapasowe i inny potrzebny sprzęt, głównie dla samolotów, aby móc przywrócić gotowość bojową grupy powietrznej na „Ike’u”. Słońce miało zająć już za pół godziny, ale nie było mowy o przerwaniu operacji zaopatrzeniowej, należało ją kontynuować w ciemnościach. Zgrupowanie admirała Dubro popłynęło na wschód, aby zwiększyć odległość od floty indyjskiej. Admirał nakazał

przejście na EMCON, status alarmowy połączony z wyłączeniem radarów. Jednocześnie posłano samoloty eskorty fałszywym kursem, by zmylić Hindusów. Stracono wszelki ślad indyjskich lotniskowców. *Hawkeye* węszyły ostrożnie, Dubro niecierpliwie czekał na jakąkolwiek wiadomość.

— Obserwator melduje o nieznanym samolocie lecącym w naszą stronę. Kurs dwa-jeden-pięć — rozległ się skrzekliwy głos z głośnika.

Dubro zaklął, podniósł do oczu lornetkę i wpatrzył się w południowo-zachodni horyzont.

Są! Dwa *Harriery*. Chytrze to grają. Na jakichś tysiącu siedmiuset metrach w tak zwanym braterskim szyku, stosowanym podczas pokazów lotniczych i przy taktycznym podejściu do nieprzyjaciela. Nim *Harriery* zdążyły dolecieć do pierwszego pierścienia eskorty, w powietrzu już były dwa *Tomcaty*. Jeden nad nimi, drugi za nimi, gotowe do natychmiastowej eliminacji intruzów, gdyby ci okazali wrogie intencje. Ale w tym wypadku wroga intencja mogła objawić się jedynie wystrzeleniem rakiety, co w tej epoce rozwoju techniki naprowadzania na cel było równoznaczne z trafieniem, choćby wysyłający raketę został natychmiast sam śmiertelnie rażony. *Harriery* przeleciały nad okrętami tylko raz. Były najprawdopodobniej wyposażone w dodatkowe zbiorniki paliwa i sprzęt zwiadowczy, i tym razem leciały z pewnością nieuzbrojone.

Admirał Czandraskatta nie był głupcem, ale też Dubro nigdy nie robił podobnych założeń. Jego przeciwnik prowadził ostrożną grę, wykonując ściśle swoją misję i czekając na odpowiednią chwilę, by wyszczerzyć kły. Jednocześnie wiele się uczył ze sztuczek, jakie mogli mu pokazać Amerykanie. Nie było to jednak wielkim pocieszeniem dla admirała Dubro.

— Mamy za nimi lecieć? — spytał beznamiętnym głosem komandor Harrison.

— Podepnij im *Hummera* i śledź radarem.

Kiedy właściwie Waszyngton zrozumie, że zbliża się chwila prawdziwej konfrontacji? — zadał sobie pytanie Dubro.

— Panie ambasadorze! — Adler wciągnął powietrze składając kartkę, którą przed chwilą położył przed nim na stole któryś z sekretarzy. — Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin wiadomość o zajęciu przez was Marianów dotrze do naszego społeczeństwa. Z tą chwilą dalszy rozwój wypadków będzie już poza naszą kontrolą. Z tego, co wiem, ma pan wszystkie konieczne pełnomocnictwa, aby rozwiązać problem...

Jednocześnie Adler zaczął podejrzewać, że japoński ambasador nie ma takich pełnomocnictw, mimo zapewnień, że je posiada. Zorientował się również, że zbyt szybko i zbyt mocno przyciska tego człowieka do muru. Jednakże Adler nie miał innego wyboru. Z drugiej strony cała ta historia trwa dopiero niespełna tydzień. Przy zastosowaniu normalnych dyplomatycznych praktyk czas ten wystarczyłby za ledwie na uzgodnienie rodzaju krzeseł, na jakich zasiądą delegacje. W tym wypadku pogwałcono wszystkie zasady, niemniej Adler był

zawodowym dyplomata, a tacy nigdy nie tracą nadziei. Nawet w tej chwili, gdy dopiero co skończył wypowiedzianie tych słów, już szukał w spojrzeniu przeciwnika czegoś, z czego mógłby wyciągnąć jakiś wniosek wart powtórzenia prezydentowi.

— Podczas wszystkich naszych rozmów tkwimy przy wątku amerykańskich żądań, natomiast ani przez chwilę nie dyskutowaliśmy o naszym prawie do ochrony własnych interesów... — zaczął ambasador. — Dziś przeprowadziliście skoncentrowany atak na nasze finansowe i ekonomiczne struktury i...

Adler pochylił się nad stołem: — Panie ambasadorze, przed tygodniem wasz kraj uczynił

to samo nam, jak to wykazują dokumenty, jakie ma pan przed sobą. Przed tygodniem wasza flota napadła na jednostki Marynarki Stanów Zjednoczonych. Przed tygodniem wasz kraj zawładnął

terytorium będącym częścią suwerennego obszaru Stanów Zjednoczonych. Porównując wasze czyny z tym, co my zrobiliśmy dziś, chyba dojdzie pan do wniosku, że nie ma pan najmniejszego pretekstu, aby krytykować nas za próbę odparcia waszej napaści i przywrócenia ekonomicznej stabilności. — Adler przerwał na chwilę, wyrzucając sobie zdecydowanie niedyplomatyczny język wysoce emocjonalnej wypowiedzi, ale bieg wydarzeń zwalnia od obowiązku nadmiernej grzeczności, a wkrótce, być może, zwolni z obowiązku grzeczności w ogóle. — Daliśmy wam szansę odbycia z nami negocjacji w dobrej wierze w celu osiągnięcia formuły wzajemnie korzystnej interpretacji ustawy o regulacji obrotu towarowego. Jeśli o inne sprawy chodzi, to przyjmujemy przeprosiny oraz pełne odszkodowanie za zatopione jednostki i ich załogi. Natomiast żądamy bezzwłocznego opuszczenia Wysp Mariańskich przez wasze siły zbrojne...

Ale wszyscy wiedzieli, że jest już za późno i że sprawy zaszły za daleko. Zabrakło czasu.

Adler zaczął odpędzać od siebie przeraźliwy ciężar nieuchronności tego, co musi się stać.

Wszystkie jego talenty dyplomatyczne poszły na marne. Inne wydarzenia i inni ludzie wytrącili mu wszystko z rąk. I z rąk ambasadora japońskiego także. W oczach Japończyka ujrział coś, co tamten w tej samej chwili musiał też zobaczyć w jego oczach.

Bardziej ze smutkiem niż w gniewie Adler dodał: — Jak pan sobie życzy, panie ambasadorze. Jeśliby pan nas potrzebował, to wie pan, gdzie nas szukać.

— Boże Święty, i trzymałeś to pod suknem? Jak ci się to udało? — zapytał Holtzman.

— Ponieważ wy wszyscy patrzyliście w innym kierunku — odparł bez ogródek Ryan. —

Poza tym zawsze polegaliście na naszych informacjach. — Natychmiast pożałował wypowiedzenia tych słów. Zabrzmiały jak wyzwanie.

— Ale kłamaliście na temat lotniskowców. A o okrętach podwodnych nawet nie pisnęliście.

— Usiłujemy wszystko rozładować, nim sytuacja zabrnje za daleko — odparł prezydent Durling. — W tej chwili nawet prowadzimy z nimi rozmowy w Departamencie Stanu.

— Mielicie panowie w istocie ciężki tydzień — przyznał Holtzman. — Kealty wyskakuje?

Prezydent skinął głową. — Dogaduje się z Departamentem Sprawiedliwości i ofiarami.

— Najważniejsze było przywrócenie spokoju na giełdzie — powiedział Ryan. — To była najważniejsza...

— Co opowiadasz?! Tam zginęli ludzie! — zaprotestował Holtzman.

— To dlaczegoście bili tak hałaśliwie w Wall Street? I to przez całutki tydzień. Nic nie rozumiesz, Bob? Sposób, w jaki oni usiłowali zniszczyć nasz rynek walutowy i obrotu papierami wartościowymi groził nieobliczalnymi konsekwencjami dla gospodarki. Mogło to nas całkowicie pogrążyć i załamać. Dlatego najpierw trzeba było wydobyć się z tej opresji.

Po chwili zastanowienia Holtzman uznał słuszność tej argumentacji. — A jak ci się udało z tego wykaraskać?

— Dobry Boże, i kto by to pomyślał! — wykrzyknął Gant, gdy zabrzmiał dzwon obwieszczający koniec skróconej tego dnia sesji giełdy. Ostatecznie indeks NYSE spadł tylko o cztery i pół punktu, czterysta milionów akcji zmieniło właściciela. SiP 500 ruszyło nawet w górę, podobnie jak NASDAQ, głównie dlatego, że giełdowe pewniaki straciły w sumie więcej na ogólnej panice niż mniejsze przedsiębiorstwa. Najlepiej wyglądał rynek obligacji i dolar wyraźnie się umocnił. Natomiast japoński jen dostał porządne lanie w stosunku do wszystkich zachodnich walut.

— W przyszłym tygodniu kursy nieco spadną z powodu przemieszczenia obligacji dolarowych — zapowiedział Winston. Przecierał dłońmi twarz, dziękując Opatrzności za sprzyjające mu szczęście. Marginesowe lęki nielicznych inwestorów zachęcały ludzi do szukania bezpieczniejszych lokat swoich pieniędzy, chociaż nowa odporność dolara, dziś utrwalona, szybko zmieni tę sytuację.

— Może dopiero pod koniec przyszłego tygodnia — wysunął przypuszczenie Gant.

— Może, nie jestem pewien. Wiele akcji przedsiębiorstw produkcyjnych jest nadal poniżej kursu.

— Pański zakup akcji Citibanku był błyskotliwym posunięciem — przyznał prezes Banku Rezerw, siadając obok finansistów.

— W ubiegłym tygodniu Citibank dostał niezасłużone cięgi — stwierdził Winston. — A ja byłem po prostu pierwszym amatorem na jego akcje. Zresztą zarobiliśmy na tym.

— Nie była to przechwałka, lecz proste stwierdzenie faktu. Winston pomyślał, że jedynie zdał kolejny egzamin z psychologii stosowanej: zrobił coś, co było zarazem posunięciem logicznym, jak i niespodziewanym. Wywołał trend i opuścił pole dalszej rozgrywki, żeby nie oberwać niepotrzebnego siniaka. Zwykle dobre myślenie. Biznes to biznes.

— Jak ogólnie wyszedł dziś Columbus? — zapytał Fiedler.

— Dziesięć punktów do przodu — natychmiast odparł Gant, myśląc o dziesięciu milionach dolarów, co nie było źle, jak na jeden dzień pracy w podobnych warunkach. — W

przyszłym tygodniu wyjdziemy lepiej.

Do gabinetu wszedł agent FBI. — Dzwonili z DTC. Twierdzą, że wszystko w jak najlepszym porządku. System wydaje się funkcjonować dobrze. W każdym razie ta część, z której korzystali.

— A Chuck Searls? — zapytał Winston.

— Mieszkanie drobiazgowo przeszukane. Znaleźliśmy dwa foldery o Nowej Kaledonii.

Ale wybrał sobie miejsce! To terytorium Francji. Prosiliśmy Francuzów, żeby za nim poszperali.

— Dać wam dobrą radę?

— Zawsze chętnie przyjmujemy dobre rady, panie Winston — odparł z uśmiechem agent, gdyż nastrój w gabinecie był zaraźliwy.

— Szukajcie w zupełnie przeciwnym kierunku.

— Słucham cię, Buzz — powiedział prezydent do słuchawki. Ryan, Holtzman i obaj agenci Tajnej Służby zobaczyli, że prezydent zamyka oczy i robi głęboki oddech. Durling przez całe popołudnie odbierał meldunki sytuacyjne z Wall Street, ale były to informacje nieoficjalne.

Oficjalnymi czynił je teraz telefon od sekretarza skarbu, Fiedlera. — Dziękuję ci, przyjacielu. I powiedz wszystkim, że ja... Dobrze, dziękuję, spotkamy się wieczorem. — Durling odłożył

słuchawkę. — Jack, dobrze jest mieć ciebie podczas sztormu.

— Czeka nas jeszcze jeden sztorm.

— Więc wszystko zakończone pomyślnie? — zapytał Holtzman, który nie zrozumiał ani aluzji prezydenta, ani jego rozmowy telefonicznej.

Ryan wziął na siebie odpowiedź: — Jeszcze nie wiemy.

— Ale...

— Ale incydent z lotniskowcami można uznać za wypadek. A co się stało z okrętami podwodnymi, będziemy wiedzieli dopiero wtedy, kiedy trafimy na kadłuby. Znajdują się na głębokości pięciu tysięcy metrów. — Jack skręcał się wewnętrznie, że takie rzeczy musi opowiadać. Ale tu chodziło o wojnę, a wojna to taka rzecz, której chciałoby się uniknąć. Wtedy, kiedy to jest możliwe, poprawił się w myślach. — Istnieje szansa, że obie strony będą mogły odsunąć się od przepaści, nad którą stoją, spiszą na straty to, co się stało, zapiszą to w książkach historii jako nieporozumienie, jako wyskok paru bezprawnie działających osobników i jeśli dobrze dadzą tym osobnikom po łapach, to wszyscy będą szczęśliwi i nikt więcej nie umrze.

— I ty mi takie rzeczy ujawniasz, dziennikarzowi? Takie niedyskrecje?

— Po prostu zwiążę ci ręce. Sam to czujesz, prawda? Jeśli coś wyjdzie z negocjacji prowadzonych w Departamencie Stanu, będziesz miał wybór, Bob. Albo nam pomożesz zachować całą sprawę w dyskrekcji, albo będziesz miał na sumieniu wojnę. Witamy w klubie zaprzysiężonych małomównych, panie Holtzman!

— Słuchaj no, Ryan, ty nie możesz...! Ja nie mogę...

— Właśnie, że możesz. Już to w przeszłości robiłeś. Trzymałeś język za zębami. — Jack zauważył, że prezydent pilnie słucha tej wymiany słów. Nie miał jednak zamiaru zabierać głosu.

Z jednej strony chciał się zdystansować od zagrań Ryana, z drugiej podobało mu się to, co Ryan robi. No i Holtzman zapisał się do klubu.

— Więc co to wszystko oznacza? — spytał Goto.

— Oznacza, że oni robią tylko wiele hałasu — odparł Yamata, dodając w myślach, że w nowej sytuacji kraj potrzebuje prawdziwego przywódcy. Oczywiście nie mógł tego głośno powiedzieć. — Nie odbiorą nam wysp. Nie mają po temu dostatecznych środków. Chwilowo mogli jakoś załatać problemy rynkowe, ale ani Europa, ani Ameryka nie będą mogły bez nas żyć długo, a kiedy się wreszcie zorientują, że nas potrzebują, to wówczas my nie będziemy ich tak potrzebowali jak obecnie. Widzisz? Przez cały czas problem dotyczy niepodległości.

Niezależności. Naszej niezależności. Kiedy ją osiągniemy, wszystko się zmieni.

— A chwilowo?

— Wszystko pozostaje po staremu. Nowa amerykańska Ustawa o Regulacji Handlu miałaby ten sam skutek, co rozpoczęcie wrogich działań. Przynajmniej coś z tego będziemy teraz mieli. I będziemy mieli szansę sami się rządzić we własnym domu.

I właściwie do tego wszystko się sprowadzało, pomyślał Yamata. Rozpierała go duma, że to on pierwszy, tylko on to dostrzegł. Co z tego, że Japonia produkowała i mogła sprzedawać każde ilości swoich produktów? Tak długo, jak Japonia musi szukać i bardziej potrzebuje obcych rynków, niż obce rynki potrzebują jej, obcy ustawodawcy mogą ją w każdej chwili rzucić na kolana, sparaliżować, i kraj nie znajdzie na to żadnego lekarstwa. A winni wszystkiemu są Amerykanie. Zawsze Amerykanie Najpierw zmusili kraj do przedwczesnego zakończenia wojny z Rosją, niwecząc japońskie ambicje imperialne. Potem zezwolili powalonemu i zniszczonemu krajowi na rozwój gospodarczy po to, aby trzykrotnie już ograniczyć rynek zbytu. I ci sami ludzie zabili całą jego rodzinę. Czy om naprawdę są aż tak ślepi? I teraz Japonia się odgryzła, a ci tutaj ślepcy nie potrafią dostrzec rzeczywistego obrazu i prawdy. Yamata z pogardą patrzył na tego małego głupca i z trudem opanowywał gniew. Musiał go opanować, gdyż Goto był mu potrzebny. Mimo iż wykazywał niski

stopień inteligencji nie rozumiejąc, że już nie ma odwrotu.

— Czy jesteś pewien, że oni nie będą mogli w żaden sposób zastosować odwetu za naszą akcję? — spytał Goto po minucie kontemplacji.

— Hiroszi, jest tak, jak ci to tłumaczę już od miesiący. Przegrać nie możemy, chyba że nie będziemy chcieli wygrać.

— Psiakrew, że my nie mamy takich możliwości! Geodezja satelitarna. Cudo! —

powiedział przedstawiciel AMTRAK-u.

Magia zdjęć satelitarnych nie leży w poszczególnych zdjęciach, ale w parze zdjęć zrobionych przez tę samą kamerę w odstępie paru sekund, przekazanych następnie do stacji naziemnych w Sunnyvale i Fort Belvoir. Oglądanie pojedynczych zdjęć wystarczy, gdy gna pośpiech albo żeby zachwycić jakiego kongresmana, który czegoś takiego nigdy nie widział. Do poważnej pracy bierze się dwie odbitki, po jednej z pary bliskich sobie w czasie zdjęć, i osadza się je w ramce stereoskopu. Teraz można szukać tego, czego się poszukuje. Stereoskop lepiej dostrzega trójwymiarowość przedmiotów niż ludzkie oko. Plastikowej widzi się teren przez stereoskop, niż gdyby leciało się śmigłowcem. Na pewno lepiej, pomyślał inżynier kolejowy.

Lepiej, ponieważ można posuwać się i cofać, mając na stereoskopowej szpuli wiele par ramek z odbitkami satelitarnymi.

— Satelity bardzo dużo kosztują — rzekła Betsy Fleming w odpowiedzi na ubolewania, że AMTRAK nie ma własnego pojazdu w kosmosie.

— Prawdopodobnie tyle, ile nasz całoroczny budżet. Ooo, to jest bardzo interesujące zdjęcie! — Zespół profesjonalistów od ekspertyz fotografii analizował każde ujęcie, to prawda, ale była jeszcze druga prawda, że zarówno specjaliści z CIA, jak i z Narodowej Agencji Zwiadu już przed dziesiątkami lat przestali się interesować technicznymi aspektami budowy torów kolejowych. Poszukiwanie pociągów załadowanych bronią pancerną i amunicją to jedno, a zachwywanie się torami drugie.

— Niby dlaczego?

— Linia Szin Kansen przynosi duże pieniądze. A ta odnoga im żadnych pieniędzy nie da.

Może oni tu zbudowali tunel? Może chcą pociągnąć linię dalej, do miasta. Jeśli o mnie chodzi, to pociągnąłbym tory po drugiej stronie. Chyba że chodzi im o bocznice potrzebną dla celów konserwacyjnych.

— Że co? Jak?

— Potrzebna jest bocznica dla składu technicznego. Wagony spawalnicze, warsztat, drezyny,

narzędzia oraz niezbędny zapas podkładów i szyn. Wszystko musi być pod ręką. I miejsce dobrze wybrane, tylko że na torach nie stoi żaden pociąg techniczny.

Oglądane zdjęcia były kontrastowe i bardzo ostre. Kolejarz nie mógł oderwać wzroku od stereoskopu. Zrobiono je koło południa tamtejszego czasu. Białe plamki to odbłyśki promieni słonecznych od lśniących torów. Nieco słabsze widać na bocznicy. Kolejarz doszedł do wniosku, że szerokość torów, ich rozstaw, odpowiada mniej więcej granicy rozdzielczości kamer. Bardzo interesujący fakt, którego nie miał prawa nikomu zdradzić. Podkłady betonowe na bocznicy? Tak jak na głównej linii ekspresowej? Jakość torów doskonała. Dłuższy czas zachwycał się nad inżynierią budowy odcinka odnogi. Podniósł wzrok.

— Proszę państwa, to nie jest linia komercyjna. Nie ma mowy. Zakręty mają nie takie profile. Tędy nie można jechać szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Ekspres pędzi główną linią ponad sto sześćdziesiąt. I jedno jest dziwne. Ta bocznica po prostu znika.

— Ooo? — zdziwiła się Betsy.

— No, niech pani sama zobaczy! — Odstąpił miejsce przy konsolce Betsy Fleming i przeciągnął zdrętwiałe ręce. Wziął ze stołu mapę doliny, w dużej skali, żeby porównać ją ze zdjęciami. — Wiecie państwo, kiedy Hill i Stevens budowali tory Kolei Północnej...

Betsy nie była zainteresowana historią budowy żadnej kolei.

— Chodź no tu, Chris! Rzuć okiem.

Kolejarz podniósł wzrok. — Jest platforma? Nie wiem, jakiego koloru są ich towarowe wagony.

— W każdym razie nie zielone.

W dyplomacji czas działa zwykle na korzyść. Jednakże nie w tym wypadku, pomyślał

Adler wchodząc do Białego Domu. Znał dobrze drogę, ale na wszelki wypadek towarzyszył mu agent Tajnej Służby. Zastępca sekretarza stanu był zdumiony spotykając w Gabinetce Owalnym dziennikarza. Jeszcze bardziej się zdziwił, że Holtzmanowi pozwolono pozostać.

— Możesz mówić — zezwolił Ryan.

Adler wziął głęboki oddech i zaczął składać prezydentowi sprawozdanie.

— Nie chcą się wycofać. Widać, że ambasador czuje się bardzo niezręcznie. Wydaje mi się, że brak mu instrukcji z Tokio To mnie bardzo martwi. Chris Cook jest zdania, że oni byliby gotowi zwrócić nam Guam, pod warunkiem, że wyspa zostanie zdemilitaryzowana, ale chcą sobie zatrzymać pozostałe wyspy. Pomachałem im przed oczami możliwością złagodzenia przepisów Ustawy o Regulacji Handlu, ale nic nie uzyskałem. — Na chwilę przerwał. — Z tego nic nie wyjdzie. Możemy jeszcze drażyć przez tydzień lub nawet miesiąc, ale nic nie wyjdzie. Oni nie zdają sobie sprawy, w

jaką historię się wpakowali. Upierają się tylko, że istnieje *iunctim* między problemem ekonomicznym i wojskowym. Nie dostarczają możliwego korytarza negocjacyjnego, nie dostrzegają roznieconego ognia i faktu, że przekroczyli dozwoloną granicę i że w tej sytuacji powinni się czym prędzej wycofać.

— Widzę, że rozpoczyna się wojna — zauważył Holtzman. — Chwilowo pełzająca, ale grożąca wielkim wybuchem. — Po sekundzie poczuł się głupio, że coś takiego powiedział. Poza tym nie zdał sobie sprawy z pewnej specyficznej aury panującej w gabinecie. Jakby ulotniła się rzeczywistość.

— Obawiam się, że pan ma rację — odparł Adler.

— Wobec tego co dalej?

— A co pan sądzi? — zapytał prezydent Durling.

Komandor Dutch Claggett nigdy nie sądził, że znajdzie się w podobnej sytuacji. Był

pełnym energii oficerem przez dwadzieścia trzy lata, od chwili ukończenia Akademii Marynarki.

Nazywano go „pistoletem”. Jego kariera nagle dostała w łeb, kiedy jako pierwszy oficer służył na USS „Maine”, okręcie podwodnym z pociskami balistycznymi, gdy ten szedł na dno. Jak na ironię jego marzeniem było otrzymać dowództwo okrętu podwodnego klasy *Ohio*. Teraz jednak dowodzenie USS „Tennessee” przestało cokolwiek dlań znaczyć. Podstawowym przeznaczeniem tego okrętu było krążenie po morzach z raketami balistycznymi *Trident II*, wystrzeliwanymi spod wody. Ale obecnie raket balistycznych już nie było, a jedynym powodem, dla którego okręt jeszcze istniał, był proces wygrany przez miejscowe organizacje ochrony środowiska.

Organizacje te przeciwstawiły się zdecydowanie rozbiórce nuklearnego okrętu na złom. Sędzia federalnego sądu okręgowego, od wielu lat członek ekologicznego Klubu Sierra, przychylił się do argumentów prywatnych oskarżycieli. Orzeczenie było obecnie przedmiotem debaty sądu apelacyjnego. Claggett był dowódcą „Tennessee” już od dziewięciu miesięcy, ale jedyną okazją popływania było przeprowadzenie okrętu od jednego nabrzeża do drugiego. Nie to miał na myśli wybierając karierę marynarza. Doszedł jednak do wniosku, że mogło być gorzej. Mógł już na przykład nie żyć, tak jak wielu jego towarzyszy z USS „Maine”.

Co najważniejsze, „Tennessee” był jego i tylko jego. Nie musiał dzielić okrętu z nikim. I nadal był „w czynnej służbie”, a on dowodził prawdziwym okrętem wojennym. Mówiąc teoretycznie, rzecz jasna. Zmniejszona do szkieletowego stanu osiemdziesięciopięciosobowa załoga stale się szkoliła, no bo takie jest życie marynarza, choćby nie wiem jak długo tkwił na okręcie uwiązany u brzegu jak pies przy budzie. Raz na tydzień uruchamiano reaktory nazywane przez marynarzy Okręgową Elektrownią Stanu Tennessee. Sonarzyści rozwiązywali najrozmaitsze zagadki dźwiękowe, korzystając z nagrań na taśmach magnetofonowych, reszta zaś załogi utrzymywała swoją umiejętność obsługi wszystkich możliwych systemów operacyjnych, zabawiając się nawet z jedyną posiadaną torpedą *Mark 48*. Tak musiało być, gdyż ta szkieletowa załoga wcale nie miała być w najbliższym czasie przeniesiona do rezerwy, choćby nawet zdecydowano się przerobić ich okręt na żyletki. Obowiązkiem dowódcy było utrzymać profesjonalizm ludzi na wypadek, gdyby miano ich

przenieść na inny okręt podwodny przewidziany do służby patrolowej. Wszyscy tego pragnęli z całego serca.

— Wiadomość z Dowództwa Floty Pacyfiku, sir! — Marynarz podał komanowi kartkę przypiętą klipsem do podkładki.

Meldować, kiedy możecie najwcześniej wypłynąć.

— Co do cholery? — Komandor skierował pytanie ku sufitowi kabiny. Nagle zdał sobie sprawę, że depesza nie pochodzi ze sztabu w Pearl Harbor, ale od admirała dowodzącego grupą operacyjną. Podniósł słuchawkę telefonu i z pamięci wystukał odpowiedni numer. —

„Tennessee” do admirała Mancuso — powiedział krótko.

— Dutch? — odezwał się Mancuso. — W jakiej jesteś kondycji? — Mancuso nie bawił się we wstępy.

— Wszystkie systemy są operacyjne, panie admirale. Przed dwoma tygodniami mieliśmy kontrolę funkcjonowania reaktora i stanu zabezpieczeń. — Na okrętach atomowych taka okresowa kontrola była obowiązkowa i kontrolerzy albo wydawali świadectwo zdrowia, albo wyroki na wieczność.

— Wiem. Kiedy możesz wypłynąć? — spytał Mancuso. Pytanie to zabrzmiało w uszach Claggetta jak jakieś echo z przeszłości.

— Tylko załadować żywność i torpedy — odparł. — I potrzeba mi trzydziestu ludzi.

— W jakich specjalnościach jesteś słaby? I na jakim szczeblu?

Claggett przez chwilę zastanawiał się. Jego oficerowie byli dość młodzi, ale to mu nie przeszkadzało. Miał też dobrą kadrę starszych podoficerów. — Tak prawdę mówiąc to słabości w kadrze nie widzę. Przeprowadzamy intensywne szkolenie przez cały czas.

— To doskonale, Dutch. Wydam potrzebne rozkazy, byś jak najwcześniej mógł wyjść w morze. Grupa operacyjna włącza drugi bieg, a potem zobaczymy. Chcę, żebyś natychmiast wypływał. Szykuj się na jakieś dziewięćdziesiąt dni. Rozkazy już w drodze.

— Tak jest, sir! — Claggett usłyszał odkładanie słuchawki. Po chwili podniósł słuchawkę drugiego aparatu i wezwał wszystkich oficerów i starszych podoficerów do swojej kabiny. Nim się zeszedł, zadzwonił telefon. Któryś z oficerów sztabu grupy operacyjnej pytał o konkretne niedobory osobowe.

— Ładny ma pan stąd widok. Czy dom jest na sprzedaż?

Oreza pokręcił głową. — Nie jest na sprzedaż — odparł stojącemu przed drzwiami mężczyźnie.

— Może się pan jednak zastanowi. Pan jest rybakim, prawda?

— Zgadza się. I mam kuter do wynajęcia.

— Wiem o tym. — Mężczyzna rozglądał się ciekawie dokoła, podziwiając położenie i wielkość zupełnie zwykłego, jak na standard amerykański, domu. Manuel i Isabel Oreza kupili tę posiadłość przed pięcioma laty, zdążywszy to zrobić przed szalonym skokiem cen nieruchomości na Saipanie. — Dobrze wam zapłacę — powiedział mężczyzna.

— I gdzie ja bym wtedy zamieszkał? — zapytał Dniówka.

— Dam ponad milion dolarów — zaofiarował obcy.

Miał zdziwienia Oreza poczuł przyływ gniewu. Na domu ciążył jeszcze dług hipoteczny. Oreza spłacał go miesięcznymi ratami. Właściwie spłacała żona, ale to nie było ważne. Co miesiąc następował typowo amerykański rytuał: wrywanie czeku z książeczki, wypełnianie, włożenie go do bankowej koperty z wydrukowanym adresem, wrzucenie do skrzynki pierwszego dnia każdego miesiąca. A cała ta procedura była jakby dodatkowym potwierdzeniem faktu, że po trzydziestu pięciu latach nieustannego pętania się tu i tam w służbie państwowej ma się wreszcie swój pierwszy własny dom. Ten dom należał do nich!

— Drogi panie, to jest mój dom, rozumie pan? Ja tu mieszkam, bardzo mi się tu podoba.

Mężczyzna był grzeczny i układny, zachowywał się przyjaźnie... a poza tym to natrętny sukinsyn, pomyślał Oreza. Obcy wręczył Orezie swoją wizytówkę. — Wiem, że dom jest pański.

Proszę mi wybaczyć to najście. Chciałbym jednak otrzymać od pana jakąś wiadomość, kiedy pan dobrze rozważy moją propozycję. — Co powiedziawszy, skierował kroki do sąsiedniego domu osiedla.

— Co za cholera? — mruknął Oreza, zamykając drzwi.

— O co temu facetowi chodziło? — Zapytał Pete Burroughs.

— Gość chce mi dać milion dolarów za ten dom.

— Ładny stąd widok — zauważył Burroughs. — Na wybrzeżu kalifornijskim osiągnąłby wcale ładną cenę. Ale też nie tyle. Trudno uwierzyć, że aż takie ceny nieruchomości obowiązują w Japonii.

— Milion dolarów! — I to była jedynie wyjściowa cena, uprzytomnił sobie Oreza.

Mężczyzna, z którym Oreza rozmawiał, zaparkował swoją terenową Toyotę w ślepej uliczce, a teraz chodził od domu do domu rozglądając się, co by tu można było kupić. — I kto wie, ile by ostatecznie zaferował. A gdyby był mądry, toby tylko wydzierzawił. Ale gdzie byśmy wtedy mieszkali?

— Nigdzie — odparł Burroughs. — Założysz się, że w formie odszkodowania dali by ci tylko bilet pierwszej klasy do Stanów? Ruszże główką.

— Bardzo interesująca wiadomość — odparł Robby Jackson. — I co jeszcze?

— Te niszczyciele, które przedtem widzieliśmy, zniknęły. Wszystko wraca do normalnego stanu. Wszystko jest normalnie, tyle że wszędzie są żołnierze.

— Jakież spięcia? Problemy? Jakby coś się szykowało?

— Nic takiego, panie admirale. Przybijają do portu te same statki zaopatrzeniowe, te same tankowce, wszystko tak samo, jak przedtem. Może tylko trochę mniej latają. Żołnierze tak jakby zagospodarowywali się na dobre, ale robią to bardzo ostrożnie. I są jakby mniej widoczni.

Na wyspie jest sporo terenów niezamieszkałych, gęsto porośniętych. Wydaje mi się, że tam głównie siedzą. Nie chodziłem, żeby ich oglądać, panie admirale.

— Nie potrzeba — odparł Jackson. — Trzymajcie się bosmanie, siedźcie cicho i spokojnie. Dziękuję za meldunek. Muszę teraz wracać do pracy.

— Tak jest, panie admirale — odparł Oreza.

Jackson spisał główne punkty rozmowy. Właściwie powinien komuś innemu przekazać kontakt z Orezą. Ale Oreza chciał słyszeć po drugiej stronie znajomy głos, a poza tym i tak cała rozmowa jest nagrywana dla tych z wywiadu.

Chwilowo Jackson miał głowę zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

Wieczorem Siły Powietrzne miały dokonać kolejnej penetracji japońskiego systemu obrony. Linia patrolowa okrętów podwodnych miała zostać przesunięta o sto pięćdziesiąt mil na zachód. Technicy powinni zebrać sporo informacji, głównie z satelitów. I „Enterprise” powinna jeszcze dziś dotrzeć do Pearl Harbor. W bazie lotnictwa Marynarki w Barbers Point czekała kompletnie wyposażona i w gotowości bojowej lotniskowcowa grupa powietrzna, ale brakowało lotniskowców. O parę kilometrów od tej bazy w koszarach Schofield czekała 25. Lekka Dywizja Piechoty, i też nie było na co ją zaokrętować. W podobnej sytuacji znajdowała się 1. Dywizja piechoty morskiej w bazie Pendleton w Kalifornii. Admirał Jackson sprawdził, że kiedy Stany Zjednoczone po raz ostatni dokonywały desantu na Mariany, a było to piętnastego czerwca 1944

roku, to uczestniczyło w operacji (znanej pod kryptonimem FORAGER) trzysta trzydzieści pięć jednostek pływających i sto dwadzieścia siedem tysięcy pięćset siedemdziesięciu jeden żołnierzy.

Obecnie wszystkie okręty Marynarki Stanów Zjednoczonych łącznie ze wszystkimi statkami handlowymi pływającymi pod flagą amerykańską stanowiły znacznie mniejszą liczbę jednostek.

Być może Armia plus Korpus Piechoty Morskiej osiągnęłyby liczbę żołnierzy uczestniczących

wówczas w desancie. Piąta Flota pod dowództwem admirała Raya Spruance'a — dawno już nie istniejąca — liczyła piętnaście lotniskowców. Teraz Flota Pacyfiku nie miała do dyspozycji ani jednego. Wówczas wydzielono pięć dywizji do odbicia Marianów z rąk Japończyków. Dywizje te były ochraniające przez ponad tysiąc samolotów lotnictwa taktycznego, krążowniki, pancerniki i niszczyciele.

A teraz ty zostałeś owym szczęśliwym idiotą, któremu w obecnych warunkach i przy obecnym stanie Armii, Korpusu i Marynarki kazano opracować plan desantu na Marianach. Na czym? Na deskach do surfingu?

Mowy nie ma o natarciu frontalnym, pomyślał Jackson. Japończycy umocnili się na wyspach, okopali, mają doskonałe uzbrojenie, głównie amerykańskie. Siła rażenia ogromna.

Największą komplikacją była cywilna ludność. Liczba „rodzimych” mieszkańców — bez wyjątku obywateli amerykańskich — przekraczała pięćdziesiąt tysięcy. Większość z nich mieszkała na Saipanie i jakikolwiek plan, dopuszczający możliwość ofiar wśród ludności cywilnej, był nie do przyjęcia. Admirał nie miał najmniejszego zamiaru mieć na sumieniu śmierci kobiet i dzieci, nawet w imię wzniesionych haseł o wyzwoleniu. Ta wojna różniła się od poprzednich. Obowiązywały zupełnie nowe zasady, z których wielu Jackson jeszcze nie rozgryzł.

Podstawowe założenia rozgrywki były te same, co zawsze. Wróg zabrał nam coś, co należy do nas, więc my musimy odebrać to wrogowi, jeśli nie chcemy stać się drugorzędnym mocarstwem.

Nie po to Jackson spędził całe swe dojrzałe życie w mundurze, aby uczestniczyć w zapisywaniu tego skrawka historii w takim właśnie tonie — przegrana Ameryka! O nie! Poza tym, co by powiedział, jak by to wytłumaczył Manuelowi Orezie?

Tak, frontalnym zmasowanym uderzeniem tego nie zrobimy, bo nas na to po prostu nie stać. Dziś Ameryka nie potrafi przenosić z miejsca na miejsce wielkich armii, chyba że etapami z koszar do koszar.

Jackson miał poważny problem. A co z wysuniętymi bazami, z których mogłyby wyruszyć siły inwazyjne? Nie mamy odpowiednich. A może jednak są? Większość wysp na Pacyfiku należy do Stanów Zjednoczonych. Na Zachodnim Pacyfiku, i na każdej jest taki czy inny pas startowy. Poza tym samoloty mają teraz większy zasięg i można je zaopatrywać w paliwo w powietrzu. Okręty mogą przebywać na morzu czas nieograniczony — umiejętność nabyta przez Marynarkę przed blisko osiemdziesięciu laty i udoskonalona dzięki napędowi nuklearnemu. Poza tym, i nie wolno tego zapominać, technologia broni uczyniła wielki krok. Nie potrzebna jest już maczuga. Ani nawet bagnet. Nadeszła epoka bojowego fechtunku elektronicznymi rapierami. Obserwacja satelitarna. Saipan! Tam się wszystko rozstrzygnie.

Saipan był kluczem do pozostałych wysp. Jackson się zamyślił, a potem podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego.

— Ryan.

— Tu Robby, Jack. Na ile mamy wolną rękę?

— Nie możemy dopuścić do zbyt wielu ofiar. To już nie rok 1945. A oni mają broń nuklearną.

— Tak, wiem. Nasi jej szukają. I wiem, że kiedy ją znajdziemy, to właśnie będzie nasz pierwszy cel. Ale co będzie, jeśli nie znajdziemy?

— Musimy się tego dowiedzieć — odparł Ryan. A co to znaczy „musimy”? Z jego oceny i wszystkich analiz wynikało, że kontrolę strategiczną nad raketami balistycznymi sprawował

Hiroszi Goto, człowiek o ograniczonej inteligencji i wielkiej niechęci do Ameryki. Chorobliwej wręcz antypatii. Ważniejszym aspektem całej sprawy było to, że Ryan nie wierzył w możliwość przewidzenia, co ten człowiek może w danej sytuacji zrobić lub czego zaniechać. To, co mogło się wydawać irracjonalne Ryanowi, w oczach Goto mogło być jak najbardziej oczywistym rozwiązaniem. I jeszcze jedno: kto jest jego głównym doradcą i inspiratorem? Na kim Goto polega? Najprawdopodobniej na Yamacie, który wszystko to zainicjował i którego motywacje były absolutnie nieznane. — Słuchaj, Robby, musimy wyłączyć rakiety z gry. I zrób to, jak chcesz. Masz tu absolutnie wolną rękę. Ja to uzgodnię z NSD. — NSD oznaczało Najwyższy Szczebel Dowodzenia, co w bezosobowej terminologii Pentagonu było określeniem osoby prezydenta.

— Mam użyć w razie potrzeby choinkowych ozdób? — spytał Jackson, mając, oczywiście, na myśli taktyczną broń nuklearną. Jako człowiek obarczony konkretną misją musiał

rozpatrywać wszystkie warianty. Dlatego spytał i o to. Ryan z drugiej strony wiedział, że byłaby to ostateczność.

— Nie chcielibyśmy tego, Rob, chyba że nie będzie już wyboru. Jednakże jesteś upoważniony do uwzględnienia tego wariantu w swoich planach.

— Dzwonił do mnie przyjaciel z Saipanu. Ktoś mu zaproponował niewiarygodnie dobrą cenę za dom.

— Wydaje się nam tutaj, że oni przygotowują szopkę wyborczą. Referendum na temat suwerenności. Jeśli uda im się pozbyć kogoś się da z wyspy, to łatwiej wygrają.

— A my tego bardzo nie chcemy, prawda?

— Nie, nie chcemy, Rob. I dlatego już na wczoraj potrzebny mi jest twój plan.

— Sprawimy ci plan, nic się nie bój.

Durling pojawił się na ekranach telewizyjnych o godzinie dziewiątej wieczorem, po raz drugi tego samego dnia. O godzinie dziewiątej na Wschodnim Wybrzeżu. Komentatorzy po omówieniu sytuacji

na Wall Street dodawali skrawki informacji o wypadku lotniskowca, nawiązywali do pilnych negocjacji między Stanami Zjednoczonymi a Japonią na temat Wysp Mariańskich, z którymi, po ostatnim sztormie, zerwana została łączność telefoniczna, chociaż podobno ostatni sztorm był w zeszłym roku. Komentatorom było bardzo trudno mówić o czymś, o czym nie mieli zielonego pojęcia, i dlatego cała ta słowna papka była niesłychanie pogmatwana. W tym samym czasie rozmaitej maści korespondenci waszyngtońscy wymieniali plotki i podawali sobie źródła mogące coś wiedzieć, zarazem zdumieni i zaniepokojeni, że z pola ich widzenia umknęły wydarzenia tak wielkiej wagi. Te uczucia zamieniły się dość szybko we wściekłość na rząd za ukrywanie wydarzeń tej rangi. Nieoficjalne spotkanie z rzecznikiem, które rozpoczęło się o ósmej wieczorem, nieco uspokoiło rozgrzane dziennikarskie umysły, ale nie całkowicie. Tak, to prawda. Ale wydarzenia na Wall Street są najistotniejsze. Zawsze to im mówiono. Wall Street to kwestia być albo nie być dla amerykańskiej gospodarki i dobrobytu społeczeństwa. Jakież w zestawieniu z tym mogą mieć znaczenie małe wysepki, które i tak trzeba palcem pokazywać na mapie większości dziennikarzy, bo prawie żaden z nich nie wie, gdzie one są. Tak mówiono początkowo rozjuszzonej prasie i trochę ją uspokojono. Ale wielu dziennikarzy miało wątpliwości. Wszystko to bardzo pięknie, ale rząd nie ma prawa pozbawiać informacji środków masowego przekazu o wszystkim, co się dzieje. Niektórzy tylko zdawali sobie sprawę, że Pierwsza Poprawka do Konstytucji gwarantowała prawo dziennikarzy do poszukiwania informacji, ale nie zmuszała władzy do podawania jej na srebrnej tacy. Niektórzy z reporterów doszli do wniosku, że postępowanie rządu wynika z chęci rozwiązania konfliktu bez rozlewu krwi. I chyba ta argumentacja najbardziej przemawiała do rozsądku. Jednakże nie wszyscy chcieli ją akceptować.

— Rodacy — od tego słowa po raz drugi tego samego dnia prezydent Durling rozpoczął

swoje wystąpienie. Twarz miał nieco ściągniętą i przeczuwano, że chociaż popołudniowe wieści z giełdy były niezłe, wieczorne informacje okażą się gorsze. I tak też było.

W nieuchronności wydarzeń jest jednak coś, przeciwko czemu człowiek się buntuje.

Albowiem człowiek jest istotą niezmiennie pełną nadziei i inwencji, co w zasadzie zaprzecza twierdzeniu, że może być coś, czego nie można zmienić. Jednakże człowiek jest także istotą skorą do popełniania omyłek i właśnie z powodu owych omyłek staje się często nieuchronne to, czego człowiek pragnąłby uniknąć.

Cztery *B-1B* Lancer znajdowały się o pięćset mil morskich od brzegu. Leciały w szyku bojowym, w rozciągniętej linii, której przedłużenie znajdowało się na wschód od Tokio, tym razem patrolujące bombowce podeszły do penetrowanej strefy frontalnie i polecały kursem zachodnim, dokładnie dwadzieścia siedem-zero stopni, obniżając lot do niskiego pułapu. Obecni na pokładzie każdego z samolotów oficerowie walki elektronicznej wiedzieli tej nocy już znacznie więcej niż przed dwoma dniami. Mogli teraz zadawać właściwe pytania. Dodatkowe informacje otrzymane z obserwacji satelitarnej dokładnie umiejscowiły położenie radarów japońskiej obrony przeciwlotniczej. Wiedzano więc, jak je omijać, i że można je ominąć. Istotnym zadaniem obecnej misji było przetestowanie sprawności samolotów wczesnego ostrzegania *E-767*. A to już wymagało większej ostrożności i rozwagi.

Począwszy od lat siedemdziesiątych *B-1B* były wielokrotnie modyfikowane. Maszyna stała się wolniejsza, ale jednocześnie stanowiła znacznie mniejszy cel dla radarów. Zwłaszcza tak zwany PR

— przekrój radarowy od strony nosa — odpowiadał echu dużego ptaka, podczas gdy *B-2A* miał PR wróbla ukrywającego się przed sępem. Na niskich pułapach *Lancer* potrafił mknąć z wielką prędkością, co przydawało się, gdy trzeba było uciec przed napastnikiem. Załogi *Lancerów* nie były skore do spotkań z nieprzyjacielem. Misja tej nocy miała polegać na

„połechtaniu” japońskich samolotów wczesnego ostrzegania, poczekaniu na ich elektroniczną reakcję, a potem szybkim wycofaniu się do Elmendorf z danymi uzupełniającymi to, co już było wiadome i konieczne, by opracować plan, tym razem bojowej penetracji japońskiej linii obrony.

Załogi zapomniały tylko o drobnej rzeczy. Że temperatura powietrza po jednej stronie samolotu wynosiła zero stopni, a po drugiej minus dwa.

Kami Dwa leciał sto mil na wschód od Czoszi, trzymając się dokładnie kursu północ-południe. Prędkość sześćset kilometrów na godzinę. Co piętnaście minut pilot zmieniał kurs.

Patrol trwał już siedem godzin. O świcie miał wystartować zmiennik. Załoga, choć zmęczona, zachowywała czujność, nie popadając w senną rutynę.

Istniał natomiast pewien problem techniczny, który martwił obsługę radaru. Choć była to wyrafinowana aparatura najnowszej generacji, oferowała mniej, niż można by się spodziewać. W

zasadzie była przewidziana do wykrywania samolotów o wyjątkowo małym PR i spełniała swoje zadanie — o tym, czy naprawdę spełniała, załoga jeszcze nie wiedziała — dzięki podciągnięciu pewnych parametrów. Był to radar o wielkiej mocy. Można na nim polegać, twierdzono, i być pewnym precyzji otrzymywanych danych. Usprawnieniu uległy także pewne części mechaniczne. Zastosowano płynny azot do chłodzenia układu odbiorczego, co zwiększyło czterokrotnie czułość. Zainstalowano także niesłychanie sprawny program komputerowej obróbki, czyli analizy otrzymywanych informacji. I tu właśnie rodził się problem. Zamiast obracających się analogowych odczytników, jakich używano od chwili wynalezienia radaru w latach trzydziestych, zastosowano dwa monitory, które wyświetlały komputerowy obraz nazywany polem przeszukiwań. Program był ustawiony tak, by rejestrowano wszystko, co daje odbicie wiązki, a ponieważ zarówno moc, jak i czułość nowego sprzętu były wielkie, na ekranie pojawiały się rzeczy, których w ogóle nie było w planie. Na przykład klucze migrującego ptactwa. Technicy wbudowali więc tak zwane bramki szybkości, które pozwalały ignorować wszystko, co leciało wolniej niż sto trzydzieści kilometrów na godzinę, gdyż w przeciwnym wypadku na ekranach radarów pojawiłyby się nawet echa samochodów na autostradach Kalifornii. Jednakże aparatura najpierw wchłaniała wszystko, wszelkie sygnały, a dopiero potem decydowała, co z tego, co pojawiło się w polu obserwacji, ujawnić na ekranie obsłudze radaru.

Wybór trwał kilka sekund, a wówczas na przykład dwa albatrosy lecące w kilkusetmetrowej odległości od siebie mogły w świadomości komputera być uznane za samolot i jako taki przedstawione obserwatorom. Doprowadzało to ich do szaleństwa, podobnie jak pilotów obu myśliwców typu *F-15J*, które leciały trzydzieści kilometrów przed samolotem wczesnego ostrzegania. Ta wada czy błąd oprogramowania wywoływała irytację, która prowadziła do

podejmowania błędnych decyzji. Poza tym, przy niesłuchaniu wysokiej czułości systemów, nadal latające nieprzerwanym strumieniem samoloty pasażerskie prezentowały się radarom niby floty bombowców. Na szczęście Kami jeden, lecący nieco bardziej na północ, miał zadanie dokładnego ich klasyfikowania i informowania innych operatorów o ich przelocie.

— Kontakt, jeden-zero-jeden, czterysta kilometrów — obwieścił oficer przy jednej z konsol. — Pułap trzy tysiące metrów... schodzi. Prędkość osiemset kilometrów na godzinę.

— Znowu jakieś ptaki? — zapytał ze złością pułkownik dowodzący misją patrolową.

— Tym razem... kontakt coraz wyraźniejszy.

Pilot w stopniu pułkownika przesunął do przodu drążek, obniżając lot. Autopilot był wyłączony. Zajrzymy i nogi za pas, mruknął do siebie, wlepiając wzrok w horyzont.

— O, nasz przyjaciel! — odezwał się obserwator. — Kierunek dwa-osiem-jeden. Obaj piloci, pierwszy i drugi, mechanicznie zwrócili oczy na prawo. Jak było do przewidzenia, niczego nie zobaczyli. Drugi pilot powrócił do obserwacji instrumentów pokładowych. W nocy nie należało spuszczać z nich wzroku. Brak zewnętrznych punktów odniesienia groził zawrotem głowy i utratą orientacji przestrzennej. Lotnicy bardzo się tego bali. Samolot zbliżał się do warstwowych chmur. Pilot rzucił okiem na miernik temperatury na zewnątrz. Zero. Doskonale. O

parę stopni mniej, a groziło pokrycie skrzydeł i kadłuba warstewką lodu, a *B-1*, podobnie jak większość samolotów bojowych, nie miał urządzeń odladzających. Chmury więc nie przeszkadzały. Na szczęście była to elektroniczna misja, a nie bojowa, i chmury nie przeszkadzały także wysyłanym i odbieranym wiązkom radarowym.

Jednakże chmury zawierają wodę i drugi pilot zapomniał, że czujnik termometru był w nosie, ogon zaś znajdował się nieco wyżej. Za usterzeniem pionowym temperatura wynosiła minus dwa stopnie i na statecznikach już powstawała warstwa lodu, za cienka, aby w jakikolwiek sposób pogorszyć sterowność, lecz wystarczająca, by nieco zmienić sylwetkę samolotu, którego PR zależał od przestrzegania dosłownie milimetrowych limitów tolerancji.

— Potwierdzony kontakt — oświadczył kapitan Kami Dwa. Ustawił kontakt na konsolce i przekazał obraz na monitor pułkownika. — To może być drugi.

— Mam! — wykrzyknął pułkownik, obserwując wyrównanie pułapu przez obiekt, który leciał prosto w kierunku Tokio. To nie był chyba jednak samolot rejsowy. Nie miał transpondera.

I kurs był niewłaściwy. Nie ta wysokość lotu. Szybkość penetracji obszaru nie ta. To musiał być nieprzyjaciel. Doszedłszy do tego wniosku, wysłał oba myśliwce w pogoń.

— Myślę, że powinienem starać się dowiedzieć czegoś więcej, jeszcze pomacać...

powiedział.

— Nie! — zdecydował pułkownik przez interkom.

Oba myśliwce *F-15J* właśnie zakończyły pobieranie paliwa i znajdowały się w dobrym miejscu, by wykonać polecenie. Alfanumeryczne ekrany na obu Kami wykazywały, że myśliwce są dość blisko, a piloci na ich pokładach widzieli ten sam obraz i nie musieli włączać własnych radarów namierzających cel. Przy ich prędkości ośmiuset kilometrów na godzinę i podobnej prędkości zbliżającego się nieprzyjaciela, przechwycenie było kwestią minut.

Jednocześnie Kami Dwa wysłał meldunek do regionalnego dowództwa obrony przeciwlotniczej i wkrótce wiele par oczu obserwowało na ekranach elektroniczny dramat.

Wykryto już trzy zbliżające się samoloty w szyku natarcia. Jeśli to są *B-1*, myślano, to — jak każdy wiedział — mogą mieć na pokładzie bomby lub pociski manewrujące. Co najgorsze, znajdowały się już w odległości pozwalającej na ich odpalenie. Stwarzało to poważny problem dla dowódcy obrony przeciwlotniczej. Pora dnia jeszcze bardziej pogłębiała ów problem.

Otrzymane przezeń instrukcje nie były dość szczegółowe. Tokio również nie dało ogólnych wytycznych, na których można by się oprzeć. Niemniej faktem było, że obce samoloty wdarły się w strefę obrony, w której mogły latać jedynie rozpoznane i uprawnione samoloty. Poza tym były to najprawdopodobniej bombowce. I co teraz? Generał nie wiedział, co ma teraz zrobić.

Chwilowo nakazał myśliwcom rozdzielić się i w pojedynkę dotrzeć do osobnych celów.

Wszystko działo się zbyt szybko. Generał powinien był to przemyśleć, ale przecież trudno jest wszystko przewidzieć. I były to bombowce, prawda? I znajdowały się zbyt blisko, prawda? W dodatku zbliżały się bardzo szybko...

— Jeszcze nas trafiają wiązkami? — spytał dowódca *B-1B*. Chciał zbliżyć się do latającego radaru nie więcej niż na dwieście kilometrów. Już obmyślał procedurę odejścia.

— Nie, sir — odparł oficer-operator. — Co sześć sekund zamiatają wiązkami przestrzeń, ale żaden elektroniczny sygnał nas nie namierza.

— Chyba nas nie widzą — podzielił się swymi myślami dowódca.

— A jeśli zobaczą, to wysiadamy w mgnieniu oka — stwierdził drugi pilot, nerwowo na przemian zaciskając i wyprostowując palce. Miał nadzieję, że się nie myli i nie okazuje zbyt wielkiego optymizmu.

Nie było jakiegokolwiek ostrzeżenia. I nie mogło być... Myśliwce znajdowały się ponad chmurami.

Schodzenie przez chmury kryło pewne niebezpieczeństwo. Otrzymane rozkazy sprawiły dużą ulgę po tygodniach szkolenia i przygotowań, po długich nocach nudnego rutynowego patrolowania. Kami Dwa zmienił częstotliwości i zaczął elektronicznie namierzać trzy zbliżające się cele.

— Namierzyli nas! — wykrzyknął oficer walki elektronicznej. — Zmienili częstotliwość, silna pulsacja na paśmie Q.

— Prawdopodobnie dopiero co nas dostrzegli. — Logiczne rozumowanie, prawda? Jak tylko otrzymali pierwszy sygnał, postanowili go skonkretyzować. To pozostawiało trochę czasu.

Pułkownik postanowił utrzymać kurs jeszcze przez kilka minut, ciekawy, co będzie dalej.

— Nie zawraca — powiedział kontroler. Wszyscy na pokładzie byli pewni, że natychmiast zawróci. Mógł być tylko jeden powód, dla którego intruz tego nie zrobił, w związku z czym decyzja była oczywista. Kami Dwa ponownie zmienił częstotliwości na ogniowe, a jeden z myśliwców odpalił dwie rakiety naprowadzane aktywną głowicą radarową. Dalej na północ drugi *Eagle* znajdował się jeszcze zbyt daleko od wyznaczonego mu celu. Pilot włączył

dopalacze.

— Uwaga! Namierzyli nas. Namiar ogniowy!

— Unik w lewo! — Pułkownik przechylił drążek i zwiększył maksymalnie obroty, by z ogłuszającym wyciem silników rozpocząć nurkowanie aż po bezmiar spienionych fal. Z ogona bombowca wytrysnęły flary w otoczcze chmury pasków folii metalizowanej i jakby znieruchomiały w zimnym powietrzu. Wyrafinowany radar na pokładzie *E-767*, natychmiast rozpoznał i zignorował te „chmury”. Mikrowiązka radarowych promieni tkwiła uparcie na nurkującym bombowcu. Rakiety bez trudu mogły za nim podążać. Postęp w elektronice i lata doskonalenia sprzętu przyniosły rezultat. Pokładowi technicy i operatorzy komentowali półgłosem niespodziewaną sytuację. Cały ten system został bowiem stworzony do ochrony przed Rosjanami, a nie Amerykanami. Nieprawdopodobne.

— Nie możemy uciec z wiązki! — Oficer walki elektronicznej usiłował zastosować zagłuszanie, ale wiązka raz po raz padająca na aluminiową skórę *Lancera* uderzała z mocą dwóch milionów watów i urządzenia zagłuszające nie mogły dać sobie z nią rady. Pilot usiłował

oderwać się od wiązki skomplikowanymi manewrami. Załoga nie miała pojęcia, gdzie znajdowały się w tej chwili rakiety, i mogła robić tylko to, co zalecały instrukcje, a instrukcje, jak to sobie uświadomili zbyt późno, nie przewidywały podobnej sytuacji, może nie tyle sytuacji, co przeciwnika. Kiedy pierwsza rakietka eksplodowała w zetknięciu z prawym skrzydłem, znajdowali się już zbyt blisko wody i nie było mowy o odpaleniu pironabojów wyrzucających fotele z siedzącymi w nich członkami załogi.

Drugi *B-1* miał więcej szczęścia. Rakietka uszkodziła dwa silniki, ale na dwu pozostałych udało się im oddalić od brzegu Japonii tak szybko, że myśliwce nie zdążyły ich dopaść. Załoga błagała

Opatrzność, by pozwoliła jej dotrzeć do wyspy Shemya, nim znów cokolwiek, równie ważnego, jak silniki odpadnie z ich kosztującej sto milionów dolarów maszyny. Reszcie patrolu tym razem uszło na sucho. Załogi miały nadzieję, że ktoś im po ludzku wyjaśni, gdzie popełniono błąd.

W tym wszystkim najważniejsze było to, że nastąpił kolejny wrogi akt i że czterech ludzi straciło życie. I dla obu stron będzie coraz trudniejsze wycofanie się z wojny, którą nie rządziły żadne czytelne reguły.

Branie pod rozwagę

Ryan zdawał sobie sprawę, że chociaż to, co się stało, nie stanowiło niespodzianki, rodzin poległych lotników to nie pocieszy. W założeniu misja była prosta i bezpieczna. Ponurą w tej sytuacji korzyścią z wyprawy było zdobycie smutnej wiedzy: Japonia miała najlepsze na świecie samoloty wczesnego ostrzegania. I z tym przede wszystkim należy się uporać, jeśli chce się Japonii wyrwać nuklearne zęby. A wyrwanie ich jest absolutną koniecznością — priorytetem. Na biurku Ryana leżał stos dokumentów. W pierwszym rzędzie raporty NASA o japońskich *SS-19*.

Był to opis prób dokonywanych w przeszłości przez Japończyków i ocena sprawności rakiet. Ich domniemana nośność. Wszystko to były oczywiście domysły. Ryan potrzebowałby czegoś więcej. Ale tak to już zawsze bywa z informacjami wywiadowczymi, nigdy nie ma dość elementów, aby podjąć w pełni przemyślaną decyzję. Brakujące elementy uzupełniane są domysłami i podejmujący decyzję modli się, aby Opatrzność nad nim czuwała. Ryan z ulgą przyjął bzyczenie *STU-6*. Przynajmniej na chwilę mógł się oderwać od rozmyślań, co też może powiedzieć prezydentowi w sprawach, w których brak mu jest tylu danych.

— Cześć, Mary Pat! Masz coś nowego?

— Koga chce się spotkać z naszymi ludźmi. Wstępna ocena dowodzi, że nie jest zadowolony z rozwoju sytuacji. Niemniej spotkanie uważam za ryzyko.

Byłoby mi znacznie łatwiej podjąć decyzję, gdybym nie znał tych agentów, pomyślał

Ryan. — Zgadza się — odparł. — Potrzebny jest nam każdy skrawek informacji. Musimy się dowiedzieć, kto tam w tej chwili rządzi, kto podejmuje decyzje.

— W każdym razie nie rząd. Z pewnością nie. Wszystko na to wskazuje. I tym można wytłumaczyć fakt, że rosyjski wywiad nic nie wiedział o szykujących się wydarzeniach. Tak więc narzucającym się pytaniem jest...

— Odpowiedź na to pytanie, droga Mary, brzmi „tak”.

— I ktoś będzie musiał wycofać się z tego wszystkiego — powiedziała spokojnym głosem zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

— Ktoś na pewno będzie musiał się wycofać — potwierdził zdecydowanym głosem doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Był młodym dyplomatą w wieku dwudziestu pięciu lat, którymś tam zastępcą zastępcy attache handlowego. Rzadko kiedy zapraszano go na ważne spotkania, a kiedy już do tego dochodziło, krążył po sali niby niepozorny paż z dawnej epoki, kręcąc się koło starszych rangą i przynosząc drinki. Był, oczywiście, oficerem wywiadu, także niskiej rangi. Jego zadanie polegało między innymi na wyjmowaniu meldunków z tak zwanych martwych skrzynek. Robił to, gdy szedł rano do pracy w ambasadzie, no i tylko wtedy, gdy po drodze zauważył znak wskazujący, że ktoś coś gdzieś pozostawił. Tego właśnie tokijskiego poranku taki sygnał się pojawił.

Wykonywana przez młodego człowieka czynność „listonosza” stanowiła jednocześnie wyzwanie dla jego pomysłowości. Zabieranie meldunków musiało sprawiać wrażenie wydarzenia przypadkowego. I za każdym razem powinno wyglądać inaczej, aby nie budzić podejrzeń swoją niezwykłością czy odstępstwem od rutyny. Był to dopiero jego drugi rok w terenie, ale już zaczynał się zastanawiać, jak do diabła ludzie zachowują w tym wywiadowczym interesie równowagę umysłu.

Jest! Puszka po Coca-Coli. Czerwona puszka. Leżała w rynsztoku, między krawężnikiem a tylnym kołem Nissana, dwadzieścia metrów przed nim, dokładnie tam, gdzie miała leżeć.

Musiała tam być od niedawna, gdyż inaczej ktoś by ją sprzątnął i wrzucił do pobliskiego kosza.

Młody człowiek podziwiał czystość miasta. Mieszkańcy byli z tego bardzo dumni. Prawdę mówiąc młody dyplomata podziwiał prawie wszystko w tych ludziach. Byli pracowici i grzeczni, ponadto wyróżniało ich wiele innych cnót. Dlatego też trochę się bał inteligencji i sprawności tutejszego kontrwywiadu. Pocieszał się tym, że posiada status dyplomaty, więc najgorsze, co mu się może przytrafić, to kompromitacja i koniec kariery, którą i tak mógł zawsze zmienić. Jego obecne obowiązki wiele go nauczyły — jeśli idzie o cienie zawodu agenta i nie tylko — i zawsze znajdzie dla siebie jakieś zajęcie, jeśli postanowi zrezygnować z państwowej służby. Idąc zatłoczonym chodnikiem w pewnej chwili pochylił się i bez zatrzymywania podniósł puszkę.

Dno puszki było głęboko wklęsnięte, aby łatwiej ustawiać puszki jedna na drugiej. Młody człowiek palcem sprawnie zgarnął przyczepiony tam taśmą meldunek, po czym puszkę wrzucił

do najbliższego kosza na skrzyżowaniu, przy którym skręcał w prawo do ambasady. I oto miał za sobą jeszcze jedną ważną misję, sprawnie wykonaną, choćby na pozór wyglądało to jedynie na podniesienie ulicznego śmiecia w tym zwariowanym na punkcie czystości mieście. Dwa lata szkolenia po to, aby zostać śmieciarzem, pomyślał. No cóż, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za kilka lat będzie werbował agentów. I już nie będzie musiał brudzić rąk, schylając się do rynsztoków.

Gdy wszedł do ambasady, skierował kroki do sekretariatu majora Szczerienki, oddał to, co podniósł na ulicy, i dopiero wtedy poszedł do attaszatu handlowego, aby przez parę godzin wykonywać urzędnicze czynności.

Borys Szczerienko był jak zawsze niezwykle zajęty. Na tokijską placówkę jechał w przekonaniu, że będzie to miłe miejsce do spokojnego szpiegowania. Szpiegowanie miało dotyczyć spraw handlowych. Poza tym chodziło o poznanie technologii przemysłowych, które łatwo byłoby przenieść na grunt rosyjski. W rzeczywistości wszystko to razem leżało raczej w domenie biznesu niż szpiegostwa. Jednakże przepadnięcie siatki OSET Olega Lialina okazało się prawdziwą katastrofą. Przez dłuższy czas bez powodzenia usiłował naprawiać jej skutki. Zdrajca Lialin był prawdziwym mistrzem we wręczaniu się do wnętrza wielkich korporacji, natomiast Szczerienko optował na rzecz bardziej konwencjonalnej penetracji kół rządowych. Jego wysiłki zastąpienia siatki Lialina własnymi kontaktami zaczęły już przynosić pierwsze owoce, kiedy nagle kazano mu się zająć zupełnie czymś innym. Nowa misja niedawnych sojuszników zaskoczyła go bez wątpienia nie mniej, niż Amerykanów. Amerykanie okazali się bardzo nieroztropni, dopuszczając do wymazania z własnej pamięci truizmu, że nie wolno nikomu ufać, zwłaszcza przyjacielom.

Malutki rulon pozostawiony mu na biurku nie był na szczęście nazbyt trudny do odczytania: dwie klatki czarno-białego filmu 35 mm. Negatyw był już wywołany. Pozostawało jedynie wyswobodzić film z szarego plastiku i rozwinąć. Mimo to zajęło mu to aż kilka minut.

Mimo świetnego wyposażenia stacji we wszelaki sprzęt, niektóre czynności były wykonywane ręcznie, przypominając czasami składanie jakiejś dziecinnej zabawki. Szczerienko trzymał się pod jaskrawym światłem, używając kieszonkowego scyzoryka i omal nie pokaleczył sobie palców. Po uwolnieniu filmu z plastikowego kokonu, klatki umieścił w tekturowych ramkach i kolejno włożył do przeglądarki. Następna czynność polegała na przepisaniu danych na papier, co należało do czynności raczej nudnych, jednakże wartych wykonania, co stwierdził po zapoznaniu się z tekstem. Oczywiście, będzie to trzeba sprawdzić przez inne źródło, niemniej wiadomości były dobre.

— Macie swoje dwie platformy — powiedział przedstawiciel AMTRAK-u. Miejsce ukrycia platform było tak naturalne, że nikomu przedtem nie przyszło to do głowy i potrzeba było całego dnia, aby sobie zdać sprawę z prostoty pomysłu: stały sobie na boczniczy doświadczalnego poligonu rakietowego w Yoszinobu, a tuż obok leżały trzy kontenery dla rakiet *SS-19/H-11*.

— A tam zza budynku widać jeszcze jeden — obwieścił triumfalnie ekspert kolejowy.

— Chyba tych platform musi być więcej — zauważył Chris Scott.

— Też tak sędzę. Ale nie dobiliśmy jeszcze do mety. To może być tylko miejsce przechowywania taboru — ostrzegła Betsy. — Bardzo logiczne miejsce.

— Tu albo gdzie indziej. Może w jakiejś montowni — mruknął Chris Scott. Czekali teraz na informacje z nowego źródła. Jedyne *KH-12* na orbicie zbliżał się nad Japonię i był

zaprogramowany do przyjrzenia się swym radarem określone skrawkowi doliny. Informacje uzyskane dzięki obserwacji w paśmie widzialnym były bardzo pożyteczne: między jedną a drugą wizytą *KH-11* zniknęło gdzieś pięćdziesiąt metrów boczniczy. Zdjęcia pokazywały po obu stronach

toru słupy, jakich normalnie używa się do rozpinania trakcji elektrycznej. Ale żadne druty nie łączyły słupów. Być może słupy ustawiono po to, aby torom nadać wygląd zwykłej odnogi w oczach podróżnych przejeżdżających tuż obok głównym torem. Ot, takie ćwiczonko w ukrywaniu rzeczy przez wystawianie ich na widok publiczny wśród innych przedmiotów.

— Wiecie, gdyby to tak zostawili... — zaczął ekspert kolejowy, raz jeszcze przyglądając się zdjęciom.

— Właśnie — odparła Betsy patrząc na zegarek. — Ale nie zostawili. — Na skrócie w dolinę rozpięto między słupami siatkę maskującą. Pasażerowie pociągu nic nie dostrzegą, gdyż to jest już zbyt daleko, a oni troje w tym pokoju też by nic nie dostrzegli, gdyby *KH-11* miał inny cykl przelotu nad tym miejscem. — Jeśli zdecydowali się to robić, to czego oczekiwać następnie?

— Jeśli chcą wszystko ukryć przed wami? — spytał ekspert kolejowy. — Bardzo proste.

Na bocznicę ustawią tabor do konserwacji linii. Zwykły, spodziewany przez każdego widok. I jest miejsce. Tylko że powinni byli to zrobić od razu. Czy ludzie zawsze robią takie błędy?

Wszyscy ludzie?

— Chyba tak — odparł Scott.

— Na co teraz czekamy? — spytał kolejarz.

— Zobacz pan.

Wyprowadzony przed ośmiu laty na orbitę przez prom kosmiczny „Atlantis” satelita *KH-12* przetrwał znacznie dłużej niż jego zaprogramowane życie i, podobnie jak wiele innych produktów kosmicznych firmy, która go skonstruowała — TRW, nadal cykał zdjęcia spod niebios. Siły Powietrzne nazywały go „TR Wspaniały”. Pojazd, niestety, nie miał już kropli paliwa pozwalającego na manewrowanie, co w praktyce oznaczało, że trzeba było po prostu czekać, aż nadleci nad konkretne miejsce, i mieć nadzieję, że jego operacyjna wysokość jest akurat taka, jaka jest potrzebna do wykonania konkretnego zadania.

Satelita miał kształt cylindra, długości około dziesięciu metrów, a z boków sterczały mu gigantyczne „skrzydła” — baterie słoneczne dostarczające energię elektryczną potrzebną do zasilania radaru operującego w paśmie Q. Na przestrzeni lat baterie słoneczne uległy znacznemu wyeksploatowaniu z powodu intensywności kosmicznego promieniowania, pozwalając na zaledwie

kilkuminutowe

działanie

urządzeń

radarowych

podczas

jednego

obrotu

okołoziemskiego. Obsługa naziemna długo czekała na tę okazję. Orbita satelity z północnego zachodu na południowy wschód, zaledwie o sześć stopni omijała dolinę. Wprawdzie analitycy woleliby, żeby *KH-12* przelatywał nad nią bezpośrednio, jednakże i owe sześć stopni pozwalały na zajrzenie w głąb doliny, o której wiele już wiadano. W każdym razie poznano całą jej geologiczną historię. Płynęła przez nią rzeka, szerokim rozlewiskiem przeciskająca się obecnie przez zaporę, na której znajdowała się hydroelektrownia. Właściwie do tej doliny lepiej pasowała nazwa kanionu i dlatego tu umieszczono wyrzutnie raketowe. Z jednej strony nie było problemu z wystrzeliwaniem rakiet startujących pionowo, z drugiej wysłane przez wroga rakiety balistyczne nie działałyby nic, uderzając po prostu w okalające łańcuchy górskie. Nie było nawet ważne, czyje byłyby to rakiety. Kanion skalny zapewniał osłonę zarówno od wschodu, jak i od zachodu. Dzięki temu o tę naturalną zaporę rozbiłyby się zarówno głowice rosyjskie, jak i amerykańskie. Wybór miejsca był w istocie doskonały — z obu stron granitowa osłona przed obcym atakiem. Każdy silos chroniony kamiennym pancierzem.

— Betsy! Jest już prawie w dobrym położeniu! — powiedział Scott, patrząc na ścienny zegar.

— Co możemy konkretnie zobaczyć?

— Nic się nie bój. Jeśli tam są, to je zobaczymy. Czytujesz najnowsze prace z dziedziny technologii kosmicznej?

— Wiesz, że nie mogę się bez nich obejść.

— W 1980 roku NASA wysłała na orbitę satelitę, którego zadaniem było przyjrzenie się delcie Nilu, jej podziemnym korytarzom, które pompują wodę do Morza Śródziemnego.

Zrobiliśmy dokładną mapę.

— Podobno zastosowano tę samą technikę orbitalnej penetracji, żeby ustalić bieg podziemnych kanałów nawadniających, zbudowanych przez Majów. Coś sobie przypominam —

odezwał się ekspert kolejowy. — Ale dobrze nie rozumiem, czego spodziewacie się w tym przypadku?

— Tak naprawdę, to nie była misja NASA, tylko nasza. Chcieliśmy pokazać Rosjanom, że nie uda się im ukryć raketowych silosów przed naszym zwiadem satelitarnym. No i wreszcie zrozumieli — wyjaśniała Fleming.

I w tej właśnie chwili kodowany faks zaczął ćwierkać. Sygnał z *KH-12* został przejęty przez satelitę

geostacjonarnego nad Oceanem Indyjskim, a stamtąd dotarł do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze odczyty nie były jeszcze wzmocnione, ale chyba pozwalały na ogólne zorientowanie się. Betsy i Scott mieli w każdym razie taką nadzieję. Scott wyrwał z faksu rozszyfrowany pierwszy obraz, położył go na stole pod jasną lampą, tuż obok zdjęcia tego samego terenu.

— Niech pan mi powie, co pan widzi? — spytał Scott.

— No, widzę główną linię... Ooo! Nawet widać podkłady, ale nie tory... Tory są zbyt małe dla tego waszego orbitalnego oka, co?

— Zgadza się — odparła Betsy kolejarzowi. Betsy odszukała bocznice. Betonowe podkłady mogły mieć piętnaście centymetrów szerokości. Uwydatniały się wyraźnie w radarowym odbiciu. Przypominały rząd pionowych kreseczek na negatywie.

— Bocznica prowadzi daleko w głąb doliny! Wreszcie możemy to zobaczyć! —

wykrzyknął kolejarz z twarzą nisko pochyloną nad radarowym zdjęciem. Wytyczał trasę końcem pióra. — Tak, tak i skręca, skręca... — A co to jest? — spytał wskazując na skupisko białych kropeczek.

Scott przyłożył do papieru miarkę. — Berty, co o tym powiesz?

— Wszystkie blisko siebie. Boże, Boże, jacy my jesteśmy sprytni, co? To ich kosztowało fortunę.

— Wspaniała robota — przyznał Scott. Bocznica kolejowa skręcała w dolinie raz w lewo, raz w prawo, a co dwieście metrów znajdował się silos w odległości nie większej niż trzy metry od torów.

— Ktoś to dobrze wymyślił.

— O czym mówicie? — spytał kolejarz.

— Tak zwane zagęszczenie — odparła pani Fleming. — W praktyce oznacza to, że jeśliby ktoś chciał puknąć rakieta w pole startowe zgromadzonych tu silosów, to już eksplozja pierwszej głowicy jądrowej wyrzuci w powietrze tyle odłamków skały, że następna lecąca głowica zostanie przez nie unicestwiona.

— I oznacza to jednocześnie, że mowy nie ma o wykorzystaniu głowic nuklearnych do zaorania tego poletka. W każdym razie byłoby to piekielnie trudne — wtrącił Scott. — No więc teraz podsumujcie to wszystko dla mnie, drodzy państwo.

— Bocznica prowadzi do ślepej doliny — zaczął kolejarz. — Nie jest to odnoga dla ruchu pasażerskiego. Nikt na niej nigdy centa nie zarobi. Nie jest to bocznica dla służb technicznych kolei. Przede wszystkim jest na to zbyt długa. Tory są standardowej szerokości.

Najprawdopodobniej dlatego, że to, co się nimi przewozi, jest pokaźnych rozmiarów i wymaga szerokich torów.

— I nad tą boczną rozpostarto siatkę maskującą — zakończyła podsumowanie Betsy i natychmiast przystąpiła do sporządzania raportu, potrzebnego Ryanowi jeszcze tego samego wieczoru. — Chris, znaleźliśmy! — odetchnęła z ulgą.

— Ale ja mogę doliczyć się tylko dziesięciu. Musimy odszukać drugą dziesiątkę.

Trudno było o tym mówić, jako o sytuacji korzystnej, jednakże zmniejszenie liczby okrętów wojennych sprawiło, iż magazyny i składowiska pękały od zbędnego już sprzętu, a rezerwy ludzkie były też wcale pokaźne. W związku z tym znalezienie trzydziestu siedmiu ludzi nie sprawiło najmniejszych trudności. Załoga „Tennessee” wynosiła teraz stu dwudziestu marynarzy, w dalszym ciągu o trzydziestu siedmiu mniej niż wynosił etat okrętu klasy *Ohio*.

Jednakże z tym, co teraz miał, Dutch Claggett mógł się już pogodzić. Przecież technicy raketowi nie byli mu potrzebni.

Miał natomiast zbyt wielu starszych bosmanów. No cóż, i to akceptował. Trzeba mieć podejście filozoficzne. Teraz stał przy kiosku i przyglądał się, jak w świetle reflektorów marynarze przeładowują do wnętrza okrętu potrzebne na drogę zapasy żywności i części. Reaktor pracował, cała maszynownia była w pogotowiu. Jeszcze w tej chwili główny mechanik kontynuował szkolenie. Przez klapę załadowniczą z przodu okrętu wsuwano właśnie zieloną torpedę ADCAP 48. Kierował tym podoficer torpedowy. I najmniejsza rzecz nie umykała jego spojrzeniu. Miano załadować tylko szesnaście torped, jednakże Claggett nie przypuszczał, aby aż szesnaście było mu potrzeba do powierzonej misji, mimo że mu jej jeszcze nie podano.

Przypomniał sobie „Asheville” i „Charlotte”. Znał ludzi z obu. Skoro teraz Waszyngton daje sygnał, podnosząc kciuk do góry, to znaczy, że być może uda się odplącić za śmierć tamtych.

Na nabrzeżu, tuż przy okręcie zatrzymał się samochód, z którego wysiadł starszy podoficer z metalową teczką. Wszedł na pokład, omijając członków załogi przesuających kartony i zszedł na dół.

— Aha, to jest to komputerowe oprogramowanie do usprawnienia hydrolokatora —

powiedział pierwszy oficer. — Z tym programem latano za wielorybami. Ile czasu potrzeba na przegranie tego do pamięci komputera?

— Podobno tylko kilka minut — odparł podoficer, który przywiózł program.

— Chcę odpłynąć przed świtem, jako pierwszy — powiedział Claggett.

— Zrobi się. Pierwszy przystanek Pearl Harbor?

Claggett skinął potakująco głową, wskazując na pozostałe okręty klasy *Ohio* także pobierające zapasy. — I niech mnie żaden z tych cwaniaków nie uprzedzi. Chcę być pierwszy.

Wrażenie nie było specjalnie miłe, niemniej widok cieszył oczy. „Johnnie Reb” stał na rzędach drewnianych bali i wznosił się ponad dno suchego doku niczym gigantyczny budynek.

Komandor Sanchez postanowił to obejrzeć i dlatego stał teraz obok dowódcy okrętu. Na ich oczach szczęki dźwigu zdejmowały z wału resztki śruby. Robotnicy i inżynierowie w różnokolorowych kaskach ochronnych oceniali szkody, pochyleni nad wystającym z pierścienia końcem wału. Zbliżyła się paszcza innego dźwigu i zaczęła wyciągać czwarty wał. Było to możliwe, ponieważ na przegubie odczepiono już od wewnątrz drugą, znacznie dłuższą część.

— Sukinsyny! — mruknął dowódca „Johnnie Reba”.

— Uda się wszystko przywrócić do dawnego stanu — odparł Sanchez.

— Cztery miesiące. Jeśli będziemy mieli szczęście — dodał dowódca okrętu. Gdyby były części zapasowe! Ale ich nie było. O szybszym remoncie nie ma mowy. Największą trudność stanowiły oczywiście zestawy trybów do reduktora. Trzeba będzie wyprodukować sześć takich zestawów, a na to potrzeba czasu. Wszystkie przekładnie, cały system przenoszenia napędu nadawał się na szmelc. A chęć szybkiego wyprowadzenia „Enterprise” ze strefy zagrożenia na bezpieczne wody spowodowała, że ostatni, jeszcze dobry zestaw, uległ też całkowitemu zniszczeniu. Raczej trzeba liczyć, że to potrwa sześć miesięcy. I to jedynie wówczas, jeśli ktoś przekona wykonawców, że trzeba się śpieszyć. I jeśli praca będzie odbywała się na trzy zmiany.

Bo główną sprawą były te przekładnie zębate. Reszta to już zwykły remont.

— Ciekaw jestem, ile trwa wsadzenie nowego wału? — spytał Sanchez. Dowódca okrętu wrzucił ramionami. — Bo ja wiem... Dwa albo trzy dni. Sanchez zawahał się przed zadaniem następnego pytania. Przecież sam powinien znać odpowiedź. Bał się więc, że pytanie zabrzmiałoby kompromitująco. Ale co tam! Tak czy inaczej musiał dostać się do Barbers Point. A tak właściwie, jedynymi głupimi pytaniami są te, których się nie zadało.

— Przepraszam za idiotyczne pytanie, ale jak szybko lotniskowiec może płynąć na dwóch śrubach?

Ryan żałował, że Towarzystwo Ziemi Płaskiej jest w błędzie. Gdyby tak nie było, cała ziemia miałaby jedną strefę czasową. W obecnym układzie Mariany miały czas o piętnaście godzin późniejszy, Japonia o czternaście, Moskwa o osiem, a główne europejskie rynki finansowe o pięć lub sześć, w zależności od kraju. Hawaje natomiast miały czas o pięć godzin wcześniejszy. Ryan miał potencjalnych rozmówców we wszystkich tych miejscach, a każdy z rozmówców pracował według czasu lokalnego. Trudno zapamiętać, kto gdzie kiedy pracuje, kto już oprzytomniał po nocnym odpoczynku, a kto jeszcze śpi. Myślenie o tym zajmowało mu wiele czasu. Leżąc w łóżku wspominał, jaki czuł się zawsze zdezorientowany podczas długich lotów.

— Rozmyślasz? — spytała Cathy.

— Trzeba mi było pozostać w biznesie — mruknął.

— I kto by się wtedy zajmował tym wszystkim, czym ty się zajmujesz?

Wziął głęboki oddech, — Ktoś inny.

— Ale nie tak dobrze, jak ty, Jack — odparła.

— To prawda — powiedział, nadal patrząc w sufit.

— Co sądzisz? jak zareagują ludzie?

— Pojęcia nie mam. Nie wiem nawet, jak ja na to reaguję. To nie tak miało być. Tak nie powinno być. Jesteśmy w stanie wojny, która nie ma sensu. Nic z tego nie można zrozumieć.

Pozbyliśmy się ostatnich naszych rakiet balistycznych przed dziesięcioma dniami, a teraz groźba powróciła. Takie same rakiety są wycelowane w nas, a my niczego nie możemy wycelować w nich, a jeśli szybko nie pozbedziemy się tej groźby... Sam już nie wiem, Cathy...

— Czuwanie ci nie pomoże.

— Dzięki Bogu, że ożeniłem się z lekarką. — Zdobył się na uśmiech. — W każdym razie w jednej sprawie bardzo nam pomogłaś, kochanie. Dzięki tobie pozbyliśmy się jednego poważnego problemu.

— Dzięki mnie?

— Tak. Bo jesteś sprytna i bardzo zorganizowana. — Jego żona nie robiła nigdy nic, nie przemyślałszy tego przedtem. Pracowała znacznie wolniej, niż było to przyjęte w jej profesji.

Może to właśnie powinno być normą, jeśli chce się otwierać w swojej dyscyplinie nowe horyzonty. Powolność dyktowana dokładnością i potrzebą przemyślenia. Trzeba zaplanować, przeanalizować. W zasadzie to samo, co musi robić pracownik wywiadu. A kiedy wszystko jest wreszcie ułożone w głowie, w pełni przetrawione i zrozumiałe, wtedy lekarz dopiero bierze do ręki laser i tnie. Tak się powinno zawsze operować, prawda?

— Myślę, że pojęli przynajmniej jedną lekcję — powiedział Yamata. Śmigłowiec ratowniczy wydobył z wody dwa ciała i jakieś resztki amerykańskiego samolotu. Zdecydowano, że ciała będą potraktowane z należnymi honorami. Nazwiska obu oficerów przeteleksowano już do Waszyngtonu via ambasada japońska. W swoim czasie szczątki będą przekazane rodzinom.

Zawsze należy okazywać miłosierdzie. Z wielu powodów. Przede wszystkim któregoś dnia Japonia i Stany Zjednoczone znów będą w przyjaźni i nie należało drobiazgami zatruwać atmosfery. A poza tym okazywanie współczucia jest również korzystne dla interesów.

— Ambasador informuje, że Amerykanie nic nam nie ofiarowują — odparł po dłuższej chwili Goto.

— Jeszcze w pełni nie przeanalizowali swojej sytuacji. I swojego stanowiska. Naszego też nie.

— Czy uda się im udzielić systemy finansowe?

Yamata zmarszczył czoło. — Być może. Ale nadal mają wielkie kłopoty. W dalszym ciągu muszą też od nas kupować, w dalszym ciągu muszą nam sprzedawać. I nie mogą nas skutecznie zaatakować, o czym na swą zgubę dowiedziało się czterech, a być może nawet ośmiu ich lotników. — Nie wszystko udało się tak, jak to sobie Yamata planował, ale właściwie kiedyż to wszystko się udaje? — Teraz musimy im pokazać, że mieszkańcy Saipanu wolą nas niż ich.

Wtedy opinia publiczna świata stanie po naszej stronie, co z kolei rozładuje w dużej mierze sytuację.

A poza tym wszystko idzie chwilowo dobrze, pomyślał Yamata. Nieprędko Amerykanie spróbują ponownie przebić się przez japoński system obronny. Nie mają poza tym żadnych szans na odbicie Marianów, a kiedy taką zdolność odzyskają, Japonia będzie już miała nowego sojusznika, a może nawet i nowe kierownictwo polityczne. Kto wie?

— Nie jestem śledzony — zapewnił ich Koga.

— Jako dziennikarz... no, ale... Pan sam doskonale wie, czym by to groziło, prawda? — spytał Clark.

— Wiem, że jest pan agentem wywiadu. I wiem, że Kimura się z panem kontaktuje. —

Siedzieli w wygodnej herbaciarni blisko rzeki Ara. Nieopodal znajdował się tor do regat żeglarskich zbudowany z okazji olimpiady w 1964 roku. Jest tu również w pobliżu komisariat policji, pomyślał John. Sam nie wiedział, dlaczego boi się zawsze zwrócenia na siebie uwagi policji. Niemniej w obecnej sytuacji każdy by zrozumiał jego lęki.

— W takim wypadku, Koga-san, jesteście w pańskich rękach.

— Zakładam, że wasz rząd wie już dobrze, co się dzieje. Zna całokształt sytuacji. —

Koga mówił z pewnym niesmakiem. — Ja też rozmawiałem z moimi kontaktami.

— Chodzi o Syberię — odparł krótko Clark.

— Tak — zgodził się Koga. — Ale to jest jedynie część problemu. Druga część jest rezultatem głębokiej nienawiści Yamaty-sana do Amerykanów. A w ogóle całość jest czystym szaleństwem.

— Reakcja amerykańska nie jest w tej chwili przedmiotem mojego zainteresowania, ale mogę pana zapewnić, że mój kraj łatwo się nie ugnie w obliczu inwazji na naszą ziemię — odparł spokojnie John.

— Nawet wówczas, gdyby włączyły się Chiny? — spytał Kimura.

— Zwłaszcza, jeśliby włączyły się Chiny — odezwał się teraz Chavez, chyba tylko po to, żeby wszyscy wiedzieli, że istnieje. — Mam nadzieję, że Japończycy studiują historię, podobnie jak my.

— Boję się o mój kraj. Minęły czasy podobnych rozbojów, ale ludzie, którzy... Czy pan wie, jak i kto podejmuje decyzje polityczne w Japonii? Wola narodu nie jest brana pod uwagę.

Usiłowałem to zmienić. Usiłowałem zakończyć erę korupcji.

W głowie Clarka wirowały myśli. Czy ten człowiek mówi szczerze? — Na pewno pan słyszał, że mamy podobne problemy. Powstaje pytanie, co teraz robić?

Na twarzy Kogi malowały się sprzeczne uczucia. — Nie wiem. Chciałem się z panem po to spotkać, żeby... w nadziei, że pański rząd zrozumie, że nie wszyscy tutaj poszaleli.

Widząc rozterkę tego człowieka Clark powiedział: — Nie wolno panu ani na chwilę traktować siebie jako zdrajcę, Koga-san. Nie jest pan żadnym zdrajcą. Co innego może zrobić polityk, kiedy widzi, że jego rząd posuwa się tak daleko w niewłaściwym kierunku? I ma pan całkowitą rację sądząc, że potencjalne konsekwencje obecnego postępowania mogą się okazać niesłychanie groźne. Mój kraj nie ma obecnie ani siły, ani energii, by tracić je na tego rodzaju konflikt, jednakże jeśli będzie on nam narzucony, zareagujemy ostro. Muszę zadać panu teraz pytanie.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparł Koga, spuszczać oczy na blat stołu. Chciał sięgnąć po filiżankę, ale się bał ujawnić drżenie ręki.

— Czy zgodzi się pan z nami współpracować, aby zapobiec temu, co teraz grozi? — John pomyślał, że ktoś postawiony znacznie wyżej powinien teraz zadecydować, co dalej robić z tym fantem. Ale nikogo wyżej postawionego nie było. Był tylko on, sam.

— To znaczy, co robić?

— Nie jestem na tak wysokim szczeblu, abym mógł to panu teraz powiedzieć, ale zadam pytanie mojemu rządowi. W każdym razie z pewnością będziemy pana prosić o informacje, a i być może użycie swoich wpływów. W kołach rządowych jest pan szanowaną osobistością. W

dalszym ciągu ma pan przyjaciół i sojuszników w parlamencie. Oczywiście w żadnym wypadku nie będziemy prosić o coś, co mogłoby narazić pana stosunki z kimkolwiek. To są zbyt cenne kontakty, aby cokolwiek ryzykować.

— Mogę zabrać głos, potępiając ich szaleńcze zamysły. Mogę...

— Zdaję sobie sprawę, że może pan bardzo wiele, Koga-san, ale bardzo pana proszę, dla dobra obu naszych krajów, niech pan absolutnie nic nie robi, nie rozpatrzywszy przedtem dogłębnie

ewentualnych skutków swoich działań. — Moim następnym zawodem będzie doradztwo polityczne, pomyślał John. — Zgodziliśmy się co do tego, że naszym celem jest zapobieżenie strasznej wojnie.

— *Hai!*

— Wojnę może rozpocząć każdy głupiec — wtrącił Chavez, dziękując Opatrzności, że mu pozwoliła wysłuchać magisterskich wykładów. — Uniemożliwić ją może jedynie wielki polityk, który myśli i planuje ostrożnie.

— Wysłucham waszej rady. Co nie oznacza, że jej posłucham. Ale wysłucham.

— Chwilowo to już jest wszystko. O nic więcej nie prosimy — odparł Clark. Dalsza rozmowa dotyczyła spraw proceduralnych. Następne podobne spotkanie byłoby zbyt niebezpieczne. Od tej chwili łącznikiem pozostanie Kimura. Clark i Chavez pierwsi opuścili herbaciarnię i pieszo wrócili do hotelu. Obecna misja różniła się bardzo od poprzedniej, kiedy chodziło o Mohameda Abdula Corpa. Koga był człowiekiem honoru, wysokiej inteligencji, leżało mu na sercu dobro kraju, chociaż formalnie popełniał zdradę. John zdawał sobie sprawę, że na decyzję Kogi współpracy z Rosjanami tylko po części wpłynęło słowne uwodzenie przez werbownika. W pewnym momencie polityka rządu staje się sprawą sumienia. Clark był

wdzięczny losowi, że trafił na człowieka z sumieniem.

Ze stanowiska po prawej stronie centrali dowodzenia rozległ się głos: — Wszystkie włazy zamknięte. — Jak to było w zwyczaju na okrętach podwodnych za gotowość do zanurzenia odpowiadał najstarszy stażem marynarz. Wszystko było sprawdzone i wodoszczelne, czerwone kółka na tablicy oznaczające otwarte włazy, zamieniły się teraz na poziome czerwone kreski.

— Systemy w gotowości, sprawdzone do zanurzenia. Trymowanie w toku. Gotowi do zanurzenia! — wykrzyknął oficer wachtowy.

— Dobrze. No to zjeżdżamy w dół. Zanurzenie! Głębokość trzydzieści metrów —

rozkazał Claggett, rozglądając się dokoła, by najpierw sprawdzić przyrządy, a następnie twarze ludzi. „Tennessee” nie był pod wodą od roku. Jego załoga także nie. Podczas gdy oficer wachtowy wydawał komendy, dowódca patrzył, czy żaden z członków załogi nie wykazuje objawów „głębinyowych zawrotów”. Było rzeczą zwykłą, że niektórzy co młodsi i mniej doświadczeni marynarze czasami zapominali, że należą do podwodnej elity i powinni odpowiednio reagować. Zwłaszcza na świst ulatującego powietrza. „Tennessee” lekko się pochylił od dziobu o pięć stopni i zaczął łagodnie zsuwać się w głębinę. W ciągu najbliższych minut trzeba będzie dokładnie sprawdzić, czy ładunek rozłożony jest równo, a okręt utrzymuje stabilne położenie bez przechyłów na boki. Następnie należało sprawdzić, czy wszystkie systemy są operacyjne, jak to poprzednio wykazywały inspekcje. Na to potrzebowano pół godziny. Można by to zrobić szybciej i następnym razem Claggett zamierzał tak właśnie działać, ale teraz był to ten pierwszy raz i lepiej niech wszyscy spokojnie oswoją się ze swoimi stanowiskami pracy.

— Panie Shaw, zwrot w lewo, nowy kurs dwa-jeden-zero. — Dowódcy tradycyjnie zwracają się do

młodszych oficerów per „pan” nigdy nie używając stopnia.

— Tak jest. Ster dziesięć stopni w lewo, nowy kurs dwa-jeden-zero! Sternik wiernie powtórzył rozkaz, sprowadzając okręt na jego nowy kurs.

— Cała naprzód! — rozkazał Claggett.

— Cała naprzód — powtórzył sternik. W przypadku „Tennessee” cała naprzód oznaczało dwadzieścia sześć węzłów. W rzeczywistości okręt miał jeszcze cztery węzły w zapasie. Mało kto wiedział, że ktoś gdzieś kiedyś popełnił błąd zarówno konstrukcyjny jak i klasyfikacyjny.

Plany przewidywały prędkość nieco ponad dwadzieścia sześć węzłów. Kiedy jednak dokonywano prób szybkości na pierwszym okręcie serii *Ohio*, okazało się, że liczniki wskazują ponad dwadzieścia dziewięć węzłów. Następne jednostki były jeszcze szybsze. Prawda to, że Stany Zjednoczone nigdy nie były zainteresowane w budowie okrętów osiągających małe prędkości, pomyślał z rozbawieniem Claggett, bo i po co. Te wolne tylko by się pętały i przeszkadzały.

— Dotychczas wszystko jest, jak powinno — powiedział do oficera wachtowego.

Porucznik Shaw skinął głową. Shaw był jeszcze jednym oficerem Marynarki już na wylocie.

Gdyby nie to, że pływał już poprzednio z Dutchem Claggettem i ten go teraz zażądał jako nawigatora, Shaw byłby już może w cywilu. Skoro jednak zaproponowano mu jeszcze jeden rejs na „Tennessee”, chętnie przystał. — Świetnie łapie szybkość, *skipper* — odparł.

— Ostatnio specjalizowaliśmy się wyłącznie w oszczędzaniu neutronów — zauważył dowódca.

— Jaką mamy misję? — spytał Shaw.

— Jeszcze nie jestem pewien, ale przecież jesteśmy jednym z najszybszych balistycznych okrętów podwodnych — stwierdził dowódca.

— Czas na posłuchanie czegoś.

— Niech pan słucha, panie Shaw.

Po minucie hydrolokator był już na holu poza kadłubem, wysunięty na sam środek kilwateru. Nawet przy tak dużej prędkości okrętu operator w centrali dowodzenia zaczął

otrzymywać całą furę informacji. „Tennessee” płynął teraz już pełną prędkością, schodząc na głębokość dwustu pięćdziesięciu metrów. Zwiększone ciśnienie wody zapobiegało tworzeniu się

pęcherzyków kawitacyjnych na płatach śruby. Reaktor o naturalnej cyrkulacji czynnika chłodzącego pracował cichutko, pompy nie wydawały prawie żadnego odgłosu. Gładka powierzchnia zewnętrznego kadłuba nie pozwalała na powstawanie szumów rozcinanej wody.

Załoga chodziła w obuwiu na gumowych podszewkach. Turbiny zamontowane były na stalowych paletach, związanych z kadłubem poprzez system sprężyn, aby ograniczyć rozchodzenie się rezonujących drgań maszynierii. Ta klasa okrętów podwodnych zaprojektowana była do bezszelestnego poruszania się pod wodą. A w rodzinie podwodniaków nazywano je „czarnymi dziurami”. Okręty klasy *Ohio* były w istocie najcichszymi okrętami, jakie kiedykolwiek pływały po morzach. Były ogromne, to prawda i nie tak zwrotne jak „myśliwskie” jednostki klasy *Los Angeles*, niemniej „Tennessee” i jej siostrzyce górowały jednym: nawet wieloryby miały poważne trudności, by je usłyszeć.

Ryan stwierdził, że nocny oficer dyżurny CIA należał do kategorii inteligentnych pracowników. Na tyle inteligentnych, by wiedzieć, że informacja otrzymana o trzeciej nad ranem może poczekać do szóstej. Takie myślenie należało do rzadkich w środowisku wywiadu. W

każdym razie Ryan był wdzięczny anonimowemu pracownikowi za ruszenie głową. Rosjanie przekazali wiadomość do swej waszyngtońskiej rezydentury, skąd jakiś pracownik zawiózł ją do CIA. Ryan zastanawiał się, co też sobie pomyśleli umundurowani strażnicy, kiedy o trzeciej nad ranem kazano im wpuścić do środka rosyjskiego szpiega. Z CIA wiadomość powędrowała rano samochodem do Białego Domu. Kurier, który ją przywiózł, czekał w przedpokoju gabinetu Ryana.

Źródła podają o dziewięciu (9) rakietach balistycznych w Yoszinobu. Dziesiąta jest w hali montażowej, służąc inżynierom do opracowania pewnych ulepszeń. Pozostaje dziesięć (10) lub jedenaście (11) pocisków balistycznych nieumiejscowionych. Najprawdopodobniej dziesięć. Ich m.p. nieznane. A więc jest pierwsza dobra nowina, Iwanie Emmetowiczu. Mam nadzieję, że wasi sateliciarze nie tracą też czasu. Bo nasi dalej węższą. Gotówko.

— Nie tracą czasu! Na pewno nie, Sergiej Nikołajewiczu — szepnął Ryan, otwierając okładkę drugiej teczki, którą kurier także przywiózł. Spojrzał na pierwszą kartkę. — Nasi też nie tracą czasu!

Nic z tego nie będzie, pomyślał Sanchez.

Dowódca lotnictwa Floty Pacyfiku był wiceadmirałem. I to wiceadmirałem w piekielnym humorze, podobnie jak wszyscy oficerowie w bazie Marynarki w Pearl Harbor. Odpowiedzialny za każdy samolot i pas startowy od Newady na zachód, admirał powinien koordynować ze swojego punktu dowodzenia wszystkie działania wojny, która rozpoczęła się zaledwie przed paroma dniami. Jednakże admirał nie tylko nie mógł wydawać żadnych rozkazów swoim dwóm lotniskowcom na patrolu na Oceanie Indyjskim, ale ponadto mógł gołym okiem oglądać pozostałe dwa lotniskowce stojące obok siebie w suchych dokach. I pewno będą tak siedziały tam przez wiele miesięcy, co ekipa telewizji CNN pilnie nawijała na taśmę, aby obwieścić światu.

— Czego pan chce? — warknął na gościa.

— Są jakieś plany naszej wizyty na Pacyfiku? — spytał Sanchez.

— Nieprędko.

— Będę gotów za dziesięć dni — oznajmił Sanchez.

— Mówi pan poważnie? — kwaśno zapytał admirał. — Tu już nikt poważnie niczego nie mówi.

— Pierwszy wał w porządku. Jeśli uda się naprawić czwarty, to będę mógł robić dwadzieścia dziewięć, może nawet trzydzieści węzłów. A może jeszcze więcej. W czasie prób dawaliśmy obciążenie. Bez niego nawet trzydzieści dwa.

— Mów, kochasiu, dalej.

— Tak jest. Otóż pierwszą misją musi być wyeliminowanie ich lotnictwa, prawda? —

zadał retoryczne pytanie dowódca grupy powietrznej lotniskowca „Johnnie Reb”.

— Do tego celu niepotrzebne mi *Vikingi* ani *Intrudery*. „Johnnie Reb” może wziąć na pokład cztery dywizjony *Tomów* i jeszcze drugie tyle Plastikowych Żuków, trochę *Queersów* do zagłuszania i na okrasę parę *Hummerów*. I wie pan, co?

— Wiem, to jest tyle, co oni mają na wyspach. — Admirał skinął głową. Ryzykowne.

Jedno pływające lotnisko przeciwko sporym bazom na dwu dużych wyspach... No tak, ale wyspy znajdują się w sporej odległości od siebie. Poza tym Japończycy mają tam kilka okrętów nawodnych oraz okręty podwodne. Tego właśnie należy się najbardziej bać. — Byłby to jakiś początek... — powiedział ostrożnie. — Ale to za mało — dodał.

— Potrzebne byłoby coś jeszcze — zgodził się Sanchez. — Czy jest ktoś, kto powiedziałby „nie”, kiedy o to poprosimy?

— Jeśli prośba wyjdzie z tego biurka, to nie — odparł wiceadmirał po chwili zastanowienia.

Reporterka CNN pierwszą wiadomość nadała na żywo, stojąc na szczycie gigantycznej ściany suchego doku. W tle można było widzieć dwa atomowe lotniskowce spoczywające na lesie białych bali, co budziło skojarzenia z bliźniakami w sąsiadujących kołyskach. Ktoś w Dowództwie Floty Pacyfiku dobrze za to oberwie, pomyślał Ryan. I rzeczywiście drugi reportaż na żywo pokazywał reporterkę stojącą daleko od stoczni, chociaż w głębi nadal było widać skośne pokłady obu lotniskowców. Reporterka powtarzała prawie to samo, co za pierwszym razem, dodając tylko, że dowiedziała się z dobrze poinformowanych źródeł, iż być może minie sześć miesięcy, nim „Stennis” i „Enterprise” ponownie wypłyną na morze.

Cudownie, wspaniale, prychnął Jack. Jej ocena była podobna do tej, która leżała na biurku Ryana z pieczęcią ŚCISLE TAJNE, i to odbitą czerwonym tuszem. Chociaż nie, jej ocena była lepsza, bo

oparta na rozmowach z robotnikami stoczni, mającymi wielkie doświadczenie w tych sprawach i w ogóle w sprawach remontów w tym największym na świecie warsztacie napraw

„karoserii” okrętowych i lakiernictwa. Po reporterce zabrał głos bardzo uczony ekspert — tym razem emerytowany admirał, zatrudniony w Waszyngtonie w jakimś truście mózgow — który powiedział, że odbicie Marianów będzie w najlepszym wypadku niesłychanie trudne.

Problem wolnej prasy polega na tym, że informuje ona wszystkich. W ciągu minionych dwudzięcioleci prasa stała się tak doskonałym źródłem informacji, że amerykańskie służby korzystały z niego w celu uzupełnienia luk we własnych raportach. Z drugiej strony konsumenci stali się wybredniejsi w swoich żądaniach bardziej szczegółowych informacji, na co telewizyjne sieci zareagowały zwiększeniem zarówno liczby dzienników jak i ich oprawą komentarzową.

Prasa miała, oczywiście, swoje słabe miejsca. Istotna informacja z kręgów wielkiej polityki czy biznesu polegała bardziej na przeciekach, niż materiale ujawnianym podczas konferencji prasowych. Dotyczyło to zwłaszcza Waszyngtonu. Do komentowania i analiz zapraszano też często ludzi, których fakty interesowały mniej niż klimat wokół sprawy. Natomiast w informacjach wizualnych telewizja bywała często lepsza od wyszkolonych agentów wywiadu w służbie państwowej.

Przeciwnik też polegał na tych informacjach. Obraz, który Jack oglądał teraz w swoim gabinecie, był jednocześnie oglądany przez wielu innych na całym świecie.

— Wygląda pan na zapracowanego — powiedział admirał Jackson, stając w drzwiach.

— Czekam jak mogę najszybciej — zażartował Ryan, wskazując admirałowi fotel. —

CNN właśnie nadało reportaż ze stoczni.

— To bardzo dobrze — odparł Jackson.

— Dobrze? — zdziwił się Ryan.

— „Stennis” będzie gotowy do wypłynięcia za jakieś siedem do dziesięciu dni. Mój stary koleżka, Bud Sanchez, tkwi na pokładzie i po łepetynie lata mu kilka dobrych pomysłów.

Dowództwu lotnictwa Floty Pacyfiku także.

— Za tydzień? Chwileczkę... — Jeszcze innym aspektem telewizji było to, że ludzie bardziej jej wierzyli niż informacjom oficjalnym, chociaż w tym wypadku raport służb specjalnych był identyczny z tym, co powiedziała reporterka...

Trzy były nadal w Connecticut, pozostałe trzy poddawano testom w Nowadzie. Wszystko w nich zaprzeczało tradycji. Wytwórnia w Connecticut bardziej przypominała zakład krawiecki, niż fabrykę maszyn latających. Podstawowy surowiec na kadłuby przywożono w rolach, które rozwijano na bardzo długich cienkich blatach, o wysokości normalnego stołu. Komputerowo prowadzone lasery

wycinały materiał w odpowiednie kształty. Następnie materiał laminowano i zgrzewano tak długo, aż powstawał cienki sandwich plastikowy mocniejszy od stali, ale znacznie lżejszy i, w odróżnieniu od stali, przepuszczający energię elektromagnetyczną. Przez dwadzieścia lat eksperymentowano, aby to osiągnąć, a stawiane produktowi wymagania rozrosły się z kilku stron do wielkiego tomiska encyklopedii. Typowy produkt wydumany przez Pentagon. Zbyt długo trwało jego poszukiwanie i udoskonalanie i zbyt wiele kosztował, niemniej produkt końcowy, choć może nie wart tak długiego czekania, był wart posiadania choćby za astronomiczną kwotę dwudziestu milionów dolarów od sztuki, a jak mawiali oblatywacze — od jednego fotela.

Trzy maszyny zabrane do Connecticut siedziały sobie cichutko w hangarze, kiedy przybyli pracownicy koncernu Sikorsky. Wszystkie systemy pokładowe były w pełni sprawne, a testujący piloci Sikorsky'ego oblatali je tylko tyle, ile było potrzeba, żeby się dowiedzieć, że maszyny latają. Wszystkie systemy były sprawdzone i odpowiednio wykalibrowane przez pokładowy komputer diagnostyczny, który na samym końcu sam sobie postawił diagnozę. Po uzupełnieniu paliwa śmigłowce wytoczono z hangaru na pas, a po zapadnięciu zmroku wystartowano w kierunku bazy Sił Powietrznych w Westover w zachodnim Massachusetts, gdzie miano je załadować w brzuchate giganty transportu powietrznego, *Galaxy*, z 327. Dywizjonu Transportowego i polecieć z nimi do pewnego miejsca na północny wschód od Las Vegas.

Miejsce to nie było oznaczone na mapie, chociaż jego istnienie znały dość szerokie kręgi wtajemniczonych. W Connecticut wtoczono do służącej za hangar budy trzy repliki z dykty, pozostawiając hangarowe drzwi szeroko otwarte, aby z odległej o paręset metrów, pnącej się pod górę szosy, oraz z pobliskiego osiedla mieszkalnego było je dobrze widać. I przez cały tydzień było widać ludzi kręcących się wokół atrap.

Obojętnie, jaki był cel misji, wymagania były te same. „Tennessee”, znajdujący się o pięćset mil od brzegu, zmniejszył prędkość do dwudziestu węzłów.

— Maszyna potwierdza, dwie trzecie naprzód, sir.

— Doskonale — odparł komandor Claggett. — Ster w lewo dwadzieścia stopni, nowy kurs zero-trzy-zero! — Sternik głośno powtórzył rozkaz. Następny rozkaz Claggetta brzmiał: —

Przygotować okręt do ciszy.

Claggett doskonale wiedział, co ma teraz zrobić, niemniej podszedł do stojącej z przodu konsoly, aby raz jeszcze sprawdzić promień skrętu okrętu. Dowódca też zawsze musi sam siebie kontrolować. Własne decyzje. Ostra zmiana kursu miała na celu zbadanie poziomu szumów własnych okrętu. Wyłączono cały zbędny sprzęt, a członkom załogi, nie pełniącym aktualnie służby, kazano położyć się na koje na czas dokonywania manewru. Claggett stwierdził

z zadowoleniem, że marynarze coraz sprawniej wypełniają rozkazy.

Na końcu dziewięćsetmetrowej liny „Tennessee” ciągnął za sobą układ hydrolokacyjny także dziewięćsetmetrowej długości. Claggett wpatrywał się w monitor pozycyjny. Za minutę

„Tennessee” będzie przypominał psa w pogoni za własnym ogonem, płynąc nadal z prędkością dwudziestu węzłów, zaś sonarzyści nasłuchiwać będą echa dźwięków wydostających się z ich własnego okrętu. Claggett poszedł więc do kabiny sonarzystów, aby na własne oczy oglądać odczyt na monitorze. Było to w pewnym sensie elektroniczne kazirodztwo. Najlepszy na świecie hydrolokator usiłujący wykryć najcichszy na świecie okręt podwodny.

— Złapaliśmy się, sir — powiedział technik, znacząc markerem miejsce na ekranie.

Claggett usiłował nie okazywać rozczarowania. A przecież układ nasłuchowy znajdował się zaledwie o tysiąc metrów, no i wystarczyło te kilka sekund, kiedy okręt przepływał wzdłuż niego z prędkością dwudziestu węzłów...

— Nikt nie jest absolutnie niewidzialny, *skipper* — zauważył porucznik Shaw.

— Wracamy na właściwy kurs — zarządził Claggett. — Następna próba przy piętnastu węzłach. — I zwrócił się do podoficera zawiadującego hydrolokatozem: — Posadźcie najlepszego człowieka do analizy taśmy z nagraniem. Musimy znaleźć źródło hałasu na dziobie.

— Po piętnastu minutach na „Tennessee” rozpoczął się drugi test ciszy.

— Musimy to wszystko zrobić z siódła, Jack — przekonywał admirał Jackson. — Czas działa na ich korzyść, a nie na naszą. A więc w biegu i z siódła. — Słowa te nie oznaczały, że admirał Jackson palił się do tego, ale po prostu nie było innej drogi. Tę wojnę trzeba było toczyć tak, jak się jest, bez czekania na zbroję, i trzeba było w miarę możliwości ustanawiać własne reguły gry.

— Masz rację, jeśli idzie o argumenty polityczne. Oni chcą szybko zarządzić wybory i wydają się niesłychanie pewni siebie...

— Zwożą gromadami cywilów — powiedział Jackson. — Chyba słyszałeś, prawda? Chcą z nich zrobić z miejsca rezydentów ze wszystkimi prawami. No i ci nowo upieczeni będą głośno krzyczeć: *Ja, ja, Anschluss, ja!* Nasi przyjaciele z satelitarnym telefonem widzą lotnisko.

Przylatuje trochę mniej samolotów, ale zdążyli już przywieźć piętnaście tysięcy żołnierzy. I wszyscy żołnierze też mogą głosować. Dodaj do tego japońskich turystów, których od początku było sporo, a i tych cywilów-osadników obecnie dostarczanych w dość dużej liczbie, i piosenka skończona, idź spać, dziecinko.

Doradca do spraw bezpieczeństwa skrzywił się. — W istocie wydaje się to bardzo proste.

— Pamiętam uchwalanie ustawy o prawach wyborczych. Jak to inaczej wyglądało w Missisipi, kiedy byłem dzieckiem. Zauważyłeś, ludzie każde prawo wykręcą na swoją korzyść?

Czasami robią to tak sprytnie, że aż palce lizać.

— Nie uważasz, że po raz pierwszy toczymy bardzo cywilizowaną i grzeczną wojnę? —

Tak, Japończycy nie są głupi, pomyślał Ryan. — Wyniki wyborów będą oczywiście sfabrykowane,

ale kogo to obchodzi. Im zależy jedynie na zagmatwaniu sprawy. Użycie broni wymaga jasnych przyczyn. Tak więc lepiej prowadzić negocjacje. Taktyka opóźniania w czasie.

Tamta strona nadal dyktuje reguły gry. Ameryce brak strategii działania.

— Trzeba ten stan rzeczy czym prędzej zmienić.

— Ale jak?

Jackson podał Ryanowi teczkę.

— Tu jest wszystko, co chciałbyś wiedzieć.

„Mutsu” posiadał system łączności satelitarnej łącznie z kanałem wizualnym z dowództwem floty w Jokohamie. Obraz był świetny, a poza tym bardzo, bardzo interesujący.

Admirał Sato czuł wielką wdzięczność do sieci telewizyjnej CNN za reportaż z Pearl Harbor.

„Enterprise” ma trzy wały napędowe całkowicie zniszczone, a czwarty poważnie uszkodzony.

„John Stennis” dwa wały wyjęte, trzeci do wyrzucenia, tylko czwarty, niestety, w dobrym stanie.

Szkoda, że nie było widać wewnętrznych uszkodzeń strukturalnych. W momencie gdy admirał

przyglądał się reportażowi, ściągano właśnie ze „Stennisa” wielką śrubę z manganobrazu. Ramię dźwigu ze śrubą odjechało, a na jego miejsce spuszczano ramię drugiego dźwigu najprawdopodobniej w celu wysunięcia i zabrania wału na sterburcie.

— Najmniej pięć miesięcy — odezwał się główny mechanik „Mutsu”, który przed chwilą wyjaśniał, w jakim celu odjeżdża drugi dźwig. Mechanik wypiął dumnie pierś, kiedy reporterka powiedziała „sześć miesięcy”, powtarzając z pewnością opinię jakiegoś niewymienionego z nazwiska pracownika stoczni.

— Nasze dowództwo też tak sądzi — powiedział admirał.

— Nie pokonają nas samymi niszczycielami i lekkimi krążownikami — wyraził opinię dowódca „Mutsu”. — Ale pewno ściągną dwa lotniskowce z Oceanu Indyjskiego.

— Nie ściągną, jeśli nasi przyjaciele utrzymają presję — odparł cichym głosem Sato. —

Poza tym dwa lotniskowce to zbyt mało przeciwko stu naszym myśliwcom na Guam i Saipanie.

A może ich być więcej, jeśli zażadam, a prawdopodobnie to uczynię. W istocie rzeczy odbywamy obecnie ćwiczenia z dziedziny taktyki i strategii politycznej.

— A ich okręty podwodne? — zapytał dowódca niszczyciela. Wydawał się niespokojny.

— Więc dlaczego nie możemy? — spytał Jones.

— Nieograniczona wojna na szerokim froncie jest wykluczona — odparł dowódca okrętów podwodnych Floty Pacyfiku.

— Ooo! — A więc to tak, pomyślał Jones. — A mamy już jakiś plan?

— Chwilowo trzymać ich z daleka od nas — odpowiedział Mancuso. Nie była to misja, która by zachwycała admirała Chestera Nimitza, no ale trzeba od czegoś zacząć. — Masz coś dla mnie?

— Mam kilka śladów i dobrych trafień wężących okrętów podwodnych na wschód od wysp. Nic takiego, za czym byłoby warto gonić, ale nawet jakby było warto, to nie wiem, czy wysyłamy w tamte rejony jakieś patrole lotnicze. Zresztą sonarzyści pracują świetnie. Nic nam nie przemknie koło nosa. — Jones chwilę milczał, potem się zdecydował: — Jest jeszcze taki słaby sygnał, który pochwyciliśmy. Dosłownie muśnięcie. Gdzieś na wysokości Oregonu.

Powtarzam, muśnięcie, a nie trafienie w cel. Ktoś tam jest.

— Dutch Claggett na „Tennessee” — wyjaśnił Chambers. — Przybędzie tu w piątek o drugiej zero-zero.

Jones był bardzo z siebie dumny. Wyłapać *Ohio*, to nie byle co! — Jest ich więcej? — spytał.

— Jeszcze cztery. Ostatni wychodzi w morze za godzinę. — Mancuso wskazał na mapę.

— Nakazałem każdemu z nich przejechać się wzdłuż sieci hydroforów dennych. Chcemy sprawdzić. Wiedziałem, że będziesz chciał za nimi trochę powęszyc. Tylko bez nadmiaru energii, litościwie. Kazałem im płynąć do Pearl Harbor z maksymalną prędkością.

Jones obrócił się do wyjścia. — Dobranoc, admirale.

— Mam nadzieję, że będzie dobra. Dobranoc, doktorze Jones.

— Psiakrew, jasna cholera! — kłął Claggett.

— Moja wina, panie komandorze! — Podoficer wziął to na siebie jak prawdziwy mężczyzna. Skrzynka z narzędziami. Znalaziono ją wciśniętą między rurę pompującą wodę morską a kadłub, gdzie drobne wibracje amortyzowanej grodzi spowodowały z kolei grzechot narzędzi na tyle duży, że wychwyciły to hydrolokatory. — To nie nasze. Najprawdopodobniej zostawił je jakiś robotnik ze stoczni.

Pozostali trzej starsi podoficerowie wiedzieli doskonale, co ich teraz czeka. Byli obecni przy rozmowie dowódcy z ich kolegą. Pomyśleli sobie, że trudno, każdemu może się to przydarzyć.

Czekali cierpliwie. Dowódca wziął głęboki oddech. Wiedział, że potrzebny jest ściśle kontrolowany wybuch gniewu, czasami nawet wobec doświadczonych podoficerów.

— Każdy centymetr od rufy do grodzi kolizyjnej. Każda śruba, każda nakrętka, każdy śrubokręt. Wszystko ma być przeczesane, sprawdzone. Co leży, podnieść. Co poluzowane, dokręcić. Żadnego spania, póki nie skończycie. A kiedy skończycie, mam słyszeć wszystkie głupie myśli pętające się wam po głowach na mój temat.

— Tak jest, sir! — odparł szef pokładu. Okazja do treningu w niespaniu, pomyślał. Tylko pomyślał!

— Tak jest, żadnego spania, póki nie skończycie, a wtedy ma być na okręcie ciszej niż w grobie. — Ledwo to powiedział, doszedł do wniosku, że mógłby być taktowniejszy.

Claggett poszedł na przód okrętu, notując w pamięci, że musi pochwalić szefa sonarzystów za wykrycie źródła szmerów. Lepiej, że odnaleziono je pierwszego dnia. No i musiał ostro postawić sprawę. Obowiązywały takie reguły. Z trudem opanowywał uśmiech na twarzy. Oczekiwano zawsze, że dowódca będzie surowym sukinsynem, zwłaszcza kiedy odkryje jakieś uchybienie. Za kilka minut podoficerowie całą złość wyładują na innych i poczują się znacznie lepiej.

Zauważył, że atmosfera się zmienia. Idąc przez pomieszczenie reaktora widział, jak dyżurni stoją lub siedzą zgodnie z regulaminem, mają oczy wlepione w instrumenty i we właściwych momentach zapisują dane na kartach. Są niespełna jeden dzień na morzu, a już kseroksove kopie hasła MYŚL PO CICHU wisiały po obu stronach wodoszczelnych drzwi.

Marynarze, których spotykał w przejściach, ustępowali mu z drogi, nierzadko z krótkim dumnym skinieniem głowy. Duma z przynależności do rodziny podwodniaków. My też jesteśmy profesjonaliści, zdawały się mówić ich spojrzenia. W komorze pocisków balistycznych obecnie bezużytecznej i pustej, dwaj członkowie załogi uprawiali poranny bieg. Jak nakazywała w takich wypadkach etykieta, to Claggett tym razem ustąpił im z drogi. Leciutki uśmiech pojawił mu się na ustach.

— Pudło z narzędziami? — spytał pierwszy oficer, gdy dowódca powrócił na stanowisko dowodzenia. — Miałem taki wypadek na „Hamptonie” po przeglądzie w doku.

— Aha — odparł krótko Claggett. — Po zmianie wachty zrobimy jeszcze raz spacer od rufy po dziób.

— Mogło być gorzej, sir. Kiedyś *skipper*, którego znam, tuż po wyjściu z portu po przeglądzie musiał wrócić do suchego doku. No i co wylazło? W przedniej komorze balastowej znaleziono składaną drabinkę. — Podobne opowieści podniecały podwodniaków budząc jednocześnie dreszczyk niepokoju.

— Skrzynka z narzędziami, sir? — spytał szef sonarzystów.

Teraz już było wolno uśmiechnąć się. Claggett oparł się o futrynę i skinął głową wyjmując pięciodolarowy banknot. — Dobra robota, szefie.

— Nic znowu specjalnego — odparł podoficer, ale chętnie schował do kieszeni pieniądze.

Na „Tennessee”, podobnie jak na wielu innych okrętach podwodnych, ręczki i uchwyty wszystkich narzędzi były zatopione w płynnym winylu. Łatwiej było narzędzie utrzymać w spoconych dłoniach, a poza tym zmniejszało to ryzyko grzechotania. — Na pewno jakiś stocznioowy pętał — dodał podoficer, przymrużając jedno oko.

— Płacę tylko raz — oświadczył na wszelki wypadek Claggett. — Macie jakiś nowy kontakt?

— Jednośrubowiec z niskoobrotowym dieslem płynie kursem trzy-cztery-jeden, od strony lądu. Kontakt rozpracowywany. — Szef milczał przez chwilę, a potem zapytał: — *Skipper*...?

— O co chodzi, szefie?

— „Asheville” i „Charlotte”... Czy to prawda? Claggett skinął głową. — Tak mi powiedziano.

— Wyrównamy z nimi rachunki, sir! Zapłacimy z naddatkiem.

Roger Durling ujął kawałek ręcznie zapisanego papieru. Prezydent rzadko widywał odręczne pismo. — Bardzo cienka sprawa, admirale — zauważył.

— Panie prezydencie, pan przecież nie ma zamiaru rozkazywać natarcia na całym froncie, prawda?

— Nie — odparł prezydent. — Tego bym nie chciał. Zadaniem jest odzyskanie Marianów i uniemożliwienie im przejścia do drugiej fazy planu.

Robby wziął głęboki oddech. Na to właśnie czekał. Na podobne otwarcie:

— Jest jeszcze trzecia faza, sir — obwieścił Jackson. Prezydent i obecny przy rozmowie Ryan zastygli.

— O czym ty mówisz, Rob? — spytał Ryan.

— Właśnie to wyszperaliśmy. Admirał Czandraskatta. Hindus. Dowódca hinduskiej grupy bojowej. Kilka lat temu studiował w Newport. Zgadnijcie, panowie, kto z nim był na tym samym kursie? — Chwilę milczał. — Japoński admirał Sato.

Ryan zamknął oczy. Dlaczego przedtem nikt tego nie odkrył?

— Mamy więc już trzy państwa z imperialnymi ambicjami... — powiedział.

— Tak to mi wygląda, Jack. Pamiętasz Wielką Wschodnioazjatycką Strefę Dobrobytu?

Dobre pomysły wracają. Musimy temu zapobiec — powiedział z przekonaniem Jackson. —

Spędziłem dwadzieścia kilka lat przygotowując się do wojny, której ostatecznie nikt nie chciał toczyć. Wojny przeciwko Rosjanom. Teraz wolałbym przygotować pokój, dla siebie i dla innych.

A to wymaga powstrzymania tych drani.

— Sądziś, że twój plan się uda? — spytał prezydent.

— Gwarancji nie daję, panie prezydencie. Ale Jack mówi mi, że tyka dyplomatyczny i polityczny zegar i trzeba się śpieszyć. To nie Irak. Nasz międzynarodowy consensus stopniał do ogólnego porozumienia z Europą. Bardzo ogólnego, które w każdej chwili może się rozwiać.

— Co sądzisz, Jack?

— Jeśli w ogóle mamy coś zrobić, to jest to chyba najlepszy sposób. Chyba.

— Ryzykowny.

— Tak jest, panie prezydencie, ryzykowny — zgodził się Robby Jackson. — Jeśli myśli pan, że odzyska Mariany drogą dyplomatyczną, to jeszcze lepiej. Tak specjalnie to się nie palę do zabijania ludzi. Ale jeśli ja bym był w ich skórze, to wysp bym nie zwrócił. Są im potrzebne do drugiej fazy, a jeśli do niej przejdą, to nawet gdyby Rosjanie nie próbowali użyć broni nuklearnej...

Wielki krok do tyłu, pomyślał Ryan. Zupełnie nowy sojusz od Koła Polarnego po Australię. Trzy państwa, trzy mocarstwa nuklearne, wielkie zaplecze surowcowe, potężne gospodarki i polityczne zdecydowanie na użycie siły, by osiągnąć wszystkie cele. Powtórka z dziewiętnastego wieku, mecz tym razem rozgrywany na dużo większym boisku.

Współzawodnictwo ekonomiczne wspierane siłą zbrojną, recepta na nie kończącą się wojnę.

— Jack, co sądzisz? — spytał prezydent.

Ryan powoli skinął głową. — Myślę, że powinniśmy i musimy zaryzykować. Można by argumentować do rana, a ostateczny wniosek jest zawsze ten sam. Ryzykować. Musimy.

— Wyrażam zgodę — odparł prezydent.

Głębokie zanurzenie

— Żądacie, abyśmy nic nie robili? — zachnął się Gołowko.

— To jest nasza bitwa, jeśli ruszycie się przedwcześnie, zaniepokoi to Chiny. Zaniepokoi także Japonię. — A poza tym, pomyślał Ryan, co możecie zrobić, z czym się ruszyć? Armia rosyjska znajdowała się w jeszcze gorszym stanie niż amerykańska. Mogli wysłać dodatkowe siły lotnicze do Wschodniej Syberii. Mogli uzupełnić dodatkowymi jednostkami oddziały wojsk ochrony pogranicza, co wywołałoby natychmiastową reakcję Chin. — Drogi Siergieju, wasze satelity snują wam tę samą opowieść, co nasze. Chiny jeszcze się nie mobilizują.

— Jeszcze — odparł cierpko Gołowko.

— Masz rację. Jeszcze nie. A jeśli dobrze rozegramy nasze karty, to zrezygnują z tego zamiaru, jeśli go nawet teraz mają. — Ryan zmienił temat: — Macie jakieś informacje na temat rakiet balistycznych?

— Wiele możliwych miejsc ich dyslokacji jest pod nieustanną obserwacją. Otrzymaliśmy też potwierdzenie, że rakiety w Yoszinobu używane są do celów cywilnych. Jest to prawdopodobnie eufemizm na testowanie przez wojsko. I nic więcej nie mamy. Ale moi specjaliści są pełni dobrej myśli.

— I tak cię radują ich dobre myśli, że zacierasz rękę.

— Więc co zamierzacie zrobić, Jack? — spytał szef rosyjskiego wywiadu.

— Nawet w tej właśnie chwili, Siergieju Mikołajewiczu, powtarzamy im po raz nie wiadomo który, że pod żadnym pozorem nie akceptujemy faktów dokonanych. W konkretnym wypadku okupacji Marianów. — Jack wstrzymał na chwilę oddech. Jednocześnie uprzytomnił

sobie, że chce czy nie chce, musi zaufać temu człowiekowi. — A jeśli oni dobrowolnie nie opuszczą wysp, to znajdziemy sposób wyłuskania ich stamtąd.

— Ale jak? — spytał Gołowko, rzucając okiem na przygotowaną mu ocenę amerykańskiego potencjału bojowego. Ostatecznie pisali to eksperci sąsiadującego z jego biurem Ministerstwa Obrony.

— Powiedz mi, mój drogi, czy przed dziesięcioma, piętnastoma laty nie składałeś pierwszemu sekretarzowi raportu, że warto się nas bać?

— Taki sam raport składały wasze służby prezydentowi — odparł Gołowko.

— No więc właśnie. A teraz mamy to szczęście, że nie jesteśmy godni tego, żeby się bać nawzajem. W tej chwili nic ci więcej nie mogę powiedzieć. Może jutro... Chwilowo wysyłam ci instrukcje dla naszych ludzi, żebyś był łaskaw przesłać je dalej.

— Nie ma sprawy — obiecał Gołowko.

— Mój rząd uszanuje wolę mieszkańców wszystkich wysp — powtórzył ambasador, a potem dodał nową propozycję: — Bylibyśmy ewentualnie gotowi do przedyskutowania różnic w statusie Guam w stosunku do pozostałych wysp archipelagu. Rozumiemy, że amerykańskie interesy na tej wyspie datują się od blisko stu lat. — Japończycy po raz pierwszy zaproponowali drobne ustępstwo.

Adler słuchał z kamienną twarzą. Tego zresztą wymagały reguły dyplomatycznej gry. —

Panie ambasadorze — odpowiedział — mieszkańcy wszystkich wysp są obywatelami amerykańskimi. Z ich własnego wyboru.

— I ponownie otrzymają szansę potwierdzenia swojej decyzji. Czy wasz rząd chce powiedzieć, że samookreślać się można tylko jeden raz? — zapytał Japończyk. — Byłoby to dziwne w kraju o tak wielkich tradycjach łatwej imigracji i emigracji. Jak już powiedziałem to wcześniej, chętnie przystaniemy na podwójne obywatelstwo tych rodzimych mieszkańców, którzy wyrażą podobne życzenie i będą chcieli zatrzymać amerykańskie paszporty. A jeśli zdecydują się na wyjazd, otrzymają rekompensatę za pozostawione nieruchomości. A także... —

i cała reszta była tylko powtórzeniem.

Adler dawno już doszedł do wniosku, często uczestnicząc w dyplomatycznych potyczkach, że negocjacje są czasami podobne do próby wyjaśnienia czegoś niemowlakowi i przekonania o czymś teściowej. Po pierwsze było to nudne, po drugie trudne i wreszcie doprowadzające do rozpacz. A jednocześnie było konieczne. Przed chwilą Japończycy w czymś wreszcie popuścili. Nie było to zresztą niespodzianką. Cook już w poprzednim tygodniu wy dobył

tę informację od Nagumo. Teraz ustępstwo nabrało charakteru oficjalnego. I była to dobra wiadomość. Choć złe w tym to, że teraz Adler musiał coś w zamian oferować. Reguły gry dyplomatycznej opierały się na kompromisie. Tak więc ambasador obecnie oczekiwał, że Adler uczyni jakiś gest.

— W moim imieniu wyrażam zadowolenie, że akceptuje pan niewzruszalne prawo mieszkańców Guam do obywatelstwa amerykańskiego. Z pełnym uznaniem przyjmuję także oświadczenie, że pański kraj zamierza przestrzegać zasady, iż mieszkańcy Marianów mają prawo decydować o własnym losie. Czy może mnie pan zapewnić, że pański rząd uzna rezultat wyborów i podporządkuje się woli mieszkańców?

— Chyba wyraziliśmy to jasno — odparł ambasador zastanawiając się, czy właśnie coś osiągnął, czy też jeszcze musi poczekać.

— A w wyborach uczestniczyć będą mogli...?

— Oczywiście wszyscy aktualni mieszkańcy. Mój rząd uznaje zasadę powszechnego prawa uczestnictwa w wyborach. Jeśli już o tym mowa, to jesteśmy tutaj gotowi uczynić jeszcze jedno ustępstwo. W Japonii, jak pan wie, zdobywa się prawo do uczestniczenia w wyborach po ukończeniu

dziewiętnastego roku życia. Wyjątkowo dla tych wyborów możemy obniżyć wiek do lat osiemnastu. Nie chcemy, aby ktokolwiek mógł powiedzieć, że ten plebiscyt był pod jakimkolwiek względem... posiadał uchybienia.

Ach, ty przebiegły sukinsynu, pomyślał Adler. Opracowali sobie niezły scenariusz.

Wszyscy żołnierze mogli też głosować. Międzynarodowi obserwatorzy tylko by pokręcili głowami. Wobec tego podsekretarz stanu też pokręcił teraz głową, jakby zdziwiony, i coś sobie zapisał. Ambasador siedzący po drugiej stronie stołu doszedł do wniosku, że właśnie zdobył co najmniej jeden punkt.

— Sprawa streszcza się do krótkiego pytania: czy nam pomożecie? — Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego był w pełni świadomy, że reguły przyjęte podczas toczącej się konferencji nikomu nie sprawiają wielkiej radości. Dyskusję zagał prawnik z Departamentu Sprawiedliwości, który wyjaśnił, że ustawa anty szpiegowska, rozdział 18. Kodeksu Stanów Zjednoczonych, paragraf 793E, odnosi się do wszystkich obywateli i że wolność słowa oraz prasy nie obejmuje tajemnic zastrzeżonych w ustawie.

— Proście nas o kłamanie — odezwał się jeden ze starszych komentatorów.

— Ujął pan to doskonale — odparł Ryan.

— Mamy zawodowy obowiązek...

— Jest pan obywatelem amerykańskim — przypomniał mu Jack. — Takimiż obywatelami są mieszkańcy tych wysp. Nie mam najmniejszego zamiaru egzekwować wobec pana przepisów ustawy. Wobec nikogo nie mam zamiaru ich zastosowywać. Albo nam pomożecie, albo nie. Jeśli zgodzicie się pomóc, to będzie łatwiej nam wykonać nasze zadanie.

Łatwiej, taniej, przy mniejszym rozlewie krwi. Jeśli odmówicie, to może zginąć wielu ludzi.

— Nie jestem pewna, czy prezydent Madison i inni przewidywali, że amerykańska prasa będzie kiedykolwiek pomagała wrogowi podczas wojny — odezwała się przedstawicielka Departamentu Sprawiedliwości.

— Tego byśmy nigdy nie zrobili! — zaprotestował reporter z NBC. — Ale to, co wy...

wykonanie tego, czego żądacie...

— Panie i panowie, naprawdę nie mam czasu na dłuższy dyskurs na temat prawa konstytucyjnego. Rozmawiamy z wami o czymś innym. Jest to sprawa życia i śmierci. Rząd prosi swoich obywateli o pomoc w sytuacji kryzysowej. Jeśli tej pomocy nie udzielicie, to wcześniej czy później naród amerykański zażąda od was wyjaśnień, dlaczego tego nie uczyniliście. — Jack zastanawiał się, czy ktokolwiek kiedykolwiek potraktował podobnie prasę. Czy ktoś im w ten sposób groził? Obracanie kota ogonem należy do akceptowanych metod argumentowania. Nie był jednak pewien, czy

dziennikarze są zdolni oceniać sytuację tak, jak on ją dostrzegał. Należało ofiarować oliwną gałązkę.
— Ja przyjmuję całkowitą odpowiedzialność. Jeśli nam pomożecie, to nie pisnę słowa.

— Niech pan nie kituje. Wysiadam — odparł człowiek z sieci telewizyjnej CNN.

— Proszę, ale będzie pan musiał przekonać obywateli amerykańskich, że działał pan z pobudek patriotycznych. Czy to się panu uda?

— Nie w tym sensie to powiedziałem, doktorze Ryan.

— Ale ja tak to rozumiem — odparł z uśmiechem Ryan. — Pomyślcie nad całą sprawą.

W jaki sposób może to wam zaszkodzić? Poza tym, jak to się wydostanie? Kto o tym napisze?

Dziennikarze byli na tyle cyniczni — stało się to niemal profesjonalnym wymogiem —

by dostrzec humorystyczny aspekt całej tej sytuacji. Jednakże przekonała ich argumentacja Ryana. W istocie rzeczy byli zagubieni. Postanowili więc postrzegać problem w innej optyce.

Czystego interesu. Odmowa działania w imię żywotnych interesów kraju — bez względu na wykrzykiwanie, że ich stanowisko jest podyktowane pryncypiami i zawodową etyką — będzie źle przyjęte przez opinię publiczną, na której nie robią wielkiego wrażenia łopocące flagi ze wzniosłymi hasłami. Może to źle, ale tak jest. A poza tym Ryan o tak wiele znowu nie prosi.

Prosi o jedną dosłownie rzecz, a jeśli dziennikarze okażą spryt, to może nikt tego nie zauważy.

Przedstawiciele prasy woleliby móc opuścić salę konferencyjną i przedyskutować problem między sobą, ale nikt im nie stworzył takiej możliwości, a oni nie mieli odwagi o to poprosić. Spojrzeli więc po sobie i po chwili cała piątka skinęła głowami.

Ich oczy wyrażały jednak obietnicę, że któregoś dnia Ryan im za to zapłaci. Ryan to widział i w duchu wzruszał ramionami. Dam sobie radę, pomyślał.

— Dziękuję państwu — powiedział, a kiedy wszyscy wyszli, poszedł prosto do Gabinetu Owального.

— Zgodzili się — powiedział prezydentowi.

— Przykro mi, że nie mogłem się do tego włączyć i wesprzeć cię.

— Rozumiem. Rok wyborów. — Za dwa tygodnie pierwsze konwencje partyjne w Iowie, następnie prawyборы w New Hampshire. Chociaż Durling nie miał wyraźnego przeciwnika w łonie partii ani wśród opozycji, wolałby być teraz zupełnie gdzie indziej. Poza tym lepiej osobiście nie drażnić prasy. Do takiej roboty miał doradcę do spraw bezpieczeństwa.

Funkcjonariuszy z nominacji zawsze można było rzucić lwom na pożarcie i spisać na straty.

— Kiedy to się wszystko skończy, to...

— Powrót na pole golfowe? Mnie też brak praktyki.

Prezydent lubił Ryana z jeszcze jednego powodu. Ryan potrafił od czasu do czasu zdobyć się na przebłysk humoru, chociaż oczy miał podkrążone nie gorzej od Durlinga. Jeszcze jeden powód do głębokiej wdzięczności dla Boba Fowlera za zgłoszenie tej kontrowersyjnej kandydatury, a może i powód do żalu, że Ryan wybrał taką a nie inną afiliację polityczną.

— Gotów jest pomóc — powiedział Kimura.

— Jeśli naprawdę chce, niech się przede wszystkim zachowuje w sposób absolutnie normalny — odparł Clark. — Jest człowiekiem honoru. Waszemu krajowi potrzebni są politycy umiarkowani, wzywający do roztropności. — Nie były to instrukcje, jakich Clark oczekiwał.

Miał jednak nadzieję, że Waszyngton wie, co robi. Poza tym wyszły one z gabinetu Ryana, co było pewnym pocieszeniem, choć część wątpliwości pozostała. W każdym razie jego zwerbowany agent, Kimura, wydawał się bardzo uspokojony.

— Dziękuję — powiedział. — Bo nie chciałbym narazić jego życia.

— Jego życie jest zbyt cenne — zgodził się Clark. — Być może Ameryka i Japonia dojdą do porozumienia kanałami dyplomatycznymi. — Clark w to nie wierzył, ale dyplomaci zawsze są uszczęśliwieni, kiedy im ktoś takie rzeczy mówi. — A wówczas rząd Goto może upaść. I być może Koga-san odzyska swój dawny fotel premiera.

— Ale z tego, co słyszę, Goto nie chce w niczym ustąpić.

— Ja też to słyszałem, ale sytuacja może się zmienić. Tak czy inaczej, taka jest nasza prośba do Kogi. Dalszy kontakt byłby niebezpieczny — powtórzył Klierk. — Dziękujemy mu za chęć udzielenia pomocy. Jeśli będziemy potrzebowali porozumienia się, to damy znać przez pana.

Z wdzięczności Kimura przed wyjściem zapłacił rachunek.

— I nic więcej? — zdziwił się Ding.

— Ktoś wysoko postawiony myśli, że nic więcej. A my mamy co innego do roboty.

Znowu w kieracie, pomyślał Chavez. Tyle że mieli instrukcje, chociaż mało zrozumiałe.

W Tokio była teraz dziesiąta rano. Po wyjściu na ulicę rozdzielili się i następne kilka godzin spędzili na kupowaniu telefonów komórkowych. Każdy z nich zakupił trzy zestawy najnowszego modelu GSM. Cyfrowe. Dopiero wtedy się spotkali. Aparaty były małe, mieściły się w kieszeni koszuli. Nawet opakowania, w których się znajdowały, były małe. Nie mieli najmniejszego problemu z ich ukryciem.

Chet Nomuri zrobił już to samo, podając swój adres mieszkania w Hanamatsu. Miał karty kredytowe i prawo jazdy wystawione na ten sam adres. Pozostało mu teraz niespełna trzydzieści dni na wykonanie zadania w terenie. Następnie miał wrócić, po raz ostatni spotkać się w łaźni i potem zniknąć z powierzchni ziemi. Właściwie sam dobrze nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jest jeszcze jedno... — powiedział z całym spokojem Ryan. Trent i Fellows poczuli się nieswojo. Ryan zamilkł.

— Długo każesz nam na to czekać? — spytał Sam.

— Znacie nasze ograniczone możliwości na Pacyfiku.

Trent poruszył się niespokojnie w fotelu. — Jeśli chcesz powiedzieć, że brak nam koni do zaprzęgu...

— Wszystko zależy, o jakich koniach mówimy — zauważył zagadkowo Jack. Jego wysoko postawieni rozmówcy przez chwilę zastanawiali się nad tą odpowiedzią.

— Walka bez rękawic? — spytał Al Trent.

Ryan skinął głową. — Zaczniecie z tego powodu hałas?

— To zależy, co przez to rozumiesz. Mów dalej — rozkazał Fellows. No i Ryan powiedział resztę.

— Masz zamiar tak wiele zaryzykować? — spytał Trent.

— Nie mamy wyboru. Ja dobrze wiem, jakby to było ładnie przypuścić kawaleryjskie natarcie z trąbkami i tak dalej, ale właśnie chodzi o te konie. Nie mamy dla kawalerzystów koni.

Prezydent chce wiedzieć, czy Kongres go poprze. Jeśli wy poprzecie, to cała reszta na Kapitolu stanie w karnym szeregu.

— A jeśli operacja się nie uda? — wyraził wątpliwość Fellows.

— Wtedy zorganizuje się wielkie przyjęcie z okazji wieszania wszystkich winnych. Z wami włącznie.

— Komisja zaaprobuje — obiecał Trent. — Ale gra pan o wysoką stawkę z dwiema parami w ręku, drogi przyjacielu. Wystarczyłaby trójka i przegrywasz.

— Święta prawda — zgodził się Jack, myśląc o ludziach, którzy w tym wszystkim ryzykują własnym życiem. Zdawał sobie sprawę, że Al Trent mówiąc o ryzyku, myśli zarówno o stronie politycznej, jak i o ryzyku osobistym uczestników akcji. W tym wypadku Ryan mniej myślał o racjach politycznych, tylko właśnie o ludziach. Ale nie mógł tego głośno powiedzieć.

Trent dostrzegłby w tym słabość. Jakie to przedziwne, że w tylu sprawach obaj się nie zgadzają.

Jednakże najważniejsze było teraz to, że Trent dał słowo, a jego słowo coś znaczyło.

— Będziesz nas informował?

— Zgodnie z przepisami prawa — odparł z uśmiechem Ryan. — Prawo wymaga, by Kongres został poinformowany po przeprowadzeniu tajnej operacji. A nie przed.

— A prezydenckie rozporządzenie? — Chodziło w tym wypadku o konkretne rozporządzenie z okresu prezydentury Forda, zakazujące służbom specjalnym dokonywania zabójstw politycznych. Późniejsza interpretacja, mająca niemalże rangę prezydenckiego dekretu, brzmiała, że zawarte w takich rozporządzeniach postanowienia znaczą tylko tyle, ile dany prezydent ma w danej chwili na myśli. I co ma na myśli. W związku z tym wszystko, co obecnie Ryan zaproponował, było formalnie zgodne z prawem tak długo, jak długo Kongres to aprobował. W istocie dość dziwny sposób prowadzenia sklepiu, ale takie już są demokracje.

— A więc mamy już kropki nad „i”, tylko że dziwnego koloru — powiedział Trent, a Fellows mu przytaknął skinieniem głowy. Obaj kongresmeni przyglądali się, jak Ryan podnosi słuchawkę i przyciska guzik zakodowanego numeru.

— Tu Ryan. Ruszajcie!

Pierwszy ruch był elektroniczny. Wbrew głośnym protestom Naczelnego Dowódcy Floty Pacyfiku trzy ekipy telewizyjne ustawiły swoje kamery na samym skraju położonych tuż obok siebie suchych doków, w których znajdowały się „Enterprise” i „John Stennis”.

— Nie pozwolono nam pokazywać państwu uszkodzeń na rufach lotniskowców, ale z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się obecnie, że są one znacznie większe, niż początkowo sądzono... — Z drobnymi odchyleniami wszyscy reporterzy powtórzyli to samo. Po zakończeniu nagrywania dziennikarskich wypowiedzi, kamery zrobiły kilka bliskich ujęć lotniskowców objeżdżając doki dokoła. Były to tak zwane dogrywki. Ot, materiał, który ma znaczenie archiwalne i może posłużyć na przyszłość. I w tle nie było widać żadnych reporterów.

Nakręcono tego sporo i potem oddano komuś, kto miał to elektronicznie przygotować do późniejszego wykorzystania.

— Bardzo chore, biedaczki — stwierdził Oreza patrząc na dwa kolosy w suchych dokach.

Cała flota Straży Przybrzeżnej nie ma takiego tonażu, jak te dwa okręty. A przecież w Marynarce jest tylu mądrych ludzi. I pozwolili, żeby postrzelono te dwa w dupę? Emerytowany starszy bosman sztabowy poczuł, że mu krew uderza do głowy.

— Ile potrzeba czasu, żeby je wyleczyć? — spytał Burroughs.

— Wielu miesięcy. Z sześć... — Za sześć miesięcy przyjdą tu tajfuny, pomyślał Dniówka i jeszcze bardziej stracił humor. A ponadto, co za przyjemność o takiej porze roku tkwić na wyspie zdobywanej przez desant *marines*. I to na płaskowyżu niedaleko baterii rakiet ziemia-powietrze, która zacznie zbierać cięgi. Może to nie taki zły pomysł sprzedać wszystko za milion dolarów? Za takie pieniądze mógłby kupić kuter, inny dom i łowić sobie z którejś z przyflorydzkich wysp na południu. — Wiesz co? Stąd można by odlecieć samolotem.

— A dokąd się śpieszysz?

Już wydrukowano i porozwieszano plakaty wyborcze. Co parę godzin na publicznym kanale kablowej sieci telewizyjnej podawano ciągle uzupełniane plany wspaniałego rozwoju Saipanu. Panował nastrój całkowitego odprężenia. Jakby się nic nie stało, japońscy turyści byli niesłychanie grzeczni, a żołnierze chodzili przeważnie bez broni. Pojazdów wojskowych używano do robót drogowych. Żołnierze odwiedzali szkoły, aby nawiązać przyjazny kontakt z młodzieżą. Zbudowano w pośpiesznym tempie dwa nowe boiska baseballowe i stworzono nową ligę. Krążyły plotki, że dwie japońskie drużyny pierwszej ligi przybędą trenować na Saipanie i że dla ich potrzeb będzie budowany stadion. Szeptano też, że Saipan będzie miał, być może, drużynę w pierwszej lidze. Oreza pomyślał, że to jest sensowny pomysł, gdyż Saipan był bliżej Tokio niż Kansas City Nowego Jorku. Wszystko to nie oznaczało, że mieszkańcy byli uszczęśliwieni japońską okupacją. Akceptowali ją jedynie z konieczności, nie widząc wybawienia, i jak większość ludzi, którzy znaleźliby się w podobnej sytuacji, postanowili ułożyć sobie odpowiednio życie.

Codzienne protesty trwały tylko przez pierwszy tydzień okupacji. Ale japoński dowódca, generał Arima, wychodził na spotkanie z każdą protestującą grupą, obstawiony kamerami telewizyjnymi. Zapraszał przywódców do swojego biura i przeprowadzał z nimi rozmowy, często na żywo transmitowane przez telewizję. Potem rozpoczęło się bardziej wyrafinowane nęcenie.

Cywile zatrudnieni w administracji i biznesmeni organizowali konferencje prasowe wykazując, ile to pieniędzy zainwestowano na wyspie i za pomocą wykresów udowadniali, jaką to przyniesie korzyść dla miejscowej gospodarki. Obiecywali też uczynić w przyszłości jeszcze więcej. Ważne było nie to, czy zlikwidowali niechęć mieszkańców, ale fakt, że wykazali tolerancję, obiecując wszem dokoła, że rząd japoński podporządkuje się wynikowi wyborów, które miały się wkrótce odbyć. I powtarzali nieustannie: my też tu żyjemy. My też!

Chyba jest jednak jakaś nadzieja, powtarzał sobie Oreza. Jutro mijają dwa tygodnie, a słyszy się tylko o jakichś cholernych negocjacjach. Od kiedy to Ameryka negocjuje w takich sprawach? A może to właśnie jest to? Może te oczywiste objawy słabości jego własnego kraju były powodem uczucia panującej beznadziejności? Nie próbowano walczyć, by odebrać, co zagrabiono. Tak bardzo chciał powiedzieć admirałowi znajdującemu się po drugiej stronie satelitarnego łącza, że ludzie czekają na jakiś znak, iż rząd coś robi.

— Niech to jasna cholera! — powiedział, wchodząc do pokoju, by włożyć baterie do aparatu. Przepchnął antenę przez dziurę w misce i wystukał numer.

— Tu admirał Jackson — usłyszał.

— Oreza.

— Masz coś nowego?

— Tak, panie admirale. Na temat wyborów. Jak przebiegną.

— Co to znaczy, jak przebiegną?

— Widziałem w CNN i słyszałem, jak gadali, że mamy dwa lotniskowce z powyrywanymi nogami i ludzie tu mówią, że nawet nas nie stać na kiwanie palcem w bucie. Jezu drogi, admirale! Nawet wtedy, kiedy Argentyńczycy zajęli Wyspy Falklandzkie, to Brytyjczycy od razu powiedzieli, że je odbiorą. A ja tego nie słyszę od naszych. Co w takiej sytuacji mamy myśleć?

Jackson zastanawiał się kilka sekund, nim odpowiedział: — Nie muszę ci powtarzać przepisów na temat rozmów o sprawach operacyjnych. Twoim zadaniem jest dostarczanie mi informacji, rozumiesz?

— Wiem. Więc słyszymy ciągle, że będą te wybory. A jeśli idzie o tę baterię koło nas, to jest teraz zamaskowana...

— Wiem o tym. I radar na Tapoczau funkcjonuje operacyjnie, a około czterdziestu myśliwców stoi na lotnisku cywilnym i w Kobler. Sześćdziesiąt myśliwców na lotnisku Andersen na Guam. Osiem niszczycieli patroluje cały akwen na wschód od was i zbliżają się do nich tankowce. Chciałbyś jeszcze coś wiedzieć? — Nawet gdyby Oreza okazał się

„skompromitowany”, co było eufemizmem na aresztowanie, w co zresztą Jackson wątpił, to żadna z powyższych informacji nie stanowiła wojskowej tajemnicy. Wszyscy wiedzieli, że Amerykanie obserwują cały obszar przez satelitarne obiektywy. Z drugiej strony Oreza powinien wiedzieć, że admirał jest dobrze poinformowany, a przede wszystkim zainteresowany tym, co się w pobliżu Marianów dzieje. To już było sygnałem. Admirał wstydził się nieco tego, co musiał

teraz powiedzieć: — Bosmanie, spodziewałem się po panu czegoś lepszego. — Admirał poczuł się znacznie lepiej, gdy usłyszał odpowiedź:

— To właśnie chciałem od pana usłyszeć, panie admirale.

— Jak się tylko coś nowego wydarzy, natychmiast dawaj znać.

— Tak jest, panie admirale. Jackson odłożył słuchawkę.

— Do usłyszenia. Wkrótce — cicho dokończył, już na własny użytek. Miał zaraz spotkanie z gośćmi z bazy lotniczej w McDill. Czyż to nie perwersja, że mieli oni na sobie zielone mundury Armii? Admirał jeszcze nie wiedział, że przypomną mu o czymś, co widział

zaledwie przed paru miesiącami.

Wszyscy musieli mówić po hiszpańsku i wyglądać na Latynosów. Na szczęście okazało się, że żadnego problemu nie ma. Do wojskowej bazy Stewart przyjechał z Langley ekspert od dokumentów przywożąc wszystko, co mu mogło być potrzebne do pracy, łącznie z dziesięcioma książeczkami paszportowymi in blanco. Dla uproszczenia sprawy tamci mieli nadal posługiwać się własnymi nazwiskami. Starszy sierżant Julio Vega zasiadł przed kamerą. Miał na sobie swój najlepszy cywilny garnitur.

— Proszę się nie uśmiechać — powiedział specjalista od dokumentów z Langley. —

Europejczycy nie uśmiechają się przy robieniu paszportowych fotografii.

— Tak jest, sir — odparł upomniany. Miał przydomek Oso, czyli niedźwiedź. Ale jedynie najbliżsi przyjaciele tak go nazywali. Dla wszystkich pozostałych członków kompanii F, 2.

Batalionu, 175. Pułku Rangersów był tylko „starszym sierżantem”. Znany jako doskonały podoficer, z pewnością wesprze swego kapitana podczas misji, do której zgłosił się na ochotnika.

— Będzie panu potrzebne lepsze ubranie...

— Kto płaci? — spytał Vega teraz już z uśmiechem, chociaż zdjęcie paszportowe utrwaliło wyraz twarzy pojawiający się głównie wtedy, gdy Vega napotkał kogoś, kto nie osiągał

ustalonych przez niego standardów zachowania. Świadom tego pomyślał: takich tu nie spotkam.

Cała ósemka to kwalifikowani skoczkowie spadochronowi niezależnie od tego, że są komandosami. Zresztą wszyscy komandos musieli umieć skakać ze spadochronem. Cała ósemka była już kiedyś w akcji. Natomiast w odróżnieniu od pozostałych żołnierzy 175. Pułku Rangersów, paradujących zawsze z łepetykami przystrzyżonymi prawie do skóry, Vega i jego towarzysze mieli włosy dużo dłuższe, właściwie „cywilne”. Vega po raz pierwszy to sobie uświadomił i mimo woli zrobiło mu się zimno. Przypomniał sobie inny czas i inną grupę komandosów z długimi włosami. Nie wszyscy wrócili żywi z misji na terenie Kolumbii.

Vega uprzytomnił sobie coś jeszcze: wszyscy jako równorzędny język, a może nawet pierwszy, znają hiszpański. Czy to nie hiszpański jest najpopularniejszym językiem na Marianach? Vega, podobnie jak większość wyższych stopniem podoficerów zawodowych, odbył

studia wieczorowe i uzyskał uniwersytecki dyplom. Wybrał przedmiot historia wojskowości.

Według niego bardzo to pasowało do obranej kariery, a poza tym za studia płaciła Armia. Jeśli na

tych wyspach mówiono rzeczywiście po hiszpańsku, to pojawił się jeszcze jeden powód, aby pozytywnie oceniać szansę przedsięwziętej misji, której kryptonim brzmiał ZORRO. Nazwy tej dowiedział się od swojego kapitana nazwiskiem Diego Checa. Kapitana tak rozbawił zbieg okoliczności, że podzielił się tym ze swoim starszym sierżantem. „Prawdziwy” Zorro z serialu filmowego nazywał się w rzeczywistości don Diego, prawda? Kapitan zapomniał, jak brzmiało nazwisko czarnego charakteru, ale starszy sierżant nie zapomniał. I pomyślał sobie, że nosząc nazwisko Vega nie ma prawa odmawiać uczestnictwa w podobnej misji. Jednakże kryptonim ZORRO zapowiadał coś niezwykłego. Oso był tego pewien.

Nomuri był bardzo zadowolony, że jest w doskonałej formie. Już samo oddychanie na tej wysokości sprawiało trudność. Większość przybyszów z Zachodu pozostawała w wielkich miastach. Wielu nie zdawało sobie nawet sprawy, że Japonia jest równie górzysta jak stan Kolorado. Toczimoto było małą osadą, która drzemała w zimie, a w lecie pęczniała od przybyszów, kiedy to mieszkańcy okolicznych miast, zmęczeni otaczającą ich szarżyzną, przyjeżdżali odkrywać wieś i jej okolice. Wioska, na końcu szosy numer sto czterdzieści, niemalże zapadała się w nicość wraz z nadejściem zimy, ale Chet zdołał odszukać warsztat, w którym mógł wypożyczyć czterokołowy terenowy motocykl tłumacząc jego właścicielowi, że chciałby przez kilka godzin pooddychać górskim powietrzem. W zamian za wręczone banknoty otrzymał klucze i surowe, choć grzeczne, ostrzeżenie, by trzymał się wyznaczonych szlaków i był ostrożny, co skwitował gorącym podziękowaniem. Ruszył w drogę wzdłuż rzeki Taki. Był to raczej potok, a nie rzeka. Szlak prowadził pod górę. Mniej więcej po godzinie i po przebyciu nieco ponad dziesięciu kilometrów wyłączył motor, z uszu wyjął korki i zaczął słuchać.

Nic. W błocie i na wyżwirowanej ścieżce prowadzącego nad rzeczką szlaku nie widział

żadnych śladów wskazujących, by ktoś tędy ostatnio szedł lub jechał. Nie dostrzegł nawet żadnych oznak ludzkiej obecności w letnich domkach, które mijał po drodze. Wsłuchany w otaczający go świat, słyszał jedynie wiatr. Na mapie zaznaczone było o trzy kilometry dalej przejście na przeciwległy brzeg. Po kilkunastu minutach marszu okazało się, że mapa nie kłamała. Co więcej, bród był rzeczywiście płytki, co pozwoliło mu przedostać się na drugą stronę i pójść na wschód w kierunku Sziraiszi-san.

Nomuri skierował się na południe i rozpoczął wspinaczkę gładkim stokiem góry, aż na szczyt południowego grzbietu. Panowała absolutna cisza. Nomuri spędził pół godziny na rozglądaniu się po okolicy, korzystając ze składanej lornetki. Nie śpieszył się, sprawdzał każde miejsce po parę razy. Następnie obrócił się na północ i na zachód. Ta sama zdumiewająca pustka, brak jakiegokolwiek obecności człowieka. Uspokojony zszedł do rzeczki Taki i powrócił do wioski.

— Tu nigdy nikogo nie ma w zimie — powiedział właściciel wypożyczalni, gdy Nomuri oddawał pojazd. — Czy mogę poczęstować pana herbatą?

— *Dozo* — odparł agent CIA. Biorąc do ręki filiżankę podziękował skinieniem głowy. —

Jak tu u was pięknie.

— Okazał pan mądrość, przybываяc o tej porze roku — odparł gospodarz, który bardzo pragnął z kimś porozmawiać. — Chociaż w lecie drzewa szeleszczą liśćmi i są rzeczywiście piękne, hałas z tych paskudztw — wskazał na rząd motocykli do wynajęcia — niszczy spokój gór. Zapewnia mi za to dostatnie życie.

— Muszę tu jeszcze wrócić. W biurze mam nieustanny hałas i urwanie głowy. Muszę tu przyjechać po ciszę.

— Niech pan to opowie swoim przyjaciołom — podsunął gospodarz. Najwyraźniej potrzebował klientów, którzy zapewniliby mu jeszcze dostatniejsze życie.

— Bez wątpienia uczynię to natychmiast po powrocie — zapewnił Nomuri. Gospodarz pożegnał go przyjaznym skinieniem głowy. Oddawszy ukłon, Nomuri wsiadł do samochodu, zapuścił motor i ruszył w trzygodzinną podróż do Tokio, zastanawiając się, skąd nagle CIA strzeliło do głowy obarczyć go misją, która sprawiała przyjemność.

— I naprawdę nie macie co do tego żadnych wątpiwości? — spytał Jackson oficerów grupy operacyjnej.

— Wybrałeś się trochę za późno ze swoimi wątpiwościami, Robby — odpowiedział

generał. — Jeśli oni są na tyle głupi, żeby pozwolić amerykańskim cywilom pętać się po kraju, to trzeba z tego skorzystać.

— Samo wprowadzenie trochę mnie niepokoi — odezwał się przedstawiciel Naczelnego Dowództwa Sił Powietrznych. Niespokojnie przenosił wzrok z map nawigacyjnych na zdjęcia satelitarne. — Odniesienia nawigacyjne są dobre, ale ktoś musi dopilnować pełnej koordynacji z samolotami dozoru. Liczymy na *AWACS-y*.

— Wiemy o tym. Sprawa załatwiona — zapewnił go pułkownik Sił Powietrznych. —

Rozświetlimy im niebo. Wejdziecie przez tę bramkę. — Wskaźnikiem klepnął w punkt na trzeciej mapie.

— Załogi śmigłowców? — zapytał Robby.

— Ćwiczą na symulatorach. Prześpią się w czasie transportu.

Symulator, na którym ćwiczono poszczególne fazy misji, pozwalał na tak realistyczne doznania, że przy zamkniętych oczach można się było oszukać. Sandy Richter był wprost oszołomiony. Urządzenie było jakby skrzyżowaniem najnowszej generacji gry Nintendo, którą bawił się jego najmłodszy syn, z prawdziwym symulatorem do szkolenia pilotów. Rozdęty jak bania hełm, który Sandy miał na głowie, do złudzenia przypominał jego hełm z *Comanche*, tyle że elektronika była zdecydowanie bardziej wyrafinowana. To, co się skromnie zaczęło od stosunkowo prymitywnego zobrazowania na *AH-64 Apache*, teraz przekształciło się w pełny obraz świata zamknięty w czaszy hełmu. Może i przydałyby się jakieś udoskonalenia, i z pewnością takowe przyjdą, ale dla jego potrzeb to, co widział i słyszał, zupełnie wystarczało: miał przed sobą stworzony, a właściwie odtworzony przez

komputer cały obszar, nad którym leciał, otrzymując bez przerwy wszystkie nawigacyjne wskazówki. W dodatku trzymał ręce na dźwigniach sterujących śmigłowca, nie istniejącego w rzeczywistości, lecz również będącego produktem komputera.

— Lecimy prosto ku przełęczy — obwieścił swojemu towarzyszowi podróży siedzącemu z tyłu, chociaż w rzeczywistości znajdował się tuż obok, gdyż symulator już takiej wierności nie potrzebował w tym sztucznie stworzonym świecie, odbieranym przez zmysły jako rzeczywistość.

Obaj piloci widzieli to, co widzieli, mimo że to, co widzieli, znajdowało się gdzie indziej.

Obraz przed ich oczyma był produktem sześciu godzin pracy superkomputera: zestaw zdjęć satelitarnych pochodził zaledwie sprzed trzech dni! Zdjęcia zostały przeanalizowane, wybrane, pocięte, poskładane i powyginane tak, aż powstał trójwymiarowy obraz, nieco bardziej tylko ziarnisty, niż magnetowidowy film.

— Osiedle po lewej.

— Widzę. — Dostrzegł fosforyzującą na niebiesko plamę, która w zasadzie powinna być żółtopomarańczowa, bo taką barwę daje sodowe światło latarni ulicznych. Z szacunku dla ludzkiego osiedla zwiększył wysokość sporo powyżej 15 metrów, na których leciał przez ostatnie dwie godziny. Ściągnął drążek, a ekipa obserwująca z rogu przyciemnionej sali spostrzegła niemalże ze zdziwieniem, jak obaj piloci przechylili się, aby zrównoważyć wyimaginowaną siłę odśrodkową podczas brania wyimaginowanego zakrętu w wyimaginowanym śmigłowcu. Byli bliscy roześmiania się, a powstrzymało ich jedynie to, że Sandy Richter nie był osobą, z której można było się śmiać.

Kiedy przeleciał nad wirtualnym brzegiem, skierował maszynę ku grzbietowi górskiego łańcucha i teraz już mknął jego skrajem. To był pomysł Richtera. W dolinach rzek wpadających do Morza Japońskiego widział drogi i domy. I dlatego pomyślał, że lepiej ukryć się akustycznie, póki można, nawet jeśli utrudnia to obserwację. Kto wie, czy w rzeczywistym świecie nie zaryzykowałby lotu w dolinie.

— Nad wami są myśliwce — usłyszał kobiecy głos z komputera. Podczas prawdziwej misji będzie go ostrzegał ten sam głos.

— Schodzę nieco niżej — odpowiedział komputerowej rozmówczyni i zniżył lot, kryjąc się za grzbietem po prawej stronie. — Jeśli mnie teraz potrafisz odszukać, kochanie, piętnaście metrów nad ziemią, to znaczy, że przegrałem.

— Mam nadzieję, że to antyradarowe pokrycie jest coś warte — powiedział drugi pilot.

Wstępne raporty wywiadu wyrażały wielkie zaniepokojenie doskonałością japońskich radarów na *F-15*. Jakimś cudem udało się im strącić jeden *B-1* i poharatać drugi. I właściwie nikt do tej chwili nie wiedział, jak to się stało.

— Wkrótce się przekonamy na własnej skórze — odparł pilot. No, bo co miał

powiedzieć. W tym wypadku komputer uznał, że pokrycie antyradarowe zdało egzamin i że śmigłowiec jest cały, a piloci zdrowi.

Ostatnia godzina „lotu” była już tylko rutynowym przemykaniem nad wrogim obszarem, niemniej Richter był bardzo zmęczony, kiedy wreszcie „dotarł” na miejsce i wszystko się skończyło — cała iluzja. Postanowił też wziąć zaraz prysznic. Tam, gdzie mieli lecieć, raczej nie można było liczyć na podobne luksusy. Natomiast przydałyby się narty.

— A co będzie, jeśli... — zaczął przyszyły towarzysz prawdziwej podróży, drugi pilot i operator uzbrojenia zarazem.

— No, to wtedy będziemy musieli polubić ryż — odparł Richter. Nie było najmniejszego sensu wszystkim się martwić.

Zapaliły się światła, piloci zdjęli kaski. Richter zamrugnął, rozglądając się po niewielkiej salce.

— Wprowadzenie udane! — stwierdził major, oceniający przebieg komputerowej eskapady w stworzony przez komputer świat iluzji. — Jesteście panowie przygotowani na wycieczkę.

Ze stołu pod ścianą Richter wziął sobie szklankę wody. — Nigdy nie przypuszczałem, że mnie tak daleko лихо zanieś. To znaczy, że sam siebie zawiozę.

— A reszta sprzętu? — dopytywał się drugi pilot.

— Będzie na pokładzie.

— To było wprowadzenie. A wyprowadzenie? — spytał Richter. Byłoby dobrze, gdyby mu coś i na ten temat powiedzieli.

— Mamy dwa, a nawet trzy warianty. Jeszcze nie podjęliśmy decyzji — odparł oficer operacji specjalnych.

Dobre było to, że wszyscy chyba mieli apartamenty na najwyższych piętrach. Te najbardziej luksusowe. Zresztą tego należało się spodziewać, pomyślał Chavez. Tacy bogaci faceci zawsze muszą mieć dla siebie całe najwyższe piętro w każdym budynku, który sobie upatrzą. Pewno dlatego tam się pchają, bo myślą, że to ich robi bardzo ważnymi. Mogą na wszystkich patrzeć z góry. Tak jak ci z wysokościowców w Los Angeles patrzyli na meksykańskie *barrio*. Chavez pamiętał to z młodości. I nikt z *barrio* nie chciał być żołnierzem, no bo co to za sposób konkurowania z tamtymi w drapaczach. Woleli tkwić wśród myszy i peonów. No cóż, każdy ma jakiegoś ćwieka albo klapki na oczach, pomyślał sobie.

Chodziło więc o znalezienie jakiegoś miejsca bardzo wysoko. Sprawa okazała się łatwa.

To też było miasto nad Pacyfikiem, jak Los Angeles. Wybrali sobie budynek, weszli do niego, wjechali windą na najwyższe piętro, skąd wspięli się schodkami na dach. Chavez ustawił na trójnogu

kamerę, wybrał obiektyw z odpowiednią ogniskową i zaczął robić zdjęcia. Chavez zrobił po dziesięć ujęć każdego budynku, sprawnie przewijał i zmieniał kasety, które wracały do swoich pojemniczków i były opatrywane etykietami. Cała operacja trwała pół godziny.

— Już się przyzwyczaiłeś do ufania temu facetowi? — spytał Chavez po oddaniu kaset.

— Ding, czego ty ode mnie chcesz? Ja się dopiero przyzwyczajam do ufania tobie.

Rubikon

— Więc co?

Ryan nie śpieszył się z odpowiedzią. Adler miał prawo co nieco wiedzieć. Negocjacje powinno się prowadzić z honorem, i choć nigdy nie mówi się całej prawdy, nie należy też kłamać.

— Postępuj tak jak dotychczas — rzekł doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— Próbuujemy coś zaradzić? — Nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Posłuchaj, Scott. Nie zasypiamy gruszek w popiele. Nie wygląda na to, żeby mieli spuścić z tonu, prawda?

Adler pokręcił przecząco głową.

— Raczej nie.

— Nakłoń ich do zweryfikowania swego stanowiska — zasugerował Jack. Nie wносиło to nic nowego, ale przynajmniej coś powiedział.

— Cook twierdzi, że pewne siły polityczne u nich starają się załagodzić sytuację. Jego odpowiednik po tamtej stronie przekazuje mu obiecujące informacje.

— Scott, w Japonii działa dwóch oficerów CIA pod przykrywką rosyjskich dziennikarzy.

Nawiązali kontakt z Kogą. Niepokoi go rozwój wydarzeń. Kazaliśmy mu zachowywać się normalnie, nie ma sensu szkodzić temu facetowi, ale jeśli... Najlepiej będzie, jeśli każesz Cookowi wyciągnąć od tamtego gościa, jak naprawdę liczne są elementy opozycyjne w ich rządzie i jaką dysponują siłą. Nie wolno mu jednak ujawnić naszego kontaktu.

— W porządku. Przekażę mu to. Co do reszty, mamy trzymać się dotychczasowej linii?

— spytał Adler.

— Nie mów im niczego konkretnego. Możesz jeszcze trochę polawirować?

— Chyba tak. — Adler rzucił okiem na zegarek. — Dziś spotykamy się u nas. Muszę pogadać z Brettem, zanim się zacznie.

— Informuj mnie na bieżąco.

— Dobrze — obiecał Adler.

Słońce nie wzeszło jeszcze nad Groom Lake. Dwa samoloty transportowe *C-5B*

pokołowały na początek pasa startowego, po czym wzbily się w powietrze. Ładunek nie ważył

dużo. Na jedną maszynę przypadały trzy śmigłowce oraz trochę innego sprzętu, jednym słowem niewiele, jak na samoloty przystosowane do przenoszenia dwóch czołgów. Lecz jeden z transportowców czekał długi lot, ponad siedem tysięcy kilometrów. Przeciwny wiatr stwarzał

potrzebę uzupełnienia paliwa w powietrzu, co z kolei pociągało za sobą konieczność umieszczenia na pokładzie samolotu pełnej załogi zastępczej. Rezerwowi piloci wyrzucili pasażerów do części ogonowej, gdzie fotele były mniej wygodne.

Richter złożył podłokietniki dzielące trzymiejscowe siedzenie i wetknął do uszu zatyczki.

Kiedy tylko samolot oderwał się od ziemi, jego dłoń powędrowała do kieszeni kombinezону lotniczego, tam, gdzie trzymał papierosy, to znaczy zwykły trzymać, zanim nie rzucił nałogu kilka miesięcy temu.

Cholera. Jak człowiek może iść na wojnę bez fajek? — spytał siebie w duchu, po czym oparł głowę o poduszkę i zapadł w sen. Nie obudziły go nawet wstrząsy, gdy samolot wszedł w turbulencje nad górami w Newadzie.

W kabinie z przodu piloci wykonali zwrot na północ. Niebo tonęło w czerni i tak miało pozostać niemal do końca lotu. Podstawowe zadanie załogi ograniczało się do czuwania.

Automatyczne urządzenia pokładowe przejmie nawigację. O tej porze całonocne loty rejsowe dawno usunęły się z drogi, regularne dzienne przeloty zaś dopiero się zaczynały. Niebo należało do nich, w całej swojej okazałości, z poszarpanymi chmurami i dojmująco zimnym powietrzem na zewnątrz aluminiowego poszycia transportowca, który zmierzał do najbardziej parszywego celu, jaki rezerwowa załoga mogła sobie tylko wyobrazić. Piloci drugiego Galaxy mieli więcej szczęścia. Skręcili na południowy zachód i po niespełna godzinie znajdowali się już nad Oceanem Spokojnym, odbywając krótszy lot do bazy Sił Powietrznych Hickam.

USS „Tennessee” wszedł do Pearl Harbor o godzinę wcześniej i bez pomocy pilota podpłynął do leżącego na uboczu nabrzeża. Holownik Marynarki pomógł mu jedynie dobić burtą do kei. Światła pogaszono i cały manewr odbył się przy blasku bijącym od pozostałych oświetlonych nabrzeży w zatoce. Dowódcę okrętu zdziwiła jedynie obecność na nabrzeżu ogromnego samochodu-cysterny. Samochodu służbowego i stojącego obok admirała należało się spodziewać, pomyślał komandor porucznik Claggett. Prędko zamontowano trap i dowódca sił

podwodnych Floty Pacyfiku pośpieszył na pokład, zanim jeszcze wciągnięto banderę na rufowej części kiosku. Mimo to zaszalutował w tamtym kierunku.

— Witamy na pokładzie, admirale — krzyknął dowódca z centrali, po czym zszedł po schodni, by przywitać się z admirałem Mancuso w swojej kabinie.

— Dutch, cieszę się, że udało ci się go uruchomić — rzekł Mancuso z przygaszonym ze względu na okoliczności uśmiechem.

— Ja też się cieszę, że idę z tą łajbą w tany — przyznał Claggett. — Mam dosyć paliwa

— dodał.

— Będziemy musieli opróżnić jeden z twoich zbiorników. — Jak na tak ogromny okręt przystało, „Tennessee” miał kilka zbiorników na paliwo do pomocniczego diesla.

— Po co, sir?

— Zatankujesz trochę JP-5. — Mancuso otworzył aktówkę i wyjął rozkazy operacyjne.

Atrament dopiero co na nich przysechł. — Dutch, przeczucisz się na operacje specjalne. —

Powodowany pierwszym odruchem Claggett chciał spytać: dlaczego ja? Opanował się jednak i odrzuciwszy okładkę rozkazów zaczął sprawdzać wyznaczoną pozycję.

— Mogę się tam nieźle napocić, sir — zauważył.

— Masz pozostawać w ukryciu, ale obowiązuje stara zasada. — Zasada ta dawała Claggettowi jako dowódcy wolną rękę w podejmowaniu decyzji.

— Proszę o uwagę — popłynęło z systemu nagłaśniającego *I-MC* — Sygnalizator MOŻNA PALIĆ zgasł na całym okręcie.

— Pozwalasz ludziom palić na pokładzie? — spytał Mancuso. Wielu z podległych mu dowódców w ogóle zabraniało palenia tytoniu na okręcie.

— Jako dowódca mam chyba wolną rękę?

Dziesięć metrów dalej, w kabynie hydrolokacji, Ron Jones wyjął z kieszeni dyskietkę komputerową.

— Dostaliśmy już ulepszoną wersję — zaproponował szef hydro.

— Ta jest jeszcze ciepła. — Jones wsunął dyskietkę do napędu w rezerwowym komputerze. — Namierzyłem was zaraz pierwszej nocy, gdy przechodziliście nad układem czujników *SOSUS* u wybrzeży Oregonu. Co to było, jakieś luźne części na rufie?

— Skrzynka narzędziowa. Już jej tam nie ma. Przeszliśmy nad jeszcze dwoma czujnikami

— zaznaczył szef.

— Z jaką prędkością? — spytał Jones.

— Nad tym drugim prawie pełnym gazem. Wywinęliśmy nad nim kilka zakrętów.

— Wyłapałem jakieś szmery, nic ponadto. A tamten układ korzysta z tego samego oprogramowania,

które załaduję teraz u was. Macie naprawdę cichą łódkę, szefie. Zrobiliście przegląd generalny?

— Taak, *skipper* zmył paru osobom głowę i nie uświadczy pan teraz ani jednej luźnej rzeczy na całym okręcie. — Szef zawahał się. — No, nie licząc końcówek rolek papieru toaletowego.

Jones usadowił się na jednym z krzeseł i rozejrzał się po przepelnionym pomieszczeniu roboczym. Tutaj czuł się jak u siebie w domu. O treści rozkazów operacyjnych dla okrętu tylko mu napomknęto. Mancuso zasięgał jego opinii co do warunków w wodzie. Martwił się również, czy Japończycy przypadkowo nie zajęli w nienaruszonym stanie należącej do Marynarki stacji *SOSUS* na Honsiu. Okręt pakował się w paszczę lwa, najprawdopodobniej jako pierwszy z Floty Pacyfiku. Do diabła, i jako pierwszy rakietowy, pomyślał Jones. Wyprostował rękę i dotknął

konsoli operacyjnej.

— Słyszałem o panu, doktorze Jones — odezwał się szef, czytając w jego myślach. —

Wie pan, ja też znam się na tym, co robię.

— Ich okręty, gdy idą na chrapach...

— Wiem, linia tysiąca herców. Mamy holowany hydrolokator i wszyściutkie najnowsze wersje oprogramowania. Włączając w to pańską, jak myślę. — Szef sięgnął po kubek, po chwili zreflektował się i nalał kawy także gościowi.

— Dziękuję.

— To były „Asheville” i „Charlotte”?

Jones skinął głową, spoglądając na kubek kawy. — Znacie „Francuza” Lavalę?

— Był jednym z moich instruktorów w Akademii. Dawne czasy.

— Francuz był moim szefem na „Dallas”. Razem służyliśmy pod admirałem Mancuso.

Jego syn był na pokładzie „Asheville”. Znałem go. Dotknęło mnie to osobiście.

— Szlag by to trafił. — Tylko tyle wydusił z siebie szef sonarzystów.

— Stany Zjednoczone Ameryki nie mogą zaakceptować obecnej sytuacji. Myślę, że postawiłem tę sprawę jasno — oznajmił Adler po dwóch godzinach kolejnej tury rozmów. W

istocie wyrażał jasno ten pogląd przynajmniej osiem razy dziennie od dnia, gdy rozpoczęły się negocjacje.

— Panie Adler, jeżeli pański kraj nie życzy sobie dalszego kontynuowania tej wojny, która nikomu

nie przyniesie nic dobrego, wystarczy, że rząd amerykański wyrazi zgodę na wybory jakie planujemy przeprowadzić, oczywiście pod międzynarodową kontrolą.

Gdzieś w Kalifornii, przypomniał sobie Adler, jakaś stacja radiowa od tygodni nadaje wszystkie nagrane wersje „Louie Louie”. Departament Stanu mógłby puszczać je w budynku zamiast tego słodko-beznamiętnego brzdąkania jakie sączy się z głośników w korytarzach.

Byłaby to przepyszna rozgrzewka przed podobnymi spotkaniami. Japoński ambasador oczekiwał odpowiedzi Amerykanów na łaskawą propozycję, że Japonia zwróci Guam (jak gdyby wprzód nie zagarnęła wyspy siłą) i coraz mocniej irytowało go, że Adler nie proponuje niczego w zamian za ten przyjacielski gest. Czyżby miał jeszcze jakąś kartę w zanadrzu? Jeśli tak, to nie ruszy się stąd, póki Amerykanin nie wyłoży jej na stół.

— Wyrażamy oczywiście zadowolenie, iż pański kraj godzi się na międzynarodową kontrolę nad wyborami. Z satysfakcją przyjmujemy także pańskie zapewnienie, że Japonia uszanuje ich wyniki. Jednak nie zmienia to faktu, że mówimy w tej chwili o terytorium suwerennego państwa, którego obywatele uprzednio wybrali z własnej woli polityczny alians ze Stanami Zjednoczonymi. Muszę z przykrością stwierdzić, że w związku z zaistniałą sytuacją trudno nam wziąć pańskie zapewnienia za dobrą monetę.

Ambasador rozłożył ręce, dotknięty tą dyplomatyczną wersją oskarżenia go o kłamstwo.

— W jaki sposób moglibyśmy je uwiarygodnić?

— Bezwzględnie opuszczając wyspy — odparował Adler. I tak poszedł na pewne ustępstwo. Dając do zrozumienia, że Ameryka nie jest całkowicie niezadowolona z japońskiej obietnicy rozpisania wyborów, dał ambasadorowi coś w zamian. Nie za wiele, nie tyle, ile tamten by sobie życzył, czyli akceptacji dla pomysłu, by wybory zadecydowały o losie wysp, ale zawsze coś. Jeszcze raz zreferowano wzajemne stanowiska, nim poranna przerwa dała wszystkim okazję do rozprostowania kości.

Na tarasie było zimno i wietrznie. Tak jak poprzednio, Adler i ambasador wycofali się naprzeciwległe krańce pomieszczenia na ostatnim piętrze, służącego w lecie za salę obiadową na świeżym powietrzu. Członkowie obydwu sztabów wymieszali się zaś między sobą, by wy badać opcje, z którymi główni negocjatorzy nie powinni się na pozór identyfikować.

— Nie idziecie prawie na żadne ustępstwa — zauważył Nagumo, upijając łyk herbaty.

— Macie szczęście, że dostaliście aż tyle. Ale i tak wiemy, że nie wszyscy w waszym rządzie patrzą przychylnym okiem na wasze działania.

— To prawda — przytaknął Seidzi. — Sam ci o tym powiedziałem.

Chris Cook stłumił w sobie chęć sprawdzenia, czy nikt ich nie podsłuchuje. Byłoby to zbyt teatralne.

Pociągnął więc tylko łyk z filiżanki i skierował wzrok na południowy zachód w kierunku Centrum Kennedy'ego.

— Nawiązaliśmy nieoficjalny kontakt.

— Z kim?

— Z Kogą — odpowiedział Cook cicho, jeżeli Adler nie potrafi dobrze rozegrać tej partii, to przynajmniej on wie jak się do tego zabrać.

— Aaa... tak, rozmowy z Kogą to logiczne posunięcie.

— Seidzi, jeśli uda nam się to umiejętnie rozegrać, obydwaj możemy zostać bohaterami.

Byłoby to idealne rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych, czyż nie tak?

— Jakiego rodzaju to kontakty?

— Wiem tylko, że są bardzo nieregularne. Słuchaj, muszę cię o coś zapytać. Czy to Koga stoi na czele opozycji, o której mi doniosłeś?

— Owszem, należy do niej — odparł Nagumo. To, co teraz usłyszał, było naprawdę bezcenną informacją. Wyszedł właśnie na jaw powód, dla którego Amerykanie szli jedynie na drobne ustępstwa. Mieli nadzieję, że chwiejna koalicja parlamentarna Goto upadnie na skutek połączenia upływu czasu i niepewności. Wystarczy tylko złamać ducha Amerykanów, a potem przeforsować własne stanowisko. Tak, to brzmi doskonale. A przewidywania Chrisa co do heroicznej końcówki, ziszczą się w połowie, czyż nie tak?

— Jest z nim jeszcze ktoś? — spytał Cook. Odpowiedź była automatyczna i do przewidzenia.

— Jasne, ale nie ośmielę się wyjawić ich nazwisk.

Nagumo opracowywał już scenariusz działań. Jeśli Amerykanie stawiają na polityczny przewrót w Japonii, to może to tylko oznaczać, że nie myślą poważnie o wariancie wojskowym.

Cóż to za wspaniała wiadomość!

Pierwszy samolot-cysterna *KC-10* wystartował z Elmendorf i dołączył do *C-5* zaraz na wschód od Nome. Kilka minut trwało wyszukanie warstw powietrza dostatecznie spokojnych dla przeprowadzenia manewru. Jednak nawet w takich warunkach nie lada sztuką było wykonanie operacji, podczas której dwa kilkusettonowe samoloty łączyły się w powietrzu niczym para jętek.

Operacja była tym bardziej niebezpieczna, że pilot *C-5* nie widział niczego poza nosem tankowca, a musiał utrzymywać zwarty szyk przez całe dwadzieścia pięć minut. Na dodatek, jeden z trzech silników *KC-10*, zamontowany na ogonie, płuł gazami wylotowymi prosto na usterzenia ogonowe

należące do *Galaxy*. Powodowało to ciągle silne zawirowania, które zmuszały pilota do nieustannej pracy sterami. Chyba dlatego, pomyślał, zlany potem pod kombinezonem lotniczym, płacą nam tak hojnie. Zbiorniki paliwa zapełniły się ostatecznie po brzegi i samoloty oderwały się od siebie. *Galaxy* wszedł w płytki lot nurkowy, tankowiec zaś wykonał zwrot w prawo. Na pokładzie transportowca żołądki załogi wróciły na miejsce, gdy tor lotu poprowadził ich na zachód nad Cieśniną Beringa. Kolejny samolot-cysterna wystartuje niedługo z Shemya i wejdzie w rosyjską przestrzeń powietrzną. Załoga *Galaxy* nie wiedziała, że inny amerykański samolot już to uczynił, stając na czele tajnej procesji do miejsca, które na amerykańskich mapach figurowało pod nazwą Wierino. Leżało ono na pochodzącej z przełomu wieków linii Kolei Transsyberyjskiej.

Nowy wał napędowy znalazł się ostatecznie na swoim miejscu, po — jak się wydawało dowódcy okrętu — najdłuższej i najbardziej nużącej w jego życiu naprawie w przedziale maszynowym. W środku kadłuba ponownie zamontowano łożyska i założono uszczelki na całej długości tunelu wału. Ten jeden szczegół wymagał pracy setki ludzi. Personel inżynieryjny harował dwadzieścia godzin na dobę, nieco dłużej niż wynosiły szychty obowiązujące i egzekwowane od cywilnych robotników stoczniowych, zawiadujących ciężkim sprzętem wokół

gigantycznego betonowego pudła. Już niedługo miał rozpocząć się ostatni etap prac. Olbrzymia suwnica bramowa przystąpiła już do przesuwania nowej, połyskującej śruby w kierunku końcówki wału. Za dwie godziny doskonale wyważona śruba o średnicy dziesięciu metrów zostanie w pełni przytwierdzona do okrętu, który stanie się już niedługo najdroższą na świecie jednostką napędzaną dwiema śrubami.

Gdy zaczęto nadawać relację sieci CNN w Pearl Harbor świtało. Ujęcie, które ukazało się oczom Ryana, przedstawiało zatokę z ukosa, a reporterka z mikrofonem w dłoni oraz napis NA ŻYWO znajdowały się w prawym dolnym rogu ekranu. Dziennikarka donosiła, że w Pearl Harbor nic nowego się nie wydarzyło.

— Tak jak państwo widzicie za moimi plecami, USS „Enterprise” i „John Stennis” nadal pozostają w suchych dokach. Dwa z najdroższych okrętów wojennych na świecie spoczywają w rękach inżynierów i robotników, którzy mają je wyremontować, na co potrzeba...

— Miesiące — dopowiedział Jack, kończąc zdanie. — Karm ich tym dalej.

Programy informacyjne innych stacji telewizyjnych już wkrótce przekażą sprawozdania o podobnej treści, ale Ryanowi zależało głównie na CNN. Na źródle informacji, z którego czerpał

cały świat.

„Tennessee” właśnie się zanurzał, minawszy parę minut wcześniej pławę wejściową. Dwa śmigłowce ZOP towarzyszyły mu przy opuszczaniu portu. W zasięgu wzroku znajdował się również niszczyciel klasy *Spruance*. Szedł pośpiesznie w kierunku „Tennessee”, prosząc za pomocą lampy sygnałowej, by okręt podwodny przeszedł bezpośrednio przy jego burcie i umożliwił mu przeprowadzenie szybkiej wprawki w hydrolokacji.

Pięciu żołnierzy Armii zaokrętowało się tuż przed wyjściem z portu. Rozlokowano ich według rangi. Oficer w stopniu porucznika dostał kaję, którą zajmowałby oficer raketowy, gdyby okręt przynosił rakiety. Podoficer w stopniu starszego sierżanta był tytularnym starszym bosmanem, więc przydzielono mu miejsce w kabinach podoficerów. Pozostali otrzymali kaję wraz ze zwykłymi marynarzami. W pierwszej kolejności trzeba było wyfasować im nowe obuwie na gumowych podszewkach oraz pouczyć o tym, jak niezwykle ważną rzeczą jest zachowanie ciszy na okręcie.

— Dlaczego? O co tyle krzyku? — spytał starszy podoficer, zerkając na swoją kaję w pomieszczeniu bosmanów. Ciekawe, czy trumna będzie choć trochę wygodniejsza, jeżeli, oczywiście, pożyje dość długo, by móc w niej spocząć.

Piiing!

— Właśnie dlatego — wyjaśnił zastępca głównego elektryka. Nawet nie drgnął, ale wyjaśnił: — Jeszcze nie przywykłem do tego dźwięku.

— Rany, co to było?

— Hydrolokator SQS-53 na niszczycielu. A jeśli słyszysz go aż tak głośno, to znaczy, że wiedzą, że tu jesteśmy. Żółtki też je mają, sierżancie.

— Nie zwracaj na to uwagi — rzekł szef sonarzystów na stanowisku służbowym w dziobowej części okrętu. Stał za plecami nowego sonarzysty patrząc na monitor. Jedno jest pewne, ulepszona wersja oprogramowania sprawiała, że łatwiej można było wychwycić system *Preria-Maska*, zwłaszcza, gdy człowiek wie, że w górze ma czysty błękit nieba i nie zanoszą się na to, iż deszcz zapluszcze o wodę.

— Dopadł nas bez kłopotu, szefie.

— Bo stary rozkazał, żeby mu nie utrudniać. Od tego momentu nie ma już taryfy ulgowej.

W Wierino mieściła się jeszcze jedna baza *MIG-ów*, od których roiło się w tych okolicach. Diabli wiedzą kogo dokładnie obawiali się Rosjanie. Z tej bazy — pomyślał pilot —

mogliby uderzyć na Japonię lub Chiny, jak również z powodzeniem bronić się przed atakiem któregoś z tych państw, zależnie od tego, kto w danym momencie politycznym dostał paranoi, a kto się wkurzył. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się odwiedzić tych okolic i, nawet wzięwszy pod uwagę zmiany w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, nie przewidywał, że posunie się dalej niż złożenie przyjacielskiej wizyty w europejskiej części Rosji, jak to sporadycznie czyniły Siły Powietrzne. A teraz, na jego drugiej godzinie, w odległości tysiąca metrów leciał myśliwiec przechwytyjący *Suchoj Su-27* z prawdziwymi pociskami raketowymi umocowanymi na spodzie płatowca, prowadzony przez pilota, w którego głowie leżało się może właśnie parę zawadiackich pomysłów. Rany, jaki ogromny cel! Dwa diametralnie różne samoloty ustawiły się w szyku godzinę temu. Zabrakło czasu na znalezienie i wyznaczenie do tej misji mówiącego po rosyjsku oficera, a nie chciano ryzykować korespondencji po angielsku na częstotliwości kontroli ruchu powietrznego. Transportowiec podążał więc za myśliwcem, niczym owczarek posłusznie idący w trop za terierem.

— Lotnisko w zasięgu wzroku — oznajmił drugi pilot zmęczonym głosem. Na niskim pułapie maszyną zaczęło jak zwykle rzucić, a wstrząsy nasiliły się jeszcze, gdy wysunęły się klapy i podwozie, zakłócając opływ powietrza wzdłuż kadłuba. Poza tym lądowanie przebiegało rutynowo. Tuż przed przyziemieniem pilot wypatrzył dwa *C-17* stojące na pasie. A więc jego *Galaxy* nie był pierwszym amerykańskim samolotem, który odwiedził to miejsce. Może dowie się od pilotów tamtych maszyn, gdzie tu się można przespać.

**

Boeing 747 należący do Japońskich Linii Lotniczych wzbił się w powietrze z kompletem pasażerów na pokładzie i, kierując się na zachód ku niezmiennym wiatrom nad Oceanem Spokojnym, oddalał się coraz bardziej od Kanady. Kapitan Sato nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jak zawsze cieszył się, że wiezie tylu rodaków do kraju, ale coś mu mówiło, iż po prostu uciekają oni z Ameryki. A to mu się już nie podobało. Syn doniósł mu o zestrzeleniu *B-1*. Jeśli jego ojczyzna potrafiła okaleczyć dwa amerykańskie lotniskowce, zatopić dwa z rzekomo niezwyciężonych okrętów podwodnych, a następnie strącić dwa będące przedmiotem chluby bombowce strategiczne, to czego się tutaj bać? W mniemaniu kapitana Sato była to już teraz tylko kwestia czasu. Po prawej dojrzał inny *747* w barwach Northwest/KLM, który wracał z Japonii, bez wątpienia zapchany amerykańskimi biznesmenami. Oni rzeczywiście brali nogi za pas. Nie żeby mieli się czego obawiać. Pewnie czmychali ze wstydu, spekulował Sato. Myśl ta spodobała mu się i pilot uśmiechnął się. Reszta trasy była prosta jak drut. Cztery tysiące sześćset mil morskich, czas lotu dziewięć i pół godziny — jeśli dobrze wysłuchał prognozy pogody — i komplet trzystu sześćdziesięciu sześciu pasażerów znajdzie się w domu, w odrodzonym kraju, strzeżonym przez jego syna i brata. We właściwym czasie wrócą do Ameryki, trzymając czoło trochę wyżej, wyglądając odrobinę dumniej, tak jak przystoi członkom ich nacji — obiecywał

sobie w duchu Sato. Żałował, że nie służy już w wojsku, co odrodziłoby w nim poczucie dostojeństwa, lecz popełnił ten błąd zbyt dawno, by móc go teraz naprawić. Przyczyni się więc choć troszeczkę do zmiany biegu historii, prowadząc *747* najlepiej jak umie.

Informacja dotarła do Yamaty wczesnym rankiem w dniu, w którym zamierzał wrócić na Saipan, by rozpocząć kampanię wyborczą o urząd gubernatora wyspy. Otrzymał ją za pośrednictwem agencji rządowych. To, co docierało do uszu Goto i ministra spraw zagranicznych, wędrowało obecnie również do nich. Nie wymagało to wiele trudu. W kraju zachodziły zmiany, nadszedł więc najwyższy czas, by ludzi, w których rękach spoczywa rzeczywista władza, zaczęto traktować podług ich wartości. We właściwym czasie dowiedzą się o tym i szeregowi obywatele. W końcu zorientują się, kto naprawdę się liczy w kraju, co, nieco poniewczasie, przyjęli do wiadomości biurokraci.

Koga, ty zdrajco, pomyślał przemysłowiec. Nie było to dla niego zupełną niespodzianką.

Były premier miał tak idiotyczne wyobrażenia o nieskazitelnosci procedur rządowych, o tym, jak to powinno się zabiegać o aprobatę zwykłych robotników (bardzo typowe dla jego światopoglądu), że z

pewnością odczuwał jakąś niemądrą tęsknotę za czymś, co nigdy nie miało pokrycia w rzeczywistości. Jest oczywiste, że politycy potrzebują przewodnictwa i wsparcia ludzi takich jak Yamata. Równie oczywiste jest to, że powinni odnosić się do swoich panów ze stosownym, czołobitnym szacunkiem. Cóż oni takiego robili, jeśli nie zajmowali się zabezpieczaniem dobrobytu, który inni: Yamata i ludzie jego pokroju, w pocie czoła wypracowali dla kraju. Gdyby Japonia powierzyła rządowi zaspokajanie potrzeb zwykłych obywateli, to co by się stało z tym krajem? Niestety, Koga i jemu podobni kierowali się ideałami, które wiodły ich na manowce. Cóż takiego mogą wiedzieć zwykli obywatele? Cóż takiego robili?

Wiedzieli i robili to, co kazali im lepsi od nich, a przez uznanie własnej pozycji w życiu i pracę nad wyznaczonymi zadaniami polepszali byt swój i całego narodu. Czy to nie proste?

Oczywiście nie chcieli nawrotu okresu klasycznego, gdy Japonią rządziła dziedziczna arystokracja. Ten system rządów sprawdzał się przez dwa millenia, ale nie pasował do ery przemysłowej. Błękitna krew w żyłach arystokratów zmieniła się w wodę pod wpływem narastającej w nich buty. Ale ludzie jego stanu zdobyli pozycję i władzę, służąc wpierw na niskich stanowiskach. Potem dzięki przedsiębiorczości i inteligencji — i szczęściu, przyznał w duchu — pielili się w górę, by w końcu dzierżyć władzę, którą zdobyli własnymi zasługami. To oni uczynili z Japonii kraj, którym jest dzisiaj. Wynieśli mały naród wyspiarzy z popiołów i ruin do przemysłowej supremacji. Rzucili na kolana jedno z „wielkich” mocarstw świata, a wkrótce postąpią podobnie z następnym. Jednocześnie zdobędą dla Japonii pozycję strażnika światowego porządku. Dokonają tego, czego nie umiały dokonać te wojskowe zakute pały w rodzaju Tojo.

Koga nie ma tu już nic do roboty. Może usunąć się z drogi, albo pogodzić z faktami tak, jak nauczył się to robić Goto. Rozumie się to samo przez siebie. Ale on nie postąpił ani tak, ani siak. Snuł teraz knowania, by pozbawić ojczyznę historycznej szansy osiągnięcia prawdziwej wielkości. Dlaczego? Bo nie szło to pewnie w parze z jego idiotycznym poczuciem tego, co dobre, a co złe. A może dlatego, że zawierało w sobie element niebezpieczeństwa. Jak gdyby prawdziwe osiągnięcia przychodziły bez nadstawiania karku — prychnął Yamata.

Cóż, nie może na to pozwolić. Sięgnął po telefon, by zadzwonić do Kanedy. Lepiej będzie, jeśli załatwi to w zamkniętym gronie. Nie zaszkodzi też przyzwyczajając się do korzystania z osobistej władzy. Poza tym nawet Goto mógłby się przed tym wzdragać.

W Zakładach Northrop samolot ten przezwano „Armadillo”. Chociaż natura nie powstydziałaby się nadać wędrownemu ptakowi morskiemu opływowego kształtu tego samolotu, zalety *B-2A* nie kończyły się na tym, co dostępne dla oka. Szare płyty z materiałów kompozytowych, z których składała się zewnętrzna powłoka, stanowiły jedynie część technologii *stealth*. Wewnętrzna metalowa konstrukcja miała kanciaste kształty i była podzielona na odrębne segmenty niczym oko owada, by tym lepiej odbijać wiązki radarowe. Pełna wdzięku sylwetka została zaprojektowana tak, by zmniejszyć opór powietrza, a tym samym zwiększyć zasięg. I wszystkiego tego udało się dokonać.

W bazie lotnictwa Whiteman w stanie Missouri 509. Grupa Bombowa pędziła od lat spokojny żywot, wykonując bez większego szumu loty szkoleniowe. Bombowce *B-2* pierwotnie zaprojektowano do

penetrowania radzieckiej obrony powietrznej i tropienia samobieźnych wyrzutni pocisków międzykontynentalnych, by je wybiórczo eliminować. Bombowce potrafiły przeniknąć nie zauważone niemal przez każdy system obronny. Przynajmniej tak dotąd sądzono.

— Ich radar jest dużych rozmiarów, ma dużą moc i wywęchał *B-1* — wyjaśnił oficer operacyjny dywizjonu. — W końcu go rozszyfrowaliśmy. Ma fazowy układ antenowy. Szybko zmienia częstotliwość i może pracować w trybie kierowania ogniem. W przypadku tego *B-1*, który pokuśtykał z powrotem do Shemya — wciąż tam spoczywał, upiększając jedyny na wyspie pas startowy, podczas gdy obsługa techniczna starała się naprawić samolot na tyle, by mógł

wrócić na Alaskę — rakieta nadleciała z innego kierunku, a impulsy radarowe nadchodziły z innego.

— Świetnie — skonstatował pułkownik Mike Zacharias. W mgnieniu oka wszystko stało się jasne. Japończycy pchnęli rosyjski pomysł o jeden technologiczny krok do przodu. Rosjanie skonstruowali myśliwce, którymi z powodzeniem kierowano z bazy naziemnej, natomiast Japonia wypracowała metodę, która umożliwia myśliwcom nie zdradzanie własnej pozycji nawet w trakcie odpalania rakiet. Stwarzało to poważny problem nawet dla *B-2*, których konstrukcja *stealth* radziła sobie z radarami wykrywania na fali długiej oraz pracującymi na wysokiej częstotliwości pokładowymi radarami śledzącymi i radarami naprowadzania rakiet.

Stealth to tylko technologia i nie ma nic wspólnego z magią. Radar pokładowy o tak dużej mocy i szybkozmiennej częstotliwości mógł bez kłopotu otrzymać wystarczająco silny impuls wtórny nawet od *B-2*, by zamierzany lot bojowy graniczył z samobójstwem. *B-2* to bombowiec, nie myśliwiec, i stanowi łatwy cel dla każdego współczesnego samolotu myśliwskiego.

— A jaka jest ta dobra wiadomość? — spytał Zacharias.

— Mamy się z nim trochę pobawić i spróbować wybać jego możliwości.

— Mój tato bawił się niegdyś w podobny sposób z pociskami ziemia-powietrze.

Skończyło się na tym, że zafundował sobie przydługi pobyt w Wietnamie Północnym.

— Ach, jak miło — stwierdził Chavez.

— Przecież nie lubisz bawić się w szpiega? — zaproponował Clark, zamykając wieko laptopa, skasowawszy najpierw rozkazy operacyjne. — Słyszałem, że rozważasz powrót do branży paramilitarnej?

— Moje gadulstwo mnie kiedyś zabije. — Ding poprawił się na parkowej ławce.

— Przepraszam — dołączył się trzeci głos. Oficerowie CIA podnieśli wzrok i ujrzeni umundurowanego policjanta z pistoletem w kaburze u pasa.

— Dzień dobry — powiedział John z uśmiechem. — Miły poranek, prawda?

— Owszem — odparł policjant. — Czy Tokio bardzo się różni od Ameryki?

— O tej porze roku różni się także od Moskwy.

— Moskwy?

Clark sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął paszport.

— Jesteśmy rosyjskimi dziennikarzami.

Gliniarz przyjrzał się uważnie książeczce i oddał ją Clarkowi. — Czy o tej porze w roku w Moskwie jest znacznie zimniej?

— Znacznie — potwierdził Clark kiwając głową. Policjant oddalił się, po zaspokojeniu służbowej ciekawości.

— Nie jestem taki pewien, Iwanie Siergiejewiczu — rzucił Ding, gdy policjant sobie poszedł. — Czasami i tutaj potrafi się porządnie ochłodzić.

— Zawsze możesz znaleźć sobie inną pracę.

— I patrzeć jak cała ta dobra zabawa przechodzi mi koło nosa? — Mężczyźni wstali i ruszyli w kierunku zaparkowanego samochodu. W schowku obok deski rozdzielczej leżała mapa.

Personel rosyjskiego lotnictwa w Wierino pałał naturalną ciekawością, ale Amerykanie wcale nie szli mu na rękę. W bazie stacjonowała ponad setka Amerykanów, skoszarowana w najlepszych pomieszczeniach. Trzy śmigłowce i dwie samobieżne przyczepy wtoczono do hangarów, które zbudowano z myślą o myśliwcach *MIG-25*. Transportowce nie mieściły się w nich w całości, wsunięto je więc do środka na tyle, na ile pozwalały im na to rozmiary. Ich ogony, sterczące na zewnątrz hangarów, można było łatwo wziąć za usterzenie *Il-ów-86*, które sporadycznie zatrzymywały się w Wierino. Rosyjska obsługa naziemna ustanowiła pas graniczny, broniący wszelkich kontaktów między dwoma zespołami. Rosjanie przyjęli to z wyraźnym rozczarowaniem.

Dwie przyczepy znajdujące się w najbardziej wysuniętym na wschód hangarze łączył

czarny kabel koncentryczny. Inny kabel biegł na zewnątrz do przenośnej stacji łączności satelitarnej, która została umieszczona w podobnym schronieniu.

— No dobrze, obróćmy to teraz — zdecydował Amerykanin w stopniu sierżanta.

Rosyjski oficer (protokół wymagał, by Amerykanie dopuszczali Rosjan do tego, co robią; ten Rosjanin był z całą pewnością oficerem wywiadu) przyglądał się, jak obraz siatkowy na monitorze komputera obraca się niczym płyta na gramofonie, a potem przesuwa przez pionową oś, jak gdyby przelatował nad wizerunkiem drążka. — Ma go — zawyrokował sierżant. Zamknął

aplikację na ekranie i nadusił klawisz WPROWADZENIE, który uruchamiał przekazywane obrazu do komputerów w stojących beczynnie śmigłowcach.

— Co pan zrobił? Mogę spytać? — zainteresował się Rosjanin.

— Powiedziałem komputerowi, czego ma szukać. — Choć prawdziwa, taka odpowiedź nic Rosjaninowi nie mówiła.

To, co się działo w drugiej przyczepie, łatwiej było zrozumieć. Skanowano i przetwarzano na obraz cyfrowy wysokiej rozdzielczości fotografie przedstawiające kilkanaście wysokich budynków. Położenie domów programowano z dokładnością do kilku metrów, a potem porównywano z innymi zdjęciami zrobionym z dużej wysokości, co wskazywało, że pochodzą z obiektywu satelity. Rosyjski oficer nachylił się bliżej ekranu, by lepiej ocenić ostrość obrazu.

Wywołało to niejaki niepokój u amerykańskiego operatora, który miał jednak rozkaz postępować tak, by w żaden sposób nie urazić Rosjan.

— Wygląda na blok mieszkalny, nie? — zagaił Rosjanin z nieudawanym zaciekawieniem w głosie.

— Zgadza się — mruknął Amerykanin. Skóra mu cierpła, pomimo że przyjęto ich w Wierino bardzo gościnnie. Rozkaz rozkazem, a pokazanie czegoś takiego komuś, kto nie legitymował się odpowiednim pozwoleniem, nawet Amerykaninowi, zakrawało na poważne przestępstwo federalne.

— Kto tam mieszka?

— Nie mam pojęcia. — Po diabła ten facet tu sterczy?

Pod wieczór ci Amerykanie, którzy dotąd nie mieli nic do roboty, poderwali się do działania. Nie do rozróżnienia pod zadziwiająco długimi — jak na żołnierzy — włosami, rozpoczęli przebieżkę wzdłuż obwodu głównego pasa startowego. Kilku Rosjan dołączyło do nich i rozpoczął się osobliwy wyścig między dwiema grupami biegnącymi w szyku.

Przyjacielska atmosfera wkrótce ustąpiła zaciekłości. Już po chwili okazało się, że Amerykanie to żołnierze z elitarnych oddziałów, nienawykli do oddawania komuś pola. Rosjanie rzucili przeciw nim godność i lepszą aklimatyzację. Specnaz — dyszeli po chwili Rosjanie. Ponieważ stacjonowali w nieciekawej bazie, której dowódca trzymał ich krótko, byli w dość dobrej kondycję, by po przebiegnięciu dziesięciu kilometrów nie dać się zdystansować. Na koniec obie drużyny przemieszały się na tyle, by zorientować się, że bariera językowa znacznie utrudnia rozmowy. Niemniej napięcie wśród gości dało się wyczuć bez słów.

— Fikuśne są — mruknął Chavez.

— Mamy szczęście, że wybrali to miejsce. — Kwestia bezpieczeństwa, pomyślał John. W

grudniu 1941 roku z powodu niepomysłnych prognoz wywiadowczych myśliwce i bombowce w Pearl Harbor również zgromadzono w jednym miejscu, dla ochrony przed sabotażem i innymi podobnymi bzdurami. Mogła za tym także przemawiać dogodność w przeprowadzaniu przeglądów technicznych, jednak nie była to baza ich pierwotnego przydziału, a co za tym idzie, hangary nie były dostatecznie pojemne. W rezultacie sześć *E-767* z czerwonymi kręgami na skrzydłach stało na otwartym polu, dwie mile stąd, łatwo rzucając się w oczy z uwagi na swoje przedziwne kształty. Co więcej, kraj ten był najzwyczajniej w świecie zbyt przeludniony, by baza wojskowa mogła cieszyć się izolacją od świata. Te same powody, które skłaniały do zakładania miast na płaskich skrawkach ziemi, kazały budować tam lotniska. Z jedną różnicą: miasta powstały tam pierwsze. Wokół piętrzyły się budynki zakładów przemysłu lekkiego, a prostokątny teren bazy oplatały z każdej strony autostrady.

Przyjrzeni się drzewom, by ustalić kierunek wiatru. Północno-zachodni. Podczas lądowania samoloty nadlecą więc z południowego wschodu. Musieli teraz znaleźć jakieś lokum.

Korzystano ze wszystkich środków. Satelity orbitujące na niskich wysokościach i gromadziły obecnie również sygnały radioelektroniczne, wyznaczając obszary patrolowe samolotów *AWACS*. Nie robiły tego tak skutecznie jak samoloty zwiadu elektronicznego, ale nie narażały się przynajmniej na niebezpieczeństwo. W następnym etapie do działania miały wejść okręty podwodne, choć może to zabrać trochę czasu. Żadna nowina. Elektroniczny plan walki stawał się coraz precyzyjniejszy, a choć nie wszystko to, co odkryli technicy wywiadu elektronicznego mogło napawać serca otuchą, zyskano przynajmniej dane, na których podstawie ludzie od zadań operacyjnych mogli pokusić się o nakreślenie czegoś na kształt planu. Na razie, dokładnie, wykreślono układy tras po jakich krążyły trzy *E-767*. Zdawały się one pozostawać bez zmian. Niewielkie dzienne odchylenia można było tłumaczyć miejscowymi wiatrami, jak czymkolwiek innym. Zmuszało to *E-767* do przekazywania informacji do ośrodków kontroli naziemnej o poprawkach kursowych. To także była dobra nowina.

W normalnych warunkach nie byłoby ich stać nawet na hotel o umiarkowanych cenach, ale ten leżał akurat pod korytarzem, którym samoloty podchodziły do lądowania na pasie dwa-trzy w pobliskiej bazie lotnictwa Sił Samoobrony. Może hałas jest w tym kraju rzeczą tak powszednią, że ludzie nauczyli się go odfiltrowywać — pomyślał Chavez, wspominając nieustanną wrzawę uliczną za oknami hotelu w Tokio. Recepcjonista zapewnił ich, że na tyłach jest całkiem znośnie, ale w najlepszym wypadku może im zaproponować pokój na rogu.

Prawdziwie wściekła kakofonia panowała od frontu hotelu, jako że pas startowy kończył się niecałe pół kilometra od głównego wejścia. To właśnie przy startach wszystko się trzęsło.

Lądowania łatwiej było przespać.

— Nie podoba mi się to — rzucił Ding, gdy znaleźli się w pokoju.

— A kto mówi, że ci się ma podobać? — John podsunął sobie krzesło i jako pierwszy objął posterunek przy oknie.

— John, to niewiele różni się od morderstwa.

— Taak, pewnie tak. — Najgorsze, że Ding miał rację. Jednak pewni ludzie inaczej zapatrywali się na tę sprawę i tylko to się liczyło.

— Żadnej alternatywy? — spytał prezydent Durling.

— Nie, sir. Osobiście nie widzę innego wyjścia. — Dla Ryana był to pierwszy raz.

Kiedyś udało mu się jako tako zapobiec wojnie. Położył kres nielegalnej operacji agendy rządowej, która mogła wyrządzić wiele szkód jego ojczyźnie. Teraz, miał dać początek wojnie, no, niezupełnie, poprawił się w myślach. Rozpętał ją ktoś inny, ale Ryan nie tańczył z radości na myśl o tym, do czego ma przyłożyć rękę. — Nie ma szans, by się wycofali.

— W ogóle tego nie przewidzieliśmy — powiedział Durling cicho, świadomy, że podobne rozważania są nieco spóźnione.

— Może tu właśnie tkwi mój błąd — oparł Ryan, czując, że jego obowiązkiem jest wziąć winę na siebie. Przecież bezpieczeństwo narodowe to jego działka. Zginą ludzie, ponieważ coś spartaczył. Zginą ludzie, ponieważ coś naprawi.

— Powiedzie się?

— O tym będziemy dopiero musieli się przekonać, panie prezydencie.

Okazało się to prostsze, niż zakładano. Trzy niezgrabne, dwusilnikowe samoloty pokołowały na koniec pasa, gdzie każdy po kolei zwrócił się nosem do północno-zachodniego wiatru i znieruchomiał. Silniki zawyły pełną mocą, potem zmniejszyły obroty i po chwili znów ruszyły na pełnych obrotach. Tym razem hamulce zostały zwolnione i samoloty zaczęły nabierać prędkości. Clark sprawdził godzinę i rozwinął mapę samochodową Honsiu.

Wystarczyło raz zatelefonować. Dział Samolotów Pasażerskich Zakładów Boeinga wydał

Awaryjne Zalecenie Niezdolności do Lotu, w skrócie E-AD, dotyczące automatycznego systemu lądowania w pasażerskich *Boeingach 767*. Usterka o nieznanym przyczynie niekorzystnie zaważyła na końcowej fazie lądowania samolotu linii Trans-World Airlines w St. Louis i do czasu ustalenia jej natury, użytkownikom polecono odłączenie tej funkcji od systemów sterujących lotem. Zalecenie rozesłano pocztą elektroniczną, telexem i listami poleconymi do wszystkich użytkowników *Boeingów 767*.

Najpierw oczy

Nikogo nie dziwił fakt, że japońskie konsulaty w Honolulu, San Francisco i Nowym Jorku były zamknięte. Agenci FBI zjawili się we wszystkich trzech jednocześnie i wyjaśnili ich personelowi, że muszą być one bezzwłocznie opuszczone. Po symbolicznym proteście, który spotkał się z uprzejmą, lecz obojętną odpowiedzią, personel dyplomatyczny zamknął budynki na cztery spusty i został odprowadzony pod strażą — głównie po to, by ochronić go przed tłumem, do autobusów, które odwiozły go na najbliższe lotnisko. Stamtąd dyplomaci mieli polecieć do Vancouver w kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska. W Honolulu autobus przejechał tak blisko bazy Marynarki w Pearl Harbor, że urzędnicy konsularni mogli obrzucić ostatnim spojrzeniem dwa lotniskowce w dokach remontowych i pstryknąć kilka zdjęć uwieczniających ten widok. Pracownikowi konsularnemu, który zrobił zdjęcia, nie wydało się podejrzane, że siedzący z przodu autobusu pracownicy FBI, nie przeszkadzają mu w tej czynności. Ostatecznie, amerykańskie środki przekazu roztrąbiły całą sprawę, tak jak się tego po nich spodziewano. Całą akcję przeprowadzono fachowo w najdrobniejszych szczegółach. Bagaże prześwietlono w poszukiwaniu broni i ładunków wybuchowych — oczywiście nie wykryto podobnych bzdur —

ale nie otwierano, gdyż należały do personelu dyplomatycznego posiadającego immunitet gwarantowany postanowieniami międzynarodowymi. Ameryka wyczarterowała dla Japończyków *Boeinga 737* linii United, który po starcie przeleciał dokładnie nad bazą Marynarki. Japończyk ponownie miał okazję zrobić kolejne pięć zdjęć przez podwójne okna samolotu z wysokości tysiąca sześciuset metrów. Pogratulował sobie w duchu, iż był na tyle przewidujący, że trzymał aparat pod ręką. Potem przespał większość pięciogodzinnego lotu do Vancouver.

— Jedyńka i czwórka są jak nowe — zapewnił główny mechanik dowódcę „Johnnie Reba”. — Wyciągniemy trzydzieści, może trzydzieści pięć węzłów, gdy tylko rozkażecie.

Wały napędowe śrub numer dwa i trzy zostały zablokowane, a otwory w kadłubie w całości zaspawane. Wraz z nimi ubyło jakieś piętnaście węzłów z maksymalnej prędkości „Johna Stennisa”. Z drugiej strony, po pozbyciu się śrub napędowych zmniejszył się opór hydrodynamiczny, co umożliwiło rozwinięcie i tak dość pokaźnej prędkości. O wiele delikatniejszą operacją było ponowne ustawienie zespołu napędowego numer cztery. Musiał on zostać wyważony precyzyjniej niż koło samochodu wyścigowego, gdyż inaczej mógłby ulec zniszczeniu przy maksymalnych obrotach. Podczas prób obracano śrubą i sprawdzano po kolei każde łożysko na długim wale. Prace dobiegły nareszcie końca i pod wieczór suchy dok miał

zostać zatopiony. Dowódca lotniskowca zmęczonym krokiem wszedł po betonowych schodach na szczyt przeogromnego, wzniesionego ludzką ręką kanionu, a stamtąd po kładce na pokład. Po odbyciu tej całkiem pokaźnej wspinaczki, skierował się do kabiny za mostkiem, którą zajmował, gdy okręt wychodził w morze i podniósł słuchawkę telefonu.

Już prawie czas. Clark wyjrzał na południowy wschód przez tylne okno pokoju. Zimne powietrze było czyste i suche. W oddali majaczyło kilka zwiewnych chmurek, wciąż bielących się w słońcu, podczas gdy ziemia pogrążała się w mroku.

— Gotowy? — spytał.

— Jasne. — Należąca do Dinga duża metalowa walizka na sprzęt fotograficzny leżała otwarta na podłodze. Jej zawartość przeszła przez urząd celny wiele tygodni temu, gdzie nie wzbudziła niczyich podejrzeń. Znajdujący się w niej sprzęt sprawiał wrażenie typowego wyposażenia fotoreportera, choć ważył nieco mniej. Wyłożone pianką wewnątrz zawierało wycięte miejsca na trzy korpusy aparatów i różne obiektywy, oraz wgłębienia na standardowo wyglądające lampy błyskowe. Ale nie były to zwykłe lampy. Jedyna broń jaką dysponowali oficerowie CIA w zupełności jej nie przypominała, co przyniosło dobre rezultaty jakiś czas temu we Wschodniej Afryce. Chavez podniósł broń, rzucił okiem na wskaźnik naładowania akumulatora i postanowił nie podłączać jej do gniazdka w ścianie. Przerzucił przełącznik na pozycję wyczekiwania i usłyszał cienki elektroniczny gwizd ładujących się kondensatorów.

— Leci — odezwał się John przytłumionym głosem, gdy zobaczył zbliżające się światła pozycyjne. Podobnie jak jego partner nie pałał entuzjazmem do tej roboty. Ale Firmy raczej to nie interesowało.

Powracający *E-767* włączył światła pozycyjne, gdy przekroczył pułap trzech tysięcy metrów, i po chwili zaczął wysuwać podwozie. Po chwili zapaliły się reflektory lądowania. W

odległości siedmiu kilometrów, lecąc siedemset metrów nad przemysłowymi obszarami oplatającymi bazę, pilot wypatrzył światła pasów startowych.

— Dwadzieścia pięć na klapach — rozkazał.

— Jest dwadzieścia pięć na klapach — potwierdził drugi pilot, sięgając po dźwignię sterowniczą, która odchyłała klapy na krawędzi spływu, a sloty na krawędzi natarcia skrzydeł. W

ten sposób samolot uzyskał dodatkową siłę nośną i sterowność przy zmniejszonej prędkości.

— Kami Trzy na podejściu, pas w zasięgu wzroku — rzucił pilot przez radio do kontrolera ruchu, który przez cały czas niepotrzebnie naprowadzał go w to miejsce. Wieża wyraziła zgodę na lądowanie i pilot nieco mocniej zacisnął ręce na sterach. Bardziej myślał o drobnych zmianach w ułożeniu sterów, niż naprawdę nimi ruszał, korygując ułożenie płatownia względem wiatrów na niskich wysokościach. Jednocześnie rozglądał się po okolicy w poszukiwaniu samolotów, które mogły niepostrzeżenie pojawić się w przestrzeni powietrznej o ograniczonym ruchu. Dobrze wiedział, że do większości katastrof lotniczych dochodzi w trakcie lądowania. Dlatego też załoga musi wykazać wtedy szczególną czujność.

— Mam go — odezwał się Chavez. Jako że nakazał swojemu sumieniu milczeć, w jego głosie nie zagrały żadne emocje. Ameryka toczy wojnę, a ludzie w samolocie mają na sobie mundury. Gra jest

uczciwa, i tylko to się liczy. Było to aż nazbyt proste. W pamięci odżył mu ten moment, gdy po raz pierwszy zabił człowieka. Ze wstydem Chavez przypomniał sobie, że w tamtej chwili czuł uniesienie.

— Marzę o gorącej kąpieli i masażu — zwierzył się drugi pilot, pozwalając sobie na osobistą myśl, podczas gdy wzrokiem badał okolicę w promieniu pięciu kilometrów. — Pas czysty.

Pilot skinął głową, po czym sięgnął prawą dłońią po dźwigni sterowania ciągiem i przesunął je do siebie. Tarcie o powietrze dodatkowo zmniejszyło jeszcze prędkość samolotu do przepisowej prędkości przyziemienia, Kami zwolnił do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę dość wysoko nad ziemią z powodu przenoszonych rezerwowych zapasów paliwa.

Zawsze latali z dużym obciążeniem.

— Dwa kilometry, wszystko w normie — zameldował drugi pilot.

— Teraz — wyszeptał Chavez. Beczułkowate przedłużenie lampy błyskowej spoczywało mu na ramieniu, wycelowane niczym karabin, a ściślej mówiąc, niczym granatnik przeciwpancerny, prosto w nos nadlatującego samolotu.

„Magia”, którą posłużyli się w Afryce była w zasadzie podrasowaną lampą błyskową, ale tym razem miała żarówkę ksenonową o wyładowaniu łukowym i dawała światło o natężeniu trzech milionów kandel. Najdroższą częścią całego zestawu był reflektor — precyzyjnie ukształtowany stop stali, który nadawał wiązce średnicę około dwunastu metrów w odległości dwóch kilometrów. Przy świetle dochodzącym na tę odległość można by bez kłopotu czytać gazetę, jednak spojrzenie prosto w źródło światła kończyło się całkowitym oślepieniem.

Żarówka, zaprojektowana jako broń obezwładniająca, posiadała osłony filtrujące promienie ultrafioletowe, które mogły wyrządzić nieodwracalne szkody ludzkiej siatkówce. Dingowi przeleciało to przez głowę, gdy uwolnił wiązkę światła. W tym przypadku nie miało to żadnego znaczenia.

Intensywne białoniebieskie światło uderzyło pilota w oczy. Odczuł to tak jak gdyby spojrział prosto w słońce, albo jeszcze gorzej. Pod wpływem bólu puścił stery i zakrył dłońmi twarz, a jego krzyk rozbrzmiał w interkomie. Drugi pilot patrzył w bok od rozbłysku, lecz światło przyciąga oko, zwłaszcza w ciemności, a jego umysł nie zdążył ostrzec go przed tą całkowicie normalną reakcją. Oślepieni lotnicy skręcali się z bólu, a samolot sunął trzysta metrów nad ziemią, znajdując się trochę ponad kilometr od progu pasa. Obaj piloci byli zarówno świetnie wyszkoleni, jak i wysoce wykwalifikowani. Kapitan, mając nadal zaciśnięte powieki, namacał w dole wolant i starał się odzyskać nad nim panowanie. Drugi pilot postąpił identycznie. Ruchy sterami nie pokrywały się jednak dokładnie i przez kilka sekund lotnicy toczyli walkę ze sobą, a nie z maszyną. Pozbawieni jakichkolwiek wzrokowych punktów odniesienia natychmiast stracili orientację w przestrzeni, co z kolei wywołało zawroty głowy, które nieuniknienie przebiegały różnie u każdego z nich. Jeden miał wrażenie, że samolot odpada w bok, drugi zaś próbował

szarpnąć sterem, by zapobiec odmiennemu ruchowi. Ponieważ od ziemi dzieliło ich zaledwie trzysta metrów, nie było czasu, by rozstrzygnąć który z nich ma rację. Walka o stery oznaczała, że gdy silniejszy z nich przejmie kontrolę, swoimi wysiłkami przypieczętuje los wszystkich osób na pokładzie. Przechyliwszy się na skrzydło *E-767* odbił dziewięćdziesiąt stopni na prawo, skręcając na północ w kierunku pustych budynków fabrycznych i gwałtownie wytrącając wysokość. Kontrolerzy z wieży wykrzykiwali ostrzeżenia przez radio, ale lotnicy ich nie słyszeli.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobił kapitan była desperacka próba gwałtownego zwiększenia ciągu.

Jednak jego zmysły oznajmiły mu, że sekundę temu jego życie dobiegło końca. Ostatnią myślą, jaka przeszła mu przez głowę, było to, że nad jego ojczyznę ponownie wybuchła bomba atomowa.

— *Jesucristo* — wyszeptał Chavez. Wszystko trwało jakąś sekundę, nawet mniej.

Wpierw nos samolotu rozbłysł na tle zszarzałego nieba, jak gdyby w jego wnętrzu nastąpiła gwałtowna eksplozja. W chwilę potem *E-767* skręcił na północ, niczym umierający ptak. Chavez zmusił się do odwrócenia wzroku. Nie chciał widzieć, jak samolot zwała się na ziemię. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Ognista kula, która wykwitła w powietrzu, oświetliła okolicę niczym błyskawica. Gdy uświadomił sobie, co zrobił, miał wrażenie, że zarobił pięścią w żołądek.

Poczuł, że musi zwymiotować.

Załoga Kami Pięć dostrzegła kulę ognia z odległości piętnastu kilometrów. Ten przyprawiający o mdłości rozbłysk żółci, na prawo od nich, ukazał się na tyle blisko lotniska, że mógł oznaczać tylko jedno. Lotnicy to ludzie zdyscyplinowani. Piloci następnego *E-767* poczuli, jak napinają się im mięśnie, a w żołądku zalega nagła pustka. Zachodzili w głowę, którzy kumple z dywizjonu roztrzaskali się o ziemię, czyje rodziny odwiedzą nieproszeni goście, czyich głosów już nie usłyszą. Po chwili skarcili się w duchu, że nie słuchają uważniej radia, jak gdyby to miało jakieś znaczenie. Wiedzeni instynktem zlustrowali wzrokiem przyrzady, wypatrując jakichś nieprawidłowości. Silniki w porządku. Sprzęt elektroniczny w porządku. Instalacja hydrauliczna w porządku. Cokolwiek przytrafiło się tamtemu, ich samolot działał sprawnie.

— Wieża, tu Piąty. Co się stało? Odbiór.

— Piąty, tu wieża. Rozbiła się Trójka. Nie znamy przyczyny. Pas czysty.

— Zrozumiałem. Kontynuuję podejście. Pas w zasięgu wzroku. — Pilot zdjął palec z włącznika radiostacji, opanowując się, by nie powiedzieć czegoś jeszcze. Lotnicy wymienili spojrzenia. Kami Trzy. Dobrzy przyjaciele. Zginęli. Łatwiej przyszłoby się im z tym pogodzić, gdyby zginęli z ręki wroga, a nie wskutek czegoś tak haniebnie prozaicznego, jak wypadek przy lądowaniu. Z powrotem skupili uwagę na torze lotu. Mimo żalu musieli zakończyć ten lot i bezpiecznie odstawić do domu dwudziestu pięciu członków załogi, którzy znajdowali się z tyłu.

— Chcesz, bym to zrobił? — zaofiarował się John.

— Ta robota należy do mnie, przyjacielu. — Ding ponownie sprawdził naładowanie kondensatora, potem wytarł twarz. Zaciśnął pięści, by opanować lekkie drżenie rąk. Szeroko rozstawione reflektory lądowania oznajmiły mu, że oto ma przed sobą kolejny cel. Służy swojej ojczyźnie, tak jak ci na pokładzie służą swojej, i tylko to się liczy. Pomyślał, że mimo wszystko wolałby trzymać w dłoni prawdziwą broń. Być może — błędził myślami — ci, którym bardziej odpowiadały miecze, czuli się podobnie, gdy zostali zmuszeni stawić czoło muszkietom. Po raz ostatni potrząsnął głową, by odzyskać jasność umysłu, po czym wycelował lampę przez otwarte okno i, odsuwając się stopniowo od otworu okna, utrzymywał ją na nadlatującym samolocie.

Wprawdzie z przodu urządzenia umocowana była nakładka ochronna, która miała uniemożliwić dostrzeżenie błysku z boku, ale Chavez nie chciał ryzykować bardziej, niż musiał...

Nacisnął guzik i po raz drugi srebrzyste, aluminiowe poszycie wokół kabiny pilotów rozjarzyło się na sekundę jaskrawym światłem. Z lewej strony dobiegły go jodłujące gwizdy wozów strażackich, śpieszących bez wątpienia na miejsce pierwszej katastrofy. Nasze syreny pożarowe mają inny dźwięk, pomyślał zupełnie bez związku. Z początku *E-767* w ogóle nie zareagował i przez ułamek sekundy Chavez zastanawiał się, czy wszystko zrobił tak jak trzeba.

Naraz snop światła z reflektora lądowania pochylił się ku ziemi, lecz samolot nie skręcił z kursu, a tylko zwiększył prędkość opadania. Wali prosto na hotel, przemknęło Chavezowi przez myśl.

Na ucieczkę było za późno. Może Bóg ukarze go za uśmiercenie pięćdziesięciu osób. Potrząsnął głową i zaczął rozmontować lampę. Znajdował niejaki pocieszenie w koncentrowaniu się na tym mechanicznym zajęciu.

Clark również zorientował się w sytuacji, lecz dobrze wiedział, że ucieczka nie ma najmniejszego sensu. Samolot musiałby teraz wyrównać lot, żeby... może pilot też tak pomyśli.

Nos samolotu podskoczył w górę i produkt firmy Boeinga przeleciał z rykiem jakieś dziesięć metrów nad dachem hotelu. John rzucił się do bocznego okna, w porę, by ujrzeć, jak końcówka skrzydła, opisując w powietrzu łuk, przemyka w górze. Samolot zaczął piąć się w górę, a raczej próbował to uczynić, prawdopodobnie na skutek uruchomieniu autopilota, który przerwał

manewr lądowania. Samolot nie miał jednak dość mocy i przepadł w połowie pasa, jakieś sto metrów nad ziemią. Położył się na lewe skrzydło i, okręcając się wokół osi, zmienił się w kolejną ognistą kulę. Ani Clark, ani Ding nie podziękowali Bogu za ocalenie życia, na które i tak pewnie sobie nie zasłużyli.

— Pakuj lampę i chwytaj aparat — rozkazał Clark.

— Po co?

— Jesteśmy reporterami, zapomniałeś? — rzucił tym razem po rosyjsku.

Dingowi dłonie trzęsły się tak mocno, że miał kłopoty z rozmontowaniem układu lampy, ale John nie przyszedł mu z pomocą. Każdy potrzebuje czasu, by zapanować nad podobnymi uczuciami. Nie zabili niegodziwców, którzy zasługiwali na śmierć. Uśmiercili ludzie wcale nie tak różnych od nich samych. O ich losie przesądziła przysięga na posłuszeństwo komuś, kto nie zawsze zasługiwał na lojalność. Chavezowi udało się w końcu wyciągnąć aparat. Dopasował

obiektyw o ogniskowej sto milimetrów do korpusu Nikona F5 i pobiegł w ślad za swoim przełożonym. W niedużych rozmiarów holu tłoczyli się ludzie, niemal wyłącznie Japończycy.

Klierk i „Czekow” przedarli się przez tłum, przecięli autostradę i podbiegli do płotu, który ogradzał lotnisko. Ding zaczął robić zdjęcia. Panowało tak duże zamieszanie, że minęło dziesięć minut, zanim zjawił się koło nich policjant.

— Co panowie tu robią?! — Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż pytanie.

— Jesteśmy dziennikarzami — odparował Klierk, okazując kartę akredytacyjną.

— Proszę natychmiast przestać fotografować — rozkazał następnie gliniarz.

— Czy złamaliśmy prawo? Byliśmy w hotelu, tym po drugiej stronie autostrady, gdy się to wydarzyło. — Iwan Siergiejewicz zamilkł i spojrzał w dół na policjanta. — Czyżby Amerykanie was zaatakowali? Mamy oddać film?

— Tak! — szepnął oficer policji. Dopiero teraz o tym pomyślał. Wyciągnął dłoń, zadowolony, że powaga jego urzędu natychmiast wywołała chęć współpracy u nieznanym.

— Jewgienij, natychmiast oddaj film temu panu. „Czekow” przewinął rolkę, wyjął ją i przekazał policjantowi.

— Proszę wrócić do hotelu. Skontaktujemy się z panami, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dam głowę, że zajdzie, pomyślał Clark.

— Pokój czterysta szesnaście — poinformował policjanta. — To okropne. Czy komuś udało się przeżyć?

— Nie wiem. Proszę już iść — burknął policjant, machnięciem ręki przepuszczając ich przez autostradę.

— Boże, zmiłuj się nad tamtymi ludźmi — mruknął Chavez po angielsku. Powiedział to całkiem serio.

Dwie godziny później przelatując nad tym obszarem satelita *KH-11* fotografował w podczerwieni okolice Tokio. Uwagę ekspertów od zwiadu fotograficznego w Narodowym Biurze Zwiadu z miejsca przykuły dwa tłące się ogniska i rozrzucone wokół części samolotów. Bez cienia satysfakcji stwierdzili, że dwa *E-767* gryzą ziemię. Obraz przekazywano w czasie rzeczywistym do kilkunastu

miejsce. W dziale J-3, czyli w Zarządzie Operacyjnym Kolegium Szefów Sztabu w Pentagonie, stwierdzono, że pierwszy etap operacji ZORRO odbył się zgodnie z planem. Powiedziano by pewnie „zgodnie z oczekiwaniami”, ale nikt nie chciał zapeszyć.

Proszę, proszę, pomyśleli pracownicy J-3, a jednak CIA czasem się do czegoś przydaje.

W Pearl Harbor panował mrok. Napełnienie suchego doku zabrało dziesięć godzin, co leżało na granicy lub nawet troszeczkę poniżej granicy bezpieczeństwa, ale wojna kieruje się własnymi normami bezpieczeństwa. Rozwarto wrota i z pomocą dwóch ogromnych portowych holowników „John Stennis” wyszedł z doku i, zrobiwszy zwrot, zostawił za sobą „Enterprise”.

Pilot wyprowadził okręt z portu w rekordowym czasie, po czym został odstawiony śmigłowcem na brzeg. Zanim minęła północ „Johnnie Reb” był już na pełnym morzu, z dala od portowych kanałów. Zmierzał na zachód.

Komisja do badania wypadków lotniczych niemal natychmiast przybyła na miejsce katastrof ze swojej centrali w Tokio. W mieszanym zespole, składającym się z personelu wojskowego i cywilnego, właśnie ta druga grupa dysponowała lepszą wiedzą fachową, gdyż tak naprawdę *E-767* był samolotem cywilnym zmodyfikowanym dla potrzeb wojska. Rejestrator lotu tzw. czarna skrzynka (w rzeczywistości pomalowana na krzykliwy, pomarańczowy kolor) z Kami Pięć odnaleziono szczęśliwie w przeciągu kilku minut, ale tej z Kami Trzy nie udało się zlokalizować tak łatwo. Rejestrator zabrano w celu przebadania go w tokijskim laboratorium.

Kłopoty, jakie przysporzyło to wydarzenie Japończykom, były bardzo poważne. Dwa z dziesięciu wartościowych *E-767* były już tylko wspomnieniem, jeden tkwił w hangarze remontowym z powodu przeglądu technicznego i montowania unowocześnionych systemów radiolokacyjnych. Zostało siedem, co oznaczało, że utrzymywanie patrolu trzech maszyn nie jest niemożliwe. Dowodziła tego czysta arytmetyka. Każdy samolot musi przechodzić przegląd techniczny, a załoga musi odpocząć. Nawet gdyby Japońskie Siły Powietrzne dysponowały dziewięcioma samolotami w stanie gotowości bojowej, utrzymywanie trzech na patrolu, podczas gdy trzy tkwiłyby w hangarach, a kolejne trzy stały w pogotowiu, miałyby przeraźliwie destrukcyjny wpływ na ludzi i sprzęt. Nie wspominając o bezpieczeństwie samolotu. Jeden z członków komisji dochodzeniowej natrafił na Awaryjne Zalecenie Niezdolności do Lotu samolotów *Boeing 767* i ustalił, że obejmuje ono model, który został przekształcony w samoloty wczesnego ostrzegania. Bezzwłocznie wyłączono automatyczny system lądowania w pozostałych maszynach. Cywilni eksperci doszli szybko do wniosku, że załogi samolotów, być może zmęczone długim lotem patrolowym, skorzystały z systemu przy podejściu do lądowania. Ubrany w mundur starszy oficer z ochotą zgodziłby się z tym, gdyby nie pewna rzecz, niewielu lotników darzy sympatią automatyczny system lądowania, więc jest mało prawdopodobne, by wojskowi piloci powierzyli maszyny i swoje bezpieczeństwo czemuś, co działa w oparciu o mikroprocesory i oprogramowanie komputerowe. A w dodatku zwłoki pilota Kami Trzy odnaleziono z dłonią spoczywającą na dźwigni ciągu. Nie miało to sensu, ale materiał dowodowy na to wskazywał.

Awaria oprogramowania w systemie, głupia i wyciskająca łzy wściekłości przyczyna utraty dwóch bezcennych samolotów. W erze lotów sterowanych komputerem podobne wypadki nie należały do rzadkości. Na razie trzeba było pogodzić się z faktami. Możliwe było jedynie utrzymywanie patroli

złożonych z dwóch maszyn, z trzecią w gotowości do startu.

Satelity wywiadu elektronicznego zarejestrowały kontynuowanie patroli trzech *E-767* i niecierpliwi technicy z wywiadu Sił Powietrznych i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego zaczęli zastanawiać się, czy Japońskie Siły Powietrzne zdecydują się na złamanie zasad eksploatacji samolotów. Po sprawdzeniu godziny stwierdzili, że sprawę wyjaśni dopiero następne sześć godzin. W tym czasie satelity nadal będą rejestrować emisje elektroniczne.

Umysł Robby'ego Jacksona zaprzętały tymczasem inne informacje z satelity. Według szacunków na Saipanie stacjonowało czterdzieści osiem myśliwców. Kolejne sześćdziesiąt cztery rozmieszczono w bazie Andersen na Guam. Para tamtejszych szerokich pasów startowych i ogromne podziemne zbiorniki paliwa bez wątplenia poprzednio ugościły nadciągające samoloty.

Wyspy dzieliło jakieś sto dwadzieścia mil morza. Jackson musiał wziąć również pod uwagę instalacje do rozśrodkowywania samolotów, które Dowództwo Lotnictwa Strategicznego wybudowało na wyspach w czasach zimnej wojny. Zamknięte lotnisko Northwest Guam posiadało dwa równoległe, zdatne do użytku pasy startowe. W środkowej części wyspy leżał

międzynarodowy port lotniczy Agania International. Pozostawał jeszcze port handlowy na wyspie Rota, porzucona baza na Tinian, oraz Kobler na Saipanie w pobliżu funkcjonującego lotniska. Co dziwne, Japończycy pogardzili wszystkimi drugorzędnymi instalacjami prócz lotniska Kobler. Dane satelitarne wskazywały, że Tinian nie była w ogóle zajęta — przynajmniej zdjęcia z powietrza nie zdradzały śladu obecności ciężkich wozów bojowych. Jackson przewidywał, że stacjonują tam lekkie oddziały, prawdopodobnie wspierane przez śmigłowiec z Saipanu, wyspy dzielił bowiem jedynie wąski pas wody.

Myśli admirała skupiały się głównie wokół stu dwunastu myśliwców. Wspierały je samoloty wczesnego ostrzegania *E-2*, a dodatkowo zwykle śmigłowce, które każda armia zabiera ze sobą, gdziekolwiek by nie wyruszała. *F-15* i *F-3* miały dodatkowo wsparcie ze strony pocisków ziemia-powietrze i artylerii przeciwlotniczej. Jak dla jednego lotniskowca było to ciężkie zadanie, nawet, gdy wzięto się pod uwagę usprawnienie lotniskowca według pomysłu Buda Sancheza. Jednak uderzanie w uzbrojenie wroga nie jest kluczem do zwycięstwa. Jest nim szturm na umysł wroga, ten stały fragment wojny, który od wieków ludzie na przemian odkrywali i o nim zapominali. Jackson miał nadzieję, że się nie myli.

Ku niejakiemu zdziwieniu Clarka policja nie przyszła. Może przydały się im zdjęcia. Ale było to chyba mało prawdopodobne. W każdym razie, Clark i Ding nie czekali, by się o tym przekonać. Siedząc z powrotem w wynajętym samochodzie, rzucili ostatnie spojrzenie na wypalone miejsce poza końcem pasa. Pierwszy z trzech samolotów wczesnego ostrzegania lądował właśnie w bazie, zupełnie normalnie ku uldze wszystkich. Godzinę wcześniej Clark zauważył, że dwa — a nie jak dotąd trzy — *E-767* oderwały się od ziemi, co jak miał nadzieję oznaczało, że ich przerażająca misja przyniosła plon. Fakt ten został już wcześniej potwierdzony przez dane satelitarne, co dało zielone światło dla kolejnej misji, o której nie mógł wiedzieć żaden z dwóch oficerów CIA.

Nadal trudno było w to wszystko uwierzyć. Anglojęzyczne wydanie gazety, którą kupili w holu hotelowym przed śniadaniem, podawało na pierwszej stronie wiadomości nie różniące się wiele od tych, które czytali podczas pierwszego dnia pobytu w Japonii. Natrafili na dwie relacje z Wysp Mariańskich oraz dwa artykuły z Waszyngtonu, jednak resztę pierwszej strony zajmowały w dużej mierze wiadomości ekonomiczne. We wszystkich artykułach, włącznie ze wstępniakiem, mowa była o tym, jak bardzo pożądane jest odnowienie stosunków z Ameryką, nawet za cenę rozsądnych ustępstw przy stole negocjacyjnym. Możliwe, że prawdziwe oblicze sytuacji przedstawiało się zbyt dziwnie, by zwykli ludzie mogli je zaakceptować, choć na pewno dużą rolę odgrywała w tym przypadku ścisła kontrola środków przekazu. Na przykład nadal nie wspomiano ani słowem o ukrytych gdzieś raketach z głowicami nuklearnymi. Ktoś wykazywał się albo wielkim sprytem, albo wielką głupotą, a może też obydwoma tymi cechami naraz.

Przyszłość pokaże. Zarówno John, jak i Ding doszli po raz wtóry do wniosku, że żadna część tej łamigłówki nie układa się w sensowną całość, ale spostrzeżenie to było słabą pociechą dla rodzin zabitych po obu stronach. Nawet we wściekle zażartej wojnie o Wyspy Falklandzkie płomienna retoryka podburzała masy. W tym wypadku sytuacja rozwijała się tak, jakby ktoś przekręcił

teorię Clausewitza i twierdził, że wojna wypływa raczej z ekonomii, niż z polityki, że biznes, choć krwiożerczy w swych poczynaniach, jest i tak bardziej cywilizowanym zajęciem niż to, którym człowiek para się na scenie politycznej. A jednak Clark na własne oczy mógł przekonać się o realności tego szaleństwa. Na drogach tłoczyły się samochody, ludzie oddawali się codziennym, rutynowym czynnościom. Jednak spojrzawszy na wraki w bazie lotnictwa oraz uświadamiając sobie, że świat zdaje się stawać na głowie, zwykli obywatele przywierali do znanej sobie części rzeczywistości i spychali całą niezrozumiałą resztę na barki innych, którzy z kolei zastanawiali się, dlaczego nikogo ona nie obchodzi.

A ja, myślał Clark, obcy szpieg pod płaszczykiem tożsamości z jeszcze innego kraju, prowadzę działania naruszające ustalenia Konwencji Genewskiej o wojnie w cywilizowanym świecie. Oto tajemnica sama w sobie. Niecałe dwanaście godzin temu przyłożył rękę do uśmiercenia pięćdziesięciu ludzi, a mimo to, jechał teraz wypożyczonym samochodem do stolicy wrogiego państwa. Martwił się tylko tym, by pamiętać o prowadzeniu samochodu po lewej stronie jezdni i unikać kolizji ze zdążającymi do pracy ludźmi, którzy uważali, że utrzymywanie trzymetrowego odstępu od samochodu jadącego z przodu tamuje ruch.

Nastrój ten prysł, gdy trzy przecznice od ich hotelu Ding dostrzegł źle zaparkowany samochód z przekrzywionym w dół bocznym lusterkiem. Był to znak, że Kimura chce się pilnie z nimi spotkać. Awaryjny charakter znaku wydał się Clarkowi jakby zapewnieniem, że świat dookoła to nie koszmarny sen. W ich życiu zagościło ponownie niebezpieczeństwo. Przynajmniej coś było prawdziwe.

Operacje lotnictwa pokładowego ruszyły pełną parą zaraz po wschodzie słońca. Cztery pełne dywizjony *F-14 Tomcat* oraz cztery dywizjony myśliwców *F/A-18 Hornet* stały na pokładzie, obok czterech *E-3C Hawkeye*. Używane w podobnych okolicznościach samoloty wsparcia stacjonowały na

razie na Midway, więc posiadająca tylko jeden lotniskowiec grupa uderzeniowa miała tymczasem używać wyspy na Pacyfiku jako zastępczej bazy wsparcia podczas żeglugi na zachód. W pierwszej kolejności trzeba było przećwiczyć uzupełnianie paliwa w locie z samolotami-cysternami Sił Powietrznych, które podążały za ugrupowaniem na zachód.

Gdy grupa minęła Midway, zaczęto rozsyłać bojowe patrole złożone z czterech maszyn, ale bez zwykłego wsparcia ze strony *Hawkeye* ów *E-2C* wzniewały zbyt dużo elektronicznego hałasu, a główne zadanie uszczuplonych sił uderzeniowych polegało na działaniu w tajemnicy, choć w przypadku „Johnnie Reba” oznaczało to, że niewidocznym należało uczynić coś, co rozmiarami dorównuje niewielkiej wyspie.

Sanchez siedział pod pokładem w przedziale operacji lotnictwa pokładowego. Przypadło mu zadanie przechylenia szali zwycięstwa w tej wyrównanej bitwie. Idea uczciwej walki była mu obca, podobnie jak każdemu człowiekowi w mundurze. Wystarczyło się rozejrzeć wokoło, by zrozumieć dlaczego. Znał ludzi w tym pomieszczeniu, a lotników na wyspach nie, i tylko to się liczyło. Owszem, tamci również są istotami ludzkimi. Mają żony, dzieci, domy, samochody i wszystko, co posiadają z reguły żołnierze, ale to nie miało znaczenia dla dowódcy grupy powietrznej. Sanchez nigdy nie wydałby rozkazu i nikomu nie darowałby urzeczywistnienia takich filmowych fantazji jak tracenie amunicji na zestrzelonych pilotów na spadochronach, poza tym stanowili oni trudny cel. Zmuszony był jednak niszczyć ich samoloty, co w erze rakiet oznaczało, że pilot miał nikłą szansę, by się katapultować. Na szczęście, w dzisiejszych czasach cel rzadko przybierał postać inną niż punkcika, który musiał oblec się kołem na wyświetlaczu *HUD* sprzężonym z systemem kierowania ogniem. Ułatwiało to wiele, a jeśli człowiekowi ze spadochronem udałooby się jednak opuścić zestrzelony samolot, no cóż, wtedy Sanchez nie wzdragałby się nadać sygnał poszukiwania i ratowania kolegi lotnika. Obcy pilot nie mógł już przecież wyrządzić krzywdy nikomu z jego ludzi.

— Koga zniknął — oznajmił Kimura głosem, w którym zagrało napięcie. Był blady.

— Aresztowany? — spytał Clark.

— Nie mam pojęcia. Nie wiecie, czy mamy kogoś w waszym wywiadzie?

John sposepniał. — Wiesz co robimy ze zdrajcami? — Wiedział to każdy. — Mój kraj pokłada duże nadzieje w tym człowieku. Zajmiemy się tym. A teraz, idź już. Chavez odprowadził

Kimurę wzrokiem.

— Przeciek?

— Może. Chyba że typki, które nakręcają całe to przedstawienie, nie chcą, by jakiś tam lider opozycji pałętał się im przez jakiś czas. — W końcu jestem analitykiem politycznym, powiedział sobie w duchu John. Ale był także akredytowanym reporterem Agencji Informacyjnej Interfax. — Jewgienij, a może byśmy odwiedzili naszą ambasadę?

Szczerienko wychodził właśnie na spotkanie z agentem, gdy dwóch mężczyzn stanęło w drzwiach jego biura. To naprawdę przedziwne zjawisko, przemknęło mu przez myśl. Dwóch oficerów CIA przychodzi do ambasady rosyjskiej na robocze spotkanie z RWS. Zaraz potem zastanowiło go, co też może ich sprowadzać.

— O co chodzi? — spytał.

— Koga zapadł się pod ziemię — rzucił krótko John Clark.

Major Szczerienko opadł na krzesło, ruchem ręki wskazując gościom fotele. Nie musiał im przypominać, by zamknęli drzwi.

— To kwestia przypadku — spytał Clark — czy też nastąpił przeciek?

— Nie sądzę, by ich wywiad odważył się na taki krok. Nawet na rozkaz Goto. Bez prawdziwych dowodów śmierdziałoby to polityką. Tutejsza sytuacja polityczna jest... jak dobrze jesteście zorientowani?

— Streść nam ją — odrzekł Clark.

— W rządzie panuje zamieszanie. Goto trzyma na wszystkim łapę, ale z nikim nie dzieli się informacjami. Jego koalicja jest nadal chwiejna. Koga cieszy się poważaniem, zbyt dużym, by go publicznie aresztować. — Według mojego rozeznania, zapomniał dodać Szczerienko. To, o czym można było mówić z całą pewnością dwa tygodnie temu, teraz przedstawiało się raczej dyskusyjnie.

Opinia majora wydała się Amerykanom rozsądna. Clark zastanowił się przez chwilę. —

Lepiej poruszcie niebo i ziemię, Borysie Iljiczu. Obydwaj potrzebujemy tego człowieka.

— Daliście mu jakieś zadanie? — spytał Rosjanin.

— Skądże. Kazaliśmy mu zachowywać się normalnie... poza tym, on myśli, że jesteśmy Rosjanami. Nasze instrukcje przewidywały jedynie wybadanie Kogi, gdyż próba pokierowania kimś takim jest zbyt ryzykowna. W każdej chwili może zmienić się w superpatriotę i kazać się nam odpieprzyć. Ludziom takim jak on trzeba pozwolić, by robili co trzeba z własnej woli. —

Któryś raz z rzędu Szczerience przyszło do głowy, że teczka tego faceta w Centrali nie kłamie.

Clark naprawdę posiadał instynkt potrzebny do pracy wywiadowczej w terenie. Skinął głową i czekał aż Amerykanin będzie mówił dalej. — Kontrolujecie ich kontrwywiad. Musimy się dowiedzieć, czy go mają.

— A jeśli tak?

Clark wzruszył ramionami. — Będziecie musieli wtedy stwierdzić, czy uda się wam go stamtąd wyciągnąć. Ta część operacji to już wasza działka. Nie możemy tego rozegrać za was.

Ale jeśli to ktoś inny go przydybał, to może będziemy mogli coś poradzić.

— Muszę skontaktować się z Moskwą.

— Domyślam się. Pamiętajcie, że Koga to nasza najlepsza szansa na polityczne uporządkowanie tego bałaganu. Zawiadomcie potem Waszyngton.

— Dobrze — obiecał Szczerienko. — Mam do was jedno pytanie. Te dwa samoloty, które rozbiły się wczoraj wieczorem...

Clark i Chavez zmierzali już w kierunku drzwi. Nie obracając się, młodszy agent CIA odpowiedział:

— Okropny wypadek, prawda?

— Jesteście szaleni — skwitował Mogaturu Koga.

— Jestem patriotą — odparował Raizo Yamata. — Doprowadzę do tego, że nasz kraj będzie naprawdę niepodległy, że znów będzie wielki. — Patrzyli sobie prosto w oczu z dwóch końców stołu w luksusowym apartamencie Yamaty. Ochroniarze przedsiębiorcy czuwali za drzwiami. Nikt poza nimi nie słyszał wypowiedzianych słów.

— Odtrąciliście naszego najważniejszego sojusznika i partnera handlowego. Ściągniecie na nas gospodarczą ruinę. Zabiliście ludzi i przekupiliście rząd oraz wojsko.

Yamata kiwnął głową, jak gdyby potwierdzał nabycie własności. — *Hai*. Nie sprawiło mi to wiele trudu. Jak trudno zmusić polityka do zrobienia czegoś?

— A wasi przyjaciele, Matsuda i cała reszta?

— Od czasu do czasu każdy potrzebuje przewodnika. — Prawie każdy — Yamata nie wypowiedział tej myśli głośno. — Gdy się to skończy, będziemy mieć w pełni zintegrowaną gospodarkę, dwóch nieugiętych i silnych sojuszników, a z czasem powrócimy do handlu z innymi krajami, gdyż reszta świata nas potrzebuje. — Czy Koga tego nie rozumie?

— Czy naprawdę tak słabo znacie Amerykę? Wpadliśmy w obecne kłopoty, ponieważ jakaś rodzina spaliła się żywcem. Oni nie są tacy, jak my. Mają inny sposób myślenia. Odmiennej religię. Ich kultura jest przesiąknięta przemocą jak żadna, a jednak hołdują sprawiedliwości.

Czczą robienie pieniędzy, ale ich korzenie tkwią w ideałach. Czy to pojmujecie? Nie będą tolerować tego, co robicie! — Koga urwał. — A jeśli chodzi o wasze zamiary w stosunku do Rosji, czy naprawdę myślicie...

— Z pomocą Chin? — Yamata uśmiechnął się. — We dwójkę poradzimy sobie z Rosją.

— Ale czy Chiny pozostaną nam wierne? — spytał Koga. — Zabiliśmy dwadzieścia milionów Chińczyków podczas drugiej wojny światowej. Ich przywódcy o tym nie zapomnieli.

— Potrzebują nas, i są tego świadomi.

— Yamata-san — powiedział Koga cicho, uprzejmym tonem, zgodnie ze swoją naturą. —

Nie znacie się na polityce tak dobrze jak na interesach. Przywieźcie nasz kraj do upadku.

Yamata odplacił mu tą samą monetą. — Podobnie jak zdrada przywieźcie was do upadku.

Wiem o waszych kontaktach z Amerykanami.

— Bzdura. Nie rozmawiałem z żadnym amerykańskim obywatelem od tygodni. —

Oburzenie nie przydałoby też odpowiedzi takiej siły, jak chłodny ton, w którym została wypowiedziana.

— No, mniejsza o to, będziecie na razie moim gościem — oznajmił Raizo. — Wkrótce przekonamy się, na ile jestem dyletantem w sprawach polityki. Za dwa lata zostanę premierem, Koga-san. Za dwa lata nasz kraj będzie supermocarstwem. — Yamata wstał. Jego apartament zajmował całą ostatnią kondygnację czterdziestopiętrowego budynku. Roztaczający się stąd widok sprawiał mu zawsze przyjemność. Przemysłowiec wstał i podszedł do zajmującego całą powierzchnię ściany okna, przebiegając wzrokiem po mieście, które wkrótce stanie się jego stolicą. Ale na razie musiał lecieć z powrotem na Saipan, by postawić pierwszy krok na politycznej drabinie. Odwrócił się. — Zobaczycie. A na razie jesteście moim gościem. Proszę się odpowiednio zachowywać, a będziecie dobrze traktowani. Spróbujecie uciec, a wasze poszatowane ciało znajdzie się na torach kolejowych wraz z notatką o tym, jak bardzo przepraszacie za swoją polityczną klęskę.

— Nie sprawię wam tej satysfakcji — odparł były premier chłodnym tonem.

Lisy i ogary

Szczerienko planował osobiście pójść na tajne spotkanie, lecz zatrzymały go pilne sprawy. Okazało się, że wyszło to nawet na dobre. Wiadomość, przekazana na dyskietce komputerowej, pochodziła od najlepszego miejscowego agenta Szczerienki, dyrektora japońskiego kontrwywiadu znanego pod nazwą Sekcji Wywiadu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Bez względu na swoje nawyki, człowiek ten był bystrym obserwatorem sceny politycznej, chociaż pisane przez niego meldunki cechowała niejaka rozwlekłość stylu. Japońskie kręgi wojskowe — donosił — bynajmniej nie narzekają na otwierające się przed nimi perspektywy. Przeżywające frustracje z powodu etykiety „sił samoobrony”, jaką przyklejano im przez wiele lat, zdolne w odczuciu opinii publicznej jedynie do nękania Godzilli i innych podobnie fantastycznych potworów (zwykle z tragicznym dla siebie skutkiem) wojsko uważało się za ostoję dumnej tradycji wojowników, a teraz doczekało się w końcu godnych swojego temperamentu przywódców politycznych. Naczelne dowództwo zasmakowało w szansie unaocznienia wszystkim, co naprawdę potrafią. Starsi rangą oficerowie, ukształtowani w dużej mierze przez amerykańskie szkolenia i kursy zawodowe, przeanalizowali zaistniałą sytuację i zapewniali teraz każdego, kto nadstawiał uszu, że czują się na siłach rozstrzygnąć na swoją korzyść tę kontrolowaną rozgrywkę oraz — ciągnął dyrektor SWBP — że szansę na podbicie Syberii postrzegają jako bardzo duże.

Ocenę sytuacyjną agenta Szczerienki oraz meldunek dwóch oficerów CIA przekazano natychmiast do Moskwy. A zatem w japońskim rządzie nie ma jednomyślności, zastanawiał się major. Dobrze, że choć jedna specjalistyczna agenda rządowa orientuje się nieco w realiach.

Rosjanom taka sytuacja była na rękę, niemniej Szczerienko pamiętał, że szef wywiadu niemieckiego, admirał Canaris, znalazł się w podobnym położeniu i niczego nie udało mu się osiągnąć. Szczerienko zamierzał przełamać ten historyczny wzorzec. Sztuka polegała na tym, by nie pozwolić na rozprzestrzenienie się wojny. Rosjanin nie dawał wiary teorii, że dyplomaci mogą świat przed nią uchronić. Był jednak święcie przekonany, że sprawny wywiad oraz zdecydowane działanie powstrzymają świat przed posunięciem się za daleko — jeśli, oczywiście, zaistnieje wola polityczna do przeprowadzenia podobnych posunięć. Szczerienkę niepokoił tylko fakt, że to właśnie Amerykanie wykazują taką wolę.

— Operacja nosi kryptonim ZORRO, panie prezydencie — powiedział Robby Jackson odrzucając okładkę pierwszej mapy. Sekretarz stanu i sekretarz obrony siedzieli w Sali Sztabowej Białego Domu wraz z Ryanem i Arnie van Dammem. Członkom rządu zrobiło się dość nieswojo, lecz podobnie czuł się w tej chwili zastępca J-3, szefa Zarządu Operacyjnego Kolegium Szefów Sztabu. Ryan skinął, by mówić dalej.

— Celem operacji jest wyeliminowanie sił dowódczych wroga poprzez dokładne uderzenie w te osoby, które...

— Mówi pan o zamordowaniu tych ludzi? — przerwał Brett Hanson, po czym przeniósł

wzrok na sekretarza obrony, który w ogóle nie zareagował.

— Panie sekretarzu, nie leży w naszych zamiarach uwikłanie w ten konflikt ludności cywilnej, co oznacza, że nie możemy uderzyć w gospodarkę. Nie możemy obrócić w perzynę mostów w ich miastach. Mają zbyt zdecentralizowane rozmieszczenie wojsk, by...

— Wykluczone — wtrącił się ponownie Hanson.

— Panie sekretarzu — odezwał się Ryan chłodnym tonem — czy pozwoli pan, że zapoznamy się z planem operacji, zanim będziemy roztrząsać, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy?

Hanson kiwnął głową z naburmuszoną miną i Jackson jął dalej wprowadzać zebranych w szczegóły planowanej operacji.

— Fragmenty układanki — skonkludował- są w większości na miejscu.

Wyeliminowaliśmy dwa z ich ośrodków dozoru powietrznego...

— Kiedy? Jak?

— Miało to miejsce wczoraj wieczorem — odpowiedział Ryan. — Jak tego dokonaliśmy to nie pańska rzecz, sir.

— Kto wydał rozkaz? — Tym razem pytanie zadał prezydent Durling.

— Ja, panie prezydencie. Akcja była dobrze zakonspirowana i odbyła się bez przeszkód.

— W oczach Durlinga Ryan wyczytał nieme napomnienie, że po raz kolejny zdarza mu się przekroczyć własne kompetencje.

— Jaka jest liczba ofiar? — chciał wiedzieć sekretarz stanu.

— Około pięćdziesięciu. Lista naszych ludzi, którzy zginęli z ich ręki, panie sekretarzu, jest dłuższa o dwieście nazwisk.

— Musi pan zrozumieć, że wynegocjowanie opuszczenia przez nich wysp jest kwestią czasu — odparował sekretarz stanu. Dyskusja przybrała charakter dwutorowy. Reszta obecnych tylko się przyglądała.

— Adler tego nie potwierdza.

— Chris Cook tak to widzi, a on ma kogoś w ich zespole negocjacyjnym.

Durling przyglądał się temu obojętnie, kolejny już raz pozwalając swoim sztabowcom —

bo tak właśnie o nich myślał — prowadzić polemikę. On stał przed innymi pytaniami. Polityka znów podnosiła swój wstrętny łeb. Jeśli nie uda mu się skutecznie zareagować na ten kryzys, wypadnie z gry. Ktoś inny zasiądzie w fotelu prezydenta i ten ktoś będzie zmuszony najdalej za rok stawić czoło kryzysowi o szerszym zasięgu. Co gorsze, jeśli ocena wywiadu rosyjskiego okaże się prawidłowa, i jeśli jesienią Japonia i Chiny wkroczą na Syberię, to kolejne, większe przesilenie przypadnie na amerykańską kampanię wyborczą. Skuteczna reakcja na takie wydarzenie opóźni się znacznie, ponieważ stanie się ona tematem niezliczonych potyczek słownych między kandydatami, gdy tymczasem gospodarka nadal zataczać się będzie pod brzemieniem stumiliardowego deficytu handlowego.

— Jeśli zaniechamy działania w tym momencie, panie sekretarzu, trudno przewidzieć, dokąd nas to wszystko zaprowadzi — argumentował w tej chwili Ryan.

— Rozwiązanie konfliktu możemy znaleźć na drodze dyplomatycznej — upierał się Hanson.

— A jeśli nie? — włączył się Durling.

— Wówczas, gdy nadejdzie odpowiednia po temu pora, pomyślimy o wyważonej akcji wojskowej.

— Pewność w głosie sekretarza stanu nie znalazła swojego odbicia na twarzy sekretarza obrony.

— Chcesz coś dodać? — rzucił w jego kierunku prezydent.

— Minie dużo czasu, może nawet lata, zanim zbierzemy dostateczne siły by...

— Nie mamy na to lat — wtrącił oschle Ryan.

— Tak, jak też tak uważam — zgodził się Durling. — Admirale, czy plan się powiedzie?

— Ma wszelkie szanse, panie prezydencie. Musimy dokonać jeszcze kilku wyłomów w ich obronie, ale najważniejszy krok uczyniliśmy wczoraj.

— W moim przekonaniu, nie dysponujemy wystarczającymi siłami, by zapewnić tej misji powodzenie — oznajmił sekretarz stanu. — Dowódca grupy lotniskowcowej właśnie nadesłał swoją ocenę sytuacji i...

— Czytałem ją — przyznał Jackson, nie potrafiąc ukryć niepokoju, jaki zasiała w nim treść tego raportu. — Ale znam dowódcę grupy powietrznej, komandora Buda Sancheza. Nasza znajomość liczy sobie wiele lat. Ufam mu. Panie prezydencie, proszę się nadmiernie nie sugerować liczbami. Tu nie idzie o liczby, lecz o prowadzenie wojny, a na tym znamy się lepiej niż oni. Chodzi tu o manewr psychologiczny, o wzmocnienie naszych sił. Wojna nie wygląda już tak jak dawniej. Kiedyś rzucano się w pole ogromne siły, by zniszczyć we wrogu zdolność do walki oraz możliwości koordynowania i dowodzenia swoimi wojskami. Owszem, pięćdziesiąt lat temu operacja wymagałaby dużej liczby żołnierzy, lecz cele, które mamy trafić są w rzeczywistości bardzo małe. Jeśli uda się nam w nie uderzyć, to dokonamy także czegoś, do czego trzeba było kiedyś miliona ludzi.

— To morderstwo z zimną krwią — sarknął Hanson — i tyle. Jackson odwrócił się od pulpitu.

— Tak, proszę pana, ma pan całkowitą rację. Wojna jest właśnie morderstwem. Tylko, że my nie uśmiercimy jakiegoś Bogu ducha winnego dziewiętnastoletniego zasrańca, który zaciągnął się do wojska, bo lubi paradować w mundurze. Dorwiemy tych drani, którzy wysyłają go na śmierć i których nawet nie obchodzi jak się nazywa. Z całym szacunkiem, sir, zabijałem ludzi, i dokładnie wiem, jak się człowiek potem czuje. Ale choć raz, jedyny raz, chciałbym dobrać się do tyłka tym, którzy wydają rozkazy, a nie tym biednym, ślepym dupkom, którzy nadstawiają karku, by je wykonać.

Ostatnie zdania niemal przywołały uśmiech na usta Durlinga.

— I tak polegnie wiele dzieciaków — zauważył prezydent. Dopiero gdy admirał Jackson ostudził gniew, udzielił prezydentowi odpowiedzi.

— Wiem, panie prezydencie, ale przy odrobinie szczęścia, znacznie mniej.

— Kiedy chcecie znać ostateczną decyzję?

— Jak już powiedziałem, panie prezydencie, fragmenty układanki są w większości na miejscu. Jesteśmy w stanie rozpocząć operację w przeciągu niecałych pięciu godzin. Potem, będziemy ograniczeni światłem dziennym. Trzeba wziąć poprawkę i dwunastogodzinne przerwy.

— Dziękuję, panie admirale. Czy mógłbym panów przeprosić na kilka minut? — Obecni opuszczali jeden po drugim pomieszczenie, gdy Durling zmienił nagle zdanie. — Jack? Zostań na sekundę.

Ryan zawrócił i usiadł.

— Nie mamy innego wyjścia, panie prezydencie, musimy to zrobić. Tak czy owak, jeśli chcemy zlikwidować te nuklearne...

— Wiem, Jack. — Prezydent wbił wzrok w biurko. Leżały na nim rozpostarte meldunki, mapy lądowe i morskie. Jednym słowem, wszystkie dokumenty wojenne. Przynajmniej oszczędzono mu informacji o przewidywanej liczbie ofiar, pewnie z zalecenia Ryana. Po chwili usłyszeli odgłos zamykanych drzwi.

Ryan odezwał się pierwszy.

— Jest jeszcze coś, sir. Były premier, Koga, został chyba aresztowany, wiemy tylko tyle, że zapadł się pod ziemię.

— Jakie to może mieć znaczenie? Dlaczego nie poruszyłeś tej sprawy?

— Aresztowanie nastąpiło w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak poinformowałem Scotta Adlera o nawiązaniu kontaktu z Kogą. Nie powiedziałem mu nawet, z kim tamten się kontaktował. Jasne, może to zwykły zbieg okoliczności. Możliwe, że Goto i jego mistrz duchowy nie życzą sobie, by ktoś

mącił polityczne wody, gdy oni wprowadzają w życie swój plan. Ale może to również oznaczać, że gdzieś nastąpił przeciek.

— Kto z naszych o tym wiedział?

— Ed i Mary Pat z CIA. Ja. Pan, panie prezydencie. Scott Adler i ci, którym powiedział.

— Nie mamy jednak pewności, że to przeciek.

— Nie, sir, nie ma takiej pewności. Ale to bardzo prawdopodobne.

— Zostawmy to na razie. Powiedz mi lepiej, co może się stać, jeśli nie wykonamy żadnego ruchu?

— Nie mamy innego wyjścia, panie prezydencie. Jeśli teraz się zawahamy, to w przyszłości możemy spodziewać się wojny między Rosją a Japonią i Chinami, podczas której my będziemy Bóg wie co robić. CIA pracuje nad własną oceną sytuacyjną, ale moim zdaniem są małe szanse, by wojna ta nie przemieniła się w konflikt nuklearny. ZORRO pewnie nie będzie najpiękniejszą kartą w naszej historii wojskowości, ale jest naszą jedyną szansą. Aspekty dyplomatyczne nie mają tu żadnego znaczenia — ciągnął Ryan. — Gra toczy się o wiele wyższą stawkę. W przypadku, gdy uda się nam pozbyć tych, którzy zrobili ten bałagan, będziemy w stanie doprowadzić rząd Goto do upadku. Potem zaś będziemy mogli zapanować nad sytuacją.

Wszystko sprowadzało się do wyboru, uświadomił sobie Durling, między dwiema opcjami, które prezentowały różny stopień umiarkowania. Hanson i sekretarz obrony przyjmowali linię klasycznej dyplomacji: odczekać aż uzyska się pewność, że nie istnieje żaden sposób rozwiązania konfliktu na drodze pokojowej. Tylko co będzie, jeśli dyplomacja zawiedzie?

Otworzy się droga przed znacznie większym i krwawszym konfliktem. Ryan i Jackson optowali za odwołaniem się do przemocy od razu, by uniknąć w przyszłości wojny o szerszym zasięgu.

Szkopuł tkwi w tym, że każda ze stron może mieć rację, a jedyny sposób, by się przekonać która, to znać treść podręczników historii, jakie powstaną za dwadzieścia lat.

— Jeśli ten plan nawali...

— To poświęcimy kilku naszych ludzi na darmo — dokończył Jack szczerze. — Pan, panie prezydencie, też zapłaci słoną cenę.

— A ten admirał, no ten facet, który dowodzi grupą lotniskowcową. Jaki jest?

— Jeśli się załame, cała operacja się zawali.

— Znajdź kogoś na jego miejsce — polecił prezydent. — Zatwierdzam operację. —

Pozostała jeszcze jedna kwestia do przedyskutowania. Ryan wprowadził prezydenta w jej szczegóły,

potem opuścił salę i zatelefonował w kilka miejsc.

Ludzie w granatowych mundurach lubią mawiać, że idealną operacją Sił Powietrznych powinien dowodzić najzwyczajniejszy kapitan. Częścią obecnej operacji dowodził pułkownik operacji specjalnych, ale przynajmniej przeszedł mu koło nosa awans na generała. Ludzie od operacji specjalnych nie pasowali do szablonowego ideału wyższego dowództwa. Po prostu byli nazbyt... ekscentryczni.

Końcowa forma planu misji została opracowana na podstawie danych przesłanych łączami z Fortu Meade w stanie Maryland do Wierino. Amerykanie wciąż wzdrygali się na myśl, że Rosjanie dowiadują się przeróżnych rzeczy o amerykańskich możliwościach zbierania i przetwarzania danych elektronicznych za pomocą satelitów i innych środków. W końcu możliwości te zostały rozwinięte, by użyć je właśnie przeciwko nim. Precyzyjnie wykreślono pozycje dwóch operujących *E-767*. Dane optyczne z satelity umożliwiły policzenie myśliwców, a przynajmniej tych, które nie skryły się akurat w schronach. Podczas ostatniego przejścia nad tamtym rejonem *KH-12* policzył samoloty w powietrzu i określił ich pozycje. Pułkownik dowodzący dywizjonem omówił trasę penetracji obrony powietrznej, którą sam wypracował, i choć kilka rzeczy mogło budzić niepokój, dwaj młodzi kapitanowie transportowca *C-17A* żując gumę skinęli głowami, ostatecznie zatwierdzając plan operacji. Jeden z nich pozwolił sobie nawet na żart, że nadszedł czas, by ich „śmieciarka” zaskarbiła sobie większy szacunek.

Rosjanie też mieli swoją rolę do odegrania. Z Jużnosachalińska na półwyspie Kamczatka wystartowało osiem myśliwców przechwytyjących, by w towarzystwie samolotu wczesnego ostrzegania *H-86*, przeprowadzić ćwiczenia obrony powietrznej. Dziesięć minut później cztery myśliwce *Su-27* opuściły Sokoł, mając za zadanie pozorowanie napastników. *Suchoje* z podczepionymi dodatkowymi zbiornikami paliwa wzięły kurs na południowy wschód, trzymając się z dala od japońskiej przestrzeni powietrznej. Kontrolerzy na obu japońskich *E-767* uznali ruchy rosyjskich maszyn za to, czym naprawdę były: raczej typowymi, rosyjskimi ćwiczeniami.

Niemniej, brały w nich udział samoloty bojowe, więc zasługiwały na baczną uwagę, zwłaszcza, że odbywały się po obu stronach najprawdopodobniejszej trasy przelotu amerykańskich samolotów w rodzaju *B-1*, które nie tak dawno „połaskotały” japońską obronę powietrzną. W

rezultacie, *E-767* zostały odciągnięte lekko na północ i wschód wraz ze swoją eskortą myśliwców. Rezerwowi *AWACS* miał otrzymać rozkaz startu, ale pozostający na ziemi dowódca obrony powietrznej podjął rozsądną decyzję, że , jedynie podwyższy mu stan gotowości. *C-17A Globemaster-III* był najdroższym samolotem transportowym, jaki kiedykolwiek przepchnięto przez komisję budżetową Pentagonu w Kongresie. Ktoś, kto zetknął się z tym proceduralnym koszmarem z pewnością wolałby się znaleźć w zaporowym ogniu przeciwlotniczym, gdyż misje bombowe planowano przynajmniej z myślą o zwycięstwie. Natomiast system zaopatrzenia przeważnie zachowywał się tak, jakby go stworzono, by zadawał klęskę. To, że nie zawsze się mu to udawało, było zasługą ludzi, którzy swoją pomysłowością krzyżowali mu szyki. Nie oszczędzono wydatków na prace konstrukcyjne, przyznano nawet kilka dodatkowych funduszy, ale rezultatem okazał się samolot znany wśród pilotów jako „śmieciarka”.

C-17A wystartował nieco po północy czasu miejscowego, biorąc kurs na południe-południowy zachód, tak jak gdyby odbywał rejsowy lot do Władywostoku. Tuż przed miastem pobrał paliwo w powietrzu od tankowca *KC-135* (rosyjski system tankowania w locie nie był

kompatybilny z rozwiązaniem amerykańskim), po czym opuścił stały ląd azjatycki i kierował się obecnie na południe, dokładnie po linii sto trzydziestego drugiego południka.

Globemaster był pierwszym samolotem transportowym, który projektowano z myślą o operacjach specjalnych. Do standardowej dwuosobowej załogi dołączyły dwa stanowiska nawigatorów, wyposażone w modułowe zestawy przyrządów. Tym razem stanowiska te zajmowali oficerowie walki radioelektronicznej, którzy trzymali oko na radarach obrony przeciwlotniczej, od jakich jeżyły się wybrzeża Chin, Korei i Japonii. Kierowali oni samolot tak, by maszynie udało się przemknąć chyłkiem po tyłu martwych polach, ilu się da.

— Można się skichać, nie? — rzucił starszy sierżant Vega w kierunku swojego dowódcy.

Rangersi porozsiadali się na rozkładanych fotelach w ładowni. W pełnym oporządzeniu bojowym kiwali się jak kaczki, gdy godzinę temu człapali na pokład samolotu pod czujnym okiem szefa załadunku. Wśród lotniczej społeczności w Armii panuje przekonanie, że Siły Powietrzne przyznają dodatkowe punkty lotnikom, których pasażerowie pochorowali się w powietrzu. Tym razem lotnicy mogli być z siebie dumni. Misja Rangersów weszła właśnie w najbardziej niebezpieczną fazę, a spadochrony, które mieli na sobie wcale nie polepszały ich szans. Co znamienne, załogi samolotów Sił Powietrznych nie zawracały sobie głowy spadochronami. I tak na nic się zdadzą, jeśli jakiś zbłąkany myśliwiec wpadnie na nich przed planowanym skokiem.

Kapitan Checa przytaknął skinieniem głowy. Z całej duszy pragnął stać w tej chwili na ziemi, czyli tam, gdzie jest miejsce żołnierza piechoty, a nie siedzieć bezradnie niczym nie narodzone dziecko w łonie matki, fanatyczki tańców dyskotekowych.

W kabinie pilotów, ekrany WRE nasycaly się barwami. Prostokątny telewizyjny monitor wyświetlał wszystkie zaprogramowane w pamięci komputera instalacje radarowe na zachodnim wybrzeżu Japonii. Wyszukanie tych danych nie nastreczyło żadnych trudności, jako że niemal wszystkie stacje wznieśli Amerykanie pokolenie lub dwa temu, w czasach, gdy Japonia była olbrzymią bazą wycelowaną przeciwko Związkowi Radzieckiemu, a także narażoną na radziecki atak. Stacje radarowe uległy od tamtego czasu modernizacji, jednak każda linia dozoru radiolokacyjnego ma swoje słabe strony, a te Amerykanie znali z góry. Poza tym w ciągu ostatniego tygodnia satelity zwiadu elektronicznego przyjrzały się jej ponownie. Transportowiec zmienił kurs na południowo-wschodni, wyrównał lot sześćdziesiąt pięć metrów nad wodą i parł

naprzód z maksymalną prędkością rozwijaną na niskich pułapach, czyli pięciuset kilometrów na godzinę. Rzucalo nim na wszystkie strony, co załodze w ogóle nie przeszkadzało, ale pasażerom dawało się mocno we znaki. Pilot lustrował wzrokiem niebo przez nocne gogle ze wzmacniaczem

obrazu, drugi pilot zaś koncentrowała się na przyrządach, mając do dyspozycji wskaźnik *HUD*, taki jak instaluje się na myśliwcach. *HUD* wyświetlał na wiatrochronie kurs kompasowy, wysokość, prędkość, a także cienką zieloną linię sztucznego horyzontu. Chwilami pilot dostrzegała prawdziwy horyzont gołym okiem, ale zależało to od stanu księżyca i zachmurzenia.

— Mam światła pozycyjne, bardzo wysoko, na dziesiątej — zameldował pilot. Należały one z pewnością do samolotów rejsowych lecących korytarzem dla samolotów cywilnych. — Nic więcej.

Drugi pilot rzuciła okiem na ekran radiolokatora. Obraz na radarze przedstawiał się tak jak zakładano, ich tor lotu biegł bardzo wąskim korytarzem czerni między żółtymi i czerwonymi plamkami, które wyznaczały obszary pokrycia radarów obrony przeciwlotniczej i dozoru powietrznego. Im niżej lecieli tym szersza stawała się czarna strefa bezpieczeństwa. A lecieli teraz tak nisko, jak tylko pozwalało bezpieczeństwo lotu.

— Odległość do brzegu pięćdziesiąt mil.

— Zrozumiałem — potwierdził pilot. — Jak tam? — spytał w chwilę później.

Przemykanie się na niskiej wysokości przez obronę przeciwlotniczą każdemu dawało porządnie w kość, mimo że sterowany komputerem autopilot wyręczał pilota w kierowaniu drążkiem.

— W porządku — odpowiedziała druga pilot. Nie była to do końca prawda, ale właśnie takiej odpowiedzi po niej oczekiwano. Zaraz rozpocznie się najbardziej karkołomna część zadania: przejście obok zlokalizowanej na wzniesieniu stacji radarowej w Aikawa. Najślabszy punkt w japońskiej obronie przeciwlotniczej znajdował się w przerwie między półwyspem i wyspą. Radiolokatory po obu stronach niemal w całości pokrywały siedemdziesięciomilowe przewężenie, ale pamiętały one jeszcze lata 70. Co ważniejsze, nie były modernizowane od upadku komunistycznego reżimu w Korei Północnej.

— Schodzimy w dół — oznajmiła pilot, ustawiając regulator wysokości autopilota na dwadzieścia trzy metry. Teoretycznie, można było zejść bezpiecznie na wysokość szesnastu metrów nad płaską powierzchnią, ale tym razem samolot miał zbyt duże obciążenie. Dłoń pilotki spoczywała na dźwigni małego drążka z boku kabiny, którego obecność potęgowała wrażenie, że człowiek znajduje się w kabinie myśliwca. Gdy w polu widzenia pojawi się nawet coś tak niepozornego jak łódź rybacka, będzie musiała poderwać maszynę w górę, by uniknąć zderzenia z wierzchołkiem masztu.

— Brzeg za pięć — oznajmił jeden z operatorów systemów WRE. — Zalecam prawo jeden-sześć-pięć.

— Skręcam w prawo. — Samolot przechylił się lekko.

W ścianach ładowni było kilka okien. Sierżant Vega, który siedział przy jednym z nich, ujrzał jak końcówka skrzydła nurkuje w kierunku niemal niewidocznej czarnej tafli nakrapianej niekiedy białymi barankami. Na ten widok odwrócił oczy. Nic i tak nie mógłby poradzić. Gdyby zostali

trafieni i pokoziołkowali w morze, nie miałyby czasu, żeby coś poczuć. Przynajmniej tak mu ktoś kiedyś powiedział.

— Widzę brzeg — oznajmił dowódca, gdy wypatrzył przez gogle noktowizyjne łunę świateł. Czas by wyłączyć gogle i pomóc prowadzić samolot. — Przejmuję stery.

— Kapitan przejął stery — potwierdziła drugi pilot, rozluźniając mięśnie dłoni i pozwalając sobie na głęboki oddech.

Znajdowali się między Orni a Iczifuri. Gdy tylko ląd pojawił się w zasięgu wzroku, pilot poprowadził maszynę w górę. Automatyczny system unikania przeszkód terenowych można było ustawić na trzy różne wartości. Pilot wybrał tę oznaczoną jako „bardzo czuła”, która sprawiała, że system dość bezpardonowo obchodził się z samolotem, a zwłaszcza z pasażerami, ale było to bezpieczniejsze dla wszystkich zainteresowanych. — Co z ich *AWACS-ami!* — spytał oficerów WRE.

— Odbieram emisje, na dziewiątej, bardzo słabe. Trzeba będzie pokluczyć, ale powinno się udać.

— Wyjmujcie torby chorobowe, chłopaki — mruknął pod nosem, a do szefa załadunku rzucił:

— Dziesięć minut.

— Dziesięć minut — oznajmił sierżant Sił Powietrznych w części ogonowej. W tej samej chwili transportowiec poderwał się w górę, potem wyrwał w bok, omijając pierwszą górę brzegową, następnie zanurkował gwałtownie, jak na szczególnie nieprzyjemnej przejażdżce w wesołym miasteczku. Julio Vega przypomniał sobie, jak niegdyś zaklinał się, iż już nigdy nie da się zrobić w coś podobnego i jak nie raz złamał tę obietnicę. Tylko że tym razem na ziemi czaili się uzbrojeni ludzie i nie byli to kolumbijscy handlarze narkotyków, lecz wyszkolona armia zawodowa.

— Jezu, mam nadzieję, że zafundują nam choć dwie minuty spokojnego lotu, żeby doczołgać się do drzwi — wychrypiał między szarpiącymi żołądek spazmami.

— Nie licz na to — wykrztusił kapitan Checa i chwilę później skorzystał z własnej torby chorobowej. Dało to początek podobnym reakcjom wśród Rangersów.

Cała sztuka polegała na tym, by szczyty gór znajdowały się między samolotem a nadajnikiem radarowym, co zmuszało ich do lotu dolinami. *Globemaster* zwolnił —

prędkościomierz wskazywał zaledwie trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nawet z wysuniętymi klapami i słotami, prowadzona przez wspomagany komputerowo system sterowania lotem, maszyna na przemian to chybotwała się na boki, to podrygiwała w górę. *HUD* przedstawiał górski korytarz, którym lecieli. Przed oczami pilotów rozbłyskiwały co chwila czerwone znaki

ostrzegawcze, na które komputer reagował dość dobrze, Bogu dzięki, ale piloci i tak drętwieli ze strachu. Lotnicy nie dowierzają automatom. Dlatego dłonie pilotów *Globemastera* spoczywały cały czas na sterach. Już odbierały komputerowi kontrolę nad maszyną i oto cofały się z powrotem. Niczym w dziecięcej grze o miano najodważniejszego, komputer starał się wyprzedzić wyszkolonych lotników, którzy byli zmuszeni powierzyć mikroprocesorom wykonanie tego, czemu nie sprostałby ich refleks. Przyglądali się zygzakowatym liniom przedstawiającym całe łańcuchy górskie o krawędziach rozmytych od drzew, które porastały większość szczytów. Górskie granie biegły ponad ich głowami i dopiero w ostatniej sekundzie nos maszyny podrywał się ponad nie, a ich żołądki próbowały za wszelką cenę go dogonić. W

chwilę później transportowiec ponownie nurkował.

— Tam jest punkt identyfikacyjny. Pięć minut! — krzyknął pilot do tyłu.

— Wstawać! — ryknął szef załogi do pasażerów. Samolot dał w tym momencie nura w dół, tak że wstając jeden z Rangersów omal nie wzleciał ponad podłogę ładowni. Żołnierze przesuwali się na ogon w kierunku otwartych drzwi pasażerskich w lewej burcie. Gdy zaczepili linki spadochronowe, tylna rampa odskoczyła w dół. Dwaj szeregowi zdjęli haki zabezpieczające ze spaletyzowanego ładunku zajmującego środek trzydziestometrowej przegrody ładunkowej.

Gdy *Globemaster* wrócił do lotu poziomego, Checa i Vega ujrzeli przez otwarte drzwi pograżoną w mroku dolinę śmigającą pod brzuchem samolotu, a po lewej piętrzące się góry.

— Sto siedemdziesiąt metrów — zameldował pilot przez interkom. — Do roboty.

— Wiatr w porządku — oznajmiła drugi pilot, odczytując dane z komputera sterującego zrzutami. — Minuta.

Nad bocznymi drzwiami rozbłysła zielona lampka. Szef załogi przypięty pasem bezpieczeństwa, stał w otwartych drzwiach, zagradzając drogę dwóm Rangersom. Spojrzał na nich z ukosa.

— Uważajcie na siebie, chłopaki.

— Przykro nam, że zrobiliśmy taki bałagan — powiedział kapitan Checa. Szef wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Sprzątałem gorszy. — W rzeczywistości robił to za niego szeregowy. Szef powiódł po ładowni ostatnim spojrzeniem. Rangersi trzymali się swoich miejsc, nikt nie stał na bieżni ładunku. Pierwszy zrzut nastąpi z tylnego luku.

— Ogon czysty — zameldował przez telefon pokładowy i odsunął się od drzwi, jego miejsce zajął Checa, opierając dłonie o krawędzie otworu i wysuwając lewą stopę na zewnątrz.

— Dziesięć sekund — oznajmiła drugi pilot.

— Zrozumiałem, dziesięć sekund. — Pilot sięgnął do przełącznika zwalniającego, odrzucił klapkę zabezpieczającą i oparł kciuk na przełączniku.

— Pięć.

— Cztery.

— Trzy... dwa... jeden... już! Pilot pstryknął przełącznikiem.

— Ładunek poszedł.

Rangersi patrzyli jak palety wyślizgują się przez drzwi tylnej rampy. Transportowiec przysiadł na ogonie, ale zaraz wyrównał do poziomu. Chwilę potem zielona lampka nad drzwiami pasażerskimi zaczęła migotać.

— Dalej, dalej, dalej! — wrzasnął szef, przekrzykując huk powietrza.

Kapitan Diego Checa z oddziału Rangersów Armii Stanów Zjednoczonych jako pierwszy Amerykanin dokonał inwazji na terytorium japońskie, gdy przestąpiwszy próg dał nura w ciemność. Sekundę potem spadochron otworzył się z jękiem i czarna nylonowa czasza rozkwitła niecałe sto metrów nad ziemią. Silny, nawet bolesny wstrząs przy otwieraniu się spadochronu Checa powitał z ulgą. Podczas zrzutów ze stu siedemdziesięciu metrów zapasowy spadochron był

jedynie niepotrzebną ozdobą. Kapitan zerknął w górę, by upewnić się, czy wszyscy wyskoczyli, oraz czy ich spadochrony otworzyły się bez problemu. Następnie zlustrował okolicę. Dokładnie pod sobą miał niewielką porębę. Choć był pewien, że uda mu się na niej wylądować, szarpnął

jednym cięgnem nośnym, by wypuścić powietrze z czaszy spadochronu. Miał nadzieję, że trafi w środek polanki, co zwiększy margines bezpieczeństwa, który podczas nocnych zrzutów miał tyle samo wspólnego z rzeczywistością co z teorią. W ostatniej kolejności odrzucił plecak, który zawisł pod nim na pięciometrowej linie. Trzydzieści kilogramów wyposażenia uderzy w ziemię jako pierwsze, co osłabi wstrząs podczas lądowania pod warunkiem, że człowiek nie wylądował na tym cholerstwie i sobie czegoś nie złamie. Tylko tyle zdążył pomyśleć, zanim niewidoczna dolina nie wybiegła mu na spotkanie. Stopy razem, kolana zgięte, plecy proste i pamiętać, żeby potoczyć się po ziemi. Uderzenie o ziemię wybiło mu dech z piersi, ale po chwili leżał już twarzą do ziemi i starał się ustalić, czy wszystkie kości ma na miejscu. Po chwili doszły go głuche tąpnięcia i zdławione „uff”, gdy reszta oddziału znalazła się na ziemi. Checa odczekał pełne trzy sekundy, by przekonać się, czy jest cały i zdrowy, potem poderwał się, odpiął uprząż i pognął

zgasić spadochron. Gdy to zrobił, nasunął na oczy noktowizyjne gogle i przystąpił do zbierania ludzi.

— Wszyscy w porządku?

— Szczęśliwy zrzut, sir. — Pierwszy z ciemności wyłonił się Vega, prowadząc za sobą dwóch innych żołnierzy. Reszta oddziału nadciągała, niosąc czarne spadochrony.

— Do roboty, Rangersi.

Globemaster leciał dalej prosto na południe, schodząc tuż nad powierzchnię wody zaraz na zachód od Nomazu. Prześlizgując się nad taflą morza, krył się za górzystym półwyspem przed odległymi *E-767* tak długo, jak to było możliwe. Potem skręcił na południowy zachód, by odbić od nich jeszcze trochę, aż w końcu, dwieście mil od wybrzeża japońskiego, mógł wspiąć się bezpiecznie na wysokość przelotową i wejść na przeznaczony dla samolotów cywilnych korytarz G223. Jediną niewiadomą było w tej chwili to, czy tankowiec *KC-10* przybędzie o oznaczonym czasie, co umożliwi dokończenie lotu do Kwajalein. Dopiero wtedy załoga *Globemastera* będzie mogła przerwać ciszę radiową.

Rangersi mogli to zrobić pierwsi. Sierżant odpowiedzialny za łączność rozstawił nadajnik satelitarny, zorientował go w odpowiednim kierunku i nadał pięcioliterowy kod, po czym zaczął na potwierdzenie.

— Są na miejscu cali i zdrowi — oznajmił major Armii Jacksonowi, który siedział przy biurku w Ośrodku Dowodzenia Sił Zbrojnych USA.

Sztuką będzie ich stamtąd wyciągnąć, pomyślał admirał. Ale wszystko po kolei. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Białego Domu.

— Jack, Rangersi są na miejscu.

— Świetnie, Rob. Jesteś mi tu potrzebny — rzekł Ryan.

— Po co? Mam tu ogromnie dużo pracy i...

— I to zaraz, Rob. — Trzasnęła odkładana słuchawka.

Kolejnym punktem programu było przeniesienie ładunku. Wylądował on w promieniu dwustu metrów od zakładanego punktu, choć w planie dopuszczano nawet większy rozrzut.

Rangersi mozolili się z pustymi zbiornikami na paliwo, przenosząc je pod górę ku linii drzew, która wyznaczała granicę czegoś na kształt górskiego pastwiska. Gdy już to zrobili, przeciągnięto wąż i dziesięć tysięcy kilogramów JP-5 przepompowano z olbrzymiego pojedynczego gumowego zbiornika do sześciu mniejszych, ułożonych po dwa we wcześniej wybranych punktach. Cała operacja trwała godzinę. W międzyczasie czwórka Rangersów patrolowała najbliższą okolicę, wypatrując znaków ludzkiej bytności, ale natknęła się jedynie na ślady czterokołowego łoża. W czasie odprawy zapowiedziano im, że mogą je tam zastać. Gdy przepompowywanie dobiegło końca, duży gumowy zbiornik zwinięto i upchnięto w dziurę w ziemi, którą dokładnie przykryto darnią. Pozostałą część ładunku przetransportowano na ludzkich barkach i okryto siatką maskującą. Zajęło to kolejne dwie godziny. Z Rangersów były siódme poty na skutek mieszaniny ciężkiej fizycznej pracy i kumulującego się napięcia nerwowego. Niedługo miało wzejść słońce. Teren musiał wyglądać tak, jakby nie stała na nim ludzka stopa. Starszy sierżant Vega nadzorował zacieranie śladów. Gdy się z tym uporali, opuścili otwarty teren, maszerując gęsiego w kierunku krawędzi lasu, a ostatni w kolumnie

miał

za zadanie zniwelować ślady stóp na trawie. Podjęte środki nie były doskonałe, ale na razie trzeba

było

się

nimi

zadowolić.

Przed

świtem,

który

oznajmił

im

koniec

dwudziestoczworogodzinnego dnia, najbardziej parszywego jaki tylko człowiek mógł sobie wyśnić, dotarli już na miejsce. Nieproszeni goście drżeli z zimna na ziemi obcego kraju, nie mogąc rozpalic ognia, by się ogrzać.

— Jack, do diabła, czeka tam na mnie fura roboty — oświadczył Robby, przestępując przez próg pokoju.

— Już nie. Omówiłem to wczoraj z prezydentem.

— O czym mówisz?

— Pakuj się. Obejmujesz dowództwo grupy uderzeniowej „Stennisa”. — Ryan pragnął

uśmiechnąć się do przyjaciela, ale nie mógł się na to zdobyć. Nie teraz, gdy narażał go na niebezpieczeństwo. Na słowa Ryana Jackson zatrzymał się w pół kroku.

— Naprawdę?

— Już zdecydowane. Prezydent podpisał się pod tą decyzją. Dowódca Floty Pacyfiku też wie. Admirał Seaton...

Robby skinął głową.

— Wiem, pracowałem już kiedyś dla niego.

— Masz dwie godziny. W bazie Andrews czeka na ciebie *Gulfstream*. Chcemy mieć na miejscu kogoś — wyjaśnił doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego — kto rozumie polityczne ograniczenia nałożone na tę operację. Pchnij ją do uzgodnionego punktu, Rob, ale ani kroku dalej. Musimy się z tego jakoś wywinąć.

— Rozumiem.

Ryan wstał od biurka i podszedł do przyjaciela.

— Rob, robię to z ciężkim sercem, ale...

— To mój zawód, Jack.

„Tennessee” zajął pozycję nieopodal wybrzeża Japonii, nareszcie powracając do zwykłej, patrolowej prędkości pięciu węzłów. Komandor porucznik Claggett, wykorzystując odpowiedni moment, zdobył dobry namiar pozycji względem skalistego wybrzuszenia, znanego marynarzom jako Żona Lota, a potem sprowadził okręt poniżej termokliny na głębokość trzystu metrów.

Hydrolokator milczał, co było raczej dziwne na ruchliwym zazwyczaj szlaku żeglugowym, ale po czterech godzinach pędzenia na złamanie karku, wszyscy na okręcie przyjęli to z dużą ulgą.

Personel Armii zaadaptował się nader dobrze, przyłączył się nawet do joggingu, jaki marynarze odbywali w przedziale raketowym. Rozkazy operacyjne, jakie obowiązywały w tej chwili

„Tennessee”, nie różniły się zbytnio od pierwotnego przeznaczenia okrętu raketowego: pozostawać niewykrytym, a dodatkowo zbierać wszelkie informacje o ruchach przeciwników.

Zadanie takie nie należy co prawda do ekscytujących, lecz jedynie Claggett zdawał sobie sprawę z jego wagi.

Sandy Richter i jego koledzy dowiedzieli się przez łącze satelitarne, że misja *Globemastera* najprawdopodobniej wypaliła, co oznaczało, że spędzą więcej czasu w symulatorach. Obsługa naziemna zapinała na ostatni guzik przygotowania śmigłowców *Comanche* do działania. Pech chciał, że w tej sytuacji trzeba było doczepić wykrywalne przez radar skrzydła do burt każdego śmigłowca. Richter wiedział o tym od samego początku. Nikomu jednak nie przeszło przez myśl, by spytać się go, czy podoba mu się ten pomysł. W symulatorze zaprogramowane były trzy scenariusze operacyjne i każda załoga musiała je po kolei przerobić.

Piloci kiwali się nieświadomi tego, co dzieje się z nimi w realnym świecie, podczas gdy ich umysły i ciała zanurzały się w wirtualnej rzeczywistości.

— Jak mamy to, do cholery, zrobić? — zrywał się Chavez.

Rosjanin nie zakwestionowałby rozkazów w podobny sposób, pomyślał Szczerienko.

— Ja tylko przekazuję rozkazy z waszej CIA — powiedział. — Ustaliliśmy, że żadna z oficjalnych agencji rządowych nie maczała palców w zniknięciu Kogi.

— Myślisz, że to Yamata? — spytał Clark. To, co powiedział Rosjanin, zawężyło znacznie liczbę możliwości. To, co niemożliwe, stało się jedynie niebezpieczne.

— Strzał w samą dziesiątkę. Wiecie, gdzie on mieszka?

— Widzieliśmy z daleka — potwierdził Chavez.

— Ach, no tak... te zdjęcia. — Major dużo by dał za to, by poznać ich przeznaczenie. Ale pytając o to, zrobiłby błąd, poza tym dwaj Amerykanie pewnie i tak nie znali odpowiedzi. —

Jeśli macie swoje dojścia, radzę wam z nich skorzystać. My uruchomiliśmy swoje. Osoba Kogi stanowi prawdopodobnie rozwiązanie obecnego kryzysu.

— Jeśli takowe istnieje — podsumował Ding.

— Dobrze się z panem lata, kapitanie Sato — rzekł Yamata uprzejmym tonem.

Zaproszenie do kabiny pilotów bardzo przypadło mu do gustu. Kapitan, jak się mógł zorientować, był patriotą, człowiekiem dumnym i utalentowanym, który rozumiał obecne wydarzenia. Jaka szkoda, że wybrał tak skromną drogę życiową.

Sato zsunął z głowy słuchawki i odprężył się w fotelu. — To zdecydowanie miłsze od lotów do Kanady.

— Jakie się tam sprawy mają?

— Rozmawiałem z kilkoma przedsiębiorcami wracającymi do domu. Twierdzili, że Amerykanami szarpią mieszane uczucia.

— Tak. — Yamata uśmiechnął się. — Oni łatwo poddają się mieszanym uczuciom.

— Czy istnieją szansę rozwiązania całej sprawy na drodze dyplomacji, Yamata-san?

— Myślę, że tak. Amerykanie nie są zdolni do przypuszczenia skutecznego ataku.

— Mój ojciec dowodził niszczycielem w czasie wojny. Mój brat...

— Znam go bardzo dobrze, kapitanie. — Yamata spostrzegł, że w oczach pilota rozbłysła duma.

— Syn jest pilotem myśliwskim. Lata na myśliwcach *F-15J*.

— Nie powiem, jak dotąd idzie im świetnie. Wie pan, zestrzelili ostatnio dwa amerykańskie

bombowce.

— Naprawdę? — Kapitan Sato nie słyszał o tym.

— Amerykanie wypróbowywali naszą obronę przeciwlotniczą — wyjaśnił przemysłowiec. — Ponieśli porażkę.

Grupa Uderzeniowa 77

— O, to znów pan — stwierdził właściciel wypożyczalni, nie bez zadowolenia w głosie.

Nomuri uśmiechnął się i skinął głową. — Aha, wczorajszy dzień w biurze był nadzwyczaj dobry.

Nie muszę chyba panu tłumaczyć jak bardzo stresujące są takie dni.

Mężczyzna mruknął potakująco. — Latem najlepsze dni miewani wtedy, gdy brak mi czasu na sen. Niech mi pan wybaczy mój wygląd — dodał. Praca przy niektórych maszynach zajęła mu cały ranek, który rozpoczął tuż po piątej. Podobnie jak Nomuri, lecz z innego powodu.

— Świetnie pana rozumiem. Ja też ciągnę własny interes, a któż pracuje ciężiej jeśli nie ten, kto pracuje dla siebie, nie?

— Sądzi pan, że *zaibatsu* to rozumieją?

— Na pewno nie ci, których miałem okazję poznać. Ma pan szczęście, że mieszka w tak spokojnej okolicy.

— Nie zawsze jest tu tak spokojnie. Nasze lotnictwo musiało się w nocy zabawiać na całego. Jakiś odrzutowiec przeleciał niedaleko stąd, bardzo nisko. Wyrwał mnie ze snu i nie udało mi się znów zasnąć. — Wytarł dłonie, nalał dwie filiżanki herbaty i podał jedną gościowi.

— *Dozo* — powiedział Nomuri z wdzięcznością. — Prowadzą ostatnio wielce niebezpieczne gierki — zagaił, ciekawy, jaką otrzyma odpowiedź.

— To czyste szaleństwo, ale kogo obchodzi, co ja myślę? Na pewno nie rząd. Oni słuchają tylko tych grubych ryb. — Właściciel wypożyczalni pociągnął łyk herbaty i rozejrzał się po sklepie.

— Ja też mam swoje obawy. Trzeba mieć nadzieję, że Goto znajdzie jakieś rozwiązanie, nim sprawy nie wymkną się spod kontroli. — Nomuri wyrzwał na zewnątrz. Ustaliła się ponura, groźna pogoda. Dobiegł go pomruk o zdecydowanie gniewnym brzmieniu.

— Goto! Taki sam jak cała reszta. Inni wodzą go za nos albo za inną część ciała, jeśli wierzyć plotkom.

Nomuri zachichotał. — Też słyszałem te historyjki. Mimo wszystko, facet wie, jak się obrócić, no nie — urwał. — To co, pożycz mi pan dzisiaj jeden ze swoich motocykli?

— Niech pan weźmie numer szósty. — Mężczyzna wskazał ręką. — Właśnie skończyłem przegląd. Proszę uważać na pogodę — ostrzegł. — Dziś wieczorem może padać śnieg.

Nomuri podniósł plecak. — Chciałbym strzelić kilka zdjęć zachmurzonego nieba w górach do mojej kolekcji. Panuje tu cudowny spokój, a to sprzyja myśleniu.

— Tylko w zimie — odparł właściciel wypożyczalni, wracając do pracy.

Znając już trasę, Nomuri ruszył pod górę wzdłuż Taki. Czułby się lepiej, gdyby ten cholerny czterokołowy łazik miał lepszy tłumik. Może ciężkie powietrze wytłumi choć trochę hałas, zastanawiał się, jadąc tą samą drogą co parę dni wcześniej. Wkrótce jego wzrok padł na wysokogórską łąkę i choć nie dostrzegł nic niezwykłego, Nomuri zaczął się zastanawiać czy...

Zastanawiał się nad wieloma sprawami. A jeśli żołnierze wpadli w zasadzkę? W takim przypadku jestem ugotowany, powiedział sobie. Ale nie miał odwrotu. Ponownie poprawił się na siedzeniu i ruszył w dół zbocza. Zatrzymał się w połowie drogi tak, jak to miał zrobić, i zsunął z czoła kaptur czerwonego skafandra. Po bliższych oględzinach, odkrył, że ziemią była jakby przekopana w kilku miejscach. Jakieś niewyraźne ślady prowadziły w stronę lasu. W tej samej chwili jego oczom ukazała się samotna postać i ruchem ręki wezwała go, by podjechał bliżej.

Agent CIA zapuścił silnik i skierował się w jej kierunku.

Dwaj żołnierze, którzy wyszli mu na spotkanie, nie mierzyli w niego z broni. Nie musieli.

Mieli pomalowane twarze, a ich mundury maskujące powiedziały Nomuriemu wszystko, co chciał wiedzieć.

— Nazywam się Nomuri — odezwał się. — Hasło brzmi: Foxtrot.

— Kapitan Cheka — odparł oficer podając mu dłoń. — Pracowaliśmy już kiedyś dla Firmy. Czy to pan wybrał to miejsce?

— Nie, ale to ja sprawdziłem je parę dni temu.

— Fajne miejsce na domek — powiedział Cheka. — Widzieliśmy nawet parę młodych jeleni. Mam nadzieję, że nie mamy teraz sezonu łowieckiego. — Po tej uwadze Nomuriemu przebiegły ciarki po plecach. Nie rozważył tej możliwości i nie miał zielonego pojęcia o polowaniach w Japonii. — Co ma pan dla mnie?

— To. — Nomuri zdjął plecak i wyciągnął telefony komórkowe.

— Robi mnie pan w balona?

— Japońska armia ma wspaniałe cacka służące do kontrolowania łączności wojskowej.

To oni wypracowali wiele technologii, których nasi używają. Ale to coś — Nomuri wyszczerzył zęby w uśmiechu — ma tutaj każdy. GSM, telefonia cyfrowa obejmująca swym zasięgiem cały kraj.

Nawet to miejsce. Tam na tej górze znajduje się stacja przekaźnikowa. Nie ma co gadać, na pewno są bezpieczniejsze niż wasze radiostacje. Abonament jest opłacony do końca miesiąca —

dodał.

— Byłoby fajnie zadzwonić do domu i uspokoić moją żonę, że wszystko idzie w porządku — Cheka pomyślał na głos.

— Uważałbym z tym. Tu ma pan numery, pod które możecie dzwonić. — Nomuri podał

kartkę. — Ten jest do mnie, a ten do faceta nazwiskiem Clark Ten tutaj jeszcze do innego oficera nazwiskiem Chavez...

— Ding jest tutaj? — spytał sierżant Vega.

— Zna ich pan?

— Ubiegłej jesieni odwaliliśmy pewną robotę w Afryce — wyjaśnił Cheka. — Przydziela się nam sporo „specjalnej” pracy. Jest pan pewny, że może zdradzić nam ich imiona?

— Mają dobre przykrywki. Rozmawiajcie lepiej po hiszpańsku. Niewielu ludzi tutaj zna ten język. Nie muszę wam chyba przypominać, że transmisje mają być krótkie — dodał Nomuri.

Cheka skinął głową i zadał najważniejsze pytanie.

— A co z drogą powrotną?

Nomuri odwrócił się i stwierdził, że miejsce, które chciał wskazać skrywają chmury.

— Tam znajduje się przełęcz. Przejdziecie przez nią, a potem zbochem w dół do miasta, które nazywa się Hirose. Będę tam na was czekał. Pojedziecie pociągiem do Nagoya, a stamtąd samolotem na Tajwan lub do Korei.

— Tak po prostu. — Uwaga nie była sformułowana jako pytanie, lecz nieszczerłość odpowiedzi była i tak oczywista.

— Jest tutaj parę setek tysięcy zagranicznych biznesmenów. Wy jesteście jedenastoma Hiszpanami, próbującymi sprzedać wino.

— Przydałoby się teraz trochę *sangria*. — Cheka z ulgą stwierdził, że facet z CIA poinformowany jest o szczegółach misji. Nie zawsze tak się sprawy miały. — Co mamy robić teraz?

— Czekacie, aż nadjedzie reszta sił operacyjnych. Jeśli sprawy wezmą zły obrót, zadzwoncie do mnie i wycofajcie się. Jeśli ja wypadnę z siatki, zadzwoncie do innych. Jeśli wszystko się spieprzy, poszukajcie innej drogi odwrotu. Macie paszporty, ubrania i...

— Mamy.

— Dobrze. — Nomuri wyjął aparat z plecaka i zaczął robić zdjęcia łańcuchów górskich pokrytych całunem chmur.

— Dla wiadomości CNN, prosto z Pearl Harbor — zakończył reporter, po czym pokazały się reklamy. Analityk wywiadu przewinął taśmę, żeby ją ponownie obejrzeć. Było to zarówno niesamowite jak i całkowicie normalne, że uzyskanie tak istotnych informacji jest tak proste.

Przez lata analityk nauczył się, że to amerykańskie środki przekazu rządzą Ameryką. Tym gorzej dla niej. Sposób, w jaki media przedstawiły ten nieszczęśliwy wypadek w Tennessee, pchnął

Stany do nieprzemyślanych działań, co z kolei podsycało podobne reakcje w jego ojczyźnie. To, co zobaczył na telewizyjnym ekranie, było jak dotąd jedyną pomyślną wiadomością: dwa amerykańskie lotniskowce tkwiły nadal w suchych dokach, dwa inne — według ostatnich relacji

— operowały na Oceanie Indyjskim, a dwa wchodzące w skład Floty Pacyfiku również stały w suchych dokach w Long Beach, niezdolne do służby. I tyle, jeśli chodzi o Mariany. Musiał nadać swojej ocenie urzędową postać dwóch kartek analitycznej prozy, lecz sprowadzała się ona do zapewnienia, że Ameryka jest w stanie co najwyżej drasnąć Japonię, gdyż zdolność tego kraju do angażowania potężnych sił należy do przeszłości. Oznaczało to, że poważniejsze starcia między obu krajami w najbliższej przyszłości są raczej mało prawdopodobne.

Jacksonowi nie przeszkadzało, że jest jedynym pasażerem na pokładzie *VC-20B*.

Człowiek przyzwyczałał się z czasem do takiego traktowania. Musiał przyznać, że maszyny dyspozycyjne Sił Powietrznych przewyższają te pozostające na stanie Marynarki. W

rzeczywistości Marynarka nie posiadała zbyt wielu samolotów tego typu. Zmodyfikowane *P-3*

Orion ze swoimi turbośmigłowymi silnikami były prawie dwa razy wolniejsze, niż dwusilnikowe odrzutowe samoloty dyspozycyjne Sił Powietrznych. By zatankować paliwo przystanęli jedynie na krótko w bazie Sił Powietrznych Travis, na obrzeżach San Francisco. Cała podróż na Hawaje zajęła Jacksonowi niecałe dziewięć godzin, co wprawiło go w świetny humor, który opuścił go, gdy w czasie lądowania na Hickam przyjrzał się dobrze bazie Marynarki i stwierdził, że

„Enterprise” wciąż stoi w doku remontowym. Pierwszy lotniskowiec o napędzie atomowym, okręt noszący najdumniejsze imię w Marynarce Stanów Zjednoczonych, nie odegra żadnej roli w tym konflikcie. Fakt ten miał nader zły wydźwięk. Co ważniejsze, czułby się o niebo lepiej, gdyby dysponował dwoma pokładami lotniczymi, a nie tylko jednym.

— No i masz chłopie swoją grupę uderzeniową — wyszeptał do siebie Robby. O

dowodzeniu Grupą Uderzeniową 77 marzył każdy lotnik Marynarki. Tytularnie główna formacja lotnictwa pokładowego Floty Pacyfiku, obojętne czy z jednym lotniskowcem, czy nie, znalazła się

pod jego rozkazami i wkrótce miała wyruszyć do walki. Może pięćdziesiąt lat wcześniej na tę myśl poczułby podniecenie. Może, gdy główna formacja uderzeniowa Floty Pacyfiku pływała pod rozkazami Billa Halseya lub Raya Spruance'a, dowódcy wypatrywali podobnych chwil z niecierpliwością. Dowodziły tego filmy wojenne i wpisy w dzienniku okrętowym. Ciekawe, ile było w tym zwykłej pozy, dumał Jackson. Czy świadomość, że wysyłają młodych chłopców na śmierć spędzała Halseytowi i Spruance'owi sen i powiek, czy może w ówczesnym świecie wojnę uważano za rzecz tak naturalną jak epidemię choroby Heine-Medina (jeszcze jeden należący już do przeszłości bicz Boży). Funkcja dowódcy Grupy Uderzeniowej 77 była dla Jacksona szczytem marzeń, ale tak naprawdę nigdy nie pragnął wojny. No, może jako świeżo upieczony chorąży, a nawet później, gdy został porucznikiem, rozkoszował się myślami o staczaniu walk powietrznych. Wiedział, że jako lotnik Marynarki Stanów Zjednoczonych nie ma sobie równych na świecie, że nikt nie dorównuje mu ani wyszkoleniem, ani sprzętem i chciał pewnego dnia tego dowieść. Z biegiem czasu coraz częściej tracił przyjaciół w katastrofach lotniczych, zestrzelił

jeden samolot podczas wojny w Zatoce Perskiej, a cztery kolejne nad Morzem Śródziemnomorskim pewnej czystej i rozgwieżdżonej nocy. Jednak w przypadku ostatnich czterech to był wypadek. Zabił ludzi bez przyczyny i choć z nikim o tym nie rozmawiał, nawet z żoną, nie mógł sobie darować, że dał się namówić do zabijania ludzi. Oczywiście nie ponosił

żadnej winy, popełnił błąd pod zewnętrznym naciskiem. Ale tym właśnie jest wojna dla żołnierza: po prostu ogromnym błędem. A teraz miał wziąć udział w popełnianiu kolejnego podobnego błędu, zamiast używać GU 77 według jej pierwotnego przeznaczenia — by samym istnieniem zapobiegała wojnom. Pocięsział się, że tak jak uprzednio, to nie jego kraj doprowadził

do tego błędu.

Marzeniami świata nie zawojujesz, powiedział sobie w duchu, gdy samolot skończył

kołować. Steward otworzył drzwi i rzucił torbę Jacksona innemu sierżantowi lotnictwa, który zaprowadził admirała do śmigłowca. Jacksona czekał kolejny lot, tym razem na spotkanie z dowódcą Floty Pacyfiku, admirałem Dave'em Seatonem. Najwyższy czas przedzierać się w zawodowego żołnierza, gdyż bez względu na to, czy go wykorzystywano, czy nie, Jackson był

żołnierzem, który już niedługo miał dowodzić innymi. Dopuścił do głosu swoje wątpliwości i zastrzeżenia, ale teraz nadszedł czas, by odłożyć je na bok.

— Będziemy im winni do licha i trochę — podsumował Durling, przyciskając wyłącznik na pilocie telewizora.

Pierwotnie opracowano tę technikę na potrzeby reklam nadawanych w czasie meczów baseballowych. Przystosowanie systemów miksowania obrazu używanych przy produkcji filmów oraz zaawansowanych systemów komputerowych pozwoliło na wykorzystanie tej techniki w czasie rzeczywistym. Przy jej użyciu można było sprawić, by za plecami gracza z kijem widniała reklama lokalnego banku lub dealera samochodowego, gdy w rzeczywistości była tam najzwyczajsza w

świecie zielona trawa, taka jaką człowiek widuje na boiskach do baseballa. W

tym przypadku reporter, czy reporterka przekazywali na żywo sprawozdanie z Pearl Harbor, stojąc, oczywiście, na zewnątrz bazy Marynarki, a w tle majaczyły sylwetki dwóch lotników, uganiały się chmary ptaków i krzątały się niewieksze od mrówek postacie robotników stoczniowych. Całość sprawiała wrażenie rzeczywistości, tak jak wszystko inne na ekranie telewizyjnym, który był przecież tylko zbiorem różnobarwnych kropek.

— W końcu są Amerykanami — rzekł Jack. Poza tym, to właśnie on ich do tego zmusił, ponownie wyręczając prezydenta w tym niebezpiecznym z punktu widzenia układów politycznych przedsięwzięciu. — Dlatego powinni stać po naszej stronie. Trzeba było im o tym przypomnieć.

— Jak długo uda się nam wodzić ich za nos? — To już trudniejsze pytanie.

— Nie za długo, ale może wystarczy. Mamy dobry plan. Musimy dopiąć jeszcze kilka spraw, ale dwie już załatwiliśmy. Japończycy są przekonani, że lotnicy stoją w Pearl Harbor i, co ważne, spodziewają się, że media roztrąbią o ewentualnej zmianie tego stanu wszem i wobec. Pracownicy wywiadu nie różnią się od innych ludzi, panie prezydencie. Kierują się z góry wyrobionymi sądami, które, jeśli znajdą potwierdzenie w rzeczywistości, wzmacniają tylko w nich przekonanie o własnym geniuszu.

— Ilu musimy zabić? — chciał wiedzieć prezydent.

— Tylu, ile trzeba. Trudno teraz mówić o dokładnej liczbie, ale postaramy się, by była ona jak najniższa. Musimy pamiętać, panie prezydencie, że ta misja jest...

— Wiem. Znam się na tym co nieco, zapomniałeś? — Durling przymknął oczy, przywołując z pamięci Szkołę Piechoty w Forcie Benning w stanie Georgia z czasów, gdy miał o połowę mniej lat. Rozkazy na pierwszym miejscu. Tak musiał myśleć porucznik, a teraz po raz pierwszy zrozumiał, że prezydent musi myśleć w ten sam sposób. Nie wydało mu się to wcale sprawiedliwe.

Tak daleko na północy nie dane im było nacieszyć się słońcem o tej porze roku, lecz pułkownikowi Zachariasowi było to na rękę. Przelot z Whiteman do Elmendorf zabrał im zaledwie pięć godzin spędzonych w mroku, gdyż *B-2A* latał za dnia tylko, gdy miał zostać dostrzeżony, nie taki jednak był zamysł konstruktorów. Prowadzenie maszyny nie nastroczało kłopotów, co nieco ponieważ dowodziło, że pomysł Jacka Northropa pamiętający lata 30. był

ślusznym: samolot w układzie latającego skrzydła, o kadłubie składającym się wyłącznie z płata ma najlepszy możliwy kształt aerodynamiczny. Tylko, że systemy sterowania lotem niezbędne do budowy podobnego samolotu musiały opierać się na urządzeniach wspomaganym komputerowo, a te weszły do produkcji dopiero przed samą śmiercią konstruktora. Miał przynajmniej możliwość nacieszyć oko makietą.

Skuteczność, to główna zaleta *B-2A*. Kształt płatowca ułatwiał hangarowanie; trzy mieściły się w

hangarze przeznaczonym na jeden konwencjonalny samolot. *B-2A* nabierał

wysokości, poruszając się niemal jak winda, a kiedy latał z prędkością ekonomiczną na wysokich pułapach, zużycie paliwa mierzyło się raczej filizankami niż galonami, tak przynajmniej utrzymywał podpułkownik.

Uszkodzony przez Japończyków *B-1B* był prawie gotowy do odbycia powrotnego lotu do Elmendorf. Miał lecieć na trzech silnikach, ale nie był to poważny problem, gdyż obciążenie samolotu ograniczało się do zapasu paliwa i załogi. Na Shemya stacjonowało obecnie parę innych samolotów. Dwa *E-3B AWACS* przysłane z bazy Sił Powietrznych Tinker w Oklahomie prowadziły patrole w podwyższonym stanie gotowości, mimo że wyspa posiadała własne naziemne radary, z których największym był system wykrywania pocisków raketowych *Cobra Dane* wybudowany w latach 70. Teoretycznie istniała możliwość, że z pomocą tankowców Japończykom uda się zaatakować wyspę, powtarzając — pod względem odległości — izraelską operację przeciwko kwaterze głównej OWP w Północnej Afryce. Choć było to mało prawdopodobne, trzeba się było na taką ewentualność przygotować.

Siły obronę na wyspie składały się z czterech, jedynych w Siłach Powietrznych, myśliwców *F-22A Raptor*, pierwszych na świecie myśliwców typu *stealth* z prawdziwego zdarzenia. Po przerwaniu testów, jakie przechodziły w bazie Nellis, odesłano je wraz z czterema starszymi rangą pilotami i obsługą do tej bazy na końcu świata. *F-22A* znane wśród pilotów pod nazwą *Lightning II*, którą z początku nadał im producent, Zakłady Lockheeda, nie były jednak przeznaczone do wykonywania zadań obronnych. Gdy po krótkotrwałym i kapryśnym pokazaniu się na niebie słońce zaszło za widnokrzem, nadszedł czas, by zadośćuczynić pierwotnemu przeznaczeniu myśliwców. Tak jak zawsze, samolot-cysterna wzbił się w powietrze jako pierwszy, nim piloci zdążyli przejść z sali odpraw do hangarów ze zbrojonego betonu, by rozpocząć pracovitą noc.

— Dlaczego palą się światła? Przecież wczoraj wyjechał — zastanawiał się Chavez, przypatrując się oknom apartamentu na ostatnim piętrze.

— Może ma włącznik czasowy, by odstraszać złodziei — zasugerował nieśmiało John.

— To nie Los Angeles, człowieku.

— Wobec tego, Jewgieniju Pawłowiczu, ktoś tam chyba jest. — Clark skręcił w kolejną ulicę.

No dobrze, dumął Chavez, wiemy, że Kogi nie aresztowała miejscowa policja. Całym przedstawieniem kieruje Yamata, a jego szef bezpieczeństwa najprawdopodobniej zabił

Kimberley Norton. Yamata wyjechał z miasta, a w jego apartamencie palą się światła...

Clark znalazł wolne miejsce i zaparkował samochód. Potem przespacerowali się wraz z Chavezem wokół wieżowca, notując w pamięci zmiany w otoczeniu, wypatrując możliwości, przeprowadzając

jednym słowem rekonesans, który zaczęli na parterze i kontynuowali cierpliwie tylko z pozoru.

— Wiele tu niewiadomych — wydyszał Chavez.

— Dalej chcesz spojrzeć temu komuś w oczy, Domingo? — przypomniał mu partner.

Ma osobliwie martwe oczy, myślał Koga, jakby wcale nie należały do człowieka. Były ciemne, ogromne, z pozoru suche. Wpatrywał się w niego tymi oczami, a może tylko błędził

niewidzącym wzrokiem. Cokolwiek by o nich mówić, jego oczy nie zdradzały żadnych myśli.

Były premier znał Kiyoszi Kanedę ze słyszenia. Określano go najczęściej mianem *ronin*. W

słowie tym zawarta była aluzja do samurajskich wojowników, którzy utracili swojego pana i nie potrafili znaleźć nowego, co w dawnych czasach uchodziło za wielką hańbę. Zwykle zmieniali się w bandytów, na skutek utraty styczności z kodeksem bushido, który od tysiąca lat był

duchowym pokarmem dla kręgów japońskiego społeczeństwa upoważnionych do noszenia i używania broni. Gdy w końcu znajdowali nowego pana, służyli mu z fanatycznym oddaniem.

Tak bardzo obawiali się powrotu do poprzedniego stanu, że byli zdolni do wszystkiego, byle tylko uniknąć losu *ronina*.

To tylko głupie rojenia, powiedział sobie Koga, przyglądając się plecami Kanedy, gdy ten oglądał telewizję. Era samurajów odeszła w niepamięć, a wraz z nią feudalni panowie. A jednak miał przed sobą tego człowieka, zapatrzonego w jakąś samurajską opowieść nadawaną na NHK.

Popijając łykami herbatę, Kaneda pożerał wzrokiem każdą scenę. Trwał jakby w transie, zahipnotyzowany przez tę stylizowaną opowieść, która w rzeczywistości była japońską przeróbką amerykańskich westernów z lat 50., nader uproszczonych melodramatów o czarno-białej moralności. Od pierwowzoru różniła się tylko tym, że główny bohater, nieodzownie lakoniczny, niezmiennie niezwykły, wymachiwał mieczem, a nie sześciostrzałowym rewolwerem. A ten głupiec Kaneda przepadał za tego rodzaju historiami, o czym Koga miał okazję się przekonać w ciągu ostatniego dnia.

Koga wstał i podszedł do półki z książkami. Kaneda momentalnie odwrócił się i wlepił w niego wzrok. Jak pies łańcuchowy, pomyślał Koga, gdy nie spoglądając do tyłu wybierał

następną lekturę. I to bardzo groźny. Zwłaszcza, że ma do pomocy czterech ludzi. Dwóch z nich spało w tym momencie, trzeci był w kuchni, a czwarty na klatce, za drzwiami. Polityk zdawał

sobie sprawę, że ucieczka nie miałaby sensu.

Ciekawe, kim naprawdę jest ten Kaneda. Pewnie były *jakuza*. Nie widział jednak u niego ani jednego groteskowego tatuażu, do jakich czują słabość ludzie z tych kręgów, pragnący odciąć się od kultury,

która narzucała konformizm, choć jednocześnie kierowali się konformizmem w społeczności wyrzutków. Poza tym Kaneda siedział przed telewizorem, ubrany w garnitur, niczym jakiś przedsiębiorca. Jedynym ustępstwem wobec wygody była rozpięta marynarka.

Ronin zachowywał sztywną postawę, trzymając plecy prosto, nawet gdy siedział przed telewizorem, zauważył Koga, gdy nie spuszczał wzroku ze swojego strażnika, wrócił na miejsce z książką. Wiedział, że nie potrafiłby stawić czoła Kanedzie i wygrać. Nigdy nie zadał

sobie trudu, żeby nauczyć się którejś odmiany narodowej sztuki walki, a Kaneda był człowiekiem o potężnej sile. Poza tym nie był sam.

Tak, określenie „pies łańcuchowy” pasowało do niego wyśmienicie. Pozornie obojętny, pozornie oddający się odpoczynkowi, w istocie był niczym zwinięta sprężyna, gotowy do skoku.

Zachowywał się jak cywilizowany człowiek, dopóki ludzie wokół niego uważali, by go nie drażnić. Wystarczył rzut oka, by zrozumieć, że próba obrażenia go zakrawała na szaleństwo.

Koga wyrzucał sobie, że dał się podejść jak dziecko. Wiedział jednak, że stało się tak, gdyż był

byстрыm i troskliwym człowiekiem, uważającym, by nie roztrwonić w jednym głupim gościu swojej jedynej szansy, jeśli w ogóle ją miał.

Przedsiębiorcy często zatrudniali ludzi podobnych do tego, na którego teraz patrzył.

Niektórzy zaopatrywali się nawet w rewolwery, co w Japonii jest prawie niemożliwe, lecz pewni ludzie mogli w właściwy sposób porozmawiać z odpowiednim urzędnikiem i otrzymać zezwolenie na broń. Budziło to w Kodze nie tyle strach, co obrzydzenie. Miecz *ronina* to paskudna rzecz i obecnie byłby zbyt teatralny, ale rewolwer jawił się mu jako ucieleśnienie zła.

Nie należał do jego kultury, był bronią tchórza. W gruncie rzeczy, właśnie o to chodziło. Kaneda był niewątpliwie tchórzem, niezdolnym do pokierowania własnym życiem. Potrafił złamać prawo tylko, gdy mu ktoś rozkazał, ale zdolny był wówczas do wszystkiego. Czy to nie okropne, że to samo można powiedzieć o jego kraju? Właśnie takich ludzi używano do zmiękczenia związków zawodowych i konkurentów handlowych. Ludzie autoramentu Kanedy bili demonstrantów, nierzadko na widoku publicznym. Uchodziło im to na sucho, ponieważ policjanci patrzyli akurat w inną stronę albo mieli szczęście znaleźć się gdzie indziej, chociaż dziennikarze i fotoreporterzy robili z tego wydarzenie dnia. Ci ludzie i ich panowie nie pozwalali zaprowadzić w tym kraju prawdziwej demokracji. Koga myślał o tym z tym większą goryczą, że zdawał sobie z tego sprawę od lat, iż poświęcając się uzdrawianiu ojczyzny poniósł porażkę i siedział teraz oto pod strażą w apartamencie Yamaty na szczycie wieżowca. Pewnie puszczą go pewnego dnia wolno, gdy jego polityczne znaczenie zmaleje do zera, jeśli już się tak nie stało. Będzie patrzył jak jego kraj dostaje się pod panowanie nowego władcy — a może starego, pomyślał po chwili. Nic na to nie może poradzić, dlatego siedzi z książką w dłoni, podczas gdy Kaneda tkwi przed telewizorem i ogląda aktorów odgrywających role w sztuce, której początek, środek i koniec przepowiedziano z tysiąc razy, udających, że jest ona

prawdziwa i nowa, choć w rzeczywistości nie jest ani taka, ani taka.

Bitwy takie jak ta, staczano dotąd jedynie podczas symulacji, no, może także na rzymskich arenach w zamierzonych czasach. Na obu końcach areny znajdowały się samoloty wczesnego ostrzegania: *E-767* po stronie japońskiej, a *E-3B* po amerykańskiej. Dzieląca je odległość uniemożliwiała im „dostrzeżenie” swoich przeciwników na żadnym z wielu pokładowych ekranów radiolokatora, jednak każda grupa prowadziła nasłuch sygnałów za pomocą innych przyrządów. Na środku paradowali gladiatorzy. Amerykanie po raz trzeci poddawali próbie japońską obronę powietrzną i po raz wtóry ponosili porażkę.

Amerykańskie *AWACS*-y znajdowały się dziewięćset kilometrów od Hokkaido. Przed nimi, w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów, leciały myśliwce *F-22A*, prowadząc, jak to określił dowódca dywizjonu „połów na wędkę”. W ich kierunku ciągnęły japońskie *F-15J Eagle*, wchodząc w zasięg radarów amerykańskiego samolotu dozoru powietrznego, ale jednocześnie nie wypuszczając się poza zasięg radarów własnego *E-767*.

Na rozkaz dowódcy, klucz amerykańskich myśliwców podzielił się na dwie pary.

Korzystając z możliwości rozwijania ponaddźwiękowej prędkości przelotowej, czołowa para pognęła prosto na południe, zbliżając się po stycznej do japońskiej strefy dozoru.

— Szybkie są — zawyrokował japoński kontroler. Trudno było utrzymać kontakt.

Wyglądało na to, że amerykańskie maszyny to samoloty typu *stealth*, jednak technologia obniżonej wykrywalności nie sprostała rozmiarom i mocy układu antenowego na *E-767* Kami.

Kontroler zaczął odsyłać japońskie *Eagle* na południe, by zagroziły drogę obcym samolotom.

Aby uświadomić Amerykanom, że są śledzeni, wybrał elektronicznym wskaźnikiem odpowiadające im punkciki na ekranie, a potem nakazał radarowi kierowanie i utrzymywanie na nich wiązki promieniowania co parę sekund. Amerykanie powinni się dowiedzieć, że obserwuje ich najdrobniejszy ruch, że technologia, która rzekomo jest w stanie przechytrzyć promieniowanie elektromagnetyczne, nie sprawdza się w obliczu nowego japońskiego udoskonalenia. Dla kaprysu przełączył częstotliwość nadajnika na tryb kierowania ogniem.

Oczywiście na taką odległość nie uda się naprowadzić rakiety, ale przynajmniej dowiedzie Amerykanom po raz kolejny, że samoloty *stealth* można oświetlić dość wyraźnie, by je zestrzelić. Da im to dobrą lekcję. Z początku sygnał osłabł, niemal całkowicie się zgubił, lecz wkrótce program komputera wyłowił go ze zgiełku zakłóceń. Obrazy celów wyostrzyły się, gdy kontroler podkręcił moc sygnału na azymucie dwóch amerykańskich myśliwców — a z pewnością były to myśliwce. Bombowce *B-1*, choć szybkie, nie są aż tak zwrotne. Kontroler nie wątpił, że Amerykanie zegrali właśnie swoją najmocniejszą kartą, która okazała się jednak za słaba. Może, gdy się o tym przekonają, dyplomatom uda się raz na zawsze zaprowadzić nowy porządek, a na Północnym Pacyfiku zapanuje na powrót spokój.

— Spójrz tylko jak *Eagle* śpieszą z osłoną — zauważył amerykański starszy kontroler przed

monitorem nadzoru.

— Jakby przywiązano je sznurkiem do 767 — przytaknął jego towarzysz, pilot myśliwski, który przybył właśnie z bazy Langley, siedziby Dowództwa Operacji Lotniczych, gdzie na codzień zajmował się nakreślaniem taktyki walki myśliwców.

Inny planszet nakresowy pokazywał, że Japończycy mają w powietrzu trzy *E-767*. Dwa trwały na wysuniętym posterunku dozoru radiolokacyjnego, trzeci zaś zataczał ciasne kręgi tuż przy wybrzeżu Honsiu. Dla nikogo nie było to niespodzianką. Ruch ten dało się przewidzieć, gdyż był ruchem najmądrzejszym. Pokładowe radiolokatory na każdym z trzech samolotów wczesnego ostrzegania działały pełną mocą, gdyż śledziły samoloty typu *stealth*.

— Teraz jest jasne dlaczego udało im się trafić oba *Lancery* — zauważył facet z Wirginii.

— Mogą przerzucić się na wysoką częstotliwość i oświetlić cel na użytek *F-15J*. Nasi chłopcy w ogóle nie zauważyli, że do nich strzelają. Sprytnie, pomyślał.

— Fajnie byłoby mieć kilka takich radarów — zgodził się starszy kontroler.

— Teraz już wiemy, jak je wyprowadzić w pole. — Oficer z Langley sądził, że wie.

Kontroler nie był tego taki pewien.

— Zobaczymy za parę godzin.

Sandy Richter leciał niżej niż nawet *C-17* ośmielały się schodzić. Posuwał się też z mniejszą prędkością, zaledwie dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę, zmęczony tą przedziwną mieszaniną napięcia i nudy, jaka dawała się we znaki podczas lotu nad wodą.

Poprzedniej nocy wraz z dwoma innymi śmigłowcami z dywizjonu przelecieli do Zachodniej Pietrowki, kolejnej odwodowej bazy *MIG-ów* niedaleko Władywostoku. Po raz ostatni przespali się tam porządnie, co miało im wystarczyć na najbliższe kilka dni, po czym wystartowali o godzinie 22.00, by odegrać swoją rolę w operacji ZORRO. Każdy śmigłowiec miał teraz doczepione burtowe skrzydełka, na których zwisały dwa dodatkowe zbiorniki paliwa. Chociaż niezbędne w locie na taką odległość, miały jedną wadę: były łatwo wykrywalne przez radar, chociaż by zmniejszyć nieco ryzyko wykrycia, wykonano je z włókna szklanego przepuszczającego promieniowanie elektromagnetyczne. Pilot miał na sobie zwykłe oporządzenie lotnicze oraz nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową. Ta ostatnia była raczej ukłonem w stronę regulaminu jaki obowiązywał podczas lotów nad wodą, niż przydatną częścią wyposażenia. Woda w morzu, które mieli pięć metrów pod sobą, miała zbyt niską temperaturę, by człowiek przeżył w niej dłużej niż kilka minut. Richter spróbował odpędzić od siebie te myśli, poprawił się w fotelu i skoncentrował na prowadzeniu maszyny, podczas gdy strzelec z tyłu trzymał oko na przyrządach.

— Wszystko nadal w porządku, Sandy. — Gdy wykonali zwrot na wschód w kierunku Honsiu, ekran sygnalizacji ostrzegania tonął w smolistej czerni.

— Okay. — Za nimi, w piętnastokilometrowych odstępach, ciągnęły dwa następne śmigłowce *Comanche*.

RAH-66A, niedużych rozmiarów śmigłowiec, był na swój sposób najbardziej nowoczesnym statkiem powietrznym na świecie. Wewnątrz kompozytowego kadłuba mieściły się dwa najpotężniejsze komputery, jakie kiedykolwiek znalazły się na pokładzie śmigłowca, przy czym jeden pełnił tylko rolę rezerwowego na wypadek awarii. W tej chwili główne zadanie komputera polegało na wykreślaniu obszaru pokrycia radarów, w który mieli się zapuścić oraz wyliczaniu względnego radiolokacyjnego echa śmigłowca w oparciu o znane lub szacowane możliwości elektronicznych oczu, jakie lustrowały okolicę. Im bardziej zbliżali się do brzegów Japonii, tym większe rosły żółte pola „możliwego wykrycia” i czerwone „pewnego wykrycia”.

— Faza Druga — powiedział cicho major z Dowództwa Operacji Lotniczych znajdujący się na pokładzie samolotu *AWACS*.

Wszystkie myśliwce *F-22* przenosiły urządzenia zagłuszające, które dodatkowo zwiększały ich właściwości *stealth*. Na dany rozkaz piloci włączyli je.

— Pudło — skwitował amerykańskie posunięcie japoński kontroler. Bardzo dobrze.

Wiedzą, że jesteśmy w stanie ich śledzić. Gdy elektroniczny hałas generowany przez amerykańskie myśliwce zmałował obraz, ekran radaru zaciągnął się gmatwaniną plamek, kresek i błysków. Kontroler zaczął przeciwdziałać temu na dwa sposoby. Po pierwsze, zwiększył

ponownie moc promieniowania; wiązki radarowe powinny przedrzeć się przez dużą część tego, co rozniecali wokół siebie Amerykanie. Następnie, dał komendę, by radar przeskakiwał losowo na różne częstotliwości. Pierwszy środek okazał się skuteczniejszy od drugiego, ponieważ amerykańskie nadajniki zakłóceń także szybko zmieniały częstotliwość. Amerykańskie rozwiązanie dalekie było od doskonałości, ale mogło przysporzyć nieco kłopotów. Program komputerowy odpowiedzialny za śledzenie celów, opierał się na przewidywaniu. Punktem wyjścia była dla niego znana lub szacowana pozycja amerykańskich myśliwców. Znając zakres prędkości samolotów szukał wtórnych sygnałów, które odpowiadałyby ich podstawowym kursom i szybkościom. Tak właśnie natrafił na bombowce, które nie tak dawno sondowały japońską linię obronną. Problem leżał w tym, że przy takiej mocy wyjściowej, komputer wyławiał echa ptaków i prądów powietrznych, więc utrafienie we właściwy kontakt stawało się coraz trudniejsze. Kontroler nadusił kolejny już przycisk, który uaktywnił śledzenie emisji fal zagłuszających silniejszych od sygnałów wtórnych. Z pomocą tej dodatkowej funkcji kontrolnej mógł ponownie zdobyć stały namiar na obie pary celów. Dziesięć sekund, jakie na to potrzebował, wystarczyły w zupełności. Żeby pokazać Amerykanom, że go nie wykiwali, zwiększył maksymalnie moc wyjściową, przeskoczył na krótką chwilę na tryb kierowania ogniem, po czym dołożył czwórce amerykańskich myśliwców wiązką tak silną, że jeśli ich systemy elektroniczne nie miały odpowiedniego ekranowania, nadbiegający sygnał przepali niektóre z nich. Byłoby to niecodzienne trafienie, pomyślał Japończyk. Przypomniał sobie, jak para niemieckich myśliwców *Tornado* uległa całkowitemu zniszczeniu, przelatując zbyt blisko anteny nadajnika UKF. Ku jego

rozczarowaniu, Amerykanie najzwyczajniej w świecie zawrócili.

— Ktoś włączył monstrualne urządzenia zagłuszające na północnym wschodzie.

— Świetnie, dokładnie na czas — odparł Richter. Rzuciwszy okiem na ekran ostrzegania stwierdził, że od wejścia na żółte pole dzieli ich dziesięć minut. Sprawdzając wskaźniki paliwa odkrył, że zamocowane na pylonach zbiorniki są niemal puste. — Odrzucam skrzydła.

— Zrozumiałem. Co za ulga.

Richter podniósł zabezpieczającą klapkę z przycisku zwalnającego zaczepy skrzydeł.

Konstrukcję *Comanche'a* uzupełniono w mechanizm odrzucający stosunkowo późno. Komuś zaświtała w końcu myśl, że pozbywanie się podczas lotu elementów wykrywalnych przez radar to może wcale nie taki zły pomysł. Na krótką chwilę Richter zmniejszył prędkość, po czym pstryknął przełącznikiem, który odpalał sworznie wybuchowe i skrzydła wraz ze zbiornikami spadły w Morze Japońskie.

— Odłączenie czyste — zameldował strzelec. Gdy tylko małe skrzydła oderwały się od śmigłowca,

na

ekranie

ostrzegania

zaszła

zmiana.

Komputer

nieustannie

badał

prawdopodobieństwo wykrycia śmigłowca przez obcy radar. Nos *Comanche'a* powędrował

ponownie w dół i Richter znów przyśpieszył do prędkości przelotowej.

— Ich ruchy da się łatwo przewidzieć, nie? — zagadnął swojego podwładnego japoński kontroler.

— Dowiódł to pan chwilę temu. Co więcej, pokazał im pan, na co nas stać. — Oficerowie wymienili spojrzenie. Obu przejmowały niepokojem możliwości amerykańskich myśliwców *Raptor*, ale teraz wiedzieli już, że mogą odetchnąć spokojnie. Owszem, *Raptor* to groźny przeciwnik i nasi chłopcy za

sterami *F-15J* powinni podchodzić do niego z szacunkiem, niemniej nie jest niewidzialny.

— Reakcja do przewidzenia — rzekł amerykański kontroler. — Właśnie nam pokazali, co potrafią. Ile to trwało? Dziesięć sekund?

— Niedużo, ale powinno wystarczyć. Powiedzie się — odparł pułkownik z Langley, sięgając po kubek z kawą. — A teraz, utwierdźmy ich w tym przekonaniu. — Na głównym ekranie *F-22* wykręciły z powrotem na północ, a na krawędzi obszaru pokrycia *AWACS-ów* japońskie *F-15J* postąpiły podobnie, naśladując amerykański manewr niczym żaglówki na regatach. Za wszelką cenę usiłowały ustawić się między obcymi myśliwcami a cennymi *E-767*, które po wstrząsających wypadkach sprzed kilku dni, stały się jeszcze cenniejsze.

Z niekłamaną radością powitali widok stałego lądu. O wiele zwrotniejszy niż transportowiec, który leciał tędy ubiegłej nocy, *Comanche* wyszukał niezaludnione miejsce, po czym jął kontynuować lot na niskiej wysokości wśród załamań górzystego terenu, odgradzony od odległych samolotów dozoru powietrznego twardą skałą, której nie potrafiłyby przeniknąć nawet potężne urządzenia japońskich *AWACS-ów*.

— Ziemia pod nami — odsapnął z ulgą strzelec Richtera. — Zostało paliwa na czterdzieści minut lotu.

— A później machamy rękami? — zazartował pilot. On także odprężył się odrobinę, gdy wlecieli nad stały ląd. Jeśli coś nawali, no cóż, dieta ryżowa nie jest taka zła, co nie? Poprzez noktowizyjną przesłonę hełmu okolica wyglądała jak gmatwanina zielonych cieni. Żadnych lamp ulicznych, samochodów czy domostw. Najgorszą część dolotu mieli za sobą. Starał się nie myśleć o głównym celu misji; wołał nie martwić się wieloma rzeczami naraz. W ten sposób człowiek żyje dłużej.

Ostatnia grań pojawiła się zgodnie z planem. Richter zwolnił i zaczął zataczać koła, by ocenić wiatr, a jednocześnie wypatrywał ludzi, którzy, jak mu powiedziano na odprawie, mieli tu na niego czekać. Tam. Ktoś wystrzelił zieloną racę, która rozbłysła w nocnych systemach zobrazowania jaskrawym światłem niczym księżyc w pełni.

— Prowadzący ZORRO do Bazy ZORRO, odbiór.

— Prowadzący, tu Baza. Potwierdzenie Golf-Mike-Zulu, odbiór — odezwał się czyjś głos, podając hasło kodowe, które dla Richtera znaczyło „wszystko w porządku”. Modlił się tylko, by właściciel głosu nie miał czyjegoś pistoletu przystawionego do skroni.

— Przyjąłem. Koniec. — Zszedł spiralą w dół, wyrównał i postawił *Comanche'a* blisko drzew, na skrawku ziemi, który wydawał mu się dość płaski. Gdy tylko śmigłowiec dotknął

darni, z lasu wyłoniły się sylwetki trzech mężczyzn. Richter odetchnął z ulgą, gdy poznał po ubiorze, że to żołnierze Armii Stanów Zjednoczonych. Łopaty wirnika nie skończyły się jeszcze kręcić, a do wlewu paliwa podciągnięto już wąż.

— Witamy w Japonii. Nazywam się kapitan Checa.

— Sandy Richter — przedstawił się pilot, wynurzając się z kabiny.

— Mieliście jakieś kłopoty po drodze?

— Żadnych. — Do diabła, przecież tu doleciałem? — chciał odburknąć. Wciąż czuł w sobie napięcie po tym trzygodzinnym maratonie, którego celem była inwazja na Japonię.

Inwazja? Jedenastu Rangersów i sześciu lotników. Chciało mu się krzyknąć: „Cała Japonia łapy do góry!”.

— A oto i numer drugi... — rzucił Checa. — Cichutkie te wasze cudeńka.

— Nie zależy nam na reklamie, kapitanie. — Niska hałaśliwość była pewnie tym, co w *Comanche'u* dziwiło najbardziej. Inżynierowie z zakładów Sikorsky'ego od dawna zdawali sobie sprawę, że większość hałasu bierze swoje źródło w zderzeniu strug powietrza z wirnika tylnego z tymi z nośnego. Wirnik ogonowy *RAH-66* był typu wentylatorowego, a nośny składał się z pięciu dość grubych łopat wykonanych z materiałów kompozytowych, co w rezultacie dawało trzy razy niższą charakterystykę akustyczną, niż w jakimkolwiek wiroplacie. Okolica nam sprzyja, pomyślał Richter, gdy powiódł wzrokiem dookoła. Drzewa, rozrzedzone górskie powietrze. Nie najgorsze miejsce jak na potrzeby tej misji, zawyrokował. Drugi *Comanche* przysiadł na płozach, pięćdziesiąt metrów od niego. Uzupelnivszy paliwo w maszynie Richtera, żołnierze rozpinali teraz siatkę maskującą, używając jako podpór żerdzi wyciętych z sosnowego lasu.

— Chodźcie, nakarmimy was.

— Prawdziwym jedzeniem, czy koncentratem? — spytał chorąży lotnictwa.

— Nie żąda pan zbyt wiele, panie Richter? — odpowiedział mu Checa.

Pilot przypominał czasy, gdy racje wojskowe składały się także z papierosów. Ale teraz Armia dba o promujący zdrowie wizerunek. Nie było sensu prosić Rangera o papierosa.

Cholerni sportowcy.

F-22A zawróciły w godzinę później, przekonawszy się (japońscy spece od obrony powietrznej mieli co do tego pewność), że nie są w stanie przeniknąć strefy patrolowanej przez samoloty *Kami* i *Eagle*, które stały na straży północno-wschodniej granicy ojczystej ziemi. Ani najlepsze amerykańskie samoloty ani najlepsze systemy elektroniczne nie potrafiły przechytrzyć Japończyków. I bardzo dobrze. Piloci patrzyli, jak na ekranach monitorów zacierają się kontakty radarowe. Wkrótce zniknęły również emisje z *E-3B*, które ruszyły w powrotną drogę do Shemya, by zameldować swoim dowódcom o porażce.

Amerykanie to realiści. Odważni wojownicy, to pewne — oficerowie na pokładach *E-767*

nie popełnią błędu swoich przodków, którzy myśleli, że prawdziwe operacje militarne są obce amerykańskiemu duchowi. Ten błąd drogo ich kosztował. Ale wojna, to przede wszystkim przedsięwzięcie techniczne, a Amerykanie pozwolili, by ich technika podupadła tak bardzo, że nadgonienie tego nie było już możliwe. Sami sobie wykopali grób.

W drodze powrotnej *Raptory* musiały uzupełnić paliwo, więc nie leciały z prędkością ponaddźwiękową, bo nie było powodu, by trwonić paliwo. Na Shemya panowały znów marne warunki atmosferyczne. Myśliwce, prowadzone przez kontrolera z ziemi, spłynęły bezpiecznie na ziemię, a potem pokołowały do hangarów, które po przylocie czterech myśliwsko-szturmowych *F-15E Strike Eagle* z bazy Mountain Home w Idaho pękały niemal w szwach. Piloci *F-22A* także uważali, że misja zakończyła się sukcesem.

Uderzenie błyskawicy

— Oszaleliście? — spytał Szczerienko.

— Pomyśl tylko — odparł Clark, który ponownie znajdował się na terenie ambasady rosyjskiej. — Pragniemy politycznego uregulowania sytuacji, mam rację? Koga jest więc naszą najlepszą szansą. Mówisz, że rząd go nie przyskrzytnął. Więc kto nam pozostaje? Koga jest najprawdopodobniej tam. — Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wieżowiec można było dostrzec z okna pokoju Szczerienki.

— Czy to wykonalne? — spytał Rosjanin, obawiając się, że Amerykanie poproszą o wsparcie, którego nie mógł im zapewnić.

— Oczywiście, nie da się wykluczyć ryzyka, ale mało prawdopodobne, by ten facet trzymał tam całą armię. Nie trzymałby go tam, gdyby nie zależało mu na dyskrecji. Jest tam maksymalnie jakichś pięciu, może sześciu ludzi.

— Na was dwóch?! — zdumiał się Szczerienko.

— Jak już kolega powiedział — podsunął Ding z nader ostentacyjnym uśmiechem. — To pestka.

Więc jednak stara teczka w KGB mówiła prawdę. Clark nie jest prawdziwym oficerem wywiadu, ale byłym wojskowym, podobnie jak jego młody, arogancki partner, który przez cały czas najspokojniej w świecie wyglądał sobie przez okno.

— Nie mogę wam dać żadnego wsparcia.

— A broń? — rzucił krótko Clark. — Może powiesz mi, że nie trzymacie tu czegoś, co mogłoby się nam przydać? Co to za rezydentura? — Clark wiedział, że Rosjanie będą grali na zwłokę. Niedobrze, że nie nauczono ich przejmować inicjatywy.

— Musiałbym postarać się o pozwolenie.

Clark skinął głową, gratulując sobie w duchu dobrego nosa, po czym otworzył laptopa. —

My także. Ty zdobądź swoje, a ja swoje.

Jones rozgniół niedopałek w aluminiowej popielniczce, jakich używano w Marynarce.

Paczka papierosów leżała upchnięta w głębi szuflady biurka, czekając pewnie na podobną okazję.

Kiedy zaczyna się wojna, zasady z czasów pokoju można wyrzucić do kosza. Człowiek łatwo wpada z powrotem w stare nałogi, zwłaszcza w te złe. A sama wojna, czyż nie była jednym z nich?

Spostrzegł, że admirał Mancuso waha się, czy nie poprosić o papierosa, więc tym bardziej upewnił się, że dobrze zgasił niedopałek.

— Masz coś, Ron?

— Człowiek spędzi trochę czasu przy tym sprzęcie, a wyniki same się sypią. Wraz z Boomerem nadstawiamy uszu od tygodnia. Zaczęliśmy od jednostek nawodnych. — Jones podszedł do ściennej mapy nawigacyjnej. — Nanieśliśmy pozycję niszczycieli...

— Wszystkich od... — przerwał mu komandor Chambers, ale zaraz umilkł.

— Tak, panie kapitanie, od samego środkowego Pacyfiku. Bawiłem się w szerokim i wąskim paśmie, sprawdzałem pogodę i wykreśliłem pozycje. — Jones wskazał na sylwetki okrętów przypięte do mapy.

— Świetnie, Ron. Tylko, że od tego mamy zdjęcia satelitarne — przypomniał mu dowódca sił podwodnych.

— To co, jak wypadłem? — spytał cywil.

— Całkiem nieźle — przyznał Mancuso. Następnie wskazał na pozostałe sylwetki okrętów przypięte do ściany.

— No właśnie, Bart. Gdy wpadłem na to, jak śledzić niszczyciele, zaczęliśmy rozgryzać podwodniaków. I zgadnij, co się okazało? Wciąż mogę przydybać skurwieli, jak idą na chrapach.

Tutaj przebiega ich linia dozoru. Namiary są w miarę regularne.

Na ściennej mapie widniały dwa pewne namiary. Odpowiadające im sylwetki okrętów otaczały kółka, których średnica wahała się od dwudziestu do trzydziestu mil. Dwa inne przykrywały znaki zapytania.

— Wciąż mamy kilka nierozpoznanych — zauważył Chambers.

Jones skinął głową. — Prawda, ale uchwyciłem sześć na pewno, może osiem. Trudno złapać dobry kontakt w pobliżu wybrzeży Japonii. Za daleko. Wykreślam kursy statków handlowych kursujących do wysp, ale to wszystko — przyznał. — Śledzę również dwuśrubowy kontakt, idący zachodnim kursem w kierunku Wysp Marshalla, a dziś rano zauważyłem, że po przeciwnej stronie mamy pusty suchy dok.

— To tajemnica — zaznaczył Mancuso z lekkim uśmiechem.

— No, gdybym był na waszym miejscu, panowie, powiedziałbym „Stennisowi”, by uważał na tę linię patroli japońskich spalinówek. Może wpierw trzeba pchnąć w ten gąszcz nasze okręty podwodne, żeby go nieco przetrzebiły.

— Centrala, tu hydro.

— Centrala, słucham — porucznik Ken Shaw miał wachtę od północy do czwartej.

— Prawdopodobny namiar zero-sześć-zero... prawdopodobnie kontakt podwodny...

bardzo słaby, panie poruczniku — zameldował dowódca hydro.

Czynności wykonywali automatycznie, co było wynikiem ćwiczeń, które odbywali podczas rejsu pomiędzy Bremerton a Pearl Harbor. Drużyna kierowania ogniem z miejsca zaczęła nakreślanie kursu. Technik przy analizatorze kanału dźwiękowego wprowadził dane prosto z anten hydroforów i spróbował określić odległość do celu. Komputerowi zajęło to tylko sekundę.

— Kontakt bezpośredni, sir. Odległość poniżej dwudziestu tysięcy metrów. Dutch Claggett właściwie nie spał. Tak jak to dowódcy mają w zwyczaju, leżał w koi z zamkniętymi oczami. Gdy zawołano go z hydro śnił jakiś niejasny, pozbawiony sensu sen o tym, że łowi ryby nad morzem, podczas gdy jakaś ryba podkrada się do niego od tyłu. Udało mu się jakoś oprzytomnieć i stał teraz boso w centrali bojowej w samych kalesonach. Sprawdzał głębokość, kurs i prędkość, a potem pośpieszył do kabiny sonarzystów, by samemu rzucić okiem na wskazania przyrządów.

— Meldujcie, szefie.

— Dokładnie tu, na linii sześćdziesięciu herców. — Szef postukał w ekran ołówkiem.

Sygnal to zniknął, to znów pojawiał się, w postaci strumyka kropeczek płynących ciurkiem w dół ekranu w tym samym zakresie częstotliwości. Namiar przechodził powoli z prawej na lewą stronę.

— Są na morzu od ponad trzech tygodni.. — Claggett myślał głośno.

— Długo, jak na diesel — zgodził się szef. — Może wraca po paliwo?

Claggett nachylił się bliżej, jak gdyby odległość od ekranu miała jakieś znaczenie.

— Może. A może po prostu zmienia pozycję. Na pewno utrzymują przybrzeżne patrole.

Informujcie mnie na bieżąco.

— Rozkaz, sir.

— No, co tam? — rzucił Claggett w kierunku zespołu śledzenia celu.

— Przybliżona ocena odległości czternaście tysięcy metrów, kurs zachodni, prędkość około sześciu węzłów.

Obcy okręt mogli bez problemu dosięgnąć torpedami *ADCAP* — zorientował się Claggett. Ale rozkazy operacyjne nie pozwalały mu na ci podobnego. Nic, tylko siedzieć i wyć.

— Przygotować dwie torpedy — rozkazał dowódca. — Gdy będziemy mieli już pewny zamiar na naszego przyjaciela, umykamy na wschód. Jeśli podejdzie do nas, postaramy się zejść mu z drogi. Strzelać możemy tylko, gdy nie ma innego wyjścia.

— Nie musiał się rozglądać, by stwierdzić, co sądzą o tym jego ludzie. Słyszał zmianę w ich oddechach.

— Co o tym sądzisz? — spytała Mary Pat Foley.

— Ciekawe — odrzekł Ryan po uważnym przestudiowaniu faksu z Langley.

— Gra warta świeczki. — Głos należał do Eda Foleya. — Ale cholernie ryzykowna.

— Nawet nie są pewni, że on tam jest — zastanawiał się Ryan, wczytując się w meldunek, który nosił wszelkie znamiona wiadomości od Johna Clarka. Szczery. Rzeczowy.

Stanowczy. Ten facet wiedział, co to znaczy samodzielność w myśleniu, a choć nierzadko odgrywał drugoplanową rolę, zazwyczaj miał całościowy obraz sytuacji. — Z czymś takim muszę pójść do góry.

— Nie potknij się po drodze — poradziła mu Mary Pat z niemal słyszalnym uśmiechem.

Wciąż była tą samą rezolutną dziewczyną, która brała udział w operacjach terenowych. —

Zalecam „zielone światło” dla tej operacji.

— A ty, Ed?

— Dużo ryzykujemy, ale czasem trzeba zawierzyć ocenie człowieka w terenie. Jeśli zależy nam na politycznym rozwiązaniu tej sytuacji, to, no cóż, trzeba będzie oprzeć się na jakimś oswojonym polityku. Potrzebujemy tego faceta, a możliwe, że to jest nasza ostatnia szansa dostania go żywego. —

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego usłyszał

zgrzytanie zębami na drugim końcu szyfrowanej linii *STU-6*. Spodziewał się takiej decyzji Foleyów. Co ważniejsze, oboje się zgadzali.

— Skontaktuję się z wami za dwadzieścia minut. — Ryan przełączył się na normalny telefon. — Muszę natychmiast widzieć się z Szefem — poinformował sekretarkę w biurze prezydenta.

Wschód słońca rozpoczął kolejny gorący, bezwietrzny dzień. Admirał Dubro zauważył, że traci na wadze, jego spodnie koloru khaki zwisały w biodrach luźniej niż zwykle i był

zmuszony dociągnąć nieco pasek. Hindusi nie spuszczała obecnie oka z dwóch lotniskowców, którymi dowodził. Czasem podchodzili na tyle blisko, że znajdowali się w zasięgu wzroku, jednak częściej radar obserwacji dolnej na pokładzie jakiegoś *Harriera* wysyłał wiązkę z odległości około siedemdziesięciu kilometrów. Co gorsza, admirał miał rozkaz umożliwić im obserwowanie okrętów. Dlaczego, do diaska, nie szedł na wschód w kierunku cieśniny Malaka?

Przecież toczy się wojna. Jakiś czas temu wydawało mu się, że groźba indyjskiej inwazji na Sri Lankę godzi bezpośrednio w jego osobę. Cejlon nie jest jednak częścią amerykańskiego terytorium, w odróżnieniu od Marianów, a jego dwa lotniskowce były jedynymi, jakimi dysponował w tej chwili Dave Seaton.

Jasne, że ruchów zgrupowania nie udało się utrzymać w tajemnicy. Żeby przepłynąć na wody Pacyfiku, musieliby przejść przez którąś z licznych cieśnin zatłoczonych jak Times Square w południe. Owszem, mogli też, choć to mało prawdopodobne, natknąć się na okręt podwodny, ale od czego miał okręty ZOP? Jest w stanie posłać na dno każdy okręt, który próbowałby przeszkodzić mu w przejściu na Pacyfik. Ale dostał rozkaz pozostania na Oceanie Indyjskim i, co więcej, miał nie ukrywać własnej obecności.

Oczywiście, natychmiast wieść ta rozeszła się wśród całej załogi. Dubro nie poczynił

nawet symbolicznych prób, by temu zapobiec. I tak na nic się by to nie zdało. Ludzie mieli prawo wiedzieć, co się dzieje, gdy spodziewali się, że zostaną rzućni do walki. Powinni wiedzieć, by oswoić się z tą myślą, by zebrać w sobie dodatkową determinację, zanim trzeba będzie przestawić się z pokojowej mentalności na wojenną. Ale kiedy człowiek już się zebrał i był

gotowy, nie miał wyjścia, musiał to zrobić. A oni jeszcze nie byli...

W konsekwencji, podobnie jak wszyscy w zgrupowaniu, czuł narastającą frustrację, przyływ złego humoru i wzbierającą wściekłość. Niedalej jak wczoraj, jeden z *Tomcatów* przemknął przez środek pary indyjskich *Harrierów* w odległości trzech metrów od końcówki skrzydła każdego z nich, by pokazać im, kto tu naprawdę potrafi latać. Intruzów przepelniło to z pewnością bojaźnią Bożą, jednak nie było to zachowanie godne zawodowca... chociaż Mike Dubro pamiętał siebie z czasów, gdy był porucznikiem — takim samym pistoletem — jak jego obecni podwładni, i z łatwością mógł sobie

wyobrazić, że postępuje podobnie. Z ciężkim sercem musiał jednak zbesztać pilota. Zdawał sobie sprawę, że wracając do kabin mieszkalnych załoga *Tomcata* przeżuwała przekleństwa pod adresem tego starego piernika na mostku kapitańskim, który nie ma zielonego pojęcia o pilotowaniu myśliwców odrzutowych, bo w czasach jego młodości używano prawdopodobnie nakręcanych katapult, by wystartować z okrętu.

— Jeśli wypalą pierwsi, możemy oberwać — zauważył komandor porucznik Harisson po zameldowaniu, że obcy patrol pojawił się planowo o świcie.

— Jeśli walną w nas *Exocetami*, poczęstujemy ich *Sweeperami*, i niech się udławiają. —

Nie była to udana próba rozweselenia obecnych, ale Dubro nie czuł się w tej chwili skłonny do żartów.

— Chyba, że dopisze im szczęście i walną w zbiornik paliwa. — Teraz nawet jego oficer operacyjny wykazywał pesymizm. Niedobrze, pomyślał dowódca sił uderzeniowych.

— Pokaż im, że czuwamy — rozkazał Dubro.

Chwilę później okręty ochrony włączyły radary kierowania ogniem i wzięły namiary ogniowe na indyjskich intruzów. Przez lornetkę Dubro dostrzegł, że na najbliższym krążowniku *Aegis* białe pociski raketowe siedzą na prowadnicach. Po chwili zatrzymały się celując w obce samoloty, gdy podobnie uczyniły radary naprowadzające. Znaczenie tego było jasne: trzymajcie się z daleka.

Mógł posłać następną gniewną depezę do Pearl Harbor, ale Dave Seaton i tak miał dużo problemów na głowie, poza tym decyzje tak naprawdę podejmowali ludzie w Waszyngtonie, którzy nie rozumieli w czym rzecz.

— Czy warto?

— Tak, panie prezydencie — odparł Ryan, podjąwszy decyzję w drodze do gabinetu prezydenta. Narazone zostanie życie dwóch jego przyjaciół, ale taką mieli pracę. Do niego, przynajmniej w pewnym stopniu, należało podejmowanie decyzji. Łatwo się o tym mówi, choć Ryan wiedział, że nie zazna z tego powodu spokojnego snu, jeśli uda mu się w ogóle zasnąć. —

Powód jest oczywisty.

— A jeśli się nie powiedzie?

— Dwóch naszych ludzi znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie, ale...

— Ale po to właśnie ich mamy? — dokończył Durling, niezbyt przyjaznym tonem.

— Obaj są moimi przyjaciółmi, panie prezydencie. Jeśli myśli pan, że napawa mnie radością pomysł...

— Usiądź — przerwał mu prezydent. — Wystawiamy wielu ludzi na niebezpieczeństwo, i wiesz co? Gdy człowiek nie wie kim są, jest to o wiele trudniejsze. Doświadczenie mnie tego nauczyło. — Roger Durling powiódł wzrokiem po biurku, na którym piętrzyły się ministerialne biuletyny i inne papiery, nie mające bezpośredniego związku z kryzysem na Pacyfiku, a mimo to musiał się z nimi zapoznać. Rząd Stanów Zjednoczonych to przeogromna machina i Durling nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie nawet najmniejszego jej trybika. To że jakiś wycinek polityki stał naraz bardzo ważny, nie miało znaczenia. Czy Ryan to rozumiał?

Jack również widział te wszystkie papiery na prezydenckim biurku. Nie musiał znać ich treści. Żadnych teczek z nadrukiem TAJNE. Były to najzwyczajniejsze, codzienne duperele, na załatwienie których Durling musiał znaleźć czas. Jego Szef musiał poświęcać swoją uwagę tylu przeróżnym sprawom. Ryanowi wydało się to niesprawiedliwe, zwłaszcza, że ten facet wcale nie chciał znaleźć się na tym stanowisku. To przeznaczenie maczało w tym palce. Durling objął

dobrowolnie urząd wiceprezydenta, ponieważ jego charakter nadawał się do służenia innym, podobnie jak charakter Ryana. Obaj jesteście ulepieni z tej samej gliny, pomyślał Jack.

— Panie prezydencie, przepraszam, że to powiedziałem. Tak, rozważyłem związane z tą operacją ryzyko, ale nie można zaprzeczać, że taką mają pracę. Ponadto, John jest za. W gruncie rzeczy sam wpadł na ten pomysł. To dobry agent terenowy. Zdaje sobie sprawę zarówno z ryzyka, jak z potencjalnych zysków. Mary Pat i Ed wyrazili zgodę i również poparli tę operację.

Ostateczna decyzja, oczywiście, należy do pana, panie prezydencie, ale takie są rekomendacje.

— Czy chwytamy się ostatniej deski ratunku? — chciał wiedzieć Durling.

— Nie, panie prezydencie, nie ostatniej deski. Może okazać się, że to gruby pień.

— Mam nadzieję, że będą na siebie uważać.

— Nie, no, naprawdę niezły — skonstatował Chavez. Rosyjski pistolet samopowtarzalny *PSM* miał kaliber 0,215 cala, mniejszy niż dwudziestkadwójka, z której amerykańskie dzieciaki, a przynajmniej te będące na bakier z polityczną poprawnością, nauczyły się strzelać na obozach skautów. Pistolet *PSM* był standardową bronią osobistą rosyjskich wojskowych i służb policyjnych, co tłumaczyło w pewnym sensie, dlaczego rosyjscy kryminaliści odnosili się do rodzimych glin z taką pogardą.

— Jest jeszcze nasza tajna broń — przypomniał Clark, wając pistolet w dłoni.

Wyważenie broni poprawiało się przynajmniej po przykręceniu tłumika. Po przyjrzeniu się rosyjskiemu pistoletowi, utwierdziło się w nim przekonanie, które żywił od lat. Europejczycy guzik się znali na broni krótkiej.

— Też się przyda. — Ambasada rosyjska dysponowała strzelnicą dla oficerów bezpieczeństwa. Chavez przypiął tarczę do ramy i z pomocą korby przesunął ją na koniec osi.

— Zdejmij tłumik — doradził John.

— Dlaczego? — spytał Ding.

— Popatrz na to. — Chavez rzucił okiem na tłumik i stwierdził, że jego rosyjską wersję wypełnia wata stalowa. — Nadaje się tylko na pięć, może sześć strzałów.

Strzelnica wyposażona była na szczęście w ochraniacze uszu. Clark załadował

magazynek ośmioma nabojami, wycelował w tarczę i oddał trzy strzały. Broń hałasowała dość mocno. Clark zatęsknił za samopowtarzalną dwudziestkadwójką z tłumikiem. Musiał jednak przyznać, że rosyjski pistolet przynajmniej strzelał celnie.

Szczerienko przyglądał się temu w milczeniu, wściekły na Amerykanów za ich awersję do broni wyprodukowanej w jego ojczyźnie i zażenowany, gdyż możliwe, że mieli rację. Uczył

się strzelać całe lata temu, nie wykazując wówczas szczególnych uzdolnień w tym kierunku.

Oficer wywiadu nader rzadko korzystał z tej umiejętności, na przekór hollywoodzkim filmom.

Na pewno nie można było tego powiedzieć o Amerykanach. Obaj trafiali w sam środek tarczy z piętnastu metrów, strzelając dubletami, które w branży znano jako „podwójne pacnięcia”.

Skończywszy, Clark wyczyścił broń i załadował ponownie magazynek. Wziął jeszcze jeden, który wypełnił nabojami i wpuścił do tylnej kieszeni. Chavez postąpił podobnie.

— Jeśli kiedykolwiek zajrzysz do Waszyngtonu — rzucił Ding — pokażemy ci, czego używamy w Ameryce.

— Włącznie z „tajną bronią”, o której wspomnieliście? — zagadnął Szczerienko starszego z Amerykanów.

— Ta broń jest tajna. — Clark ruszył w kierunku drzwi, a Chavez podążył za nim. Mieli przed sobą cały dzień wyczekiwania okazji — jeśli takie określenie miało sens — oraz dalszego strzępienia nerwów.

Shemya nawiedził kolejny burzowy dzień. Grad, pędzony porywami silnego wiatru grzechotał o jedyny w bazie pas startowy, a hałas przerywał spokojny sen pilotów myśliwskich.

Wewnątrz hangarów stało osiem samolotów, które stłoczono razem, by ochronić je przed działaniem pogody. Trzeba tak było postąpić zwłaszcza z *F-22*, ponieważ na razie nikt dokładnie nie zbadał, jakie szkody czynniki atmosferyczne mogą wyrządzić gładkiej powierzchni myśliwców. A czas nie sprzyjał tego rodzaju eksperymentom. Spece od pogody twierdzili, że opady powinny ustać za kilka godzin, choć porywiste wiatry mogły z powodzeniem utrzymać się przez następny miesiąc. Ludzie z obsługi naziemnej, sprawdzając haki mocujące na kołach samolotu-cysterny i *AWACS-a*, krzatali się

na dworze w krępującym ruchu skafandrach przeciwdeszczowych.

System *Cobra Dane* zabezpieczał bazę przed innymi zagrożeniami. Choć wyglądał jak ekran ze starego kina dla zmotoryzowanych, w rzeczywistości był olbrzymią wersją radaru z półprzewodnikowym układem antenowym, jakiego używały japońskie *E-767* oraz krążowniki i niszczyciele standardu *Aegis* w obu zaangażowanych w konflikt marynarkach wojennych.

Wzniesiony pierwotnie w celu kontrolowania radzieckich prób raketowych, służąc później do przeprowadzania badań w ramach Inicjatywy Obrony Strategicznej, *Cobra Dane* dysponował

mocą umożliwiającą mu kontrolowanie tysięcy kilometrów przestrzeni kosmicznej, a setek kilometrów atmosfery. Elektroniczne macki radiolokatora bezustannie przeszukiwały okoliczną przestrzeń powietrzną, wypatrując napastników, ale jak dotąd natrafiały jedynie na samoloty cywilne, choć i te były śledzone nader uważnie. Dyżurny *F-15E Strike Eagle* mógł znaleźć się w powietrzu w ciągu dziesięciu minut, gdyby któryś z nich wydał się choć odrobinę podejrzany.

Ponura aura utrzymywała się przez cały dzień. Tylko przez parę godzin szarawe światło sączyło się przez chmury, po czym można było poznać, że przynajmniej teoretycznie słońce wzeszło. Ale do czasu, gdy obudzono pilotów, widok z okna kwater wyglądał niczym powleczony czarną farbą, ponieważ pogaszono nawet światła na pasie startowym, by jakiemuś nieproszonemu gościowi nie wskazywały bazy w mrocznej szarudze.

— Czy są jakieś pytania?

Choć w pośpiechu, operację zaplanowano z uwagą. Czterech pilotów prowadzących brało udział w przygotowaniach, a poprzedniej nocy poddali oni plan próbie. Co prawda nie był

pozbawiony ryzyka, ale, do diabła, gdzie go nie było?

— Poradzicie sobie na tych *F-15*? — spytał dowódca dywizjonu *F-22*. Choć miał stopień podpułkownika, dosięgła go cięta odpowiedź.

— Proszę się nie martwić, sir — odparł ktoś. — Miło będzie patrzeć na taki zgrabny tyłeczek — dokończyła major i posłała mu całusa.

Pułkownik, oblatywacz oderwany od prac rozwojowych, jakie prowadzono nad *F-22* w bazie Nellis, znał „stare” Siły Powietrzne tylko z filmów i opowiadań, które zasłyszał, gdy był

jeszcze młodzikiem zdobywającym pierwsze szlify. Przyjął jednak nieco obraźliwą uwagę w duchu, w jakim ją wypowiedziano. Myśliwsko-szturmowe *F-15 Strike Eagle* to nie to samo, co samoloty *stealth*, ale są diabelnie zwrotne. Mieli wspólnie uczestniczyć w misji bojowej i szarża nie liczyła się w takim samym stopniu jak kwalifikacje i zaufanie.

— W porządku — kiedyś dodałby jeszcze „panowie” — czas nas goni. Dalej, do roboty.

Piloci tankowców podśmiewali się z mentalności pilotów myśliwskich i z tego, jak to kobiety w Siłach Powietrznych szybko ją przejmowały. Major to niczego sobie babka, pomyślał jeden z nich.

— Jak dorośnie, mogłaby latać w United — szepnął do kapitana, który miał być tej nocy jego drugim pilotem.

— Ujdzie w tłoku — zauważył drugi pilot, w cywilu pracownik Southwest Airlines.

Tankowce oderwały się od ziemi w dwadzieścia minut później. Za nimi podążył jeden z *E-3B*.

Myśliwce tradycyjnie wyruszyły ostatnie. Piloci ubrali się w zimowe skafandry lotnicze, wykonując odpowiedni gest pod adresem kamizelek ratunkowych, których noszenie o tej porze roku na Północnym Pacyfiku zakrawało na żart. Jednak regulamin, to regulamin. Niewygodne i ograniczające ruchy kombinezony przeciwprzeciążeniowe wdziali jako ostatnie. Piloci *Raptorów* ruszyli do maszyn pojedynczo, a załogi *Eagle* parami. Pułkownik, który dowodził misją, ostentacyjnie zerwał z kombinezonu przyczepioną na rzep odznakę z sylwetką *Raptora*, a w jej miejsce przykleił nieoficjalną, spreparowaną przez pracowników Lockheeda. Przedstawiała górny rzut myśliwca z czasów II wojny światowej *P-38 Lightning*, na który nałożono profil najnowszego produktu firmy, dodatkowo upiękaszony białą-żółtą błyskawicą. Tradycja, przede wszystkim, pomyślał, chociaż gdy ostatni *P-38* poszedł na złom, nie było go jeszcze na świecie.

Przypomniawszy sobie, jak budował modele pierwszego amerykańskiego myśliwca dalekiego zasięgu, który tylko raz został użyty zgodnie z jego przeznaczeniem, za co pilot nazwiskiem Tex Lamphier zyskał sobie nieśmiertelność. Ich misja nie będzie się wiele różniła od egzekucji japońskiego admirała nad Wyspami Salomona.

Myśliwce wyholowano na zewnątrz. Zanim jeszcze piloci uruchomili silniki, poczuli, jak wiatr kołysze maszynami. Błądzili palcami po przyrządach i próbowali znaleźć najwygodniejszą pozycję w fotelach. Następnie, jeden po drugim, myśliwce odpaliły silniki i pokołowały na początek drogi startowej. Światła na pasie rozzarzyły się niczym niebieskie wstęgi wybiegające w mrok. Startowali pojedynczo, w minutowych odstępach, gdyż starty parami przy takich warunkach pogodowych były zbyt niebezpieczne, a tej nocy nie można było sobie pozwolić na niepotrzebne błędy. W chwilę później, dwa czterosamolotowe klucze sformowały się ponad chmurami, gdzie czyste niebo usiane było jasnymi gwiazdami. Po prawej stronie zorza mieniła się różnymi barwami, niczym kurtyna z migotliwej zieleni i purpury, gdy gwiazdne wiatry wpływały na naładowane cząstki w górnych partiach atmosfery. W oczach pilotów *Raptorów* widok tej przedziwnej kurtyny był zarówno cudowny, jak symboliczny.

Pierwsza godzina lotu minęła normalnie. Dwa klucze myśliwców ciągnęły na południowy zachód z błyskającymi światłami antykolizyjnymi, ostrzegającymi przed nadmiernym zbliżeniem. Piloci przeprowadzili sprawdzian systemów, kontrolę przyrządów i zaczęli oddychać spokojniej, gdy dolatywali do tankowców.

Załogi samolotów-cystern, rezerwiści w cywilu prowadzący samoloty pasażerskie, zadbały o zlokalizowanie miejsc, w których panowały dobre warunki atmosferyczne. Piloci myśliwców pomyśleli o nich z uznaniem, mimo że zwykli uważać wszystkich innych lotników za pilotów drugiej kategorii. Zatankowanie do pełna każdego myśliwca zabrało ponad czterdzieści minut, po czym tankowce zaczęły na powrót zataczać kręgi. Pewnie żeby piloci mogli doczytać

„Wall Street Journal”, pomyśleli piloci myśliwców, wracając na kurs południowo-zachodni.

Sandy Richter zgłosił się do wykonania tej misji, jako że pomysł podobnej operacji zrodził się właśnie w jego głowie kilka miesięcy temu w bazie Sił Powietrznych Nellis. Powiodło się mu tam, a teraz trzeba się było przekonać, czy powiedzie się i tutaj. Stawką było jego życie.

Richter robił w tej branży od kiedy skończył siedemnaście lat. Podał wtedy fałszywy wiek, a że był duży i silny, udało mu się oszukać komisję. Wprowadził później poprawkę do wpisu w danych personalnych, ale i tak mijał mu obecnie dwudziesty dziewiąty rok służby i wkrótce miał oddać się spokojniejszemu życiu. Przez cały ten czas Richter latał na maszynach bojowych. Jeśli śmigłowiec nie przenosił broni, nie interesował go. Zaczynał na *AH-1 Huey Cobra*, potem przesiadł się na *AH-64 Apache*. To właśnie za sterami tego ostatniego walczył

podczas drugiej w swoim życiu wojny nad Półwyspem Arabskim. Siedząc teraz w ostatnim śmigłowcu, jakim miał latać, uruchomił silniki i według dziennika pokładowego rozpoczął sześć tysięcy siedemset pięćdziesiątą pierwszą godzinę lotu w swoim życiu.

Dwa turbinowe silniki zaskoczyły i zaczęły obracać wirnikiem. Namiastka obsługi naziemnej w postaci paru Rangersów odgrywała małą komedię z jedyną gaśnicą, jaką mieli.

Można by nią co najwyżej zgasić papierosa, pomyślał Richter gniewnie, gdy zwiększając moc oderwał się od ziemi. Rozrzedzone górskie powietrze negatywnie wpływało na osiągi śmigłowca, ale nie aż tak bardzo, by się tym strasznie przejmować. Wkrótce i tak zejdzie na poziom morza.

Pilot potrząsnął głową, jak to zwykle robił, by sprawdzić, czy hełm trzyma się na miejscu i skierował się na wschód, prześlizgując się nad zalesionymi zboczami Sziraisz-san.

— Są — powiedział do siebie dowódca klucza *Raptorów*. Pierwszą oznaką zagrożenia był

świergot w słuchawkach, po którym natychmiast pojawiła się informacja na monitorze: Radar Obrony Powietrznej, pokładowy, typ J, namiar 213.

Następnie napłynęły dane przekazane z *E-3B*, który był na miejscu wystarczająco długo, by nakreślić pozycję celu. Tego wieczoru *Sentry* w ogóle nie korzystał ze swoich radarów.

Przecież Japończycy dali poprzedniej nocy lekcję Amerykanom, którzy potrzebowali czasu, by ją sobie przyswoić...

Odległość do celu numer 1 — 738 kilometrów.

Pozostając nadal poniżej horyzontu, niewidzialny dla japońskiego samolotu, wydał

pierwszy słowny rozkaz w tej misji.

— Dowódca do grupy. Dzielimy się na pary!

Natychmiast dwa klucze podzieliły się na pary, oddalone o dwa tysiące metrów. W obu przypadkach prowadziły *F-22*, i w obu przypadkach idące w ślad za nimi *F-15E* podsunęły się niebezpiecznie blisko, by uzyskać nałożenie się sygnałów radarowych. Pułkownik leciał tak prosto i równo, jak tylko pozwalały mu na to umiejętności. Uśmiechnął się na wspomnienie uwagi pani major. Ładny tyłeczek, co? Była pierwszą kobietą, która latała w zespole *Thunderbirds*. Nie dostrzegłby jej teraz, nawet gdyby miał na to ochotę. Światałka na wskaźniku radiolokacyjnym zgasła i pułkownik mógł mieć tylko nadzieję, że wzmacniacz obrazu, który major miała na hełmie działał bez zarzutu. Od znajdującego się na południu *E-767* dzieliło ich jeszcze sześćset kilometrów. Myśliwce szły z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, na ekonomicznym pułapie jedenastu tysięcy metrów.

Wchodząc do budynku, nie zwrócili na siebie uwagi. W Ameryce dwie osoby otwierające o tej porze drzwi rzuciłyby się w oczy, ale w Japonii przedsiębiorcy często pracowali do późnych godzin. Strażnik w holu nie oderwał wzroku od telewizora, a Clark i Ding minęli go, idąc pewnym krokiem, jak gdyby znali drogę. Poza tym przestępczość w Tokio nie stanowiła problemu. Oddychając trochę gwałtowniej, wkroczyli do windy. Clark nadusił przycisk, po czym posłał partnerowi spojrzenie pełne ulgi, które wkrótce znów nabiegło niepokojem. Ding trzymał

w ręku walizeczkę. Obaj mieli na sobie najlepsze garnitury, krawaty i białe koszule. Wyglądali jak biznesmeni, którzy śpieszą na późnowieczorną konferencję na taki czy inny temat. Winda zatrzymała się pięć pięter przed ostatnim, na poziomie, który wybrali z uwagi na brak światła w oknach. Clark wysunął głowę na zewnątrz, świadomy, że zachowuje się trochę jak złodziejaszek.

Korytarz był pusty.

Szybko i cicho obeszlą centralny korytarz budynku, w końcu trafili na drzwi prowadzące na schody pożarowe i ruszyli w górę. Szukali wzrokiem kamer telewizyjnych, ale dzięki Bogu niczego takiego nie było na tym piętrze. Clark sprawdził na dole i u góry. Na klatce schodowej nie było nikogo. Zaczęli piąć się dalej, rozglądając się i nasłuchując przed każdym krokiem.

— Nasi przyjaciele wrócili — oznajmił jeden z kontrolerów pokładowych przez interkom. — Kurs zero-trzy-trzy, odległość cztery-dwa-zero kilometrów, jeden, nie dwa kontakty, ciasny szyk, samoloty wojskowe, prędkość osiemset kilometrów na godzinę, lecą w naszym kierunku... — zakończył raptownie meldunek.

— Świetnie — odparł gładko starszy kontroler. Przełączając kanały słuchawek, wybrał

odpowiedni obraz na swoim monitorze. — Aktywność radarowa na północnym wschodzie?

— Zero — odparł od razu oficer elektronicznych operacji zakłóceń. —

Oczywiście może tam ktoś być i nas kontrolować.

— *Wakaremas.*

Kolejnym punktem programu było przesunięcie dwóch myśliwców zataczających kręgi na wschód od rozpoznawczego Kami. Oba *F-15J* niedawno dotarły na posterunek, miały więc pełne zbiorniki paliwa. Dodatkowo poprosili o przysłanie kolejnej pary z bazy Czitose. Znajdą się na posterunku za jakieś piętnaście minut, ale to wystarczy, pomyślał starszy kontroler. Czas był po jego stronie.

— Uchwycić cel — rozkazał operatorowi.

Już nas macie, co? — spytał w duchu pułkownik. Wspaniale. Utrzymywał stały kurs i prędkość, chcąc by tamci dobrze wymacali jego pozycję. Reszta to już zwykła arytmetyka. *Eagle* są pewnie teraz jakieś trzysta kilometrów stąd, prędkość zbliżania do celu około tysiąca. Sześć minut do rozproszenia. Sprawdził godzinę na zegarze i zlustrował niebo wypatrując czegoś, co byłoby nieco za jasne jak na gwiazdę.

Na ostatnim piętrze była kamera. A więc Yamata był z lekka paranoiczny. Ale nawet paranoicy mają wrogów, przypomniał sobie Clark, notując w pamięci, że korpus kamery wycelowany jest w następny podest schodowy. Dziesięć schodów do podestu, dziesięć do drzwi.

Musiał zebrać myśli. Chavez przekręcił gałkę drzwi po prawej stronie. Nie były zamknięte.

Wymagania przeciwpożarowe, pomyślał Clark, skinieniem głowy dając Dingowi do zrozumienia, że przyjął tę informację. Mimo to wyjął zestaw wytrychów.

— O czym myślisz?

— Że najchętniej byłbym teraz gdzieś indziej. — Ding trzymał lampę w dłoni, gdy John wyjął pistolet i wkręcił tłumik na miejsce. — Szybko, czy wolno?

Tylko taki mieli wybór. Wolne podejście, jak ludzie w interesach, którzy zgubili drogę, może... nie, nie tym razem. Clark podniósł jeden palec, wziął głęboki oddech i skoczył do przodu długimi susami. Cztery sekundy później przekręcił gałkę na szczytowym podejściu, pchnął

drzwi i rzucił się plackiem na podłogę z wycelowanym pistoletem w dłoni. Ding przeskoczył nad nim, zatrzymał się i wycelował ze swojej broni.

Gdy drzwi od klatki schodowej otworzyły się raptownie, strażnik zwrócony był do nich plecami. Obrócił się automatycznie i dostrzegł postawnego mężczyznę, który leżał na podłodze i chyba celował w niego z pistoletu. Instynktownie sięgnął po broń, gdy wbił wzrok w potencjalny cel. Zaraz, był jeszcze drugi facet, który trzymał coś, co...

Z takiej odległości wiązka światła trafiła w strażnika z niemal fizyczną siłą. Trzy miliony kandel energii świetlnej zmieniły korytarz w tarczę słońca. Ogromna energia zaatakowała centralny system nerwowy strażnika poprzez nerw trójdzielny, który biegnie od pnia mózgu do dna oka, rozgałęziając

się w połączeniu dróg nerwowych, które kontrolują mięśnie szkieletowe.

Tak jak to się stało w Afryce, skutkiem było przeciążenie systemu nerwowego. Strażnik zwałił

się na podłogę jak szmaciana lalka, z pistoletem w drżącej konwulsyjnie prawej dłoni. Silne światło, odbite od pomalowanych na biało ścian, oślepiło lekko Chaveza, ale Clark, pamiętając by zacisnąć mocno oczy, puścił się biegiem w kierunku podwójnych drzwi i otworzył je uderzeniem ramienia.

Dokładnie przed sobą miał jednego mężczyznę. Wstawał właśnie sprzed telewizora z twarzą, na której malowały się zdziwienie i popłoch wzbudzone tym nie zapowiedzianym najściem. Nie było czasu na litość. Clark uniósł pistolet dwiema rękami i ściągnął spust dwa razy.

Obie kule trafiły prosto w czoło mężczyzny. John poczuł dłoń Dinga na ramieniu, otrząsnął się i pobiegł w prawo w głąb korytarza, zaglądając do każdego pokoju. Kuchnia, pomyślał. Zawsze jest ktoś w...

Miał rację. Mężczyzna w kuchni wzrostem dorównywał niemal Clarkowi. Z bronią w dłoni zmierzał w kierunku korytarza, wykrzykując jakieś imię i pytanie. Był jednak za wolny.

Gdy wpadł na mężczyznę z pistoletem wycelowanym i gotowym do strzału trzymał broń lufą do ziemi. Była to ostatnia rzecz jaką widział w swoim życiu. Clark potrzebował kolejne pół minuty, by sprawdzić resztę luksusowego apartamentu, ale znalazł tylko puste pokoje.

— Jewgienij Pawłowicz? — zawołał.

— Wania, tędy!

Clark cofnął się w lewo, na wszelki wypadek omiatając szybkim spojrzeniem dwa nieruchome ciała. Wiedział, że utkwia mu w pamięci, podobnie jak wszystkie inne, że będą nawiedzać go i że tak jak zawsze będzie próbował wytłumaczyć sobie ich śmierć.

Koga siedział nieruchomo z trupioblada twarzą podczas gdy Chavez, vel Czekow, myszkował po pokoju. Facet sprzed telewizora nie zdążył nawet wydobyć pistoletu z kabury pod pachą. Pomysł noszenia go w tym miejscu podsunął mu pewnie jakiś film, pomyślał Clark. Patent ten był cholernie nieprzydatny, gdy człowiek musiał dobyć pośpiesznie broni.

— Lewa strona czysta — odezwał się Chavez, pamiętając, by mówić po rosyjsku.

— Prawa strona czysta. — Clark nakazał sobie spokój, patrząc na gościa przed telewizorem, ciekaw który z zabitych przez nich ludzi miał na sumieniu śmierć Kim Norton. No, ten na zewnątrz to chyba nie.

— Kim jesteście? — spytał Koga zły i wstrząśnięty zarazem, zapomniawszy, że spotkali się już wcześniej. Clark wziął głęboki oddech, zanim mu odpowiedział.

— Koga-san, przyszedliśmy cię uwolnić.

— Zabiliście ich! — Koga wskazywał drżącą dłonią na ciała.

— Porozmawiamy może o tym później. Proszę pójść z nami. Nie grozi panu z naszej strony żadne niebezpieczeństwo.

Koga nie był niehumaniczny. Clark poczuł podziw wobec tego człowieka. Wstrząsnęła nim śmierć ludzi, którzy najwyraźniej nie byli jego przyjaciółmi. Ale czas już wyciągnąć go z tego cholernego miejsca.

— Który to Kaneda? — spytał Chavez.

Były premier wskazał na ciało przed telewizorem. Ding podszedł do niego, by rzucić ostatnie spojrzenie. Nic nie powiedział, tylko przeniósł wzrok na Clarka, a wyraz jego twarzy wyrażał uczucia zrozumiałe jedynie dla nich dwóch.

— Wania, czas na nas.

Odbiornik ostrzegawczy zwariował. Ekran usiany był czerwonymi i żółtymi polami, a kobiecy głos komputera informował go, że został namierzony. Tym razem to ja wiem lepiej, pomyślał Richter. Świadomość, że te piekielne urządzenia nie zawsze mają rację sprawiła mu przyjemność.

Pilotowanie śmigłowca samo w sobie było wystarczająco trudne. Choć *Apache* z uwagi na swoją zwrotność lepiej nadawałby się do tej misji, Richter cieszył się, że siedzi w *RAH-66*.

Jego organizm nie zdradzał żadnych widocznych objawów napięcia, a lata praktyki sprawiły, że rozsiadł się wygodnie w opancerzonym fotelu. Ułożył prawe przedramię na przewidzianym miejscu i dłonią operował dźwignią małego drążka sterowego. Wodził oczami po niebie i instynktownie porównywał rzeczywisty horyzont z tym, który generował czujnik ulokowany w nosie śmigłowca. Zabudowa Tokio doskonale sprzyjała jego zamiarom. *AWACS* do którego się skrada, wyławia z pewnością mnóstwo błędnych sygnałów wysyłanych przez skupiska rozmaitych budynków. Nawet najlepszy komputer nie poradzi sobie z takim rodzajem biernych zakłóceń. Poza tym Richter miał czas, by zrobić wszystko jak należy.

Większą część trasy, jaką przebył wytyczał bieg rzeki Tone. Na południowym brzegu biegły tory kolejowe, po których toczył się właśnie pociąg do Choszi, rozwijając prędkość prawie dwustu kilometrów na godzinę. Richter zajął pozycję dokładnie nad nim, jednym okiem spoglądając pod siebie, a drugim śledząc wskaźnik na ekranie odbiornika sygnalizacji ostrzegawczej. Sunął trzydzieści metrów ponad słupami sieci trakcyjnej, utrzymując się precyzyjnie na linii pociągu, tuż nad ostatnim wagonem składu.

— Coś tam jest. — Operator na pokładzie Kami Dwa dostrzegł wzmocniony przez systemy komputerowe punkcik na ekranie radaru, który przesuwiał się w kierunku ich pozycji.

Połączył się przez telefon pokładowy ze starszym kontrolerem.

— Prawdopodobny kontakt na niskim pułapie, zbliża się w naszym kierunku —

zameldował, oznaczając kontakt i przekazując jego obraz na ekran dowódcy zespołu.

— To pociąg — odparł dowódca, porównawszy pozycję namiaru z nakładką kartograficzną. Człowiek naraża się na takie pomyłki, gdy lata tymi cholernymi urządzeniami zbyt blisko ziemi. Standardowe oprogramowanie identyfikacyjne, pierwotnie zakupione od Amerykanów, zostało zmodyfikowane, ale nie w każdym szczególe. Radar pokładowy potrafił

śledzić wszystkie poruszające się obiekty, ale żaden komputer na świecie nie był w stanie sklasyfikować sygnałów odbitych od samochodów i ciężarówek, które pędziły autostradami biegnącymi pod samolotem. W celu zlikwidowania niepożądanych zakłóceń na ekranach monitorów, sygnały obiektów, które poruszały z prędkością mniejszą niż sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, były odsiewane w komputerowym systemie filtrującym. Jednak podczas lotu na niskim pułapie nawet ten próg nie zdawał egzaminu, przynajmniej nie w kraju posiadającym najlepsze pociągi na świecie. Dla pewności, starszy oficer śledził przez kilka sekund punkt na ekranie. Tak, poruszał się on po magistrali Tokio-Choszi. Na pewno nie mógł to być samolot odrzutowy. Śmigłowiec teoretycznie potrafiłby dokonać czegoś takiego, ale sygnał

był zdecydowanie za słaby. Prawdopodobnie rejestrowali odbite promieniowanie od metalowego dachu pociągu i odbicia od słupów trakcyjnych.

— Przetawić dyskryminator radaru do wykrywania celów ruchomych na dwieście —

rozkażał swoim ludziom. Operacja zabrała im trzy sekundy i zgodnie z oczekiwaniami ruchomy punkt obok rzeki Tone oraz dwa inne równie fałszywe kontakty zniknęły z ekranu. Mieli pełne ręce roboty, gdyż Dwójka odbierała namiary z Kami Cztery i Kami Sześć, a następnie przekazywała je do sztabu Obrony Powietrznej na przedmieściach Tokio. Amerykanie sondowali ponownie japońską obronę przeciwlotniczą swoimi supernowoczesnymi *F-22*, chcąc się zapewne przekonać, czy uda się im przechytrzyć japońskie *AWACS-y*. No cóż, tym razem zgotują im niezbyt przyjazne przyjęcie. Osiem myśliwców przechwytyjących *F-15 Eagle* wzbilo się już w powietrzu; każdy *E-767* sprawował kontrolę nad czterema z nich. Jeśli amerykańskie myśliwce podejną bliżej, przyjdzie im za to słono zapłacić.

Pułkownik musiał zaryzykować jedną transmisję radiową, i choć nadawał ją na szyfrowanym kanale, poczuł, że się denerwuje. Ale w tym zawodzie nawet najbardziej sprzyjające okoliczności zawierały element ryzyka.

— Prowadzący do grupy. Rozpraszamy się za pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... już!

Pociągnął drążek na siebie i, podrywając myśliwiec do góry, uwolnił się od *F-15E*, który spędził ostatnie pół godziny w strumieniu jego gazów wylotowych. W tej samej chwili prawą ręką pstryknął wyłącznikiem radarowego urządzenia odzewowego, który uprzednio włączył, by wzmocnić siłę sygnałów wtórnych odbieranych przez japoński *AWACS*. Za jego plecami, trochę niżej, *F-15E* i jego żeńska załoga zanurkował robiąc zwrot w lewo. *Lightning* nabierał

gwałtownie wysokości, wytracając prędkość postępową niemal do zera. Pułkownik włączył

dopalacze, by zwiększyć przyśpieszenie, po czym skorzystał z możliwości wektorowego sterowania ciągiem i wszedł w ostry skręt w przeciwną stronę, skracając znacznie czas rozproszenia klucza.

Pułkownik zdawał sobie sprawę, że szansa, iż japoński radar uchwycił wtórne odbicie wiązki od jego samolotu jest jak jeden do dwóch. Znał jednak algorytm pracy ich systemów radarowych. Działały na dużej mocy i otrzymywały w rezultacie wszelkiego rodzaju niepożądane odbicia, które komputer klasyfikował przed przedstawieniem ich kontrolerom. W rzeczywistości wykonywał taką samą pracę jak człowiek-operator, tyle że szybciej i skuteczniej. Ale komputer nie jest doskonały. Pułkownik i piloci pozostałych trzech *Lightningów* mieli tego dowieść.

— Robią zwrot na południe — zameldował kontroler japońskiego *AWACS-a*. Czterech ludzi kontrolowało niezależnie od siebie ruchy nadciągających Amerykanów. Ani on, ani jego koledzy nie wiedzieli, że komputer zanotował kilka niewyraźnych sygnałów odbić od obiektów skręcających na północ. Były one słabsze niż echa obiektów, których komputer nie klasyfikował

jako samoloty, gdyż poruszały się zbyt wolno. Nie poruszały się także po żadnym z prawdopodobnych torów lotu. Potem sprawy się skomplikowały.

— Odbieram zagłuszanie ze zbliżających się samolotów...

Lightning pułkownika piął się niemal pionową świecą. Wykonując ten manewr narażał się na niebezpieczeństwo wykrycia, gdyż przy takim profilu lotu *F-22* ustawiał się względem *E-767*

w pozycji, w której odporność na fale radarowe malała do minimum. Jednak radar dopplerowski na japońskim *AWACS-ie* nie mógł wykryć teraz żadnego ruchu w poziomie. Sygnał radarowy *Lightninga* mógł więc zostać potraktowany jako niepożądana zjawia na ekranie, zwłaszcza, że silne urządzenia zakłócające na *Eagle'ach* rozniecały wokół siebie elektroniczny zgiełk. Po trzydziestu sekundach, pułkownik obrócił maszynę i przeszedł do lotu poziomego na pułapie osiemnastu tysięcy metrów. Zaczął teraz śledzić uważnie wskazania systemów ostrzegania.

Gdyby Japończycy go namierzyli, nie omieszkaliby tego pokazać, waląc w niego energią radarową przy użyciu wybierania elektronicznego... ale niczego takiego nie robili. Właściwości *stealth* samolotu wystarczyły, by zgubił się on wśród elektronicznych zakłóceń. System pokładowy wyłapywał sygnały na listkach bocznych. Radar na *E-767* wskoczył na tryb kierowania ogniem na wysokiej częstotliwości, ale nie celował w niego. W porządku. Zwiększył moc i przekroczył barierę dźwięku. Gdy pilot przełączył wskaźnik *HUD* na tryb kierowania ogniem, *Raptor* pędził już tysiąc siedemset kilometrów na godzinę.

— Jest na pierwszej, dość wysoko. Mamy go, Sandy — zameldował strzelec. — Ma nawet włączone światła pozycyjne.

Pociąg zatrzymał się na podmiejskiej stacji, a *Comanche*, zostawiając go z tyłu, ciągnął

teraz z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w kierunku nadmorskiego miasta.

Richter rozluźnił palce ostatni raz, powiódł wzrokiem po niebie i ujrzał światła samolotu daleko w górze. Byli niemal dokładnie pod nim. Bez względu na to, jak silny mają radar pokładowy, na pewno nie przenikną własnego kadłuba i nie sprawdzą obszaru pod samolotem... Rzeczywiście, środek ekranu ostrzegania tonął w czerni.

— No to jazda — rzucił Richter przez interkom. Z całej siły pchnął dźwignię sterowania silnikami w stronę przegrody ogniotrwałej, z rozmysłem przeciążając silniki, gdy ostro przyciągnął dźwignię skoku do siebie. *Comanche* poderwał się w górę i zaczął wznosić się spiralą. Jedyńm zmartwieniem Richtera była w tej chwili temperatura silników. Były one co prawda tak skonstruowane, by wytrzymać pracę w ekstremalnych warunkach, ale tym razem przekroczy wszelkie granice. Na biograficznej przesłonie hełmu pojawiło się ostrzeżenie, pionowy słupek, który zaczął rosnać i zmieniać kolor niemal tak samo gwałtownie jak cyfry na wskaźniku wysokości.

— Wio, koniku — wydyszał strzelec, po czym wybrał tabelę broni na ekranie monitora, by wykorzystać wolną chwilę, zanim znów zacznie przeszukiwać okolicę. — Ruch zero.

Rozumie się, pomyślał Richter. Japończycy na pewno nie życzyli sobie, by ktokolwiek pętał się w powietrzu obok tak cennego samolotu. Było mu to na rękę. Dostrzegł swój cel, gdy śmigłowiec pokonał pułap trzech tysięcy metrów, pnąc się niczym samolot myśliwski, do których tak naprawdę się zaliczał, choć był przecież wiropłatem.

Obserwował go na ekranie celownika. Cel znajdował się wciąż poza zasięgiem strzału, ale widniał już jako punkcik wewnątrz małego kwadratu w samym środku wskaźnika *HUD*. Czas na sprawdzian. Uaktywnił systemy naprowadzania rakiet. *F-22* dysponował radarem *NPP*, czyli o niskim prawdopodobieństwie przechwycenia sygnału przez cel. Wynik okazał się obiecujący.

— Trafiono nas aktywną wiązką — oznajmił oficer środków przeciwdziałania elektronicznego. — Trafiono nas aktywną wiązką o wysokiej częstotliwości, niemiary —

ciągnął, śledząc wskazania przyrządów w oczekiwaniu na dodatkowe informacje.

— Prawdopodobnie rozproszenie naszej — skwitował to starszy kontroler, zajęty kierowaniem własnych myśliwców w stronę zbliżających się Amerykanów.

— Nie, nie zgadza się częstotliwość. — Oficer ponownie sprawdził wskazania przyrządów, ale nie znalazł niczego, co uzasadniłoby zimny dreszcz, jaki przebiegł mu po karku.

— Groźba przegrzania silnika — poinformował go syntetyczny głos. Komputer pokładowy doszedł do wniosku, że pilot w sposób rażący zignorował wskaźnik wizualny.

— Wiem, ptaszyno — odparł Richter.

Richter przypomniał sobie, że nad pustynią w Newadzie, udało mu się wyjść świecą na pułap

siedmiu tysięcy metrów, przekraczając normalny zakres osiągow śmigłowca tak bardzo, że naprawdę się wystraszył. Ale miało to miejsce w stosunkowo ciepłym powietrzu, a tu było znacznie zimniej. Dokładnie w chwili, gdy cel zmienił kurs i oddalił się od Richtera, śmigłowiec przekroczył granicę sześciu i pół tysiąca metrów, utrzymując nadal dużą prędkość wznoszenia.

AWACS zdawał się zataczać okręgi, używając prawdopodobnie jednego silnika jako napędu, a drugiego do generowania mocy dla pokładowego radiolokatora. Richterowi nikt o tym nie powiedział w czasie odprawy, ale pomysł ten wydał mu się rozsądny. Miał sekundy na podejście na odległość skutecznego strzału. Ogromne silniki turboodrzutowe przebudowanego samolotu pasażerskiego stanowiły kuszący cel dla jego *Stingerów*.

— Cel w zasięgu, Sandy.

— Zrozumiałem.

Lewą ręką wybrał pociski na konsoli uzbrojenia i pokrywy komór uzbrojenia wychyliły się z trzaskiem na zewnątrz. Do każdej podwieszono były trzy rakiety typu *Stinger*.

Wykorzystując resztki sterowności, Richter obrócił maszynę, zrzucił osłonę z przycisku spustowego i wdusił go sześć razy. Wszystkie rakiety zeskoczyły z szyn i poszły łukiem w górę, w kierunku odległego o trzy kilometry samolotu. W chwilę potem, Richter przesunął delikatnie dźwignie do tyłu, przechylił nos maszyny w dół i wszedł w lot nurkowy, chłodząc przegrzane silniki i wypatrując ziemi, podczas gdy jego strzelec śledził bieg rakiet.

W pierwszym *Stingerze* skończyło się paliwo i rakiet nie sięgnęła celu. Pozostałym pięciu powiodło się lepiej, i choć dwa utraciły moc tuż przed dotarciem do celu, cztery trafiły w cel — trzy uderzyły w prawy silnik, a jeden w lewy.

— Trafienie, wielokrotne trafienie celu.

Lecący z małą prędkością *E-767* był bez szans. *Stingery* nie mają dużych głowic, ale przeznaczone dla samolotów cywilnych silniki japońskiego *AWACS-a* były zbyt słabej konstrukcji, by pracować mimo powstałych uszkodzeń. W mgnieniu oka oba utraciły moc, a ten, który napędzał samolot, rozpadł się pierwszy. Szczątki łopatek turbiny, przebiwszy obudowę silnika, buchnęły na zewnątrz i wbiły się w pokrycie prawego skrzydła, naruszając poważnie układ sterowniczy oraz rujnując aerodynamiczną charakterystykę płatowca. Zmodyfikowany samolot pasażerski przechylił się na prawe skrzydło i nie wyrównał już lotu. Załoga, oszołomiona tym niespodziewanym zdarzeniem, nie była w stanie mu przeciwdziałać. Połowa prawego skrzydła odłamała się niemal natychmiast. Na ziemi operatorzy stacji radiolokacyjnej ujrzeli jak alfanumeryczny obraz zaznaczający pozycję *Kami Dwa* przeskakuje na awaryjną wartość 7711, a potem znika.

— Pewne zestrzelenie celu, Sandy.

— Zrozumiałem. — *Comanche* wytracał teraz raptownie wysokość, pędząc ku bezpiecznemu

szumowi morza. Temperatura silników powoli wracała do normy, a Richter mógł

mieć jedynie nadzieję, że nie powstały w nich nieodwracalne uszkodzenia. Co do reszty, to nie zabijał pierwszy raz...

— Kami Dwa właśnie zamilkł — zameldował oficer łączności.

— Co? — spytał starszy kontroler, odciągnięty od operacji przechwytywania Amerykanów.

— Zniekształcone nawoływania, odgłos eksplozji, lub coś w tym rodzaju. Potem umilkły kanały informacyjne.

— Bądź w pogotowiu, muszę pchnąć tam nasze *Eagle*.

Pilotom *F-15E* zaczynają się pewnie pocić rączki, pomyślał pułkownik. Pełnili rolę przynęty, odciągając japońskie *F-15J* daleko nad morze, podczas gdy ich *Raptory* wdzierały się w powstałą lukę, by porąbać na kawałeczki japońskie *AWACS-y*, które wpadły w zastawione sidła. Na razie jedyną dobrą nowiną było to, że trzeci *E-767* właśnie zamilkł. A więc druga część operacji odbyła się zgodnie z planem. Malutka odmiana na lepsze. A co do reszty...

— Dwójka, tu prowadzący, do roboty! — Pułkownik pstryknął włącznikiem radarów naprowadzających w odległości trzydziestu kilometrów od *E-767*. Następnie otworzył drzwi komór uzbrojenia, by rakiety klasy powietrze-powietrze średniego zasięgu miały szansę

„zobaczyć” swoją zwierzynę. Zarówno Jedyńka, jak Dwójka uchwyciły cel i pułkownik odpalił oba pociski.

Po otwarciu komór uzbrojenia *Lightningi* stały się z miejsca tak niewidzialne dla radaru, jak drapacz chmur. Wyskoki na pięciu różnych ekranach rozbłysły w towarzystwie dodatkowych informacji o prędkości i kursie nowo wykrytych samolotów. Słowa operatora systemów przeciwdziałania elektronicznego zabrzmiały jak ostateczny wyrok.

— Zostaliśmy oświetleni z bardzo bliskiej odległości, namiar zero-dwa-siedem.

— Co? Kto to? — Starszy kontroler zaprzątnięty był *Eagle'ami*, które miały właśnie wystrzelić rakiety w nadciągających Amerykanów. Radar na Kami Sześć właśnie przełączył się na tryb kierowania ogniem, by umożliwić myśliwcom przechwytyjącym odpalenie rakiet bez uaktywniania własnych urządzeń naprowadzających, podobnie jak to miało miejsce podczas ataku na bombowce *B-1*. Nic teraz nie poradzę, pomyślał starszy oficer.

Ostrzeżenie nadeszło zbyt późno, by zdążyli zastosować środki przeciwdziałania. W

odległości siedmiu kilometrów od celu, dwa pociski rakietowe uaktywniły własne radary naprowadzające. Nadciagały z prędkością ponad trzech machów, pchane rakietowymi silnikami na

paliwo stałe. Pocisk raketowy klasy powietrze-powietrze *AIM-120*, zwany przez użytkowników Grzmotem, należał do nowej generacji broni. Prowadząc nasłuch na kanale środków przeciwdziałania pilot *E-767* zorientował się po chwili w sytuacji. Położył samolot na lewo skrzydło, chcąc wejść w lot nurkowy z przewrotu. Wiedział, że na nic się to nie zda, gdyż sekundę wcześniej dostrzegł żółtą łunę wokół dyszy rakiety.

— Trafienie — wyszeptał do siebie pułkownik. — Grupa, tu prowadzący. Północny Gość trafiony.

— Prowadzący, tu Trójka, Południowy Gość trafiony — usłyszał z kolei.

A teraz, pomyślał pułkownik, posługując się szczególnie okrutnym eufemizmem używanym w Siłach Powietrznych, nadeszła pora na ubój małych foczek. *Lightningi* znajdowały się obecnie między japońskim wybrzeżem a ośmioma myśliwcami przechwytyjącymi *F-15J*

Eagle. W głębi morza myśliwsko-szturmowe *F-15E Strike Eagle* zawrócą za moment, włączą własne radary naprowadzania i pozbędą się balastu rakiet klasy powietrze-powietrze. Niektórym pilotom uda się zestrzelić wroga. Te japońskie myśliwce, które to przeżyją, popędzą do domu, czyli prosto w ręce klucza *Raptorów-Lightningów*.

Radary naziemne nie były w stanie śledzić toczącej się walki powietrznej. Odbывała się zbyt daleko i poza widnokretem radarowym. Co prawda, operatorom udało się namierzyć pojedynczy myśliwiec, japoński sądząc po kodzie transpondera, który pędził na złamanie karku w stronę wybrzeża. Naraz znieruchomiał i transponder zamilkł. W sztabie Obrony Powietrznej, dane przekazane z trzech zniszczonych *AWACS-ów* nie wyjaśniały niczego, prócz tego, że wojna, którą rozpętała Japonia, toczyła się naprawdę i przybierała niespodziewany obrót.

Pod dyktando

— Nie jesteście Rosjanami — oznajmił Koga, siedząc obok Chaveza na tylnym siedzeniu, podczas gdy Clark prowadził samochód.

— Czemu tak myślisz? — spytał John niewinnym tonem.

— Bo Yamata twierdzi, że kontaktowałem się z Amerykanami, a wy dwaj jesteście jedynymi *gaidzin*, z którymi rozmawiałem od kiedy zaczęło się to wariactwo. Może powiecie mi, co tu jest grane? — dopytywał się polityk.

— Ano to, że uratowaliśmy pana z rąk ludzi, którzy dybali na pana życie.

— Yamata nie byłby aż takim głupcem — odparował Koga. Wciąż nie mógł przyjść do siebie po szoku, jakiego doznał będąc świadkiem przemocy, która wykraczała poza ramy telewizyjnej strzelaniny.

— Yamata rozpętał wojnę, Koga-san. W porównaniu z tym pana śmierć byłaby błahostką

— zasugerował mało delikatnie mężczyzna za kierownicą.

— Więc jesteście Amerykanami? — drażył Koga.

A niech tam, pomyślał Clark. — Zgadza się.

— Szpiedzy?

— Oficerowie wywiadu — sprostował Chavez. — Człowiek, który był z panem w pokoju...

— Ten, którego zabiłeś, tak? Kaneda?

— Tak. Zamordował amerykańską obywatelkę. Dziewczynę nazwiskiem Kimberley Norton. Z przyjemnością wsadziłem mu kulkę w łeb.

— Kim była ta dziewczyna?

— Kochanką Goto — wyjaśnił Clark. — Gdy zaczęła zagrażać nowemu premierowi, Raizo Yamata postanowił ją sprzątnąć. My przyjechaliśmy do Japonii, by zabrać ją do domu. To wszystko — ciągnął Clark, wygłaszając półprawdy.

— Nie musiało tak być — nie zgodził się Koga. — Gdyby wasz Kongres dał mi szansę...

— Może i racja, sir. — odezwał się Chavez. — Ale czy ma to teraz jakieś znaczenie?

— Co w takim razie ma znaczenie?

— Zakończenie tego szaleństwa, nim zginie więcej ludzi — podsunął Clark. — Byłem na wojnie i wiem, że to nie przelewki. Zbyt wielu młodych ludzi umiera, zanim jeszcze zdążą założyć rodziny i doczekać się własnych dzieci. To bardzo źle. — Clark urwał, a potem ciągnął:

— Źle dla mojego kraju, a jestem pewien, że dla pańskiego jeszcze gorzej.

— Yamata uważa...

— Yamata jest biznesmenem — przerwał mu Chavez. — Niech pan to lepiej zrozumie.

On nie ma pojęcia, co rozpętał.

— Tak, wy Amerykanie jesteście dobrzy w zabijaniu. Przekonałem się na własne oczy piętnaście minut temu.

— W takim razie, panie Koga, zauważył pan również, że jednego zostawiliśmy żywego.

Gniewna uwaga Clarka ucięła rozmowę na kilkanaście sekund. Do Kogi powoli docierało, że John nie kłamie. Mężczyzna za drzwiami żył, gdy przechodzili nad jego ciałem.

Jęczał i drgał, jak gdyby od porażenia elektrycznego. Ale na pewno żył.

— Dlaczego go nie...?

— Nie było powodu — odrzekł Chavez. — Nie mam zamiaru przeproszać za śmierć tego drania Kanedy. Zasłużył sobie. Poza tym, gdy wszedłem do pokoju, sięgał po broń, a to już nie są żarty. To nie film. Nie zabijamy ludzi dla zabawy. Wyciągnęliśmy pana stamtąd, bo ktoś musi położyć kres tej choleralnej wojnie, czyż nie tak?

— Mimo wszystko... to, co zrobił wasz Kongres... jak ma funkcjonować gospodarka mojego kraju...?

— Czy komuś zależy na tym, by wojna trwała dalej? — spytał Clark. — Jeśli Japonia wespół z Chinami ruszy na Rosję, co się stanie z panem? Kto według pana zapłaci za ten błąd?

Chiny? Nie sądzę.

Pierwsze wieści dotarły do Waszyngtonu za pośrednictwem satelity. Jeden z orbitujących ptaszków Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, tak zwany autostopowicz, znalazł się akurat nad odpowiednim obszarem i zarejestrował wygaśnięcie sygnałów — takiego określenia używano w ABN — z trzech krążących samolotów *AWACS*. Inna stacja nasłuchowa ABN zarejestrowała radiową wymianę zdań, która trwała kilkanaście minut, a potem urwała się. Analitycy starali się właśnie doszukać w tym wszystkim jakiegoś sensu, meldowano w raporcie, który trafił do rąk Ryana.

Trafiłem tylko jednego, pomyślał pułkownik z żalem. No cóż, trzeba się będzie tym zadowolić. Jego

skrzydłowy przydybał ostatniego z grupy *F-15J*. Południowy klucz dorwał trzy, a nasze *Strike Eagle* następne pięć z pozbawionych osłony japońskich myśliwców. Zespół

ZORRO dopadł przypuszczalnie trzeciego *E-767*. W sumie nie najgorszy urobek jak na jedną noc. Bardzo długą noc, pomyślał pułkownik. Sformował z powrotem swój klucz czterech maszyn, by pośpieszyć na randkę z tankowcem, a potem odbyć trzygodzinny lot na Shemya.

Najtrudniej przychodziło mu egzekwowanie ciszy radiowej. Niektórzy z pilotów zaczęliby już świętować wspaniały wyczyn, zadufani w swoje siły, jak wszyscy piloci myśliwscy, którzy wykonali zadanie i wrócili cali i zdrowi. Już wkrótce ujdzie z nich para, pomyślał pułkownik.

Zmuszony do samotności ciszą radiową przemyślał swoje pierwsze powietrzne zwycięstwo.

Trzydziestu ludzi na pokładzie *E-767*. Do diabła, powinienem się cieszyć, no nie? Dlaczego więc nie odczuwam wcale radości?

Ciekawe co tam się stało? — pomyślał Dutch Claggett. Rejestrowali wciąż sygnały aktywności japońskich okrętów podwodnych w sektorze dozoru, ale musiały one wykręcić na północ, oddalając się od „Tennessee”, który mógł w ten sposób nie opuszczać posterunku.

Podobnie jak wszystkie okręty podwodne podczas patrolu, podchodzili pod powierzchnię morza na tyle blisko, by postawić antenę radiolokatora kontroli obszaru powietrznego. Od jakiegoś dnia albo może trochę dłużej śledzili japońskie samoloty zwiadu radarowego. Okręty podwodne zajmowały się zbieraniem danych z wywiadu elektronicznego jeszcze zanim Claggett zapisał się do Annapolis. Miał w załodze dwóch operatorów aparatury elektronicznej, którzy wykazywali prawdziwe uzdolnienia w tym kierunku. Przed chwilą śledzili właśnie na systemach kontrolnych dwa *AWACS-y*, które nagle zrobiły „puff”, i tyle je było widać. Wyłowili potem jakieś rozmowy radiowe gdzieś na północy, sądząc po brzmieniu przeprowadzane ożywionym tonem, aż nagle jeden po drugim głosy zamarły.

— Myśli pan, że natknęliśmy się na tabelę wyników Sił Powietrznych, panie komandorze? — spytał porucznik Shaw, oczekując, że dowódca będzie znał odpowiedź, gdyż od *skippera* zawsze oczekuje się, że wie wszystko, choć przecież wcale tak nie jest.

— Na to wygląda.

— Centrala, tu hydro.

— Tu centrala.

— Nasz przyjaciel znów idzie na chrapach, namiar zero-zero-dziewięć, prawdopodobnie kontakt w strefie nakładania się sygnałów — zameldował szef hydrolokacji.

— Zacznę wykreślanie kursu — oznajmił Shaw, kierując się na rufę do stołu nakresowego.

— A zatem, czego dokonaliśmy? — spytał Durling.

— Zestrzeliliśmy trzy samoloty wczesnego ostrzegania, a zespół uderzeniowy *F-15/F-22*

unicestwił patrol myśliwski. — Ryan wiedział, że nie czas napawać się tym zwycięstwem.

— Największe nerwy jeszcze przed nami?

Ryan skinął głową. — Tak, panie prezydencie. W naszym interesie jest, by nie połapali się w tym jeszcze przez jakiś czas. Na razie wyczuwają, że coś się dzieje. Zaczynają rozumieć, że...

— ...toczą prawdziwą wojnę. Jakież wieści o Kodze?

— Nie, jeszcze nie.

Była czwarta rano. Trudy dzisiejszej nocy dawały się we znaki całej trójce. Koga miał już za sobą najgorsze chwile i na razie starał się kierować rozumem, a nie emocjami. Jego dwaj gospodarze — bo tak o nich myślał — nieco ku jego zdziwieniu, wozili go po mieście i zastanawiali się, co ich podkusiło, by zostawić przy życiu strażnika za drzwiami apartamentu Yamaty. Czy już się pozbiierał? Czy zadzwoni na policję? Do kogoś innego? Co wyniknie z tej nocnej przygody?

— Skąd mam wiedzieć, że mogę wam ufać? — zapytał Koga po dłuższym milczeniu.

Dłonie Clarka zawarły się na kierownicy tak mocno, że niemal wycisnęły ślady w plastiku. To film i telewizja podsuwały takie kretyńskie pytania. Na ekranie szpiedzy wyrabiali najróżniejsze skomplikowane numery, by przechytrzyć równie bystrych przeciwników, przeciw którym rzucił ich los. Rzeczywistość wyglądała zdecydowanie inaczej. Plany operacji wywiadowczych opierały się na prostocie, ponieważ nawet proste założenia potrafiły rozsypać się w proch. Gdyby przeciwnik był naprawdę tak diabelnie przebiegły, człowiek nigdy by się nie dowiedział, kim on, do cholery, jest. Ponadto zmuszenie kogoś, by postępował według naszego widzimisie udaje się tylko, gdy nie zostawi się temu komuś innego wyjścia, a i wtedy najczęściej wykręci on jakiś niespodziewany numer.

— Kilka godzin temu nadstawiliśmy dla pana karku, ale w porządku, proszę nam nie wierzyć. Nie jestem aż tak naiwny, by mówić co ma pan robić. Znam za słabo życie polityczne w pańskim kraju. My ze swej strony podejmiemy działania, ale jakie, tego nie wiem, więc nie umiem panu powiedzieć. Chcemy zakończyć tę wojnę przy zastosowaniu minimum przemocy, ale nie da się jej uniknąć. Pan także chce końca wojny, prawda?

— Głupie pytanie — odrzekł Koga. Zmęczenie nie wpływało dobrze na jego maniery.

— Niech pan więc robi to, co według pana najlepsze, zgoda? Widzi pan, panie Koga, pan nie musi nam wierzyć, ale my z całą pewnością musimy wierzyć, że zrobi pan to, co najlepsze dla pana kraju i naszego. — Komentarz Clarka, choć wygłoszony rozgorączkowanym tonem, okazał

się najlepszą rzeczą, jaką mógł w tej sytuacji powiedzieć.

— Aha. — Polityk pomyślał nad tym przez chwilę. — Tak, to by się zgadzało, prawda?

— Gdzie możemy pana wysadzić?

— Przed domem Kimury.

— Dobra. — Clark wygrzebał z pamięci wskazany adres i skręciwszy na drogę nr 122

skierował się w kierunku domu Kimury. Zanotował w głowie, że dowiedział się tej nocy czegoś bardzo ważnego i że gdy tylko odstawia tego faceta w miejsce, gdzie będzie stosunkowo bezpieczny, zaraz przekaże to do Waszyngtonu. Choć puste ulice sprzyjały szybkiej jeździe, a wypita kawa dodawała mu energii, czterdzieści minut zabrała im droga do ruchliwej dzielnicy miniaturowych przydrożnych domków, w których mieszkali urzędnicy MITI. Gdy podjeżdżali pod dom Kimury światła w oknach już się paliły. Koga wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi. Otworzył mu Isamu Kimura, po czym wciągnął gościa do środka z uśmiechem tak szerokim, jak wejście do domu.

Kto powiedział, że ci ludzie nie okazują emocji? — spytał się sam siebie Clark.

— Jak myślisz, kto sypanął? — spytał Ding, nie ruszając się z tylnego siedzenia.

— Główka pracuje. Też na to wpadłeś?

— Chwileczkę, w tym samochodzie siedzi tylko jeden absolwent uniwersytetu, panie C.

— Ding otworzył komputer, by sporządzić depezę do Langley, która ponownie miała przejść przez Moskwę.

— Co zrobili? — warknął Yamata do telefonu.

— Sprawa jest poważna. — Generał Arima sam dostał tę informację przed chwilą z Tokio. — Rozbili w drobny mak obronę powietrzną, a potem najzwyczajniej w świecie odlecieli.

— Jak to się stało? — wypalił przemysłowiec. Czyż nie zapewniali go, że Kami są niezwyciężone?

— Jeszcze nic nie ustalono, ale sprawa jest poważna. Są teraz w stanie przeprowadzić nalot na terytorium kraju.

Musisz myśleć — nakazał sobie Yamata, potrząsając głową, by odzyskać jasność umysłu.

— Generale, nie są w stanie przeprowadzić inwazji na nasze wyspy, prawda? Mogą nam się naprzykrzać, ale nie mogą nam poważnie zagrozić, a dopóki jesteśmy w posiadaniu broni nuklearnej...

— Chyba że wymyślą coś innego. Amerykanie nie działają tak jak nam powiedziano.

Przyszłego gubernatora Saipanu ubodła ta uwaga. Dziś miała ruszyć jego kampania.

Owszem, przecenił skutki własnego posunięcia na amerykańskim rynku finansowym, ale przecież poważnie nadszarpnęli siły amerykańskiej floty i zajęli wyspy. Ameryka nie była w stanie odebrać siłą nawet jednej z Wysp Mariańskich. Ameryce brakowało woli politycznej do przeprowadzenia ataku nuklearnego na Japonię. Czyli wciąż byli górą. Czy można się było spodziewać, że Amerykanie nie wezmą odwetu? Jasne, że nie. Yamata podniósł pilota i włączył

telewizor, trafiając akurat na początek wiadomości sieci CNN. Amerykański korespondent stał na krawędzi doku, a za jego plecami widniały dwa amerykańskie lotniskowce nadal niezdolne do wyjścia w morze.

— Co wywiad donosi na temat Oceanu Indyjskiego? — spytał generała.

— Oba amerykańskie lotniskowce nie ruszyły się stamtąd na krok — uspokoił go Arima.

— Obserwowano je wczoraj naocznie i na radarze, jakieś czterysta kilometrów od Sri Lanki.

— Czyli Amerykanie nie mogą nam zagrozić, czy tak?

— No, raczej nie — przyznał generał. — Ale musimy nakreślić inne plany.

— Proponuję, by to pan zrobił, Arima-san — odrzekł Yamata tonem tak uprzejmym, że generała Arima zrozumiał zawartą w nim dotkliwą obelgę.

Najgorsze, że nikt nie wiedział, co się naprawdę stało. Strumień danych napływający z trzech Kami urwał się wraz z wyeliminowaniem Kami Dwa. Reszta danych opierała się raczej na domysłach niż na faktach. Naziemne stacje kontroli odbierały emisje z Kami Cztery i Kami Sześć, lecz i te nagle zanikły w przeciągu minuty. Nie zarejestrowano żadnego bezpośredniego zagrożenie dla trzech samolotów zwiadu radarowego. Po prostu nagle przestały nadawać, zostawiając po sobie jedynie szczątki rozrzucone na rozkołysanym oceanie. Jeśli chodzi o myśliwce to, no cóż, dysponowano nagraniami korespondencji radiowej. Wszystko trwało niecałe cztery minuty. Z początku, pewne siebie, lakoniczne uwagi zawodowych pilotów myśliwskich, którzy dochodzą do celu, potem łańcuszek „Co jest?!”, po którym nastąpiły spieszne nawoływania, by włączono radary, a następnie jeszcze liczniejsze meldunki, że zostali oświetleni. Jeden pilot poinformował, że został trafiony, potem łączność została przerwana.

Trafiony, ale przez kogo? Jak te same samoloty, które zestrzeliły trzy Kami, mogły dopaść również myśliwce? Amerykanie mieli tylko cztery drogie *F-22*, ale przecież Kami śledziły je na radarach. Za sprawą jakiej diabelskiej magii... Ale tu właśnie tkwił cały problem. Nie mieli zielonego pojęcia.

Specjaliści od obrony powietrznej i inżynierowie, którzy stworzyli najczulszy na świecie pokładowy system radarowy potrzásali głowami i spuszcza li wzrok. To, co się wydarzyło, odczuli jak osobistą hańbę. Z dziesięciu zbudowanych przez nich *AWACS-ów*, pięć uległo zniszczeniu. Jedynie cztery były w tej chwili zdolne do służby. Jedno wiedzieli na pewno: nie można już ryzykować lotów zwiadowczych nad wodą. Do czynnej służby wróciły rezerwowe *E-2C*, które zostały niegdyś

zastąpione przez *E-767*, lecz były to samoloty amerykańskiej konstrukcji o znacznie gorszych parametrach. Japońscy oficerowie nie mieli innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z faktem, że obrona powietrzna ich kraju została poważnie nadwątlona.

Była siódma wieczór. Ryan przygotowywał się do wyjścia do domu, gdy nagle szyfrowany faks jął pomrukiwać. Zanim ukazał się papier, zadzwonił telefon.

— Czy wy, Amerykanie, potraficie kiedykolwiek dotrzymać tajemnicy? — wygarnął mu ktoś gniewnie z obcym akcentem.

— Siergiej? O co chodzi?

— W Kodze upatrujemy naszej szansy na zakończenie tych waśni, a ktoś po waszej stronie paple Japończykom, że się z nami kontaktuje! — Gołowko niemal wykrzyczał ze swojego domu, gdzie zbliżała się trzecia rano. — Chcecie go zabić?

— Siergieju Nikołajewiczu, czy możesz, na Boga, przestać się gorączkować? — Jack usiadł z powrotem w fotelu, sięgając po kartkę, która do tego czasu zdążyła wypełznąć z faksu.

Wiadomość przekazano z działu łączności w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Moskwie, bez wątpienia na polecenie RWS.

— O cholera. — Ryan przez chwilę nic nie mówił. — W porządku, wyciągnęliśmy go z opałów, prawda?

— Mają u was kogoś na wysokim szczeblu.

— No cóż, sam wiesz, jakie to proste.

— Mogę cię zapewnić, że podjęliśmy już działania, by go wykryć. — Gołowko wciąż gotował się ze złości.

Już widzę te nagłówki, pomyślał Jack zaciskając powieki aż do bólu: „Rosyjska Służba Wywiadowcza zeznaje w Sądzie Federalnym”.

— Lista podejrzanych nie jest długa. Oddzwonię do ciebie.

— Miło mi słyszeć, że delikatne informacje przekazujecie jedynie zaufanym ludziom, Jack. — Ryan usłyszał odgłos odkładanej słuchawki, po czym wcisnął przełącznik i wystukał numer z pamięci.

— Murray, słucham.

— Tu Ryan. Dan, jesteś mi potrzebny, ale biegiem.

Zadzwoił jeszcze do Scotta Adlera, po czym ruszył w kierunku biura prezydenta. Jedyny pozytywny fakt, że druga strona posłużyła się ważną informacją niezdarnie. Yamata po raz kolejny postępował jak biznesmen, a nie zawodowy polityk. Nie próbował nawet zataić posiadanej informacji, by nie zdemaskować źródła. Ten człowiek nie zna swoich słabych stron.

Prędzej czy później przyjdzie mu słono zapłacić za tę słabość.

Ostatni pakiet rozkazów jakie podpisał Jackson przed udaniem się na Pacyfik zawierał

rozporządzenie, by dwanaście bombowców *B-1B* z 384. Skrzydła Bombowego przeleciało z bazy w południowym Kansas, w pierw do Lajes na Azorach, a potem stamtąd w kierunku Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Pokonanie ponad piętnastu tysięcy kilometrów zabrało im cały dzień, więc gdy dotarli w końcu do tej najbardziej odległej od Ameryki bazy, załogi maszyn padały z nóg ze zmęczenia. Trzy *KC-10*, wiozące obsługę naziemną i wyposażenie zaplecza wylądowały wkrótce potem i całe towarzystwo zapadło niedługo w sen.

— Co ty gadasz? — grzmiał Yamata. Poczul, jak przebiega go zimny dreszcz. Wtargnięto do jego domu. Ale kto?

— Koga zniknął. Kaneda nie żyje. Jeden z ochroniarzy jest w szpitalu. Widział dwóch lub trzech *gaidzin*. Obezwładnili go, ale nawet nie wie jak.

— Co na to policja?

— Traktuje to jako sprawę polityczną — poinformował Kazuko Taoka swojego szefa. —

Oczywiście, nie mówiłem im o Kodze.

— Trzeba go odszukać, i to szybko. — Yamata wyjrzał przez okno. Szczęście go nie opuszczało. Ostatecznie wiadomość dotarła do niego, gdy był w domu.

— Nie mam pojęcia...

— Ale ja mam. Dziękuję za informacje. — Yamata rozłączył się, a potem odbył jeszcze jedną rozmowę.

Murray pośpiesznie przeszedł przez punkt kontrolny w Białym Domu. Służbowy pistolet zostawił w samochodzie. Ostatni miesiąc upłynął mu nie lepiej niż innym urzędnikom federalnym. Spartaczył sprawę Linders popełniając szkolny błąd. Brandy plus leki, powtórzył

sobie, zastanawiając się co na ten temat będą mieli mu do powiedzenia Ryan i prezydent. Sprawa rozsypała się w drobny mak i mógł się jedynie pocieszać, że nie postawił przed sądem niewinnego człowieka. Biuro znalazłoby się wtedy w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji. To, czy Ed Kealty był rzeczywiście winny było dla pracownika FBI sprawą uboczną. Jeśli nie da się udowodnić winy przed ławą przysięgłych, to oskarżony jest niewinny, i tyle. A i tak Kealty opuści służbę państwową na dobre. To już coś, powiedział sobie Murray, gdy agent Tajnej Służby prowadził go nie do biura Ryana, ale pokoju w przeciwległym narożniku Zachodniego Skrzydła.

— Cześć, Dan — przywitał go Jack, wstając, gdy Murray wszedł.

— Panie prezydencie — powiedział najpierw Murray. Nie przypominał sobie trzeciego z obecnych.

— Cześć, nazywam się Scott Adler.

— Dzień dobry, panu — Murray potrząsnął dłonią Adlera. Aha, to ten gość, który prowadzi negocjacje z Japończykami.

Część dochodzenia została już przeprowadzona. Ryan nie wierzył, że to Adler był

odpowiedzialny za przeciek. Prócz Scotta o Kodze wiedział on, prezydent, Brett Hanson, Ed i Mary Pat, no i może kilka sekretarek. Oraz Christopher Cook.

— Jak skrupulatnie pilnujemy japońskich dyplomatów? — spytał Ryan.

— Nie ruszają się z miejsca bez anioła stróża — zapewnił obecnych Murray. — Czy chodzi tu o szpiegostwo?

— Możliwe. Nastąpił przeciek bardzo ważnej informacji.

— To na pewno Cook — odezwał się Adler. — To on, nie widzę innego wyjścia.

— Murray, musisz wiedzieć o pewnych sprawach — rzekł doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. — Niecałe trzy godziny temu daliśmy bobu japońskiej obronie powietrznej. Według wstępnych informacji zestrzeliliśmy dziesięć, może jedenaście samolotów.

— Ryan mógł powiedzieć więcej, ale tego nie zrobił. Ostatecznie nadal trzeba było brać pod uwagę, że to Adler sypnął. Następny etap operacji ZORRO miał być pełnym zaskoczeniem.

— Tylko ich to rozdrażni, a nie możemy zapominać, że wciąż dysponują bronią nuklearną. To nienajlepsza kombinacja, Jack — zaznaczył zastępca sekretarza stanu.

Atomówki, pomyślał Murray. Jezus Maria.

— Czy zaszły jakieś zmiany w ich stanowisku? — spytał prezydent.

Adler potrząsnął głową. — Żadne, panie prezydencie. Proponują oddanie Guam, ale chcą zatrzymać resztę Marianów. Nie popuszczają ani odrobine. Nic z tego, co powiedziałem, ich nie rozmięczyło.

— W porządku. — Ryan obrócił się. — Dan, byliśmy w kontakcie z Mogataru Kogą...

- To ten premier, tak? — spytał Dan, chcąc się upewnić, czy jest dobrze poinformowany.

Jack skinął głową.

— Zgadza się. Mamy w Japonii dwóch ludzi z CIA, którzy podają się za Rosjan.

Korzystając z tej przykrywki spotkali się z Kogą. Ale Koga został porwany przez kogoś, kto, jak sądzimy, pociąga za sznurki całego spektaklu. Powiedział on Kodze, że wie o jego kontaktach z Amerykanami.

— To na pewno Cook — powtórzył Adler. — Nikt inny z delegacji o tym nie wiedział, a Chris zajmuje się nieformalnymi kontaktami z ich numerem dwa, Seidzi Nagumo.

— Dyplomata przerwał, a potem dał upust swojemu gniewowi. — Pasuje jak ulał, no nie?

— Rozpoczynamy dochodzenie w sprawie szpiegostwa? — spytał się Murray. Znamienne było to, że prezydent pozwolił, by Ryan udzielił odpowiedzi.

— Szybkie i ciche.

— A potem? — chciał wiedzieć Adler.

— Jeśli to on, odwrócimy gościa. — Murray kiwnął głową, gdy usłyszał eufemizm FBI.

— O czym mówisz, Ryan? — spytał Durling.

— To doskonała okazja, panie prezydencie. Myślą, że mają dobre źródło wywiadowcze i wykazali chęć do wykorzystania uzyskanych z niego informacji. Dobra jest — zakończył Jack —

możemy obrócić to na naszą korzyść. Nakarmimy ich jakąś smaczną informacją, a potem poczekamy aż się nią udławiają.

Sprawą najpilniejszą było załatwienie systemu obrony powietrznej kraju. Gdy sobie to uprzytomniono, w sztabie Obrony Powietrznej zaczęto gorączkowo nad tym pracować, jednak opierano się niestety na niepełnych informacjach, a nie na precyzyjnych danych, jak przy przygotowywaniu ogólnego planu operacyjnego, którego starało się trzymać naczelne dowództwo. Najlepsze systemy ostrzegania radiolokacyjnego jakie posiadała Japonia znajdowały się na czterech niszczycielach *Aegis* klasy *Kongo*, które aktualnie patrolowały ocean na północ od Wysp Mariańskich. Były to potężne okręty z samowystarczalnymi systemami obrony powietrznej. Choć nie tak ruchliwe jak *E-767*, były jednak o wiele silniejsze i potrafiły się same o siebie troszczyć. Dlatego jeszcze przed świtem, eskadra czterech okrętów dostała rozkaz pośpiesznego udania się na północ, by ustanowić linię dozoru radiolokacyjnego na wschód od Wysp Japońskich. Ostatecznie Marynarka USA nie prowadziła żadnych działań, a jeśli uda się scalić obronę powietrzną kraju, będzie jeszcze duża szansa na rozstrzygnięcie sporu na drodze dyplomacji.

Na pokładzie „Mutsu”, admirał Sato potwierdzał odbiór wiadomości. Rozkazał swoim okrętom iść maksymalną prędkością. Niemniej, czuł niepokój. Wiedział, że jego system radarowy *SPY* mógł wykryć samoloty typu *stealth*, co Amerykanie wykazali w testach ze swoimi własnymi maszynami, oraz że jego okręty są tak silnie uzbrojone, że każdy amerykański pilot zastanowi się dwa razy zanim podejmie z nimi walkę. Niepokoiło go jedynie to, że po raz pierwszy jego kraj nie zadawał ciosu, ale odpowiadał na amerykański ruch. Ale to — jak miał

nadzieję — było przejściowe.

— A to ciekawe — zauważył od razu Jones. Namiary były jeszcze całkiem świeże, ale już teraz można było stwierdzić, że są to prawdopodobnie dwa idące w zwartym szyku okręty, robiące dużo hałasu. Ich kurs odchyłał się lekko na północ.

— Jednostki nawodne, pewne jak mur — zauważył Boomer, sonarzysta drugiej klasy. —

To brzmi jak uderzenia dziobów o fale... — urwał, gdy Jones opisał jeszcze jeden namiar na czerwono.

— A to odgłosy śrub. Robią ponad trzydzieści węzłów. Oznacza to, że mamy tu okręty wojenne idące w dużym pośpiechu. — Jones podszedł do telefonu i zadzwonił do dowódcy sił podwodnych na Pacyfiku.

— Bart? To Ron. Mamy coś. Tę eskadrę niszczycieli, która operowała wokół Pagan.

— Co z nią?

— Wydaje się, że idą pełną parą na północ. Czeka tam na nich ktoś z naszych? — Nagle Jones przypomniał sobie, że Mancuso kilkakrotnie chciał się czegoś dowiedzieć o wodach wokół

Honsiu. Nie mówił mu wszystkiego, jak to zwykle bywa w sprawach operacyjnych. Sposób w jaki uchylił się przed pytaniem będzie prawdziwą odpowiedzią.

— Czy możesz wykreślić mi ich kurs?

Bingo!

— Daj nam trochę czasu, może z godzinę. Dane są wciąż dość pogmatwane, panie Mancuso.

Głos nie był zbyt rozczarowany tą odpowiedzią, zauważył Jones. — Tak jest, sir. Będę informował na bieżąco.

— Dobra robota, Ron.

Jones odłożył słuchawkę i rozglądął się.

— Szefie? Zaczynamy wykreślać kurs tych okrętów. — Gdzieś na północy, pomyślał, ktoś na to czekał. Zastanowił się, kto to może być i stwierdził, że jest tylko jedna możliwość.

Różnica czasu sprzyjała teraz drugiej stronie. Hiroszi Goto otworzył posiedzenie rządu o dziesiątej rano czasu miejscowego, czyli o północy w Waszyngtonie, gdzie miał swoich negocjatorów.

Oczywiste było, że Amerykanie dążą do zwarcia, choć niektórzy z obecnych na sali uważali, że może to być po prostu negocjacyjny chwyt, że na pewno urządzili pokaz siły, by brano ich poważnie przy negocjacyjnym stole. Prawda, dali się mocno we znaki ludziom z obrony powietrznej, ale to chyba już wszystko na co ich stać. Ameryka nie jest w stanie przypuścić i nie przypuści systematycznych ataków na Japonię. Ryzyko było zbyt wysokie. Po pierwsze, Japonia ma rakiety z głowicami nuklearnymi. Po drugie, mimo wydarzeń uprzedniej nocy Japonia wciąż posiada sprawną obronę powietrzną. Reszta to zwykłe rachunki. Ile bombowców mają Amerykanie? Ile mogłoby uderzyć na ich kraj, nawet gdyby nikt im nie przeszkadzał? Jak długo trwałyby bombardowania? Czy w Ameryce istniała wola polityczna do tego rodzaju działań? Odpowiedzi na te wszystkie pytania przemawiają na korzyść naszego kraju, myśleli ministrowie. Wpatrzeni w cel ostateczny widzieli połyskliwą nagrodę, która migotała w zasięgu ręki. Poza tym, każdy w tej sali, miał swego rodzaju protektora, który dbał o to, by w pewnych sprawach wykazywali odpowiednią gorliwość. Prócz Goto, którego protektor, jak wszyscy wiedzieli, znajdował w tej chwili gdzie indziej.

Na razie ambasador w Waszyngtonie złoży ostry protest przeciw amerykańskiemu atakowi na Japonię oraz zapowie, że podobne zajścia nie sprzyjają prowadzonym rozmowom i że Japonia nie pójdzie na żadne ustępstwa, dopóki ataki będą kontynuowane. Ponadto oświadczy, że każdy atak na stały ląd japoński zostanie uznany za sprawę niezmiernie poważną; ostatecznie Japonia nie napadała bezpośrednio na żywotne interesy amerykańskie... jak dotąd. Taka groźba, ukryta za najcieńszą z osłon, z pewnością zaprowadzi pewien racjonalizm w amerykańskich działaniach.

Goto zgodził się z tą propozycją skinieniem głowy, żałując, że nie ma u boku swojego protektora, który mógłby go poprzeć. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że Yamata nie skontaktował się z nim przed rozmową z ludźmi z obrony powietrznej.

— A jeśli wróca? — spytał.

— Postawimy obronę powietrzną w najwyższy stan gotowości na dziś wieczór, a gdy niszczyciele zajmą pozycję, przeniknięcie jej stanie się tak trudne jak uprzednio. Owszem, urządzili pokaz siły, ale jak dotąd nawet nie przelecieli nad naszym terytorium.

— Musimy zrobić coś więcej — oznajmił Goto, przypominając sobie o swoich instrukcjach. — Możemy wyrzeć silniejszy nacisk na Amerykanów ogłaszając publicznie, że posiadamy broń nuklearną.

— Nie! — sprzeciwił się jeden z ministrów. — Wywoła to chaos w kraju.

— Podobnie jak w Ameryce — odrzekł Goto, jednak niezbyt stanowczo, jak zauważyła reszta gabinetu. Któryś raz z kolei słyszeli, jak Goto wypowiada myśli i rozkazy kogoś innego.

Wiedzieli kogo. — Zmusi ich to do zmiany tonu w negocjacjach.

— Jak również do rozważenia poważnego ataku.

— Mają zbyt wiele do stracenia — naciskał Goto.

— A my nie? — wypalił minister, zastanawiając się gdzie kończy się jego lojalność wobec protektora, a zaczyna lojalność wobec rodaków. — Co będzie jeśli zdecydują się na akcję przewencyjną?

— Nie zrobią tego. Nie mają odpowiedniej broni. Nasze wyrzutnie raketowe rozlokowano z dużą ostrożnością.

— Tak, a nasz system obrony powietrznej jest niezwyciężony — sarknął inny minister.

— Może wystarczy, jeśli nasz ambasador zasugeruje, że jesteśmy gotowi ujawnić, że posiadamy broń atomową — zaproponował ktoś inny. Kilku ministrów przy stole potaknęło i Goto, wbrew instrukcjom, przystał na tę propozycję.

Choć przywieźli ze sobą zimowe skafandry największy kłopot sprawiało utrzymanie ciepła. Richter zwinął się w kłębek wewnątrz śpiwora. Czuł się lekko winny, że Rangersi muszą utrzymywać wysunięte posterunki wokół zaimprovizowanego lądowiska, jakie założyli na tym lodowatym zboczu górskim. Obawiał się teraz głównie awarii jakiegoś układu w śmigłowcach.

Choć nafaszerowano je ogromną ilością systemów zastępczych, kilkunastu elementów nie dałoby się naprawić. Rangersi wiedzieli, jak zatankować śmigłowce, jak uzupełnić amunicję, ale to by było na tyle. Już na samym początku Richter postanowił, że to im pozostawi sprawę bezpieczeństwa na ziemi. Zdawał sobie sprawę, że gdyby na tej łączce pojawił się choćby pluton wojska, byliby zgubieni. Rangersi mogli zabić każdego intruza, ale wystarczyło jedno połączenie radiowe by w przeciągu paru godzin mieli na karku cały batalion, a wtedy o przeżyciu nie byłoby mowy. Operacje specjalne, pomyślał. Nie są złe, dopóki wszystko idzie zgodnie z planem. Ale zasada ta odnosi się do wszystkiego, co człowiek robi w wojsku. Ale w obecnej sytuacji margines bezpieczeństwa był tak mały, że można o nim zapomnieć. Uprzytomnił sobie, że pozostaje jeszcze kwestia wydostania się stąd. Równie dobrze mógł wstąpić do Marynarki.

— Fajny dom.

Podczas wojny obowiązują inne zasady, powiedział sobie Murray. Biuro długo nie mogło przyswoić sobie, że komputery ułatwiają pracę. Po zmontowaniu grupy młodych agentów, pierwsze zadanie polegało na przeprowadzenie czegoś tak nieskomplikowanego jak sprawdzenie kredytu hipotecznego, skąd dowiedzieli się adresu. Niespodziewanie dom okazał się luksusowy, ale mieścił się w granicach możliwości wysokiego szczeblem pracownika federalnego, jeśli przez lata składał on grosz do grosza. Ale jak Murray się przekonał, Cook wcale tego nie robił. Facet korzystał z usług bankowych First Virginia. W FBI pracował człowiek, który potrafił wdrzeć się do danych bankowych, na tyle głęboko, by odkryć, że jak większość ludzi, Christopher Cook żył

w dużej mierze od wypłaty do wypłaty. Stan jego oszczędności wynosił zaledwie czternaście tysięcy dolarów, które przeznaczył zapewne na studia swoich dzieci. Murray zdawał sobie sprawę, że było to marzenie ściętej głowy, biorąc pod uwagę chesne na amerykańskich uniwersytetach. Dla sprawy

większe znaczenie miało jednak to, że Cook nie naruszył

oszczędności przy zakupie nowego domu. Oczywiście wziął kredyt hipoteczny, lecz suma do zapłaty opiewała na dwieście tysięcy dolarów, co przy stu osiemdziesięciu tysiącach uzyskanych ze sprzedaży starego domu, dawało sporą lukę, której bankowe rejestry nie były w stanie wytłumaczyć. Skąd wzięła się reszta pieniędzy? Zaufany człowiek z Izby Skarbowej przerzucił

kolejne dane komputerowe i stwierdził, że państwo Cookowie nie są odpowiedzialni za oszustwa podatkowe, a także nie czerpią żadnych dodatkowych dochodów, które mogłyby wyjaśnić skąd pochodzą fundusze na dom. Zespół Murraya sprawdził, że rodzice państwa Cooków nie pozostawili ani jemu ani jej góry złota w spadku. Ich dwa samochody, jak wykazała kolejna kontrola, zostały spłacone. Jeden miał cztery lata, a drugi to Buick, w którego środku wciąż pewnie unosił się zapach fabryki. Oba kupiono płacąc gotówką. Jednym słowem trafili na gościa, który żył ponad stan. Choć FBI często pomijało ten aspekt w sprawach szpiegowskich, ostatnio trochę się na tym polu podciągnęło.

— No więc? — spytał Murray swoich ludzi.

— Nie mamy procesu w kieszeni, ale na pewno zaczyna tu coś śmierdzieć — powiedział

najstarszy rangą agent. — Trzeba odwiedzić parę banków i rzucić okiem w księgi. — Do tego potrzebny był im nakaz sądowy, ale znali sędziego, do którego mogli się z tym zwrócić. FBI zawsze wie, którzy sędziowie są oswojeni, a którzy nie.

Oczywiście podobnej kontroli poddano Scotta Adlera, który, jak się dowiedziano, był

rozwiędzony, mieszkał w Georgetown, płacił alimenty, jeździł ładnym samochodem, ale poza tym wszystko było w granicach normy. Sekretarz stanu Hanson pokaźnie wzbogacił się przez lata praktyki adwokackiej i korupcja nie powinna się go imać. Wszystkie osoby na posadach rządowych zostały poddane szeroko zakrojonemu prześwietlaniu. Zezwolenia na objęcie stanowisk państwowych powtórnie przejrzano i wszystko okazało się w porządku, prócz ostatnich zakupów Cooka. W jakimś banku natkną się pewnie niebawem na spieniężony czek, który wyjaśni szybkie uregulowanie należności za zakup domu. Banki mają tę jedną dobrą stronę, że notują wszystko w księgach, lub na jakimś innym skrawku papieru. Transakcje bankowe zawsze zostawiają ślady.

— W porządku, zakładamy, że to Cook i bierzemy go pod lupę. — Zastępca dyrektora Biura powiódł wzrokiem po bystrych twarzach agentów. Podobnie jak on, przez zaniedbanie nie wzięli oni pod uwagę możliwości, że lekarz przepisał Barbarze Linders lekarstwa, które weszły w reakcję z brandy, którą Ed Kealty miał zawsze pod ręką. Zakłopotanie całego zespołu równe było temu, co sam czuł. Wyjdzie im to na zdrowie, pomyślał Dan. Po popełnieniu gafy człowiek mocno się stara, by odzyskać wiarygodność.

Jackson poczuł jak koła uderzają twardo o pokład lotniskowca i samolot raptownie wytraca prędkość na linie hamującej. Wcisnęło go w zwrócony do tyłu fotel pasażerski samolotu C-2. Następny

koszmar z głowy, pomyślał. Zdecydowanie wołał lądować na lotniskowcu, kiedy sam siedział za sterami. Z niepokojem powierzał swoje życie jakiemuś nastoletniemu porucznikowi, a w oczach admirała każdy młody pilot za takiego uchodził. Samolot skręcił w prawo i pokołował w stronę wolnej części pokładu startowego. Wkrótce otworzyły się drzwi i Jackson wyszedł na zewnątrz. Marynarz z obsługi lądowiska zasalutował, wskazując mu otwarte drzwi w nadbudówce lotniskowca. Kiedy tylko Jackson znalazł się w środku, żołnierz piechoty morskiej zasalutował, a zastępca bosmana poruszył młotem dzwonu okrętowego, oznajmiając przez system *I-MC*: — Dowódca Grupy Uderzeniowej 77.

— Witamy na pokładzie, sir — powitał go Bud Sanchez z szerokim uśmiechem. —

Dowódca czeka na mostku, sir.

— Zatem, do roboty.

— Jak tam noga, Rob? — spytał Bud w połowie trzecich schodów.

— Przez to całe wysiadywanie w samolotach cholernie zeszywniała. — Podróż zajęła mu sporo czasu. Odprawa w Pearl Harbor, lot samolotem Sił Powietrznych do Enewetok, a potem oczekiwanie, aż przyleci po niego *C-2A*, by zabrać go na lotniskowiec. Jackson nie odczuwał zmiany stref czasowych. Spojrzawszy na słońce stwierdził, że dobiega południe.

— Czy nasza historyjka trzyma się kupy?

— Trudno powiedzieć, Bud. Przekonamy się na miejscu. — Jackson poczekał, aż kolejny *marines* otworzy przed nim drzwi do sterowni. Noga rzeczywiście mu zeszywniała, co po raz wtóry przypomniało mu, że dla niego latanie już się skończyło.

— Witamy na pokładzie, panie admirale — rzekł dowódca, podnosząc wzrok znad pliku depesz.

Ryk dopalaczy oznajmił Jacksonowi, że „Johnnie Reb” prowadzi działania lotnicze.

Spojrzał szybko do przodu i ujrzał jak *Tomcat* wyskakuje z lewej przedniej katapulty.

Lotniskowiec znajdował się mniej więcej w połowie drogi między Karolinami a atolem Wake.

Ten ostatni leżał nieco bliżej Marianów, dlatego z niego nie korzystano. Wake miał dobre lotnisko, strzeżone nadal przez Siły Powietrzne. W Eniwetok znajdowało się jedynie lotnisko awaryjne, o czym wiedział cały świat, i dlatego stanowiło ono lepiej zakamuflowaną bazę dla samolotów, choć wynikały z tego pewne niedogodności związane z obsługą.

— Zdarzyło się coś nowego, od kiedy wyleciałem z Pearl Harbor? — spytał Jackson.

— Mam dobre wieści. — Dowódca podał mu jedną z depesz.

— Pewne jak amen w pacierzu — rzekł Jones, nachylając się nad wydrukami.

— Rzeczywiście pędzą na złamanie karku — zgodził się Mancuso, obliczając w głowie prędkość i odległość. Nie podobał mu się rozwój wypadków, co potwierdzało podejrzenia Jonesa.

— Kto na nich czeka?

— Ron, nie możemy...

— Nie pomogę ci, jeśli nie będę wiedział — zauważył Jones rozsądnie. — Myślisz, że stanowię zagrożenie dla bezpieczeństwa?

Mancuso pomyślał chwilę, zanim odpowiedział:

— „Tennessee” leży na szczycie podwodnej góry Eszunadaoki, wspierając operację specjalną, która rusza w ciągu następných dwudziestu czterech godzin.

— A reszta naszych *Ohio*?

— Są niedaleko atolu Ulithi, idą północnym kursem. Uderzeniowe atomówki uturują drogę lotniskowcom. *Ohio* mają rozkaz prześlizgnąć się przed nimi.

Nieglupie, pomyślał Jones. Raketowe okręty podwodne są zbyt wolne, by operować z uderzeniową grupą lotniskowcową, którą również śledził na czujnikach *SOSUS*, jednak idealnie nadawały się do penetracji linii patrolowej japońskich okrętów podwodnych o napędzie spalinowym... o ile dowódcy wykażą się sprytem.

— Japońskie niszczyciele będą nad „Tennessee” już...

— Wiem.

— Masz coś jeszcze dla mnie? — spytał Mancuso.

Jones poprowadził go do mapy na ścianie. Na monitorze było teraz siedem sylwetek okrętów podwodnych opisanych kółkami i tylko jedną zaznaczoną znakiem zapytania.

Znajdowała się ona w przejściu między najbardziej wysuniętą na północ wyspą Marianów, o nazwie Moug, a wyspami Bonin, z których najsłynniejszą była Iwo Jima.

— Staraliśmy skupić się na tym przejściu — oznajmił Jones. — Złapałem kilka szumów, ale były zbyt słabe, by wykreślić kurs. Ale na ich miejscu, zabezpieczyłbym ten rejon.

— Ja również — potwierdził Chambers. Japończycy mogli się spodziewać, że Amerykanie poprowadzą linię patrolową okrętów podwodnych w poprzek cieśniny Luzon, by zablokować dostawy ropy do Japonii. Jednak taka decyzja leżała w gestii polityków. Flota Pacyfiku nie została

jeszcze upoważniona do atakowania japońskich statków handlowych, a wywiad meldował, że obecnie spora liczba tankowców pływała pod tanią banderą. Zaatakowanie ich wywołałoby więc wielorakie polityczne reperkusje.

— Przecież nie możemy obrazić Liberii, prawda? — mruknął pod nosem Mancuso z grymasem na twarzy.

— Dlaczego te niszczyciele wracają pełną parą do domu? — spytał Jones. Nie wydawało się mu się to zbyt rozsądnym posunięciem.

— Rozwaliliśmy im w nocy obronę powietrzną.

— Czyli będą rwali na zachód od Bonin... co oznacza, że wkrótce stracę je z oczu.

Prędkość postępową trzydzieści dwa, kurs nadal nieco pogmatwany, ale wracają do domu, pewne jak mur — Jones urwał. — Zaczynamy grać w futbol głowami japońskich żołnierzy?

Mancuso pozwolił sobie choć raz na uśmiech. — Powtórka z rozrywki.

...kogoś, kto zna fakty...

— Czy nie ma innego sposobu? — spytał prezydent Durling.

— Przeprowadziliśmy symulację dwadzieścia razy — odrzekł Ryan, kolejny raz przerzucając kartki z danymi. — Tu idzie o pewność, panie prezydencie. Musimy zlikwidować wszystkie co do jednej.

Prezydent ponownie przyjrzał się zdjęciom satelitarnym.

— Ale nie możemy mieć stuprocentowej pewności, prawda? Jack potrząsnął przecząco głową.

— Nie, w takich przypadkach trudno o stuprocentową pewność. Posiadane przez nas dane, mówię tu o fotografiach, są dość pewne. Rosjanie także zebrali informacje na ten temat, a oni, tak jak my, mają wiele powodów, dla których chcieliby, żeby się potwierdziły. W tym miejscu znajduje się dziesięć rakiet, wkopanych dość głęboko w ziemię. Wybrali to miejsce z rozmysłem, z uwagi na stosunkową odporność na atak z zewnątrz. Są to objawy pozytywne.

Raczej nie zrobiliby tego po to, by wprowadzić nas w błąd. Następna sprawa to upewnienie się, że trafimy we wszystkie. A musimy działać szybko.

— Dlaczego?

— Bo przesuwają bliżej wybrzeża okręty, które są w stanie dość skutecznie wykrywać nasze

samoloty.

— Mamy jakieś inne wyjście?

— Nie, panie prezydencie. Jeśli akcja ma się powieść, musi odbyć się dziś wieczorem. —

Na drugiej półkuli, jak zorientował się Ryan po sprawdzeniu godziny, zapadła już noc.

— Protestujemy z całą mocą przeciwko amerykańskiemu atakowi na nasz kraj — zaczął ambasador. — Powstrzymywaliśmy się przez cały czas przed tego rodzaju posunięciami i oczekiwaliśmy podobnej postawy ze strony Stanów Zjednoczonych.

— Panie ambasadorze, operacje wojskowe nie są ze mną konsultowane. Czyżby siły amerykańskie uderzyły na terytorium pana kraju?

— Dobrze pan wie, co zrobiły i z pewnością orientuje się pan, że jest to wstępny krok do ataku na pełną skalę. Jest ważne, by zrozumiał pan — ciągnął ambasador — że taki atak może mieć poważnie konsekwencje. — Pozwolił, by ostatnie słowa zawisły w powietrzu niczym chmura zabójczego gazu. Adler odczekał chwilę, zanim mu odpowiedział.

— Chciałem panu po pierwsze przypomnieć, że to nie my sprowokowaliśmy ten konflikt.

Ponadto, to pański kraj przypuścił rozmyślny atak wymierzony w naszą gospodarkę...

— Tak samo jak wy! — wypalił ambasador, dając upust prawdziwej złości.

— Wybacz pan, ale o ile wiem, to ja mam głos. — Adler poczekał cierpliwie, aż ambasador ochłonie. Widać było wyraźnie, że żaden z nich nie przespał dobrze ostatniej nocy. —

Poza tym, chciałbym przypomnieć, że to pański kraj spowodował śmierć amerykańskich żołnierzy i jeśli pański rząd oczekuje, że powstrzymamy się przed wynikającymi z tego działaniami, to najwyraźniej okaże się, że oczekiwanie to jest złudne.

— Nigdy nie godziliśmy w żywotne interesy Stanów Zjednoczonych.

— W ostatecznym rozrachunku wolność i bezpieczeństwo obywateli amerykańskich są jedynym żywotnym interesem mojego kraju.

Trudno było nie zauważyć zjadliwości, jaka wkradła się w atmosferę rozmów. Podobnie jak samego powodu tej zmiany. Ameryka gotowała się do działania i najwyraźniej nie przebierała w środkach. Ludzie siedzący po obu stronach stołu, który tak jak uprzednio znajdował się na najwyższym piętrze Departamentu Stanu, wyglądali jakby wyciosano ich z kamienia. W trakcie obrad oficjalnych żadna ze stron nie pozwalała sobie na najdrobniejszy ludzki gest, nawet na mrugnięcie okiem. Głowy obecnych poruszały się ledwo dostrzegalnie, gdy szefowie delegacji zabierali kolejno głos, ale nic ponadto. Całkowicie pozbawione wyrazu twarze wzbudziłyby podziw nawet w zawodowym hazardziście, a przy negocjacyjnym stole rozgrywano właśnie tego rodzaju partię, choć bez kart czy

kości. Przed pierwszą przerwą dyskusja rzadko wychodziła poza kwestię przynależności Wysp Mariańskich.

— Dobry Boże, Scott... — wyrzucił z siebie Cook, wchodząc na taras. Ciemne obwódki pod oczami głównego negocjatora świadczyły o tym, że spędził noc na nogach, prawdopodobnie w Białym Domu. Cały ten bałagan podporządkowany zostanie okresowi prawyborów. Środki przekazu w kółko trąbiły o uszkodzonych okrętach w Pearl Harbor, a transmisje telewizyjne nadchodziły teraz również z Saipanu i Guam. Mieszkańcy wysp, z zamazanymi twarzami i zmienionymi głosami opowiadali, jak to z jednej strony pragnęli pozostać amerykańskimi obywatelami, a z drugiej, jak bardzo obawiali się przebywać na wyspach, gdyby myślano o akcji odwetowej. To właśnie ta ambiwalencja uczuć mąciła w głowach opinii publicznej. Badania wykazywały, że głosy są podzielone, choć większość wyrażała swoje oburzenie tym, co się stało, a tylko nieznacznie mniejsza liczba respondentów pragnęła rozwiązania kryzysu na drodze dyplomatycznej. Jeśli jest ono możliwe. Względna większość, w liczbie 46%, jak donosiły badania opinii przeprowadzone przez „Washington Post” i sieć ABC, nie miała na takie zakończenie poważnych nadziei. Japończycy chowali jednak w zanadrzu kartę nie do przebiccia

— posiadali broń nuklearną, czego żaden z rządów nie ogłosił publicznie w obawie, że wzbudzi to panikę w obu krajach. Podczas sesji negocjacyjnych każdy miał nadzieję na pokojowe rozwiązanie, ale pokaźna część tej nadziei właśnie się ulotniła, i to w przeciągu ostatnich dwóch godzin.

— Polityka doszła do głosu — wyjaśnił Adler, odwracając wzrok. Zaczerpnął głęboki oddech, by poradzić sobie z własnym napięciem. — Musiało się tak stać, Chris.

— A co z ich atomówkami?

Zastępca sekretarza stanu wzruszył niespokojnie ramionami.

— Nie uważamy, by byli aż tak szaleni.

— Uważamy? Co za geniusz wypichcił taką ocenę? — wypalił Cook.

— Ryan, a któżby inny? — Adler zamilkł. — To on trzyma teraz wszystkie sznurki.

Według niego następnym błyskotliwym posunięciem będzie zablokowanie, pardon, ogłoszenie zamkniętej strefy morskiej, jak to zrobili Angole na Falklandach. Aby odciąć ich od ropy — dodał Adler tytułem wyjaśnienia.

— By raz jeszcze przeżyć tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy!? Myślałem, że ta zakuta pała jest historykiem! Przecież tak właśnie zaczęła się wojna światowa, jakby się ktoś pytał.

— Takie zagrożenie... cóż, jeśli Koga zbierze się na odwagę i wystąpi z publicznym sprzeciwem, to

według naszej oceny ich rząd upadnie. Dlatego, Chris — ciągnął Scott — postaraj się wywiedzieć, jakimi siłami dysponuje naprawdę ich opozycja.

— Prowadzimy niebezpieczną grę.

— Istotnie — zgodził się Adler, patrząc mu prosto w oczy.

Cook obrócił się i odszedł na drugi koniec tarasu. Przedtem Adlerowi wydawało się to normalną częścią obrad, nieodłączną cechą ceremoniału poważnych negocjacji. Ach, jakie to było idiotyczne, by rzeczywiste obrady musiały toczyć się nad kawą i herbatą z ciasteczkami, gdyż prawdziwi negocjatorzy nie mogli ryzykować wypowiedzi, która...no cóż, takie są zasady, upomniał się w duchu. Druga strona bardzo umiejętnie je wykorzystywała. Adler przyglądał się dwóm rozmawiającym mężczyznom. Japoński ambasador wyglądał na zdecydowanie bardziej skrepowanego niż jego bezpośredni podwładny. Co ty tak naprawdę myślisz? — Adler dałby się zabić, by się tego dowiedzieć. Postrzeganie tego człowieka jako osobistego wroga byłoby błędem. To zawodowiec, który służy swojej ojczyźnie, tak jak mu za to płacono i jak mu przykazano. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę, gdy obaj z rozmysłem starali się nie zauważyć Nagumo i Cooka. Zawodowa obojętność przysła na moment z ich twarzy, dosłownie na sekundę, gdy obaj mężczyźni zrozumieli, że rozmawiają o wojnie, o życiu i śmierci, o sprawach, którymi obciążyli ich inni. W tej przedziwnej chwili braterstwa zadumali się nad tym, jak to możliwe, że sprawy wzięły aż tak zły obrót i dlaczego inni w tak karygodny sposób marnują ich umiejętności.

— Byłby to bardzo niemądry krok — oświadczył Nagumo z wymuszonym uśmiechem.

— Lepiej skorzystaj z dojścia do Kogi, jeśli je masz.

— Mam, ale na to jeszcze za wcześnie, Christopher. Musimy dostać coś w zamian. Czy wy tego nie pojmujecie?

— Jeśli Durling przehandluje trzydzieści tysięcy obywateli amerykańskich, to nie wybiorą go na drugą kadencję. — W gruncie rzeczy było to naprawdę proste. — Jeśli ma to oznaczać zabicie kilku tysięcy waszych obywateli, pójdzie na to. Prawdopodobnie myśli, że zagrażając waszej gospodarce wywinie się z tego małym kosztem.

— To się zmieni, gdy ludzie u was dowiedzą się...

— A jak zareaguje na to wasza opinia publiczna? — Cook na tyle dobrze znał Japonię, by wiedzieć, do jakiego stopnia przeciętny japoński obywatel czuje wstręt do broni atomowej. Co ciekawe, Amerykanie zaczęli podzielać ten pogląd. Może dochodzi do głosu rozsądek, pomyślał dyplomata. Trochę za późno i w złym momencie.

— Zrozumieją, że dla nowych interesów naszego kraju broń ta ma ogromne znaczenie —

odparł pośpiesznie Nagumo, wprawiając Amerykanina w zdziwienie. — Ale masz rację, ważne, by

broń ta nie została nigdy użyta. Musimy uprzedzić wasze wysiłki założenia naszej gospodarce stryczka na szyję. Jeśli do tego dojdzie, zginą ludzie.

— Z tego, co mówił przed chwilą twój szef, ludzie giną już teraz. — Po tych słowach, każdy wrócił do swojego przełożonego.

— I co tam? — spytał Adler.

— Twierdzi, że jest w kontakcie z Kogą.

Ta część była tak oczywista, że FBI nawet o niej nie pomyślało. Kiedy im to zaproponował, o mało nie oszaleli. Jednak Adler znał Cooka. Chris bardzo przejmował się swoją rolą w podejmowanych wysiłkach dyplomatycznych. Może nawet ciut za mocno. To, że się stał

ważny przypadło mu do gustu. Nawet teraz Cook nie miał pojęcia, co mu się tak po prostu wysnęło. Nie stanowiło to oczywiście jednoznacznego dowodu przewinienia, ale zupełnie wystarczyło, by utwierdzić Adlera w przekonaniu, że to Cook jest odpowiedzialny za przeciek.

Przed chwilą Cook przypuszczalnie zdradził jeszcze coś, ale tym razem to coś wymyślił Ryan.

Adler przypominał sobie, że wiele lat temu, gdy Ryan należał do grupy ludzi z zewnątrz, która została wprowadzona do CIA, by badać ich procedury, znalazł się w centrum zainteresowania wyższych sfer władzy, gdy wymyślił Pułapkę Na Kanarka. Właśnie została ona ponownie zastawiona.

Tego ranka było na tyle chłodno, by delegacje pośpieszyły nieco wcześniej do środka na następną serię rozmów. Ta tura, pomyślał Adler, może akurat coś przynieść.

Pułkownik Michael Zacharias poprowadził odprawę przed lotem. Odbyła się rutynowo, pomimo że *B-2* nigdy przedtem nie oddały strzału w żadnej wojnie, a właściwie nie zrzuciły bomby, ale tak się zwykło mówić. Historia 509. Grupy Bombowej sięgała 1944 roku, kiedy została sformowana pod rozkazami pułkownika Paula Tibbetsa z Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych w bazie w Utah, w rodzinnym stanie pułkownika Zacharias. Dowódca dywizjonu, w stopniu generała brygady, leciał prowadzącą maszyną. Oficer dowodzący skrzydła prowadził numer dwa. Jako zastępca dowódcy ds. operacyjnych Zacharias miał zasiąść za sterami samolotu numer trzy. Trafił mu się najbardziej wstrętny kawał roboty, ale na tyle istotny, że po rozważeniu zasad wojennej etyki pułkownik zdecydował, że parametry misji mieściły się w granicach, jakie prawnicy i filozofowie nałożyli na wojowników.

W Elmendorf panował dojmujący chłód i załogi bombowców dowieziono do maszyn w furgonetkach. Tej nocy mieli polecieć trójkami. Projektanci *B-2* przewidzieli miejsca tylko dla pilota i drugiego pilota, z rezerwowym stanowiskiem dla trzeciego członka załogi, który mógł

operować systemami obronnymi, ale, jak zaklinał się kontrahent, w rzeczywistości drugi pilot z powodzeniem sobie z nimi radził. Jednak podczas prawdziwych operacji wojennych trzeba było zostawić pewien margines bezpieczeństwa, tak więc, jeszcze zanim Duchy opuściły Missouri, przybyło im dodatkowe sto trzydzieści kilogramów sprzętu wraz z plus minus osiemdziesięcioma

kilogramami oficera walki radioelektronicznej.

Samolot ten miał wiele przedziwnych cech. Tradycyjnie każda maszyna Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych ma numer wymalowany na usterzeniu pionowym, ale bombowiec *B-2* nie miał ogona i dlatego cyfra została namalowana na pokrywie przedniego podwozia. Niczym samolot rejsowy latał przeważnie na dużych wysokościach (choć kontrakt przeredagowano w połowie prac konstrukcyjnych tak, by możliwy był również niski profil lotu) dla ekonomicznego zużycia paliwa. Ten jeden z najdroższych samolotów na świecie łączył w sobie rozpiętość skrzydeł *DC-10* z prawie zerową wykrywalnością przez radar. Pomalowany w szare łaty, by zlewać się z nocnym niebem, był teraz iskrą nadziei na zakończenie wojny. Choć misję wykonywały bombowce, każdy żywił nadzieję, że przebiegnie ona możliwie najciszej. Dopinając uprząż pasów, Zacharias uświadomił sobie, że zaczyna myśleć o zadaniu jako o misji bombowej.

Cztery silniki General Electric ruszały po kolei, a wskazania mierników przesunęły się na pozycję PEŁEN CIĄG. Silniki, choć pracowały na biegu jałowym, ciągnęły już teraz paliwo w takim tempie, jak gdyby szły na pełnej mocy na wysokości przelotowej. Drugi pilot i oficer walki radioelektronicznej przeprowadzili sprawdzian systemów pokładowych i otrzymali pozytywne wyniki. Następnie, pojedynczo, trzy bombowce, ruszyły przed hangaru i pokołowały na pas.

— Spoczęli na laurach — powiedział Jackson, siedząc w Bojowym Centrum Informacyjnym, pod pokładem lotniczym. Najgroźniejszym przeciwnikiem były cztery niszczyciele uzbrojone w system *Aegis*, które Japończycy odesłali, by strzegły Marianów.

Marynarka nie wynalazła jeszcze sposobu na skuteczne przeciwdziałanie kombinacji radar-rakieta i Jackson wiedział, że ceną jaką zapłaci za wykonanie zadania będą samoloty i ludzie.

Niemniej jedno jest pewne: Ameryka przejęła inicjatywę. Tamci gotowali się, by odpowiedzieć na działania drugiej strony, a to zawsze kończyło się porażką.

Robby wyczuwał to. „John Stennis” szedł pełną parą północno-zachodnim kursem, robiąc jakieś trzydzieści węzłów. Jackson sprawdził godzinę i zaczął zastanawiać się, jak przebiega reszta operacji, które zaplanował w Pentagonie.

Tym razem miało być trochę inaczej. Richter zapuścił silniki *Comanche*’a tak, jak to zrobił przedniej nocy, zastanawiając się, ile razy ujdzie mu to jeszcze płazem. Przypomniał

sobie aksjomat operacji wojskowych, który mówi, że jedna i ta sama rzecz rzadko udaje się więcej niż raz. Szkoda, że facet, który wpadł na pomysł tej operacji, o tym nie wiedział.

Pozwalając sobie na ostatnią dekoncentrującą myśl, zastanowił się, czy wszystko to opracował ten pilot myśliwski Marynarki, którego poznał w Nellis dobre kilka miesięcy temu. Pewnie nie, odpowiedział sobie. Tamten gość był zawodowcem pełną gębą.

Rangersi ponownie czuwali z rozkosznie malutkimi gaśnicami i ponownie okazały się one

niepotrzebne. Richter oderwał się od ziemi bez przykrych niespodzianek, po czym bezzwłocznie jął wspinać się nad stokami góry, wschodnim kursem w kierunku Tokio, ale tym razem po piętach deptały mu dwa inne śmigłowce.

— Chce zobaczyć się z Durlingiem osobiście — oznajmił Adler. — Najlepiej po porannej sesji.

— Masz coś jeszcze? — spytał Ryan. Typowo dla siebie, dyplomata zaczął od omówienia spraw urzędowych.

— To na pewno Cook. Powiedział mi, że jego kontakt pracuje z Kogą.

— Czy...

— Tak, powiedziałem mu to, co chciałeś. No więc, co z ambasadorem?

Ryan rzucił okiem na zegarek. Zgranie w czasie musiało być bardzo dokładne. Nie miał

ochoty zgadzać się na to komplikujące sprawy spotkanie, ale też nie przewidział, że druga strona wyrazi ochotę współpracy. — Daj mi półtorej godziny. Omówię to z Szefem.

Oficer walki radioelektronicznej, w skrócie zwany WRE, miał za zadanie sprawdzić systemy broni. Komory bombowe zdolne do przenoszenia osiemdziesięciu ćwierć-tonowych bomb, mogły pomieścić tylko osiem tysięcy kilogramowych bomb penetrujących, a osiem razy trzy równa się dwadzieścia cztery. To właśnie wyniki działań arytmetycznych sprawiły, że ostatnia część misji stała się koniecznością. Gdyby przenosili broń nuklearną, nic podobnego nie byłoby potrzebne, ale rozkazy nie przewidywały takiej ewentualności, a pułkownik Zacharias nie miał

nic przeciwko temu. Musiał żyć ze swoim sumieniem.

— Wszystko gra, panie pułkowniku — zameldował WRE. Nic dziwnego, jako że każdą sztukę sprawdzili osobiście: starszy oficer uzbrojenia, starszy sierżant mechanik i inżynier przysłany przez producenta. Każdą z osobna poddano tuzinowi symulacji, a potem przeniesiono jak świeże owoce do komory bombowej. Taka procedura była konieczna, jeśli chciano utrzymać gwarantowane przez producenta prawdopodobieństwo trafienia, na poziomie 96%, ale nawet to nie wystarczało dla otrzymania zupełnej pewności. Do tej misji potrzeba było więcej samolotów, lecz nie było ich już więcej, a prowadzenie trzech Duchów naraz i tak nie było łatwym zadaniem.

— Mam jakieś szumy, kurs dwa-dwa-pięć. Wygląda na *E-2* — zameldował WRE. W

dziesięć minut później wiedzieli już, że każda naziemna stacja radiolokacyjna w kraju działała pełną mocą. No, po to właśnie zostały zbudowane, pomyślała trzyosobowa załoga.

— Okay, podaj mi kurs — rozkazał Zacharias, sprawdzając na własnym ekranie.

— Jeden-dziewięć-zero zdaje się na razie bezpieczny. — Przyrządy rozpoznawały radary według

typów i najlepszym wyjściem było wystawianie się na te najstarsze, szczęśliwym trafem amerykańskiej konstrukcji, których charakterystykę mogli wyrecytować z zamkniętymi oczami.

W pewnej odległości od *B-2*, nieco przed nimi, znów pracowały *Lightningi*, tym razem samotnie i skrycie podchodząc do Hokkaido od wschodu, podczas gdy bombowce z tyłu wzięły bardziej południowy kurs. Zadanie polegało teraz bardziej na myśleniu, niż na sile. Jeden *E-767*

znajdował się na patrolu, tym razem głęboko nad lądem i prawdopodobnie aż roіło się wokół niego od myśliwców. Słabsze *E-2C* patrolowały strefy przybrzeżne. Polegają teraz głównie na pilotach myśliwskich — pomyślał pilot *Lightninga*. I rzeczywiście odbiornik ostrzegawczy pokazywał, że niektóre *Eagle* szperały po niebie swoimi radarami *APG-70*. Cóż, pora za to zapłacić. Para myśliwców skrzyła lekko i skierowała się w stronę dwóch najbliższych *F-15J*.

Dwa tkwiły nadal na ziemi, jeden z rusztowaniem wokół osłony anteny radiolokatora.

Może to ten, który przechodzi remont, pomyślał Richter, zbliżając się ostrożnie od zachodu.

Przed nim wznosiły się wzgórza, za którymi mógł się ukryć, ale na szczycie jednego z nich znajdował się duży, silny radar obrony przeciwlotniczej. Pokładowy komputer wyliczył martwe pole i Richter zniżył lot, by się w nim zmieścić. Znalazł się pięć kilometrów od stacji radiolokacyjnej, nieco poniżej. Wówczas nadszedł czas, by wykonać zadanie, do którego *Comanche* został skonstruowany.

Richter wyskoczył zza ostatniego wierzchołka i omiół przedpole radarem *Long-bow*.

Skomputeryzowana pamięć radiolokatora wyszukała dwa *E-767* w katalogu sylwetek wrogich obiektów i wyświetliła je na ekranie sterowania uzbrojeniem. Na ekranie dotykowym obok lewego kolana Richtera samoloty ukazały się jako ikony numer 1 i numer 2. Komputer przeprowadził identyfikację celów. Pilot wybrał rakietę *Hellfire* z krótkiej listy opcji uzbrojenia.

Pokrywy komór uzbrojenia otworzyły się i Richter nacisnął spust dwa razy. Przeciwpancerne rakiety *Hellfire* zeskoczyły z wyciem z przewodnic i pomknęły w kierunku oddalonej o siedem kilometrów bazy lotnictwa.

Szczęśliwym trafem celem numer cztery było ostatnie piętro budynku mieszkalnego.

Zorro Trzy obrał południową trasę dolotu do miasta. Pilot obrócił śmigłowiec w bok, pełen obaw, że zostanie zauważony z ziemi, chciał jednak odnaleźć okno z zapalonym światłem. Tam. Nie, to nie światło, pomyślał pilot. Raczej telewizor. Dobrze i to. Korzystając z ręcznego trybu sterowania, poprowadził śmigłowiec w stronę niebieskiej plamy światła.

Kozo Matsuda zastanawiał się właśnie jakim sposobem dał się w to wszystko wrobić, ale za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Zbytńio rozszerzył własne interesy i był

zmuszony sprzymierzyć się z Yamatą. Ale gdzie jest teraz jego przyjaciel? Na Saipanie?

Dlaczego? Przecież potrzebowali go tutaj. Gabinet zaczynał się niepokoić i choć Matsuda miał

tam swojego człowieka, który robił to, co mu kazał, kilka godzin temu dotarła do niego wieść, że ministrowie myślą teraz samodzielnie, a to nie napawało go optymizmem. Również i ostatnie wypadki nie dawały powodu do radości. Amerykanie nadszarpnęli nieco obronę powietrzną, co sprawiło wszystkim niemiłą niespodziankę. Czy nie pojmowali, że wojnę trzeba zakończyć, zrzec się Marianów raz na zawsze, że Ameryka musi zaakceptować te zmiany? Zdaje się, że rozumieją jedynie siłę, ale choć Matsuda i jego koledzy uważali, że umieją posłużyć się siłą, Amerykanie nie dali się zastraszyć, tak jak to przewidywali japończycy.

A co jeśli... co będzie jeśli nie popuszczą? Yamata-san zapewniał ich wszystkich, że nie mają innego wyjścia, ale zapewniał ich również, że wywoła chaos w amerykańskim systemie finansowym, a jednak draniom udało się z tego wywinąć zręczniejsz niż Mushashiemu w pojedynkach na miecze, takich jak te, które oglądał teraz w telewizji. Nie mieli już odwrotu.

Musieli przeprowadzić wszystko do końca, albo stanąć twarzą w twarz z upadkiem gorszym niż ten, do którego swoją... błędną oceną niemal przywiódł własną korporację. Błędną oceną? —

spytał się w duchu Matsuda. No tak, ale nie poszedł na dno dlatego, że związał się z Yamatą.

Gdyby tylko jego przyjaciel wrócił do Tokio i pomógł zmusić rząd do uległości, to może...

Nagle zmienił się kanał telewizyjny. Dziwne. Matsuda podniósł pilota i zmienił go z powrotem. Kanał zmienił się jeszcze raz.

Piętnaście sekund przed dotarciem do celu pilot Zorro Trzy uaktywnił znacznik celu używany do naprowadzania pocisków przeciwpancernych. *Comanche* znajdował się teraz w automatycznym zawisie, co pozwalało mu w zasadzie na ręczne naprowadzanie broni. Pilotowi nie przeszło przez myśl, że wiązka podczerwieni ma tę samą częstotliwość co proste urządzenie, które jego dzieci używają w domu do przełączania programu z Gumisiów na Kaczora Donalda.

Pieprzony telewizor! Matsuda przeskoczył z powrotem na odpowiedni kanał, ale telewizor uparcie wracał do programów informacyjnych. Nie widział tego filmu od wielu lat, a ten cholerny telewizor płała mu figle. A był to model wyprodukowany w jego firmie.

Przemysłowiec wyszedł z łóżka, podszedł do odbiornika i wycelował pilota prosto w czujnik z przodu telewizora. Kanał ponownie przeskoczył.

— *Bakayaro* — burknął. Klęknął i ręcznie zmienił program, jednak po raz wtóry przeskoczył on na wiadomości. W pokoju nie paliło się światło i w ostatniej sekundzie Matsuda dostrzegł żółtą lunę na ekranie telewizora. Odbicie? Czego? Gdy obrócił się, ujrzał żółtą strzałę ognia pędzącą w kierunku okna, sekundę później rakietą *Hellfire* uderzyła w stalowy dwuteownik w ścianie obok jego łóżka.

Po zaobserwowaniu eksplozji na ostatnim piętrze bloku Zorro Trzy wykręcił gwałtownie w lewo i podążył do następnego celu. To jest naprawdę coś, przebiegło przez myśl pilotowi.

Lepsze niż niewielka rola, jaką odegrał w grupie uderzeniowej NORMANDIA, sześć lat temu.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może wziąć udział w misji specjalnej, ale oto teraz wykonywał taką robotę. Drugi strzał był podobny do pierwszego. Musiał kilka razy zamrużyć oczami, by odzyskać wzrok, ale był pewny, że nikt w promieniu dwudziestu metrów od miejsca uderzenia pocisku nie wyszedł z tego cało.

Pierwszy *Hellfire* trafił w samolot, wokół którego krzątała się obsługa. Jakby z litości uderzył prosto w nos *E-767* i eksplozję mogło przeżyć kilku ludzi z obsługi, pomyślał Richter.

Kolejna rakietka, podobnie jak pierwsza, naprowadzana wyłącznie za pomocą komputera, zdmuchnęła ogon drugiemu. Japonii zostały jeszcze tylko dwa takie cudeńka, które prawdopodobnie znajdowały się w tej chwili gdzieś w powietrzu, ale Richter nie mógł na to nic poradzić. Nawet tu nie wróca, ale chcąc mieć całkowitą pewność, wykonał zwrot, wybrał działko na ekranie uzbrojenia i w drodze powrotnej skąpał w ogniu stację radarową.

Biniczi Murakami właśnie wychodził z budynku po długawej pogawędce z Tanzanem Itagake. Jutro miał spotkać się ze swoimi przyjaciółmi ministrami i poradzić im, by położyli kres temu szaleństwu, zanim nie będzie za późno. Owszem, jego kraj posiada rakietki z głowicami nuklearnymi, ale skonstruowano je w nadziei, że samo ich istnienie wystarczy, by zapobiec ich użyciu. Nawet myśli o tym, by ujawnić obecność rakiet na japońskiej ziemi, groziła rozbiciem politycznej koalicji, którą sformował Goto. Rozumiał teraz, że tu leży granica rozkazywania politykom.

„Uliczny żebrak” — myśl ta powracała do niego. Gdyby nie to, może argumenty Yamaty nie przeciągnęłyby go na jego stronę. Gdyby nie to, starał się usprawiedliwić przed samym sobą.

Wtem niebo nabiegło bielą. Ochroniarz Murakami, idący tuż obok, pchnął go na ziemię.

Spadł na nich deszcz szkła. Odgłosy wybuchu jeszcze nie ucichły, gdy usłyszeli echo kolejnego, kilkanaście kilometrów dalej.

— Co to? — chciał powiedzieć, ale kiedy się poruszył, wyczuł jakąś ciecz na twarzy.

Krew z rozciętego ramienia ochroniarza. Mężczyzna zagryzł wargi i starał się zachować godność.

Był poważnie ranny. Murakami pomógł mu wsiąść do samochodu i kazał kierowcy pędzić do najbliższego szpitala. Gdy szofer przyjął polecenie skinieniem głowy, jeszcze jeden błysk rozdarł niebo.

— Kolejne dwie foczki — szepnął do siebie pułkownik. Zaszedł Japończyków od tyłu i w odległości siedmiu kilometrów odpalił Grzmoty. Jeden *Eagle* starał się nawet wykonać unik, jednak o sekundę za późno. Pilot zdążył się katapultować i płynął teraz w kierunku ziemi. Na razie wystarczy. Pułkownik rzucił *Lightninga* w zakręt i pognął na północny wschód z prędkością 1,5 macha. Dowodzony przez niego klucz czterech maszyn wyrąbał dziurę w obronie przeciwlotniczej nad Hokkaido. Japońskie Siły Powietrzne przegrupują teraz swoje maszyny tak, by załatać tę wyrwę. Na

dziś wieczór misja pułkownika dobiegła końca. Od lat przekonywał

każdego, kto nadstawiał uszu, że walka powietrzna nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością i śmiał się z okrutnego eufemizmu, jakim określano powietrzny pojedynek między samolotem *stealth* a konwencjonalnym. Ubój młodych foczek. Ale to nie były foki i tylko krok dzieli go od morderstwa. Oficera ogarnęła wściekłość na to, że nie dało się tego uniknąć.

Operator urządzeń walki radioelektronicznej poprowadził ich między dwoma radarami obrony przeciwlotniczej, w odległości niecałych dwustu kilometrów od krążącego *E-2C*. W radiu wychwytywali korespondencję, zdawkową i pełną emocji, płynącą ze stacji naziemnych do myśliwców, na północ od nich. Wleczą nad ląd w okolicach miasta Arai. *B-2A* znajdował się na pułapie czternastu tysięcy metrów, lecąc z prędkością nieco poniżej dziewięciuset kilometrów na godzinę. Pod zewnętrzną warstwą pokrycia, miedziana siatka pochłaniała dużą część promieniowania elektromagnetycznego, jakie omiatało w tej chwili samolot. O tym elemencie konstrukcji *stealth* można było przeczytać w każdym uniwersyteckim podręczniku fizyki.

Miedziane włókna absorbowwały sporą część energii, w podobny sposób jak prosta antena radiowa, przetwarzając ją na ciepło, które ulegało rozproszeniu w zimnym nocnym powietrzu.

Reszta sygnałów trafiała na wewnętrzną konstrukcję i, jak ufano, była odbijana w innym kierunku.

Ryan wyszedł na spotkanie ambasadora i towarzyszył mu do Zachodniego Skrzydła w otoczeniu pięciu agentów Tajnej Służby. Posługując się językiem dyplomacji atmosferę można by określić mianem „szczera”. Nie wyczuwało się jawnej nieuprzejmości, a jednak atmosfera była gęsta i pozbawiona zwykłych przy takich okazjach żarcików. Wymieniono jedynie niezbędne formułki i kiedy cała grupa przekraczała próg Gabinetu Ovalnego, Jack głównie martwił się o to, jakie zagrożenie, jeśli w ogóle, czeka na nich w tym jakże nieodpowiednim momencie.

— Zechce pan spocząć, panie ambasadorze — przemówił Durling.

— Dziękuję, panie prezydencie.

Ryan zauważył miejsce między dyplomatą, a Rogerem Durlingiem. Ochranianie prezydenta było u niego działaniem automatycznym, lecz nie zawsze koniecznym. Dwóch agentów weszło do pokoju i nie wyglądało na to, by mieli zamiar go opuszczać. Jeden stał przy drzwiach, a drugi dokładnie za ambasadorem.

— Domyślam się, że jest coś, czym chciałby się pan ze mną podzielić — zagadnął

Durling.

Dyplomata przeszedł od razu do meritum sprawy:

— Mój rząd życzy sobie, bym poinformował pana, że wkrótce podamy do wiadomości publicznej, iż jesteśmy w posiadaniu broni nuklearnej. Chcielibyśmy uczciwie o tym pana ostrzec.

— Będzie to postrzegane jako jawna groźba wobec naszego kraju, panie ambasadorze —

powiedział Ryan, chroniąc w ten sposób prezydenta od konieczności udzielania bezpośredniej odpowiedzi.

— Będzie to zagrożeniem tylko wtedy, gdy do tego doprowadzicie.

— Jest pan świadom, jak mniemam — ciągnął Jack — że my również posiadamy broń nuklearną, którą możemy użyć przeciw pańskiej ojczyźnie.

— Jak to już raz uczyniliście — zareplikował ambasador, nawet się nie zastanawiając.

Ryan skinął głową.

— Zgadza się. Było to w czasie wojny, którą rozpętał pana kraj.

— Ciągłe podkreślamy, że wojna rozpocznie się, gdy pański rząd do tego doprowadzi.

— Proszę pana, kiedy atakuje się terytorium amerykańskie i zabija amerykańskich żołnierzy, to z pewnością jest to wojna.

Durling obserwował tę wymianę zdań bez widocznej reakcji. Przekrzywił tylko głowę i grał swoją rolę, podobnie jak i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Znał już swojego podwładnego na tyle, że dostrzegał napięcie w sposobie, w jaki ten krzyżował nogi pod krzesłem, jednocześnie zaciskając dłonie na podołku; w głębokim, przyjemnym głosie jakim przemawiał na przekór naturze tematu. Bob Fowler miał rację od początku do końca. Z tym człowiekiem mogę żeglować nawet w najcięższy sztorm — pomyślał jeszcze raz Roger Durling, cytując powiedzenie, które istniało tak dawno, jak dawno ludzie pływali po morzu. Choć czasem zawzięty i niecierpliwy, w ciężkich sytuacjach Ryan wykazywał zimną krew, jak chirurg na sali operacyjnej. Czy była to zasługa żony? — zastanawiał się prezydent. A może nauczyły go tego ostatnie dziesięć czy dwanaście lat rządowej służby? Inteligencja, instynkt i, kiedy trzeba, chłodna ocena sytuacji. Jaka szkoda, że nigdy nie parał się polityką. O mało nie uśmiechnął się do tej myśli, lecz ani czas ani miejsce nie były po temu. Nie, Ryan nie byłby dobrym politykiem.

Należał do ludzi, którzy usiłują załatwiać wszystko bezpośrednio. Nawet jego bystrość umysłu miała w sobie jakąś kanciastość i brakowało mu podstawowej umiejętności skutecznego kłamania. Lecz mimo wszystko, był to człowiek w sam raz na kryzysową sytuację.

— Pragniemy pokojowego rozwiązania — mówił teraz ambasador — Jesteśmy skłonni do znacznych ustępstw.

— Nie wymagamy niczego ponad powrót do *status quo ante* — odparł Ryan, a doniosłość tego

zdania wprawiła jego stopy w krotki taniec pod krzesłem Nie cierpiał tego, nie cierpiał tej roli, ale musiał wyjaśnić sprawy, o których dyskutowali z prezydentem. Jeśli coś pójdzie nie po ich myśli, ludzie będą pamiętali, że to Ryan zrobił błąd, a nie Roger Durling — I eliminacji waszej broni nuklearnej w obecności międzynarodowej komisji.

— Zmuszacie nas, byśmy brali udział w bardzo niebezpiecznej grze.

— Grze, którą sami wymyśliliście — Ryan nakazał sobie spokój. Jego prawa dłoń spoczywała teraz na lewym nadgarstku. Wyczuwał pod nią zegarek, ale nie śmiał na niego spojrzeć w obawie, by nie wyrzucić wrażenia, że czekają ich jakieś pilne sprawy.

— Już i tak złamaliście Traktat Rozbrojeniowy. Naruszyliście też Kartę ONZ, którą podpisał wasz rząd. Nie dotrzyмалиście również kilku porozumień podpisanych ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki i rozpętałyście wojnę. Czy oczekujecie, że zgodzimy się na to wszystko i na zniewolenie obywateli Ameryki na dokładkę? Proszę mi powiedzieć, jak zareagują wasi obywatele, kiedy się o tym dowiedzą? — Wydarzenia, które poprzedniej nocy miały miejsce nad północną Japonią jeszcze nie przedostały się do wiadomości publicznej. Ich kontrola nad mediami miała o wiele lepszy skutek, niż gierki Ryana z rozgłośniami amerykańskimi, ale w tego typu sprawach zawsze tkwił jeden szkopuł: prawda zawsze wychodziła na jaw. Pół biedy, gdy było to człowiekowi na rękę, w przeciwnym razie mogło być fatalnie.

— Musicie nam coś zaproponować! — naciskał ambasador, w widoczny sposób tracąc dyplomatyczny spokój. Za jego plecami dłonie agenta Tajnej Służby drgnęły nieznacznie.

— Proponujemy wam właśnie odbudowanie pokoju z honorem.

— Czyli nic!.

— Jest to temat bardziej odpowiedni dla zastępcy sekretarza, Adlera i jego zespołu.

Znacie nasz punkt widzenia — ciągnął Ryan. — Jeśli chcecie publicznie ogłosić, że posiadacie broń nuklearną, nie możemy wam tego zabronić. Lecz muszę pana ostrzec, że doprowadzi to do poważnej eskalacji wojny psychologicznej, która nie jest potrzebna ani waszemu, ani naszemu krajowi.

Ambasador przeniósł wzrok na Durlinga w nadziei na jakąś reakcję. Niedługo zaczną się prawyboły w Iowa i New Hampshire, a więc facet musi dobrze zacząć, czyżby to był powód tak ostrego stawiania sprawy? — zastanawiał się dyplomata. Rozkazy z Tokio wyraźnie mówiły, by zdobył nieco pola manewru, ale Amerykanie najwyraźniej nie mieli ochoty na to przystać. A sprawcą kłopotów jest na pewno ten Ryan.

— Czy doktor Ryan przemawia w imieniu Stanów Zjednoczonych? — Serce mu załomotało, gdy spostrzegł, że prezydent z lekka potrząsnął głową.

— Nie, panie ambasadorze W rzeczy samej to ja przemawiam w imieniu Stanów Zjednoczonych. — Durling milczał przez moment, a potem dodał — Ale w tym przypadku doktor Ryan przemawia w

moim imieniu. Czy chciałby pan coś jeszcze dodać?

— Nie, panie prezydencie.

— W takim razie nie będziemy pana dłużej zatrzymywali. Mam nadzieję, że pański rząd dojdzie do wniosku, iż najkorzystniejszym rozwiązaniem tej sytuacji jest nasza propozycja. Inne możliwości nie wchodzi w rachubę. Życzę miłego dnia — Durling nie wstał, lecz zrobił to Ryan, by odprowadzić gościa do drzwi. Wrócił w dwie minuty.

— Kiedy? — spytał prezydent.

— W każdej chwili.

— Lepiej, żeby się powiodło.

Niebo w dole było czyste, choć na szesnastu tysiącach metrów wiły się smużki cirrusów.

Mimo to, gołym okiem trudno było dostrzec Punkt Początkowy, w skrócie nazywany PP. Co gorsza, pozostałe dwa samoloty w kluczu stały się niemal niewidoczne, choć odległość do nich miała wynosić odpowiednio sześć i dwanaście kilometrów. Mike Zacharias myślał o swoim ojcu, o lotach bojowych Dzikich Łasic podczas których wdzierał się on w najbardziej wymyślne systemy obronne swoich czasów, i jak to przegrał podejmując zawodowe ryzyko, tylko jeden jedyny raz, i cudem przeżył w obozie, który miał być jego ostatecznym miejscem spoczynku. Ten lot był zarazem prostszy i trudniejszy, gdyż *B-2* nie mogły w ogóle manewrować, z wyjątkiem lekkich korekt pozycji względem wiatrów.

— Bateria *Patriot* w pobliżu, mamy ją na drugiej godzinie — ostrzegł kapitan znad konsoli walki radioelektronicznej — Włączyli radary.

W chwilę potem Zacharias znał już przyczynę. Na ziemi, parę kilometrów przed nimi, ukazywały się pierwsze rozbłyski. Czyli raporty wywiadu nie pomyliły się, pomyślał pułkownik.

Japończycy nie dysponowali wieloma rakietami typu *Patriot* i nie rozmieściliby ich w tym miejscu ot tak dla zabawy. Wtem, spoglądając w dół, ujrzał poruszające się światła pociągu tuż obok doliny, która miała być celem ich ataku.

— Impuls wywoławczy — rozkazał pilot. Zaczynało robić się niebezpiecznie. Radar o małej mocy emisji umieszczony poniżej nosa bombowca, skierował się w stronę skrawka ziemi, który wybrał system satelitarno-nawigacyjny, natychmiast ustalając położenie samolotu względem znanego naziemnego punktu odniesienia. Samolot wszedł w zakręt w prawo, a po dwóch minutach powtórzył manewr...

— Odpalają rakiety! Puścili *Patriota*... nie, dwa — ostrzegł WRE.

To w Dwójkę, pomyślał Zacharias. Pewnie złapali go, gdy miał otwarte drzwi komór bombowych.

Bombowiec tracił „niewidzialność”, gdy otwierał komory bombowe, co ma miejsce kilka sekund przed...

Tam Zacharias zobaczył *Patrioty*, gdy te wyskoczyły zza wzgórza. Sunęły ze znacznie większą szybkością niż *SA-2*, przed którymi uskakiwał jego ojciec. Wcale nie sprawiały wrażenia rakiet, a raczej wiązek kierowanej energii, gdy gnały tak szybko, że oko ledwo mogło za nimi nadążyć, tak szybko, że nie zdążył nawet zareagować. Ale dwie rakiety, oddalone od siebie o niecałe sto metrów, nie zmieniły torów lotu i parły pełnym gazem w kierunku jakiegoś im tylko znanego punktu w przestrzeni. Wspiąwszy się ponad pułap bombowca Zacharias, eksplodowały niczym ognie sztuczne na wysokości około dwudziestu tysięcy metrów. W porządku, właściwości *stealth* wystarczą przeciw rakietom *Patriot*, jak to wykazały wszystkie przeprowadzone testy. Obsługa baterii odchodzi pewnie od zmysłów, pomyślał Zacharias.

— Rozpoczynamy nalot na pierwszy cel — oznajmił pilot.

Celów było dziesięć. Dziesięć silosów raketowych, według danych wywiadowczych.

Pułkownikowi sprawiało przyjemność eliminowanie tych okropieństw, pomimo że ceną za to miało być życie innych ludzi. Bombowiec Zacharias, tak jak pozostałe dwa, przenosił na pokładzie osiem bomb. Całkowita liczba bomb niesionych w tej misji wynosiła dwadzieścia cztery, po dwa na każdy silos, plus ostatnie cztery Zacharias na ostatni cel. Po dwie bomby na każdy.

Każda

z

nich

charakteryzowała

się

dziewięćdziesięciosześciprocentowym

prawdopodobieństwem trafienia w promieniu czterech metrów od zamierzonego celu, czyli naprawdę niezły wskaźnik, z tym, że w tego rodzaju misjach nie mogłoby być mowy o nawet najmniejszym błędzie. Na papierze prawdopodobieństwo, że obie bomby chybią celu równało się pół procenta, jednak ta cyfra pomnożona przez dziesięć celów dawała pięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że jeden z silosów raketowych przetrwa, czego należało uniknąć za wszelką cenę.

Samolot prowadził aktualnie komputer. Pilot mógł go w każdej chwili wyłączyć, jednak nie robił tego, chyba, że stanie się coś naprawdę złego. Pułkownik odsunął ręce od sterów, nie dotykając ich w obawie, że zakłóci proces, który wymagał lepszej kontroli, niż mógł zapewnić człowiek.

— Jak tam systemy? — spytał przez interkom.

— W normie — zameldował WRE napiętym głosem. Jego wzrok spoczywał na odbiorniku GPS, który wychwytywał sygnały z czterech orbitujących satelitów i ustalał dokładną pozycję samolotu w trzech wymiarach. Dodatkowo pokładowe systemy bombowca przeprowadzały obliczenia kursu, prędkości względem ziemi i prądów dryfowych. Informacje te wprowadzane były do bomb, w których precyzyjne położenie celów zostało zaprogramowane już wcześniej. Pierwszy bombowiec miał przypisane cele od 1. do 8. Drugi, od 3. do 10. Trzeci bombowiec prowadzony przez Zachariasa miał zrzucić ładunki na cele 1, 2., 9. i 10. Żaden samolot nie wykonywał obu zrzutów na jeden cel, co miało to w teorii zapewnić, że nawet w przypadku awarii elektroniki nie przetrwa żadna rakietka.

— Bateria *Patriot* nadal niucha. Zdaje się, że znajduje się u wejścia doliny. Tym gorzej dla niej, pomyślał Zacharias.

— Komory bombowe otwarte — zameldował drugi pilot. Natychmiast nadeszła wiadomość od trzeciego oficera w kabinie.

— Mają nas... bateria rakiet ma nas na radarach — oznajmił WRE, gdy poszła pierwsza bomba. — Sygnały naprowadzania rakiet... namierzają nas... odpalają rakietki!

— Zajmie im to chwilę — stwierdził Zacharias głosem znacznie spokojniejszym, niż sam czuł się w tej chwili. Potem przemknęła mu inna myśl: jak sprytny jest dowódca baterii?

Czego nauczyła go nieudana próba osiągnięcia bombowców? Boże, operacja nie powiedzie się, jeśli on...

Dwie sekundy później czwarta bomba oderwała się od samolotu. Gdy pokrywa komory zamknęła się, *B-2* znów stał się elektronicznie niewidzialny.

— To na pewno bombowiec *stealth* — stwierdził japoński kontroler przechwytywania. —

Proszę spojrzeć!

Ogromny, kuszący kontakt jaki nagle pojawił się wprost nad ich głowami zniknął. Duży radar wykrywania z fazową siecią antenową oznajmiał o obecności celu wizualnie i za pomocą dźwięku. Ekran opustoszał, ale niezupełnie. Widniały na nim cztery obiekty opadające w kierunku ziemi, tak jak to zrobiło osiem poprzednich. Bomby. Gdy wyrzutnie w górze doliny odpaliły rakietki, dowódca baterii przeciwlotniczej poczuł i usłyszał wstrząs. Ostatnim razem skierował je w bombowce, marnując dwa cenne pociski rakietowe; a te dwa, które właśnie wystrzelił, także przestrzelą... ale...

— Przerwać naprowadzanie! — wrzasnął dowódca baterii do swoich ludzi.

— Nie naprowadzają ich na nas — rzekł WRE bardziej z nadzieją, niż przekonaniem, japońska radiolokacyjna stacja śledzenia przeszukiwała teraz przestrzeń powietrzną. Nagle namierzyła coś, ale nie ich samolot.

Aby utrudnić zadanie japońskiemu radarowi, Zacharias położył samolot w zakręt, było to potrzebne do wykonania drugiej części misji. Oddał się w ten sposób od zaprogramowanych torów lotu rakiet, co pozwoli im uniknąć przypadkowego zderzenia.

— Melduj! — rozkazał pilot.

— Przeszły obok nas... — Potwierdził to jeden, a potem drugi rozbłysk światła, który rozjarzył chmury ponad ich głowami. Trzyosobowa załoga wtuliła głowę w ramiona, chociaż nie doszedł ich ani dźwięk, ani podmuch eksplozji.

No dobra, już po wszystkim... miejmy nadzieję.

— Nadal odbieram... sygnał naprowadzania rakiet! — krzyknął WRE. — Ale...

— Mają nas?

— Nie, namierzają coś innego... nie wiem...

— Bomby. Do diaska — zaklął Zacharias. — Śledzą bomby. Bomby były cztery, najinteligentniejsze z inteligentnych bomb. Mknęły ku ziemi, ale nie tak szybko jak nurkujący samolot taktyczny. Każda znała swoje położenia w czasie i przestrzeni oraz wiedziała, dokąd ma zmierzać. Dane uzyskane z pokładowych systemów nawigacyjnych B-2 pozwoliły im zorientować się w przestrzeni. Komputery wbudowane w bomby porównały współrzędne geograficzne, pułap, prędkość i kurs samolotu z położeniem zaprogramowanych celów.

Opadając, łączyły niewidzialne punkty w trójwymiarowej przestrzeni i były małe szansę, by nie trafiły w cel. Ale bomby nie miały zmniejszonej wykrywalności przez radar, ponieważ nikomu nie przyszło do głowy, by wyposażyc je w taką konstrukcję. A były wystarczająco duże, by radar śledził je z łatwością.

Bateria *Patriot* wciąż dysponowała raketami, miała teren do obrony i chociaż bombowiec zniknął, na ekranie widniały cztery obiekty. Systemy naprowadzania automatycznie je namierzyły, podczas gdy dowódca baterii przeklinał sam siebie za to, że nie pomyślał o tym wcześniej. Operator przyjął rozkaz skinieniem głowy i przekręcił klucz, który zezwalał systemom rakiet na operowanie autonomiczne. Komputer nie miał pojęcia, że nadlatujące cele nie są samolotami. Poruszały się w powietrzu, znajdowały się w sferze, za którą odpowiadał, a człowiek

-operator dał komendę „zabij”.

Pierwsza z rakiet wystrzeliła z przypominającego pudło pojemnika, przetwarzając stałe paliwo raketowe w białą strużkę, która wykwitła na tle nocnego nieba. System naprowadzania tego typu śledził cel za pośrednictwem samej rakiety, i choć złożony, był trudny do zagłuszenia, a ponadto nadzwyczaj dokładny. Rakieta kierowała się ku celowi, przekazując sygnały na ziemię i otrzymując instrukcje z komputerów baterii. Gdyby miała mózg, poczułaby satysfakcję, gdy panując nad spadającym celem, wybierała punkt w przestrzeni i czasie, w którym się spotkają...

— Trafienie! — zakrzyknął operator i noc przemieniła się w dzień, gdy druga rakietka ziemia-powietrze dopadła kolejną bombę. Światło na ziemi dopowiedziało resztę.

Zacharias ujrzał migotliwe błyski odbite od skalistego zbocza górskiego, które pojawiły się zbyt wcześnie, by mogły oznaczać wybuchy bomb w celu. A zatem ten, kto układał plan tej misji, nie cierpiał wcale na paranoję.

— Mam PP Dwa — oznajmił drugi pilot, przywołując myśli dowódcy z powrotem do wykonywanej misji.

— Dobry namiar celu — oznajmił WRE.

Tym razem Zacharias widział wszystko jak na dłoni, szeroką płaską wstęgę ciemnego granatu oraz jasny mur, który tamował jej bieg. Na budynku siłowni paliły się nawet światła.

— Komory otwarte.

Gdy odczepiły się cztery bomby, samolot podskoczył niecały metr w górę. Po wprowadzeniu poprawki na sterach, pilot bombowca skręcił ponownie w prawo i wszedł na wschodni kurs. Coraz bardziej oswajał się z myślą o tym, co kazano mu zrobić.

Dowódca baterii rąbnął pięścią w tablicę przyrządów z okrzykiem zadowolenia. Udało się mu trafić trzy z czterech, a ostatnia rakietka, choć chybiła celu, rozrywając się, zepchnęła prawdopodobnie bombę z toru lotu. Poczul jak ziemia zadrżała, gdy uderzyła o skały. Podniósł

słuchawkę telefonu polowego i połączył się bunkrem dowodzenia.

— Nic wam nie jest? — spytał pośpiesznie.

— Co to było, do cholery? — parsknął oficer z daleka. Dowódca baterii przeciwlotniczej zignorował głupie pytanie.

— Jak rakiety?

— Osiem zniszczonych, ale dwie chyba ocalały. Muszę zadzwonić do Tokio po rozkazy.

Oficer cały czas nie mógł wyjść ze zdumienia, jednocześnie gratulując sobie w myślach wyboru miejsca. Silosy wydrążono w litej skale, która stanowiła świetny pancierz dla międzykontynentalnych rakiet balistycznych. Jakże rozkazy dostanie teraz, gdy Amerykanie podjęli próbę rozbrojenia jego narodu?

Mam nadzieję, że każą wam je odpalić — oficer dowodzący baterii rakiet ziemia-powietrze nie miał dość odwagi, by wypowiedzieć tę myśl na głos.

Ostatnie cztery bomby z trzeciego *B-2* same naprowadzały się na zapórę hydroelektrowni w górze doliny. Pierwsze dwie miały uderzyć w podstawę, a kolejne w koronę żelbetonowej ściany budowli. Zgranie tego w czasie, a także wybór miejsc celowania były tak samo ważne jak przy zaprogramowaniu bomb, które trafiły w silosy rakiet. Przez nikogo nie zauważone i nie słyszane, parły w dół w szeregu, oddzielone od siebie niecałymi trzydziestoma metrami.

Zapora miała sto trzydzieści metrów wysokości, a jej grubość u podstawy wynosiła mniej więcej tyle samo. Tama zwężała się ku górze, aż do jazu, który miał dziesięć metrów szerokości.

Była na tyle mocna, by oprzeć się naporowi wody w zbiorniku oraz by przetrzymać trzęsienia ziemi jakie często nawiedzały Japonię. Hydroelektrownia wytwarzała prąd od ponad trzydziestu lat.

Pierwsza bomba uderzyła siedemdziesiąt metrów poniżej jazu. Wryła się piętnaście metrów w głąb zapory i dopiero wtedy włączył się zapalnik, wybijając w betonie miniaturową grotę. Wybuch wstrząsnął ogromną ścianą, gdy druga bomba uderzyła około pięć metrów ponad pierwszą.

Hałas dochodzący z dna doliny wyrwał wartownika z drzemki. Nie widział podniebnego pokazu i właśnie zaczął się zastanawiać, co zakłóciło mu sen, gdy ujrzał pierwszy przytłumiony rozbłysk, który wystrzelił ze środka zapory. Usłyszał, jak druga bomba uderza w ścianę tamy i nie minęła sekunda, a siła wybuchu omal nie wyrzuciła go z krzesła.

— Trafiliśmy wszystkie? — spytał Ryan. Wbrew obiegowej opinii, a w obecnej chwili także i wbrew gorącemu pragnieniu Ryana, Narodowa Agencja Zwiadu nie poprowadziło do Białego Domu kanałów obserwacji w czasie rzeczywistym. Ryan musiał, polegać zatem na kimś, kto patrzył na monitor telewizyjny w jednym z pomieszczeń w Pentagonie.

— Nie mamy pewności. Wszystkie trafiły w bezpośredniej bliskości celów, to znaczy niektóre, gdyż wygląda na to, że kilka bomb przedwcześnie...

— Co to może oznaczać?

— Zdaje się, że trzy z ostatniego bombowca eksplodowały w powietrzu. Staramy się teraz wyodrębnić poszczególne silosy i...

— Do cholery, mów pan, przetrwały jakieś w całości? — drażył Ryan. Czyżby szczęście ich opuściło?

— Jedna, może dwie, nie mamy pewności. Proszę poczekać, dobrze? — wyjąkał analityk nieco płaczącym głosem. — Za kilka minut będziemy tam mieli kolejnego satelitę.

Zapora przetrzymałaby dwa trafienia, lecz trzecie, dwadzieścia metrów pod jazem, utworzyło wyrwę w betonowej ścianie. Spowodowało to przesunięcie się trójkątnej bryły betonu, która najpierw skoczyła do przodu, po czym zatrzymała się. Przez ułamek sekundy wartownik zastanawiał się, czy

zapora wytrzyma. Czwarta bomba trafiła w sam środek poruszonego fragmentu i rozłamała go na kawałki. Kurzawę dymu szybko zastąpiła mgiełka pary wodnej.

Woda zaczęła przelewać się przez trzydziestometrową dziurę wybitą w ścianie zapory. Wyrwa rosła w oczach i dopiero po chwili wartownik pomyślał o tym, by popędzić do stróżówki i ostrzec ludzi w dolinie. Do tego czasu rzeka, zmartwychwstała po trzech dekadach przymusowego snu, toczyła się doliną, którą wyźłobiła setki tysięcy lat wcześniej.

— Niech pan mówi — zażądał człowiek z Tokio.

— Jedna rakietka wydaje się być zupełnie nienaruszona. To numer dziewięć. Numer dwa... no cóż, mogły wystąpić jakieś pomniejsze uszkodzenia. Kazałem moim ludziom sprawdzić wszystkie szyby. Jakże ma pan dla mnie rozkazy?

— Przygotować się do odpalenia i czekać.

— *Hai*. — Rozległ się odgłos odkładanej słuchawki.

Co mam robić? — pytał sam siebie oficer dyżurny. Nie miał w tych sprawach doświadczenia, sama idea kierowania bronią nuklearną była dla niego nowością. Nigdy nie pragnął tej pracy, ale nikt go o to nie pytał. Szybko odtworzył w myślach zapamiętany algorytm działania i podniósł słuchawkę telefonu — zwykłego, czarnego urządzenia, nie było bowiem czasu na sztuczki techniczne, w których tak lubowali się Amerykanie — i połączył się z premierem.

— Tak, o co chodzi?

— Goto-san, dzwonię z ministerstwa. Nasze rakiety padły ofiarą ataku.

— Co? Kiedy to się stało? — wyrzucił z siebie premier. — Jakże są straty?

— Jedna, może dwie rakiety są w stanie operacyjnym. Reszta została najprawdopodobniej zniszczona. Jest to w tej chwili sprawdzane. — Starszy oficer dyżurny wyczuł wściekłość jaka zawrzała w jego rozmówcy.

— Ile czasu potrzeba, by przygotować je do odpalenia?

— Kilkanaście minut. Wydałem rozkaz, by doprowadzić je do gotowości startowej. —

Oficer przerzucał strony książki rozkazów, by ustalić procedurę wymaganą, by wystrzelić rakiety. Oczywiście przyuczono go do tego, ale teraz w tym gorącym momencie poczuł, że musi mieć to przed sobą na piśmie. Pozostali ludzie w centrum dowodzenia obrócili się i patrzyli na niego w pełnym grozy milczeniu.

— W tej chwili zwołuję posiedzenie rządu! — Rozległ się odgłos odkładanej słuchawki.

Oficer powiódł wzrokiem dookoła. W pomieszczeniu wyczuwało się gniew, ale nawet bardziej — strach. Ponownie przeprowadzono zorganizowany atak na ich kraj, ale teraz rozumieli już znaczenie wcześniejszych działań Amerykanów. W jakiś sposób dowiedzieli się o lokalizacji zamaskowanych silosów, a potem posłużyli się skoordynowanymi atakami na japoński system obrony przeciwlotniczej, by przesłonić to, co naprawdę było ich celem. Jakie dostaną teraz rozkazy? Przeprowadzić atak nuklearny? Przecież to szaleństwo, pomyślał generał i widział, że co trzeźwiej myślące głowy w centrum dowodzenia żywiły podobne odczucia. Graniczyło to z cudem. Szyb silosu rakiety numer dziewięć był niemal nietknięty. Jedna z bomb eksplodowała zaledwie sześć metrów dalej, lecz skała wokół... nie, po bliższym przyjrzeniu się oficer stwierdził, że bomba wcale nie wybuchła. W kamiennym podłożu doliny ziała dziura, ale w świetle latarki dostrzegł na samym dnie, wśród gruzu, tylną część czegoś — może statecznik.

Niewybuch, inteligentna bomba z wadliwym zapalnikiem. Czyż to nie piękne? Następnie oficer pobiegł przyrzeć się Dwójce. Biegąc w dół doliny usłyszał coś jakby sygnał alarmowy i zaczął się zastanawiać co się dzieje. Dziwiło go, że Amerykanie nie próbowali zaatakować bunkra dowodzenia. Z dziesięciu rakiet osiem zostało ponad wszelką wątpliwość zniszczonych.

Zakrzuszył się oparami spalonego paliwa raketowego. Większość paliwa zmieniła się w słup ognia, który uleciał w niebo, pozostawiając po sobie jedynie szkodliwe gazy pędzone przez nocny wiatr. Zreflektowawszy się oficer przywdział maskę przeciwgazową, która zakryła mu twarz i na nieszczęście uszy.

Szyb silosu numer dwa został trafiony pojedynczą bombą, która eksplodowała jakieś dwanaście metrów dalej. Chociaż siła eksplozji rozruciła wokół tony kamieni, a ponadto spowodowała pęknięcie betonowej skorupy szybu, wystarczyło jedynie odgarnąć rumowisko z wierzchu pokrywy kontrolnej, a potem zejść na dół silosu i sprawdzić, czy rakieta nie została uszkodzona.

Przeklęci Amerykanie! Oficer kipiał ze złości. Chwycił przenośne radio i połączył się z bunkrem dowodzenia. Dziwne, żadnego odzewu. Wtem zauważył, że ziemia drży mu pod nogami. Na wpół oczekiwał, że to on sam się trzęsie. Zmuszając się do bezruchu, wziął głęboki oddech, ale dudnienie nie ustawało. Trzęsienie ziemi... ale co to za wycie dochodzi go przez maskę? W chwilę potem już wiedział, ale było za późno, by dopaść ścian doliny...

Obsługa baterii *Patriot* również słyszała dudnienie, ale nie zwróciła na nie uwagi. Jedynie drużyna sekcji przeładowywania potraktowała ostrzeżenie serio. Na rozgałęzieniu torów kolejowych przygotowywała urządzenia startowe dla czterech następnych rakiet, gdy biała ściana buchnęła z ujścia doliny. Nikt nie usłyszał ich krzyków, chociaż jeden żołnierz zdołał uciec w bezpieczne miejsce, nim trzydziestometrowa fala pochłonęła teren baterii. Trzysta kilometrów w górze, krążący po orbicie satelita przeleciał nad doliną z południowego zachodu na północny wschód. Każda z dziewięciu kamer zarejestrowała tę samą nawałnicę wodną.

Linia frontu

— Idą — oznajmił Jones. Pisaki kreśliły niemal identyczne znaki na papierze. Cienkie ślady w paśmie tysiąca herców wskazywały, że w użyciu były systemy *Preria-Maska*, a równie słabo widoczne znaki na niskiej częstotliwości oznaczały użycie okrętowych diesli. Okrętów było siedem i choć namiary nie wykazywały zmian, z pewnością wkrótce zmienią położenie.

Japońskie okręty podwodne szły na chrapach, ale nie zgadzał się czas. Zazwyczaj zaczynały płynąć na chrapach godzinę po rozpoczęciu wachty, co pozwalało oficerom i marynarzom dyżurnym przywyknąć na powrót do okrętu po okresie wypoczynku. Ponadto dawało im to szansę

przeprowadzenia

kontroli

hydroakustycznej

przed

wykonaniem

tego

najniebezpieczniejszego manewru. Ale od rozpoczęcia wachty minęło dwadzieścia pięć minut, a wszystkie okręty zaczęły iść na chrapach w przeciągu tych samych pięciu minut. Mogło to oznaczać tylko jedno: rozkaz zmiany pozycji. Jones podniósł słuchawkę i połączył się z dowódcą sił podwodnych na Pacyfiku.

— Mówi Jones.

— Co się dzieje, Ron?

— Nie wiem, jaką przynętę właśnie wrzuciliście do wody, ale na pewno dali się na nią złapać. Śledzę siedem okrętów — zameldował. — Kto na nie czeka?

— Nie przez telefon, Ron — rzucił Mancuso. — jak tam u was?

— Panujemy nad sytuacją — odparł Jones, omiatając wzrokiem pomieszczenie. Wszyscy pracownicy stacji świetnie znali się na swoim fachu, a po dodatkowym szkoleniu, jakie im urządził, pracowali na sto dwa.

— W takim razie przynieś tu do nas swoje dane. Zasłużyłeś sobie na to.

— Do zobaczenia za dziesięć minut — odparł.

— Dopadliśmy je — oznajmił Ryan.

— Na ile jesteś pewien? — spytał Durling.

— Proszę spojrzeć. — Jack położył na biurku prezydenta trzy zdjęcia, przesłane kurierem z Narodowej Agencji Zwiadu.

— Tak przedstawiało się to miejsce wczoraj. — W rzeczywistości niewiele było widać, prócz baterii rakiet *Patriot*. Druga fotografia ukazywała więcej i choć był to czarno-biały obraz radarowy, został on nałożony komputerowo na inne zdjęcie satelitarne dla otrzymania precyzyjniejszego obrazu terenu z podziemnymi wyrzutniami raketowymi. — To zrobiono siedemdziesiąt minut temu — rzekł Ryan, podsuwając trzecią fotografię.

— Przecież tu jest jezioro. — Zdziwiony Durling podniósł wzrok, pomimo że go o tym informowano.

— Cały teren pokrywa około trzydziestometrowa warstwa wody i taki stan utrzyma się przez następne kilka godzin — wyjaśnił Jack. — Rakiety zostały zniszczone...

— Ilu ludzi zginęło? — spytał Durling.

— Ponad setka — zameldował doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, czując, jak uchodzi z niego cały entuzjizm. — Panie prezydencie... nie można było tego uniknąć.

Prezydent pokiwał głową.

— Wiem. Na ile możemy być pewni, że te rakiety...

— Ze zdjęć wykonanych przed powodzią wynika, że siedem szybów raketowych zostało na pewno trafionych i zniszczonych, jeden prawdopodobnie, a co do dwóch pozostałych nie mamy pewności, ale uszkodziła je siła wybuchu. Zabezpieczenia uszczelniające w pokrywach szybów nie wytrzymają tak dużego ciśnienia wody, a rakiety balistyczne są zbyt delikatne na takie traktowanie. Dorzucimy do tego cały gruz jaki niosła woda. Rakiety zostały zniszczone najlepiej jak potrafiliśmy to zrobić, bez uciekania się do ataku nuklearnego — Jack urwał. — Ten plan wymyślił Robby Jackson. Dziękuję, że pozwolił mi pan go za to wynagrodzić.

— Jest już na lotniskowcu?

— Tak.

— No cóż, zdaje się, że jest odpowiedni do tej roboty, czyż nie tak? — prezydent zadał retoryczne pytanie, z wyraźną ulgą przyjmawszy przedstawione mu wiadomości.

— A teraz, panie prezydencie, postaramy się załatwić całą sprawę raz na zawsze.

Zabrzączał telefon. Durling podniósł słuchawkę. — Co tam, Tish?

— Japoński rząd właśnie ogłosił, że dysponują bronią nuklearną i mają nadzieję, że...

— Już nie mają — przerwał Durling swojemu rzecznikowi prasowemu. — Będzie lepiej, jeśli wydamy własne oświadczenie.

— Rany! — wykrzyknął Jones, spoglądając na mapę ścienną. — Ale się pośpieszyłeś, Bart.

Linia biegła na zachód od Marianów. „Nevada” był okrętem najdalej wysuniętym na północ. Trzydzieści mil na południe znajdował się „West Virginia”. Trzydzieści mil dalej tkwił

„Pennsylvania”. „Maryland”, także były okręty rakietowe, zajmował najbardziej na wschód wysuniętą pozycję. Linia miała długość dziewięćdziesięciu mil, a w rzeczywistości ciągnęła się jeszcze dodatkowe trzydzieści mil morskich, piętnaście na północ i piętnaście na południe od okrętów na flankach. Przebiegała dwieście mil na zachód od idącej zachodnim kursem linii japońskich okrętów podwodnych. Amerykańskie okręty właśnie zajęły pozycje po ostrzeżeniu z Waszyngtonu, że w jakiś sposób nastąpił przeciek informacji na stronę japońską.

— Coś podobnego miało już kiedyś miejsce, prawda? — spytał Jones. Przypomniał sobie, że nazwy tych okrętów należały niegdyś do pancerników, które przydybano, gdy stały przy nabrzeżu pewnego grudniowego poranka, wiele lat przed tym, zanim przyszedł na świat.

Ówczesni właściciele tych nazw zmartwychwstali z mułu i dostali zadanie odebrania Filipin, zapewniając wsparcie artyleryjskie desantowi *marines*. Pewnej ciemnej nocy w cieśninie Surigao, zespół pancerników dowodzony przez komandora Jessiego Oldendorfa... ale nie czas na wykłady z historii.

— A co z niszczycielami? — spytał Chambers.

— Zgubiliśmy je, gdy weszły za archipelag Bonin. Prędkość i kurs zdawały się dość stałe.

Przejdą nad „Tennessee” około północy czasu miejscowego, ale do tego czasu nasz lotniskowiec...

— Domyśliłeś się całej operacji — zauważył Mancuso,

— A co myślisz, przecież przetrząsam dla ciebie cały ocean.

— Panie i panowie — przemówił prezydent w sali konferencyjnej Białego Domu. Ryan spostrzegł, że Durling improwizował, podpierając się jedynie jakimiś nabazgranymi notatkami.

— Jeszcze tego wieczora słyszeliście, jak rząd japoński oświadczył, że ich kraj wyprodukował i posiada międzykontynentalne pociski z głowicami nuklearnymi.

Nasz rząd wiedział już o tym od kilku tygodni, a istnienie tej broni było powodem uważnych i

ostrożnych posunięć podczas kryzysu na Pacyfiku. Jak możecie sobie państwo łatwo wyobrazić, wydarzenia te zaważyły na naszej reakcji wobec japońskiej agresji przeciwko terytorium i obywatelom amerykańskim na Marianach. W chwili obecnej mogę was poinformować, że rakiety te zostały zniszczone i już nie istnieją — oświadczył Durling namaszczonego tonem.

— Obecna sytuacja wygląda następująco: siły japońskie nadal kontrolują Mariany, zaś Stany Zjednoczone Ameryki nie mogą się na to godzić. Ludzie zamieszkujący te wyspy to amerykańscy obywatele, zatem siły amerykańskie zrobią wszystko, by przywrócić im wolność i ich prawa. Powtarzam: zrobimy wszystko, by wyspy te powróciły pod jurysdykcję Stanów Zjednoczonych.

Dziś jeszcze wezwiemy Premiera Goto, by wyraził gotowość bezzwłocznego ewakuowania sił japońskich z wysp Mariańskich. W razie odmowy będziemy się czuli zmuszeni użyć wszelkich środków, aby je stamtąd usunąć.

To wszystko, co w tej chwili mam do powiedzenia. Jeśli macie państwo jeszcze jakieś pytania związane z wydarzeniami dzisiejszego wieczoru, polecam waszej uwadze mojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, doktora Johna Ryana.

Prezydent ruszył do drzwi ignorując jazgot wykrzykiwanych pytań, a w tym czasie ustawiano już ekrany, by przedstawić sytuację bardziej obrazowo. Ryan stał przy pulpicie i czekał. Po chwili zaczął mówić powoli i wyraźnie.

— Panie i panowie, nazwaliśmy tę operację TIBBETS. Na wstępie, jeśli państwo pozwolicie, pokażę, gdzie znajdowały się cele. — Pierwsza fotografia została odkryta i po raz pierwszy Amerykanie mieli możliwość zobaczyć to, co dotąd widziały tylko satelity zwiadowcze.

Ryan uniósł wskaźnik i począł objaśniać scenę wydarzeń, dając czas fotografom na ustawienie aparatów.

— O cholera! — stwierdził Manuel Oreza. — A więc to tak.

— Według mnie to wystarczający powód — odparł Pete Burroughs. Za chwilę obraz zniknął.

— Przepraszamy państwa, ale tymczasowa usterka techniczna zakłóciła przekaz obrazu

— powiedział jakiś głos.

— Niech to szlag! — sarknął Dniówka.

— Mam nadzieję, że teraz zajmą się nami. Najwyższy czas, do kurwy nędzy — pomyślał Oreza.

— Manny, a co z tymi rakietami na wzgórzu niedaleko od nas? — dopytywała się jego żona.

— Przygotowujemy dla państwa kopie tych fotografii. Powinny być gotowe za około godzinę. Przepraszam za to opóźnienie — powiedział Jack. — Ostatnio byliśmy bardzo zajęci.

Tak więc, operacja została przeprowadzona za pomocą bombowców *B-2* z bazy lotniczej Whiteman w stanie Missouri.

— Które wystartowały skąd? — drążył jakiś reporter.

— Zdaje pan sobie sprawę, że tego nie możemy zdradzić — odparł Jack.

— Jest to wyrzutnia rakiet nuklearnych — odezwał się inny głos. — Czy użyliśmy ładunków jądrowych?

— Nie. Uderzenie wymierziliśmy posługując się bombami konwencjonalnymi o dużej dokładności. Poproszę o następne zdjęcie — zwrócił się Ryan do mężczyzny przy stojaku. — jak można zauważyć, dolina pozostała właściwie nietknięta. — Szło mu łatwiej, niż się spodziewał i może lepiej, że nie miał przedtem zbyt dużo czasu, by się tym wszystkim denerwować.

Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy prowadził taką odprawę w Białym Domu. Było o wiele gorzej, mimo że teraz świeciły mu w oczy reflektory operatorów telewizyjnych.

— Zniszczyliście tamę?

— Tak, zgadza się. Było to konieczne, by mieć pewność, iż ta broń została unieszkodliwiona i...

— Były jakieś ofiary?

— Wszystkie nasze samoloty znajdują się w drodze powrotnej lub już dotarły na miejsce, jednak nie jestem pewien.

— Ale mnie chodzi o ofiary po stronie Japończyków — nie dawała za wygraną dziennikarka.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Jack bezbarwnym głosem.

— A czy to pana obchodzi? — pytała dalej.

— Celem tej misji, proszę pani, było wyeliminowanie broni nuklearnej wycelowanej w Stany Zjednoczone, pozostającej w posiadaniu kraju, który zaatakował nasze terytorium. Czy w tej operacji zabiliśmy obywateli Japonii? Tak. Ilu? Nie wiem. W tym przypadku martwiliśmy się o życie Amerykanów. Chciałbym byście państwo pamiętali, iż to nie my rozpoczęliśmy tę wojnę, tylko Japonia. Jeśli rozpoczyna się wojnę, bierze się na siebie ryzyko. Było to więc ryzyko, które oni podjęli i w tym przypadku przegrali. Jestem doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i do moich obowiązków należy przede wszystkim obrona tego kraju. Czy to jasne?

— spytał Ryan. Pozwolił, by w jego głosie zabrzmiała gniewna nutka. Choć na twarzy dziennikarki

malowało się święte oburzenie, paru jej kolegów skinęło głowami.

— A co pan powie o skierowanej do prasy prośbie, by kłamała, aby...

— Dość! — rozkazał wściekłym głosem Ryan. — Czy chce pani wystawić na niebezpieczeństwo życie amerykańskich żołnierzy? W jakim celu? Po co, do cholery, pani to robi?

— Naciskaliście na środki masowego przekazu, by...

— Ten program jest oglądany na całym świecie. Wie pani o tym, prawda? — Ryan przerwał, by wziąć oddech. — Panie i panowie, przypominam wam, że większość osób w tym pokoju to obywatele amerykańscy. To, co teraz powiem, powiem od siebie. — Obawiał się spojrzeć w stronę, gdzie stał prezydent. — Zdajecie sobie sprawę, że prezydent jest odpowiedzialny przed matkami, ojcami, żonami i dziećmi za bezpieczeństwo ludzi, którzy noszą mundur naszego kraju. W grę wchodzi życie prawdziwych ludzi i życzyłbym sobie, żebyście wy, ludzie prasy, pamiętali o tym od czasu do czasu.

— Jezu! — wyszeptała Tish Brown za plecami Durlinga. — Panie prezydencie, może dobrze by było...

— Nie. — Potrząsnął głową prezydent. — Niech mówi dalej.

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Ktoś wyszeptał coś potępiająco pod adresem dziennikarki, która usiadła, oblewając się rumieńcem.

— Doktorze Ryan, Bob Holtzman z „Washington Post” — przedstawił się niepotrzebnie.

— Jakie są szanse zakończenia tego konfliktu bez dalszego uciekania się do przemocy?

— Proszę pana, to zależy wyłącznie od rządu japońskiego. Obywatele Marianów są, jak to powiedział pan prezydent, obywatelami amerykańskimi, a nasz kraj nie pozwoli, by inne narody zmieniły ten stan rzeczy. Jeśli Japonia zechce wycofać swoje siły, może to zrobić bez przeszkód. Jeśli nie, będą miały miejsce kolejne operacje.

— Dziękuję, doktorze Ryan — powiedział głośno Holtzman, ostatecznie kończąc konferencję prasową. Jack pośpieszył w stronę drzwi, ignorując następne pytania.

— Dobra robota — stwierdził Durling. — Może pójdziesz do domu trochę się przespać?

— A to co? — spytał celnik.

— Mój sprzęt fotograficzny — odpowiedział Czekow. Otworzył walizkę, nie czekając na rozkaz. W terminalu było ciepło, południowe słońce tropików przedzierało się przez szklane ściany i brało górę nad klimatyzacją. Łatwo przyszło im wypełnić najnowsze rozkazy.

Japończycy chętnie widzieli na Marianach dziennikarzy zarówno po to, by byli świadkami kampanii wyborczej, jak również dlatego, że ich obecność zabezpieczała w pewnym stopniu wyspy przed amerykańskim atakiem.

Celnik spojrział na aparaty fotograficzne, z zadowoleniem stwierdzając, że wszystkie były wyprodukowane w Japonii. — A to?

— Lampy błyskowe są rosyjskie — wytłumaczył Ding chropowatym angielskim. —

Robimy bardzo dobre lampy. Może pewnego dnia zaczniemy je sprzedawać w waszym kraju — dodał z uśmiechem.

— Tak, być może — odparł urzędnik, zamykając walizkę i znacząc ją kredą. — Gdzie się zatrzymacie?

— Nie udało nam się zarezerwować hotelu — odpowiedział Klierk — Ale coś znajdziemy.

Powodzenia, chciał przez moment powiedzieć im celnik. Słowo to przyplątało mu się niechcący. Dałby sobie głowę uciąć, że wszystkie pokoje na Saipanie są zajęte. No cóż, to nie jego zmartwienie.

— Można tu wynająć samochód?

— Tak, tędy — wskazał urzędnik. Przeszło mu przez myśl, że starszy z Rosjan wygląda na zdenerwowanego.

— Spóźnił się pan.

— Przykro mi — odparł Oreza zdawkowo. — Nie dzieje się nic nowego. No, może myśliwce są trochę aktywniejsze, ale nie za bardzo, i tak cały czas kręcą się jak w ukropie...

— Będziecie mieć wkrótce towarzystwo — powiedziano z Ośrodka Dowodzenia Sił Zbrojnych USA.

— Kto to będzie?

— Dwaj fotoreporterzy. Mają do pana kilka pytań — padła odpowiedź.

— Kiedy?

— W każdej chwili. Przypuszczalnie dzisiaj. Wszystko u was w porządku, bosmanie?

Starszy bosmanie, palancie, chciał odparować Dniówka. — W najlepszym porządku.

Widzieliśmy część przemówienia prezydenta. Trochę się obawiamy, bo bateria raketowa stoi blisko

domu i...

— Zostaniecie ostrzeżeni. Czy wasz dom ma piwnicę? — spytał głos.

— Nie.

— No to w porządku. Damy wam znać, dobrze?

— Jasne, sir. Bez odbioru.

Czy wasz dom ma piwnicę? Nie. No to w porządku. Jeśli w porządku, to po cholere się pytałeś? Oreza wyjął telefon z miski, odłączył baterie i podszedł do okna. Dwa *Eagle* odrywały się od płyty lotniska. Coś się kroilo, ale nie wiedział co. Pewnie piloci myśliwców też nie mieli pojęcia, ale nie sposób było odczytać ich myśli, patrząc tylko na ich samoloty.

Sziro Sato położył *F-15J* w prawy zakręt, by opuścić korytarz dla samolotów cywilnych.

Jeśli Amerykanie zdecydują się zaatakować, postąpią tak jak podczas ataków na Wyspy Japońskie. Wystartują z baz lądowych, daleko stąd, wspierani przez samoloty-cysterny. Może z Wake, ale w grę wchodzi jeszcze kilka innych wysp. Stanie oko w oko z samolotami podobnymi do tego, za którego sterami teraz siedział. Będą wspierani przez samoloty walki radioelektronicznej. On także. Uczciwa walka, chyba że te dranie przylecą na samolotach *stealth*.

Niech je cholera weźmie. Niech je cholera weźmie za to, że potrafiły podejść Kami! Jednak Amerykanie nie mieli ich wiele. Jeśli przylecą w dzień, zaryzykuje. Przynajmniej tutaj obejdzie się bez niespodzianek. Na najwyższym punkcie Saipanu stał ogromny radar przeciwlotniczy, a na Guam stacjonowały eskadry myśliwców. To będzie prawdziwy pojedynek, powiedział sobie, wspinając się na pułap patrolowy.

— Co jest grane? — spytał Chavez, bawiąc się mapą.

— Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział.

— Skręć w następną w lewo, zdaje się, przy Mobil Lizania. — Chavez podniósł wzrok znad mapy. Wokół roilo się od żołnierzy, którzy okopywali się na pozycjach. Powinni byli zrobić to już wcześniej, pomyślał. — Czy to bateria *Patriot*?

— Na moje oko tak. — Jak do diabła mam to przeprowadzić? — pytał się w duchu Clark.

Odszukał ostatni skręt i wjechał w ślepa uliczkę. Numer domu zgadzał się z tym, który zapamiętał. Zaparkował na podejździe, wysiadł i ruszył w kierunku frontowych drzwi.

Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, Oreza kończył właśnie zasłużony prysznic, a Burroughs zajmował się skrupulatnym liczeniem samolotów wlatujących i wylatujących z Klobber.

— Kim panowie jesteście?

— Nie powiedzieli panu? — odpowiedział Clark, rozglądając się wokół. Kim, do diabła, jest ten facet?

— Reporterzy, tak?

— Tak, zgadza się.

— W porządku. — Borroughs otworzył drzwi i omiół wzrokiem ulicę.

— A więc kim jesteście? Myślałem, że to dom...

— Przecież ty nie żyjesz! — Oreza stał w korytarzu, odziany jedynie w szorty koloru khaki, z piersią ginącą w gęstym owłosieniu, przypominającym pozostałości dżungli na wyspie.

Włosy wydawały się teraz szczególnie ciemne, gdyż reszta jego ciała przybrała nagle mleczny kolor. — Przecież ty nie żyjesz, do kurwy nędzy!

— Serwus, Dniówka — powitał go z uśmiechem Klierk-Clark-Kelly. — Kupa czasu.

Oreza stał jak wryty. — Widziałem, jak zginąłeś. Byłem na twoim pieprzonym pogrzebie. Byłem tam!

— I ja cię znam — powiedział Chavez. — Byłeś na tej łajbie Straży Przybrzeżnej, na której wylądował nasz śmigłowiec. Co się tu do cholery dzieje? Jesteś z Firmy?

Oreza nie mógł się w tym wszystkim połapać. Tego niskiego nie pamiętał wcale, ale ten wysoki, starszy, mniej więcej w jego wieku był — nie, nie mógł być — a jednak... To niemożliwe? A może?

— John? — spytał po dalszych kilku sekundach niepewności.

Tego było za wiele dla mężczyzny, którego kiedyś znano pod nazwiskiem John Kelly.

Odstawił torbę i ruszył, by uściskać Orezę, zaskoczony łzami w swoich oczach. — Tak, Dniówka, to ja. Jak leci?

— Ale jak..?

— A czy nie powiedzieli na pogrzebie: „mocną i głęboką nadzieję, że morze odda umarłych”? — Przerwał i nie mógł powstrzymać uśmiechu. — No więc oddało.

Oreza zamknął oczy, przeżywając jeszcze raz to, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu.

— Ci dwaj admirałowie, prawda?

— Punkt dla ciebie.

— W takim razie, co, do diaska, robiłeś?

— CIA, przyjacielu. Stwierdzili, że potrzebują kogoś, kto mógłby, jak by to powiedzieć...

— To pamiętam. — Właściwie nie zmienił się zbyt. Starszy, ale włosy te same, i oczy, ciepłe i szczerze jak zawsze — pomyślał Dniówka. Lecz pod spodem, cień czegoś jeszcze, jakby zwierzę w klatce, ale zwierzę, które umie otworzyć ją sobie kiedy tylko zechce.

— Słyszałem, że nieźle sobie radzisz, jak na przybrzeźniaka na emeryturze.

— Starszy bosman sztabowy. — Oreza potrząsnął głową. Przeszłość może poczekać —

Co jest grane?

— No cóż, wypadliśmy z obiegu na parę godzin. Masz jakieś świeże wiadomości?

— Prezydent występował w telewizji, ale przerwali transmisję.

— Naprawdę mieli broń nuklearną? — spytał Borroughs.

— Mieli? — odparł Ding. — Czy to znaczy, że ją dupnęliśmy?

— To właśnie powiedział. A tak swoją drogą, to kim pan, do diabła, jest? — nie mógł się powstrzymać Oreza.

— Domingo Chaves. — Młodzieniec wyciągnął rękę. — Widzę, że zna się pan z panem C.

— Teraz nazywam się Clark — wyjaśnił John. Aż dziw, jak miło rozmawiało się z człowiekiem, który znał jego prawdziwe nazwisko.

— Czy on wie?

John pokręcił przecząco głową. — Niewielu wie. Większość już nie żyje. Admirał

Maxwell i admirał Greer. Szkoda, oni uratowali mi tyłek.

— Taki psi los, stary — Oreza zwrócił się do drugiego gościa. — Tak to już bywa na tym pieprzonym morzu. Pijasz jeszcze piwo, John?

— Zwłaszcza, gdy jest za darmo — odpowiedział za niego Chavez.

— Nie rozumiesz? Wszystko skończone!

— Kogo jeszcze zabili? — spytał Yamata.

— Matsudę, Itagake... wszystkich protektorów każdego ministra, wszystkich prócz mnie i ciebie — powiedział Murakasami, nie dodając już, że mało brakowało, by sam podzieliłby los tamtych. — Raizo, czas już położyć temu kres. Zadzwoń do Goto i powiedz mu, by wynegocjował pokój.

— Nie zrobię tego! — prychnął Yamata.

— Nie rozumiesz? Zniszczono nasze rakiety, więc...

— Zatem zrobimy nowe. Jesteśmy w stanie wyprodukować następne głowice, a poza tym, mamy zapas pocisków w Yoszinobu.

— Ty głupcze! Jeśli tego spróbujemy, wiesz, co zrobią Amerykanie.

— Nie będą mieli odwagi.

— Powiedziałeś nam, że nie zdołają naprawić szkód, które wyrządziłeś ich systemowi finansowemu. Powiedziałeś nam, że mamy niepokonaną obronę powietrzną. Powiedziałeś, że nigdy nie będą w stanie wziąć skutecznego odwetu. — Murakasami przerwał, by wziąć oddech.

— Powiedziałeś nam to wszystko i myliłeś się. Teraz jestem ostatnią osobą, do której możesz przemawiać, ale ja nie będę cię słuchał. Każ Goto zawrzeć pokój!

— Oni nigdy nie dostaną tych wysp z powrotem. Nigdy! Nie mają środków po temu.

— Mów co chcesz, Raizo-chan. Dla mnie to koniec.

— W takim razie znajdź sobie dobrą kryjówkę. — Yamata rzuciłby słuchawką, lecz przenośny telefon nie dawał takiej możliwości. — Mordercy — mruknął. Cały poranek zajęło mu zbieranie informacji. W jakiś sposób Amerykanie uderzyli w jego własną radę *zaibatsu*. Jak?

Tego nikt nie wiedział. W jakiś sposób przedarli się przez obronę, która, według jego doradcy miała być niezwyciężona i zniszczyli rakiety międzykontynentalne. Jak? — pytał siebie.

— Wygląda na to, że nie doceniliśmy resztek ich sił powietrznych — odparł generał

Arima wzruszając ramionami. — Ale to nie koniec. Mamy jeszcze inne rozwiązania.

— Tak? — Nie wszyscy się jednak poddali.

— Nie przeprowadzą na wyspy inwazji. Odczuwają dotkliwy brak śmigłowców desantowych. Zresztą nawet jeśli udałoby się im przetrzucić swoich ludzi na wyspę, to czy pójdą na strzelaninę w obecności tak wielu własnych obywateli? Nie. — Arima potrząsnął głową. —

Nie będą ryzykować. Będą dążyli do wynegocjowania pokoju. A więc nadal istnieje szansa, jeśli nie na całkowity sukces, to na negocjacje pokojowe, w wyniku których nasze siły w większości pozostaną nietknięte.

Yamata musiał się z tym zgodzić. Patrzył przez okno na wyspę, która miała należeć do niego. Nadal można wygrać wybory, pomyślał. Trzeba tylko zaatakować wolę polityczną Amerykanów, a to mógł

jeszcze zrobić.

Przygotowanie 747 do powrotnego lotu do Narita nie zajęło dużo czasu, ale ku zdziwieniu kapitana Sato samolot wypełnił się do połowy pasażerami. Trzydzieści minut po starcie, stewardesa poinformowała go przez telefon pokładowy, że z pytanych przez nią dwunastu osób wszyscy prócz dwóch twierdzili, że pilne interesy wymagają ich obecności w domu. Jakież to mogą być pilne interesy? — zastanowił się Sato. Międzynarodowy handel w jego kraju ograniczał się aktualnie do statków kursujących między Japonią i Chinami.

— Sprawy przyjmują nienajlepszy obrót — zauważył drugi pilot po godzinie lotu. —

Proszę spojrzeć w dół.

Dostrzeżenie okrętów z wysokości dziesięciu tysięcy metrów nie nastroczało trudności, a w ostatnim czasie mieli zwyczaj zabierać ze sobą lornetkę, by móc identyfikować jednostki nawodne. Sato sięgnął po lornetkę i przyłożywszy ją do oczu rozpoznał charakterystyczne kształty idących nadal północnym kursem niszczycieli *Aegis*. Dla kaprysu przełączył radio na chronioną częstotliwość.

— Siedem Cztery Siedem Japońskich Linii Lotniczych do „Mutsu”, odbiór.

— Kto mówi? — odezwał się jakiś głos. — Natychmiast zwolnić tę częstotliwość!

— Tu kapitan Toradžiro Sato. Dajcie do mikrofonu dowódcę eskadry! — polecił, przyjmując rozkazujący ton. Nie czekał długo.

— Toradžiro, nie powinieneś tego robić — zbeształ go Yusuo Sato. Cisza radiowa była tyle formalnością, co rzeczywistą koniecznością wojska. Wiedział, że Amerykanie mają satelity zwiadowcze, a nawiasem mówiąc, radary *SPY* eskadry pracowały pełną mocą. Jeśli jakiś amerykański „węszyciel” znajduje się w pobliżu, na pewno dowie się, gdzie przebywają niszczyciele. Jeszcze tydzień temu taka możliwość nie nadszarpnęłaby jego pewności siebie, ale nie teraz.

— Chciałem jedynie wyrazić ufność jaką pokładamy w tobie i twoich ludziach.

Potraktujcie nas jako ćwiczebny cel.

W bojowym centrum informacyjnym na „Mutsu” obsługa wyrzutni raketowej właśnie to robiła, ale admirał zdawał sobie sprawę, że nie ma co o tym wspominać.

— Miło cię usłyszeć. Wybacz, ale mam dużo pracy.

— Rozumiem, Yusuo. Bez odbioru.

Sato zdjął palec z wyłącznika radia. — Widzisz. Oni wykonują swoją pracę, a my musimy zająć się naszą.

Drugi pilot nie miał co do tego takiej pewności, ale Sato był kapitanem 747, więc nie odezwał się słowem, skupiając się na nawigacji. Podobnie jak większość Japończyków, został

wychowany w taki sposób, by postrzegać wojnę jako coś, czego trzeba się wystrzegać tak skrzętnie jak morowej zarazy. Konflikt z Amerykanami rozwinął się z dnia na dzień i co tu dużo mówić, miło było przez dzień lub dwa dać lekcję tym aroganckim *gaidzin*. Ale była to czysta fantazja, która oblekała się teraz w rzeczywiste kształty. A potem to dwuznaczne obwieszczenie, że w ich kraju rozmieszczono broń nuklearną — samo w sobie wystarczające szaleństwo — po którym Amerykanie bezzwłocznie zapewniali, że została ona zniszczona. Prowadził amerykański samolot, *Boeing 747-400*, pięcioletni, ale zbudowany w każdym calu w oparciu o najnowsze osiągnięcia techniczne, niezawodny i solidny. Amerykanie wiedzieli niemal wszystko o budowie samolotów, a wiedząc jak dobry jest ten *Boeing*, mógł tylko domyślać się jak groźne są ich samoloty bojowe. Jego ojczyste Siły Powietrzne wyposażone były w kopie amerykańskich konstrukcji — prócz samolotów wczesnego ostrzegania 767, o których słyszał wpierw, że są niezwyciężone, a ostatnio, że zostało ich już tylko kilka. Ten obłęd musi się skończyć. Czy nikt tego nie rozumie? Niektórzy tak, pomyślał drugi pilot, gdyż inaczej dlaczego samolot do połowy wypełniali ludzie, którzy nie chcieli zostać na Saipanie mimo wcześniejszego entuzjazmu?

Ale kapitan Sato tego nie rozumie, pomyślał drugi pilot. Toradžiro Sato siedział

nieruchomo jak kamień na lewym fotelu, jak gdyby to wszystko było najzupełniej normalne, choć wyraźnie tak nie było.

Wystarczyło tylko spojrzeć w dół i przyjrzeć się niszczycielom. Co one robią? Strzegą wybrzeży kraju przed możliwym atakiem. Czy to normalne?

— Centrala, tu hydro.

— Centrala, słucham. — Claggett dowodził popołudniową wachtą. Chciał, by załoga widziała, że pracuje, a co ważniejsze, nie chciał stracić wyczucia w kierowaniu okrętem.

— Mamy przypuszczalne namiary obcych obiektów na południu — zameldował szef sonarzystów. — Kurs sto siedemdziesiąt jeden. Wyglądają na jednostki nawodne. Odbieram uderzenia dziobów o fale. Śruby na bardzo wysokich obrotach.

To by się zgadzało, pomyślał dowódca, ponownie kierując się do kabiny hydrolokacji.

Miał właśnie rozkazać wykreślenie nowego kursu, ale spostrzegł, że dwóch sterników już się tym zajęło, a analizator toru fali dźwiękowej drukuje pierwszą ocenę odległości do celów. Załoga okrętu wpadła już w rytm pracy na okręcie i wszelkie czynności wykonywała automatycznie, ale co ważne, działanie szło w parze z myśleniem.

— Dam głowę, że są daleko stąd, ale proszę spojrzeć na to — rzekł szef. Wyraźnie uchwycili prawdziwy kontakt. Informacje ukazywały się w czterech różnych zakresach częstotliwości. Szef

hydro zsunął słuchawki. — Słyszę wiele śrub, sporo szumów silników oraz pęcherzyki kawitacyjne. To na pewno kilka jednostek idących w szyku.

— A nasz przyjaciel? — zainteresował się Claggett.

— Ten podwodniak? Znow siedzi cicho. Pewnie robi jakieś pięć na akumulatorach. —

Ten kontakt znajdował się dobre dwadzieścia mil od nich, tuż poza normalnym zasięgiem wykrywania.

— Panie komandorze, wstępna ocena odległości do nowych obiektów wynosi około sześćdziesięciu mil, namiar w strefie konwergencji — zameldował inny operator.

— Kurs bez zmian, ani drgnie. Przejdą prosto nad nami lub gdzieś w pobliżu. Jakie warunki na powierzchni?

— Fale od pół do metra. — Sześćdziesiąt mil, myślał Claggett. Pędzą na złamanie karku.

Pchają się mu na muszkę, a jemu nie wolno strzelać. Do diabła z tym. Poszedł do oddalonej o trzy kroki centrali.

— Ster prawo dziesięć. Nowy kurs dwa-siedem-zero.

„Tennessee” wszedł na zachodni kurs, by operatorzy hydrolokatorów mieli lepszy namiar na zbliżające się okręty. Ostatnie dane wywiadowcze przewidywały taki rozwój wypadków.

W bardziej dramatycznej scenerii, przed telewizyjnymi kamerami, z pewnością panowałyby inna atmosfera, ale choć okoliczności w pewnym sensie miały dramatyczny posmak, czuli się w tej chwili jedynie zmarznięci i nieszczęśliwi. Mimo że należeli do elitarnych oddziałów, łatwiej przyszłoby im teraz ruszyć do walki z człowiekiem, niż nieprzerwanie zmagać się z niesprzyjającą naturą. Rangersi, ubrani w białe kombinezony maskujące, zażywali ruchu tylko, gdy było to konieczne i przez ten brak aktywności fizycznej padali łatwą ofiarą zimna i nudy, najgroźniejszych wrogów każdego żołnierza.

Dobrze jest, pomyślał kapitan Checa. Lepiej, by pojedynczy oddział żołnierzy, oddalony o sześć tysięcy kilometrów od najbliższej bazy Armii USA — którą był Fort Wainwright na Alasce — nudził się śmiertelnie, a nie kręcił się jak w ukropie podczas zażartego boju, nie mając żadnych widoków na odsiecz. Checa musiał stawić czoło problemowi, który nieobcy był

każdemu oficerowi: choć cierpiał te same niewygody i męki, co inni, nie wolno mu było psioczyć. W oddziale nie było innego oficera, przed którym mógłby sobie ulżyć. Nie mógł sobie na to pozwolić w obecności żołnierzy, bo miałoby to destrukcyjny wpływ na morale, choć pewnie by go zrozumieli.

— Chciałoby się wrócić do Fort Steward, prawda panie kapitanie? — zagadnął starszy sierżant Vega. — Walnąć się na plaży i złapać trochę opalenizny.

— Nie tęskniłbyś za śniegiem i deszczem?

— Co to, to nie, panie kapitanie. Napatrzyłem się na to gówno w Chicago, gdy byłem małym szczeniakiem. — Umilkł, a potem zaczął nasłuchiwać i rozglądać się wokół. Rangersi umieli zachowywać ciszę i człowiek musiał naprawdę wytrzeszczać oczy, by dostrzec miejsca, w których rozstawione były czaty.

— Nie odwiedził ci się wieczorny spacererek?

— Mam nadzieję, że ten przyjaciel będzie czekał po drugiej stronie góry.

— Jestem pewny, że tam będzie — skłamał Checa.

— Tak, panie kapitanie, ja też tak myślę. — Jeśli jemu wolno, to mi też, pomyślał Vega.

— A jak poszło tym tutaj?

Piloci śmigłowców spali skuleni w śpiworach, które wsunięto do wysłanych i przykrytych sosnowymi gałęziami dziur w ziemi. Prócz ochraniać lotników, Rangersi byli zmuszeni dbać o ich zdrowie, tak jak gdyby opiekowali się niemowlakami. Dziwne zadanie dla elitarnego oddziału żołnierzy, ale to oni właśnie dostawali przeważnie najdziwniejsze zadania.

— Mówią, że dobrze. — Checa zerknął na zegarek. — Pozbędziemy się ich za jakieś dwie godziny.

Vega skinął głową, modląc się, by zeszywniałe nogi nie dawały mu się we znaki podczas marszu na południe.

Schemat patroli ustalono podczas odprawy. Każdy z czterech okrętów miał przydzielony sektor o szerokości trzydziestu mil. Pojedynczy akwen patrolowy dzielił się z kolei na trzy, szerokie na dziesięć mil sektory. Okręty mogły prowadzić dozór w centralnej części, nie zwracając sobie głowy ruchem w północnym i południowym sektorze, chyba że dotyczył on okrętów wojennych. Sposób przeprowadzania patroli ustalają według uznania poszczególni dowódcy, ale udało im się wypracować tę samą metodę. „Pennsylvania” szedł północnym kursem, robiąc niecałe pięć węzłów, jak niegdyś podczas, stanowiących już część historii, patroli z raketami *Trident* na pokładzie. Okręt emitował tak małe szумы, że łatwo było o zderzenie z wielorybem, gdyby była teraz odpowiednia pora na wieloryby w tej części Pacyfiku. Na końcu długiego kabla ciągnęli holowany układ hydrolokacyjny. Przy trwającym dwie godziny cyklu północ-południe mógł płynąć po prostej. Około dziesięciu minut trwało wykonanie zwrotu na końcu każdego cyklu i ponowne ustawienie układu w linii prostej. W tej pozycji uzyskiwał on maksymalną skuteczność.

„Pennsylvania” płynął na głębokości dwustu metrów, czyli w zanurzeniu idealnym dla hydrolokatorów, biorąc pod uwagę warunki aktualnie panujące w wodzie. Na powierzchni zachodziło słońce, gdy pierwsze znaki pojawiły się na ekranach hydro. Na początku ukazał się szereg kropek, które na ekranie przybrały kolor żółty. Powoli spływały ciurkiem w dół: namiar przesuwiał się lekko na południe. Przypuszczalnie, pomyślał sonarzysta, cel szedł na akumulatorach od kilku godzin, gdyż inaczej uchwyciłby głośniejsze szумы silników diesla, których używano do ich

ładowania. Jednak kontakt tkwił na linii 60 Hz, czyli tam gdzie się go spodziewał. Przekazał dane celu do centrali bojowej.

Czyż to nie wspaniałe, rozmyślał sonarzysta. Całe życie w Marynarce spędził na okrętach raketowych, wielokrotnie śledząc cele, które jego okręt musiał omijać, choć flota raketowa szczyła się z posiadania najwytrawniejszych operatorów broni podwodnej w całej Marynarce.

„Pennsylvania” przynosił jedynie piętnaście torped, jako że panował niedobór najnowszych torped *ADCAP*, a w obecnych okolicznościach nie zwracano sobie głowy zabieraniem broni o słabszych osiągnięciach. Na pokładzie mieli również, przypominające torpedy, ruchome pozoratory okrętów o dużym zasięgu, zwane w skrócie *LEMOSS*. Dowódca „Pennsylvanii”, stary wyga od lat pływający na okrętach raketowych, wyłożył załodze zamierzaną metodę ataku. Prawdę mówiąc, mieli wymarzone zadanie. Japończycy na pewno przekroczą linię amerykańskich patroli. Przy swojej technice operacyjnej mieli małe szanse, by przedrzeć się niezauważeni przez linię frontu, jak zaczął nazywać linię patrolu dowódca „Pennsylvanii”

— Proszę o uwagę — odezwał się komandor przez system nagłaśniający *I-MC*.

Wszystkie głośniki ściszone, tak że każdy natężał słuch, by uchwycić ogłoszenie, które przybrało postać szmeru. — Mamy przypuszczalny kontakt w odległości skutecznego strzału. Zamierzam przeprowadzić atak tak jak to omówiliśmy. Załoga na stanowiska bojowe — zakończył tonem człowieka zamawiającego śniadanie w Burger Kingu.

Napływające sygnały były tak słabe, że tylko jeden, najbardziej doświadczony sonarzysta był w stanie je wyłowić. Z głośnika w centrali popłynęły meldunki, że wszystkie stanowiska są w pełni obsadzone i gotowe, po czym na okręcie zrobiło się tak cicho, jak na cmentarzu w wigilię Wszystkich Świętych.

— Sygnał jest coraz wyraźniejszy — zameldował sonarzysta do mikrofonu. — Cel zmienia kurs na zachodni. Kurs na przechwycenie siedem-pięć. Odbieram słabe odgłosy śrub obiektu, przypuszczalna prędkość dziesięć węzłów.

Utwierdziło ich to w przekonaniu, że mają przed sobą okręt podwodny. Obcy okręt o napędzie spalinowo-elektrycznym również wyposażony był w holowany układ hydrolokatora i stosował taktykę sprintu i dryfu, na zmianę przechodząc do maksymalnej prędkości, by następnie zwolnić w celu wykrycia tego, co umknie uwadze przy zwiększonych szumach własnych.

— Torpedy *ADCAP* w wyrzutniach numer jeden, trzy i cztery — zgłosiła technik uzbrojenia. — *LEMOSS* w dwójce.

— Przygotować torpedy — rozkazał dowódca. Większość dowódców wołała mówić

„zagrzać torpedy”, ale tym razem wszystko miało przebiegać regulaminowo.

— Przypuszczalna odległość do celu dwadzieścia tysięcy metrów — zameldował szef kierowania ogniem.

Sonarzysta dostrzegł coś nowego na ekranie hydrolokatora. Poprawił słuchawki.

— Namiar zmienia się. Odbieram trzaski kadłuba Sierra Dziesięć. Kontakt zmienia głębokość.

— Dam głowę, że wypływa — mruknął dowódca ze swojego miejsca metr dalej. To by się zgadzało, pomyślał sonarzysta kiwając głową. — Przygotować *LEMOSS* do odpalenia.

Ustawcie żyroskop na kurs zero. Niech siedzi cicho przez pierwsze dziesięć tysięcy metrów, a potem niech wejdzie na normalny poziom emisji szumów.

— Tak jest, *skipper*. — Technik ustawiła odpowiednie parametry na tablicy programowej. Oficer uzbrojenia sprawdziła instrukcje pozoratora i stwierdziła, że są poprawne.

— Gotowy aparat piąty.

— Sygnał z Sierra Dziesięć nieco osłabł. Prawdopodobnie wyszedł ponad termoklinę.

— Pewny kontakt bezpośredni — oznajmił sonarzysta. — Poza strefą konwergencji.

— Gotowy aparat piąty — ponownie zameldowała technik uzbrojenia.

— Wystrzelić! — rozkazał natychmiast dowódca. — Załadować następny *LEMOSS*.

USS „Pennsylvania” zadrżał nieznacznie, gdy torpeda pozoracyjna została wypchnięta w morze. Hydrolokator namierzył ją od razu, gdy zaczęło ją znosić w lewo. Torpeda zmieniła kurs i ruszyła na północ z prędkością zaledwie dziesięciu węzłów. *LEMOSS*, którego konstrukcję oparto na kadłubie starej torpedy *Mark 48*, był w zasadzie ogromnym zbiornikiem paliwa dla silnika *OTTO*, z małym systemem napędowym oraz dużym przetwornikiem akustycznym, który emitował szum silników okrętowych. Częstotliwość emisji odpowiadała szumom z reaktora nuklearnego, ale dźwięk był głośniejszy niż ten, pochodzący z okrętów klasy *Ohio*. Nikogo nie zastanowiło to, że szum jest zbyt głośny. Okręty torpedowe zawsze dawały się nabrać, nawet amerykańskie, które powinny się lepiej orientować. Nowy model pozoratora mógł pływać przez ponad piętnaście godzin, szkoda tylko, że prace konstrukcyjne dobiegły końca zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak USS „Pennsylvania” został całkowicie i ostatecznie rozbrojony.

Teraz potrzebna była cierpliwość. Japoński okręt zmniejszył jeszcze trochę prędkość, bez wątpienia po raz ostatni przeszukując okolicę na hydrolokatorze przed uruchomieniem diesla, by na dużej prędkości pójść na zachód. Sonarzysta poprowadził *LEMOSS* na północ. Sygnał miał już całkowicie zaniknąć, gdy systemy dźwiękowe włączyły się w odległości pięciu mil. Po przebyciu kolejnych dwóch mil, torpeda pozoracyjna wyskoczyła ponad termoklinę dzielącą zimne i ciepłe wody i zabawa zaczęła się na całego.

— Centrala, tu hydro. Sierra Dziesięć zmieniła właśnie prędkość. Odbieram zmieniony szum śrub. Panie komandorze, cel zwalnia.

— Ma dobry hydrolokator — skonstatował dowódca za plecami sonarzysty.

„Pennsylvania” podeszła nieco do góry, umieszczając holowany hydrolokator ponad termokliną dla lepszej oceny kontaktu, podczas gdy kadłub okrętu pozostawał poniżej. Dowódca obrócił się i rzucił głośniejsze:

— Meldować stan uzbrojenia.

— Numer jeden, trzy i cztery gotowe do strzału. Mają namiar ogniowy celu.

— Ustawić czwórkę na spiralny wzór poszukiwań, kurs początkowy dwadzieścia.

— Czwórka ustawiona według rozkazu. Wyrzutnia numer cztery zatopiona, pokrywa otwarta.

— Wprowadzić kurs i strzelać — rozkazał dowódca w drzwiach przedziału hydrolokacji, po czym dorzucił: — Załadować następną *ADCAP*.

Okręt zadrżał, gdy najnowsza wersja wiekowej torpedy *Mark 48* opuściła rurę wyrzutni, skręcając od razu na północny wschód. Kierowana była za pomocą izolowanego przewodu, który wyslizgiwał się z jej usterzenia ogonowego.

Jak na ćwiczeniach, pomyślał sonarzysta, ale prościej.

— Macie inne kontakty? — spytał dowódca, ponownie stając za jego plecami.

— Nie, panie komandorze. — Marynarz wskazał dłonią na ekrany. Rejestrowali jedynie jakieś przypadkowe szumy. Dodatkowy wskaźnik hydrolokacyjny przeprowadzał co dziesięć minut sprawdzian diagnostyczny, by upewnić się, czy wszystkie systemy funkcjonują poprawnie.

Kto by pomyślał, że po prawie czterdziestu latach służby podwodnych okrętów rakietowych i niemal pięćdziesięciu latach operacji okrętów z napędem atomowym, pierwsze amerykańskie zwycięstwo podwodne przypadnie okrętowi rakietowemu, który miał rzekomo pójść wkrótce na żyletki.

Płynąca ze znacznie większą szybkością torpeda *ADCAP* wyszła ponad termoklinę nieco za rufą obcego okrętu. Jej hydrolokator ultradźwiękowy natychmiast się uaktywnił i za pomocą przewodu przekazał obraz na „Pensylwanię”.

— Jest pewny namiar celu. Odległość trzy tysiące, blisko powierzchni. Wygląda nieźle —

zameldowano z hydro. Oficer uzbrojenia przedstawiła takie samo rozpoznanie na podstawie identycznego odczytu informacji.

— Dobranoc, koleś — wyszeptał jedyny mężczyzna w zespole, przyglądając się, jak dwa punkciki zbiegają się na ekranie. Sierra Dziesięć ruszył momentalnie z maksymalną prędkością, nurkując pod termoklinę. Lecz jego akumulatory były najprawdopodobniej słabo naładowane, gdyż okręt nie robił więcej niż piętnaście węzłów, podczas gdy torpeda sunęła z prędkością ponad sześćdziesięciu. Nierówny wyścig trwał zaledwie trzy i pół minuty, mając swoje ukoronowanie w postaci jaskrawej plamki na ekranie i ogłuszającego dźwięku w słuchawkach sonarzystów. Po chwili nastąpił epilog, który zakończył się przenikliwym zgrzytem stali miażdżonej przez ciśnienie wody.

— Melduję pewne trafienie, *skipper*. — Dwie minuty później, odległy basowy dźwięk na północy oznajmił, że USS „West Virginia” osiągnął ten sam wynik.

— Pan Christopher Cook? — spytał Murray,

— Tak, słucham.

To naprawdę fajny dom, pomyślał zastępca dyrektora, wyjmując legitymację. — Jestem z FBI. Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów na temat pańskich kontaktów z Seidzi Nagumo.

Proszę pójść po płaszcz.

Gdy *Lancery* pokołowały na pas startowy, do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin. Ich załogi, kipiące gniewem po stracie jednego ze swoich szeregów, uważały, że są w nieodpowiednim miejscu, robią nieodpowiednie rzeczy, ale nikt nie pofatygował się spytać ich o zdanie. Z komorami bombowymi pełnymi zbiorników paliwa, bombowce jeden za drugim rozpędzały się po pasie i wzbijały w powietrze, po czym skręcały, wspinając się na pułap sześciu tysięcy metrów, by tam sformować szyk i wziąć kurs na północny wschód.

Kolejna cholerna demonstracja, pomyślał Dubro. Ciekawiło go, w jaki sposób ktoś taki jak Robby Jackson mógł coś podobnego wymyślić. Ale Dubro też dostał rozkazy i w tej chwili każdy z jego lotników, odległych od siebie o pięćdziesiąt mil, obracał się do wiatru, by umożliwić start czterdziestu samolotom z każdego pokładu. Miały nie podejmować żadnych kroków, chyba że zostaną sprowokowane.

Oddział wydzielony

— Mamy prawie pusty samolot — oznajmił drugi pilot obojętnym tonem. Sprawdzenie listy pasażerów weszło już do przedstartowego rytuału.

— Co w tych ludzi wstąpiło? — burknął kapitan Sato, przeglądając plan lotu i sprawdzając prognozę pogody. Zajęło mu to tylko chwilę. Rozległy wyż nasuwał się na zachodni Pacyfik, mieli zatem lecieć w czystym, chłodnym powietrzu. Nie licząc silnych wiatrów, jakie hulały wokół Wysp Japońskich, trzydziestu czterech pasażerów czekał głądki jak jedwab lot na wyspę Saipan. — Trzydziestu

czterech! — zżymał się Sato. — W samolocie zaprojektowanym na ponad trzysta osób!

— Już niedługo przyjdzie nam się wynieść z wysp, panie kapitanie. Nie ma się co oszukiwać. — Było to pewne jak amen w pacierzu. Przeciężni obywatele byli przestraszeni, choć może nie było to najlepszym określeniem. Nigdy w życiu nie przydarzyło mu się coś podobnego.

Ludzie czuli się... zdradzeni? W prasie zaczęły pojawiać się pierwsze artykuły otwarcie poddające w wątpliwość kurs jaki obrała jego ojczyzna i choć używano łagodnych sformułowań, ich sens daleki był od uległości. Poddali się złudzeniom. Japonia nie była przygotowana na wojnę ani psychologicznie, ani tym bardziej militarnie, a jego rodacy coraz częściej zdawali sobie sprawę, co naprawdę się dzieje. Przekazywana pocztą pantoflową wieść o zamordowaniu — bo jakżeby inaczej to nazwać — kilku powszechnie znanych *zaibatsu* wywołała w rządzie zamieszanie. Premier Goto jakby zapadł się pod ziemię, nie wygłaszał przemówień, nie ukazywał

się publicznie, w obawie, że ktoś zada mu pytania, na które nie miał odpowiedzi. Ale wiara kapitana Sato, jak mógł się zorientować drugi pilot, nie została ani trochę zachwiana.

— O nie, nie wycofamy się z wysp. Jak możesz coś podobnego mówić? Te wyspy należą do nas.

— Czas pokaże — odparł drugi pilot, wracając do przerwanej pracy. Wolał już teraz zakończyć dyskusję. Aby lot samolotem pasażerskim przebiegał bezpiecznie musiał sprawdzić stan paliwa, kierunek wiatru i inne parametry techniczne. Pasażerowie nie zdawali sobą sprawy z tych czynności, myśleli pewnie, że załoga po prostu siada w fotelach i zapuszcza silnik, jak gdyby prowadziła taksówkę.

— Dobrze spaliście?

— Wybornie, panie kapitanie. Śnił mi się gorący dzień i gorąca kobieta. — Sposób w jaki Richter podniósł się z ziemi mówił jednak coś innego. Chyba naprawdę jestem już na to za stary, pomyślał chorąży. To los i szczęście, jeśli tak można powiedzieć, zdecydowały, że przydzielono go do tej operacji. Nikt nie wylatał na *Comanche'u* tylu godzin, co on i towarzyszący mu piloci.

Ktoś doszedł do wniosku, że się do tego nadają i nie będzie potrzebna im opieka jakiegoś pieprzonego pułkownika, który co krok dawałby dupy. A teraz nadszedł czas, by się stąd zbierać.

Zerknął na niebo. Hm, nie jest źle. W drodze powrotnej przydałoby się trochę więcej chmur.

— Zatankowaliśmy do pełna.

— Napiłbym się kawy — powiedział.

— Proszę bardzo, panie Richter. — Głos należał do Vegi, starszego sierżanta. —

Smakowita mrożona kawa, taka jaka podają w najlepszych hotelach na Florydzie.

— Wielkie dzięki. — Richter zachichotał, ujmując metalowy kubek. — Nadeszło coś nowego?

Nie jest dobrze, pomyślał Claggett. Formacja niszczycieli *Aegis* podzieliła się i jeden z tych cholernych okrętów zajął pozycję jakieś dziesięć mil od nich. Na dodatek, w pobliżu krążył

nie tak dawno japoński śmigłowiec, co stwierdził, gdy zaryzykował podniesienie anteny detektora emisji radiowych, mimo że pod jego nosem pływał okręt z najlepszym na świecie radarem dozoru powietrznego. Ale na obecność Claggetta w tym miejscu liczyły trzy helikoptery, i tylko to było ważne w tej chwili. Nikt nie twierdzi, że wojna to bezpieczne zajęcie. Bezpieczne nie było ani dla niego, ani dla pilotów śmigłowców.

— Co tam z naszym przyjacielem? — spytał szefa hydro. Przeczący ruch głową stanowił prawdziwą odpowiedź. Słowa tylko ją potwierdziły.

— Znow zniknął z ekranu.

Na powierzchni wiał wiatr z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, powodując powstawanie fal, a przy okazji osłabiając skuteczność hydrolokatora. Nawet śledzenie niszczyciela stało się nad wyraz trudne, gdy zwolnił on do patrolowej prędkości piętnastu węzłów. Okręt podwodny operujący na północy znow zniknął. Może na dobre, ale liczenie na to było zbyt ryzykowne. Claggett spojrział na zegarek. W ciągu niecałej godziny będzie musiał zdecydować, co robić.

Płynęli po omacku z konieczności. W normalnych warunkach zbieraliby dane wysyłając samoloty zwiadowcze, ale tym razem chodziło głównie o uzyskaniu absolutnego zaskoczenia i nie mogli sobie pozwolić na zaprzepaszczenie tej szansy. Lotniskowcowa grupa uderzeniowa unikała biegnących ponad chmurami powietrznych szlaków komunikacyjnych, w zasadzie od kilku dni usilnie starając się zniknąć z powierzchni oceanu. Jackson był pewny, że formacja nie została wykryta, ale by utrzymać taki stan rzeczy, musiał polegać jedynie na wyrывkowych meldunkach o aktywności radiolokacyjnej, które napływały z okrętów podwodnych. W gruncie rzeczy potwierdzały one informacje, że wróg dysponuje kilkoma *E-2C*, a na dokładkę ma także olbrzymi radar przeciwlotniczy. Czekał ich powietrzny bój spotkaniowy. Przygotowywali się do tego przez ostatnie dwa tygodnie.

— W porządku, ostatnie pytanie — usłyszał Oreza ze słuchawki. — Na Kobler używają wyłącznie samolotów wojskowych?

— Zgadza się, sir. Z wyjątkiem kilku pierwszych dni, nie widzieliśmy żadnego samolotu pasażerskiego na tamtejszym pasie. — Język świerzbił go, by spytać się, po co zadają te wszystkie pytania, ale zdawał sobie sprawę, że byłaby to tylko strata czasu. A może takie dwuznaczne pytanie coś da:

— Mamy spać dzisiejszej nocy?

— To już zależy od was, bosmanie. Czy mógłbym teraz zamienić słowo z pana gośćmi?

— John, telefon — oznajmił Dniówka, po czym zaniemówił na chwilę, gdy uświadomił, jak swojsko zabrzmiało to, co powiedział.

— Clark — rzucił Kelly-Clark, przejmując słuchawkę. — Tak jest... Tak jest, sir. Coś jeszcze? W porządku, koniec. — Pacnął w wyłącznik. — Kto wpadł na pomysł, by założyć tę cholerną michę?

— Ja — odparł Borroughs, podnosząc wzrok znad stołu. — Niezły patent, co nie?

— Jasne. — John wrócił do stołu i dorzucił ćwierć dolara do puli. — Sprawdzam.

— Trzy damy — oznajmił inżynier.

— Cholerny szczęściarz — zawyrokował John, rzucając karty na stół.

— Do diabła! Te skurwiele zepsuły mi najlepszą w moim życiu wycieczkę na ryby.

— John, chcesz bym naparzył kawy na dziś wieczór?

— Ten facet robi najlepszą kawę pod słońcem. — Borroughs zgarnął całą pulę. Był sześć dolarów do przodu.

— Dawno nie piłem twojej kawy, Dniówka. Nazywają ją „kawą smoluchów”, Pete. Parzy się ją według starej żeglarskiej receptury — wyjaśnił Clark, również oddając się miłej atmosferze beczynności.

— John? — spytał Ding.

— Później, drogi chłopcze. — Clark wziął talię kart i zaczął ją tasować wprawnymi ruchami. Praca może poczekać.

— Jesteś pewny, że wystarczy wam paliwa? — spytał Checa. Zapasy ze zrzutu obejmowały dodatkowe zbiorniki i małe skrzydła, ale Richter tylko pokiwał głową.

— Spokojna głowa. Punkt, w którym zatankujemy, leży dwie godziny drogi stąd.

— To znaczy gdzie? — W wiadomości jaką otrzymali drogą satelitarną powiedziane było tylko: udać się do punktu pierwszego.

— Niecałe dwie godziny stąd — odparł chorąży lotnictwa Armii. — Kapitanie, to sprawa bezpieczeństwa.

— Zgodzi się pan, że odwaliliśmy tu kawał dobrej roboty.

— Mam nadzieję, że dożyję chwili, kiedy będę mógł komuś o tym opowiedzieć. —

Richter zapiął suwak w skafandrze lotniczym, wsunął za kołnierz szalik i wspiął się do środka śmigłowca. — Gotowy!

Rangersi po raz ostatni stanęli wokół śmigłowców. Zdawali sobie sprawę, że gaśnice, które trzymali, były nic nie warte, ale ktoś uparł się, by je ze sobą wzięli. Jeden po drugim *Comanche* oderwały się od ziemi i wkrótce ich zielone sylwetki rozplynęły się w mroku.

Rangersi zaczęli zrzucać niepotrzebny sprzęt do dołów w ziemi, które wykopali za dnia. Zabrało im to godzinę. Teraz pozostał już tylko spacer do Hirose. Checa wziął telefon komórkowy i wybrał zapamiętany numer.

— *Hallo?* — odezwał się jakiś głos po angielsku.

— Zobaczymy się jutro rano? — Pytanie zostało zadane po hiszpańsku.

— Na pewno przyjdę, *Senor*.

— Montoya, prowadzisz — rozkazał kapitan. Postarają się iść po skraju lasu tak długo jak się da. Rangersi pochwycili karabinki, których jak dotąd nie mieli okazji użyć i ruszyli z nadzieją, że nie będą musieli tego robić.

— Proponuję dwie torpedy — powiedział porucznik Shaw, — Różnica w kursach dziesięć stopni, potem zbieżny tor pod termokliną. Dołożą mu od dziobu i od rufy.

— Zgadzam się. — Claggett podszedł do stołu nakresowego, by po raz ostatni przeanalizować sytuację taktyczną. — Ustawić torpedy.

— Co się dzieje? — spytał jeden z sierżantów Armii ze swojego miejsca u wejścia do centrali bojowej. Najgorsze, że na tych cholernych okrętach podwodnych człowiek nie mógł sobie postać i popatrzeć.

— Zanim zatankujemy te pana helikoptery, musimy zmusić ten niszczyciel, by sobie stąd poszedł — wyjaśnił mu jakiś podoficer najbardziej beztroskim tonem na jaki tylko go było stać.

— Czy to trudne?

— Chyba wolelibyśmy, żeby się stąd zabrał. Na powierzchni bylibyśmy... no, ktoś nas może zauważyć.

— Niepokoi to was?

— Nie, skąd — skłamał marynarz. Naraz usłyszeli głos dowódcy.

— Shaw, stanowiska bojowe. Procedura przed odpaleniem torped.

Tomcaty ruszyły jako pierwsze, odrywały się od pokładu co trzydzieści sekund, aż w końcu cały dywizjon dwunastu maszyn znalazł się w powietrzu. Następnie przyszła kolej na cztery *EA-6B* przenoszące aparaturę zagłuszającą, prowadzone przez komandora porucznik Robertę Peach. Grupa czterech *EA-6B* rozdzieliła się na dwie pary. Każda para towarzyszyła jednemu z dwóch dywizjonów *Tomcatów*.

Komandor Bud Sanchez dowodził idącym na czele kluczem czterech *Tomcatów*, gdyż za nic nie powierzyłby nikomu innemu prowadzenia do ataku własnej grupy powietrznej. Od celu dzieliło ich osiemset kilometrów, lecieli kursem południowo-zachodnim. Pod wieloma względami prowadzony przez nich atak był powtórzeniem operacji, jaka miała miejsce na początku 1991 roku, tyle że wzbogacono ją o kilka mało ciekawych szczegółów, będących wynikiem tygodni spędzonych na uważnej analizie schematów operacyjnych. Zmusiło ich do tego te kilka lotnisk, które wróg miał na podorędziu. Japończycy prowadzili patrole z niezwykle regularnością, która w prosty sposób wynikała z drylu, jaki panował w ich wojsku. Sanchez posłał krótkie spojrzenie w kierunku połyskującego ogona formacji, a potem powrócił myślami do wykonywanej misji.

— Ustawić jedynekę i trójkę.

— Wprowadzić otrzymane kursy i odpalić — rozkazał spokojnie Claggett. Operator uzbrojenia przekręcił korbę do samego końca w lewo, potem z powrotem w prawo i następnie zrobił to samo z drugą wyrzutnią.

— Jedyńska i trójka poszły.

— Jedyńska i trójka w wodzie, bieg w normie — zameldowano z hydro sekundę później.

— Świetnie — stwierdził Claggett. Już kiedyś słyszał te słowa na okręcie podwodnym, ale wówczas torpeda chybiła celu, czemu zawdzięczał swoje życie. Tym razem sprawy przedstawiały się znacznie gorzej. Nie mieli tak dobrego namiaru pozycji niszczyciela, jakby sobie życzyli, ale Claggett nie miał zbyt dużego wyboru. Dwie torpedy *ADCAP* miały sunąć powoli pod termokliną przez pierwsze sześć mil, a potem przyspieszyć do maksymalnej prędkości, która wynosiła siedemdziesiąt jeden węzłów. Przy odrobinie szczęścia cel nie będzie miał czasu, by się zorientować, skąd nadpłynęła torpeda.

— Załadować *ADCAP* w wyrzutnie jeden i trzy.

Jak zawsze najistotniejszą sprawą było zgranie w czasie. Kiedy tylko wszystkie myśliwce oderwały się od pokładu, Jackson zszedł z mostku kapitańskiego i skierował się pod pokład do bojowego centrum informacyjnego. Stamtąd mógł lepiej koordynować operacją, która i tak została zaplanowana co do minuty. Następne zadanie miało przypaść dwójce niszczycieli klasy *Spruance*, które płynęły trzydzieści mil na południe za lotniskowcem. Drażył go z tego powodu pewien niepokój. *Spruance* były najlepszymi okrętami ZOP, jakie miał do dyspozycji i choć dowódca Floty Pacyfiku donosił, że osłaniające wyspy okręty podwodne przeciwnika wycofywały się na zachód, gdzie jak miał nadzieję wpadną w zastawione sidła, nie dawała mu spokoju myśl, że może zostać jakiś jeden japoński okręt

podwodny, który pozbawi Flotę Pacyfiku ostatniego lotniskowca.

Dokładnie o 11.45 czasu lokalnego, niszczyciele „Cushing” i „Ingersoll” ustawiły się burtą do wiatru i zaczęły odpalać pociski *Tomahawk*, sygnalizując ten fakt przesłaniem pięcioelementowego kodu przez satelitę. Ogółem ku niebu wspięło się łącznie czterdzieści pocisków samosterujących dalekiego zasięgu, odrzucając pomocnicze silniki na paliwo stałe, a potem dały nura ku powierzchni morza. Po zakończeniu trwającego sześć minut odpalania rakiet, niszczyciele zwiększyły prędkość, by dołączyć do zgrupowania uderzeniowego. Ich załoga zastanawiała się, czego to dokonają ich *Tomahawki*.

— Ciekawe, który to? — mruknął pod nosem Sato. Minęli już dwa, a przed sobą mieli kolejne dwa niszczyciele *Aegis*, ledwo widoczne groty u szczytu rozszerzającego się klina białej piany.

— Połączymy się z nimi znowu przez radio?

— Mój brat się na mnie pogniewa, ale muszą się tam czuć bardzo samotni. — Sato ponownie zmienił częstotliwość radiostacji, a potem wdusił przycisk na wolancie.

— Siedem Cztery Siedem Japońskich Linii Lotniczych wzywa „Mutsu”.

W pierwszym odruchu admirał Sato chciał zbesztać brata, ale głos brzmiał przyjaźnie.

Wziął parę słuchawek od młodszego oficera łączności i nacisnął kciukiem przycisk. —

Toradžiro, gdybyś był nieprzyjacielem, dobrałbym ci się już do skóry.

Rzucił okiem na ekran radaru. Na monitorze obrazującym sytuację taktyczną widniały jedynie samoloty rejsowe. Radar *SPY-ID* śledził wszystkie obiekty w promieniu ponad stu, a prawie wszystkie w promieniu trzystu mil morskich. Okrętowy śmigłowiec SH-60J skończył

właśnie uzupełnianie paliwa przed następnym lotem w poszukiwaniu okrętów podwodnych.

Choć pełni służbę na morzu w czasie wojny, nie zaszkodzi pozartować z własnym bratem, który leci gdzieś tam w górze w dużej aluminiowej rurze, bez wątplenia pełnej jego krajan.

— Już czas, panie komandorze — odezwał się Shaw, rzucając okiem na elektroniczny stoper. Komandor Claggett skinął głową.

— Wyprowadzić torpedy wyżej. Włączyć aktywne naprowadzanie w torpedach.

Stosowna komenda została przekazana do torped, które oddalone od siebie o dwie mile znajdowały się po obu stronach celu. *ADCAP*, co w skrócie znaczy „o zwiększonych osiągnięciach”, unowocześniona wersja torpedy kalibru 533 mm *Mark 48*, naprowadzana była ogromnym hydrolokatorem półprzewodnikowym. Torpeda wystrzelona z wyrzutni numer jeden znajdowała się nieco bliżej celu i jej zaawansowany system zobrazowania namierzył kadłub niszczyciela podczas drugiej próby uchwycenia celu. Torpeda skręciła natychmiast w prawo i zaczęła naprowadzać się na cel,

jednocześnie przekazując obraz do miejsca, z którego ją wystrzelono.

— Odbieram szumy na układzie hydrofonów. Namiar dwa-trzy-zero! Torpeda, namiar dwa-trzy-zero!
— krzyknął jeden z sonarzystów. — Ma włączony układ aktywny!

Głowa Sato zwróciła się gwałtownie w kierunku przedziału hydro. Na monitorze taktycznym pojawił się natychmiast nowy obiekt. Cholera, pomyślał, a na „Kurushio” twierdzą, że ten rejon jest bezpieczny. Okręt podwodny operował kilka mil od nich.

— Środki przeciwdziałania — rozkazał natychmiast dowódca „Mutsu”. Po kilku sekundach z eliptycznej rufy zsunął się do wody pozorator typu *Nixie*. — Niech śmigłowiec natychmiast startuje!

— Jestem teraz trochę zajęty, Toradziro. Życzę ci dobrego lotu. Do zobaczenia. —

Radiostacja zamilkła.

Z początku kapitan Sato takie zakończenie rozmowy złożył na karb tego, że na jego brata rzeczywiście czekały obowiązki, ale potem ujrzał, jak niszczyciel płynący siedem kilometrów pod nim, skręca ostro w lewo, a za rufą zagotowała się woda, co znaczyło, że okręt zwiększył

znacznie prędkość.

— Coś tu nie gra — mruknął pod nosem.

— Mamy go, panie komandorze. Któraś trafi na pewno — oświadczył oficer uzbrojenia.

— Cel zwiększył prędkość i skręcił w prawo — zameldowano z hydro. — Obie torpedy widzą cel. Cel nie używa aktywnego hydrolokatora.

— Odległość do celu dla torpedy numer jeden dwa tysiące metrów. Trójka dwa dwieście.

Obie śledzą cel, *skipper*. — Podoficer utkwiał oczy w monitorze, gotów, w każdej chwili do przejścia naprowadzania. Torpeda *ADCAP* zachowywała się w tym momencie niczym miniaturowy okręt podwodny z własnym układem hydrolokatorów. Operator broni odgrywał w niej rolę kamikadze, a właściwie dwóch naraz; zręczność z jaką to czynił, odzwierciedlała jego umiejętności w ogrywaniu wszystkich w Nintendo na okrętowym komputerze. Claggett odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że dowódca niszczyciela nie przystępuje do namierzania ich, chcąc wpierw ratować własną skórę. No cóż, decyzja należała do niego, prawda?

— Jest jeszcze jedna, idzie od dziobu, namiar jeden-cztery-zero!

— Mają nas — zawyrokował dowódca. Patrząc na monitor doszedł do wniosku, że prawdopodobnie zostali zaatakowani przez dwa okręty podwodne. Musiał jednak spróbować.

Wydał rozkaz gwałtownego skrętu. „Mutsu”, obładowany podobnie jak jego amerykańscy kuzyni z rodziny *Aegis* ogromną ilością nadbudówek, położył się ciężko na prawą burtę. Kiedy tylko wykonano skręt, dowódca dał komendę „cała wstecz” w nadziei, że torpeda przejdzie przed

dziobem.

Powód mógł być tylko jeden. Kapitan Sato tracił z oczu pole bitwy. Wyłączył

automatycznego pilota i wprowadził samolot w ciasny zakręt w lewo, zostawiając drugiemu pilotowi włączenie ostrzeżenia dla pasażerów, by zapięli pasy. Widział wszystko w jasnym świetle księżyca. „Mutsu” wszedł w gwałtowny zakręt, a potem położył się w następnym. Na rufie okrętu rozbłysły światła, gdy śmigłowiec ZOP zapuścił silniki i starał się wzbić w powietrze w poszukiwaniu... tak, to na pewno chodziło o okręt podwodny, pomyślał kapitan Sato, przemykający się chyłkiem, tchórzliwy okręt podwodny zaatakował napawający dumą, przepiękny niszczyciel jego brata. Ze zdziwieniem stwierdził, że okręt zwalnia, po czym niemal zatrzymuje się pod naporem przestawionej na ujemny skok śruby. Ciekawe, dlaczego wykonano akurat ten manewr. Czyżby okręty nie działały według prostej aksjomatycznej zasady pilotów: prędkość znaczy życie...?

— Odbieram głośnie szумы kawitacyjne, prawdopodobnie dali całą wstecz — zameldował szef sonarzystów. Operator uzbrojenia nie dał Claggettowi czasu na reakcję.

— Nie szkodzi, obie torpedy mają go jak na talerzu, panie komandorze. Ustawiam w trójce zapalnik kontaktowy. Odbieram jakieś zakłócenia magnetyczne, czyżby używali naszych *Nixie*?

— Strzał w dziesiątkę, marynarzu.

— I tak wiemy, jak działają te cacka. Jedyne zostało pięćset metrów, dochodzi bardzo szybko. — Technik odciął przewód torpedy numer jeden, pozwalając by resztę drogi przebyła o własnych siłach. Torpeda wyszła na dziesięć metrów, samodzielnie uaktywniła własne pole magnetyczne i zaczęła szukać metalowego kadłuba celu.

Śmigłowiec poderwał się z pokładu niszczyciela i błyskając światłami antykolizyjnymi oddalił się od znieruchomiałego okrętu. Czas przestał płynąć. Okręt zaczął skręcać, a może tylko wydawało się, że skręca. Potem nagły rozbłysk zabarwił na żółto wodę po obu burtach okrętu, na wysokości mostku nieco poniżej magazynu wyrzutni pocisków raketowych ziemia-powietrze.

Przypominająca ostrze noża sylwetka niszczyciela spowiła się dziwnym, zwiastującym śmierć światłem. Na ten ułamek sekundy umysł Sato wypełnił obraz okrętu. Po chwili eksplodowała jedna, może dwie rakietki w magazynie niszczyciela, a gdy następne czterdzieści poszło w ich ślady, dziób „Mutsu” rozleciał się na kawałki. Trzy sekundy później okrętem targnęła kolejna eksplozja i kiedy opadła spieniona woda na powierzchni widać było jedynie plamę płonącej ropy.

„Mutsu” podzielił los swojego imiennika, który legł w porcie Nagasaki w 1943...

— Kapitanie! — Drugi pilot zdążył wyrwać drążek kapitanowi Sato: jeszcze chwila i *Boeing* zwałiłby się na skutek przeciągnięcia. — Kapitanie, mamy pasażerów na pokładzie!

— Mój brat...

— Mamy pasażerów na pokładzie, do jasnej cholery! — Kapitan Sato nie oponował i drugi pilot

wyprowadził 747 do lotu poziomego, odczytując właściwy kurs z żyrokompasu. —

Kapitanie!

Gdy samolot wrócił na południowy kurs, Sato odwrócił głowę od okna, tracąc z oczu grób brata.

— Przykro mi, kapitanie, ale my też mamy zadanie, które musimy wykonać. — Włączył autopilota, potem położył kapitanowi dłoń na ramieniu. — Czy już panu lepiej?

Sato spojrział na rozciągające się przed nim puste niebo, potem skinął głową. Zaczynał wracać do siebie.

— Tak, już mi lepiej. Dziękuję. Naprawdę już mi lepiej — powtórzył mocniejszym głosem, podporządkowując się prawom swojej kultury, które kazały mu zapomnieć na razie o osobistych uczuciach. Ich ojciec dowodził przez długi czas niszczycielem, potem przeszedł na krążownik, na którym zginął niedaleko Samar, padając ofiarą amerykańskich niszczycieli i ich torped... a teraz znów...

— Co to było, do cholery?! — ryknął komandor porucznik Ugaki do sonarzystów.

— Dwie torpedy, z południa — odpowiedział młodszy porucznik. — Zatopiły „Mutsu”.

— Kto je wystrzelił?! — wrzasnął ponownie dowódca rozwścieczonym tonem.

— Obiekt nie został wykryty, panie komandorze — nadeszła cicha odpowiedź.

— Idziemy na południe, manewrujemy z prędkością ośmiu węzłów.

— W ten sposób przeplniemy dokładnie przez...

— Wiem.

— Pewne trafienie — zameldował sonarzysta. Wskazania na ekranie nie pozostawiały żadnych wątpliwości. — Brak szumów silnika z obszaru celu, słyszę odgłosy rozpadania się kadłuba. Widać drugą eksplozję. Posłaliśmy go na dno, *skipper*.

Richter przemknął nad tym samym miastem, nad którym *C-17* przeleciał kilka dni wcześniej i choć ktoś mógł go zauważyć, nie niepokoiło go to zbytnio. Poza tym, w nocy śmigłowce wyglądają podobnie, a w okolicy kręciło się ich mnóstwo. Poprowadził *Comanche 'a* na przelotowy pułap dwudziestu metrów i wziął kurs na południe, powtarzając sobie, że nie ma obawy, okręt Marynarki będzie czekał na niego, że wyląduje na nim i wszystko pójdzie jak z płatka. Cieszył go tylny wiatr, dopóki nie zobaczył fal, jakie wznieca na morzu. O, cholera...

— Panie ambasadorze, jak pan wie, sytuacja uległa zmianie — oświadczył Adler łagodnym tonem.

W sali negocjacyjnej dwa głosy nigdy nie rozbrzmiewały naraz, ale tym razem zalegała w niej jeszcze głębsza cisza.

Seidzi Nagumo, siedząc obok swojego przełożonego, zauważył, że ktoś inny zajmuje krzesło obok Adlera, inny specjalista od Japonii z czwartego piętra. Gdzie jest Cook? — pytał się w duchu, podczas gdy Amerykanin mówił dalej. Dlaczego go tu nie ma? Co może oznaczać jego nieobecność?

— Właśnie w tej chwili amerykańskie samoloty przeprowadzają atak na Mariany. Czuję się w obowiązku zawiadomić pana, że są wszelkie przesłanki po temu, by przyjąć, że nasza operacja zostanie uwieńczona sukcesem i że uda się nam odizolować Wyspy Mariańskie od reszty świata. W następnym etapie operacji, jeśli, oczywiście, okaże się on konieczny, obszar wokół Wysp Japońskich ogłosimy strefą zamkniętą dla żeglugi. Nie leży w naszych zamiarach bezpośrednio zaatakowanie pańskiego kraju, ale jesteśmy w stanie w przeciągu kilku dni uniemożliwić Japonii handel morski. Panie ambasadorze, nadszedł czas by położyć kres tej...

— Jak państwo widzicie... — reporterka telewizji CNN zawiesiła głos, stojąc obok USS

„Enterprise”. Kamera przesunęła się w lewo, ukazując opustoszały dok remontowy — ...USS

„John Stennis” opuścił suchy dok. Jak wynika z doniesień, lotniskowiec ten przeprowadza dokładnie w tej chwili atak na zajęte przez Japończyków Mariany. Amerykański rząd poprosił

nas o współpracę przy operacji mającej na celu dezinformację przeciwnika i po uważnym rozważeniu tej prośby stwierdziliśmy, że CNN jest mimo wszystko amerykańską siecią informacyjną...

— A to skurwiele... — wydyszał generał Arima, wbijając wzrok w pustą betonową konstrukcję, na dnie której widniała jedynie błotnista kałuża i drewniane kłocę. W chwilę potem rozległ się dzwonek telefonu.

Kiedy się tylko okazało, że japońskie *E-2C* już o nich wiedzą, dwa amerykańskie samoloty *AWACS* włączyły radary. Wystartowały z Hawajów i miały jeden postój w Dyess na atolu Kwajalein. Pod względem wyposażenia elektronicznego żadna ze stron nie miała decydującej przewagi w nadchodzącej bitwie. Amerykanie wysłali jednak tak dużo samolotów, że bitwa nie okazała się wyrównana pod żadnym innym względem. Japończycy mieli w powietrzu cztery myśliwce *Eagle*, które w pierwszym odruchu zawróciły na północny wschód w kierunku intruzów. Piloci chcieli dać czekającym w pogotowiu kolegom czas na wystartowanie i włączenie się do walki, zanim Amerykanie zdążą podejść na tyle blisko, by przydybać ich na ziemi. Jednocześnie obrona przeciwlotnicza na wyspie została ostrzeżona przed nadciągającymi samolotami wroga.

Sanchez włączył pokładowy radar naprowadzający, gdy japońskie myśliwce znajdowały się niewiele ponad sto mil od niego i zbliżały się w jego stronę, by odpalić rakiety. Były to jednak pociski średniego zasięgu klasy powietrze-powietrze, podczas gdy on dysponował

Phoenixami, które miały niemal dwa razy większy zasięg. On i trzej inni piloci wystrzelili po dwa pociski po zaprogramowaniu ich uprzednio na maksymalny zasięg. Osiem pocisków wystrzeliło po krzywej balistycznej, wychodząc na wysokość trzydziestu tysięcy metrów, po czym zapikowało w dół z prędkością pięciu machów. Z takiej wysokości uzyskiwały największy możliwy radiolokacyjny przekrój celu. Myśliwce zorientowały się, że są atakowane i próbowały ratować się, wykonując uniki. Jednak parę sekund później dwa *F-15J* zostały starte z powierzchni nieba. Pozostała dwójka parła wciąż jednak naprzód. Druga fala *Phoenixów* wkrótce dobrała się im do skóry.

— Co jest, u diabła? — zastanowił się Oreza.

Odgłosy uruchamianych silników odrzutowych przerwały im grę w karty. Cała czwórka podeszła do okien. Clark pogasił światła i wziął jedyną lornetkę w domu. Gdy przyłożył ją do oczu, pierwsze dwa samoloty startowały właśnie z lotniska Kobler. Sądząc po snopie ognia z dopalaczy były to samoloty jednosilnikowe.

— Co się dzieje, John?

— Nie wiem. Ale chyba nietrudno się domyślić.

Na całym terenie lotniska paliły się światła. To samo dzieje się pewnie na Guam z tym, że wyspa ta leżała spory szmat drogi stąd, zatem oba dywizjony myśliwców miały walczyć z Amerykanami oddzielnie, co pozbawiało ich liczebnej przewagi.

Dowodzone przez komandor Peach samoloty z aparaturą zagłuszającą również zaczęły działać. Radar kontroli obszaru powietrznego był dość silny, ale podobnie jak inne urządzenia tego typu pracował na falach o niskiej częstotliwości, które dawały się łatwo zagłuszać. Ogromna liczba fałszywych sygnałów uniemożliwiła im zarówno zrozumienie toczącej się operacji powietrznej, jak wykrycie małych pocisków samosterujących. Myśliwce, które mogły przechwycić nadlatujące pociski, wysunęły się zbyt daleko, otwierając przed nimi dostęp do celów na wyspie. Stacja radiolokacyjna na szczycie góry Tapoczau namierzyła je, gdy znajdowały się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od wyspy, choć teoretycznie powinna to uczynić w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów. Trzej operatorzy radaru starali się jednocześnie policzyć amerykańskie myśliwce. Stanęli oni przed wielce złożonym zadaniem, ale byli to ludzie wyszkoleni, łatwo dostosowujący się do potrzeb chwili. Jeden z nich sięgnął po słuchawkę i nakazał postawić w stan gotowości stacjonujące na wyspie baterie antyrakiet *Patriot*.

Pierwszy etap operacji rozwijał się pomyślnie. Stały japoński patrol powietrzny został

zlikwidowany bez strat własnych. Sanchez zastanawiał się, czy to jeden z jego pocisków dopadł

japońskie myśliwce. Nigdy się pewnie nie dowie. Kolejne zadanie polegało na wyeliminowaniu japońskiego samolotu dozoru powietrznego, zanim pojawi się reszta myśliwców. W tym celu klucz czterech *Tomcatów* włączył dopalanie i pognął w kierunku japońskich *AWACS-ów*, przeznaczając na wykonanie zadania wszystkie niesione pociski.

Gubi ich własna odwaga, pomyślał Sanchez. Japońskie *Hawkeye* powinny były się wycofać. To samo powinny uczynić broniące wyspy myśliwce *Eagle*. Ale wierni etosowi pilotów myśliwskich Japończycy pośpieszyli wrogowi na spotkanie, zamiast poczekać. Pewnie dlatego, że myśleli, iż Amerykanie przypuszczają prawdziwy atak z powietrza, choć w rzeczywistości przeprowadzali jedynie wymiatanie w ramach niedużej operacji myśliwskiej. Działająca na flance grupa czterech *Tomcatów*, zwana Oślepiającym Kluczem, wypełniła zadanie zestrzelenia samolotów wczesnego ostrzegania, a potem wróciła na „Johna Stennisa”, by zatankować paliwo i uzupełnić uzbrojenie. W tej chwili jedyny samolot *AWACS*, jaki operował w okolicy, należał do Amerykanów. Japończycy nadlecieli, by odeprzeć szturm, starając się związać walką cele, których jedynym zamiarem było odciągnięcie ich uwagi.

Operatorzy radaru świetnie zdawali sobie sprawę, że większość nadlatujących pocisków samosterujących była przeznaczona dla nich, a nie dla pobliskiego lotniska. Nie wymieniali między sobą żadnych uwag na ten temat. Po prostu nie było na to czasu. Byli świadkami tego, jak *E-2C* runęły do wody, lecz zdarzyło się to zbyt daleko, by mogli stwierdzić dlaczego. Ostatni *AWACS* tkwił wciąż na Kobler. Coraz to nowe myśliwce odrywały się z pasa startowego, a pierwsze z nich zbliżały się już do Amerykanów, którzy, co dziwne, wcale nie parli do przodu.

Guam zgłosiło się przez radio, prosząc o informacje, a jednocześnie meldując, że ich myśliwce śpieszą odeprzeć amerykański atak.

— Pociski manewrujące mają dwie minuty — zgłosił jeden z operatorów przez telefon wewnętrzny.

— Zawiadom Kobler, by kazali *E-2C* startować natychmiast — rozkazał starszy oficer w wozie dowodzenia, gdy zorientował się, że dwa operujące dotąd *AWACS-y* przepadły na dobre.

Wóz stał sto metrów od nadajnika radiolokacyjnego, ale nie był jeszcze okopany. Zaplanowali to na przyszły tydzień.

— Ale jaja — stwierdził Chavez. Stali teraz przed domem. Jakaś dobra dusza wyłączyła prąd w tej części wyspy, wyszli więc na zewnątrz, by móc w pełni podziwiać pokazy świetlne na niebie. Po prawej stronie, jakieś pół kilometra od nich, pierwszy *Patriot* wystartował z pudełkowatego pojemnika. Rakieta pomknęła kilkaset metrów w górę, po czym komputer wepchnął ją w ostry zakręt. Niczym bilardowa kula odbita od bandy rakieta dała nura poza widnokrąg. Trzy dalsze poszły w jej ślady w kilka sekund później.

— Nadlatują chyba pociski manewrujące. — Uwagę tę wygłosił Burroughs. — Tam na północy.

Dam głowę, że celują w ten radar na wzgórzu, pomyślał Clark. Seria błysków rozświetliła górzyste partie wyspy na wschodzie. Huk eksplozji, których były zwiastunem, dobiegł ich w chwilę potem. Wciąż nowe *Patrioty* wzbijały się w niebo. Cywile przyglądali się, jak obsługa baterii ustawia dodatkową wyrzutnię na podwoziu transportera. Mieli nieodparte wrażenie, że zabiera im to zbyt dużo czasu.

Pierwsza fala pocisków manewrujących *Tomahawk* zaczęła nabierać wysokości. Do tej chwili sunęły niecałe trzy metry ponad grzywami fal w kierunku stromych klifów na wschodnim wybrzeżu Saipanu. Jako broń w pełni zautomatyzowana, pocisk *Tomahawk* nie miał możliwości uniknięcia lub nawet wykrycia wymierzonego w niego ognia. Pierwsza grupa dwunastu antyrakiet *Patriot* klasy ziemia-powietrze odniosła pewien sukces, trafiając dziesięć *Tomahawków*, lecz pozostałe dziesięć bez przeszkód pięło się w górę. Wszystkie zmierzały do tego samego celu. Jeszcze cztery pociski samosterujące padły ofiarą *Patriotów*. W jednym nastąpiła awaria silnika i rozbił się on o skalisty brzeg niedaleko Laolao Kattan. W chwili, gdy *Tomahawki* weszły nad ląd, radiolokator baterii *Patriot* nie mógł ich już wykryć. Dowódca baterii wykrzyczał przez radio ostrzeżenia dla operatorów w stacji radiolokacyjnej, ale było już za późno. Jedna po drugiej dwuipółtonowe głowice eksplodowały na szczycie góry Tapoczau.

— No to po zabawie — skonstatował Clark, gdy umilkły odgłosy wybuchów. Potem urwał i zaczął nasłuchiwać. Ludzie wylegli przed domy, rozpraszając się po willowym zaułku.

Pojedyncze pohukiwania wkrótce przemieniły się w spontaniczny aplauz, który zagłuszył dobiegające ze wzgórza na wschodzie okrzyki żołnierzy z obsługi baterii raketowej.

Myśliwce nadal startowały z mającego w dole lotniska Kobler, przeważnie parami, ale niekiedy zdarzały się też pojedyncze samoloty. Niebieskawe płomienie z dopalaczy tańczyły przez chwilę na niebie, po czym gasły, gdy japońskie myśliwce formowały się w oczekiwaniu na amerykański atak. Na końcu, Clark usłyszał odgłosy silników *Hawkeye*, który startował jako ostatni, wbrew radom nieżyjącej już obsługi stacji radiolokacyjnej.

Na moment na wyspie zaległa cisza, a w powietrzu zapanowała przedziwna pustka.

Ludzie odetchnęli głębiej i czekali na następny akt tego nocnego przedstawienia.

Niecałe pięćdziesiąt mil od brzegu USS „Pasadena” i trzy inne uderzeniowe okręty podwodne o napędzie atomowym wyszły na głębokość peryskopową i odpaliły po sześć rakiet.

Niektóre wycelowano w Saipan. Cztery skierowały się na Tinian. Dwie na Rota. Reszta pomknęła nad grzywami fal w kierunku bazy lotniczej Andersen na Guam.

— Peryskop w górę! — rozkazał Claggett. Peryskop bojowy wysunął się z sykiem urządzeń hydraulicznych. — Stop! — zawołał, gdy górna część obiektywu wysunęła się ponad wodę. Obracał się wolno, wypatrując świateł na niebie. Nic.

— W porządku, stawiamy antenę. — Kolejny syk oznajmił, że podniesiony został maszt łączności na falach decymetrowych. Dowódca wciąż nie odrywał oczu od okularu peryskopu, przepatrując niebo. Odbierali jakieś słabe sygnały radarowe z odległych nadajników, ale nie mogły one wykryć okrętu podwodnego.

— Wyścigówka, tu Szuler, odbiór — powiedział oficer łączności do mikrofonu.

— Dzięki Bogu — stwierdził na głos Richter, ustawiając mikrofon. — Szuler, tu prowadzący Wyścigówek, podaj hasło, odbiór.

— Foxtrot Whiskey.

— Charlie Tango — odparł Richter, sprawdzając kody radiowe na kartce w przezroczystej kieszeni na kolanie. — Jesteśmy pięć mil od was i chętnie wpadniemy się napić, odbiór.

— Bądź w pogotowiu — nadeszła odpowiedź.

— Wynurzamy się — rozkazał Claggett, sięgając po mikrofon systemu *I-MC*. — Uwaga, wynurzamy się, wszyscy pozostają na stanowiskach bojowych. Obsługa śmigłowca, przygotować się.

Odpowiednie urządzenia znajdowały się obok zbiornika balastowego na śródkręciu i większego przedziału kierowania dla rakiet balistycznych. Jedna z okrętowych drużyn przedawaryjnych stała gotowa do obsługi, podczas gdy szef miał zająć się regulowaniem zaworu węża paliwowego ukrytego pod osłoną nad przedziałem raketowym.

— A to co? — rzucił do mikrofonu radiostacji Wyścigówka Dwa. — Prowadzący, tu Trójka, mamy śmigłowiec na północy, powtarzam, śmigłowiec na północy, i to duży.

— Zlikwidować! — rozkazał Richter bez namysłu. W okolicy na pewno nie przebywał

żaden nasz śmigłowiec. Richter obrócił *Comanche* 'a i wszedł na wyższy pułap, by samemu rzucić okiem. Facet miał nawet zapalone światła antykolizyjne.

— Szuler, tu prowadzący Wyścigówek. Od północy idzie tu śmigłowiec. Co robić?

Odbiór.

Claggett tego nie usłyszał. Kiosk „Tennessee” wynurzył się właśnie na powierzchnię i dowódca stał przy biegnącym w górę trapie. Shaw chwycił mikrofon.

— To pewnie helikopter ZOP z zatopionego przez nas niszczyciela. Kropnij go, kropnij go natychmiast!

— Radar lotniczy na północy! — krzyknął technik przy konsoli urządzenia antyradarowego. — Rejestruję radar śmigłowca blisko okrętu!

— Dwójka, zlikwiduj go! — przekazał rozkaz Richter.

— Wykonuję — odpowiedział pilot *Comanche* 'a numer dwa, rzucając maszynę w zakręt.

Śmigłowiec pochylił nos, by nabrać prędkości. Ktokolwiek to był, miał pecha. Pilot wybrał typ uzbrojenia. Z czółenkowatej obudowy pod brzuchem śmigłowca wynurzyło się 20-milimetrowe działko i ustawiło lufą do przodu. Oddalony o siedem kilometrów cel nawet nie widział

zbliżającego się helikoptera.

Miał przed sobą także śmigłowiec firmy *Sikorsky*, potężną morską wersję *UH-60*.

Możliwe, że wyszedł on z tej samej fabryki, co jego *Comanche*. Pilot Dwójki gnał prosto ku niemu, modląc się, by zdążyć zestrzelić wroga zanim ten zawiadomi swoich przez radio. Nie miał

jednak szans i pilot przeklął się w myślach za to, że nie odpalił wcześniej *Stingera*. Teraz było już na to za późno. Nitki celownika uchwyciły cel i pilot wypuścił pięćdziesięciopięciopalcową serię.

Większość pocisków trafiła w nos nadlatującego szarego helikoptera. Skutek był

natychmiastowy.

— Trafienie — oznajmił prowadzącemu. — Już po nim!

— Zrozumiałem. Ile masz paliwa?

— Na trzydzieści minut — odparł pilot Dwójki.

— Pokraż trochę i miej oczy otwarte — rozkazał prowadzący.

— Przyjąłem. — Kiedy tylko znalazł się na wysokości stu metrów, spotkała go kolejna przykra niespodzianka. — Prowadzący, tu Dwójka. Radar na północy. Komputer twierdzi, że to jeden z tych obrotowych, jakie używa Marynarka.

— Fantastycznie — sarknął Richter, zataczając koło nad okrętem podwodnym. Miał dość miejsca by wylądować, ale byłoby mu łatwiej gdyby ten cholerny pokład nie tańczył niczym beczułka piwa podczas irlandzkiej stypy. Nadleciawszy od rufy, Richter wprowadził śmigłowiec w zawis i wypuścił podwozie.

— Przesuńmy się w lewo pod wiatr — rozkazał Claggett porucznikowi Shaw. — Musimy zmniejszyć kołysanie boczne.

— *Aye, aye, skipper*. — Shaw wydał odpowiednie polecenia i „Tennessee” odzyskał

równowagę, ustawiając się dziobem do fal.

— Zająć stanowiska przy włazach! — rozkazał następnie dowódca. Przyglądał się, jak śmigłowiec powoli, uważnie schodzi w dół i jak zawsze, gdy był świadkiem lądowania na pokładzie okrętu, operacja ta skojarzyła mu się z dwoma jeżozwierzami w trakcie aktu miłosnego. Nie z powodu braku

chęci, ale dlatego, że nie można było sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Ustawili się w rzędach niczym konni rycerze, pomyślał Sanchez. Japończycy znajdowali się dwieście mil od północno-wschodniego wybrzeża Saipanu, a Amerykanie sto mil dalej. Obie strony niejednokrotnie oddawały się razem podobnym grom wojennym, nierzadko w tych samych salonach gry. Radary śledzenia po obu stronach zostały włączone i przeczesywały okolicę. Pozostawała jeszcze kwestia, kto uczyni pierwszy ruch. Japończycy znajdowali się w niekorzystnym położeniu i zdawali sobie z tego sprawę. Jedyne ocalały *E-2C* nie zajął jeszcze pozycji i co gorsze, nie mieli całkowitej pewności, jakimi siłami dysponuje przeciwnik. Na rozkaz Sancheza, *Tomcaty* ruszyły jako pierwsze, włączając dopalacze i nabierając wysokości, by odpalić resztę rakiet *Phoenix*. W odległości osiemdziesięciu kilometrów od celu ponad sto najnowocześniejszych pocisków przemieniło się w falę żółtych płomieni, wspinając się wysoko, by potem zanurkować ku ziemi. Tymczasem samoloty, które je odpaliły, zawróciły i wycofały się w bezpieczne miejsce.

Dało to sygnał do starcia. Sytuacja taktyczna, która dotąd przedstawiała się wyraziście, stała się nieco zagmatwana, gdy japońskie myśliwce również przyśpieszyły do maksymalnej prędkości, by dogonić Amerykanów. Ich piloci mieli nadzieję, że uskoczą przed *Phoenixami* i zdążą wystrzelić własne rakiety typu „odpal i zapomnij”. Podobny manewr wymagał niezmiernie precyzyjnej synchronizacji. Trudno było ją osiągnąć bez wprawnej asekuracji ze strony samolotu dowodzenia i kontroli, na którego przybycie nie poczekali.

Niemożliwością było takie przeszkolenie personelu Marynarki, by wykonywał

odpowiednio szybko wszystkie czynności. Grupa marynarzy pomagała jednak trzymać małe skrzydła, gdy wyszkolona obsługa z wojsk lądowych przytwierdzała je do węzłów mocowania na burtach *Comanche'a*. Do wlewów paliwa podciągnięto węże i uruchomiono pompy okrętowe, wypełniając zbiorniki śmigłowca tak szybko, jak się dało. Jakiś marynarz podał Richterowi telefon podłączony do zwykłego kabla.

— Jak było, żołnierzu? — spytał Dutch Claggett.

— Umierałem z nadmiaru emocji. Macie tam jakąś kawę, najlepiej gorącą?

— Już się robi. — Claggett wydał kuchni odpowiednie polecenia.

— Skąd wziął się ten śmigłowiec? — spytał Richter, obracając się do tyłu, by rzucić okiem na operację tankowania.

— Jakąś godzinę temu zatopiliśmy niszczyciel. Przeszkadzał nam. Śmigłowiec pewnie z niego wystartował. Jesteście gotowi do zapisania waszego punktu docelowego?

— Chyba nie lecimy na Wake?

— Nie. Na dwudziestym piątym długości północnej, sto pięćdziesiątym szerokości wschodniej czeka na was lotniskowiec. Powtórz: dwa-pięć północnej, jeden-pięć-zero wschodniej.

Chorąży powtórzył współrzędne geograficzne dwa razy, uzyskując dodatkowe potwierdzenie. Do

diabła, będziemy mieć dla siebie cały pokład lotniskowca, pomyślał Richter.

— Zrozumiałem, dziękuję.

— Dzięki, że kropnęliście ten śmigłowiec, Wyścigówko.

Jeden z marynarzy podszedł do *Comanche'a* i zabębnił pięścią w burtę na znak, że tankowanie skończone. Potem podał mu czapeczkę baseballową z napisem TENNESSEE.

Richter zauważył, że kieszeń na piersi marynarza jest lekko wybrzuszona. Najbezcelniej w świecie pochylił się i capnął na wpół pustą paczkę papierosów. Marynarz roześmiał się w głos i dorzucił mu zapalniczkę.

— Odsunąć się! — zawołał Richter. Marynarze z obsługi cofnęli się w bezpieczne miejsce, ale wówczas z włazu wyskoczył ktoś z termosem w dłoni, który przekazano lotnikowi.

Richter opuścił osłonę i uruchomił ponownie silniki. Po chwili *Comanche* wzbił się w powietrze, ustępując miejsca Dwójce i rozpoczynając okrężny lot wokół okrętu. Trzydzieści sekund później pilot popijał już kawę drobnymi łyżkami. Miała inny, bardziej cywilizowany smak niż ta, którą przyrzadzali na lądzie. Kropelka brandy, pomyślał, i mogę lecieć na koniec świata.

— Sandy, spójrz na północ! — zawołał jego strzelec, gdy Dwójka siadała na pokładzie okrętu podwodnego.

Kontrolerzy z *AWACS-a* zameldowali, że ofiarami pierwszej salwy rakiet padło sześć *Eagle'ów*, a dwa dalsze zostały uszkodzone i wycofały się do baz. Sanchez nie widział tego, gdyż próbował utrzymać dystans do japońskich myśliwców. Ich *Tomcaty* ustępowały pola nadciągającym *Hornetom*. Wszystko szło zgodnie z planem. Idąc na dużej prędkości Japończycy oddalali się od wysp, odpędzając Amerykanów, a przynajmniej tak sądzili. Odbiornik ostrzegawczy informował go, że odpalono w jego kierunku rakiety, ale były to amerykańskie rakiety i Sanchez dobrze wiedział, co potrafią, a czego nie.

— Ciekawe co to? — zastanawiał się Oreza.

Z początku po ziemi przebiegł cień. Z jakiegoś powodu nie pogaszono jeszcze świateł na lotnisku, więc mogli zobaczyć pojedynczą białą smuzkę, która przecięła pas startowy na Kobler, skręciła ostro i pomknęła w kierunku jego środka. Nagle zmieniła kształt — jej stożek odpadł, po betonie rozsypały się małe przedmioty. Niektóre z nich eksplodowały, a reszta zwyczajnie zniknęła im z oczu, gdyż były tak małe, że można je było dostrzec tylko, gdy się poruszały. Po chwili nadleciały następne, a po nich jeszcze więcej i wszystkie zachowały się podobnie, prócz tej, która pomknęła prosto na wieżę kontroli ruchu i zdmuchnęła jej górną część, a wraz z nią radiostację skrzydła myśliwskiego.

Trochę dalej na południe lotnisko cywilne również skrzyło się światłem. Cztery *Boeingi 747* stały

przy terminalach i na pasach. W tamtym kierunku nie podążały żadne pociski. Na wschodzie, bateria *Patriot* spowiła się jasnym światłem, gdy wystartowało kilka następnych rakiet. Jednak pierwsza partia rakiet została już zużyta i obsługa musiała ustawić dodatkowe wyrzutnie, oraz podłączyć je do wozu dowodzenia, a to wymagało czasu. Stracali wiele z nadlatujących pocisków, jednak wciąż zbyt mało.

— Jakoś nie mogą trafić w tę baterię — zauważył Chavez, powtarzając sobie w duchu, że mimo wszystko powinni się gdzieś schować, ale... no właśnie, nikt nie próbował się ukryć, jak gdyby byli świadkami jakiegoś przepyszego pokazu ogni sztucznych w święto Czwartego Lipca.

— Starają się omijać zamieszkałe rejony — wyjaśnił Clark.

— Niezły pomysł. A tak przy okazji to, co to za historia z tym Kellym?

— To moje prawdziwe nazwisko — odparł starszy oficer.

— John, ilu drani zabiłeś? — chciał wiedzieć Oreza.

— Co? — spytał Chavez.

— Kiedy byliśmy jeszcze dzieciakami, twój szef urządził sobie takie małe prywatne polowanko, o ile pamiętam na handlarzy narkotyków.

— Nic takiego nie miało miejsca, Dniówka, poważnie. — John potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się. — To znaczy, nikt nie może tego dowieść — dodał. — Nie zapominaj, że ja naprawdę nie żyję.

— W takim razie J.C. to chyba skrót od Jezus Chrystus? — Oreza urwał. — Co teraz będziecie robić?

— Nie mam bladego pojęcia.

Oreza nie miał zezwolenia na dostęp do ich nowych rozkazów. Po chwili ktoś wpadł na pomysł, by wyłączyć prąd w południowej części wyspy.

Śmigłowiec z „Mutsu” zameldował o obecności okrętu podwodnego na powierzchni.

Skłoniło to drugi okręt klasy *Kongo* do wysłania helikoptera *Seahawk*, który skierował się na południe. W drodze znajdowały się również dwa samoloty *ZOP P-3C Orion*, ale przenoszący dwie torpedy śmigłowiec był szybszy. Zbliżał się na sześćdziesięciu metrach, nie włączając radaru dolnej półsfery, ale błyskając światłami antykolizyjnymi, które zajaśniały jaskrawo wewnątrz hełmu Richtera.

— Ale tu ruch — mruknął. Leciał na wysokości stu sześćdziesięciu metrów, mając nowy cel na linii horyzontu. — Szuler, tu prowadzący Wyścigówek. W okolicy pojawił się następny śmigłowiec.

— Kropnij go!

— Zrozumiałem. — Richter zwiększył prędkość i wziął kurs na przechwycenie.

Najwyraźniej w Marynarce nikt nie miał problemów z podejmowaniem decyzji. Prędkość zbliżania się do celu gwarantowała szybkie przechwycenie. Na konsoli uzbrojenia Richter wybrał

opcję *Stinger* i odpalił raketę z odległości pięciu mil. Ktokolwiek to był, nie spodziewał się, że napotka w okolicy wrogi śmigłowiec, a na tle zimnej wody oceanu stanowił łatwą zdobycz dla pocisku kierującego się na źródło promieniowania cieplnego. *Seahawk* okręcił się wokół własnej osi i runął do wody. Richter zastanowił się, czy komuś na jego pokładzie udało się przeżyć. Nie miał możliwości przeprowadzenia akcji ratunkowej, więc nie podlatywał bliżej, by się o tym przekonać.

Dwójka znajdował się już w powietrzu i spełniając rolę eskorty zataczał kręgi, co pozwoliło prowadzącemu pośpieszyć na krótkie rendez-vous.

— Nieźle nam idzie udawanie lotniskowca — zauważył Ken Shaw, przyglądając się, jak obsługa lądowiska kończy uzupełnianie paliwa w ostatnim śmigłowcu.

— Mam nadzieję, że uda się nam pozostać okrętem podwodnym — odparł Claggett napiętym głosem. Osłona kabiny poszła w dół i kilku ludzi z obsługi zaczęło zabezpieczać górny pokład, który w dwie minuty później był już prawie sklarowany. Jeden z szefów majtnął jakąś zbyteczną część do wody, pomachał w kierunku kiosku i zniknął we włazie luku.

— Opuścić pomost! — rozkazał Claggett. Omiótł niebo ostatnim spojrzeniem, a potem włączył mikrofon. — Zanurzamy się.

— Okręt nie jest jeszcze szczelny — zaprotestował szef pokładu w centrali bojowej.

— Słyszałeś, co *skipper* powiedział — burknął w odpowiedzi oficer wachtowy.

Otworzono otwory odpowietrzające i główne zbiorniki balastowe zostały zatopione. Po chwili sygnalizator wjazdu na pomoście zmienił się z kółka na kreskę, a za moment pojawił się Claggett, zamykając za sobą klapę dolnego luku i tym samym uszczelniając okręt.

— Okręt gotowy do zanurzenia. Spadamy stąd!

— To okręt podwodny — oświadczył porucznik. — Zanurza się, odpowietrza zbiorniki.

— Odległość?

— Musiałbym użyć aktywnego hydrolokatora — ostrzegł sonarzysta.

— No to zrób to! — wysyczał Ugaki.

— Ciekawe co to za światła? — zastanawiał się drugi pilot. Błyskało zaraz nad linią horyzontu, trochę na lewo od toru ich lotu. Trudno było określić odległość, niemniej jednak refleksy były w oczy

intensywnym światłem. Jeden z nich, niczym kometa nakreślił na niebie smugę, po czym spłynął w morze. Kolejne żółto-białe wstęgi rozdzierały ciemności, biegnąc od prawej strony do lewej. To wszystko wyjaśniało. — Aha.

— Wieża Saipan, tu Siedem-Zero-Dwa Japońskich Linii Lotniczych. Odległość dwieście mil. Co się tam u was dzieje? Odbiór. — Żadnej odpowiedzi.

— Wracamy na Narita? — spytał drugi pilot.

— O nie! Nigdzie nie wracamy! — odparł Toradžiro Sato.

Profesjonalizm nie pozwolił mu, by wściekłość wzięła górę nad wyszkoleniem. Udało mu się jak dotąd umknąć dwóm pociskom. Major Sato nie poddawał się panice, mimo nieszczęścia jakie spotkało jego skrzydłowego. Na radarze miał ponad dwadzieścia celów, wszystkie na granicy zasięgu rakiet. Choć niektórzy jego koledzy z dywizjonu odpalili w ich kierunku swoje pociski średniego zasięgu klasy powietrze-powietrze, on nie poszedł w ich ślady i wyczekiwał na lepszą okazję. Pokładowe systemy pokazywały także, że jego samolot jest śledzony przez wiele radarów przeciwnika, ale nic na to nie mógł poradzić. Ganiał po całym niebie wciskając maszynę w ciasne zakręty; przeciążenie rosło, gdy włączał dopalanie. Zorganizowana bitwa powietrzna przemieniła się w bezładną szarpaninę. Każdy pilot w panujących ciemnościach, niczym samuraj, zdany był wyłącznie na własne siły. Sato skręcił na północ, wybierając najbliższe cele. System indentyfikacji „swój-obcy” sprawdził je automatycznie, otrzymując wynik negatywny. Major oddał salwę swoimi raketami typu „odpal i zapomnij”, po czym wykonał ostry zwrot na południe. Toczona bitwa ani trochę nie przypominała tej, którą sobie wymarzył — równorzędną walkę pod błękitnym niebem, w której piloci rzucają przeciw sobie własne umiejętności.

Przybrała charakter chaotycznej potyczki w ciemnościach. Nie wiedział nawet, która strona wygrała, a która poniosła klęskę. Musiał teraz zawracać i pędzić do bazy. Odwaga odwagą, ale Amerykanie odciągnęli ich tak daleko, że ledwo starczy mu paliwa na powrót do bazy. Nigdy nie dowie się, czy jego rakiety dosięgnęły celu. Cholera.

Po raz ostatni zwiększył moc, przechodząc na dopalanie, by oderwać się od nieprzyjaciela. Zatoczył łuk i ominął myśliwce idące z południa. To pewnie samoloty z Guam.

Życzył im szczęścia.

— Indyki, tu dowódca. Zawracamy, powtarzam zawracamy. — Sanchez pozostał daleko w tyle za toczącymi się walkami, żałując, że zamiast w *Hornecie* siedzi w cięższym *Tomcacie*. Z

nadchodzących meldunków dowiedział się, że choć grupa straciła kilka samolotów, a bitwa nie potoczyła się do końca po jego myśli, to jednak odnieśli sukces. Sprawdzając stan paliwa skierował się na północ, by oddalić się jeszcze od rejonu walk. Wtem dostrzegł światła antykolizyjne na swojej dziesiątej godzinie. Wydłużył zakręt, by podlecieć bliżej.

— Jezu, Bud, toż to samolot pasażerski — wyrzucił z siebie jego operator systemów przechwytywania. — Ma oznakowania Japońskich Linii Lotniczych. — Stylizowany czerwony żuraw na stateczniku pionowym nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

— Lepiej będzie, jeśli go ostrzeżemy. — Sanchez włączył światła pozycyjne *Tomcata* i zbliżył się od lewej strony. — JAL 747, JAL 747, tu samolot Marynarki Stanów Zjednoczonych po twojej lewej.

— Kim jesteś? — spytał głos na zastrzeżonej częstotliwości.

— Tu samolot Marynarki Stanów Zjednoczonych. Znalazłeś się w rejonie walk. Radzę ci zawrócić. Odbiór.

— Nie wystarczy mi paliwa.

— W takim razie możesz lądować na lotnisku na Iwo Jima. Tylko uważaj na maszt radiowy na południowym wschodzie od pasa, odbiór.

— Dziękuję — odparł krótko głos. — Będę kontynuował lot według planu. Koniec.

— Zakuta pała. — Sanchez nie rzucił tego przez radio, choć siedzący za nim operator nie wyrażał sprzeciwu. Podczas prawdziwej wojny zwyczajnie by go zestrzelili, ale nie prowadzili prawdziwej wojny, a przynajmniej ktoś tak zdecydował. Sanchez nigdy się nie dowiedział, jak brzemienne w skutki błąd właśnie popełnił.

— Kapitanie, to niebezpieczne!

— Iwo Jima jest nieoświetlona. Podejźmy do Saipanu od zachodu i nic nam się nie stanie — oznajmił kapitan Sato, niewzruszony tym, co właśnie usłyszał. Zmienił kurs na zachodni, a drugi pilot zachował milczenie.

— Zostaliśmy trafieni aktywną wiązką, namiar dziesięć, impuls niskiej częstotliwości, prawdopodobnie okręt podwodny. — To nie była dobra nowina.

— Przygotować torpedy do natychmiastowego odpalenia! — rozkazał z miejsca Claggett.

Aż do znudzenia walczyli reakcją na taką ewentualność, a jego okręt miał najlepszych oficerów broni podwodnej we flocie.

— Ustawiam wyrzutnię numer cztery — zameldował podoficer uzbrojenia. Na rozkaz torpeda została uaktywniona. — Zatapiam czwórkę. Wyrzutnia numer cztery zatopiona. Gotowy aparat czwarty.

— Kurs początkowy dziesięć — meldował oficer uzbrojenia, sprawdzając nakres sytuacji, który nie pomógł mu jednak zbyt wiele. — Przeciąć przewody, ustawić uruchomienie aktywnego na tysiąc metrów.

— Ustawione według rozkazu!

— Strzelać! — rozkazał Claggett.

— Odpalam czwórkę, czwórka poszła! — Marynarz niemal wyrwał korbę urządzenia odpalającego.

— Odległość cztery tysiące metrów — zameldował sonarzysta. — Duży okręt podwodny, ustawia się burtą. Przebieg przejściowy... odpalił torpedę!

— No to my też. Odpalić jedynekę! Odpalić dwójkę! — krzyknął Ugaki. — Ster lewo na burt — dodał, gdy opróżniła się druga wyrzutnia. — Cała naprzód!

— Torpeda w wodzie. Dwie torpedy w wodzie. Kurs dziesięć. Są w fazie impuls-nasłuch.

Torpedy pracują w trybie poszukiwania celu — zameldowano z hydro.

— O cholera. Już to kiedyś przerabialiśmy — zauważył Shaw, przypominając sobie okropną przygodę na USS „Maine”. Oficer i starszy sierżant Armii weszli właśnie do centrali bojowej, by podziękować dowódcy okrętu za rolę, jaką odegrał w operacji śmigłowców.

Zatrzymali się jak wryci, rozglądając się dookoła i wyczuwając napięcie panujące w przedziale.

— Wystrzelić pozorator!

— Pozorator poszedł. — W chwilę później dał się słyszeć słaby szmer: uderzenie sprężonego powietrza.

— *LEMOSS* gotowy? — spytał Claggett, mimo że rozkazał go przygotować.

— W wyrzutni numer dwa, sir.

— Przygotować do odpalenia.

— Gotowe, sir.

— Okay. — Claggett pozwolił sobie na głębszy oddech. Nie miał zbyt dużo czasu na zebranie myśli, jak sprytne są japońskie torpedy? „Tennessee” robił pięć węzłów, po zanurzeniu nie wydano żadnych rozkazów ani do steru, ani do maszyn. Okręt szedł na stu metrach. W

porządku.

— Ustawić konfiguracje trzech celów pozornych. Wystrzelenie na moją komendę.

— Jesteśmy gotowi, sir.

— Operatorzy uzbrojenia, ustawić *LEMOSS* na głębokość stu metrów, niech zatacza jak

najciaśniejsze kręgi. Uaktywnić, gdy tylko opuści wyrzutnię.

— Ustawione wedle rozkazu. Wyrzutnia zatopiona.

— Odpalić.

— *LEMOSS* poszedł, sir.

— Wystrzelić cele pozorne!

„Tennessee” zadrżał, gdy trzy cele pozorne zostały wystrzelone w wodę wraz z torpedopodobnym pozoratorem. Nadpływająca torpeda mogła teraz śledzić bardzo kuszący fałszywy cel.

— Wynurzenie! Awaryjne wynurzenie okrętu!

— Jest wynurzenie awaryjne — potwierdził szef pokładu, sięgając po zawór sprężonego powietrza.

— Pełne wynurzenie na sterach!

— Pełne wynurzenie na sterach — powtórzył sternik, pociągając do siebie koło sterowe.

— Centrala, tu hydro, torpeda nieprzyjaciela wciąż w fazie impuls-nasłuch. Nasz aparat włączył aktywny. Coś wyniuchał.

— Ich torpeda jest podobna do wczesnej wersji *Mk 48* — stwierdził Claggett spokojnie.

Jego opanowanie było wielkim oszustwem, z czego zdawał sobie sprawę, ale załoga mogła tego nie wiedzieć. — Kieruje się trzema zasadami: cel musi być zanurzony, znajdować się w odległości ponad ośmiuset metrów i posuwać się z prędkością minimum ośmiu węzłów. Maszyna stop!

— Jest stop! Maszynownia potwierdza rozkaz.

— Świetnie, a teraz na luz i w górę — rzucił dowódca. Zerknął na żołnierzy Armii i mrugnął do nich okiem. Wyglądali na pobladłych. No cóż, czarny kolor skóry ma swoje zalety, pomyślał Claggett.

„Tennessee” nabral trzystopniowego przechyłu i wytracał prędkość postępową, idąc ostro w górę. Wynurzenie było tak raptowne, że paru marynarzy zważyło się na pokład.

Claggett przytrzymał się czerwono-białego uchwyty peryskopu, by odzyskać równowagę.

— Głębokość?

— Wychodzimy na powierzchnię, sir! — zameldował szef pokładu. W chwilę potem dobiegły ich szumy z zewnątrz i okręt wystrzelił na powierzchnię.

— Cisza na okręcie!

Wał napędowy znieruchomiał. „Tennessee” kołysał się na powierzchni, podczas gdy sto metrów niżej i pół mili za rufą torpeda pozoracyjna *LEMOSS* zataczała ciasne kręgi. Zrobili wszystko co było w ich mocy. Jeden z marynarzy sięgnął do kieszeni munduru po papierosa i przypomniał sobie, że stracił je na górnym pokładzie.

— *LEMOSS* namierza cel — zameldowano z hydro.

— W prawo! — rozkazał Ugaki, starając się by jego głos zabrzmiał spokojnie i rzeczowo.

Ale amerykańska torpeda przeszła dokładnie przez pozorator... tak jak niegdyś jego, przypomniał sobie. Powiódł wzrokiem po centrali. Oczy wszystkich skupiły się na nim, tak jak podczas tamtego ataku, jednak tym razem okręt przeciwnika zdołał odpalić torpedę jako pierwszy, mimo że przewaga była po ich stronie. Wystarczyło spojrzeć na nakres, by przekonać się, że nigdy już nie dowie się, czy jego drugi atak podwodny został uwieczniony sukcesem...

— Przykro mi — powiedział do swoich ludzi. Kilku z nich zdążyło jeszcze przyjąć skinieniem głowy te ostateczne, szczerze przeprosiny.

— Melduję trafienie — zawołano z hydro.

— Dziękuję — potwierdził Claggett.

— Torpedy przeciwnika krążą pod nami, panie komandorze... zdaje się, że... tak...

uganiają się za celem pozornym... odbieram aktywne sygnały, ale...

— ...ale wczesne wersje *Mk 48* nie śledzą nieruchomych celów nawodnych — dokończył

Claggett cicho. Zdawało się, że na pokładzie oddycha tylko on i szef. No może jeszcze Ken Shaw, który stał przy pulpicie uzbrojenia. To że słyszeli sygnały hydrolokatora torpedy nie poprawiało nikomu samopoczucia.

— Te cholerstwa będą tam pływać całe wieki.

— Zgadza się — przytaknął Claggett. — Podnieść antenę radaru kontroli strefy powietrznej — dodał po namyśle. Maszt z zamontowanym na nim czujnikiem poszedł

natychmiast w górę i wszystkim w centrali aż ścierpła skóra od zarejestrowanego hałasu.

— *Skipper*, odbieram sygnały z pokładowego radaru, namiar trzy-pięć-jeden.

— Moc?

— Mała, ale wzrasta. To pewnie *P-3*, sir.

— W porządku.

Tego było już za wiele dla oficera Armii.

— Mamy zamiar tu tak siedzieć? — spytał.

— Właśnie.

Sato sprowadzał 747 na ziemię, polegając głównie na swojej pamięci. Choć pas nie był

oświetlony, blask księżyca wystarczył, by wypatrzyć lotnisko. Drugi pilot po raz kolejny nie mógł wyjść z podziwu dla umiejętności kapitana. Po chwili ziemia ukazała się w świetle reflektorów lądowania. Sato posadził samolot nieco na prawo od środkowej linii pasa, ale udało mu się utrzymać prosty bieg aż do końca. Tym razem nie wymienił spojrzenia z młodszym oficerem, co zazwyczaj w tym momencie czynił. Gdy wprowadzał samolot na drogę kołowania, w oddali ciemności rozświetlił nagły błysk.

Eagle majora Sato był pierwszym, który lądował z powrotem na Kobler. Podczas podchodzenia do pasa minął dwa rozbite myśliwce. Coś działo się na ziemi, ale z chaosu w radiu nic nie dało się wywnioskować. Major i tak nie miał innego wyjścia, jego myśliwiec leciał już na rezerwie, a paliwomierz wskazywał, że zbiorniki paliwa są niemal puste. W zupełnych ciemnościach pilot obliczył odpowiedni kąt schodzenia i przyziemił dokładnie we właściwym miejscu. Nie zauważył rozsypanych po pasie przedmiotów przypominających piłki baseballowe.

Na jeden z nich najechało przednie koło jego *F-15J*. Myśliwiec trzasnął nosem o ziemię, zaczął

ślizgać się po betonie i niczym wiatrak okręcił się na końcu pasa. Resztki paliwa w zbiornikach zapaliły się i myśliwiec eksplodował, obsypując pas płonącymi częściami. Kolejny *Eagle*, lecący kilkaset metrów za Sato, przyziemił na innym pasie i też eksplodował. Pozostałe dwadzieścia myśliwców wyszło łukiem ku niebu, prosząc przez radio o dalsze instrukcje. Sześć skierowało się na lotnisko cywilne. Reszta wybrała Tinian, nie wiedząc, że tam również rakiety *Tomahawk* rozrzuciły bomby kasetowe wypełnione subamunicją. Mniej więcej połowa przeżyła lądowanie, nie natrafiając na żadną ze zdradzieckich „piłek”...

Admirał Czandraskatta stał w centrali dowodzenia, obserwując ekran radaru. Wkrótce miał odwołać swoje myśliwce. Nie podobało mu się, że musi narażać życie pilotów podczas nocnych operacji, ale Amerykanie zebrali w powietrzu pokaźne siły, urządzając kolejną demonstrację. Z pewnością mogły zaatakować i zniszczyć całą jego flotę. Ale czy teraz, gdy toczy się wojna z Japonią, Ameryka zdecyduje się na rozpoczęcie innej operacji bojowej? Nie.

Siły desantowe wyszły już w morze i za dwa dni, o świcie, nadejdzie w końcu czas.

Bombowce *B-1* leciały niżej niż kiedykolwiek załodze zdarzyło się je prowadzić.

Pilotowali je rezerwiści, w większości pracownicy linii cywilnych, których dobrodziej Pentagon (idąc za radą kilku starszych członków Kongresu) przydzielił do misji bojowej po raz pierwszy od wielu lat. Podczas ćwiczebnych misji bombowych utrzymywali standardową wysokość nie mniejszą

niż sześćdziesiąt, a najczęściej sto metrów. Nawet na farmach w Kansas zdarzały się wiatraki, czasem ktoś także postawił wieżę radiową w najgłębszym miejscu na świecie. Ale nie na morzu. Tu schodzili na piętnaście metrów, mocno dawali w rurę, jak to określił jeden pilot i, zagryzając nerwowo wargi, powierzali maszyny opiece systemu unikania przeszkód terenowych.

Jego klucz ośmiu bombowców parł prosto na południe, skręciwszy nad Dondra Head. Pozostałe cztery wzięły kurs na północny zachód po skorzystaniu z innej radiolatarni. Przed nimi w eterze panował straszny harmider, który wystarczył by pilot zaczął się denerwować, choć nawet najdrobniejsza część promieniowania radarowego nie była skierowana w jego samolot. Poddał się tej wspaniałej chwili, gdy z prędkością jednego macha sunął tak nisko, że jego bombowiec zostawiał za sobą całkiem nietypową smugę kondensacyjną, prując niczym motorówka wszechklas i opiekając być może w swoim kilwaterze jakieś ryby...

— Obiekty na niskim pułapie od północy!

— Co?! — Admirał podniósł wzrok. — Odległość?

— Niecałe dwadzieścia kilometrów, zbliżają się bardzo szybko.

— Czy to rakiety?

— Brak danych, admirale!

Czandraskatta spojrział na nakres sytuacyjny. Znajdowały się tutaj, nadlatując z przeciwnej strony niż amerykańskie samoloty z lotniskowca. Jego myśliwce nie zdążą...

— Nadlatują samoloty! — krzyknął marynarz na oku.

— Otworzyć ogień? — spytał komandor Mehta.

Czandraskatta pobiegł w kierunku drzwi, docierając na pokład startowy w samą porę, by dostrzec białe smugi na wodzie, zanim jeszcze zobaczył wywołujące je samoloty.

— Wychodzę do góry — zameldował pilot, kierując się nad pomost lotniskowca. Wziął

drażek na siebie i, gdy okręt zniknął pod brzuchem bombowca, zerknął na wysokościomierz.

— Zwiększyć wysokość! — polecił dźwiękowy system ostrzegania typowym dla siebie seksownym głosem.

— Już to zrobiłem, Marilyn. — Elektroniczny głos przypominał pilotowi Trans World Airlines głos Marilyn Monroe. Sprawdził prędkość. Prawie tysiąc pięćset kilometrów na godzinę.

Jejku. Hałas jaki robi jego ptaszyna...

Uderzenie gromu dźwiękowego wywołanego przez ogromny samolot zabrzmiało jak wybuch bomby; zwaliło admirała z nóg, wybiło szyby w sterówce i zniszczyło kilka urządzeń na górnym pokładzie. Po chwili rozległ się kolejny, a potem następne, gdy olbrzymie samoloty przedelfilowały ponad okrętem. Admirał poczuł się lekko oszołomiony. Podniósł się i popędził w stronę nadbudówki, pod butami zachrząściło szkło. Mimo oszołomienia wiedział, że jego miejsce jest na pomoście.

— Dwa radary zostały zniszczone — usłyszał od podoficera. — „Rajput” zameldował, że ich bateria rakiet ziemia-powietrze została uszkodzona.

— Admirale — zawołał oficer łączności w stopniu porucznika, podając mu słuchawkę.

— Kto mówi? — spytał Czandraskatta.

— Tu Mike Dubro. Następnym razem nie będziemy już żartować. Zostałem upoważniony, by zawiadomić pana, że amerykański ambasador spotkał się właśnie z waszą panią premier...

— W interesie nas wszystkich jest, by indyjska flota zaprzestała prowadzenia operacji — oznajmił były gubernator stanu Pensylwania, po wymienieniu wstępnych grzecznościowych formułek.

— Nie może nam pan rozkazywać.

— To nie rozkaz, pani premier, to raczej spostrzeżenie. Jestem upoważniony zawiadomić panią, że mój rząd zabiega o nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ, by przedstawić sprawę waszego zamiaru inwazji na Sri Lankę. Przedstawimy Radzie Bezpieczeństwa propozycję użycia Marynarki do zabezpieczenia suwerenności tego kraju. Proszę wybaczyć, że powiem to bez ogródek — mój kraj nie pozwoli nikomu nastawać na suwerenność Sri Lanki. Jak już powiedziałem, w interesie nas wszystkich leży uniknięcie starcia zbrojnego.

— Inwazja, o której pan mówi, nie leży w naszych zamiarach — stwierdziła stanowczo pani premier, zaskoczona nieco bezpośrednim charakterem tego oświadczenia w porównaniu z tym, które wcześniej zignorowała.

— A zatem doszliśmy do porozumienia — skonstatował ambasador Williams uprzejmym tonem. — Bezwłocznie zakomunikuję o tym mojemu rządowi.

Całe wieki, a dokładnie ponad pół godziny upłynęło nim pierwsza, a potem druga torpeda zaprzestała krążeń. W końcu umilkły także ich aktywne hydrolokatory. *LEMOSS* nie wydał im się celem dość dużym, by go zaatakować, ale w pobliżu nie znajdowało się nic innego godnego ich uwagi.

— Jak tam moc sygnału z radaru na *P-3*? — spytał Claggett.

— Wkrótce osiągnie wielkości pozwalającą nas namierzyć, sir.

— Zanurzamy się, panie Shaw. Zejdziemy pod termoklinę, a potem spadamy stąd na pełnym gazie.

— Tak jest. — Shaw wydał odpowiednie rozkazy. Dwie minuty później USS

„Tennessee” zniknął pod powierzchnią, a za następne pięć minut szedł już południowo-wschodnim kursem na głębokości dwustu metrów, robiąc dziesięć węzłów. Wkrótce usłyszeli za rufą głośny plusk, prawdopodobnie zrzuconej pławy radiohydroakustycznej, ale minęło sporo czasu zanim *P-3* zebrał dość danych, by przeprowadzić atak. A „Tennessee” nie zamierzał

czekać.

Zamiatanie

— Zwycięstwo może nie spektakularne, ale zawsze zwycięstwo? — spytał prezydent.

— Właśnie — odparł Ryan, odkładając słuchawkę. Systemy zobrazowania satelitarnego pokazywały, że niezależnie od strat poniesionych w walce powietrznej, Japończycy stracili czternaście samolotów z powodu subamunicji rozsypanej na pasach startowych. Ich główne radary kontroli obszaru powietrznego zostały zlikwidowane, a ponadto wystrzelili dużo rakiet ziemia-powietrze. Następnym krokiem miało być całkowite zablokowanie ruchu powietrznego i morskiego wokół wysp, co można było zrobić przed końcem tygodnia. Przygotowywano już oświadczenie dla prasy, na wypadek gdyby zaszła taka konieczność.

— Wygraliśmy — stwierdził doradca do spraw bezpieczeństwa. — Teraz to już tylko kwestia przekonania o tym drugiej strony.

— Dobrze się spisałeś, Jack — powiedział Durling.

— Panie prezydencie, gdybym dobrze wykonywał swoją pracę, to nic podobnego nigdy by się nie wydarzyło — odparł Ryan po chwili milczenia. Przypomniał sobie, kiedy się zaczął

orientować, co jest grane... o tydzień za późno. Cholera.

— Zdaje się, że udało nam się zawczasu zapobiec konfliktowi z Indiami, jeśli wierzyć temu, co mówił Dave Williams — prezydent urwał. — Co teraz z tym zrobimy?

— Najpierw trzeba zakończyć akcje zbrojne.

— A potem?

— Zaproponujemy im honorowe wycofanie się. — Po bliższym wyjaśnieniu, Jack z zadowoleniem stwierdził, że Szef się z nim zgadza.

Durling nie powiedział Ryanowi, że będą musieli załatwić jeszcze coś. Musiał się nad tym trochę bardziej zastanowić. Na razie wystarczy, że Ameryka zdaje się wygrywać tę wojnę, a on zapewnił sobie wybór na drugą kadencję, ratując gospodarkę i broniąc praw amerykańskich obywateli. To był całkiem interesujący miesiąc, pomyślał prezydent, przyglądając się człowiekowi, który siedział z nim w pokoju. Zastanawiał się, co by zrobił bez niego. Gdy Ryan wyszedł, zatelefonował na Kapitol.

Jedną z zalet samolotów wczesnego ostrzegania było to, że ułatwiały liczenie powietrznych zwycięstw. Nie zawsze można było określić, kto zestrzelił kogo, ale w takim przypadku na ekranie radaru strącony samolot po prostu znikał.

— „Port Royal” melduje przyjęcie śmigłowców — zabrzmiało z głośnika.

— Dziękuję — powiedział Jackson. Miał nadzieję, że piloci *Comanche*’ów nie byli zbyt rozczarowani, iż lądowali na krążowniku, a nie na „Johnnie Reb”, jednak Jackson musiał mieć w tej chwili do dyspozycji cały pokład startowy.

— Doliczyłem się dwudziestu siedmiu zestrzelonych samolotów — powiedział Sanchez.

Trzy myśliwce z grupy lotniczej zostały trafione i tylko jeden pilot się uratował. Poniesione straty okazały się mniejsze niż zakładano, choć fakt ten wcale nie ułatwiał dowódcy grupy powietrznej pisania raportu.

— No cóż, nie można tego nazwać pogromem, ale i tak poszło nie najgorzej. Pamiętaj o tych czternastu, które przejechały się na *Tomahawkach*. Razem daje to prawie połowę ich sił

myśliwskich, z czego większość to *F-15*. Poza tym został im tylko jeden *Hummer*. Zaczynają cienko pruć. — Dowódca grupy uderzeniowej przejrzał inne dane. Jeden niszczyciel zatopiony, reszta grupy *Aegis* była zbyt daleko, by mogła wpłynąć na losy operacji. Osiem okrętów podwodnych zatopionych. Ogólna koncepcja operacyjna zakładała w pierwszej kolejności pozbawienie przeciwnika broni, tak jak to zrobiono w Zatoce Perskiej, a na morzu okazało się to łatwiejsze niż na lądzie. — Bud, gdybyś dowodził siłami po drugiej stronie, jakie byś teraz podjął

działania?

— Wciąż nie możemy przeprowadzić inwazji — Sanchez urwał. — Sprawa jest przegrana, niezależnie jak się na nią spojrzy, ale poprzednim razem, gdy walczyliśmy w tym rejonie... — spojrzął na swojego dowódcę.

— Masz rację. Bud, każ przygotować twojego *Tomcata* i zrobić dla mnie miejsce z tyłu.

— Tak jest, sir. — Sanchez oddalił się.

— Zastanawiasz się, co... — spytał dowódca „Stennisa” unosząc jedną brew.

— Mamy coś do stracenia, Phil?

— Bardzo dobrego admirała, Rob.

— Gdzie trzymacie radiostacje na tej łajbie? — spytał Jackson, mrugając okiem.

— Gdzie się podziewałeś? — spytał zdziwiony Goto.

— Ukrywałem się po tym, jak porwał mnie twój protektor. — Koga wtargnął do pokoju nie pukając, rozsiadł się bez zaproszenia i w ogóle okazywał całkowity brak dobrego wychowania na znak odzyskanej siły.

— I co masz do powiedzenia na swoją obronę? — wypytywał były premier swojego następcę.

— Nie wolno ci mówić do mnie w ten sposób. — Nawet te słowa nie miały mocy.

— Genialnie. Doprowadzasz nasz naród do upadku, a potem żądasz specjalnych względów od kogoś, kogo twój pan o mało nie zabił. Za twoim przyzwoleniem? — spytał Koga niezobowiązująco.

— Oczywiście że nie. Poza tym kto zamordował...

— Kto zamordował przestępców? Nie ja — zapewnił go Koga. — Za to draży mnie jeszcze ważniejsze pytanie: co masz zamiar teraz zrobić?

— No cóż, o tym jeszcze nie zdecydowałem. — Ta przekonująca w zamierzeniu odpowiedź nie osiągnęła zamierzonego celu.

— Chciałeś powiedzieć, że nie rozmawiałeś jeszcze z Yamatą.

— Sam decyduję o sobie.

— Doskonale. Zatem zrób to teraz.

— Nie możesz mi rozkazywać.

— Dlaczego nie? Niedługo zajmę moje dawne stanowisko. Masz do wyboru: albo rano złożysz rezygnację, albo dziś po południu będę przemawiał w Parlamencie i wezwę do przegłosowania wotum nieufności. Tego wotum nie przeżyjesz. W każdym razie jesteś skończony. — Koga wstał i skierował się do wyjścia. — Radzę ci postąpić z honorem.

Jak zauważył kapitan Sato, idąc w otoczeniu eskorty żołnierzy, ludzie w terminalu ustawili się w kolejce przy kasach po bilety do domu. U jego boku siedł młody porucznik, spadochroniarz cały czas jeszcze chętny do walki, czego nie można było powiedzieć o pozostałych w tym budynku. Oczekujący dżip ruszył z piskiem opon w kierunku lotniska. Na zewnątrz pełno było tubylców, którzy wylegli na ulice demonstracyjnie poganiając „Japońców”, by się wynieśli z wyspy. Niektórych należałoby zastrzelić za zuchwalstwo, pomyślał Sato, ciągle przeżuważając gorzkie myśli. Dziesięć minut później wszedł do jednego z hangarów w Kobler. Nad głową myśliwce zataczały kręgi, prawdopodobnie obawiając się zapuszczać nad pełne morze.

— Proszę tędy — powiedział porucznik.

Sato wkroczył do budynku pełen godności, z czapką wetkniętą pod lewe ramię, trzymając plecy prosto i nie patrząc na boki. Wzrok utkwiał w odległą ścianę, aż do momentu, gdy porucznik się zatrzymał i odrzucił z ciała gumową płachtę.

— Tak, to mój syn. — Starał się nie patrzeć. Dzięki Bogu, twarz nie była zmasakrowana, prawdopodobnie ochronił ją hełm lotniczy. Jednak reszta ciała została spalona, gdy siedział

uwięziony we wraku myśliwca. Zamknąwszy oczy Sato widział, jak jego jedynak wije się w kabinie pilota, niecałą godzinę po tym, jak utonął jego wuj. Czyż los naprawdę może być tak okrutny? I jak to wytłumaczyć, że ci, którzy służyli krajowi, musieli umrzeć, a zwykłemu 747 z cywilami dane było bez trudu przedrzeć się przez szeregi amerykańskich myśliwców?

— Dowódca dywizjonu twierdzi, że pański syn zestrzelił przed śmiercią wrogi myśliwiec

— odezwał się porucznik. Wymyślił tę historyjkę, ale musiał coś powiedzieć, prawda?

— Dziękuję, poruczniku. Muszę teraz wracać do swojego samolotu. — W drodze z powrotem na lotnisko nie wymienili już więcej ani słowa. Oficer wojsk lądowych pozostawił

lotnika z jego smutkiem i dumą.

Dwadzieścia minut później Sato znalazł się z powrotem w kabinie 747. Samolot został już przygotowany do lotu i kapitan dałby głowę, że jest wypełniony po brzegi jego krajanami, którzy wracali do domu, korzystając z obietnicy Amerykanów, że będą mogli przelecieć bezpiecznie.

Ciągnik pomagał *Boeingowi* dokołować do pasa. Prowadził go jakiś miejscowy, który po odłączeniu się od samolotu pożegnał ich gestem nie wyrażającym wcale przyjacielskich uczuć.

Ale ostateczna zniewaga spotkała ich, gdy czekali na zezwolenie na start. Na pasie lądował

myśliwiec i nie był to niebieski *Eagle*, lecz brudnawoszary samolot z napisami US NAVY na gondolach silników.

— Niezłe lądowanie, Bud. Wspaniała robota — stwierdził Jackson, gdy podniosła się osłona kabiny.

— Nasz klient, nasz pan. — odparł Sanchez nerwowym głosem. Gdy pokołował w prawo, ujrzał komitet powitalny, którego członkowie ubrani byli w zielone mundury polowe i mieli przy sobie broń. Kiedy tylko samolot się zatrzymał, do burty podsunięto aluminiową drabinę.

Jackson zszedł pierwszy, a stojący u spodu drabiny oficer sztabowy oddał mu stosowne honory.

— To *Tomcat* — oświadczył Oreza, oddając lornetkę. — A oficer, który z niego wysiadł, to bynajmniej nie japończyk.

— Zgadza się — potwierdził Clark, patrząc, jak czarnoskóry oficer wsiada do dżipa.

Ciekawe jak to się ma do jego rozkazów? Choć perspektywa złapania Raizo Yamaty z pewnością była kusząca, nawet myślenie o takiej możliwości (o której mówiły jego rozkazy) nie wydawało się obiecującym przedsięwzięciem. Zameldował również o warunkach na Saipanie. Pomyślał, że ta wiadomość była dobra. Japońscy żołnierze, których miał okazję obserwować wcześniej tego dnia, nie zachowywali się ani trochę zawadiacko, choć niektórzy oficerowie, a zwłaszcza ci młodszy rangą, zdawali się z dużym entuzjazmem podchodzić do swojej misji. Ale tego przecież oczekuje się w wojsku od poruczników.

Dom gubernatora, usytuowany na miejscowym Wzgórzu Kapitolińskim przy centrum konferencyjnym, wydawał się całkiem przyjemną budowlą. Jackson pocił się obficie. Słońce tropików prażyło, a jego kombinezon lotniczy stanowił aż nazbyt dobrą warstwę izolacyjną.

Porucznik przy wejściu zaszalutował i wpuścił go do środka.

Robby znał generała Arimę z widzenia, a dokładniej z akt wywiadu, które oglądał w Pentagonie. Teraz zauważył, że są mniej więcej tego samego wzrostu i budowy. Generał

zasalutował. Jackson nie miał na głowie czapki i był bez dystynkcji, a więc nie wolno mu było odpowiedzieć tym samym, nie łamiąc przepisów Marynarki. Niezależnie od tego nie byłaby to właściwa odpowiedź. Uprzejmie skinął głową i na tym poprzestał.

— Generale, czy możemy porozmawiać na osobności?

Arima kiwnął głową i poprowadził go do pomieszczenia, które wyglądało jak połączenie spelunki i biura, Robby zajął miejsce, a gospodarz był tak miły, że wręczył mu szklankę lodowatej wody.

— Jest pan...?

— Dowódcą Grupy Uderzeniowej 77. Jak mniemam, pan jest dowódcą japońskich sił na Saipanie.

— Robby wychylił szklankę. Drażniło go to, że się tak poci, ale cóż mógł na to poradzić.

— Zgadza się.

— W takim razie, sir, jestem tutaj po to, by prosić was o złożenie broni. — Miał nadzieję, że generał zna różnicę semantyczną pomiędzy „proszę”, a „żądam” — czasownikiem zwykle używanym w takiej sytuacji.

— Nie jestem upoważniony, by to zrobić.

— Panie generale, to co teraz panu powiem, wyraża stanowisko mojego rządu. Możecie opuścić te wyspy w pokoju. Możecie wziąć ze sobą lekką broń. Ciężki sprzęt i samoloty pozostaną i dopiero później określimy ich status. W tej chwili chcemy tylko, by wszyscy obywatele japońscy opuścili wyspę, co pozwoli na odbudowę normalnych stosunków pomiędzy naszymi krajami.

— Nie jestem upoważniony...

— Za dwie godziny powtórzę to wszystko na Guam, a w Tokio amerykański ambasador zabiega właśnie o spotkanie z waszym rządem.

— Nie dysponujecie środkami, by odebrać nam tę jedną wyspę, nie wspominając o pozostałych.

— To prawda — zgodził się Jackson. — Lecz prawdą jest także, że nie sprawi nam trudności powstrzymanie wszystkich statków na czas nieokreślony od zawijania do japońskich portów. Zdołamy też wykluczyć tę wyspę z ruchu morskiego i powietrznego.

— To groźba — zauważył Arima.

— Tak, sir. To groźba. W rezultacie do waszego kraju zawita głód. Gospodarka ugrzęźnie w impasie, a to nie służy niczym interesom. Jackson przerwał na chwilę. — Do tego momentu cierpieli tylko żołnierze. Powinniśmy wyciągnąć z tego jakieś wnioski. Jeśli to wszystko będzie się toczyć dalej, to cierpieć będziemy wszyscy, a najbardziej Japonia. W dodatku spowoduje to wzajemne urazy w sytuacji, gdy obie strony powinny postarać się odtworzyć normalne stosunki tak szybko, jak tylko pozwolą na to okoliczności.

— Nie jestem upoważniony...

— Panie generale, mógłby pan tak mówić pięćdziesiąt lat temu, kiedy w zwyczaju waszej armii leżała walka do ostatniej kropli krwi. W zwyczaju waszych żołnierzy leżało też traktowanie obywateli okupowanego kraju w sposób, który nawet pan uznałby za barbarzyński. Mówię to, ponieważ zachował się pan godnie pod każdym względem, a przynajmniej takie mam informacje.

I za to panu dziękuję — Jackson mówił spokojnym i uprzejmym tonem. — Lata czterdzieste należą do przeszłości. Ja urodziłem się po zakończeniu wojny, a pan wtedy raczkował. Taka mentalność należy już do przeszłości. Dzisiaj nie ma na nią miejsca.

— Moi żołnierze postępowali godnie — przytaknął Arima nie wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć w tych okolicznościach.

— Życie ludzkie jest cennym dobrem, generale Arima, zbyt cennym, by je niepotrzebnie marnować. Ograniczyliśmy nasze ataki do celów o znaczeniu militarnym. Jeszcze nie wyrządziliśmy krzywdy niewinnym ludziom, tak jak i wy. Lecz jeśli tak dalej pójdzie, to sytuacja się zmieni, a zmiana ta dotknie bardziej was niż nas. Nie przyniesie to chwały żadnej ze stron. W

każdym razie muszę teraz lecieć na Guam. Wie pan, jak się ze mną skontaktować przez radio. —

Jackson wstał.

— Muszę czekać na rozkazy od mojego rządu.

— Rozumiem — odparł Robby, stwierdziwszy z ulgą, że Arima ma zamiar posłuchać tych rozkazów — rozkazów swojego rządu.

Zwykle gdy Al Trent składał wizytę w Białym Domu, robił to w towarzystwie Sama Fellowsa, przewodniczącego Komisji Izby z ramienia partii mniejszościowej. Nie tym razem jednak — Sam należał do innej partii. Jeden z przywódców partii Ala w Senacie też już tam czekał. Pora wskazywała, że spotkanie ma charakter polityczny. Większość personelu Białego Domu skończyła już pracę, prezydent zaś pozwolił sobie na to, aby na chwilę zapomnieć o zmartwieniach związanych z jego stanowiskiem.

— Panie prezydencie, mam nadzieję, że wszystko poszło po naszej myśli.

Durling pokiwał głową.

— Premier Goto nie może się jeszcze spotkać z ambasadorem. Nie jesteśmy pewni dlaczego, ale ambasador Whiting mówi, że nie ma powodów do zmartwienia. Tą samą opinią publiczna gwałtownie przechyliła się na naszą stronę.

Trent wziął drinka od stewarda Marynarki, który obsługiwał w Gabinetcie Owalnym.

Tutejszy personel musiał chyba posiadać listę ulubionych drinków wszystkich ważnych osobistości. W przypadku Ala była to wódka z tonikiem, szwedzki Absolut, który zaczął pijać od czasów studiów na uniwersytecie Tufts czterdzieści lat temu.

— Jack ciągle mówił, że nie wiedzą, w co się pakują.

— Sprytny chłopak z tego Ryana — zgodził się starszy senator. — Oddał ci sporo przysług, Roger. — Trent z rozdrażnieniem stwierdził, że ten zasiedziały członek „izby wyższej”, jak zwykł w myślach nazywać to miejsce, czuje się upoważniony, by prywatnie zwracać się do prezydenta po imieniu. Typowy senator — pomyślał członek Izby.

— Bob Fowler dał panu dobrą radę — zauważył Trent.

Prezydent skinął na znak zgody.

— Zgadza się. To ty szepnąłeś mu słówko Al, prawda?

— Moja wina — przyznał Trent ze śmiechem.

— No cóż, mam pomysł, którym się chcę z wami podzielić — powiedział Durling.

Dowodzony przez kapitana Checę oddział Rangersów dotarł do skraju lasu nieco po dwunastej w południe miejscowego czasu, kończąc tym samym morderczą wędrówkę po śniegu i błocie. Poniżej biegła jednopasmowa droga. Ta część miasta to chyba jakiś letni kurort, pomyślał

kapitan. Parkingi przed hotelami świeciły pustkami, choć na jednym zauważyli minibus. Checa wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Po wciśnięciu pojedynczego przycisku telefon wybrał zapamiętany numer.

— Tak?

— *Senor* Nomuri?

— A to ty, Diego! Oczekuję na twój telefon od dłuższego czasu. Jak się udała wycieczka krajoznawcza? — spytał ze śmiechem.

Gdy Checa zastanawiał się nad sformułowaniem odpowiedzi, światła minibusa błysnęły dwa razy. Dwie minuty później oddział siedział już w środku, gdzie czekały na nich ciepłe napoje i pomieszczenie, w którym mogli się przebrać. Podczas jazdy w dół górskiego zbocza, oficer CIA słuchał radia. Żołnierze zauważyli, jak odpręża się pod wpływem wiadomości. Miała minąć dłuższa

chwila, zanim Rangarsi poszli w jego ślady.

Kapitan Sato wykonał kolejne bezbłędne lądowanie na międzynarodowym lotnisku Narita. W ogóle o tym nie myślał, nie słyszał nawet gratulacji drugiego pilota, prowadząc samolot podczas dobiegu. Z pozoru spokojny pilot czuł w sobie pustkę, wykonując czynności jak robot. Drugi pilot nie wtrącał się do prowadzenia samolotu, myśląc, że kapitan znajdzie w tej mechanicznej czynności niejakię pocieszenie, patrzył tylko, jak Sato podprowadza 747 do lotniskowego rękawa i zatrzymuje ze zwykłą precyzją. Po chwili otworzono drzwi i pasażerowie wysypali się z samolotu. Za oknami terminalu widzieli tłum ludzi, głównie żony i dzieci ludzi, którzy nie tak dawno polecili na Saipan, by zostać obywatelami tego terytorium i oddać głos w wyborach na nowej japońskiej ziemi. Teraz wracali do domu, a rodziny witały ich niczym uratowanych rozbitków, którzy znów znaleźli się w bezpiecznej ojczyźnie. Drugi pilot potrząsnął

głową, zaskoczony całym tym absurdem, nie widząc, że twarz Sato nie zmieniła wyrazu. Dziesięć minut później załoga opuściła samolot. Ich zmiennicy polecą nim za kilka godzin z powrotem na Saipan.

W terminalu zobaczyli ludzi czekających na inne połączenia. Z ich twarzy można było wyczytać, że są podenerwowani, choć wielu pożerało wzrokiem popołudniowe gazety, które przed chwilą dowieziono do kiosków na lotnisku.

UPADEK GOTO! — głosiły nagłówki. KOGA TWORZY NOWY RZĄD.

Poczekalnie pasażerów podróżujących za granicę były jakby mniej zatłoczone niż zwykle.

Stali w nich prawie wyłącznie biali biznesmeni, rozglądając się z zaciekawieniem i leciutkim uśmiechem na twarzach. Lustrowali lotnisko, przypatrując się przeważnie podróżnym, wracającym z Saipanu.

Sato też to zauważył. Zatrzymał się i zerknął na półkę z gazetami. Wystarczyło przeczytać nagłówki, by wszystko pojąć. Pilot spojrział na obcokrajowców, stojących w poczekalniach i wyszeptał:

— *Gaidzin...*

Było to jedyne zbyteczne słowo, jakie Sato wypowiedział od dwóch godzin i nie odezwał

się już ani razu podczas drogi do samochodu. Może polepszy się mu, jak się prześpi, pomyślał

drugi pilot, podążając do własnego auta.

— Czy nie powinniśmy wrócić i...

— Po co mielibyśmy wracać? — spytał Clark, wrzucając do kieszeni kluczyki od samochodu po zakończeniu trzydziestominutowej przejażdżki po południowej części wyspy. —

Czasami wystarczy, by sprawy toczyły się same. Coś mi się zdaje, że teraz jest właśnie taki moment.

— Uważasz, że już po wszystkim?

— Rozejrzyj się tylko.

Nad ich głowami wciąż krążyły myśliwce. Drużyny porządkowe usunęły szczątki samolotów z pasów startowych lotniska Kobler. Myśliwce nie przeniosły się do międzynarodowego portu cywilnego, gdyż na jego pasach startowych aż roiło się od samolotów pasażerskich. Na wschód od osiedla domków załoga baterii *Patriot* również utrzymywała stan gotowości bojowej, jednak ci, którzy nie siedzieli w wozie dowodzenia, zebrali się na zewnątrz w małych grupkach i rozmawiali między sobą, zamiast oddawać się zwykłemu żołnierskim zajęciom. Miejscowi obywatele urządzali demonstracje, nieraz dość hałaśliwe, w różnych miejscach na wyspie i nikt nie próbował ich aresztować. W kilku przypadkach oficerowie na czele uzbrojonych oddziałów poprosili, by demonstranci trzymali się z daleka od wojska i miejscowi przezornie posłuchali ostrzeżenia. Podczas jazdy Clark i Chavez widzieli kilka podobnych zajść i za każdym razem żołnierze zdawali się nie tyle rozżłoszczeni, co zażenowani całą sytuacją. Nie tak wygląda armia gotowa do boju, pomyślał Clark, a co ważniejsze, oficerowie panowali nad żołnierzami. Oznaczało to, że rozkazy z góry mówiły, aby nie dawać się ponieść emocjom.

— Myślisz, że to koniec? — spytał Oreza.

— Jeśli dopisze nam szczęście, Dniówka.

Pierwszym aktem premiera Kogi po utworzeniu gabinetu było wezwanie ambasadora Charlesa Whitinga. Piastował on stanowisko polityczne, które przez ostatnie cztery tygodnie stanowiło źródło nieustannych zmartwień i obaw. Na pierwszy rzut oka Whiting zauważył, że straż wokół ambasady zmniejszono o połowę. Jego samochód służbowy eskortowała policja aż do Budynku Parlamentu. Przy wejściu dla VIP-ów czyhały na niego kamery, lecz trzymano je dość daleko. Dwóch ministrów towarzyszyło mu do środka.

— Dziękuję za tak rychłe przybycie, panie Whiting.

— Panie premierze, zapewniam, że z radością przyjąłem pańskie zaproszenie. — Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Rzeczywiście tak było, o czym obaj wiedzieli, choć słowa musiały skrywać liczne sprawy.

— Zdaje pan sobie sprawę, że nie mam nic wspólnego z...

Whiting w odpowiedzi uniósł dłoń.

— Pan wybaczy sir. Oczywiście wiem o tym i zapewniam pana, że mój rząd też o tym wie. Nie widzimy powodu, by prosić pana o wykazanie dobrej woli — powiedział ambasador wyrozumiale.

— To spotkanie niezbitcie dowodzi jej istnienia.

— A jakie jest stanowisko pańskiego rządu?

Dokładnie o dziewiątej rano samochód wiceprezydenta Edwarda Kealty'ego zajechał na podziemny parking Departamentu Stanu. Agenci Tajnej Służby poprowadzili go do windy dla VIP-ów, która zawiozła go na siedemnaste piętro, gdzie jeden z asystentów Bretta Hansona zaprowadził go do podwójnych drzwi gabinetu sekretarza stanu.

— Witaj Ed — powiedział Hanson, wstając na powitanie człowieka, którego koleje publicznego życia śledził od dwudziestu lat.

— Cześć Brett. — Kealty nie był zdeprimowany. Przez ostatnie tygodnie radził sobie w różnych sytuacjach. Tego dnia miał wydać publiczne oświadczenie, w którym przeprosi Barbarę Linders i jeszcze kilka innych osób. Lecz przedtem musiał zrobić to, czego wymagała Konstytucja. Kealty sięgnął do kieszeni płaszcza i wręczył sekretarzowi stanu kopertę. Hanson wziął ją i przeczytał dwa krótkie paragrafy oznajmiające o rezygnacji Kealty'ego. Nie trzeba było nic więcej mówić. Dwaj starzy przyjaciele uścisnęli sobie dłonie i Kealty skierował się do wyjścia. Powrócił do Białego Domu, gdzie pracownicy pakowali już jego rzeczy. Do wieczora gabinet będzie gotów na przyjęcie nowej osoby.

— Chuck Whiting przedstawia w Tokio nasze warunki, prawie w takiej formie, w jakiej przedstawiłeś je wczoraj wieczór.

— Może to postawić pana w raczej niekorzystnym świetle — zauważył Ryan, z ulgą w sercu stwierdziwszy, że prezydent zdecydował się podjąć ryzyko.

Mężczyzna siedzący za biurkiem pokręcił przecząco głową.

— Nie wydaje mi się, ale nawet jeśli, to poradzę sobie z tym. Chcę, żeby nasze wojska dostały rozkaz zniesienia gotowości bojowej i podejmowały tylko operacje obronne.

— Świetnie.

— Minie sporo czasu, zanim wszystko wróci do normy.

Jack skinął głową. — Tak, panie prezydencie, ale jesteśmy w stanie przeprowadzić to w cywilizowany sposób. Obywatele Japonii nigdy nie popierali tych działań. Ludzie za nie odpowiedzialni nie żyją. Musimy stawiać tę sprawę jasno. Chce pan, bym się tym zajął?

— Dobry pomysł. Pogadajmy o tym dziś wieczorem. A może zabrałbyś swoją żonę na ten obiad? Dla odmiany urządzimy takie małe towarzyskie spotkanie — zasugerował prezydent z uśmiechem.

— Cathy spodoba się ten pomysł.

Profesor Caroline Ryan właśnie kończyła zabieg. Sala operacyjna miała coś wspólnego z fabryką sprzętu elektronicznego. Cathy nie musiała nawet zakładać rękawiczek chirurgicznych, a tutejsze zasady higieny w niczym nie przypominały reguł przestrzeganych przy normalnych operacjach. Pacjent znajdował się pod lekką narkozą, a chirurg uwijała się nad podobnymi do celownika broni urządzeniami kontrolnymi lasera, wyszukując ostatnie chore naczynie krwionośne na powierzchni siatkówki oka starszego mężczyzny. Nakierowała krzyż nitek z ostrożnością, z jaką obserwuje się górską kozicę z odległości pół mili i nacisnęła klawisz.

Błysnęło zielone światło i naczynie zostało „zespawane”.

— Już po wszystkim, panie Redding — oznajmiła cicho, poklepując pacjenta po rękę.

— Dziękuję, pani doktor — odpowiedział mężczyzna cokolwiek ospale.

Cathy Ryan przekreśliła wyłącznik zasilacza systemu laserowego i ześlizgnęła się ze stołka, przeciągając jednocześnie plecy. W narożniku stała agentka specjalna Andrea Price, udając pracownika Instytutu Hopkinsa i przyglądała się całej procedurze. Obie kobiety wyszły na zewnątrz i natknęły się na profesora Bernarda Katza, którego oczy świeciły sponad bismarkowskiego wąsa.

— No, Bernie? — zagadnęła Cathy, uzupełniając kartę pana Reddinga.

— Masz jeszcze miejsce na ścianie, Cath? — Ta uwaga sprawiła, że uniosła głowę. Katz wręczył jej telegram, w ten tradycyjny sposób przekazując dobrą wiadomość. — Właśnie zgarnęłaś Nagrodę Laskera, moja droga. — Po czym uściśnął ją tak mocno, że Andrea Price o mało nie dobyteła broni.

— Och, Bernie!

— Zasłużyłaś na to, pani doktor. Kto wie, może zafundują ci darmową przejażdżkę do Szwecji. Dziesięć lat pracy. To przełom w medycynie klinicznej.

Pozostali członkowie instytutu podchodzili do niej z gratulacjami, a dla Caroline Muller Ryan, doktora medycyny, członka Stowarzyszenia Chirurgów Klinicznych moment ten równał się urodzeniu dziecka. No, pomyślała, prawie...

Agentka specjalna Price usłyszała sygnał swojego przywoływacza i skierowała się do najbliższego telefonu, a zapisawszy wiadomość powróciła do swojej podopiecznej.

— To naprawdę takie niezwykle?

— No cóż, jest to prawie najważniejsza nagroda medyczna w Ameryce — odparł Katz, podczas gdy Cathy wygrzewała się w ciepłe pochlebstwa płynących z ust jej kolegów. — Dostaje się zgrabną małą kopię greckiej rzeźby Nike z Samotraki. I trochę pieniążków. Ale głównie chodzi o to, że człowiek ma świadomość, że naprawdę czegoś dokonał. Cathy jest wspaniałym lekarzem.

— Tak więc stało się to w samą porę. Musi pani pojechać do domu zmienić ubranie —

wyznała Price.

— Po co?

— Obiad w Białym Domu — odpowiedziała agentka i mrugnęła. — Jej mąż też się dobrze spisał. — Był to sekret pilnie strzeżony przed wszystkimi, ale nie przed agentami Tajnej Służby, dla których nie istniały tajemnice.

— Ambasadorze Whiting, chciałbym przeprosić pana, pański rząd i pański naród za to, co się zdarzyło. Ręczę, że to już się nie powtórzy, a także, że ludzie, którzy się do tego przyczynili odpowiedzą przed naszym wymiarem sprawiedliwości — oświadczył Koga z wielką i nieco sztywną godnością.

— Panie ministrze, pańskie słowo wystarczy mnie i mojemu rządowi. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, by przywrócić nasze dawne stosunki — obiecał ambasador, głęboko poruszony szczerością swojego gospodarza, żalując, podobnie jak wielu innych, że sześć miesięcy temu Ameryka podstawiła mu nogę. — Natychmiast przekażę pańskie życzenia mojemu rządowi. Wierzę, że nasza odpowiedź na pańskie zapewnienie wyda się panu wysoce przychylna.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — powiedział Yamata z naciskiem.

— Czyli jakiej pomocy? — Ściganie Huang Han Sana zabrało mu większość dnia. Głos Chińczyka był tak lodowaty, jak jego imię.

— Mogę stąd wziąć mój samolot i polecieć bezpośrednio do...

— Może to być uważane za nieprzyjazny gest wobec dwóch krajów. Nie, przykro mi, ale mój rząd nie może sobie na to pozwolić. — Ty głupcze, tego już nie dodał. Nie wiesz, jaka jest cena za taki błąd?

— Ale pan... jesteśmy sprzymierzeńcami.

— Sprzymierzeni w czym? — zapytał Huang. — Pan jest biznesmenem. Ja urzędnikiem rządowym.

Rozmowa ta mogła toczyć się dalej z podobnie nikłym skutkiem, gdyby nie to, że drzwi do gabinetu Yamaty otworzyły się i do środka wkroczył generał Tokikichi Arima w towarzystwie dwóch oficerów. Nie pofatygowali się nawet, by zameldować się u sekretarki w przedpokoju.

— Muszę się z panem rozmówić, Yamata-san — zaczął generał oficjalnie.

— Jeszcze się z panem skontaktuję — rzucił przemysłowiec do słuchawki i odwiesił ją.

Nie wiedział, że po drugiej stronie Huang nakazał swojemu personelowi nie łączyć z nim rozmów, i

tak zresztą nie miałyby to znaczenia.

— Tak? O co chodzi? — spytał Yamata. Odpowiedź była równie chłodna.

— Mam rozkaz aresztować pana.

— Czyj rozkaz?

— Premiera Kogi.

— Pod zarzutem?

— Zdrady.

Yamata zamrugał powiekami. Rozglądał się po pokoju, mierząc wzrokiem pozostałych mężczyzn, ochraniających generała. W ich oczach nie było współczucia. A więc to tak. Te bezmyślne automaty dostały rozkazy, lecz nie miały dość rozumu, by je pojąć. Ale może miały jeszcze honor.

— Za pozwoleniem, chciałbym na chwilę pozostać sam. — Cel tej prośby był jasny.

— Moje rozkazy — odparł Arima — każą mi dowieść pana do Tokio żywego.

— Ale...

— Przykro mi Yamata-san, ale nie będzie mógł pan skorzystać z tej formy ucieczki. — Z

tymi słowy generał dał znak jednemu z oficerów, a ten zbliżył się do biznesmena i założył mu kajdanki. Chłód metalu przejął Yamatę dreszczem.

— Tokikiczi, nie możesz...

— Muszę. — Generał bolał nad tym, że nie mógł pozwolić swojemu...przyjacielowi?

Nie, nie byli przyjaciółmi, na pewno nie dobrymi przyjaciółmi. Mimo to bolało go, że nie może pozwolić Yamacie odprawić ostatniej pokuty, lecz rozkazy premiera były pod tym względem jasno sformułowane. Tak więc wyprowadził go z budynku do komisariatu mieszczącego się obok kwater, które niedługo miał zwolnić. Będzie go tam pilnowało dwóch strażników, by nie usiłował popełnić samobójstwa.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, zdziwiło ich, że dzwonił zwykły telefon, a nie satelitarna komórka Borroughsa. Pani Oreza podniosła słuchawkę, myśląc, że dzwonią może do niej z pracy, jednak po chwili obróciła się i zawołała:

— Panie Clark.

— Dziękuję. — John przejął słuchawkę. — Słucham?

— John, tu Mary Pat. Wasza misja dobiegła końca. Wracajcie do domu.

— Działamy dalej pod przykrywką?

— Tak. Dobra robota, John. Przekaż to samo Dingowi. — Rozległ się szczeł odkładanej słuchawki. Zastępca dyrektora CIA pogwałciła zasady bezpieczeństwa, ale rozmowa trwała niecałe kilka sekund. Użycie linii cywilnej sprawiło, że rozmowa była bardziej oficjalna, niż gdyby miało to miejsce na tajnej linii.

— Co się dzieje? — spytał Dniówka.

— Właśnie kazano nam wracać.

— Naprawdę? — zawołał Ding.

Clark podał mu telefon.

— Zadzwoń na lotnisko. Powiedz im, że jesteśmy akredytowanymi pismakami, to może dostaniemy bilety w pierwszej kolejności. — Clark obrócił się. — Dniówka, możesz mi oddać pewną przysługę? Zapomnij, że mnie widziałeś.

Choć odebraną wiadomość przyjęli z radością, trochę ich zdziwiła, „Tennessee” z miejsca położył się na wschodni kurs i, pozostając na dużej głębokości, przyspieszył do piętnastu węzłów. W mesie oficerowie tradycyjnie zabawiali się kosztem żołnierzy Armii.

— Będzie nam potrzebna miotła — stwierdził oficer mechanik po głębokim namyśle.

— A mamy w ogóle jakąś miotłę na pokładzie? — spytał porucznik Shaw.

— Każdemu okrętowi podwodnemu wyfasowuje się miotłę, panie Shaw. Po tylu latach powinien to pan wiedzieć — zauważył Claggett, puszczając do niego oko.

— O czym wy gadacie? — zniecierpliwiał się podoficer Armii. Robią go w balona, czy co?

— Odpaliliśmy dwie torpedy i obie trafiły — wyjaśnił mechanik. — Sprzątnęliśmy dwa cele jak się patrzy, co oznacza, że wchodząc do Pearl Harbor, do peryskopu bojowego przywiążemy miotłę. Taki zwyczaj.

— Wy podwodniacy jesteście naprawdę stuknięci — podsumował jedyny mężczyzna w zielonym mundurze polowym.

— A śmigłowce też wpisujemy na nasze konto? — spytał Shaw dowódcę.

— To nasi je zestrzelili — zaprotestował sierżant.

— Ale startowali z naszego pokładu — odciął się porucznik.

— Ale, chłopie, co ty gadasz!

I tak upłynął im czas podczas śniadania. Ciekawe, co te głębinowe stwory wymyślą podczas obiadu?

Obiad miał nieoficjalny charakter. Prezydent podejmował swoich gości na piętrze sypialnym Białego Domu. Był tylko zimny bufet, aczkolwiek przygotowany przez zawodowego kucharza, który mógłby swoim kunsztem podnieść rangę każdej restauracji w Ameryce.

— Rozumiem, że wypada złożyć gratulacje — powiedział Roger Durling.

— Słucham? — Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego jeszcze nie wiedział.

— Przyznano mi Laskera, Jack — odezwała się Cathy ze swojego miejsca po przeciwnej stronie stołu.

— W takim razie oboje zaliczacie się do grona najlepszych w swoim fachu — zauważył

Al Trent, unosząc kieliszek wina.

— A teraz wypijemy twoje zdrowie, Jack — stwierdził prezydent. — To ty mnie uwolniłeś od wszystkich zmartwień, których przysporzyły mi sprawy zagraniczne. Poza tym udało ci się upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Dobra robota, doktorze Ryan.

Jack podziękował skinieniem głowy. Tym razem już się domyślił. Pracował w Waszyngtonie wystarczająco długo, by wiedzieć, że to tylko początek szantażu. Szkopuł w tym, że nie bardzo wiedział, dlaczego upatrzyli sobie właśnie jego.

— Panie prezydencie, jak sędzę satysfakcję czerpie się z samej służby. Dziękuję za zaufanie i za cierpliwość, kiedy...

— Jack, wszyscy ciebie lubią. Co stałoby się z naszym krajem, gdyby nie ty? — Durling obrócił się do jego żony. — Cathy, czy wiesz o wszystkim, co robił Jack przez te wszystkie lata?

— Jack i zdradzanie własnych tajemnic? — Ta myśl rozśmieszyła ją na dobre.

— Al?

— No więc, Cathy, czas, żebyś się dowiedziała — podjął Trent, wzbudzając niepokój Jacka.

— Jest jedna rzecz, nad którą się zawsze głowiłam — odparła Cathy bez wahania.

— Jesteście z Jackiem w zażyłych stosunkach, a przecież, gdy spotkaliście się po raz pierwszy kilka lat temu...

— Chodzi ci o ten obiad, zanim Jack poleciał do Moskwy? — Trent pociągnął łyk kalifornijskiego chardonnay. — To było wtedy, gdy namówił do zdrady szefa dawnego KGB.

— Co?

— Opowiedz tę historię, Al. Mamy mnóstwo czasu — poprosił Durling. Jego żona, Anne, pochyliła się do przodu z zaciekawioną miną. Mimo grymasu malującego się na twarzy Jacka, Trent zabawiał ich przez dwadzieścia minut, snując nie tylko tę jedną opowieść.

— Oto jakiego ma pani męża, doktor Ryan — stwierdził prezydent, gdy Trent zamilkł.

Jack wlepił w Ala intensywne spojrzenie. Co się za tym wszystkim kryło?

— Jack, kraj potrzebuje cię jeszcze do jednego zadania, a potem będziesz mógł robić, co chcesz — powiedział kongresman.

— Co to takiego? — Oby tylko nie ambasada, pomyślał, zwykły podarunek pożegnalny dla starszych urzędników.

Durling postawił szklanę na stole.

— Jack, moje zadanie numer jeden na najbliższe dziewięć miesięcy to zapewnić sobie wybór na drugą kadencję. Możliwe, że czeka mnie trudna kampania i w najlepszym razie pochłonie ona mnóstwo czasu. Chcę, żebyś był w moim zespole.

— Panie prezydencie, jestem już...

— Chcę, żebyś został wiceprezydentem — dokończył Durling cicho. W pokoju zapadła kompletna cisza. — Od dzisiaj zwolniło się to stanowisko. Nie jestem jeszcze pewien, kogo wybiorę na drugą kadencję i nie proponuję, byś objął to stanowisko na dłużej, niż — ile? Nawet nie jedenaście miesięcy. Tak jak to zrobił Rockefeller dla Gerry'ego Forda. Potrzebny mi ktoś, kogo ludzie szanują, ktoś, kto pociągnie ten majdan, gdy wyjadę w kraj. Potrzebuję specja od spraw zagranicznych. Kogoś, kto pomoże mi skompletować zespół od polityki międzynarodowej.

Poza tym — dodał — wiem, że masz już dosyć. Zrobiłeś już wystarczająco dużo. Po wyborach nie zostaniesz już powołany na stałe stanowisko.

— Chwileczkę. Nawet nie należę do pana partii — zdołał wtrącić Jack.

— Według pierwotnego projektu Konstytucji, wiceprezydentem miał zostać pokonany w wyborach powszechnych. James Madison zakładał, że patriotyzm zatriumfuje nad prywatą. No cóż, mylił się — podjął Durling. — Ale w tym wypadku, Jack, znam cię. Nie będę się tobą posługiwał do celów politycznych. Żadnych przemówień i całowania dzieciaczków.

— Nigdy nie podnoś niemowlaka, żeby go pocałować — podsunął Trent. — Zawsze cię obrzyga, a

w pobliżu znajdzie się ktoś, kto w tym momencie strzeli fotkę. Jak już musisz całować, to w ramionach mamuśki. — Ta dobra rada wystarczyła, by atmosfera odrobinę zelżała.

— Twoja praca będzie polegała na zorganizowaniu Białego Domu, zajęciu się sprawami bezpieczeństwa narodowego, i w ogóle umocnieniu mojego zespołu do spraw zagranicznych. A potem pozwolę ci odejść i nikt nie będzie cię mógł ponownie powołać. Będziesz wolnym człowiekiem, Jack — obiecał Durling. — Raz na zawsze.

— Mój Boże — westchnęła Cathy.

— Ty także tego chcesz, prawda?

Caroline potaknęła.

— Tak, ale... ale... ja nic nie wiem o polityce. Ja...

— Szczęściara — zauważyła Anne Durling. — Nie utkniesz w tym na dobre.

— Mam swoją pracę i...

— Będziesz ją nadal wykonywać. Posada gwarantuje miły domek — kontynuował prezydent. — To tylko na jakiś czas. — Obrócił się do Ryana. — No więc, Jack?

— Skąd ma pan pewność, że zostanę zatwierdzony?

— Zostaw to nam — powiedział Trent w sposób, który jasno sugerował, że sprawa została omówiona.

— I nie będzie mnie pan prosił o...

— Masz moje słowo — obiecał prezydent. — Twoje zobowiązania kończą się w styczniu przyszłego roku.

— A co z... to znaczy, w ten sposób zostanę przewodniczącym Senatu, a w przypadku wyrównanych głosowań...

— Powinienem ci powiedzieć, jak chciałbym, żebyś głosował i pewnie tak zrobię. Mam też nadzieję, że mnie posłuchasz. Ale i tak pewnie będziesz głosował, jak ci dyktuje sumienie.

Gwoli ścisłości, gdyby sprawy miały się inaczej, nie robiłbym ci takiej propozycji.

— Poza tym, harmonogram nie przewiduje takich sytuacji — zapewnił go Trent. O tym też rozmawiali poprzedniej nocy.

— Myślę, że więcej uwagi powinniśmy poświęcić siłom zbrojnym — powiedział Jack.

— Jeśli poczynisz jakieś zalecenia, włączymy je do budżetu. Dałeś mi w tym względzie nauczkę. Będę cię potrzebować, by przepchnąć to przez Kongres. Może to będzie twoja mowa pożegnalna.

— Posłuchają ciebie, Jack — potwierdził Trent.

Chryste, pomyślał Ryan żałując, że nie pofolgował sobie z winem. Spojrzał przezornie na żonę. Gdy ich oczy się spotkały, skinęła głową. Jesteś pewna? — spytały jego oczy. Skinęła ponownie.

— Panie prezydencie, na takich warunkach przyjmuję pańską propozycję. Roger Durling dał znak agentce Tajnej Służby, że Tish Brown może zawiadomić prasę. Informacja o tym miała znaleźć się w porannych gazetach.

Oreza znalazł się na pokładzie swojej łódki po raz pierwszy od czasu, gdy Burroughs złapał ogromnego tuńczyka. Odbili od wybrzeża o świcie i, zanim zapadł zmrok, inżynier uwieńczył swoją rybacką wyprawę złowieniem kolejnej okazałych rozmiarów ryby, po czym złapał lot do Honolulu. Po powrocie opowie kolegom z biura o wielu rzeczach, nie tylko o swoich wędkarskich wyczynach, ale nie wspomni o sprzęcie, który Dniówka wyrzucił za burtę, gdy tylko stracili z oczu ląd. Szkoda było pozbywać się aparatów i drogich lamp błyskowych, ale istniały widocznie po temu jakieś powody.

Clarkowi i Chavezowi, wciąż podającym się za Rosjan, udało się wcisnąć na samolot Japońskich Linii Lotniczych, lecący do Narita. Wchodząc na pokład, zauważyli elegancko ubranego mężczyznę skutego kajdankami. Z odległości kilku metrów Chavez miał okazję spojrzeć w oczy człowiekowi, który wydał wyrok śmierci na Kimberley Norton, gdy pod wojskową eskortą został on poprowadzony na miejsce w pierwszej klasie. Przez ułamek sekundy pożałował, że nie ma przy sobie ani broni ani lampy, albo przynajmniej noża. Lot do Japonii zabrał im dwie beczynn timerzone godziny, po czym obaj powlekli się do międzynarodowego terminalu. Mieli zarezerwowane miejsca w pierwszej klasie na samolot Japońskich Linii Lotniczych do Vancouver, gdzie mieli przesiąść się na American Airlines do Waszyngtonu.

— Dobry wieczór, państwu — powiedział kapitan najpierw po japońsku, a potem po angielsku. — Mówi kapitan Sato. Lot powinien upłynąć nam spokojnie, mamy sprzyjające wiatry. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wylądować w Vancouver około siódmej rano czasu lokalnego. — Głos płynący z głośników w suficie zdawał się wychodzić z ust maszyny. Piloci lubią mówić jak roboty.

— Dziękuję — odparł cicho Chavez po angielsku. Przeprowadził w pamięci szybkie obliczenia i wyszło mu, że znajdują się w Wirginii około dziewiątej, dziesiątej wieczorem.

Nie tak źle, pomyślał Clark.

— Chcę ożenić się twoją córką, panie C. Mam zamiar oświadczyć się, gdy tylko będziemy z powrotem. — No, w końcu to z siebie wydusił. Prawie skulił się pod spojrzeniem, jakie ściągnął na siebie tą wypowiedzianą od niechcienia uwagą.

— Pewnego dnia, zrozumiesz, co takie słowa robią z człowiekiem, Ding. — Moja ukochana córeczka, pomyślał, narażona na wszelkie niebezpieczeństwa, jak każdy, a może i bardziej?

— A może nie chcesz mieć Latynosa w rodzinie?

— Nie o to chodzi. Raczej... a do cholery, Ding. Łatwiej przeliterować Chavez niż jakieś Wojochowicz. Jeśli ona się zgodzi, to ja chyba też.

Tak prosto? — pomyślał Ding. — Myślałem, że posiekasz mnie na kawałki. Clark zachichotał. — Do tych celów używamy tylko broni, myślałem, że już wiesz.

— Prezydent nie mógł lepiej wybrać — oświadczył Sam Fellows w programie „Dzień Dobry Ameryko”. — Znam Jacka Ryana od prawie ośmiu lat. Jest jednym z najzdolniejszych ludzi w służbie rządowej. Mogę wam teraz zdradzić, że należy do ludzi, dzięki którym doszło do szybkiego zakończenia konfliktu z Japonią, oraz że odegrał niebagatelną rolę w uzdrowieniu rynków finansowych.

— Są jednak doniesienia, że jego praca w CIA...

— Wie pan, że nie wolno mi ujawniać tajnych informacji, — Przeciekami zajęli się już inni, a prócz tego dziś rano poinstruowano odpowiednich senatorów obu partii.

— Mogę zaręczyć, że dr Ryan służył krajowi z honorem. Nie przychodzi mi na myśl żaden inny pracownik wywiadu, który zasłużyłby sobie na takie zaufanie i szacunek, jak Jack Ryan.

— Ale dziesięć lat temu wydarzył się ten incydent z terrorystami. Czy kiedykolwiek mieliśmy wiceprezydenta, który osobiście...

— Zabijał ludzi? — Fellows potrząsnął w odpowiedzi głową. — Wielu prezydentów i wiceprezydentów było żołnierzami. Jack bronił swojej rodziny przed brutalnym, bezpośrednim atakiem, co zrobiłby każdy Amerykanin. Mogę panu powiedzieć, że tam gdzie mieszkam, w Arizonie, nikt nie potępiłby człowieka za taki czyn.

— Dzięki, Sam — powiedział Ryan, oglądając telewizję w swoim biurze. Pierwsza fala reporterów miała mu się dobrać do skóry za pół godziny i do tego czasu musiał zapoznać się materiałami informacyjnymi oraz z listą instrukcji, jakie dostał od Tish Brown. Nie mów zbyt szybko. Nie odpowiadaj jednoznacznie na żadne pytanie o wadze politycznej.

— Cieszę się, że jestem z wami — powiedział Ryan do siebie. — To dopiero mój pierwszy mecz. Czyż nie to właśnie muszą mówić wszyscy nieopierzeni piłkarze? — zastanawiał

się na głos.

747 wylądował nawet wcześniej, niż obiecywał pilot, co mogłoby ich ucieszyć, gdyby nie to, że musieli dłużej czekać na połączenie. Pasażerowie pierwszej klasy wysiadali przynajmniej w

pierwszej kolejności, a następną miłą niespodzianką było to, że przy wyjściu czekał urzędnik amerykańskiego konsulatu, który przeprowadził ich szybko przez kontrolę celną. Clark i Chavez przespali lot, ale ich organizmy nie nadążyły jeszcze za zmianą czasu. Wiekowy *L-1011 Tristar* linii American wystartował dwie godziny później w stronę lotniska Dulles International.

Kapitan Sato nie ruszył się z fotela. Monotonia to najgorsza strona międzynarodowych podróży powietrznych. Terminal, obok którego stał samolot, mógł z powodzeniem znajdować się w gdziekolwiek na ziemi. Z tym, że tutaj otaczały go twarze *gaidzin*. Czekala go jednodniowa przerwa przed następnym lotem do kraju, samolotem bez wątplenia wypełnionym po brzegi japońskimi przedsiębiorcami, którzy uciekali do domu.

Reszta życia miała mu właśnie upłynąć na przewożeniu nieznanym do miejsc, które go nic nie obchodziły. Gdyby tylko został w Siłach Samoobrony... Może wtedy powiodłoby mu się lepiej, może życie potoczyłoby mu się inaczej. Był najlepszym pilotem w najlepszych liniach na świecie i swoje umiejętności mógł... ale teraz było za późno, by się o tym przekonać. Jego życie potoczy się utartym szlakiem, będzie jednym z wielu pilotów, przewożących w tę i z powrotem ludzi z kraju, który utracił honor. No cóż. Podniósł się z fotela, pozbierał mapy i inne potrzebne dokumenty, wsunął je do torby podręcznej i skierował się do wyjścia. Poczekalnia świeciła pustkami i Sato ruszył w kierunku tętniącego życiem holu lotniska. W jednym ze sklepów zauważył „USA Today”. Wziął egzemplarz do ręki i powiódł wzrokiem po pierwszej stronie, natrafiając na fotografie. Dziś o dziewiątej wieczór? Pewne fakty połączyły się w jego umyśle, a właściwie chodziło tylko o obliczenie prędkości i odległości.

Sato rozejrzał się jeszcze raz, potem pomaszerował do biura administracji lotniska.

Potrzebna mu była mapa pogody. Czas już znał.

— Chciałbym załatwić jeszcze pewną rzecz — oświadczył Jack, czując się swobodniej w Gabinetcie Ovalnym, niż kiedykolwiek przedtem.

— O co chodzi?

— O pewnego oficera CIA. Chciałbym skorzystać wobec niego z prawa łaski.

— Co takiego ma na sumieniu? — spytał Durling, zastawiając się, czy zza tej prośby nie wyzieraają aby nowe kłopoty.

— Morderstwo — odparł Ryan szczerze. — Tak się złożyło, że gdy byłem jeszcze w koledżu mój ojciec prowadził to śledztwo. Ludzie, których zabił zasłużyli sobie...

— Nawet jeśli, nie jest to godne pochwały.

— Naprawdę sobie zasłużyli. — Wyjaśnienie sprawy zabrało przysłemu wiceprezydentowi kilka minut. „Narkotyki” okazało się być słowem-wytrychem i wkrótce prezydent skinął głową na znak zgody.

— A co robił do tej pory?

— Jest jednym z naszych najlepszych agentów terenowych. To on przyskrzynił Qatiego i Ghosna w Mexico City.

— To ten?

— Tak. Zasłużył sobie na to, by odzyskać swoje nazwisko.

— Zgoda. Zadzwoń do prokuratora generalnego i zobaczmy, czy da się to zrobić po cichu. Masz jeszcze jakieś inne prośby w zanadrzu? — spytał prezydent. — Jak na amatora szybko sobie przyswajasz polityczne abecadło. Nieźle się spisałeś dziś rano na spotkaniu z dziennikarzami.

Ryan przyjął komplement skinieniem głowy. — Jest jeszcze admirał Jackson, ale mam nadzieję, że o niego zadba Marynarka.

— Jeszcze żadnemu oficerowi nie zaszkodziło dyskretne poparcie prezydenckie. Masz rację. Lot na wyspy, by się z nimi spotkać był przemyślanym posunięciem.

— Żadnych strat — oznajmił Chambers. A wiele podwodnych zwycięstw. Dlaczego więc nie czuję zadowolenia?

— A co z tymi, które zatopiły „Charlotte” i „Asheville”? — spytał Jones.

— Dowiemy się, jak nadejdzie czas, ale chyba jeden z nich został zatopiony. — Choć oparta na statystyce, taka ocena była bardzo prawdopodobna.

— Dobra robota, Ron — pochwalił go Mancuso.

Jones zgasił papierosa. Znow będzie musiał mocować się z nałogiem. Dopiero teraz zrozumiał, czym jest wojna i dziękował Bogu, że go ominęła. Może wojna jest tylko dla młodzików. Ale on odsłużył swoje i przy odrobinie szczęścia nie będzie już czegoś podobnego oglądał. Zawsze mógł wrócić do śledzenia wielorybów.

— Dzięki, *skipper*.

— Jeden z naszych 747 miał awarię awioniki — wyjaśnił Sato. — Wypadł ze służby na jakieś trzy dni. Muszę polecieć na Heathrow, by go zastąpić. Inny 747 zastąpi mój na trasie przez Pacyfik. — Po tych słowach przedstawił plan lotu.

Kanadyjski urzędnik rzucił na niego okiem. — Ilu na pokładzie?

— Nie, nie biorę żadnych pasażerów, ale potrzebny mi będzie pełny zbiornik paliwa.

— Mam nadzieję, że pańska linia za to zapłaci, kapitanie — podsumował urzędnik z uśmiechem. Nagryzmolił swoją zgodę na planie lotu, wkładając jeden egzemplarz do akt, a drugi oddając pilotowi. Przedtem rzucił jednak na plan ostatnie spojrzenie. — Południową trasą?

Przecież nadłoży pan siedemset kilometrów.

— Nie podoba mi się prognoza pogody — skłamał Sato. Nie musiał się specjalnie wysilać. Pracownicy służb naziemnych rzadko poddawali w wątpliwość słowa pilota, gdy chodziło o warunki pogodowe. A ten tutaj się do nich najwyraźniej zaliczał.

— Dziękuję. — Urzędnik wrócił do papierkowej roboty.

Godzinę później, Sato stał pod brzuchem swojego samolotu, który znajdował się w hangarze obsługowym linii Air Canada, gdyż miejsce obok terminalu zajmował już inny samolot.

Nie śpiesząc się dokonywał przedstartowego przeglądu, sprawdzając, czy nie widać gdzieś przecieku płynu, obluzowanych nitów, uszkodzeń na oponach, jednym słowem jakichś nieprawidłowości, zwanych potocznie „wysypką hangarową”, ale niczego podobnego nie stwierdził. Jego drugi pilot siedział już w kabinie, niezadowolony z tego ponadplanowego lotu, choć oznaczało to, że spędzą trzy, może cztery dni w Londynie, mieście, które załogi samolotów darzyły szczególną sympatią. Sato skończył obchód i wszedł na pokład, zatrzymując się przy przedniej kuchni.

— Wszystko gotowe?

— Czynności przed lotem wykonane, gotowy do odczytania listy czynności przedstartowych — zdążył zameldować drugi pilot, zanim nóż kuchenny przeszył mu pierś. Jego szeroko rozwarte oczy wyrażały raczej zdziwienie i szok, niż ból.

— Przykro mi, że musiałem to zrobić — powiedział mu Sato z łagodnym uśmiechem.

Potem zasiadł w lewym fotelu, zapiął pasy i rozpoczął wykonywanie procedury przedstartowej.

Ludzie z obsługi naziemnej byli zbyt daleko, by zauważyć, że tylko jeden z pilotów w kabinie pozostał przy życiu.

— Wieża Vancouver, tu JAL numer pięć-zero-zero, proszę o zezwolenie na kołowanie.

— Pięć-zero-zero, przyjąłem, zezwalam na kołowanie, pas dwa-siedem-lewy. Wiatr dwa-osiem-zero, siła piętnaście.

— Dziękuję wieża, pięć-zero-zero idę na dwa-siedem-lewy. — Samolot ruszył z miejsca.

Dobrnienie do pasa zabrało mu dziesięć minut. Musiał odczekać kolejną minutę, gdyż przed nim startował inny 747, a samoloty tego typu wytwarzają za sobą niebezpieczne turbulencje powietrza. Miał zamiar złamać najważniejszą zasadę lotnika, która mówiła, by liczba startów zawsze równała

się liczbie lądowań, ale jego rodacy czynili tak już nie raz. Uzyskawszy zezwolenie z wieży, Sato przesunął dźwignie ciągu na pozycje startową i *Boeing*, mając paliwo za jedyny ładunek, pognął pasem startowym. Natychmiast po starcie skręcił na północ, opuszczając kontrolowaną przestrzeń powietrzną wokół lotniska. Prawie pusty samolot bez problemu osiągnął pułap przelotowy jedenastu tysięcy metrów, na którym zużycie paliwa było najbardziej ekonomiczne. Plan lotu zakładał, że przeleci nad granicą kanadyjsko-amerykańską i wejdzie nad morze trochę na północ od rybackiej miejsciny Hopedak. Wkrótce potem znajdzie się poza zasięgiem naziemnego radaru. Cztery godziny, pomyślał Sato, popijając herbatę. Zmówił

modlitwę za mężczyznę w prawym fotelu, mając nadzieję, że jego dusza odnalazła już spokój, tak jak jego.

Samolot linii American wylądował na Dulles jedynie z minutowym opóźnieniem. Clark i Chavez przekonali się, że czeka na nich samochód. Wsiadli do służbowego Forda i skierowali się na autostradę międzystanową nr 64, podczas gdy kierowca, który przyprowadził wóz, musiał wziąć taksówkę.

— Jak myślisz, co się z nim stanie?

— Z Yamatą? Pójdzie do paki, a może skończy jeszcze gorzej, kto wie. Kupiłeś gazetę?

— spytał Clark.

— Jasne. — Chavez rozłożył dziennik i przebiegł wzrokiem po pierwszej stronie. — Ja cię kręcę!

— Co?

— Wygląda na to, że nasz doktor Ryan pnie się w górę. — Ale Chavez miał inne sprawy na głowie, o których rozmyślał podczas jazdy do Virginia Tidewater. Zastanawiał się na przykład, w jaki sposób poprosić Patsy o rękę. A co będzie, jeśli powie „nie”?

Połączone posiedzenia Kongresu odbywają się zawsze w sali obrad Izby Reprezentantów z uwagi na jej większe rozmiary, a także, jak mawiali członkowie „izby niższej”, ponieważ każdy senator miał zarezerwowane dla siebie miejsce, a ci dranie nie pozwoliliby nikomu innemu na nich usiąść. O bezpieczeństwo dbano w tym miejscu nadzwyczaj dobrze. Budynek na Kapitolu miał swoją własną wewnętrzną policję, która współpracowała z Tajną Służbą. Na korytarzach poustawiano barierki z aksamitnych sznurów, przy których czuwali umundurowani policjanci, ale poza tym nie robiono większego niż zazwyczaj szumu.

Prezydent zajeżdżał na Kapitol w dobrze opancerzonym samochodzie służbowym.

Towarzyszyło mu kilka terenowych Chevroletów, równie dobrze zabezpieczonych, pełnych agentów Tajnej Służby, którzy mieli przy sobie dość broni, by odeprzeć atak kompanii piechoty morskiej. Całość przypominała cyrkową grupę objazdową i, jak na takową przystało, jej członkowie często rozkładali sprzęt, by potem złożyć go z powrotem. Czterech agentów na przykład wciągnęło na dach ręczne wyrzutnie rakiet *Stinger*, ustawiło się w z góry wyznaczonych punktach i rozglądało się po

okolicy, sprawdzając, czy przypadkiem drzewa nie rozrosły się zbyt bujnie (przystrzygano je regularnie, by uzyskać lepszą widoczność). Drużyna Przeciwsnajperska Tajnej Służby zajęła również pozycję na szczycie budynku Kongresu oraz na dachach okolicznych domów. Najlepsi strzelcy wyborowi w kraju wyjęli produkowane na zamówienie karabiny kalibru 7 mm *Magnum* z wyłożonych pianką walizek i lustrowali przez lornetki pozostałe dachy, których nie było tak znowu dużo. Pozostała część ludzi z Tajnej Służby zajęła windy i schody w każdym domu znajdującym się blisko budynku, który Skoczek miał tego wieczoru odwiedzić.

Sato dziękował Opatrzności za taki, a nie inny wybór czasu dla tej uroczystości oraz za system *TACAS*. Choć na powietrznych trasach transatlantyckich zawsze panował ruch, podróże między Europą a Ameryką zostały tak zgrane w czasie, by odpowiadały cyklowi snu człowieka.

O tej porze dnia panował zastój w lotach na zachód. System *TACAS* słał nieustannie impulsy wywoławcze i ostrzegał go o każdym zbliżającym się samolocie. W tej chwili nikt nie przelatywał w pobliżu. Na ekranie widniał napis BRAK RUCHU, co oznaczało, że w promieniu stu dwudziestu kilometrów nie było żadnego samolotu. Umożliwiło to kapitanowi Sato bezproblemowe wślizgnięcie się na trasę zachodnią. Leciał teraz wzdłuż wybrzeża, trzysta mil od celu. Pilot porównał czas z zapamiętanym planem lotu. Udało mu się dokładnie przewidzieć kierunki wiatrów. Musiał zgrać wszystko dokładnie w czasie, jako że Amerykanie potrafią być punktualni. O godzinie 20.30 skręcił na zachód. Poczł, jak ogarnia go zmęczenie, spędził

przecież większość dnia za sterami. Nad Wschodnim Wybrzeżem przeciągały deszcze i choć miało go trochę rzucać w czasie lotu pod chmurami, nie zaprzętał sobie tym głowy. Był przecież pilotem. Przeszkadzało mu jedynie, że wypił zbyt dużo herbaty i czuł potrzebę odwiedzenia toalety, a nie mógł pozostawić sterów bez opieki. Jeszcze przez niecałe pół godziny musiał radzić sobie z tą niedogodnością.

— Tatusiu, co się dzieje? Czy nadal chodzimy do tej samej szkoły? — spytała Sally ze zwróconego do tyłu siedzenia limuzyny. Odpowiedź nadeszła od Cathy.

— Tak. Nawet będziecie mieli własnego kierowcę.

— W dechę! — pomyślał mały Jack.

Ich ojciec jeszcze się namyślał, jak zwykle po podjęciu ważnej decyzji, choć wiedział, że na to jest już za późno. Cathy przyjrzała się jego twarzy i, odczytawszy jego myśli, uśmiechnęła się.

— Jack, to tylko kilka miesięcy, a potem...

— Taak — przytaknął jej mąż. — Zawsze będę mógł wrócić do gry w golfa.

— A potem uczyć. Chciałabym, żebyś to robił. Potrzebujesz tego.

— A nie powrotu do banku?

— I tak dziwi mnie, że tak długo tam wytrzymałeś.

— Jesteś chirurgiem oka, a nie psychiatrą.

— Jeszcze o tym porozmawiamy — powiedziała profesor Ryan, poprawiając sukienkę Cathie Ryan. Najbardziej przemawiała do niej obietnica, że to tylko jedenaście miesięcy. Po tej posadzie Jack nigdy już nie wróci do służby rządowej. Prezydent Durling sprawił im piękny podarunek.

Samochód służbowy zatrzymał się przed budynkiem Longworth House Office. Nie kłębił

się tu żaden tłum, ale z wnętrza budynku wyszło kilku urzędników Kongresu. Sześciu agentów Tajnej Służby trzymało ich na oku, podczas gdy czterej inni eskortowali rodzinę Ryanów do środka. Przy narożnym wejściu stał Al Trent.

— Zechce pan pójść ze mną?

— Dlaczego...?

— Po zatwierdzeniu, wprowadzimy pana do zaprzysiężenia, a następnie zajmie pan miejsce za prezydentem, obok przewodniczącego Izby — tłumaczył Sam Fellows. — To był

pomysł Tish Brown, będzie to dobrze wyglądało.

— Wyborcze szopki — zauważył chłodno Jack.

— A co z nami? — spytała Cathy.

Jaka ładna scena rodzinna, pomyślał Al.

— Nie wiem doprawdy czemu jestem tym wszystkim tak wściekle przejęty — mruknął

Fellows w swój dobroduszny sposób. — Listopad będzie dla nas ciężkim miesiącem.

Przypuszczam, że się tego nie spodziewaliście?

— Przykro mi Sam, ale nie — odparł Jack z zakłopotanym uśmiechem.

— Ta klitka to moje pierwsze biuro — powiedział Trent, otwierając drzwi na parterze, prowadzące do apartamentów, z których korzystał od dziesięciu kadencji. — Zatrzymałem ją na szczęście. Usiądźcie proszę i odpocznijcie trochę.

Ktoś przyniósł napoje i lód, i podał je pod uważnym spojrzeniem ochrony Ryana. Andrea Price znów zaczęła się bawić z dziećmi. Wyglądało to naturalnie, ale prawda było jednak inna. Dzieci wiceprezydenta powinny czuć się dobrze w jej towarzystwie. Zaczęła właśnie o to zabiegać.

Samochód prezydenta Durlinga zajechał na miejsce bez przeszkód. Eskorta doprowadziła go do biura przewodniczącego Izby, które przylegało do sali obrad, gdzie prezydent miał okazję przejrzeć jeszcze

raz tekst swojego przemówienia. Jaśmin, czyli pani Durling, w towarzystwie ochrony osobistej pojechała windą na galerię. Do tego czasu sala obrad zapełniła się do połowy.

Modne w Kongresie spóźnianie się nie było w tym momencie mile widziane. Członkowie Kongresu skupili się w małych grupkach, a wchodzili według partyjnej przynależności i siadali na miejscach przedzielonych choć niewidzialną to jednak namacalną linią. Pozostali członkowie rządu mieli pojawić się później. Dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego, wszyscy członkowie gabinetu, którzy przebywali akurat w Waszyngtonie (dwóch było na wyjazdach), członkowie Kolegium Szeffów Sztabów w upstrzonych baretkami mundurach zostali posadzeni w pierwszym rzędzie. Potem weszli szefowie agencji rządowych. Bili Shaw z FBI. Prezes Banku Rezerw Federalnych. Aż w końcu pod okiem nerwowych służb bezpieczeństwa, wśród tradycyjnego gęgania wysokiego rangą personelu, wszystko zostało przygotowane, dokładnie na czas, tak jak zawsze.

Siedem sieci telewizyjnych przerwało nadawanie programów. Prezenterzy oznajmili, że za chwilę prezydent wygłosi orędzie do narodu. Zasypali widzów taką ilością informacji, że mogli oni pójść do kuchni i zrobić sobie kanapki, a i tak niczego nie stracili.

Odźwierny Izby Reprezentantów, człowiek wykonujący jeden z najbardziej intratnych zawodów w kraju — pokaźna pensja i żadnych konkretnych obowiązków — stanął w środku sali i przemówił tubalnym głosem, wypełniając tym samym swoją jedyną funkcję:

— Panie przewodniczący, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Roger Durling wszedł na salę. Krocząc wzdłuż ław, zatrzymywał się, by uścisnąć wyciągnięte dłonie, trzymając pod pachą oprawną w czerwoną skórę teczkę. Miał tekst przemówienia na papierze na wypadek, gdyby zepsuły się wyświetlające je telepromptery.

Powitał go aplauz zarówno ogłuszający, jak szczerzy. Nawet członkowie partii opozycyjnej musieli przyznać, że Durling dotrzymał obietnicy zabezpieczenia, chronienia i bronięcia Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Choć polityka rządzi się swoimi prawami, jest w niej również miejsce na honor i patriotyzm, zwłaszcza w takich chwilach. Durling zbliżył się do mównicy, wspiął się na podium i wówczas nadszedł czas, by przewodniczący Izby spełnił swój ceremonialny obowiązek.

— Członkowie Kongresu, mam wielki zaszczyt oznajmić, że za chwilę przemówi prezydent Stanów Zjednoczonych. — Ponownie rozległy się oklaski. Tym razem członkowie obu partii tradycyjnie rywalizowali między sobą o to, która strona będzie klaskać najgłośniej i najdłużej.

— W porządku, powtórz, co masz zrobić...

— Dobrze, pamiętam, Al! Wchodzę, zostaję zaprzysiężony przez przewodniczącego Sądu Najwyższego, potem siadam. Powtarzam po nim, to wszystko. — Ryan upił łyk Coca-Coli ze szklanki, po czym wytarł spocone ręce o spodnie. Agent Tajnej Służby podał mu chusteczkę.

— Waszyngton, tu Sześć-Pięć-Dziewięć linii KLM. Mamy awarię. — Głos posługiwał

się skrótowym żargonem pilotów, językiem, który lotnicy używali, gdy sprawy przybierały diabelnie zły obrót.

Operator w centrum kontroli ruchu powietrznego leżącym na obrzeżach Waszyngtonu zauważył, że alfanumeryczna ikona na ekranie radlolokatora powiększyła się trzykrotnie.

Włączył mikrofon.

— Sześć-Pięć-Dziewięć, tu Centrum Waszyngton. Melduj uszkodzenia.

— Centrum, tu Sześć-Pięć-Dziewięć, eksplodował silnik numer trzy silniki jeden i dwa uszkodzone. Odporność konstrukcji na zniszczenia niepewna. Słaba sterowność. Proszę o ką kursowy, kierunek Baltimore.

Kontroler przywołał gwałtownym ruchem dłoni swojego przełożonego.

— Chwileczkę. Kto to jest? — Wprowadził kod KLM-659 do komputera, ale nie znalazł żadnej informacji.

Kontroler pstryknął włącznikiem mikrofonu.

— Sześć-Pięć-Dziewięć, podaj dane rozpoznawcze, odbiór. — Odpowiedź miała jeszcze bardziej nagłący charakter.

— Centrum Waszyngton, tu Sześć-Pięć-Dziewięć linii KLM, typ 747, lot czarterowy do Orlando, trzystu pasażerów — odparł głos. — Powtarzam, mamy trzy uszkodzone silniki, naruszoną konstrukcję lewego skrzydła i kadłuba. Schodzę na dziesięć tysięcy. Proszę o kurs na Baltimore, odbiór!

Cholera, nie możemy przecież grać z nim w ciuciubabkę, pomyślał kontroler.

— Dobrze, niech ląduje.

— Sześć-Pięć-Dziewięć. Potwierdzam kontakt radarowy. Mam cię na czternastu tysiącach. Prędkość pięćset kilometrów na godzinę. Skręć lewo dwa-dziewięć-zero i kontynuuj schodzenie. Utrzymaj dziesięć tysięcy.

— Sześć-Pięć-Dziewięć, schodzę dziesięć tysięcy, skręcam lewo dwa-dziewięć-zero. —

odpowiedział Sato. Komunikacja z samolotami odbywała się po angielsku, a on mówił biegle w tym języku. Na razie idzie nieźle. Zbiorniki paliwa były w połowie pełne, a do celu miał niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów według tego, co podawał pokładowy system nawigacji satelitarnej.

Straż pożarna zlokalizowana niedaleko terminalu międzynarodowego lotniska Baltimore-Waszyngton

została natychmiast postawiona w stan gotowości. Pracownicy, którzy normalnie zajmowali się czymś innym, pobiegli lub pojechali samochodami do budynku lotniska, podczas gdy kontrolerzy decydowali, które samoloty mogą wylądować zanim nadleci uszkodzony 747, a które muszą pokrążyć jeszcze nad lotniskiem. Plan działania na wypadek stanu zagrożenia mieli gotowy, podobnie jak każde inne lotnisko. Powiadomiono policję i inne służby; dosłownie tysiące ludzi zostało oderwanych od odbiorników telewizyjnych.

— Chciałbym państwu opowiedzieć historię obywatela amerykańskiego, syna oficera policji, byłego żołnierza Korpusu Piechoty Morskiej, który odniósł poważne obrażenia podczas ćwiczeń, nauczyciela historii, członka amerykańskich kręgów finansowych, męża i ojca, patrioty, urzędnika państwowego, amerykańskiego bohatera — mówił prezydent przed kamerami telewizji. Ryana aż skręcało, gdy tego słuchał, zwłaszcza, że słowa prezydenta przyjęto oklaskami. Kamery skierowały się na sekretarza skarbu Fiedlera, który zdradził grupie dziennikarzy, jaką rolę Jack Ryan odegrał podczas uzdrawiania Wall Street. Nawet Brett Hanson przyłączył się do oklasków.

— W takich chwilach człowiek zawsze chce się zapaść pod ziemię, nieprawdaż Jack? — rzucił Trent z uśmiechem.

— Wielu z was go zna, wielu z nim pracowało. Rozmawiałem dziś z członkami Senatu.

— Durling uczynił gest w stronę przywódców mniejszości i większości w Senacie, którzy odpowiedzieli mu uśmiechami i skinęli głowami na użytek kamer telewizji C-SPAN. —

Uzyskawszy ich zgodę, pragnę zaproponować, by Jack Patrick Ryan objął stanowisko wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Niniejszym zwracam się do członków Senatu z prośbą o zaakceptowanie tej nominacji w głosowaniu jawnym.

— Ależ to jest chyba niezgodne z prawem — zauważył komentator telewizyjny, gdy obaj senatorzy wstali i podeszli do mównicy.

— Prezydent Durling wszystko dobrze sprawdził — odparł polityczny ekspert. — Jack Ryan jest chyba najmniej kontrowersyjną postacią w Waszyngtonie, a obupartyjna...

— Panie prezydencie, panie przewodniczący, członkowie Senatu i nasi koledzy, przyjaciele z Izby Reprezentantów — zaczął przywódca większości. — Z największą przyjemnością, wraz z przywódcą mniejszości...

— Jesteście pewni, że to zgodne z prawem? — pomyślał na głos Jack.

— Konstytucja mówi tylko, że Senat musi zatwierdzić kandydata, ale ani słowem nie wspomina o tym, jak ma to zrobić — odparł Sam Fellows.

— Wieża Baltimore, tu Sześć-Pięć-Dziewięć. Mam kłopoty.

— Sześć-Pięć-Dziewięć, jakie masz kłopoty? — spytał kontroler z wieży. Mógł się już po części zorientować, co się dzieje patrząc na ekran radaru. Nadlatujący 747 nie zareagował

odpowiednio na polecenie, które dał mu chwilę przedtem. Kontroler potarł dłonie o siebie i zaczął się zastawiać, czy uda mu się sprowadzić ten samolot bezpiecznie na ziemię.

— Stery nie reagują prawidłowo... nie wiem, czy zdołam... Baltimore, widzę światła na pasie na mojej pierwszej godzinie... słabo znam ten rejon... widzę dużo terenów zabudowanych... tracę moc...

Kontroler sprawdził kąt kursowy na ekranie, przedłużył go w prostej linii do...

— Sześć-Pięć-Dziewięć, widzisz bazę Sił Powietrznych Andrews. Mają tam dwa pasy.

Czy możesz skrócić w stronę Andrews?

— Tu Sześć-Pięć-Dziewięć, chyba tak, chyba tak.

— Zostań na nasłuchu. — Wieża połączona była z bazą Sił Powietrznych „gorącą linią”.

— Andrews, czy możecie...

— Śledzimy sytuację — oznajmił starszy oficer w wieży bazy Andrews. — Centrum Waszyngton poinformowało nas o tym. Potrzebujecie pomocy?

— Możecie go przyjąć?

— Tak.

— Sześć-Pięć-Dziewięć, tu Baltimore. Przekazuję cię wieży w Andrews. Skręć prawo trzy-pięć-zero... czy możecie skrócić?

— Myślę, że tak. Pożar został chyba ugaszony, a instalacja hydrauliczna zaczyna działać... silnik chyba...

— Sześć-Pięć-Dziewięć KLM, tu wieża kontroli ruchu w bazie Andrews. Potwierdzam kontakt radarowy. Odległość czterdzieści kilometrów, kurs trzy-cztery-zero, pułap tysiąc dwieście metrów. Wolny pas zero-jeden lewy, posłaliśmy tam nasze wozy strażackie —

powiedział kapitan Sił Powietrznych. Już wcześniej nadał sygnał alarmowy i wyszkoleni żołnierze natychmiast zareagowali. — Skręć prawo zero-jeden-zero i kontynuuj schodzenie.

— Sześć-Pięć-Dziewięć — nadeszło krótkie potwierdzenie.

Sato nie miał nigdy pojąć ironii tej sytuacji. Choć liczne myśliwce stacjonowały w Andrews, bazie

Langley, centrum doświadczalnym lotnictwa Marynarki Patuxent River i w bazie lotnictwa Marynarki Oceana, a każde z tych miejsc leżało w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Waszyngtonu, nikomu nie przyszło do głowy, by wysłać kilka myśliwców nad stolicę w taki dzień, jak ten. Wymyślne kłamstwa i uniki nie były prawie wcale potrzebne. Sato obrócił samolot na bardzo małej szybkości, przez cały czas pod baczną opieką zaaferowanych i fachowo reagujących amerykańskich kontrolerów. Opieką, która mieszała mu trochę szyki.

— *Aye!*

— Kto jest przeciw? — Zapadła cisza, po której nastąpiły rześiste oklaski. Po chwili wstał przewodniczący.

— Odźwierny Izby wprowadzi wiceprezydenta na salę, aby ten został zaprzysiężony.

— O tobie mowa. Połamania nóg — rzucił Trent, po czym wstał i skierował się do wyjścia. Agenci Tajnej Służby pośpieszyli w głąb korytarza prowadząc pochód do tunelu, który łączył budynek z Kapitołem. Wchodząc do niego Ryan powiódł wzrokiem po łukowym sklepieniu, pomalowanym w okropny żółtawy kolor i, co dziwne, oblepionym rysunkami wykonanymi przez dzieci.

— Nie widzę żadnych nieprawidłowości, ani dymu, ani płomieni. — Kontroler w wieży obserwował nadlatujący samolot przez lornetkę. Znajdował się teraz niecałe półtora kilometra od nich. — O cholera, ma schowane podwozie!

— Sześć-Pięć-Dziewięć, masz schowane podwozie, powtarzam, masz schowane podwozie!

Sato mógł odpowiedzieć kontrolerowi, ale postanowił tego nie robić. Klamka zapadła.

Pchnął do przodu dźwignie ciągu, rezygnując z prędkości podchodzenia do lądowania wynoszącej dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę, trzymając się na razie pułapu trzystu metrów. Cel miał teraz w zasięgu wzroku, wystarczyło jedynie skrócić czterdzieści stopni w prawo. Po namyśle, włączył oświetlenie samolotu, odsłaniając czerwonego żurawia na stateczniku pionowym.

— Co jest, do cholery?

— On nie jest z KLM! Popatrz! — zawołał młodszy stopniem oficer. Dokładnie ponad polami, wyraźnie reagując prawidłowo na stery, 747 przechylił się w lewo z wyciem swoich czterech silników idących na zwiększonej mocy. Dwaj oficerowie spojrzeli na siebie, uświadamiając sobie, co teraz nastąpi oraz wiedząc, że nie mogą temu w żaden sposób zapobiec.

Powiadomienie dowódcy bazy było tylko formalnością, która nie mogła zmienić biegu wypadków. Potem zaalarmowali także Pierwszy Dywizjon Śmigłowcowy. Gdy to zrobili, nie mieli już nic innego do roboty, jak tylko przyglądać się przedstawieniu, którego końcówki już się domyślali. Za jakąś minutę miał nastąpić finał.

Sato często bywał w Waszyngtonie i przebył tradycyjną turystyczną marszrutę po mieście, włączając w to parokrotną wizytę w budynku Kapitolu. Strasznie groteskowa budowla, pomyślał po raz wtóry, gdy rosła ona mu w oczach. Nieznacznie przechylił stery i pruł teraz dokładnie nad Pennsylvania Avenue, przecinając rzekę Anacostia.

Widok był na tyle oszałamiający, by sparaliżować na moment agenta Tajnej Służby zajmującego pozycję na dachu Kapitolu. Trwał on w bezruchu tylko krótką chwilę, co w ostatecznym rachunku i tak nie miało znaczenia.

— Wyciągnąć Skoczka! Szybko! — wrzasnął, chwytając *Stingera*.

— Chodu! — zagrział inny agent w mikrofon krótkofalówki, dość głośno, by rozsadzić bębunki agentom Tajnej Służby wewnątrz budynku. To proste słowo dla agentów Tajnej Służby oznaczało, by natychmiast ewakuować prezydenta gdziekolwiek by w tej chwili przebywał.

Agenci, kondycją fizyczną dorównujący każdemu obrońcy grającemu w krajowej lidze futbolu, ruszyli z miejsc, nie wiedząc nawet gdzie kryje się niebezpieczeństwo. Ochrona Pierwszej Damy na galerii miała do przebycia stosunkowo krótką odległość i choć jedna z agentek potknęła się na schodach udało jej się chwycić Annę Durling za ramię i popchnąć ją do wyjścia.

— Co? — krzyknęła Andrea Price w tunelu. Pozostali agenci wokół państwa Ryanów natychmiast dobyli broni, w większości rewolwery, choć dwóch wyciągnęło pistolety maszynowe. Każdy uniósł broń w górę i zaczął rozglądać się po żółtawym korytarzu w poszukiwaniu zagrożenia, ale nie wykryli nic podejrzanego.

— Czysto!

— Czysto!

— Czysto!

W sali obrad sześciu mężczyzn puściło się biegiem w kierunku podium, również lustrując pomieszczenie z bronią gotową do strzału. Ten moment miał na zawsze zapaść w pamięć milionom widzów. Prezydent Durling posłał zdziwione spojrzenie szefowi ochrony osobistej i w odpowiedzi usłyszał tylko wykrzyczane błaganie, by natychmiast opuścić budynek.

Agent ze *Stingerem* na dachu budynku w rekordowym tempie ustawił wyrzutnię na ramieniu. Przenikliwy świergot modułu elektronicznego powiedział mu, że pocisk namierzył cel.

Momentalnie odpalił raketę, wiedząc już, że na nic się to nie zda...

Ding Chavez siedział na kanapie, trzymając dłoń Patsy — tę, na której widniał teraz zaręczynowy pierścionek — a potem dostrzegł na ekranie ludzi z wyciągniętą bronią. Wiedziony żołnierskim instynktem przybliżył się do telewizora, by odszukać wzrokiem zagrożenie i, choć na nic nie trafił, wiedział, że i tak gdzieś się tam czai.

Ujrawszy smuzkę światła Sato wzdrygnął się. Zrobił to raczej ze zdziwienia, niż strachu.

Potem dostrzegł pocisk sunący ku lewemu wewnętrznemu silnikowi jego samolotu. Eksplozja rozbrzmiała niespodziewanie głośno. Dźwięk dzwonek alarmowych powiedział mu, że silnik został doszczętnie zniszczony, ale od białego budynku dzieliło go niecałe tysiąc metrów. Samolot zanurkował lekko i zaczął przechylać się nieznacznie na lewe skrzydło. Sato skontrolował

ściągnięcie steru i wycelował nos maszyny w południową ścianę siedziby amerykańskiego parlamentu. Są tam wszyscy. Prezydent, parlamentarzyści, i cała reszta. Wybrał miejsce, w które uderzy tak dokładnie, jak podczas rutynowego lądowania. W ostatnich chwilach świadomości pomyślał, że ci, którzy odważyli się zabić jego rodzinę, muszą zapłacić za to słoną cenę.

Ostatnim ruchem wybrał punkt uderzenia, w dwóch trzecich długości kamiennych schodów.

Wiedział, że jest to miejsce prawie doskonałe...

Samolot wążący wraz z przenoszonym paliwem niemal trzysta ton uderzył we wschodnią ścianę budynku z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę. Maszyna rozleciała się na kawałki. Swoim ciężarem rozbiła w proch zewnętrzną kolumnadę. Potem przyszła kolej na sam budynek.

Kiedy tylko odłamały się skrzydła, bezwładność wyrzuciła do przodu silniki, prawdę mówiąc najtrwalsze części samolotu, a jeden z nich wbił się do sali obrad Izby, a potem jeszcze dalej. Kamiennie ściany Kapitolu nie miały żadnych stalowych wzmocnień, jako że budynek wzniesiono w czasach, gdy kamień położony na kamień uznawano za najtrwalszą możliwą konstrukcję. Cały wschodni fronton południowej części Kapitolu legł w gruzach, ale gorsze uszkodzenia miały dopiero nastąpić za kilka sekund. Na dziewięciuset ludzi znajdujących się w środku zaczął obsuwać się dach. Sto ton paliwa do silników turboodrzutowych trysnęło z popękanych zbiorników, zapalając się chwilę później od iskry i olbrzymia kula ognia pochłonęła wszystko i wszystkich wewnątrz i na zewnątrz budynku. Języki płomieni rozprzestrzeniły się po korytarzach we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu tlenu, wywołując falę podciśnienia, która przetoczyła się po budynku, sięgając nawet do piwnic.

*

Wstrząs był tak silny, że powalił ich na ziemię. Agenci Tajnej Służby byli bliscy poddaniu się panice. W pierwszym instynktownym odruchu Ryan pochwycił swoją najmłodszą córkę, potem pchnął całą rodzinę na podłogę i przykrył ją własnym dałem. Kiedy tylko znalazł

się na ziemi, ktoś kazał mu spojrzeć do tyłu, w głąb północnego odcinka tunelu. Dobiegał

stamtąd przedziwny hałas. Za chwilę Ryan ujrzał sunącą w ich kierunku pomarańczową ścianę ognia. Nie było czasu na słowa. Przygniótł głowę żony do posadzki, a potem poczuł, że jakieś dwie osoby przykryły ich swoimi ciałami. Mógł tylko patrzeć na huczące płomienie...

Ogień wykorzystał już zasób tlenu. Chmura w kształcie grzyba podskoczyła ku górze i wytwarzając miniaturową trąbę powietrzną wyssała gazy z budynku, w którego wnętrzu zabiła wszystkich

obecnych...

Ściana ognia zatrzymała się, niecałe trzydzieści metrów od nich, potem cofnęła się z taką samą gwałtownością, z jaką przed chwilą sunęła do przodu. W tunelu rozhulał się nagle huraganowy wiatr. W ich stronę poleciały jakieś drzwi wyrwane z zawiasów, ale na szczęście nikogo nie trafiły. Mała Katie zapiszczała z przerażenia i bólu, przygnieciona ciężarem tyłu ciała.

— Dalej! — ryknęła Andrea Price, nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć. Na ten rozkaz agenci pochwycili państwa Ryanów i na wół pociągęli, a na wół ponieśli ich do Longworth Building, nie oglądając się na ocalałych członków Izby Reprezentantów, którzy pognali za nimi o własnych siłach. Zabrało im to jakąś minutę, po czym agentka Price, znów jako pierwsza, spytała:

— Panie prezydencie, nic panu nie jest?

— Co to, do cholery...? — Ryan rozejrzał się dookoła, przysuwając się do swoich dzieci.

Wydawały się zdrowe i całe, choć ich ubrania wisiały w strzępach. — Cathy?

— Nic mi nie jest, Jack. — Następnie sprawdziła, czy dzieciom nic się nie stało, tak jak kiedyś w Londynie. — Całe i zdrowe, Jack. A ty? — Ziemia zadrżała, gdy w powietrzu przetoczył się potężny grzmot. Katie Ryan zaczęła płakać.

— Price wzywa Walkera — rzuciła agentka do mikrofonu krótkofalówki. — Price wzywa Walkera, odmeldować się!

— Price, tu Strzelec Trzy, wszystko diabli wzięli, kopuła się zawaliła. Czy Miecznik żyje?

— Co to, u diabła, było? — parsknął Sam Fellows, podnosząc się z kolan. Price nie miała czasu mu odpowiedzieć.

— Tak, tak, Miecznik, Chirurg i... o cholera, nie mamy jeszcze dla nich imion. Dzieci też... wszyscy cali i zdrowi. — Nawet jej te słowa wydały się lekko przesadzone. Owiewało ich powietrze, które wciągane w głąb tunelu podsycalo płomienie wewnątrz Kapitelu.

Agenci powoli dochodzili do siebie. Nadal trzymali broń gotową do strzału. Gdyby jeszcze chwilę temu w tunelu pojawił się jakiś zabłąkany dozorca jego los byłby przypieczętowany. Jeden po drugim agenci zaczynali głębiej oddychać i rozluźniać się trochę, starając się jednocześnie skupić na zadaniu, do wykonania którego przygotowywano ich podczas szkolenia.

— Tędy! — zawołała Price, ruszając przodem z pistoletem. — Strzelec Trzy, podprowadzić wóz pod południo-wschodni narożnik Longworth, ale migiem!

— Zrozumiałem.

— Billy, Frank, zająć pozycje! — rozkazała następnie. Jack nie miał pojęcia, że Price jest szefem

jego ochrony, ale dwaj mężczyźni posłuchali jej bez wahania. Puścili się biegiem w kierunku wyjścia. Trent i Fellows tylko się temu przyglądali.

— Czysto! — zawołał agent trzymający pistolet maszynowy *Uzi*, gdy dotarł do końca korytarza.

— Wszystko z panem w porządku, panie prezydencie?

— Chwileczkę, a co z...

— Skoczek nie żyje — powiedziała Price krótko. Pozostali agenci słyszeli tę samą wymianę zdań przez radio i otaczali teraz ścisłym kręgiem swojego zwierzchnika. Ryan był

wciąż zdezorientowany i starał się czegoś dowiedzieć.

— Na zewnątrz stoi terenówka! — zawołał Frank. — Idziemy!

— Panie prezydencie, naszym obowiązkiem jest zabrać stąd pana. Proszę iść za mną — powiedziała Andrea Price, zniżając lekko lufę pistoletu.

— Moment, zaraz, zaraz, co ty mówisz? Prezydent, Helen...

— Strzelec Trzy, tu Price. Czy ktoś się uratował?

— Nie mieli szans, Price — odparł snajper.

— Panie prezydencie, musimy pana zabrać w bezpieczne miejsce. Proszę iść za mną.

Okazało się, że czekają na nich dwa ogromne samochody terenowe. Jacka oddzielono siłą od rodziny i wepchnięto do pierwszego wozu.

— A co będzie z moją rodziną? — zaprotestował. Jego wzrok padł na pomarańczowe pogorzelnisko, które kilka minut wcześniej stanowiło siedzibę amerykańskiego parlamentu. — O

Boże...

— Zabierzemy ich do...

— Zabierzcie ich do koszar *marines* na rogu Ósmej i Pierwszej... Mają mieć ochronę *marines*, jasne? — Dopiero później Ryan uświadomił sobie, że jego pierwszy rozkaz na stanowisku prezydenta miał już swój odpowiednik w przeszłości.

— Tak jest, sir. — Price włączyła mikrofon. — Chirurg i dzieci jadą na róg Ósmej i Pierwszej. Zawiadomcie *marines*!

Samochód popędził w dół New Jersey Avenue, oddalając się od Kapitolu. Ryan uświadomił sobie,

że choć wysoce wyszkoleni, agenci Tajnej Służby starali się jak najszybciej opuścić to miejsce.

— Skręćcie na północ — rozkazał Jack.

— Ależ, panie prezydencie, Biały Dom...

— Chcę jak najszybciej znaleźć się gdzieś, gdzie mają nadajnik telewizyjny. Potrzebny mi będzie także jakiś sędzia. — Ten pomysł nie zrodził się ani z rozsądku, ani z przemyśleń. Po prostu pojawił się w jego głowie.

Terenowy Chevrolet skierował się na zachód, potem skręcił na północ i zatoczył pętlę w kierunku Union Station. Na ulicach rojło się od policji i wozów strażackich. Nad głowami krążyły śmigłowce Sił Powietrznych, pewnie po to, by odganiać helikoptery z dziennikarzami.

Ryan wyskoczył z samochodu o własnych siłach i otoczony ochronnym kręgiem agentów ruszył w stronę budynku, gdzie mieściła się stacja CNN — akurat była najbliżej. Liczba agentów wokół jego osoby stale rosła, tak że Ryan zaczynał czuć się bezpiecznie, choć zdawał sobie sprawę, jak złudne jest to uczucie. Zabrano go na górę do studia, gdzie po chwili pojawił się kolejny agent w towarzystwie innego mężczyzny.

— Sędzia Peter Johnson z Sądu Federalnego Dystryktu Columbia — przedstawił nieznajomego agent.

— Czy moje domysły są słuszne? — spytał sędzia.

— Niestety tak, sir. Nie jestem prawnikiem, niech mi pan powie, czy to zgodne z prawem? — spytał prezydent.

Agentka Price ponownie przysłała mu w sukurs.

— Prezydent Coolidge został zaprzysiężony przez swojego ojca, okręgowego sędziego pokoju. To na pewno zgodne z prawem — zapewniła.

Kamera telewizyjna przybliżyła się do Ryana, który położył dłoń na Biblii. Sędzia zaczął recytować z pamięci.

— Ja... proszę podać nazwisko.

— Ja John Patrick Ryan...

— Uroczyście przysięgam, że będę godnie sprawował urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych...

— Uroczycie przysięgam, że będę godnie sprawował urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych... i będę z całych moich sił przestrzegał, ochraniał i bronił Konstytucji Stanów Zjednoczonych, tak mi dopomóż Bóg. — Jack dokończył przysięgę z pamięci. Nie różniła się wiele od tej, którą składał jako oficer Korpusu Piechoty Morskiej. Znaczyła dokładnie to samo.

— Prawie mnie pan nie potrzebował — szepnął Johnson. — Proszę przyjąć moje gratulacje, panie prezydencie. — W uszach obu mężczyzn zabrzmiało to dziwnie, niemniej Ryan uściśnął dłoń sędziego. — Niech pana Bóg błogosławi.

Jack rozejrzał się po pomieszczeniu. Za oknami widać było wciąż płonący Kapitol. Potem odwrócił się z powrotem do kamer. Przed telewizorami siedziały miliony ludzie i czy mu się to podobało, czy nie, patrzyli na niego. W nim pokładali nadzieję. Ryan wziął głęboki oddech, nie wiedząc, że krawat przesunął mu się pod kołnierzykiem.

— Panie i panowie, dziś wieczorem ktoś podjął próbę zniszczenia rządu Stanów Zjednoczonych. Prezydent Durling został zabity i, o ile wiem, członkowie Kongresu podzielili jego los... jest jeszcze za wcześnie, by mówić o tym na pewno.

Ale jednego jestem pewny: Ameryki nie da się zniszczyć tak łatwo jak ludzi. Mój ojciec, jak państwo słyszeli, był policjantem. Zginął wraz z moją matką w katastrofie lotniczej, ale nadal mamy policjantów. Wielu wspaniałych ludzi zostało zabitych nie dalej jak kilka minut temu, ale Ameryka nie zginęła. Stoczyliśmy kolejną wojnę i zwyciężyliśmy. Przetrwaliśmy atak na naszą gospodarkę. To też przeżyjemy.

Obawiam się, że nie umiem wyrazić tego odpowiednio, ale w szkole nauczono mnie, że Ameryka to marzenie, to idee, które nam wszystkim przyświecają, to rzeczy, w które wierzymy, a przede wszystkim to praca, którą wykonujemy i to, jak ją wykonujemy. Nikt nie może tego zniszczyć, niezależnie jak bardzo by chciał, ponieważ jesteśmy tym, czym jesteśmy i czym chcemy być. Tu zrodziła się ta myśl i nikt nie może jej zniszczyć.

Nie wiem, co teraz zrobię. Najpierw upewnię się, czy moja żona i dzieci są całe, i zdrowe.

Ale teraz mam nową pracę. Właśnie przysięgłem przed Bogiem, że będę wykonywał ją najlepiej, jak umiem. Na razie proszę was o modlitwę i pomoc. Kiedy dowiem się czegoś więcej, znów do was przemówię. Można wyłączyć kamery — zakończył. Kiedy tylko zgasły reflektory, zwrócił się do agentki Price.

— Do roboty.

KONIEC

1 Akwen rozciągający się pomiędzy Grenlandią, Islandią i Wielką Brytanią (przyp. tłum.)